Lietuvos Mokslų Akademijos
BIBLIOTEKA
F138-2229

[illegible]

[illegible] 1911 [illegible]
[illegible] 1912.

F 138 - 2229

Dziennik.

Tom II.

Michał Römer.

rok 1911 (część druga)
i rok 1912.

Wieczorem zebraliśmy się u Krzyżanowskiego we tróję — Krzyżanowski, Witold Abramowicz i ja — dla omówienia sprawy wydawnictwa tygodnika. Nagrodzkiego nie było, wyjechał zagranicę. Nagrodzki z Krzyżanowskim po wzajemnym porozumieniu się odrzucili wszelkie projekty porozumienia się z grupą Jałkowskiego i Hertza w sprawie wspólnego wydawnictwa dziennika i postanowili skierować wszystkie wysiłki do stworzenia tygodnika, nie zbaczając nadal z raz obranej drogi. Sytuacja wszakże bynajmniej łatwą nie jest. Zadeklarowanych na piśmie udziałów jest dotychczas nie wiele więcej nad 1½ tysiąca rubli; podług zaś obliczeń Nagrodzkiego, trzeba byłoby mieć przy rozpoczęciu pisma conajmniej 5–6 tysięcy gotówki rozporządzalnej. Coprawda dotychczas nie wyzyskano jeszcze wszystkich źródeł, nie poruszono wcale prowincji, a nawet w Wilnie nie do wszystkich się jeszcze zwrócono, na których liczyć można. Właściwie zebrano deklaracje tylko od tych, którzy ponieważ sami się zgłosili, jakiejś akcji specjalnej, jakiegoś wysiłku nie było robionego. Wielkim utrudnieniem jest to, że się do tego zabierają ludzie, którzy są zajęci, jak Nagrodzki, Krzyżanowski i Abramowicz, i którzy dużo czasu i energji poświęcić na rzecz ~~[illegible]~~ organizowania pisma nie mogą, a w istocie rzeczy akcja taka wymaga wielkiego wytężenia pracy. Wszakże Krzyżanowski i Abramowicz nie chcą rąk składać. Nakreślili dziś cały szereg ~~[illegible]~~ nowych osób w Wilnie, do których się zwrócić należy, następnie Kamieniecki pojechać do Mińska i Grodna, przytrzymać Kobyłowszczyznę i t.d.

17 (30) sierpnia. rok 1911. Środa.

Nie widziałem się dziś z Anielą Wolberg wcale. Tęskno mi do niej.

18 (31) sierpnia rok 1911. czwartek.

Jeden dzień, spędzony bez widzenia się z Anną, taką mię przejął tęsknotą, że choć dziś spotkanie nie było między nami umówione, jednak nie wytrzymałem i poszedłem do niej. Sam nie wiem, co za uczucie żywię do niej; czy to jest miłość, czy pragnienie jej miłości? W każdym razie trudno mi się bez niej obejść; stała się ona perłą ozdobną mego życia, mych wrażeń i tęsknot. Chciałem ją spotkać na ulicy, gdy będzie wracała z pracy do domu. W tym celu o godz. 8 poszedłem na Antokol i zacząłem chodzić tam i z powrotem wzdłuż rzeki od Cielętnika do więzienia. Godzinę całą tak chodziłem — napróżno. Zacząłem tracić nadzieję spotkania jej, a podrażniona fantazja zaczęła mi tworzyć najczarniejsze domysły na temat tego, gdzie Anna być może. Zirytowany, przygnębiony, usiadłem na tarasie nad Wilją i znów czekałem. Anna nie przychodzi. Ognie męki zazdrości i podejrzeń zaczęły się tlić w mym sercu, mimo że tłumiłem je wysiłkiem woli, rozsądkiem i słonecznym czystym wspomnieniem tej Anny, rozkochanej we mnie, rozmodlonej, dumnej i prawej nawet w niedawnym upadku, a tak subtelnej, tak wstydliwie prostej i głębokiej w uczuciu. Wreszcie poszedłem na Antokol do jej mieszkania. Zastałem ją w jej malutkim pokoiku przy czytaniu książki łotewskiej. Ucieszyła się, ~~[illegible]~~ radosna i promienista. Wtedy mię ogarnął żal za moje poprzednie podejrzenia krzywdzące, za tę podłą i próżną zazdrość męską, która, jak gadzina, wiecznie z jakiejś kryjówki wyłazi, ~~[illegible]~~ kalając świętą miłość i czyste ofiarne serce kochanki. Okazuje się, że Anna wróciła do domu już od godz. 7½, bo się dziś praca wcześniej skończyła. Spędziłem z Anną z 1½ godziny w jej małym pokoiku. Obcowanie z nią jest przepięknym i przeczystym kwiatem miłości, w którym się cała Anna przetapia w wyraz. Chłonę ją wszystkimi zmysłami, piję ją. Niema rozkoszy i piękna ponad przeczucie miłości. Miłość tego dziecka budzi, uszlachetnia mię i podnosi. Wyczuwam i wiem, że Anna jest o całe niebo szlachetniejsza, czystsza i ~~[illegible]~~ wznioślejsza od mnie w mym nieprzejrzanym prostactwie, [illegible], podłości egoizmu męskiego!

19 sierpnia.
1 września.
rok 1911.
piątek.

Witold Abramowicz wszczął dziś ze mną rozmowę na temat ~~[illegible]~~ przyszłej organizacji naszego tygodnika, o ile ten do skutku dojdzie. Dąży on do tego, aby wprowadzić do redakcji tygodnika swego brata Ludwika; zdaje się, że chciałby go nawet ewentualnie na redaktora pasować, wysuwając mnie. Udałem, że tej tendencji jego nie rozumiem, i wskazywałem, jak zamierzam zorganizować kierownictwo i układ pisma wespół z Jeleńskim, jako sekretarzem. Sądzę, że Witold Abramowicz nie da za wygraną i nadal brata swego forsować będzie. Nie mam nic przeciwko współpracownictwu Ludwika, ale ustępować mu z redaktorstwa nie myślę, o ile tylko grono założycieli, t.j. przeważnie Nagrodzki z Krzyżanowskim, nie uzna Ludwika za odpowiedniejszego ode mnie. Nie lgnąłbym do niego za to, bo nie o tytuł redaktora mi chodzi, lecz o to, że Ludwik jest na stanowisko redaktora naszego pisma trochę zanadto prawicowy. Zresztą nie mam jeszcze pewności co do samego powstania pisma. Czy zbierzemy fundusz udziałów wydawców wystarczający. Napisałem dziś do [illegible] w tym interesie. Po obiedzie zaś byliśmy z Witoldem Abramowiczem u doktora Jabłonowskiego, zapraszając go do wzięcia udziału pieniężnego. Jabłonowski zadeklarował udział w kwocie rb. 100. Mówiła mi dziś p. Bortkiewiczowa, że właścicielka magazynu mód, w którym pracuje Anna, p. [illegible] jest bardzo z Anny zadowolona i uważa ją za zręczną robotnicę. Cieszy mnie to bardzo, bo i Anna pracę tę polubiła. Los Anny jest na dobrej drodze. Miłość jej do mnie, jeżeli tylko potrwa, będzie największą dźwignią jej ratunku. Miłość ta wiąże ją do uczciwego życia i opromienia jej byt. Niestety — Anna ma bardzo mało wiary do siebie. Nie może się pozbyć myśli, że jest istotą zgubioną i że ktokolwiek, który wie o jej przeszłości, może ją za [illegible] uważać. Ma ona wprawdzie poczucie swej krzywdy, rozumie, że winą jej nieszczęścia i upadku ~~[illegible]~~ są warunki społeczne w związku z jej naturą zbyt wrażliwą, a jednak nie umie się otrząsnąć z poczucia winy i wiary moralnej. Na punkcie tym jest niesłychanie drażliwa i za lada mową niedostrzeżonym słówkiem wpada w przygnębienie i smutek straszliwy. Posądza [illegible] a zwłaszcza mnie, że przekonana jest, iż ja ją nadal traktuję jako dziewczynę upadłą, sprostytuowaną, ~~[illegible]~~ której tylko rozpusta z byle mężczyzną chodzi. Gdyby wiedziała, jak mi jest drogą i jak daleki jestem od takich myśli. Czytałem w jej duszy, jak w księdze otwartej; miłość jej do mnie i ta ekspresja, która jej wydaje, otwiera mi każde drgnienie jej uczucia, każdy [illegible] jej wrażenia, każdy błysk jej myśli bez tajemnicy. Widzę ją czystą, nieskalaną, jaką jest. Upadek był li tylko epizodem, nie zbrodnią i rozpustą, lecz głębokiego nieszczęścia. Nasz obecny z nią związek, na miłości oparty, już w żadnym razie rozpustą nie jest. Jest on tylko emanacją miłości, ostatecznie koniecznym wyrazem naszej tęsknoty wzajemnej, naszej woli do posiadania się. Jest to związek przeczysty, związek piękna i prawdy. Anna zaś wciąż podejrzewa, że ja traktuję ten związek za rozpustę z jej strony, to też się szamoce i wstydzi, a dusza jej się obraża i zamyka głęboko. Miłość ją do tego związku pcha, a [illegible] ją cofa wstecz. Podejrzenia mnie, które sobie w wyobraźni roi, ranią boleśnie jej duszę, przekreślają miłość, kalają ją w [illegible] z rozpustą. [illegible] Anna w sercu mym [illegible] inaczej myśli! Na tle tych powikłań mieliśmy dziś z Anną bardzo przykry, bolesny wieczór.

20 sierpnia.
2 września.
rok 1911.
sobota.

Cały dzień mi upłynął w nerwowym oczeki=waniu wieczora, kiedy mamy iść z Anną do Trumana. Tożsamy wieczór przepojony przez ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ swym współczuciem ra=dość oczekiwania. W ciągu dnia nic godnego uwagi nie zaszło. Pod wieczór przyjechała córka Maryni Helcia, wracająca z wakacji od Miedzkowskich i Trumarasowskich.

o godz. 9 wieczorem pojechałem po Annę na Antokol. Zastałem ją już gotową, ~~[illegible]~~ ubraną, czekającą na mnie. Wypiliśmy razem, pospacerowaliśmy po mieście, po=siedzieliśmy na ławeczce w skwerze Świę=~~[illegible]~~ tojerskim i wreszcie gdy już nadeszła pora, poszliśmy do Trumana. Zabawa była dość wesoło. Siedzieliśmy w jednej z loży górnych, tak aby nikt nas z dołu widzieć nie mógł, bo nie chcę oczywiście, aby widywano Annę u Trumana i w innych miejscach lekkiej zabawy. Wobec gawiedzi ludz=kiej należy pilnie strzec pozorów, zwła=szcza ze względu na skompromitowaną przez miłość Annę. Z loży górnej widać scenę, ale zato ~~[illegible]~~ można tam tak siedzieć, że nikt z parteru nie zobaczy siedzących w loży. Zresztą ~~[illegible]~~ mało śmy się z Anną przyglądali scenie; zajęci byliśmy przez [illegible]nie rozmową ze sobą. Zjedliśmy kolację, wypiliśmy wina, kupiłem dla Anny kwia=tów, które ona tak kocha. Od Trumana po=jechaliśmy do hotelu. Noc nam zeszła na ekstazie miłości, syconej śpiewem łotewskich pieśni Anny oraz wdziękiem jej uczucia, które, jak zawsze, tryskało z niej tysiącem migotliwych wyrazów, nie=dających się w słowie utrwalić. Anna jest szczęśliwa. Rada ze swej pracy i ze swego try=bu życia, ~~[illegible]~~ Ma pracę odpowiadającą jej wrażliwości i jej poczuciu piękna, ma wesołe towarzyszki przy pracy a pozatym ma moją wzaje=mną miłość i czułość. Dziwne jest to moje szczęście do kobiet. Ilekroć bywałem kochany, — zawsze mi=łością bezwzględną, głęboką, tragiczną. A jakie są mo=je tytuły do miłości — sam nie wiem, bo wszak pięknym przecież nie jestem.

21 sierpnia / 3 września.
rok 1911.
niedziela.

Cały dzień do 9. wieczorem spędziłem z Anną. Rano wypiliśmy kawę i do godz. 6 popołudniu nie wychodziliśmy z hotelu. Zmęczeni byliśmy a dobrze nam było we dwoje. Miłość dodaje rozmowie naszej niewyczerpany wątek tematów. Znam wszystkie już niemal szczegóły z życia Anny a Anna z mojego, a jednak zawsze mamy sobie wiele do opowiadzenia i do pogłębienia naszej wiedzy o sobie. Rozmowa przeplatana pieszczotami i śpiewem Anny, wypełniła nam tak czas, żeśmy się ani opatrzyli, jak wieczór nadszedł. Poszliśmy na obiad do restauracji Myśliwskiej. Po obiedzie poczułem się nagle bardzo osłabiony; zrobiło mi się źle, serce zaczęło niedopisywać. Anna się przeraziła i ze łzami [illegible] błagać zaczęła, abym z nią pojechał do hotelu i wypoczął; nie chciała się rozstawać ze mną, roztkliwiła się i przejęta moją słabością. Chciała być pielęgniarką moją, usiąść w hotelu przy moim łóżku i czuwać jeno nade mną. Bała się, abym jej nie posądził o chęć zażywania nowych uciech i pieszczot zmysłowych ze mną. Zbudziły się w niej te ślepe kobiece instynkty czystej ofiarności i pielęgniarstwa. Wogóle Anna, choć jest zmysłowa, nie utożsamia bynajmniej miłości z li tylko rozkoszą zmysłową. Przeciwnie — wciąż się w niej podnosi protest i bunt przeciwko takiemu utożsamianiu; jak we wszystkim, tak i tu jest ona dwoista: pragnęłaby przekopać rów głęboki między miłością a życiem fizycznym a znów naturą namiętną i zmysłową, zwłaszcza przy lada podnieceniu, pcha ją w moje ramiona i każe się oddawać bez zastrzeżeń. Ze złością wspomina Anna swego zeszłorocznego kochanka żydka, Augustchena, który ją odarł z dziewictwa, przez co została ona pozbawiona „czystości" w uczuciach i zyskała świadomość owocu zakazanego w miłości. Świadomość ta ma swe wiekuiste w miłości konsekwencje. Anna zaś w miłości do mnie tęskni do nieświadomego dziewictwa. Biedne dziecko. Spędziłem z nią parę godzin w restauracji a gdy mi się lepiej zrobiło, pożegnałem się i pojechałem do domu, ona zaś pojechała do siebie na Antokol

6.

22 sierpnia / 4 września.
rok 1911.
poniedziałek.

Zajęty byłem przeważnie interesami prawniczemi i korespondencją. Wieczorem kilka godzin spędziłem na zebraniu zarządu „Žiburėlis'a" z paniami Felicją Bortkiewiczową i Dyszyńską. Wahałem się w tym roku, czy przyjąć ponowny wybór do zarządu „Žiburėlis'a", czy nie, ale ostatecznie zdecydowałem się przyjąć i na ogólnym zebraniu, które się w lipcu odbyło, zostałem wybrany. Wahanie się moje wypływało ze względów mojego stosunku do nacjonalistów litewskich, z którymi, a zwłaszcza z ich wodzem, redaktorem naczelnym ich organu „Viltis", p. Smetoną, stoczyłem w maju ostrą polemikę na szpaltach „Lietuvos Žinios". Na skutek tej polemiki nacjonaliści litewscy zaczęli mi insynuować tendencje zaborcze w kierunku polonizacji Litwinów, jeden zaś z publicystów „viltis-owych", p. Zubilius, niegdyś ~~trudowik~~ poseł do I Dumy i członek partii „trudowików", obecnie zaś czysty nacjonalista i klerykał, nazwał mnie i postępowców polskich — agientami polonizacji. Oczywiście że takie traktowanie mnie przez nacjonalistów litewskich nie może wpłynąć na mój stosunek do demokratów czyli ludowców litewskich, z którymi mię łączą wspólne ideały społeczne i wspólne dążenia ludowe i demokratyczne, ale i z którymi przeto zawsze nadal ręka w rękę pójdę, ale na mój udział w ogólno-litewskich związkach [illegible] kulturalnych, w których biorą udział i nacjonaliści, to wpływa. Jeżeli mojej działalności wśród Litwinów uważają mnie za polonizatora [illegible] [illegible]: z tego względu nie wszedłem [illegible]

roku udziału [illegible] Tow. [illegible] Naukowego.

23 sierpnia / 5 września
rok 1911.
wtorek.

Nasz zjazd dzielczy majątków po ś.p. Babuni Zuzannie Tukałłowej ma się odbyć w piątek 26 b.m. Dziś otrzymałem list od Ludwisia Wołodkowicza, w którym pisze, że c. Ducia pisała do Mamy, radząc, aby Mama osobiście do Wilna na zjazd przyjechała. Zaraz napisałem do Mamy odradzając przyjazd. Mama ma za mało równowagi, za mało zimnej krwi, o byle co się przejmuje i wogóle tak nerwowo bierze wszystko do serca, że jest w obradach dzielczych nieobliczalna; przez to obecność Mamy może być nawet dla sprawy szkodliwa, bo Mieczyś Bohdanowicz i Wołodkowiczowie będą każdy ze swej strony spekulować na nastrojach Mamy, aby swoje własne pieczenie przy tem upiec, a przez to moja rola, jako plenipotenta i kierownika interesów Mamy, może być nieraz utrudniona.

Wieczorem dziś miałem się spotkać z Anną w cukierni Torwirta, aby ją zaprowadzić do lokalu „Ruty”, gdzie Wł. Łastowski, bibliotekarz litewskiego towarzystwa wileńskiego wypożycza książki. Po godz. 8 Anna przyszła. Powiedziała mi, że wczoraj do magazynu Łapkowskiej przychodziła do niej pani Sawrońska i zaprosiła ją wieczorem do siebie i dała jej poduszkę, ręczniczki i kołdrę, t.j. akurat to, co jej brakowało i co trzeba było kupić. Bardzo to poczciwe i uprzejme ze strony pani Sawrońskiej. Dziś znowu była u Anny p. Sawrońska z doktorową Szwengrubenową, która ma dawać Annie po 2 razy na tydzień wieczorami po godzinie lekcji języka rosyjskiego, z czego się Anna bardzo cieszy. Anna bardzo wdzięczna p. Sawrońskiej za jej serdeczność i troskliwość. Zaprowadziłem Annę do „Ruty” i skierowałem do zebranych tam Litwinów, sam zaś poszedłem do skweru Świętojerskiego, gdzie miałem na nią czekać. Anna okropnie się wypraszała od pójścia do „Ruty”, wstydziła się rozmowy z Litwinami, a tymczasem, jak poszła, to przez całą godzinę tam siedziała. Czekałem bez końca, aż wreszcie zły byłem i chciałem już wychodzić, gdy nadeszła Anna. Zacząłem jej robić wymówki za to, że sobie tak mało robi z mego czekania; byłem trochę zły. Anna chciała mnie przeprosić, brała mnie za rękę, ale ja rękę cofałem, aż wreszcie i Anna się zirytowała. Powiedziała mi, że obiecała [illegible] zebranym tam Litwinom,

24 sierpnia / 6 września. rok 1911. Środa.

Zakończyłem dziś absolutnie całą moją zaległą korespondencję. Po obiedzie zabrałem się do mojej pracy o Białej Rusi, obstalowanej przez Polskie Towarzystwo Nakładowe we Lwowie. Będę miał dużo roboty z tą pracą, ale przypuszczam, że mnie ona mocno zainteresuje i da mi wiele przyjemności umysłowej. Dziś jeszcze się do niej nie wciągnąłem. Jedynie kilka pierwszych zdań do wstępu skreśliłem.

Pod wieczór przyszli do mnie Żmujdzinowiczowie, którzy dopiero co ze wsi z wakacji letnich wrócili. Z nimi poszedłem obejrzeć plac, który mają kupić do spółki „Lietuvių Dailės Draugija" i „Lietuvių Mokslo Draugija" pod litewski „dom narodowy" („Tautos Namai") w Wilnie. Plac upatrzony mieści się przy świeżo przekopanej ulicy na górze Bouffałowej, łączącej Łukiszki z Pohulanką. Plac ten ciągnie się od miejsca, gdzie się ta nowa ulica wpół góry zawraca, do cmentarza ewangelickiego. Przestrzeń placu wynosi 1500 □ sążni; cena tania, po rb. 10 za sążeń. Punkt ten jest dobry; świeżo przekopana ulica ma wielką przyszłość, bo będzie ona kapitalną arterją miejskiego ruchu towarowego. Wzdłuż tej ulicy staną rychło kamienice dochodowe; będą się tu lokowały liczne magazyny i kramiki. Niedogodność jest tylko ta, że dla stawiania domu trzeba tu całą górę skopać. Ale straty na tym kupnie nie będzie, bo gdyby nawet nie litewski dom, to niewątpliwie cena samego placu prędko i to zapewne grubo podskoczy.

Wieczorem [illegible] bardzo ciekawe i ożywione zebranie.

25 sierpnia / 7 września. rok 1911. czwartek.

Pod wieczór w mieszkaniu Żmujdzinowiczów odbyło się zebranie zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos" w osobach Antoniego Żmujdzinowicza, p. Żmujdzinowiczowej, Jana Vileišisa i mnie. Omawialiśmy sprawy bieżące, jak kupno placu pod litewski „Dom narodowy" w Wilnie (dom ten ma być urzędowo własnością wspólną „Dailės Draugijos" i „Mokslo Draugijos"), wydanie albumu krzyżów ozdobnych litewskich podług rysunków Jaroszewicza, i t. d.. Ciekawa była kwestja, przez Jana Vileišisa nam przedstawiona. Chodzi o ewentualne zdobycie baszty na Górze Zamkowej dla ulokowania tam muzeum litewskiego, t. j. zbiorów (głównie etnograficznych) „Dailės" i „Mokslo Draugijos". Ekspozycja tych zbiorów na Górze Zamkowej ma niewątpliwie wspaniały urok dla litwinów, podnieca i schlebia ich wyobraźni im [illegible], olśniewa jaskrawością symbolu, wreszcie i pod względem reklamy i popularności muzeum pomysł ten ma strony dodatnie. Jan Vileišis, który jest jednocześnie w zarządzie „Mokslo Draugijos", zaproponował nam konkretnie wziąć (w tej kombinacji) udział wespół z „Mokslo Dr." Sprawa ta wymaga wszakże powściągliwości i pewnej przebiegłości w wykonaniu. W baszcie tej mieści się obecnie cukiernia; baszta się dzierżawi od miasta Wilna na dzierżawie 3-letniej; otóż w tym właśnie roku upływa termin 3-letni i jest zatem będzie pora do ogłaszania miasta propozycji dzierżawnych. Chodzi wszakże o to, że zarząd Wilna jest w ręku polskim i że „ojcowie miasta", dalecy od jakichś specjalnych gorących sympatji dla litwinów, prawdopodobnie (a bodaj że i z pewnością) nie wydzielą litwinom dzierżawy pod muzeum. Trzeba więc trzymać rzecz w tajemnicy, znaleźć fikcyjną kandydatkę na dzierżawę, aby w zarządzie [illegible] to żadnych podejrzeń nie budziło, a dopiero potem już się postarać o zamianę(?). Projekt dość fantastyczny, ale podobał mi się i jest w tym temperament, [illegible] jakaś energja [illegible] młodego [illegible] i romantyzmu. To też poparłem projekt; przeszedł on w naszym zarządzie. Ciekawym, czy się zrealizuje.

Po obiedzie otrzymałem bilecik od Kuny(?), wzywający mię do niej na dziś wieczór. Byłem zaniepokojony, czy coś się [illegible] nie [illegible] i w ogóle co [illegible] do tej [illegible] i [illegible]. [illegible] zastałem [illegible]. Ucieszyła się, [illegible] wzruszona, bo nie mogła wytrzymać [illegible] wrażeniem naszej sprzeczki przy ostatniem widzeniu się. Chciała [illegible] i [illegible] do [illegible]

26 sierpnia / 8 września. rok 1911. piątek.

Na dziś zwołany był zjazd dzielczy spadkobierców ś. p. Babuni Zuzanny Tukałłowej. Przyjechali wszyscy. Od godz. 7 do 9 wieczorem odbyło się posiedzenie dzielcze. Obecni byli: ciocia Cesia Tukałłowa, c. Zosia Tukałłowa ze swym synem Mieczysiem, Mieczyś Bohdanowicz za siebie i od imienia c. Masi Bohdanowiczowej, Ludwiś Wołodkowicz od imienia c. Lucji Wołodkowiczowej i ja od imienia Mamy. Narazie szło dość opornie. Nikt jakoś bardzo nie zabierał się do rzeczy, między Mieczysiem Bohdanowiczem a Ludwisiem Wołodkowiczem doszło do ostrych przymówek. Zbyt dużo nagromadziło się nieufności wzajemnej, rozgoryczenia i t. d., aby obrady mogły się potoczyć od razu gładko po drodze dyskusji i uchwał rzeczowych. Szczyty złości, nieufności, trzymając w napięciu nerwy, musiały się wpierw wyładować, co też istotnie nastąpiło. Potym wszakże uchwalono dość gładko szereg rezolucji, posuwających wreszcie sprawę działu naprzód. Zgodzono się na arbitrów: Kazimierza Borowskiego, proponowanego przez Mieczysia i c. Zosię, i Ludwika Uniechowskiego, proponowanego przez Wołodkowiczów. Superarbitra mają wybrać sami arbitrowie, a gdyby się nie zgodzili na jedną osobę, to superarbiter ma być wybrany przez losowanie między kandydatem Borowskiego i kandydatem Uniechowskiego. Działu mają dokonać arbitrowie z wysłuchaniem i ewentualnym uwzględnieniem desideratów stron; dział ma być robiony w naturze, w każdym majątku, Stanyn[?] [illegible] i Mamutach, osobno. Termin dla działu wyznaczono 4-miesięczny, ściślej — do nowego roku 1912. Ponieważ jednak niewiadomo, czy p. Uniechowski będzie mógł przyjąć ten termin, więc ja mam się z nim o tym skomunikować, na co dany mi [termin] 3-tygodniowy. Ludwiś zapewnia wszakże, że p. Uniechowski napewno się zgodzi, więc właściwie można uważać sprawę dzielczą prawie że za załatwioną. Wynik to bardzo dobry. W każdym razie stanęliśmy już na gruncie pewnym, zlecamy rzecz arbitrom i przez to do skutku już niewątpliwie dojdziemy. Nikt wszakże nie zaproponował na zebraniu polubownie podzielić działki, gdzie kto chciałby ją otrzymać. Po zebraniu poszliśmy z Mieczysiem Bohd., Ludwisiem i Mieczysiem Tukałłą na kolację.

27 sierpnia.
9 września.
rok 1911.
sobota

Na godz. 2 było wyznaczone zebranie dzielcze włościa-
nie tylko dla podpisania protokołu uchwał zebrania
wczorajszego. Tymczasem faktycznie zrobiło się nowe ze-
psucie i bigos całkowity. Wszystko, co wczoraj uchwali-
liśmy i co już tak dobrze wróżyło, w łeb wzięło. Stało się
to tak. W uzupełnieniu do uchwał wczorajszych Ludwiś
Wołodkowicz zaproponował, aby w razie gdyby desiderata dwóch
lub kilku stron zbiegły się na jednej zaprojektowanej działce,
musiał rozstrzygać między nimi los. Wszyscy inni goto-
wi byli się na to zgodzić, lecz c. Zosia oparła się stano-
wczo, żądając, żeby w razie konkurencji desideratów rozstrzy-
gał nie obowiązkowo los, lecz rozstrzygali sami arbitro-
wie; arbitrowie mieli sami stosować lub nie stosować loso-
wania, zależnie od ich uwagi. Rzecz stanęła na ostrzu
noża, bo Ludwiś nie zgodził się odstąpić od swego wnios-
ku i od przyjęcia go uzależnił swą zgodę na wszystkie
uchwały wczorajsze, c. Zosia zaś odmówiła stano-
wczo zgody na wniosek Ludwisia. Nie było wyjścia. Wszy-
stko, co się wczoraj już dobrze kleiło, dziś prysło i stanęliś-
my znów wobec *tabula rasa* w tym gorszych warunkach,
że nie było sposobu wybrnąć z tej kolizji między c. Zosią
i Ludwisiem i ani kroku naprzód ruszyć. Wniosek Ludwisia
był wymierzony na dwór Starzyński, na który Ludwiś zgłos-
ił swe desideratum i do którego też pretenduje c. Zo-
sia; c. Zosia zaś nie chce od dworu Starzyńskiego odstąpić
i nie chce to zdać ślepemu losowi; spodziewa się, że gdy to
będzie na swobodną decyzję arbitrów oddane, to arbitro-
wie uwzględnią jej racje specjalne i dadzą jej przed Wołodko-
wiczami pierwszeństwo. Gdy tak stanęły rzeczy, Mieczyś Bohda-
nowicz i c. Zosia zaproponowali, żeby zdać cały dział zu-
pełnie na ślepo arbitrom bez żadnych zastrzeżeń
i włącznie nawet z komasacją. Na to znów zgodziliśmy
się wszyscy prócz Ludwisia, który zażądał kategory-
cznie, aby przyznane było z góry obowiązkowe losowanie
na wypadek konkurencji desideratów, na co c. Zosia znów
nie chce zgodzić. Był już moment rozpaczliwy, zdawa-
ło się, że już niewątpliwie wszystko w łeb weźmie i że
* nic innego nie zostaje, jak po prostu rozjechać się i roz-
jechać bez dalszego ciągu uchwał. Tu wszakże, jako w
ciecierki ostatecznej, postanowiono spróbować, czy się na do-
polubownie ustąpić, co ktoby mieć chciał. C. Zosia zgłosiła
desideratum na las towarowy gdziekolwiekbądź; ja albo na
Kaszyn w razie komasowania się albo w przeciwnym razie
na Wołdarszczyźnie lub bór sosnowy w Starzynkach; Mieczyś Bohda-
nowicz na pas w Starzynkach pod granicą Obodowiecką
do Wilii. Wszystkie te zaprojektowania były dotąd zgodnie bez żadnych
protestów z czyjejkolwiekbądź strony. Ludwiś zaś i c. Zosia zgło-
sili obaj desiderata na dwór Starzyński. Nie było innej rady,
jak zaproponować im rozlosowanie między sobą dworu. Dokładnie
wszakże ma iść tam z nich dwojga, któremu los dworu odmówi.
Swobodny zostawał tylko Prozorów, uważany przez wszystkich
za schedę najgorszą i grubo w ocenie poprzednich arbitrów prze-
ceniony. Ludwiś jednak odrazu się zgodził na przyjęcie Prozo-
rowa, gdyby mu los dworu Starzyńskiego odmówił. Ale c. Zo-
sia nie chciała się zamiast zgodzić ani też się przenieść całko-
wicie na Prozoryty na wypadek niewylosowania dworu. Wobec
tego losowanie dworu między nią i Ludwisiem upadło i znów
wszystko utknęło. Wtedy Mieczyś Bohdanowicz zaproponował, że-
byśmy za zgodą ogólną obniżyli wartość Prozorowa z oceny arbitrów,
poniżywszy szacunek niniejszy Prozorowa za wyceniony i tyle ile go trzeba.
W zasadzie zgodziłem się na to, a Ludwiś oznajmił, że jeżeli na Prozo-
rowie arbitrowie ocenę obniżą, to on ewentualnie gotów może
zamiast wziąć Prozorów i ewentualnie od pretendowania na dwór
Starzyński odstąpi, ale musi wpierw na objęcie Prozorowa obejrzeć.
Mieczyś oświadczył, że jego zdaniem Prozorów przeceniony
o 20 do 35%. Ludwiś więc jedzie obejrzeć Prozorów, a dalszy ciąg zjazdu
dzielczego ma się odbyć 14 września w Starzynkach. Sytuacja pozostaje wciąż zawikłana
i niepewna, ale bądź co bądź została jeszcze utrzymana pewna podstawa do dalszych obrad.

Wieczorem zaprowadziłem Anusię na wieczorek łotewski do sali litewskiego klubu
„Ruta". Zostawiłem tam Anusię, bo sam nie miałem tam co robić ani na części koncertowej,
bo języka łotewskiego nie rozumiem, ani na tańcach, bo i sam nie tańczę i nikogo
tam nie znam. Poszedłem do Jamulaitisa, który mię dziś na herbatkę zaprosił i u któ-
rego grono osób miało się zebrać. Byli przeważnie litwini, mężczyźni, kobiety, mło-
dzież. Byli bracia Biržiškowie, Jan Vileišis, Wainysowie, Żemaitis, siostra i synowica Jamu-
laitisa, Szrajewski i inni. Czas zeszedł wesoło; wypiliśmy trochę, zjedliśmy kolację, owo-
ce, herbatkę. Pogawędziliśmy, pożartowaliśmy, pośmialiśmy się. O godz. 1 poszedłem do
„Ruty" po Anusię. Zastałem ją rozbawioną w gronie młodzieży łotewskiej. Wkrótce wyszła ze mną.
Ponieważ jutro święto i Anusia nie potrzebuje wstawać do pracy, poszliśmy z nią na noc do hotelu. Trawiła
mię zazdrość o stosunku do tych młodych Łotyszów, to też byłem smutny, zgryziony i zapewne przykry dla Anusi.

12.

28 sierpnia / 10 września rok 1911.

Niedziela.

Noc, spędzona z Anną po wczorajszym wieczorze Łotewskim, była dla mnie ~~[illegible]~~ męczącą. Z początku po przyjściu do hotelu byłem zły i smutny. Męczyła mnie zazdrość; dokuczała boleśnie myśl, że Anna przed chwilą tak wesoło się bawiła z młodzieżą łotewską. Anna na wieczorku oddawała się zabawie z całą szczerością, z naiwną prostotą młodej dziewczyny, która się w młodym gronie bawić musi, bo tak jej każe krew i temperament. Ale uczucie ~~[illegible]~~ niższej podniety, chce wyłączności dla siebie. Zabawa Anny i radość jej z młodzieżą boli mnie i rani. Tkwią we mnie jakby dwa osobniki w stosunku do Anny: jeden – to człowiek, przyjaciel Anny, który całkiem bezinteresownie pragnie jej szczęścia, chce, by się ona bawiła, by się nawet kochała w kimś innym i w tej miłości jakiś los lepszy i jakiś promyk wesela znalazła, bo rozumiem, że miłość do mnie jej prawdziwego i statecznego szczęścia dać nie może, a więc może i lepiej, żeby mnie nie kochała; drugi wszakże osobnik, co siedzi we mnie i zazdrośnie walczy z pierwszym a którego w sobie pokonać i stłumić nie jestem w stanie, to — mężczyzna, samiec, który jest samolubny i pragnie tej dziewczyny wyłącznie dla siebie, pragnie jej uśmiechów, jej oddania się, jej całkowitego wyjątku, jej miłości i którego męczy i boli wszelki uśmiech dziewczyny, skierowany do innego mężczyzny. Naraz we mnie ten pierwszy przeważał, lecz potem wysiłkiem woli trochę go uśmierzyłem i odzyskałem pogodę. Pomęczyłem wprawdzie trochę Annę, lecz potem bawiłem się z nią, jak zwykle, serdecznie i radośnie.

Czy Anna mnie jeszcze kocha i czy tak kocha, jak poprzednio — sam nie wiem. Zapewnia mnie o tym, garnie się do mnie, jest serdeczna — to niewątpliwe. Jest mi wdzięczna, ma dla mnie sympatię trwałą, ma pociąg wrażliwości zmysłowej, ale czy to jest miłość? Z Łotyszami się bawiła gorąco, oddawała się zabawie całą siłą impulsywnie, a byli tam ludzie młodzi, przystojni. A młodość ma urok, z którym do rywalizacji stawać trudno, przekroczywszy trzydziestkę. Nie wiem, co sądzić. W każdym razie Anna jest przez swą ogromną wrażliwość i szczerość uczucia nieobliczalną. Że jeszcze nikogo z tych Łotyszów nie kocha — tak sądzę, ale czy już nie zanika jej miłość do mnie i czy nie kiełkują zarodki nowych wrażeń uczuciowych — tego nie wiem. Zdaje mi się, że już nie dostrzegam u niej tej promienności, wyrazistości, tego specyficznego natężenia uczucia i t.d., które [illegible] o jej miłości świadczyły. Ale z jakiegoż tytułu [illegible] pretensję mieć do miłości tej dziewczyny? Starym i [illegible]. W szczerości, przyjaźni, sympatii — to mieć mogę.

29 sierpnia – 11 września rok 1911. Poniedziałek.

Drugi już dzień trwają pertraktacje co do tekstu protokołu wszystkich posiedzeń działowych z d. 26 i 27 b. m.. Posiedzenia od 2 dni zakończone, a z protokołem dojść do ładu nie możemy. Na tekst protokołu, zredagowany przezemnie, zgadza się właściwie tylko Mieczyś Bohdanowicz. Ciocia Cesia zaś i c. Zosia lawirują i same nie bardzo wiedzą, czego chcą. Ludwiś Wołodkowicz przynajmniej rzecz wyraźnie postawił: odmówił wszelkiego podpisywania protokołu i wyjechał. My z Mieczysiem Bohdanowiczem życzymy protokołu, bo rozumiemy potrzebę jego na wypadek działu sądowego. Ja nic nikomu w obradach nie przeszkadzam, nikomu do działu nas zawadzie nie stoję, na wypadek polubownego określania działek mam swoje desiderata aż w trzech kombinacjach, tak że zawsze mogę z jednej kombinacji przejść na drugą, gdyby była jakaś kolizja między mną a kimś innym, w razie zaś niemożności działu na podstawie polubownych desideratów zgadzam się czy to na widzimisię arbitrów czy na losowanie. Słowem — nie zamykam w dziale nikomu wody. Ale chcę mieć protokół, odzwierciadlający ściśle przebieg obrad, aby potem w razie gdyby sąd dział dzielił i nakładać sztrafy na tego, który był winien zerwania zgody, nikt nie mógł na mnie winy zrzucać. Tego samego chce Mieczyś Bohdanowicz, który też żadnej winy za sobą nie ma. Jak dotąd, wszystko się rozbiło o kolizję między Ludwisiem i c. Zosią. Otóż c. Zosia chciałaby protokołu, ale w takiej postaci, aby nie można było to w nim wyczytać, że to ona była jedynym z czynników, które rozbiły układy. W tym celu c. Zosia zwróciła się dziś do Bagińskiego, jako adwokata, aby się z nim co do kwestii tekstu protokołu naradzić. C. Cesia zaś sama nie wie, czego chce. Nie pamięta przebiegu obrad, plącze się, boi się, aby coś jej nie groziło, lęka się zarzutów c. Zosi, gada, kręci się, gmatwa i wszystko bez sensu i bez skutku.

30 sierpnia
12 września
rok 1911.
wtorek.

Wykłóciłem się dziś z ciotkami porządnie. Na godz. 12 w południe wyznaczone było zebranie dla ~~podpisania protokołu~~ [redacted] ostatecznego ustalenia tekstu protokołu naszych posiedzeń działowych z przedwczoraj. Przyszedł Mieczyś Chodanowicz, ja, ciocia Lesia i ciocia Józia Tukałłowe oraz kolega Zagiński, jako adwokat i plenipotent obu ciotek. Ciotki, a zwłaszcza c. Józia, tak są przestraszone ewentualną odpowiedzialnością na wypadek działu sądowego, że miejsca znaleźć sobie nie mogą; złoszczą się na protokół, chciałyby się wyprzeć od tego, co same na zebraniu nieopatrznie mówiły lub czemu się sprzeciwiały, a na co godziły, słowem — i nie chcą protokołu i chcą, ale takiego, który by nie tylko nie wyrażał, lecz zatarł ślady ich zachowania się oraz [redacted] ślady przyczyn, dla których zjazd się rozbił. W tym celu sprowadziły Zagińskiego, który wszakże nie jest w stanie zmienić faktów; protokół zaś nic innego oprócz rzeczywistych faktów, które miały miejsce, zawierać nie może. Ciotki się gniewają na mnie, dlaczego protokołowałem to, co może je, a właściwie tylko c. Józię, kompromitować. Trudna rada: ja nie mogę mojej matki nie bronić na wypadek, gdyby ktoś chciał ~~ro~~ zrzucać na nią winę za niedojście do skutku działu polubownego; a bronić ją mogę tylko w ten sposób, aby protokołować to, co rzeczywiście miało miejsce. Po długich gawędach, złościach, przymówkach i sprzeczkach ustaliliśmy niby wreszcie ostateczny tekst protokołu. Ponieważ brulion [redacted] nie przepisany i Mieczyś Chodanowicz już nie mógł dłużej czekać i wyjechał, więc ja muszę przepisać protokół i przywieźć go następnie do Zawrzia do Stanisławek, gdzie stawimy go do podpisu. Czy wszakże ciotki go podpiszą, za to bynajmniej nie ręczę. W takim razie podpiszemy go chyba my z Mieczysiem Chodanowiczem.

Wieczorem pojechałem na Antokol do Anny dla pożegnania jej, bo jutro na dni kilka wyjeżdżam. Anna była bardzo wzruszona, widocznie płakać zaczynała, tuliła się do mnie, nie chciała się rozstawać, chciałaby mnie na wieczór [illegible] wziąć ze sobą. Biedna dziewczyna. Zdobyłem [illegible] pewności, że mnie kocha; ekspresja jej twarzy, [illegible] oczu i ust jest tak wymowna w chwili wzruszenia [illegible], że wątpić być nie może. Poszedłem z nią do hotelu, gdzie spędziliśmy ze sobą we dwoje parę pięknych godzin.

31 sierpnia / 13 września rok 1911. środa.

Pociągiem południowym wyjechałem
z Wilna do Bohdaniszek dla zdas-
nia sprawy Mamie z przebiegu do-
konanego zjazdu dzielczego oraz pers-
spektyw na przyszłość. Jechałem
sam, znajomych w drodze nie
spotkałem. Dopiero w Żodłówce wsiadł
do mego wagonu stary p. Pławski
z p. Stanisławem Wapachsim, wra-
cający z posiedzenia „Rakiskiego"
ziemiańskiego kółka rolniczego od
p. Wiewnarskiej. Pogawędziłem trochę
z p. Pławskim, ale już zaraz były
Abele. Konie bohdaniskie w Abe-
lach zastałem, usiadłem sobie wygodnie
w bryczce parokonnej i prędko wy-
godnie do Bohdaniszek pojechałem.
Dzień był pogodny, wieczór ciepły i
spokojny. Pomimo niezwykle suchego
i gorącego lata drzewa jeszcze wy-
glądają dość świeżo i zielono, zapewne
dlatego, że przymrozków jeszcze pra-
wie nie było. Gdzieniegdzie tylko za-
czynają się ukazywać na drzewach
plamy żółte lub czerwonawe w gę-
stwinie liści. W Bohdaniszkach zasta-
łem Oboje Rodziców, ucieszonych serdecznie
z mego przyjazdu. Siedzą sami, trochę się nudzą, trochę
siebie wzajemnie gderzą i wiecznie za sobą na drobiazgach
wojują, i tęsknią do nas i wogóle do ludzi. Nic już dziś o inte-
resach Mamie nie mówiłem, bo Mama nie chciała przed nocą się denerwo-
wać. O godz. 9 Rodzice już spać poszli, to też i ja sobie do łóżka czmychnąłem.

1 (14) września. rok 1911. czwartek.

Po herbacie rannej zdawałem Mamie sprawę z ostatniego Zjazdu dzielczego. Opowiedziałem cały przebieg obrad, wyrażanych dezideratów, wniosków i t.d., słowem ~~–~~ przedstawiłem całą sytuację, jaka jest w tej chwili. Mama słuchała z wielkiem zainteresowaniem i była naogół ~~[illegible]~~ spokojna. Trochę się tylko zaniepokoiła co do Kaszyna tą ewentualnością, że Międzyrzyccy i Żołudanowicz, który wrazie pozostania na Manmytach wziąłby prawdopodobnie pas lasów osiecowych nad Kaszynem wzdłuż granicy Łowcewickiej, dążyłby do oderwania od Kaszyna dwóch kawałków lasu towarowego pod Zaścierkami i wzgędzenia figury Kaszyna do przesmyka górzystego w ~~[illegible]~~ kierunku ~~[illegible]~~ Pralni, gdzie i las nieco gorszy i jest drugi serwitut włościański. Potym wszakże, gdy Mama obejrzała ze mną szczegółowo wykaz lasów dokoła Kaszyna podług oceny arbitrów, to znów nabrała smaku do Kaszyna choćby w figurze gorszej i uspokoiła się; Mama stanowczo przechyla się na korzyść Kaszyna i daje mu pierwszeństwo nad Borem w Somłowym w Stanyskach, Bioryszcza zaś już wcale nie życzy.

Na obiad przyjechała do nas panna Ira Roppówna z Antonowa. Brzydka to dziewczyna i nieponętna, ale pracowita, światła, dzielna i uspołeczniona. Jest dość mądra i trochę zaśniedziała w swym poglądzie na świat, ale okupuje to zaletami czynnika społecznego. Teraz mieszka sama jedna w Antonowie i gospodaruje, bo obie jej siostry wyjechały a matka, p. baronowa Bogumiła Roppowa, zachorowała na rozstrój nerwowy z atakami furii i od dni 10 wywieziona została do zakładu w Rydze.

Po obiedzie chodziłem z Papą do Gaju. Papa mię zaprowadził dla pokazania wyrabianych otworów na koła z jesionów spuszczanych w Gaju. Wodził mię Papa długo po Gaju, pokazując las szczegółowo i wciąż badając, czy się choć trochę interesuję i znam na lesie. Ten ~~[illegible]~~ charakter przechadzki drażnił mię trochę.

2/15 września rok 1911. piątek.

Przed obiadem przyjechał Šukys, który bawi jeszcze na wsi i dopiero w końcu bieżącego miesiąca ma do Petersburga jechać. Na wiosnę Šukys zdał egzamin ~~do kl.~~ w Petersburgu do kl. VI gimnazjum rządowego i ma jeszcze w jesieni poprawkę z niemieckiego. Cieszę się, że mu się wreszcie poszczęściło. Mam szczerą sympatję dla tego chłopca, który też jest serdecznie przywiązany do mnie. Przemieszkał u mnie 1½ roku w Wilnie, od sierpnia 1909 do grudnia 1910, w charakterze napoły służącego, napoły pupila i domownika; teraz rozstaliśmy się z nim, ale nadal łączy nas stosunek serdeczny. Jest to chłopiec cichy, pokorny, bardzo skromny, uczciwy i prawy, zaraz bardzo uczuciowy; trochę jest tępy, uparty i umysłowo niezwrotny, ale wynagradza to obficie zaletami serca. Z przyjemnością go dziś powitałem i pogawędziłem. Dowiedziałem się od Šukysa, że już włościanie w okolicy wiedzą o projektowanych kandydaturach do IV Dumy — Józefa Petrulisa i adwokata Tumenasa, którzy są obaj z tych stron, jeden z wioski Audry, drugi z wioski Kurklec, i których kandydatury będą przeto w pierwszej linji zależne od tego, czy nasi tutejsi włościanie wyślą ich w charakterze wyborców do Jeziorosa stamtąd do Kowna. Z tym już więc kiełkują pierwsze rostki przyszłorocznej kampanji wyborczej.

Pod wieczór przyjechali pp. Antoniostwo Weyssenhoffowie z Sołtewnia i zabawili do godz. 10 wieczorem.

3 (16) września rok 1911. sobota.

Przyjeżdżał znów do mnie Józef Łukys i przywiózł majstra-stolarza, niejakiego Łaszasa z Narkun, który się podejmuje wykonać ~~dla mnie~~ na mój obstalunek krzyż ozdobny typu kapliczkowego podług wzoru takiegoż krzyża w wiosce Dejbgalce. Jest to, jak zapewnia Łukys, dobry i zręczny majster, który potrafi ładnie wykonać liczne ozdoby krzyża. Krzyż ten chcę postawić przy Karwieliszkach w ładnym miejscu. Wzór krzyża tego, stojący w Dejbgalcach, zaliczę do najpiękniejszych krzyżów, jakie znam w tutejszych stronach. Noszę się z tym projektem już od r. 1909, ale wciąż dotychczas nie mogłem znaleźć majstra. Drzewo na krzyż daje Papa. Umówiłem się z Łaszasem bardzo drogo; za ~~[illegible]~~ wykonanie krzyża włącznie z pomalowaniem mam mu zapłacić 23 ruble. Krzyż ma być gotowy na wiosnę.

Wyjechałem z Bohdaniszek na pociąg nocny w kierunku Wilna. W drodze z Abel do Kalkun spotkałem kilku znajomych, p. Radeckiego z żoną z Rakiszek, p. Oskara Rutkowskiego z Szakal i księdza Szepetysa, pastora kalwińskiego. Dowiedziałem się o dokonanym przed kilku dniami w Kijowie przez niejakiego adwokata Dymitra Bogrowa zamachu na życie Stołypina. Wiadomość ta bardzo mię poruszyła i podnieciła. Jest to wybitny akt terroryzmu politycznego, który w obecnych warunkach uważam za charakterystyczny i płodny. Oczywiście sytuacja jest dziś inna, niż podczas zabójstwa Plehwego w r. 1905, które taką doniosłą odegrało rolę w rewolucji. Dziś zamach na Stołypina takiego skutku mieć nie może. Ale wznowienie terroryzmu w dobie takiego zamrożenia reakcji, jak dziś, jest znakomitym sygnałem elektryzacji społeczeństwa, zwłaszcza na tle zbliżającej się kampanii wyborczej. Terroryzm gra tu rolę zaczynu, wywołującego ~~[illegible]~~ żywszą fermentację polityczną. Jest to tym bardziej ważne, że mamy tu do czynienia nie z jakimś drobnym lokalnym zamachem na jakiegoś gubernatora czy policmajstra, lecz na wszechwładnego satrapę Stołypina, tego, w którego dłoniach skupiło się całe kierownictwo państwa oraz istotny kierunek reakcyjnej polityki państwowej. Efektowności tego aktu, [illegible] zamachu w [illegible] cara, ciągnąc [illegible] z sobą — [illegible] Wszystkich, z kim rozmawiałem, cieszy się w gruncie rzeczy [illegible] z zamachu.

4 (17) września.
rok 1911.
niedziela.

Rano przed godz. 9 przyjechałem do Wilna, o postydniu zaś ~~[struck]~~ wyjechała do Bohdaniszek Marynia, zostawiając całą gromadkę dzieci na opiece mojej i starej p. Janczembkowskiej, która przez czas nieobecności Maryni u nas zamieszka. W Wilnie zastałem wszystkich poruszonych zamachem na Stołypina. Radość i — śmiało rzec można — entuzjazm — powszechne. Zamach, dokonany w tak świetnej inscenizacji, zelektryzował wszystkich. W podnieceniu opinii przypominają się czasy z r. 1905; bądź co bądź żywa rewolucja „quand ~~mem~~ même" i bynajmniej zdławiona nie jest, skoro takie akty terroryzmu są możliwe; bo wszyscy wiedzą, że to zamach ukartowany i planowy, dokonany organizacyjnie; samo wrażenie i podniecenie opinii, wywołane tym zamachem, — to już rezultat wielki jak na czasy obecne. Zamach, dokonany w teatrze, w obecności i pod okiem monarchy, w pełnym blasku wielkiej uroczystości, w samym, że tak powiem, łonie najprawowitszego środowiska sfer urzędowych i dworskich, jak najdokładniej przefiltrowanych przez ochronę, — to rzecz wprost bajeczna. Jest to nie tylko zamach na Stołypina, ale też rękawica carowi, której rewolucja w osobie Bogrowa zdawała się wyraźnie nakreślić memento, że oto, Carze, nas tłumisz i wieszasz i otaczasz się całym ogromem aparatu ochrony, a oto tu stoję przy tobie i mam cię w ręku i od mnie zależy kierunek wymierzonego ciosu. Nie spotkałem ani jednej osoby, od dzieci do starców i od lewicy do konserwatystów i klerykałów, któraby się w szczerości i prostocie serca nie cieszyła z tego zamachu. Dewotki nawet, piorunujące przeciw z zasady na terror, — i te nie tają radości. Jedna dewotka w taki oto charakterystyczny sposób określiła mi swój stosunek do zamachu: jako chrześcijanka, miłująca bliźnich, nie może źle życzyć nawet wrogowi; to też, ciesząc się z zamachu, życzy, aby jak najlepiej było Stołypinowi... na tamtym świecie; aby sobie trafił do nieba na wieczystą szczęśliwość, gdy go to Bóg powoła; w każdym razie ona mu tego życzy, a przez to pobożne życzenie rozgrzesza siebie za cieszenie się z zamachu. W tym szczęściu, podobno też, i życzy gorąco, bez ukodzenia mu w niebie, aby stąd jak najprędzej przez śmierć się ulotnił.

Wieczorem poszedłem do Anny, z którą poszliśmy na kolację, a stamtąd na noc do hotelu. Anna była już bardzo stęskniona po mnie. Samotność jest dla niej klęską największą, nastraja ją na ~~[struck]~~ ton rozpaczy i myśli tragicznych; traci równowagę, zaczyna się czuć nieszczęśliwą. Dopiero przy kimś serdecznym, kochanym — żyć może. Cała jest to Anna gorąca, przetopiona snów w kontemplacji lub tryskająca wyrazem, w którym się cała niepodzielnie streszczała. Niepospolita dziewczyna.

5 (18) września rok 1911. poniedziałek.

Pracowałem dzień cały, a wieczorem znów odwiedziłem Annę w jej małym pokoiku na Antokolu. Stosunek nasz z Anną staje się coraz bardziej trwały i ścisły. Dobrze nam ze sobą, a dla Anny obecnie cała waga życia się streszcza w tych chwilach, kiedy jest ze mną. Jak długo to potrwa i jakie są perspektywy tego stosunku — sam nie wiem i nie pytam. Z mojej przynajmniej strony zerwanie nie nastąpi, i to nie tylko wyłącznie dla tej przyjemności, jaką mi ten stosunek daje, ale też przedewszystkiem dlatego, że się do tej dziewczyny przywiązałem gorąco i że mi jej los na sercu leży; rozumiem, że w tej sytuacji, wobec miłości Anny i wobec jej charakteru, pozbawienie jej tego stosunku, w którym [illegible] zmysłowość łączy się z całkowitym zespołem psychicznym, rzuciłoby ją na bezdroże straszliwej pustki życiowej. Anna zbyt dużo wydaje na miłość, aby mogła się przyzwyczaić i zastosować do powszedniego wegietowania samotniczego. Anna jest [illegible] w miłości, jak kwiat w pełnym rozwoju; cała jej natura się na tę miłość wysila, cała indywidualność się w wielkim uczuciu streszcza; wszystkie szczegóły i funkcje życia, które są poza tym uczuciem, wagi dla niej nie mają, są jeno czymś epizodycznym, ubocznym. Jest ona, jak [illegible] cięciwa łuku napięta, skierowana cała do jednego przeznaczenia, do jednego zadania; poza tą miłością nie żyje, nie czuje; cała jej świadomość, myśl, wola i uczucia, całe jej życie psychiczne funkcjonuje li tylko przez ten pryzmat miłości. Taka miłość bezkarnie zerwana być nie może, bo takie uczucia kosztują człowieka za drogo. Jeżeli się ta miłość w samej Annie wypali, to choć mnie to boleć będzie, zrozumiem. Ale ja tej świątyni całopalnej nie zburzę — to pewna. Cześć tej miłości jako ofiarze świętej i przeczystej człowieka. Nie jestem w stanie opisać kontaktów i wyrazu tej miłości. Wszystkie tony duchu ludzkiego się w niej zawierają, wszystkie skarby uczuć i macierzyństwa kobiecego, od słodkiej tkliwości i uczucia intymnego, niewinnej szczerości dziecięcej, do zachwytu i ekstazy, kaprysów i uporu.

6 (19) września rok 1911. Wtorek.

Choć nie widziałem dziś Anny, ale nie mogę nie myśleć o niej. Tak się ona wplotła w me życie, tak się przez swą miłość zespoliła ze mną, że wciąż ją czuję przy sobie. Jest ona dla mnie odpoczynkiem i uciechą, rozkoszą i weselem. W niej, przynajmniej tak jest obecnie, żonę znalazłem. Jest ona istotnie mą żoną, bo ją w siebie wcieliłem i rozszerzyłem me życia psychiczne na nią. Nie jestem kawalerem, samotnym [illegible]; przestałem nim być. Stanowimy z nią obecnie parę scałkowaną, ~~[illegible]~~ uzupełniającą się i warunkującą wzajemnie. W stosunku tym zyskałem całe skarby serca ludzkiego, niewyczerpane bogactwo wzruszeń. Dopiero tu, w Annie, zdobyłem pełnię tej wielkiej miłości, która dwoje ludzi oddaje sobie wzajemnie w zespół całkowity, mnożąc w sposób cudowny dwie indywidualności. Stosunek a raczej związek ten nie przeszkadza mi bynajmniej czy to do pracy, czy do jakiejkolwiek działalności ideowej i przeciwnie — rozwija i gruntuje mą energię, zbogaca i gimnastykuje funkcje psychiczne, daje mi przejrzystość świadomości, wytępia natomiast radykalnie głuche instynkta rozpusty, które się zawierają w samotniczo-kawalerskim bycie i nurzają go w bagnach jałowej a wyczerpującej lubieżności lupanarów lub jakichś uciech pijackich etc.

Telegramy ranne przyniosły wiadomość, że Stołypin umarł. Śmierć jednak ludzka ma wielką powagę i grozę w sobie. Choć człowiek ten był wrogiem, choć się z zamachu cieszę, jednak lakoniczna wieść o śmierci wywołała we mnie bądź co bądź uczucie smutku. Umarł człowiek. Nie mogę odmówić Stołypinowi ani uznania i godności człowieka, ani szacunku dla samej osoby jego. Działalność Stołypina była [illegible], szkodliwa i podła; ale człowiek ten jako taki, miał niewątpliwe zalety moralne: wielką siłę woli, odwagę, stanowczość niezłomną, dokładną świadomość dróg i celów — i wiarę w swe dzieło. Potępiając działacza i dzieło, szanuję w nim człowieka. Oceniając doniosłość zamachu tego, nie przywiązuję specjalnej wagi dodatniej do samego momentu śmierci ~~[illegible]~~. Też zamachy udać się i mieć wagę w każdym razie, niezależnie nawet od późniejszej śmierci Stołypina. Stąd nie tylko publiczność wileńska wieść o śmierci przyjęła radośnie. Wszyscy rozpromienieni, radośni

Widziałem panienki, które, wycięłszy z dodatków gazet porannych portret Stołypina, przypięły go sobie na piersiach z podpisem grubemi czcionkami u dołu: „Śmierć Stołypina". Podniecenie w mieście wielkie.

7 (20) września, środa.
rok 1911.

Mam teraz na głowie całą gromadkę — aż czworo — dzieci. Maryni niema, a choć zastępuje ją stara pani Janembkowska, jednak sama jedna nie może sobie dać rady i moja interwencja jest wciąż potrzebna. Obecność dzieci sprawia ciągły ruch i częsty hałas w mieszkaniu. Dzieci się uczą, ale korzystają skwapliwie z każdej chwilki przerwy, aby się dowcipić(?), biegać, drażnić(?), przekomarzać i wciąż psocić. Jest ich teraz czworo: Sienio Pruszanowski, Niunia Tukałłówna, i dzieci Maryni — Helcia i Stefuś. Trójka — Helcia, Niunia i Stefuś — trzyma się razem. Choć ruch tam ciągły i nieraz jak w wodzie wrzącej, ale dzieci są posłuszne, dobre, niezepsute. Zabawy ich i sprzeczki są dziecinne, naturalne, szczere. Natomiast z Sienia jestem bardzo niezadowolony. Jest to chłopiec z gruntu zły i zepsuty. Ma nałogi, wdaje się w towarzystwo chłopców zepsutych, pije. Niema sposobu utrzymać go w karbach. Wciąż pod rozmaitymi pretekstami znika z domu, kłamie na każdym kroku, jest [przekreślone] zamknięty w sobie, jest nieszczery, niecierpliwy(?), fałszywy. Z dziećmi naszymi mało obcuje, a gdy jest z nimi, to drażni ich w sposób złośliwy i gada rzeczy głupie i wszeteczne. Sieniowi imponuje li tylko pijaństwo(?), alkohol i wszelkiego rodzaju uciechy; przejęty jest wielkością swego rodu, ma złośliwą pogardę dla niższych stanów i dla ludzi pracy. Jest w nim całkowity zanik wszelkich pobudek etycznych, brak elementarnej szlachetności, głucha złość, lubowanie się w okrucieństwie; charakter posępny i mściwy, natura uboga, zupełny brak inteligencji; jest to prawdziwy degenerat. Wielka szkoda, że go do nas przyjęliśmy. Natomiast Niunia — to nabytek dobry i jako towarzyszka dla dziatek Maryni pożądany; jest trochę rozpieszczona, ale wiecznie(?) żywa, swawolna, z wielkim temperamentem, z bardzo dobrym sercem, z poczuciem szlachetności; jest to natura bogata i dodatnia; Niunia jest naturalna, dziecinna i, pomimo swawolności, posłuszna.

Wieczorem poszedłem do Anny na Antokol i stamtąd z nią razem do hotelu. Z wieczora trochęśmy się z nią posprzeczali, aleśmy się znów potem pogodzili.

8 (21) września rok 1911. czwartek.

Największą obrazą dla Anny jest posądzenie jej o zmysłowość i o pożądanie uciech płciowych. Na tym punkcie jest ona niesłychanie drażliwa, tym bardziej że się okrutnie boi, aby jej nie posądzano, iż mogłaby wrócić na tory prostytucji. Boi się biedaczka, że ją wciąż jeszcze upadłą mogę uważać za kobietę publiczną i że świadomość o jej przeszłości nie zdoła się w mym umyśle zatrzeć. W istocie wszakże Anna jest rzeczywiście bardzo zmysłowa i lubuje się w kontemplacji uciech zmysłowych. To wytwarza w niej pewną dwoistość. Bądź co bądź jej przeszłość ciąży mocno na jej życiu psychicznym i krępuje swobodę w używaniu naszego stosunku. Chciałaby, abym jej wierzył i wciąż mnie o niewiarę posądza, i wciąż sama się stara wystawić mą wiarę na próbę a potem się wnet gniewa i dąsa. Zazdrosna jest też o mnie; żałowałaby każdego mego uśmiechu dla innej kobiety, a tym bardziej każdego spazmu miłosnego; zazdrości nawet wstecz, w stosunku do tych kobiet, które kiedykolwiek w przeszłości kochałem. Chciałaby mnie w każdym celu posiadać niepodzielnie i być posiadaną przeze mnie — wyłącznie. Oddaje mi się, jak dziecko, jak własność, i staje się potulna i bierna poddawaniem mych pieszczot, przetapiając się w najdoskonalszy wyraz kobiecości.

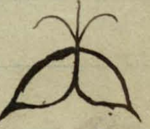

Po obiedzie dziś wziąłem udział w wyborze „komitetu rodzicielskiego" przy gimnazjum Winogradowa. Wezwany tam zostałem w zastępstwie Maryni, w charakterze opiekuna Stefusia. Według ostatnich rozporządzeń ministra Kasso, dla prawomocności wyborów „komitetu rodzicielskiego" w wyborze powinno brać udział 2/3 rodziców, zamieszkałych w mieście. Tą drogą ministerjum dąży do utrudnienia funkcjonowania tej instytucji. Atoli w gimnazjum Winogradowa rodzice tak się pilnie do rzeczy zabrali, że rozbiegli się po całym mieście i wywlekli wszystkich opieszałych rodziców i opiekunów z domów i potrzebną ilość wyborców zyskali. Ponieważ Stefuś jest w klasie wstępnej, więc ja brałem udział w wyborze przedstawicieli do komitetu od klasy wstępnej. Wybraliśmy dr. Nowackiego, dr. Wolańskiego i p. Wrześniowskiego. Zebrani ogółem wybrali już na prezesa komitetu jenerała Kotonowicza i na wiceprezesa — dr. Węsławskiego.

9(22) września rok 1911. piątek.

Rachunki „Lietuvių Dailės Draugijos", której kasjerem jestem, pochłaniają mi mnóstwo pracy i czasu. Zwłaszcza rachunki 2 wystaw wiosennych, V dorocznej i pośmiertnej Čiurlionisa, sprawiły mi sporo kłopotu, ponieważ poszczególne pozycje były zapisywane w kilku księgach i przez rozmaite osoby, a stąd oczywiście nieporządek i gmatwanina. Rozwikłanie tych hieroglifów rachunkowych i wciągnięcie ich do księgi kasowej, obliczenia i rozesłanie pieniędzy depozytowych, otrzymanych ze sprzedaży eksponatów osób prywatnych, wreszcie obliczenie % od sum tych na korzyść towarzystwa — stanowiło robotę nader żmudną i uciążliwą. Robiłem ją potrochu przez kilka miesięcy, ale dorywczo i niesystematycznie. Teraz natomiast zabrałem się do niej energicznie i po kilku dniach przesiedzianych nad nią, dziś ją wreszcie zakończyłem.

Wieczorem opowiadałem dzieciom — Helci, Anuni i Stefusiowi — bajkę — zawsze tę samą nieśmiertelną o szczurołapie. Opowiadałem pociesznie, to też ef[illegible] większy

10 (23) września.
rok 1911.
sobota.

Rano zaszedłem do p. Ludwika Uniechowskiego, bawiącego w przejeździe w Wilnie. P. Uniechowski został przez nas, jak to już wspominałem, wybrany na jednego z arbitrów dla działu Stoszyszek [?] i Kowanystów [?]. Chodziło mi obecnie nietylko o akt grzeczności, aby mu wizytę złożyć, lecz też o zapewnienie się, czy p. Uniechowski mógłby się podjąć wypełnienia roli arbitra w ramach terminu 4-miesięcznego, który my dla działu ustanowić chcemy. P. Uniechowski przyjął mię z wielką kurtuazyą, wyraził wdzięczność za zaszczyt i dowód uznania, jaki mu złożyliśmy przez wybór go na arbitra, zapewnił, że stanowczo w ~~terminie~~ ramach terminu 4-miesięcznego gotów jest służyć. Zaszczyt wyboru na arbitra jest wprawdzie z pozoru pochlebny, lecz w istocie rzeczy piekielnie niewdzięczny: w ostatecznej bowiem konkluzji nigdy wszyscy zadowoleni z działu nie będą i zawsze się ktoś znajdzie, co się będzie uważał za skrzywdzonego i na arbitrów wyrzekać będzie. Omawialiśmy z p. Uniechowskim dość długo ewentualności i warunki działu. Mam wrażenie, że wybór p. Uniechowskiego był udatny; jest to człowiek pracy, energiczny, mądry. P. Uniechowski oświadczył, że teraz jeszcze, we wrześniu i październiku, czasu mieć nie będzie, ale w końcu października i początku listopada będzie miał czas wolny, który poświęci całkowicie sprawom naszego działu.

Termin naszego zjazdu działowego był wyznaczony na pojutrze w Stoszyszkach [?]; otrzymałem zaś wiadomość, że odłożony został do czwartku 15 b. m..

Wieczorem o godz. 8 spotkałem się z Anną, którą zaprowadziłem do wanny, bo już dawno nie używała kąpieli. Anna mi powiedziała, że w towarzystwie łotewskim namówiono ją do brania udziału w teatrze amatorskim łotewskim, który ma się odbyć 2 października w lokalu „Ruty". Anna się z początku wahała, bała się podjąć trudnej roli na pierwszy występ, ale Łotysze tak nastawali, że się zgodzić musiała. W Wilnie bowiem w kolonii łotewskiej jest znaczny brak kobiet i ról kobiecych nie ma kto obsadzić. Rola, którą w tym teatrze ma grać Anna, jest wypatrzona [?] i odpowiedzialna. Ciekaw jestem, jak się Anna z niej wywiąże. Boi się trochę tej gry, ale zdaje się, że się też cieszy. Anna, chociaż charakter ma stanowczy i samodzielny, jednak przez swą wstydliwość nie umie odmówić, gdy ktoś ją bardzo prosi. Dość jest [?] zawsze. Dobre to i bardzo delikatne dziewczę. Zdaje mi się, że Łotysze bardzo ją ważą i wyróżniają dla swego towarzystwa, ale to i dobrze. Zapewne wkrótce Anna ~~[illegible]~~ stanie się gwiazdą i ulubienicą tutejszej kolonii łotewskiej.

11 (24) września rok 1911. niedziela.

Po obiedzie poszedłem z całą gromadką dzie-
ciną, [illegible] Melcią, Stefusiem, Niunią Tukałłówną,
Sieniem Puszanowskim i kolegą Sienia Du-
towskim, za miasto do lasków dębowych pod
górami Szeszkińskiemi po żołędzie. Wy-
prawa pod względem zdobyczy w żołędziach po-
wiodła się miernie, bo dzieci lękały się wła-
zić na drzewa a przeto i żołędzi nie było ko-
mu natrząść, ale zato dzieci zabawiły się
dobrze. Niunia ze Stefkiem i Sieniem sto-
czyła homeryczne walki nad Sołtaniskim
urwistym brzegiem Wilji, tak że aż moja groź-
na interwencja okazała się po kilkakroć
niezbędna.
Wieczorem poszedłem do Anny — o godz. 8.
Poszliśmy z nią razem na kolację do restau-
racji Myśliwskiej, gdzie, ze względu na ła-
godne ciepłe powietrze, usiedliśmy na weran-
dzie. Tu podczas kolacji zaszło między mną
a Anną w gruncie rzeczy drobne, ale nader
przykre nieporozumienie. Anna wyrzuca mi
często, że się gniewam na nią i że w ogóle by-
wam zagniewany. Prócz tego Anna, która
miała tak ciężkie przejścia w życiu i tyle doświadczy-
ła strat niepowetowanych a przedewszystkiem stra-
ty dziewictwa i porzucenia jej przez mężczyznę,
którego kochała i któremu w ofierze swoją czy-
stość, swój kwiat najcenniejszy, oddała, ma pewien
żal do rodzaju męskiego i, kochając mię na-
wet, lubi się mścić na mnie, jako na przedstawi-
cielu rodzaju tego. Broni dziewcząt i lubi wi-
nę zawsze na mężczyznę składać, robiąc go od-
powiedzialnym i winnym męki dziewcząt. Na
tym tle poróżniliśmy się z Anną. Zniecier-
pliwiły mię jej przytyki, bez złości zresztą
wypowiadane. Pod wpływem zniecierpliwienia
zacząłem jej cierpko wyrzucać, że widzi we mnie
tylko wszystko złe i że nic dobrego dostrzec nie
umie, a przecież ona osobiście nic złego odemnie
nie doznała. Dotknąłem ~~tem~~ przez to Annę mocno w najbo-
leśniejszą strunę. Wydało się jej, że jej wymawiam to, co dla
niej zrobiłem, i że występuję wobec niej w roli dobrodzieja,
który żąda zapłaty za to, co świadczy. Anna zaś jest niezmier-
nie delikatna i drażliwa na punkcie przyjmowania wszelkiego
rodzaju pomocy, to też wywiązała się tu [illegible] nader przykra. Te-
[illegible] powiedziałem nie [illegible] nigdy, bo [illegible] kluczach [illegible]
[illegible] Brałem [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] Annie, że mi nie o to chodziło. Pogodziliśmy się serdecznie.

12 (25) września roku 1911. poniedziałek.

Cały dzień byłem dziwnie zmęczony i wyczerpany — widocznie na skutek późnego położenia się spać wczoraj wieczorem. Od wielu już dni kładłem się dość późno (koło 1 w nocy), toteż wciąż byłem systematycznie trochę niewyspany; gdy zaś wczoraj położyłem się po godz. 2, miara niewyspania się przepełniła. Trochę niewątpliwie wpływa na niewyspanie stosunek mój z Anną. Dużo spędzam wieczorów zajętych, a te, które mam wolne, spędzam przeważnie u Anny. Ponieważ we dnie do godz. 8 — 8½ Anna pracuje, więc tylko wieczory możemy sobie udzielać. Alkoholu zato nie używam teraz wcale, bo Anna, nawet gdy z nią na kolację idziemy, nic nie pije, a samemu pić mi się nie chce; Anna, która lubiła likiery, teraz całkowicie ich zaprzestała. ~~Anna~~

Rano dziś byłem w Izbie Sądowej na sprawie Klotta, który ~~[illegible]~~ był oskarżony z art. 129 ustawy karnej, jako redaktor odpowiedzialny „Nowego Życia". Bronił go Wróblewski. Sprawa przyjęła naraz dość zły obrót, nie tyle dla Klotta, ile dla „Nowego Życia". Byłem tylko na początku sprawy, na mowach zaś prokuratora i Wróblewskiego być nie mogłem, bo musiałem moje interesa załatwiać. Podobno mowa Wróblewskiego była świetna. Klott został z art. 129 uniewinniony, a skazany tylko z mocy przepisów prasowych na rb. 200 kary, „Nowe Życie" zaś zamknięte na zawsze. Z racji wyroku uniewinniającego Klott wyprawił obiad u Zoffia, na którym byli obecni: Klott z żoną, p. Stefan [illegible] Łopaciński, Józef Kisiel i adwokaci: Brasiński, Kryżanowski, Kruszewski, Wysłouch, Bilewski, Strumiłło, Rostowski, Zapolski, Abramowicz, Mościcki i in. Na obiedzie było wesoło, ale mnie humor nie dopisywał, bo czułem się źle. Wieczorem byłem w teatrze na „Mazepie" Słowackiego, ale, czując się zmęczony, nie doczekałem końca i przed ostatnim aktem wróciłem do domu.

13/26 września rok 1911. wtorek.

Wieczorem u mnie odbyło się zebranie zorganizowanej latem komisji odczytowej dla młodzieży łącznie z przedstawicielami postępowego kółka uczniowskiego. Przybyli wszyscy członkowie komisji, t. j. Rafajłowski, Dr. Boguszewski, Janulaitis i ja, oraz Domański, który ściśle mówiąc nie należy do komisji naszej, ale faktycznie bierze współudział z nami w jej zajęciach. Przedstawicieli młodzieży postępowej było dwóch: uczeń Snoiński i uczennica Kobylińska. Ułożyliśmy raz jeszcze listę odczytowców z zaznaczeniem tematów, które każdy w referatach swoich by poruszył. W dziale odczytów społecznych figurują następujące osoby z następującymi tematami: Tadeusz Wróblewski: 1) naród a państwo, 2) o narodowości, 3) rola bohaterów w rozwoju społecznym, 4) stosunki polsko-litewskie; ja: 1) nowe formy nacjonalizmu rosyjskiego w naszym kraju, 2) sprawa narodowościowa w naszym kraju; Janulaitis: 1) sprawa włościańska i stanowisko szlachty w Litwie i Białej Rusi w w. XVIII i XIX (2 lub 3 odczyty), 2) rozwój ruchu robotniczego w Niemczech w w. XIX; Domański: 1) historja ruchu rewolucyjnego w Rosji (4 odczyty), 2) rozwój ruchu społecznego (robotniczego) we Francji (kilka odczytów), 3) dzieje Międzynarodówki; Kraskowski: 1) dzieje ruchów społecznych w Europie zachodniej w pierwszej połowie w. XIX (przeważnie rok 1848), 2) rozwój ruchu społecznego w Anglji; Jeleński: 1) sprawa ukraińska, 2) dzieje socjalizmu w Polsce; Tiomkin: kwestja żydowska. Kilku ewentualnych innych odczytowców z tegoż działu zostawiliśmy w zawieszeniu do porozumienia się z nimi. Powstała kwestja, czy odczyty te mają być wygłaszane tylko dla kółka postępowców czy też w instytucji pozapartyjnej samokształceniowej, funkcjonującej śród uczniów pod nazwą „uniwersytetu dla wszystkich", grupującego młodzież wszystkich trzech odłamów, t. j. postępowców, wyzwoleńców i narodowych-demokratów. Snoiński obstawał za kółkiem postępowym, Kobylińska zaś za „uniwersytetem". Ze względu wszakże na to, że do nas zwróciło się urzędowo tylko kółko postępowe, i że nasz dobór prelegentów i odczytów został ułożony w zastosowaniu właściwie do kierunku postępowców, postanowiliśmy funkcjonować tylko w charakterze stałego koła odczytowego dla postępowców. W pewnym też zawieszeniu została kwestja co do odczytów Kraskowskiego i Tiomkina, który mogą referować tylko w języku rosyjskim. Delegaci młodzieży mają się w tej kwestji porozumieć z członkami swego kółka i dopiero dać nam odpowiedź, czy język rosyjski nie stoi na przeszkodzie.

Co do działu odczytów przyrodniczych, to zorganizowanie takowego nie udało się [illegible]. Dział ten [illegible] w dużej części [illegible] „uniwersytetu" [illegible] młodzieży [illegible].

14 (27) września rok 1911. Środa.

O południu odbyło się pierwsze na rok bieżący zebranie konferencji pomocników adwokatów. Dla ćwiczeń z prawa cywilnego odczytał Połoński listę tematów, ~~z~~ — które zostały następnie między uczestników konferencji podzielone. Dla ćwiczeń z prawa karnego zrobił to samo Lewin. Z prawa karnego wybrałem sobie już temat dawno, z prawa zaś cywilnego wybrałem dziś aż 2 tematy: jeden — o wykonaniu umów i zobowiązań, drugi — o towarzystwach akcyjnych.

O godz. 3 popołudniu wyjechałem z Wilna, śpiesząc na wyznaczony na jutro do Staryniak zjazd działczy. Do Mołodeczna jechałem z kolegą Wołodkowiczem i Marynką Wołodkowiczówną, wracającymi z Wilna w swoje strony. W Mołodecznie wysiadłem i czekałem na pociąg z Mińska, którym miał Ludwiś Wołodkowicz przyjechać. ~~[illegible]~~ Umówiliśmy się z Ludwisiem listownie, że się zjedziemy w Mołodecznie i stamtąd razem na Wilejkę do Staryniak pojedziemy. Ludwiś wszakże skrewił. Pojechałem więc sam do Wilejki. W pociągu spotkałem p. Kazimierza Bohdanowskiego starszego z Juncewicz i kuzynkę Jadzię Falkowską, z którymi do Wilejki dojechałem. Jadzię Falkowską znałem dzieckiem, teraz — panna dorosła. Słyszałem, że jest najmniej ładna z Falkowskich, ale nie znajduję tego; ładna, jak wszystkie siostry. Obiecała mi ona zatelefonować z Zasputy do Obodowiec lub Staryniak o konie dla mnie na jutro ~~rano~~. Ja zaś sam zajechałem na noc do Wilejki do dawniejszego zajazdu Csterlai.

15 (28) września. rok 1911. czwartek.

O godz. 9 rano wyjechałem z Wilejki zostawionymi końmi do Obodowiec. Do Wilejki przyszły po mnie konie Mieczysia Bohdanowicza z Rasuty. Dowiedziałem się przez telefon, że już Ludwiś Wołodkowicz jest w Obodowcach i że wszyscy na mnie czekają. Po przyjeździe do Rasuty wnet wyruszyłem stamtąd inną parą koni do Hochowa nad Wiliją, gdzie czekały już na mnie konie Obodowieckie. W Obodowcach zastałem Mieczysia Bohdanowicza, Ludwisia Wołodkowicza, Nusię Bohdanowiczową i Jadzię Talkowską (która mi się przy świetle dziennym o wiele mniej przystojną wydała, niż wczoraj w wagonie). Po obiedzie wyjechaliśmy z Mieczysiem i Ludwisiem do Starzyńca na zjazd. Zastaliśmy tam c. Cesię, c. Rózię, wuja Jana Tukałłę, Mieczysia i Janka Tukałłów i Lulę Tukałłównę. Niebawem rozpoczęliśmy posiedzenie w komplecie następującym: c. Cesia, c. Rózia z synem Mieczysiem, Mieczyś Bohdanowicz, Ludwiś i ja. Wpierw omówiliśmy kwestję obniżenia oceny Prozorowa. Za ogólną zgodą postanowiliśmy obniżyć taksową o 25%, co wyniesie 25000 rb. Natomiast postanowiliśmy dorzucić 10000 rb. na ocenie ziemi Starzyniek. Różnicę 15000 rb. obniżenia rozłożyć na wszystkie schedy Starzyńskie. W tych warunkach Ludwiś Wołodkowicz zgodził się ustąpić od dworu Starzyńskiego i przenieść się na dwór Manuty, dokupując sobie część [illegible] w Manutach od c. Rózi i dobierając [illegible] części [illegible] Tukałłowi Manutowski. Wybraliśmy się też na Manuty [illegible] Mieczysławowicz [illegible] Starzynie, z tym wszystkie [illegible] dodatkiem Mieczysia Boh., żeby się z Wilejki [illegible] uczestni[illegible] czasu Janka [illegible] z [illegible] równocześnie [illegible] pisania [illegible] przez [illegible] tej [illegible].

Omawialiśmy wreszcie te kwestje tylko ogólnikowo; szczegółowo [illegible] jutro. Na noc wróciliśmy z Ludwisiem do Obodowiec.

16 (29) września. rok 1911. piątek.

Rano pojechaliśmy znów do Stanyszek. Jeszcze w Obodowcach rozejrzałem się naprzód w pozycjach oceny, aby się zorjentować, co wart będzie Kaszyn w razie odrzucenia pięknego lasu sosnowego, zwanego „Dauklewem", i dobrania natomiast uczastków osinowych na północy. Doszedłem do przekonania, że Kaszyn bez Dauklewa tyle traci, iż go samo w tej kombinacji brać nie warto. Natomiast się przekonałem, że Pereczorka z lasami sąsiednimi, na którą dotychczas nie reflektowałem wcale, ~~tyle warta~~ przedstawia taką wartość, iż można ją wziąć, dobierając do niej nawet całą osinę według granicy północnej. Po przyjeździe do Obodowiec rozpoczęliśmy robotę. C. Cesia, Wołodkowiczowie i my usadowilibyśmy się na Mamytach, c. Zosia zaś i Mieczyś Bohdanowicz zajęliby Stanyszki i jeszcze by skrawki Mamytów pobrali. C. Cesia, która sama nie ma żadnego pojęcia o wartości wszystkich i która tam się tylko pakuje, gdzie widzi, że inni mieliby ochotę się usadowić, — jak tylko spostrzegła, że ja reflektuję na Pereczorkę, wnet [redacted] oznajmiła, że chce Pereczorkę otrzymać (chociaż dotychczas zamiar się na Pereczorkę nie zgadzała, pomimo że śmy wszyscy oddawna folwark ten c. Cesi proponowali). Chcąc za tę cenę kupić spokój ze strony c. Cesi, która zawsze utrudniała nam wszystkie kombinacje, nie mogąc znaleźć niczego dla siebie, wszyscy odstąpili chętnie dla c. Cesi żądanej Pereczorki, nie bacząc na to, że ja też moje desiderata zgłosiłem i że zgadzałem się dobrać do niej całą osinę, ułatwiając przez rozlokowanie pozostałych schedy. Po ulokowaniu c. Cesi, ulokowaliśmy Ludwisia na dworze Mamytowskim z lasami sosnowymi na południu do Królika włącznie i z wszystkiem osinowym na północy. Na pozostałej części Mamytów usiłowaliśmy się rozlokować: ja w 12000 rb., Mieczyś Bohdanowicz w 77000 rb. i c. Zosia w czterdziestu kilku tysiącach. Zadanie było trudne, i kombinacja utknęła się tak, że zaraz we trójkę zgodnie się usadowić nie mogliśmy. C. Zosia życzyła otrzymać schedę nad rzeczkami Czereśniówką i Udry w sąsiedztwie Hraleni, Mieczyś lasy sosnowe i jodłowe od Horek pod Kaszyn z Dauklewem włącznie, ja Kaszyn z Dauklewem włącznie, choćby z odrzuconymi pozostałymi wszystkimi osinowymi. Ponieważ ani Mieczyś ani ja nie zgadzaliśmy ustąpić z Dauklewa, więc oświadczyłem, że w takim razie ja zmuszony jestem od ugodowego układu odstąpić i zdać rzecz na arbitrów i na losowanie. Nie było innej rady i rzecz została się na tym stanąć. Mieczyś Bohdanowicz zaproponował ostatecznie nową kombinację, abym ja wziął schedę w 2 działkach, 1 — w Zaściankach z trzecią częścią pola Kaszyńskiego, laskiem sosnowym i jednym wszystkiem osiny i 2 — w lesie sosnowym od Udry do Horek włącznie, a schedy by Mieczyś wziął Kaszyn z Dauklewem i lasem jodłowym pod Horki, a c. Zosia ostatnie wszystek osiny za rzeką z laskiem sosnowym w rożku. Ja się na to zgodziłem, ale nie zgodziła się c. Zosia, która nie chciała zamiar odstąpić od kawałka nad Udrą. Żeby pozyskać c. Zosię, my z Ludwisiem zgodziliśmy się wyrzec się naszej części inwentarza Stanyszkiego, ale i to nie pomogło. Przenamyśla wszakże i ja ochłodłem do brania schedy w dwóch działkach zamiast Kaszyna z Dauklewem. Wobec tego układy się rozbiły i rozjechaliśmy się z niczym. My z Ludwisiem zanocowaliśmy w Stanyszkach i jutro wyjeżdżamy. Będziemy teraz próbowali robić zjazd następny z arbitrami. Może obecność arbitrów nam dopomoże. Ale to ma być jeszcze nieprędko, bo Ludwiś oświadczył, że przed 6 tygodniami stawić się nie może.

17 (30) września rok 1911. sobota.

Mieczyś Bohdanowicz dziś rano wcale już do Staczyniek nie przyjechał. My z Ludwisiem Wołodkowiczem mieliśmy dopiero wyjechać koło godz. 10-11 zrana, ale zostaliśmy jeszcze do g. 1 popołudniu. Choć już zjazd rozbity, ale próbowaliśmy jeszcze wracać do omawiania ewentualności układów wczorajszych, mianowicie tych punktów, o które się układy rozbiły. Jest to sporna kwestja Dauklewa przy Kaszynie między mną a Mieczysiem Bohdanowiczem i kwestja lasów nad Udrą między mną a c. Różą. Przez noc się rozmyśliłem i już teraz nie decyduję się na branie schedy Mamy w dwóch kawałkach. Będę obstawać przy Kaszynie z Dauklewem, biorąc w tej kombinacji nawet oba pozostałe uczastki osinowe. W innym razie idę na decyzję arbitrów albo na losowanie. [illegible] Rozchodziłoby się więc już tylko o Mieczysia Bohdanowicza, który od Dauklewa odstąpić nie chce, choć nie wieleby na tym stracił, bo miałby sam las towarowy, jeno że w 2 kawałkach. Mówiłem o tym z Mieczysiem przez telefon, ale on ani słyszeć o tym nie chce. Proponuje natomiast Mieczyś, abyśmy zrobili inną kombinację ze Staczynkami, oddając dwór [illegible] Mamczycowski c. Róży a zachowując Wołodkowiczów i Mamę na Staczynkach. Ale ja teraz na Staczynki zgoła nie chcę. Od boru sosnowego za ruczajem Bożiańcem, na który poprzednio ewentualnie reflektowałem, teraz się cofam. Wolę stanowczo Mamczyty, które i ziemię mają lepszą i dają możność wycofania kapitału przez Tatowe spieniężenie wielkiego lasu towarowego.

Niema rady: zjazd rozbity, więc się rozjeżdżamy. O godz. 1 popołudniu wyjechaliśmy z Ludwisiem Wołodkowiczem i Mieczysiem Tukałłą na stację kolejową Uszę. Do Uszy 6 mil drogi końmi mieliśmy deszcz i chłód. Z Uszy Ludwiś pojechał na Mińsk, my z Mieczysiem Tukałłą – na Wilno.

Po przyjeździe do Wilna nie zajeżdżałem wcale do domu. Złożyłem rzeczy na bufecie na przechowanie a sam pojechałem do Anny, do której już ledwo zdążyłem. Cały noc poraz pierwszy spędziłem w jej nowym pokoiku.

18 września.
1 października.
rok 1911.
niedziela.

Obliczyłem dziś w domu detalicznie pozycje oceny tych uczastków leśnych, któreby weszły ewentualnie do naszej schedy, gdyby doszły do skutku te układy działcze, któreśmy w Staryszkach omawiali.

Na podstawie tego obliczenia doszedłem do przekonania, że jednak, jeżeli nie otrzymamy Kasztyna z lasem Dauklewskim, warto się nam decydować nawet na schedę w 2 rozbitych kawałkach, to znaczy w Łaśnierkach i w lesie między Udrą i Horkami. Chociaż bowiem będzie to niedogodne ze względu na rozbicie schedy na dwie działki, ale działki te będą dobre. Warto się decydować, jeżeli za tę [redacted] cenę będzie już osiągnięty wreszcie dział. Z Łaśnierek da się zrobić niezły folwark, a w działce drugiej będziemy mieli zapas lasu i piękne łąki [redacted] nad Czerskówką i Udrą. Pod względem zaś lasu towarowego działki te równają się działce Kasztyńskiej z Dauklewem. Napiszę o mej decyzji do Stecrysia Bohdanowicza, który może potrafi wpłynąć na c. Zosię, aby się zgodziła na ten układ. W takim razie nie byłoby już przeszkód do działu.

19 września / 2 października. rok 1911. poniedziałek.

Napisałem list do Mieczysia Bohdanowicza, przekładając mu kombinacje układów dzielczych, na które się zgadzam, i wzywając, aby bądź sam na pewne ustępstwo się zgodził, mianowicie w stosunku do Dauklewa, bądź skłonił do ustępstwa ciocię Zósię Tukałłową, skoro ja też na ustępstwo idę i zgadzam się brać schedę w dwóch kawałkach. Może Mieczyś zdoła więcej wpływu na c. Zósię, a wtedy dział może już natychmiast dojść do skutku. Rozchodzi się już tylko o bardzo małe rzeczy, dla których zaiste nie warto byłoby zwlekać.

Wieczorem poszedłem do Jeleńskiego. Miałem się z nim porozumieć w sprawie jego odczytów dla młodzieży. Chodziło mianowicie o to, aby Jeleński zamiast tematu o ruchu ukraińskim wziął temat dla odczytu o klerykalizmie i jego propagandzie w Wilnie i kraju. Zwłaszcza ta kwestia interesuje wielce młodzież, a w szeregu naszych uplanowanych odczytów nie ma ani jednego o klerykalizmie. Jeleński się zgodził. Zostałem potem u niego na herbatce w towarzystwie p. Burhardtowej, Wyszyńskiego, panny Rotkowskiej i jeszcze jakiejś pięknej dziewczynki-podlotka. Przy herbacie wypiliśmy też butelkę wódeczki. Stamtąd, podchmielony nieco, wybrałem się ~~[illegible]~~ na Antokol do Anny, z którą się na dziś wieczór umówiłem. Byłem zakatarzony i trochę przez alkohol z równowagi wytrącony, toteż humor mi u Anny nie zbyt dopisywał. Nie byłem wprawdzie w złym humorze, ale brakło mi elastyczności i umiejętności zastosowania się do Anny. Byłem dość sztywny; sztywność moja udzieliła się też Annie i przez to wieczór został zmarnowany. To żywe promieniowanie miłości, które Annę całą przeradza i przetwarza w subtelną uduchowioną istotę, streszczającą się całą w wyrazie, dziś miejsca nie miało. Do tej bowiem cudownej metamorfozy potrzebny też odpowiedni stosunek z mej strony. Sztywność zaś mrozi i wygasza ekspresję miłości u Anny. Spędziłem u Anny godzinkę i wyszedłem. Wychodząc wieczora tego przez [illegible] już [illegible] nie zobaczę Anny; bo w tych dniach do Bohdaniszek wyjadę.

20 września / 3 października. rok 1911. wtorek.

Wieczorem u Krzyżanowskiego odbyło się zebranie organizatorów projektowanego przyszłego tygodnika postępowego, który ma zacząć wychodzić p. t. „Przegląd Wileński". Obecni byli Nagrodzki, Krzyżanowski i Witold Abramowicz, oraz ja, jako przedstawiciel i kierownik przyszłej redakcji. Krzyżanowski z Abramowiczem wrócili właśnie świeżo z Mińska, dokąd jeździli w sprawie tegoż tygodnika. W Mińsku porozumiewali się z adwokatami Zagórskim, Zwierzkiewiczem, Denidowiczem i Petrusiewiczem, którzy się podjęli gromadzenia udziałów na wydawnictwo tygodnika — z Mińszczyzny. Konstanty Sordziałkowski udzielił też listownie Krzyżanowskiemu wskazówek co do osób, do których się można zwrócić w Mohylowszczyźnie. Krzyżanowski lub Abramowicz mają jeszcze objechać Słonim, Kowno, Petersburg i Moskwę dla wypełniania udziałów na wydawnictwo. Organizatorowie są dobrej myśli i postanowili już do ~~[illegible]~~ rozpoczęcia wydawnictwa przystąpić. Nagrodzki podniósł jeszcze kwestię, czy nie zmienić tygodnika na dziennik, ale ostatecznie postanowiono nie schodzić już z gruntu, na którym stanęliśmy. Termin rozpoczęcia wydawnictwa określono na 1 grudnia. Na zebraniu dzisiejszym mnie polecone było wygotować projekt prospektu, co też wykonałem. Projekt prospektu przedstawia się udatnie. Uzasadniłem w nim przeważnie stanowisko krajowe i demokratyczne przyszłego pisma oraz potrzebę takowego. Zebrani odczytali prospekt i dokonali drobnych jego poprawek. Ostateczną redakcję prospektu odłożono do przyszłego wtorku, kiedy się mamy ~~[illegible]~~ znów zebrać razem z przyszłymi stałymi współpracownikami pisma, to znaczy z Jeleńskim, Dowmontskim i Boguszewskim, dla omówienia układu pisma i spraw redakcyjnych. Przez ten czas polecono mi już nawiązać stosunki z korespondentami i współpracownikami zamiejskimi. Wypadnie mi też zapewne w przyszłym tygodniu wyjechać do Warszawy dla nawiązania tam stosunków literackich dla pisma. Słowem — tygodnik już jest na dobrej drodze.

Witold Abramowicz, który będzie podpisywać pismo w charakterze redaktora odpowiedzialnego, dostrzegł w prospekcie ustęp, który zdaniem jego może go narazić na odpowiedzialność karną, jako podburzający [illegible]. [illegible] wielce, gdyby ustęp ten usunąć [illegible], bo jest on właśnie najdobitniejszy i określa samo jądro stanowiska naszego. Brzmiał on w projekcie tak: „Stanowisko demokratyczne obowiązuje nas do uwzględnienia przewagi potrzeb klas „upośledzonych w społeczeństwie. Klasy te, w ustroju obecnym ekonomicznie oraz „politycznie słabe, ulegające wyzyskowi klas posiadających, winny w drodze or„ganizacji społecznej na zasadach samopomocy dążyć do zdobycia takich warun„ków bytu zbiorowego, które byłyby w stanie zagwarantować im wpływ na ustawoda„stwo i na układ stosunków społecznych. Przeszkodą na tej drodze rozwoju „jest brak oświaty i organizacji tak gospodarczej, jak społeczno-politycznej klas wytwarzających, „dalej oparta na kapitale [illegible] i wreszcie pewne stopnie [illegible] i tradycje [illegible] „klas posiadających, wreszcie [illegible] „do [illegible] i [illegible] do [illegible]"... i t. d.

21 września
4 października
rok 1911.
Środa.

Posłałem do Domańskiego dla pomówienia z nim w sprawie jego przyszłego współpracownictwa w „Przeglądzie Wileńskim". Domański jest esdekiem, ale pomimo to będzie chętnie współpracował w piśmie naszym, które socjalistycznym nie będzie. Cieszę się z jego współpracownictwa. Choć jest to człowiek młody, ale myślący i bynajmniej nie płytki i nie ciasny. Z [illegible] naszej dotychczasowej znajomości wyniosłem o nim wrażenie dodatnie. Dopiero wszakże konkretna [illegible] wspólna praca w piśmie wykaże, na co na niego liczyć można. W Wilnie, gdzie kadry publicystów są jeszcze szczupłe, zwłaszcza gdy chodzi o prasę demokratyczną, trzeba, organizując pismo, dobierać ludzi po omacku, kierując się tylko wrażeniem ogólnym. To samo było przy zakładaniu „Gazety Wileńskiej", która jednak zdołała wyrobić zastęp dziennikarzy z sił miejscowych. Za ubodzy jesteśmy, abyśmy mogli sobie pozwolić na sprowadzanie publicystów z Warszawy, którzy zresztą nie bardzo byliby dla nas stosowni, bo nie mają świadomości potrzeb, warunków i stosunków krajowych. [illegible] Zmuszeni jesteśmy wystarczyć sobie własnemi lokalnemi siłami. Postanowiłem zwołać u siebie na poniedziałek wspólne zebranie przyszłych stałych współpracowników pisma dla przedyskutowania i ułożenia przyszłego podziału pracy oraz ustalenia układu pisma, abyśmy już we wtorek przyszli na zebranie udziałowców z planem gotowym. Zwołuję tylko Domańskiego, Jeleńskiego i Bogdzewskiego. Hertza pomijam, bo choć go także na współpracownika redakcyjnego angażuję, jednak nie chcę go dopuszczać do głosu w zespole redakcyjnym, gdyż jest to osobnik ideowo nam obcy. Jako zdolny publicysta, będzie on u nas wyrobnikiem potrzebnym, ale ulegać musi całkowicie naszemu kierownictwu z góry. Napisałem dziś do Ludwika Krzywickiego, zapraszając go do współpracownictwa w piśmie, napisałem też do Petersburga do miejskiego Komarowskiego, podług wskazówki Domańskiego, w sprawie zainteresowania stałego korespondenta petersburskiego. [illegible]

Wielokrotnie dziś w ciągu dnia ogarniała mnie tęsknota za Anną, której już od paru dni nie widziałem i z którą się dopiero za dni kilka zobaczę po powrocie z Bohdaniszek, dokąd jutro jadę. Posłałem jej pod wieczór przez posłańca w upominku bukiecik róż z listem serdecznym. Później zaś wieczorem, gdym wracał z kilku osobami z pewnego zebrania, spotkałem na Pohulance Annę, wracającą do domu z repetycji amatorskiego teatru Litewskiego, w którym wziął udział [illegible]. [illegible] w teatrzyku jakiegoś [illegible] - [illegible] z nim po [illegible] i [illegible] żywo. x)

x) Nie spostrzegła mnie wcale i minęła. We mnie zaś serce zabiło na jej widok i [illegible]

22 września.
5 października.
rok 1911.
czwartek.

Tak wczorajszym spotkaniem się z Anną na uli-
cy w związku z kilkodniowym niewidzeniem
jej byłem poruszony, że postanowiłem odwie-
dzić ją dziś rano przed moim wyjazdem do
Bohdaniszek. Annę mogłem zastać tylko do
jakiejś godz. 9–9½ rano, bo potym idzie ona
do pracy do magazynu Hapsłowskiej. To
też choć położyłem się wczoraj późno, kaza-
łem się dziś o 8-ej rano obudzić, aby wczas zdą-
żyć. Tęsknota rozsadzała mi uczucie.
O godz. 9 byłem już u Anny. Zastałem ją
dopiero wychodzącą z łóżka, w koszuli. Na
dźwięk mego głosu otworzyła drzwi i uści-
skała mię serdecznie, dziękując za kwiaty
wczorajsze. Ciepła jeszcze z rannego snu,
świeża i [redacted]
tchnąca subtelną słodyczą poranku, a
garnąca się do mnie wdzięcznie, rada z nie-
spodzianych odwiedzin i wzruszona tym do-
wodem tęsknoty mojej, Anna była prześliczna.
Ucałowałem ją, zaczekałem aż się ubrała i
uczesała, porozmawiałem pogodnie i serdecznie
i następnie odprowadziłem [redacted] do placu Ka-
tedralnego. Byłem wzruszony i nie taiłem mej
tęsknoty, nie bawiłem się w dyplomację. Dziękowałem
jej za serdeczność i za te uczucie, które mi daje, dopóki
ono trwa, — a czy potrwa nadal i jak długo, gdy już
ma tyle znajomych spośród Łotyszów, i młodszych i piękniej-
szych i bliższych z nią względami czy to pochodzenia i mowy, czy
kultury, czy wreszcie wspólnych zabiegów w [redacted] sprawach tutej-
szej kolonji łotewskiej, zespolonych, — to się dopiero okaże.
Tymczasem dopóki ten węzeł uczucia między nami trwa, dobrze
mi jest i wdzięczny za nie Annie jestem. Dużo i ja dla niej wyświad-
czyłem, ale uczuć ludzkich się nie kupuje.
Południowym pociągiem wyjechałem z Wilna do Bohdaniszek, dokąd wie-
czorem koło godz. 7–8 przyjechałem. Papa jutro raniutko wyjeżdża właśnie
do Wilna. Mama biedaczka bardzo się zmartwiła wiadomościami [redacted] z
ostatniego zjazdu dzielczego, które jej zakomunikowałem. Ostatecznie
wieści te nie są tak ostatecznie rozpaczliwie złe, bo choć istotnie ze strony
Mieczysia Bohdanowicza i c. Zosi jest tendencja do zaspokojenia swojej chciwości
kosztem naszym, ale przecież nie są oni panami położenia i nie mogą arbitral-
nie o dziale decydować). Ale Mamę biedaczkę sprawy te nerwują niesłychanie i szkodzą zdrowiu

23 września / 6 października
rok 1911.
piątek.

Spędziłem cały dzień w Bohdaniszkach, — sam z Mamą. Mama tak jest bie- daczka zdenerwowana sprawami dział- czemi, głównie tym, że dział ten do skutku nie dochodzi, oraz niepoko- jem, aby nie być oszukaną przez Mie- czysia Bohdanowicza, że aż żal bie- daczki. Gryzie się, płacze, całą noc bezsennie spędziła, postarzała, zgrzy- biała biedaczka. Ciągle wraca w kółko do tego samego tematu, gorączkuje się, a nie chce i nie jest w stanie wejść w rzeczową ocenę, wysłuchać objektywnego stanu rzeczy. Ma teraz strach paniczny przed Stazyukami; za żadną cenę nie chce stracić nas- dziei usadowienia swej schedy na Ma- myłach, a widzi wszystko w naj- czarniejszych kolorach, jakgdyby już była nad straszliwą przepaścią klęski.

Pod wieczór Mama się niby trochę uspo- koiła, ale do zupełnej równowagi wrócić nie zdo- łała. Nie byłem przeto w stanie omówić z Mamą sytuacji oraz wszelkich ewentualności dalszego przebiegu sprawy działowej. Spadek ten, który spadł na Mamę po Babuni zamiast szczęścia starość Mamy, od 2 lat wciąż jeszcze dotychczas zatruwa spokój i nerwy biedaczki.

24 września / 7 października / rok 1911. / sobota.

Dziś Mama się już dobrze w nocy wy-
spała i uspokoiła, to też mogła rozważ-
niej słuchać sprawy działowej. Naraz
się wszakże dostrzegłem u Mamy pe-
wien niepokój co do tego, czy podołam
przeciwko zbójeckim zamachom
działowym Mieczysia Bohdanowicza i
innych spółspadkobierców. Niepokój
ten nie dziwiłby mię, ale zabolało
mię to, że Mama ponieważ już zgó-
ry przez niedowierzania wcześniejsze przes-
ądziła, że napewno dam się oszukać
i sprawy Mamy źle poprowadzę. Tyle
uwagi tej sprawie działowej pracuję, tyle czasu,
energji i pracy jej poświęcam, tyle sam
do niej wagi przywiązuję, tak się wy-
siłuję, by się z niej dobrze z korzyścią
dla nas wszystkich wywiązać, że się zgry-
złem bardzo tą niewiarą Mamy. Czyż
już rzeczywiście nie zdołam dać sobie
rady? Istotnie jestem delikatny, nie
potrafię być drapieżnym, nie będę wilkiem
przeciwko wilkom. Ale interes ten znam, roz-
umiem, potrafię się bronić i w ramach
lojalnych przy swoim obstawać. Gdy Mama spo-
strzegła przykrość, którą mi wyrządziła, cofnęła
się zaraz ze swej niewiary i najszczerszej znów
z całą ufnością się do mnie zwróciła. Wnet się
też uspokoiła a gdy potem wejrzała w ocenę, to znów
z tą samą bezwzględnością, z jaką pierwiej rozpaczała nad
ewentualnymi rabunkami w działach spadkowych (w Kosewszczyźnie i nad
Udorz), teraz zapaliła się do niej i już tylko w dotyczeniu rozpacza, że
układ ten może się nie utrzymać i że wskutek tego Mama nie dostanie

40/

2 września.
8 października.
rok 1911.
Niedziela.

Wstałem o godz. 4 rano i pojechałem na ranny pociąg do Abel. O godz. 2 popołudniu byłem już w Wilnie. Spieszyłem do Wilna wyłącznie dla Anny. Mogłem zostać w Bohdaniszkach jeszcze śmiało do jutra i żal mi było opuszczać biedną Mamę samotną i niezupełnie jeszcze uspokojoną. Ale taka mnie tęsknota za Anną ogarnęła, że nie byłem w stanie wytrzymać. Moje częste w ostatnich czasach wyjazdy do Bohdaniszek, do Starynek, sprawiły, że widywanie się nasze z Anną stało się jakieś dorywcze, nieciągłe. I właśnie tak jakoś wypadało, że w soboty i niedziele nie byłem obecny, to znaczy wtedy właśnie, gdy oboje z Anną mamy więcej czasu i możemy swobodnie naszym dniem rozporządzać. Widywanie się późnymi wieczorami ma mniej o wiele uroku. Anna jest zmęczona, wraca — z lekcji rosyjskiej od p. Szwejcenbachowej albo z próby teatralnej łotewskiej. Dziś zaś święto, to też liczyłem dzień cały z nią spędzić, pójść razem na przechadzkę, zjeść obiad, może też zaprowadzić Annę do kinematografu, — byle być razem. Tęskno mi do tej serdecznej zażyłości z Anną, która się ulatnia przez widywania się dorywcze, zaprawione w dodatku często jakimś głupim chłopskim nieporozumieniem, szorstkością, kaprysem i t. d. Jakieś ledwie dostrzegalne rozprzęganie się naszej zażyłości ~~…~~ niepokoi mnie i smuci boleśnie. Tymczasem zaś wzrasta z natury rzeczy zażyłość Anny z Łotyszami, z którymi się teraz często spotyka, gra z nimi wspólnie w teatrze amatorskim, a teraz już i obiady razem jada. Zażyłość ta budzi we mnie tęskne refleksje, czy z niej bowiem nie wyrośnie — wyrok śmierci dla miłości do mnie. Posiadanie fizyczne Anny nie koi mnie bynajmniej i nie daje pełni zadowolenia. Nie o posiadanie wyłącznego ciała mi chodzi, lecz o duszę tej dziewczyny. Boję się stracić posiadania jej duszy; zobojętnienia jej i upadku miłości. Wytworzyła się już cała odrębna sfera życia Anny, jej stosunki z kolonią łotewską, — która jest poza sferą mego udziału i mej bezpośredniej wiedzy. Wiem, że w tej sferze są intymności mieszczące, a jak się ich stosunki z Anną układają — wiedzieć tego nie mogę. Kocham zaś Annę coraz bardziej, coraz wyłączniej. Miłość moja jest taka, że chcę wyłączności Anny dla siebie, chcę ją mieć całą w sobie, w uczuciu i zespole myśli; nie jestem w stanie się nią dzielić, zazdrosny jestem o każdy jej cal, o każde tchnienie. Każda myśl Anny, każdy jej oddech, który jest poza mną, — boli mnie i rani jak nóż. To też spieszyłem dziś do niej, aby z nią wyłącznie dzień spędzić.

26 września / 9 października rok 1911.

Myśl o Annie nie opuszczała mnie przez cały dzień. Kocham ją jednak więcej, niż to przypuszczać mogłem. Miłość ta wzrasta w stosunku prostym do niepokoju o posiadanie Anny. Gdy mniej jestem pewny jej posiadania, gdy zdaje mi się, że ją tracę, kocham ją więcej, niż w chwilach, gdy jestem u zenitu szczęścia wzajemności. Boję się jej stosunki z Totyszanami. Głupi jestem i zły przez to dla Anny. Chcę przecież jej szczęścia, gorąco pragnę jej dobra. Rozumiem, że utrwalenie jej stosunków z Totyszanami zapełni jej życie codzienne w Wilnie o wiele lepiej, skuteczniej i zdrowiej, niż związek jej ze mną. Istotnie też rozumiem, że tego dla niej pragnę. Ale miłość moja rani się tym i zagłusza te perswazje rozsądku, protestuje, bo jest ona instynktem tak potężnym i pierwotnym, jak głód, bezwzględnym w pożądaniu, egoistycznym, imperatywnym. Jak wszelki instynkt, jest ona głęboka i niezmienna. Czuje, że stosunki Anny z Totyszanami oddalają ją ode mnie. Miłość tego nie chce, więc burzy się w moim sercu, protestuje, woła wielkim głosem na trwogę. Zmęczony jestem tą walką wewnętrzną głodnej miłości z serdecznym współczuciem i ofiarnym poświęceniem tylko szczęścia dla Anny. Nie byłem dziś u niej, nie widziałem jej wcale. Posłałem jej tylko na wieczór kwiatów przez posłańca.

Późnym czasem wieczorem spotkałem się w restauracji Myślewskiej z Szabelskim, z którym się wczoraj umówiłem na butelkę wieczorną. Była to moja wczorajsza myśl zatopienia w sobie miłości do Anny przez alkohol i miłostki. Dziś już wszakże tego nie chciałem. Nie szukam ucieczki od miłości tą drogą, nie uśpię jej. Miłostki zaś i rozpusta są mi teraz wstrętne. Nie kobiet chcę, lecz Anny z jej duszą. Wypiłem więc tylko przy kolacji z Szabelskim, odprowadziłem go na Zakrętną do zakładu przy Zołtbeka, alem tam z dziewczętami się nie bawił. Byłem wprawdzie wesoły, piłem kawę z koniakiem, ale dla dziewcząt byłem obojętny całkowicie i nie podniecały mnie one wcale fizycznie. Toteż zostawiłem tam Szabelskiego w uciechach miłosnych, sam zaś wróciłem na noc do domu.

poniedziałek.

Sprawa naszego tygodnika – „Przeglądu Wileńskiego" – posuwa się dobrze naprzód. Przez te kilka dni zajęty byłem angażowaniem współpracowników oraz korespondentów prowincjonalnych. Skompletowanie listy współpracowników zajmie mi jeszcze z parę tygodni. Dziś odbyło się u mnie zebranie członków naszej przyszłej redakcji, to znaczy Zaleńskiego, Boguszewskiego, Domańskiego i mnie. Ułożyliśmy wspólnie listę tych, których do współpracownictwa prosić będziemy, oraz ustaliliśmy układ pisma. Chcemy nadać „Przeglądowi Wileńskiemu" wyraz kulturalny, żeby to było pismo nie tylko wyłącznie polityczne i społeczne, lecz też i poświęcone kulturze artystycznej i umysłowej w szerokim zakresie. Z tego względu udział Boguszewskiego w redakcji jest nader dodatni. Wobec tego nasz zespół redakcyjny z dodatkiem jeszcze Benedykta Hertza ułoży się nieźle; spodziewam się, że podołamy zadaniu. Nie wiem tylko, czy odpowiedni będzie na sekretarza Jabłoński.

27 września / 10 października rok 1911. wtorek.

Rano otrzymałem kartkę od Krzyżanowskiego, który pisze, że Nagrodzki był u niego i domaga się powołania na sekretarza „Przeglądu Wileńskiego" — Ludwika Abramowicza. Do Jeleńskiego Krzyżanowski i Nagrodzki są uprzedzeni i nie chcieliby go widzieć w charakterze sekretarza. Ja wszakże na Ludwika Abramowicza stanowczo się nie godzę. Na korespondenta warszawskiego zaprosiliśmy go, ale na członka redakcji i zwłaszcza na stanowisko tak wpływowe, jak sekretarza, mieć go nie chcę. Jeżeli kierunek „Przeglądu Wileńskiego" ma odpowiadać kierunkowi naszej byłej „Gazety Wileńskiej"; a już tylko w takim piśmie zgodziłbym się być redaktorem tytularnym, bo dla mnie publicystyka nie jest rzemiosłem, lecz wyrazem mojej myśli i moich przekonań, — to Ludwik Abramowicz go nie może. Już w swoim czasie wystąpił on z „Gazety Wileńskiej", bo była dla niego za radykalną, więc jakież są szanse, że teraz w ramach tego kierunku się zmieści. Nawet jeszcze poprzednio, gdy Ludwik był w „Gazecie", niektóre jego artykuły odbijały dość silnie od ogólnego kierunku „Gazety" i wywoływały zgorszenie tegoż Krzyżanowskiego. Od tego czasu Ludwik przez kilkoletni pobyt w „Kurjerze", choć nie całkowicie się na kierunek „Kurjera" w zupełności [?] zgodził, to jednak bądźcobądź udział w „Kurjerze" nie mógł przejść dla niego bez śladu. Jest on niewątpliwie bardziej posunięty [?] od tego stanowiska, które pragniemy w „Przeglądzie" zająć. Ludwik zaś ma charakter twardy i nie łatwo się ugina, a że ma za sobą tradycję i rutynę dziennikarską i że czułby się potrzebnym, przeto nie dałby się kierować przeze mnie; byłyby więc konflikty i ewentualnie głucha walka między mną a nim, przez co by pismo na jednolitości kierunku straciło i zapewne zbaczałoby nieraz na drogi niezupełnie zgodne z naszym założeniem. Gdyby Ludwik Abramowicz miał być wprowadzonym na sekretarza, jabym redaktorstwa nie przyjął. Do redakcji naszego tygodnika mógłby on być wprowadzonym chyba tylko w charakterze redaktora, ale tego odpowiedzialność ta przypadłaby [?] organizatorów wydawnictwa. Gdym przedstawił te względy Nagrodzkiemu i Krzyżanowskiemu, ustąpili oni natychmiast z żądania wprowadzenia Ludwika na sekretarza. Co do Jeleńskiego, to i ja właściwie nie mam zupełnej pewności, że się on będzie na sekretarza nadawał. Jest on rzetelny [?], żywy, giętki, ma zalety mówcy wiecowego, ale bardzo głęboki nie jest; brak mu też wprawy dziennikarskiej, i nie jestem pewny jego zdolności literackich. W tych warunkach musiałbym sam bardzo doglądać odpowiedniego wykonania roboty przez Jeleńskiego i ewentualnie kierować nim. Powiedziałem o tym Nagrodzkiemu i Krzyżanowskiemu i zaproponowałem im ewentualnie powołanie Bogusławskiego na sekretarza, bo choć on też wprawy dziennikarskiej nie ma, ale ma dużo taktu, jest mądry i bardzo kulturalny i głęboki. Nagrodzki wszakże zwrócił słuszną uwagę na to, że Bogusławski zbyt mało ma związku z dziedziną polityczno-społeczną. Ostatecznie stanęło na tym, że ja mam zupełnie samodzielnie decydować w sprawie organizacji redakcji i że podział funkcji redakcyjnych ma być taki [?] w ramie ogólnych współpracowników pod moim kierunkiem. Omówiliśmy jeszcze z Nagrodzkim i Krzyżanowskim materialną stronę wydawnictwa. Koszt numeru podług obliczenia naszego wyniesie ± 200 rb., czyli wydawnictwo kosztować będzie rocznie do 10000 rb.. To dużo. Postanowione zostało zaraz po wydaniu prospektu wydelegować [?] do Petersburga i Moskwy dla dokompletowania udziałów. Pod wieczór otrzymałem kartkę od Anny, wzywającej, abym dziś do niej wieczorem wstąpił. Dostała pisany wczoraj list. Pojechałem do niej [?] ... [illegible] ... od której niejednemu by włosy na głowie powstały.

[illegible]

28 września.
11 października
rok 1911.
środa.

Wstałem dość wcześnie i na godz. 9 poszedłem do Anny. Zastałem ją ubierającą się właśnie. Przyjęła mię serdecznie, tkliwie. Uściskaliśmy się kilkakrotnie; Anna mi opowiedziała o swym cierpieniu, którego przez te 2 dni doświadczyła pod wpływem przykrych scen z dnia niedzielnego, popłakała cicho na ramieniu mojem i z niepokojem rozpytywać mię zaczęła, czy nie wyjawiłem nikomu szczegółów z dziejów tajemnicy pozawczorajszej, jakem to jej w niedzielę wieczór zapowiadał. Wspomniałem jej, że byłem z Szyszkowskim na przekąsce, ale zaręczyłem słowem, że żadnych konsekwencji to nie miało i że wróciłem na noc do domu. Zapanował znów między nami nastrój serdeczny, spokojny, ten nastrój pogody i równowagi w czułości, który przepełnia serce nierównym a harmonijnym szczęściem. Odprowadziłem Annę aż do ulicy Świętojańskiej, gdzieśmy się z nią rozstali. Anna zmienia w tych dniach mieszkanie; w piątek pójdzie z koleżanką swoją od Sapkowskiej szukać dla siebie pokoju do wynajęcia. Ze słów Anny zrozumiałem, że przygotowuje dla mnie jakąś niespodziankę imieninową na św. Michał, której mi wszakże sprawi nie jutro, lecz dopiero pojutrze, bo się o dzień jeden pomyliła. Ciekawym jestem, co to będzie.

Rozpisywałem w dalszym ciągu listy na wszystkie strony z zaproszeniami do współpracownictwa w „Przeglądzie Wileńskim". Moc z tym roboty. Lista osób, których do współpracownictwa prosić zamierzamy, olbrzymia. Najtrudniejsza wszakże sprawa z doborem korespondentów prowincjonalnych z rozmaitych miast i guberni krajowych. Tu zupełny niemal brak ludzi i trzeba dopiero zbierać informacje dla wyszukania odpowiednich kandydatów.

Porozumiałem się z Hertzem. Narazie wyjeżdża on do Dźwińska, jest zaangażowany do kabaretu i tam do nowego roku, potem zaś wraca do Wilna. Umówiłem się z nim na 50 rb. miesięcznie za stałe współpracownictwo w rubrykach następujących: felieton satyryczny, recenzje teatralne i sprawozdania z nowości literackich. Za felietony i ewentualne artykuły z polityki zagranicznej będzie brać osobno od wiersza.

29 września / 12 października rok 1911. czwartek.

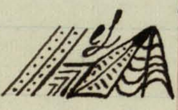

Dzień moich imienin. Wczesnym rankiem służące nasze, Anuśka Dyrzisówna i białorusinka Emilka, udekorowały mój fotel girlandami zieleni i żywego kwiecia, i drzwi od salonu do gabinetu udekorowały bramą z takiejże wstęgi zieleni i kwiecia. Od Marysieńki i Dzieci otrzymałem też 2 wazony kwiatów z ozdobnym plakatem, głoszącym powinszowanie, wykonanym przez Stefusia.

Otrzymałem od Ludwika Krzywickiego odpowiedź na mój list z zaproszeniem do współpracownictwa w „Przeglądzie Wileńskim". Krzywicki nietylko że chętnie się zgadza na udzielenie nam swej firmy współpracowniczej, ale pisze, że się chciałby podjąć korespondencji z Warszawy do naszego pisma. Odpowiedź ta ucieszyła mię niezmiernie. Już samo przez się pozyskanie takiej firmy, jak Krzywicki, jest dla nas rzeczą niezmiernie pomyślną. Gdybyśmy zaś mieli korespondencje z Warszawy pióra Krzywickiego, podniosłoby to niezmiernie wagę naszego tygodnika. Korespondencje te byłyby świetną ozdobą pisma. Ani marzyłem o tym, gdym pisał do Krzywickiego. Chciałem pozyskać jego nazwisko do prospektu, liczyłem conajwyżej na jakieś parę jego artykułów pomniejszych. Tymczasem współpracownictwo, które nam on proponuje, byłoby planowym i stałym a przez to nieoszacowanie cennym.

30 września
13 października
rok 1911.
piątek.

Wieczorem zebraliśmy się u Witolda Abramowicza, — Nagrodzki, Krzyżanowski, Witold Abramowicz i ja — dla omówienia spraw pisma i ewentualnie ostatecznego ułożenia prospektu. Do prospektu wszakże nie doszło, bo cały wieczór poszedł na omówienie spraw ściśle wydawniczych. Nagrodzki zaczął od tego, że przedstawił kosztorys wydawnictwa, który tak wyglądał: pensja redaktora rb. 40, pensja sekretarza rb. 60, pensja Hertza rb. 50, pensja Bogusławskiego rb. 25, lokal rb. 30, administracja (stała płatna administratorka rb. 30 i zapłata Skarzyńskiemu za zorganizowanie administracji, wyprzedaży, kolporterki i t. d. rb. 30) razem rb. 60, telefon miesięcznie rb. 7, drobne wydatki rb. 20, honorarjum współpracowników od wiersza rb. 150 miesięcznie, druk i papier miesięcznie rb. 325, czyli razem miesięcznie rb. 767, co wynosi rocznie rb. przeszło 9000, przy minimalnym obliczeniu. Na dochód z prenumeraty i sprzedaży detalicznej można w najlepszym razie liczyć rb. 2000; przeszło więc 7000 zostaje do pokrycia. Wobec tego powstała kwestja, czy warto przystępować do wydawnictwa. Jest zebranych niebardzo więcej ponad 2000 rb. i jeżeli się jeszcze zbierze rb. 1000 - 2000, to dobrze; liczyć bardzo na Petersburg, Moskwę, do których ma się jeszcze kołatać o flotę, — trudno. Jeżeli coś się nawet zbierze, to niedużo. Nagrodzki, Krzyżanowski i Abramowicz zrobili rzadkie miny. Kwestja bytu pisma znów zawisła w niepewności. Nagrodzki chciał znów próbować podnosić kwestję wydawnictwa taniego dziennika zamiast tygodnika, opierając się na tym, że w dzienniku można spekulować na ogłoszeniach. Ale Abramowicz i Krzyżanowski odrzucili myśl dziennika, a i ja nie byłbym w stanie podjąć się redakcyjnej organizacji popularnego dziennika. Gdy tak stanęła sprawa, wystąpiłem z wyrzutami do Nagrodzkiego, Krzyżanowskiego i Abramowicza, że postąpili nieopatrznie, iż wpierw uchwalili wydawać pismo i polecili mnie już rozpoczęcie organizacji, a teraz dopiero sporządzają obliczenie i sprawę cofają, gdy ja porobiłem już kroki, od których cofanie się jest t. j. przykre i kompromitujące. Napisałem już mnóstwo listów z zaproszeniami do współpracownictwa do publicystów i literatów poważnych, do takich nawet, jak Świętochowski, których lekko traktować nie można. Zaproponowałem, aby zmienili tygodnik na miesięcznik o formacie wszakże nie książkowym, lecz takim, jak litewska „Visuomenė” lub jak „Nasze Życie”. Narazie się im to podobało, lecz potem Krzyżanowski odradził, motywując tym, że miesięcznik wcale aktualny być nie może i że, choć miesięcznik kosztować będzie taniej, ale zebrać pieniądze nań jeszcze trudniej, niż na tygodnik. Wtedy Nagrodzki zaproponował t. zw. typ „dekady” t. j. pisma wychodzącego co 10 (miesięcznie 3 razy). Na tym też stanęło. Podaliśmy sobie wszyscy słowo na znak ostatecznej decyzji. Typ „dekady” obniży koszt wydawnictwa prawie o 1/4 część i prócz tego umożliwi [illegible] administracyjną.

1 (14) października rok 1911. sobota.

~~[illegible]~~ Dziś Anna przysłała mi ten podarek imieninowy, o którym mi przed paru dniami wspominała, jako o niespodziance, którą dla mnie gotuje. Istotnie niespodzianka bardzo miła — jest to mianowicie fotografia Anny w postawie siedzącej; twarz dobra, choć, jak zwykle na fotografiach, mała; są tylko rysy, tylko martwa twarz, tego zaś właściwego wyrazu, który stanowi główną ozdobę i urok mojej Anny, fotografia oddać nie jest w stanie. W każdym razie serdecznie się ucieszyłem z tej miłej niespodzianki.

Wieczorem poszedłem do Anny, która wciąż jeszcze w swym pokoiku na Antokolu mieszka. Poczekałem, aż się Anna przebierze, i pojechaliśmy z nią do sali klubu polskiego na koncert Karganowa, wykonawcy ~~[illegible]~~ pieśni cygańskich (z Karganowym kolegowałem ongi za czasów dzieciństwa w Petersburgu; w r. 1892 byliśmy z nim razem u p. Ellmanowej, gdzieśmy się przygotowywali do Szkoły Prawa; potem w Szkole Prawa Karganow był o parę klas wyżej ode mnie; szkoły nie skończył, a teraz wykierował się na pieśniarza cygańskiego i koncertuje po wszystkich miastach Rosji; nie widziałem się z nim od lat kilkunastu, i teraz też na koncercie jego byłem tylko w roli widza i słuchacza). Koncert Annie się podobał; była gra na fortepianie, gra na skrzypcach, śpiew Karganowa; Anna lubi muzykę. Cieszyła się z koncertu, wesoła była i milutka, serdeczna. My z Anną siedzieliśmy w krzesłach, na galerii zaś była Marynia z Hektorem. Marynia widziała nas wchodzących i domyśliła się, że to jest Anna. Anna z wyglądu wywarła na Maryni bardzo dodatnie wrażenie; Marynia zupełnie inaczej ją sobie wyobrażała, toteż była zdziwiona skromnością Anny, umiejętnym i taktownym jej zachowaniem się, ~~[illegible]~~ poważną i gustowną tualetą. Marynia wie o przeszłości Anny, toteż była trochę względem niej uprzedzona. Hektor nie wie, kto jest Anna, ale gdy ją ze mną zobaczył, był nią bardzo ~~[illegible]~~ zaintrygowany; zwrócił uwagę, że jest ładna, wciąż się jej przyglądał i obserwował. Po koncercie pojechaliśmy z Anną do Restauracji Myśliwskiej na kolację. Spędziliśmy na kolacji parę godzin b. wesoło; byliśmy z Anną w doskonałych humorach. Nastrój był serdeczny, pogodny. Wieczór dzisiejszy zaś liczę do najpiękniejszych wieczorów spędzonych z Anną. [illegible] odwiozłem Annę na Antokol, zabawiłem jeszcze u niej chwileczkę i wróciłem do domu.

2 (15) października rok 1911. Niedziela.

O południu pozowałem [illegible] Śruberskiemu, który się podjął wykonania mego portretu w płaskorzeźbie. Śruberskiego znam dawniej, z czasów paryskich. Do Wilna zabłąkał się Śruberski przypadkiem i ugrzązł tu z braku monety. Siedzi w Wilnie już od kilku miesięcy i stara się zarobić, aby zebrać na podróż do Paryża.

Chciałem go zaangażować do pojechania do Bohdaniszek dla wykonania medaljonowych portretów Rodziców naszych i w tym celu zaproponowałem wszystkim siostrom, aby stanęły do spółki w kosztach, ale siostry wolały zamiast płaskorzeźby portrety olejne, i projekt mój w skutek tego upadł (przynajmniej w stosunku do Śruberskiego). Postarałem się jeszcze zaproponować [illegible] Bohdanowiczowi, aby zaangażował Śruberskiego do zrobienia medaljonów jego dzieci. Co do mego portretu, to Śruberski sam się zaofiarował wykonać takowy i żadnej zapłaty zań przyjąć nie chce przez wzgląd na [illegible] dawną znajomość i stosunki; Śruberski liczy, że gdy znajomi moi zobaczą u mnie mój portret dobrze wykonany, to chętnie mogą się do niego z obstalunkami zwrócić. Oryginał mego portretu zostanie u Śruberskiego, ja zaś zrobię sobie odlew z gipsu. Śruberski obiecuje w dwóch seansach portret wykończyć. Dziś już przez krótki ½-godzinny seans wykonał budowę głowy i ujął zasadniczy charakter twarzy.

O godz. 7 zebraliśmy się u Krzyżanowskiego — Nagrodzki, Krzyżanowski, Witold Abramowicz i ja, aby znów dalej omawiać sprawę pisma. Z nowości niespodzianka. Nagrodzki, który wciąż pcha do stworzenia dziennika zamiast tygodnika i wciąż do swej kombinacji wraca, przyniósł dziś z bardzo poważną propozycję od firmy Szatza (biuro ogłoszeń), która gotowa jest zapewnić dziennikowi rb. 9000 rocznie za ogłoszenia. Nagrodzki widział się z Szatzem i proponuje to wnosi konkretnie. Na pierwszy rok Szatz dałby 9, na drugi zaś rok 12 tysięcy z ogłoszeń. Suma ta byłaby kosztów zabezpieczona. Dziennik musiałby być popularny i tani (1-kopiejkowy albo 2-kopiejkowy). Byłoby to [illegible] subsydiowanego dla pisma. W zasadzie osobiście wolę tygodnik, bo taki dziennik będzie z natury rzeczy [illegible] i mniej poważnym, ale uznaję, że jako czynnik społeczny w naszych warunkach dziennik taki byłby więcej wart od tygodnika, bo obejmowałby większą sferę czytelników [illegible] masy i przeto zwalczałby skuteczniej klerykalizm [illegible] przeważający dziś wśród nich (z wykluczeniem litwinów) wpływy. Tygodnik przemawiałby właściwie tylko do inteligentów, których sfery postępowe są u nas bardzo szczupłe i, co jeszcze ważniejsza i gorsza, są dość obojętne na sprawy społeczne. Tygodnik może wprawdzie mieć wpływ głębszy na małe grono czytelników, może stworzyć i skrystalizować pewne nowe kierunki ideowe, może [illegible] na rozwój społeczny oddziałać, ale pismo popularne stanowi potrzebę najpierwszą i w naszych warunkach może dziś skuteczniej jest od tygodnika inteligienckiego. Dla mnie zresztą to jeszcze rzecz nie wyklarowana zupełnie. Ale organizacja redakcyjna dziennika jest niewątpliwie rzeczą o wiele trudniejszą od organizacji tygodnika. Jak z tym sobie dać radę — niewiadomo. Co do mnie, to [illegible], czy mógłbym się podjąć zorganizowania redakcji dziennika. Sporządziliśmy kosztorys dziennika; koszt wydawnictwa wynosiłby netto 25000 rb. rocznie; licząc ofertę Szatza, dochód z prenumeraty i sprzedaży detalicznej, który obliczaliśmy na 3000 egz., brakowałoby nam do budżetu jeszcze ± 6–7000 rb. Dalszy ciąg tej kwestji odłożyliśmy na wtorek.

[illegible] na przedstawienie łotewskie, z którym [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] się [illegible] [illegible] [illegible]

3 (16) października
rok 1911.
poniedziałek.

Ostatni dzień spędzamy w mieszkaniu przy ul. Pocztowej. Jutro się przenosimy do nowego mieszkania przy ul. Wileńskiej. Wigilja przenoszenia się na nowe mieszkanie jest niewesoła. Trzeba wszystkie graty i drobiazgi zruszyć z miejsca; dokoła nieporządek, kurz. Siedzi się jak na jakimś popasie. Drobne rzeczy już od paru dni przenosimy na Wileńską.

Wstrzymałem angażowanie współpracowników do naszego projektowanego „Przeglądu Wileńskiego"; bo wobec nowego projektu dziennika sprawa znów jest w zawieszeniu.

4 (17) stycznia roku 1911.

Sruberski wykończył dziś mój portret w płaskorzeźbie. Zdaje się, że podobieństwo jest, ale czy charakter twarzy mojej odtworzony dobrze, — tego sam określić nie umiem. Gdy patrzę na mój własny portret, ~~[illegible]~~ w którym wydaje mi się, że ~~jest~~ twarz jest trochę niepełna i zaciężka. Ale może w istocie tak wyglądam. Człowiek zawsze chciałby wyglądać lepiej, niż jest, a że sam siebie nie widzi, więc może się swobodnie łudzić, że jest ładniejszy, piękniejszy, powabniejszy. Zresztą pretensji do piękności nie mam; byle podobieństwo i charakter były oddane. Co do budowy głowy w portrecie, to mi się wydaje, że twarz trochę zanadto naprzód wydłużona i dolna część nosa skupiona, co bodaj że we wszystkich pracach Sruberskiego się dostrzega.

Wynieśliśmy się dziś wreszcie z Połtowej na Wileńską. Mieliśmy się przenosić o godz. 1. Marynka poszła do nowego mieszkania, ja ze służącą Anusią zostaliśmy w starym mieszkaniu dla ekspediowania rzeczy. Przez kilka godzin czekaliśmy bezskutecznie. Trzeba było ~~jech~~ jeździć parokrotnie do kantoru Wojewódzkiego, który się podjął dokonania przeprowadzki i ruchu przybyłych furmanek i ludzi. Dopiero o godz. 5 przyjechały furmanki. Robotników było dwóch i przeprowadzka poszła prędko.

Wieczorem o godz. 9 zebraliśmy się znów u Witolda Abramowicza — Nagrodzki, Krzyżanowski, Wit. Abramowicz i ja — dla dalszego traktowania sprawy pisma. Ja coraz bardziej się utwierdzam w przekonaniu, że dla Wilna w naszych warunkach potrzebniejszy jest tygodnik od dziennika. Dziennik wprowadza do szerszych mas trafi, niż tygodnik, ale musi być przedewszystkiem aktualny i omawiać ogólne wiadomości ze świata, mniej natomiast od tygodnika pogłębi zagadnienia krajowe. Dziennik, utrzymywany w kierunku demokratycznym wstępnie, ukształtowałby się na przeszczepienie ogólnych nastrojów demokratycznych do szerszej publiczności — i w tym jego zadanie. Ale dla pogłębienia zasadniczych krajowych, dla wytworzenia, że tak powiem, programu pracy demokratycznej w kraju dla elementu polskiego, — tygodnik jest o wiele od dziennika skuteczniejszym. My zaś, t. j. demokraci polscy w Litwie, jesteśmy dotychczas garstką luźnych indywiduów, bez programu, bez określonej koncepcji zagadnień krajowych. Tygodnik byłby dla nas placówką podstawową dla porozumienia się i ustalenia krajowych postulatów demokratycznych. Dziennik to już popularyzacja i propaganda, a my jeszcze nie mamy co propagować. W tych warunkach dziennik, [illegible] z natury rzeczy ogólnikowo-politycznym, i jaśniejszej roli twórczej wypełnić nie zdoła. Tak mi się to zdaje. Sprawa zupełnie była [illegible] i [illegible] dziennika w r. 1906 w czasie powstawania „Gazety Wileńskiej". Dziś wrócono znów w czas właśnie na tygodnik. Ale już nie zebraliśmy dziś większym i mowy o wyborze między dziennikiem a tygodnikiem nie było. Nagrodzki parł z całej siły do dziennika, Krzyżanowski też i Witold Abramowicz. Dziś była też kwestia na razie. Rzecz ta istotnie, wobec oferty Szatana, który gwarantuje sumę 10500 rb. za zbieranie, finansowe podstawy bytu dziennika są pewniejsze od tych, jakie posiadamy dla tygodnika. Utknęła kwestia wszakże na kwestii zorganizowania redakcji. Ja całkowicie [illegible] i tylko [illegible] redaktorstwa podjąć się nie mogę. Nagrodzki wysunął kandydaturę dublowaną Abramowicza na [illegible], [illegible] na co [illegible] się nie godzę.

5 (18) października rok 1911. Środa.

Z dziennikiem — bo o tygodniku już wcale mowy niema — wciąż się mnożą trudności. Utknęliśmy na organizacji redakcji i ani rusz dalej. Na Ludwika Abramowicza, jako na redaktora, ja się zgodzić nie mogę. W takim razie nie byłoby to takie pismo, o jakieby mnie chodziło. Uznaję kwalifikacje zawodowe Ludwika, mam zaufanie do szczerości jego przekonań, ale przekonania te niewątpliwie się różnią od naszych a przynajmniej od moich. W całym szeregu kwestji, np. takich jak sprawa żydowska, stosunek do klerykalizmu, sprawa polsko-litewska, stanowisko polaków w kraju, stosunek do ziemian i t. p., między poglądami Ludwika Abramowicza a moimi jest różnica zasadnicza i to gruba. Jeżeli pismo ma wznowić tradycje „Gaz. Wileńskiej”, to z Ludwikiem Abramowiczem na czele ono tego nie wypełni. Nagrodzki życzy teraz mieć Ludwika za redaktora ze względu na jego ~~[illegible]~~ fachowe kwalifikacje dziennikarskie, ale gorzej będzie, gdy potem powstaną scysje między [illegible] redaktora a tym typem pisma, jakiego sobie organizatorowie życzyli. Krzyżanowski też Ludwika za redaktora mieć nie chce. Witold Abramowicz popiera brata. My z Krzyżanowskim jesteśmy w pozycji o tyle słabszej, że nie możemy kandydaturze Ludwika nic konkretnego przeciwstawić. Całkowitego redaktorstwa jabym na siebie wziąć nie mógł, a wpływ na ~~[illegible]~~ kierownictwo mógłbym tylko o tyle przyjąć na siebie i gwarantować, o ileby w redakcji pracował człowiek, z którymbym się ideowo zupełnie solidaryzował. Przy Ludwiku zaś Abramowiczu jabym się od wszelkiego udziału w kierownictwie usunął. Zaproponowałem dziś ewentualnie wyjście takie. Niech Ludwik Abramowicz obejmie sekretarjat z kierownictwem technicznym; ~~[illegible]~~ z Warszawy trzeba sprowadzić kogoś, ktoby był zupełnie z nami ideowo solidarny i któryby stanął pod względem ~~[illegible]~~ kierunku pisma obok Ludwika; redaktorem zwierzchnim byłbym ja, wycofałbym się zaś tym powoływaniem faktycznym. Niby jak na tym stanęło, ale Ludwik, który [illegible] w rozmowie z nami jeśli zgodził się na taką rolę. ~~[illegible]~~ Mnie trudno samego siebie [illegible] sowanie, zwłaszcza że wiem, iż Krzyżanowski i Nagrodzki nie mają do mnie pod względem moich uzdolnień dziennikarskich

zaufania; chcieliby mię, aby kierunek był wasz przeważnie [illegible] aby Redaktorem [illegible] Nie [illegible] Ale jak [illegible] nie mogę [illegible] kierunku [illegible]

9/19 października roku 1911. czwartek.

Witold Abramowicz znów mię nagabywał w sprawie zabungarsowania Ludwika Abramowicza na redaktora naszego dziennika. Oświadczyłem, że ja się ~~[illegible]~~ na Ludwika zdecydować nie mogę, ~~[illegible]~~ bo nie mam przekonania, iż kierunek pisma w jego redakcji będzie odpowiadał naszym założeniom. Ponieważ zaś ja stawiam przedewszystkiem względy ideowe, więc zgody mojej na redakcję Ludwika nie daję. Ponieważ zaś to, co ja proponuję, to znaczy sprowadzenie kierownika ideowego z Warszawy, z którym wespół ja kierunek obejmę, — jest ze względów materjalnych, zdaniem Witolda Abramowicza, niewykonalne, a zdaniem wszystkich — technicznie niepraktyczne, więc, nie mogąc mu wyboru Ludwika przeciwstawić, ~~[illegible]~~ usuwam się nadal od organizowania pisma w razie, jeżeli wybór Ludwika ma być postanowiony. Nie będę ~~[illegible]~~ wnosił żadnych protestów ani opozycji, nie będę podkopywał sprawy, ale nie mając wiary w to pismo, nie mogę brać udziału w organizacji. Nie odmawiam też mego współpracownictwa, aczkolwiek czy ono będzie ściślejsze czy dalsze — to dopiero będzie zależeć od konkretnego kierunku ~~dziennika~~. Krzyżanowski też, zdaje się, w podobny sposób stawia sprawę swego udziału w organizacji na wypadek wyboru Ludwika. ~~Witold~~ Niech więc decydują Nagrodzki z Witoldem Abramowiczem. Witold Abramowicz, chcąc nas pozyskać dla kandydatury Ludwika, wnosi poprawkę do redakcji następującą: ponad redaktorem ma być jedna osoba z prawem veto w stosunku do każdego artykułu dla przestrzegania ścisłości kierunku i oprócz tego stały komitet redakcyjny z kilku osób. Ale i te gwarancje nie wystarczają.

Wieczorem spotkałem się z Anną na umówionym miejscu przy kościele św. Jana. Poszliśmy na kolację do restauracji Myśliwskiej; wypiliśmy tam wino i Anna zaczęła mię prosić, abyśmy poszli do hotelu. Zgodziłem się na to chętnie. Zaszliśmy do hotelu Versailles przy ul. Wielkiej, do którego najczęściej zachodzimy. Mieliśmy tam spędzić jedną porę dnia, ale potem nie chciała się nam w nocy wracać do domu [illegible] to też [illegible] postanowiliśmy [illegible] z Anną całkiem [illegible] wszelkie [illegible] kierunek [illegible] Było to [illegible] nie [illegible] przyjęcie w [illegible] nie postać [illegible] stosunku drugiego dnia. Odtąd już [illegible] nie był.

7/20 października rok 1911. piątek.

Do południa zabawiłem z Anną w hotelu. Noc ta, przemarzona we dwoje, była prześliczna. Noc taka, utkana z miłości w jej najpełniejszym rozkwicie, — to przepyszna królewska poezja dwojga dusz ludzkich. Jest to pieśń ponad pieśni piękniejsza, bo emanacja nie li tylko dźwięków głosowych, lecz całego psychicznego zespołu człowieka. Człowiek się jakby roztwarza w miłości, wylewa i dopiero zyskuje doskonałą pełnię twórczości. Miłość wydobywa całą potęgę indywidualną osobnika, całą ją z człowieka wydobywa dla oddania jej pełni towarzyszowi lub towarzyszce jako drugiej. Miłość wzajemna jest to doskonała postać bytu, w której dopiero życie człowieka osiąga najbujniejszego rozkwitu i najpełniej streszcza całość kształt skupienia indywidualnego. Ponieważ zaś w miłości wzajemnej dający siebie odbiera tyleż potęgi od osoby kochanej, przeto miłość taka nie wyczerpuje i nie wyjątkowa zasobów duchowych, jak wyczerpuje miłość jednostronna.

Annę znam i kocham we dnie, w każdym z nią spotkaniu, w każdym calu. Lecz dopiero w nocy, gdy jesteśmy ze sobą samotni i dla siebie wyłącznie, poznaję ją i kocham w całej pełni. Ile się wtedy przysparza nowych cech duszy, nieznanych przedtem w powszednim życiu dziennym, jak się udoskonalają podnoszą wszystkie władze psychiczne i jakich przepięknych wyrazów uczuciowych się dobywa — to tylko wie ten, kto kochał i kto jest kochany, gdy stosunek dwojga jest całkowicie w miłości skupiony.

Dziś rano przed wyjazdem z hotelu wyznałem Annie [illegible], po wyprowadzeniu jej z [illegible], chcąc, aby prawda [illegible] była dla mnie skuteczną, a nie mając odwagi [illegible] stanu jej duszy li tylko z rozmowy ze słów jej, bo słowa te były tylko wspólną [illegible] nie mogły wyrazić całej złożoności kombinacji psychicznej, [illegible] z powodu [illegible] po [illegible]. Było to tego dnia; [illegible] zaprowadziłem [illegible] do [illegible]. Było to nocą [illegible], ale to nie dopiero [illegible] do zrozumienia stanu duszy Anny i [illegible]. Anna [illegible] i [illegible] stopienia, [illegible] [illegible] [illegible] pochwała [illegible].

[illegible]

8 (21) października rok 1911. sobota

Mam już odlew gipsowy z portretu mego, wykonanego w płaskorzeźbie przez Szuberskiego. Odlew przyniesiono mi wczoraj. Portret nie podobał mi się od razu, ale nie byłem pewny, czy, oceniając podobieństwo własnej twarzy, nie stosuję kryterjum zbyt subjektywnego. Twarz jest zanadto wydłużona naprzód, czoło pochyłe, jakiegoś niemanny [?], wyraz bezmyślny. Marynia [?] wszakże, dzieci, obie służące i nawet pani Znyżanowska [?], która widziała portret, — wszyscy potwierdzają, że portret jest nieudatny, niepodobny do mnie, w rysach moich nawet upiększony, ale zato całkiem w wyrazie zeszpecony.

Przez większą część dnia gotowałem się dziś pilnie do jutrzejszego referatu z prawa cywilnego, który mam wygłosić na ~~[illegible]~~ konferencji ćwiczeniach praktycznych pomocników adwokatów. Będzie to referat na temat o wykonaniu umów. Nie przygotowałem się do tego referatu zawczasu, to też dziś musiałem przysiedzieć fałdów i w ostatniej chwili całą pracę przygotowawczą odrobić. Ale zdołałem pokonać trudności i przygotowałem się nieźle.

O godz. 7 wieczorem poszedłem do Jana Vileišisa, gdzie się zebrali przedstawiciele „Lietuvių Mokslo Draugijos" i „Lietuvių Dailės Draugijos" dla zawarcia przedwstępnej umowy — [illegible] na kupno placu pod budowę domu narodowego litewskiego w Wilnie, który ma stanąć pod firmą tych 2 towarzystw. Przedstawicielami „Mokslo Draugijos" byli dr. Basanowicz i Jan Vileišis, przedstawicielami „Dailės Draugijos" Antoni Żmujdzinowicz i ja. Umowę zawieraliśmy z adwokatem Wimontem, jako plenipotentem sprzedawców. Obecność Basanowicza na zebraniu litwinów ~~[illegible]~~ wytwarza zawsze pewną niewyraźną sytuację językową. Basanowicz, mający skądinąd duże olbrzymie wręcz zasługi ~~[illegible]~~ w sprawie odrodzenia narodowego litwinów, jest wszakże czystej krwi nacjonalistą. Jest strasznie podejrzliwy względem wszystkiego, co polskie; węszy na każdym kroku niebezpieczeństwo [illegible] polskiej, która jest dla niego straszakiem największym. Stąd jego wstręt do języka polskiego; gdy w kółku litwinów z udziałem takich osób, jak on, używa się języka mieszanego, to litewskiego, to polskiego, Basanowicz unika tendencyjnie języka polskiego i przechodzi raczej na rosyjski, o ile nie mówią po litewsku. Wiecheć [?] to jest przykre, ale [illegible] dla niego zrozumiałe. Jest to pewien bunt [illegible] przeciwko [illegible] języka litewskiego, który wszędzie ustępuje pierwszeństwa polszczyźnie.

O godz. 6½ wieczorem poszedłem do [illegible]

9 (22) października
rok 1911.
niedziela.

O południu w pokoju adwokackim w Sądzie odbyła się bieżąca konferencja (ćwiczenie praktyczne) z prawa cywilnego pomocników adwokatów. Obecny był adwokat Friedman, jako kierownik, oraz młodsi adwokaci i pomocnicy: Powołocki, Janulaitis, Srzajewski, Leon Sumorok, Sołdmann, Zygmunt Kozłowski, Łapin młodszy, Wyszyński, Tarchewski, Węckowicz oraz grono najmłodszych, którzy dopiero od tej jesieni się do adwokatury wpisali i których nazwisk nie znam. Referentem byłem ja; referowałem o wykonaniu umów. Brak mi płynnej wymowy przy referowaniu, zwłaszcza ze względu na język rosyjski, ale zato pod względem treści referat mój wyczerpał temat i luk ani braków nie miał. To też z rezultatu mej pracy byłem zadowolony. Dyskusja, która się potem wywiązała, polegała nie na prostowaniu lub uzupełnianiu tez moich, lecz na omawianiu poszczególnych momentów wykonania umów.

O godz. 5, jak było między nami umówione, spotkałem się z Anną w cukierni Jassowicza przy ul. Wielkiej. Stamtąd poszliśmy z Anną do kinematografu „Bronisława" na propekcję a wieczorem stamtąd na kolację do restauracji Myśliwskiej. Wieczór ten wszakże spędzony z Anną, upłynął do niczego. Wciąż coś stawało między nami, — jakieś niedomówienia, jakieś głuche i niewyraźne żale i tęsknoty. Już wpierw w cukierni ja na jedną chwilę zadumałem się nad możliwością miłości Anny dla mnie. Gdy się kocha, jest się często niespokojnym, niepewnym swego szczęścia; człowiek próbuje się zbudzić z ekstazy, szuka i nicuje dokoła, azali to prawda być może, iż posiada to serce kochane, i z niepokoju, z niewiary chwilowej przesadza w trzeźwości sceptycyzmu i zbyt skoro gotów jest burzyć swe własne szczęście. Taką chwilę przebyłem w cukierni. Smutek mój zauważyła Anna i zaczęła wnioskować, że się na nią gniewam lub obojętnieję. Była to tylko chwilka śród serdecznej i radosnej atmosfery, ale chwilka ta wniosła zły ferment do całego nastroju. W kinematografie usiadła przed nami jakaś młoda ładna kobieta. Spojrzałem na nią raz i drugi uważnie, co się Annie nie podobało. Anna się trochę nadąsała, nie mówiąc mi wszakże przykrości, bo jest dumna i ambitna. Ja zaś, właśnie na przekór Annie, przez jakąś głupią zemstę za moje chwilowe poprzednie zwątpienie w jej miłość, zacząłem coraz więcej patrzeć na tę piękną kobietę. Nie było między nami o tym ani słowa, ale widziałem, że Anna cierpi i to mi jakieś dziwne zadowolenie sprawiało, a potem ogarnął taki żal, taka miłość serdeczna, że bym ją chciał przytulić i całe serce przed nią otworzyć, aby widzieć mogła, iż nikt, prócz niej, w mym sercu nie gości. Wyszliśmy z kinematografu, przyszli do restauracji. Anna była przygnębiona i smutna, a w sercu miała łzy. Była cicha i pokorna. Nie wie, co się działo w mym sercu, jak ją kochałem, jaki mi był żal i jaka złość na siebie:

10/23 października rok 1911. poniedziałek.

Rano wpadł do mnie Nagrodzki, oświadcza, że Szatz daje już na pismo po 40 rb. za ark. czyli rb. 12000 rocznie za wyświetlanie ogłoszeń, dalej powiada, że wobec tego należy jak najprędzej kończyć ze sprawą organizacji redakcji, skoro pismo ma od 1 grudnia zacząć wychodzić, i że przeto dziś wieczorem musimy się dla tej sprawy zebrać. Na zebraniu wieczornym mamy powziąć wreszcie ostateczną decyzję co do kandydatury Ludwika Abramowicza na redaktora. Nagrodzki forsuje i popiera tę kandydaturę z całej siły. Na to znów oświadczyłem Nagrodzkiemu, że ja się na kandydaturę Ludwika nie zgodzę, a jeżeli inni tę decyzję powezmą, to ja się cofnę i tylko to przyrzekam, że szkodzić i zwalczać sprawy nie będę. Nagrodzki zaproponował mi taką kombinację: Ludwik Abramowicz redaktorem, dozór ściślejszy nad kierunkiem pisma z ewentualnym prawem veta objęlibyśmy we dwóch my z Witoldem Abramowiczem, wreszcie ponad tym dla spraw zasadniczych utworzyłby się komitet redakcyjny, złożony z Nagrodzkiego, Krzyżanowskiego, Jana Piłsudskiego(?), mnie, Witolda i Ludwika Abramowiczów. Odrzekłem, że ściślejszego dozoru nad kierunkiem przy redaktorstwie Ludwika objąć nie mogę, bo mógłbym się tego podjąć tylko w takim razie, gdyby redaktorem był człowiek ideowo dla mnie bliski i pewny, a tej pewności w tym wypadku bynajmniej mieć nie mogę, a przyjmować odpowiedzialność na siebie tego nie mogę. W zarząd natomiast komitecie redakcyjnym udział wezmę. Nagrodzki mnie jeszcze spytał, czy się jednak nie cofnę od organizowania pisma teraz, gdy zaangażowany będzie Ludwik. Odpowiedziałem, że się cofnę stanowczo, bo nie mam żadnej gwarancji co do ideowego charakteru i kierunku pisma. Na tym nasza rozmowa z Nagrodzkim stanęła. Obiecałem, że przyjdę wieczorem na zebranie, na którym ma być ostatecznie omówiona kandydatura Ludwika i ma zapaść ostateczna decyzja co do organizacji redakcji.

Popołudniu spotkałem się w … z Krzyżanowskim, który mi znów wyrażał swe wątpliwości co do Ludwika, jako redaktora, i opowiedział, że przedwczoraj w sobotę na zebraniu „Skubrawców" u Żebrowskiego(?) rozprawiano o naszym piśmie w związku z kandydaturą Ludwika i że nawet ci, według … „postępowcy", którzy do „Skubrawców" należą, wyrażali się o tej kombinacji w ten sposób, że zaangażowanie Ludwika, który niegdyś przeszedł z „Gazety Wileńskiej" do „Kurjera" i przez lat kilka w „Kurjerze" bądź co bądź innym bogom służył, byłoby jakoby kompromitacją naszego postępu i demokracji, i że takie pismo popierać nie warto. Tymbardziej tedy … mogę, bo ani sprawa tego nie warta … , które … ustalone, nie jest taka, abym mógł ją w niewyraźnych kombinacjach … . Tymbardziej postanowiłem zgody mojej na ten wybór nie dać.

Pod wieczór znów był u mnie stary p. Ostachiewicz, który przyszedł wprawdzie w innym interesie, ale też mnie zapytywał, czy prawda jest, że się angażuje Ludwika na redaktora pisma. Potwierdziłem, że istotnie projekt taki jest i że dziś ma być właśnie o tym decyzja i prawdopodobnie taka właśnie zapadnie; zaznaczyłem wszakże, że ja jestem przeciwny temu i mojej zgody nie dam. Widziałem się też z Jeleńskim i Antonim … z „Naszej Niwy", który też się bardzo ujemnie do redaktorstwa Ludwika ustosunkował. To samo też mi wyrażał Jamulaitis w rozmowie. Co zaś p. Ostachiewicza, to ten mi oświadczył, że właśnie miał być jutro u Nagrodzkiego, któremu miał … , jakieś … pisma, lecz teraz, gdy się potwierdza wieść o Ludwiku, cofnie się. Słowem zewsząd, od rozmaitych grup, kół i osób, dochodzą wyrazy żalu i niezadowolenia z tej kandydatury.

Wieczorem poszedłem na to zebranie, na które mnie Nagrodzki wzywał. Zebranie było w mieszkaniu Witolda Abramowicza. Jakież było moje zdziwienie, gdy oprócz Nagrodzkiego, Witolda Abramowicza i … zastałem tam też Ludwika Abramowicza i to … właściwie w roli zaangażowanego redaktora. Krzyżanowski przyszedł dopiero nieco później, po mnie. Wpadłem właśnie

11 (24) października. rok 1911. wtorek.

Zdenerwowany i podrażniony byłem przebiegiem spraw dnia wczorajszego. W nocy źle spałem, trawiony niepokojem o los pisma, oddanego w ręce Ludwika Abramowicza. Sprawa ta jest dla mnie bolesna i przejmuje mię dotkliwie. Przez lat 5, od czasu upadku „Gazety Wileńskiej" wciąż się myślało o wznowieniu pisma demokratycznego, wciąż się tworzyło i omawiało projekty, szukając dróg wykonania i zbierając w pocie czoła zasoby. Aż oto gdy teraz sprawa ta jest tak bliska zrealizowania, gdy wreszcie nam świta nadzieja powodzenia, dzieło to, w które włożyliśmy tyle pragnień serdecznych, tyle wiary, tyle ideałów społecznych, trafia do rąk człowieka, który dla nas w tej robocie przeszkadzał i który przez lat kilka był człowiekiem obozu przeciwnego. Jest to zawsze boleśniejsze od zawodu, polegającego na niedojściu całkiem rzeczy do skutku.

* Drugi względ, na który nie mniej od pierwszego wrażliwy jestem, jest natury osobistej. Nie chcę bynajmniej stawiać kropki na mojej przyszłości, nie myślę jeszcze umierać albo przechodzić w stan spoczynku. Nie jest mi przeto obojętne moje imię, które nadal szarpać nie chcę. Zdobyłem to imię przez określony kierunek pracy literacko-społecznej. Dziś jest ono znane w kraju i ma barwę zupełnie wyraźną; otóż farbą tą plamić nie chcę, nie mogę przeto angażować mego imienia do sprawy, która jest dla mnie niewyraźną i która pod względem ideowym nie daje mi żadnych gwarancji, że będzie odpowiadała temu, o co mnie chodzi. Otóż zachodzi dla mnie ta kwestia, czy, nie dając zgody na redaktorstwo Ludwika Abramowicza, a jednak zgadzając się należeć do komitetu redakcyjnego w piśmie, przez niego faktycznie redagowanym, czy powiedziałem — przez to samo nie sankcjonuję pośrednio tego wyboru Ludwika i czy nie biorę na siebie tą drogą odpowiedzialności moralnej za rzecz, której akceptować nie chciałem. Myślałem o tym w nocy i długo i koniec końców bardziej się utwierdziłem w przekonaniu, że, chcąc być wolnym od wszelkiej odpowiedzialności moralnej, winienem się całkiem z komitetu redakcyjnego wycofać. Rozumiałem też, że Nagrodzkiemu i Witoldowi Abramowiczowi, który forsowali Ludwika, chodzi o to, aby mię w komitecie redakcyjnym mieć w charakterze parawanika, aby imieniem i sławą moją pokryć istotny stan rzeczy wobec opinii zaalarmowanej przez nieszczęśliwą kombinację z Ludwikiem. Postanowiłem więc wycofać się z komitetu, porozumiewszy się poprzednio z Bagińskim i Krzyżanowskim, jako ludźmi, których opinię, szczerość ideową i głowę szanuję. Bagiński wszakże odradzał mi wycofania się z komitetu. Choć sądzi on, jako człowiek, jest osobiście bardzo do redaktorstwa Ludwika nie usposobiony i choć poprzednio sam obmyślał sposoby przeciwdziałania temu wyborowi, jednak powiada, że teraz, skoro wybór ten jest faktem dokonanym, powinienem nie rozbijać sprawy i pozostać w komitecie na straży tradycji ideowego stanowiska pisma, gdy takowemu grozi niebezpieczeństwo. Jeżeli rzecz ułoży się dobrze nawet, to — powiada Bagiński — nie trzeba jej rozbijać wobec zła jeszcze większego, które może nastąpić. Trzeba pozostać i starać się zachować wpływ, a dopiero gdy się okaże, że rzecz schodzi na manowce i kierunek się wypacza, wtedy wystąpić, ale już wystąpić z hałasem. Na to mu odpowiedziałem, że właśnie późniejsze moje wystąpienie z hałasem o wiele więcej zaszkodziłoby pismu. Już cofnięcie się teraz zaważy w ten sposób, aby to się stało jak najbardziej niepostrzeżenie; szkodzić specjalnie pismu i rozbijać takowe nie chcę, ale imienia mego na sankcję dawać nie chciałbym. Ostatecznie Bagiński zrozumiał moje względy i uznał je za zasadniczo słuszne. Krzyżanowski zaś, z którym osobno mówiłem, uznaje moje względy i sam też zamierza się wycofać z redaktorstwa Ludwika, i też sposób sprawy rozwiązanie, że powinienem właśnie nie [illegible]

[illegible]

12/25 października rok 1911. Środa.

Dymisja moja z komitetu redakcyjnego powstającego dziennika — podziałała wstrząsająco. Tak imię moje w Wilnie i w kraju jest ściśle związane ze sprawą postępu, że powstanie pisma demokratycznego bez mego udziału już samo przez się budziłoby wszelakie domysły w opinii oraz podejrzenie, czy pod płaszczykiem demokratyzmu nie ukrywają się jakieś obce dla sprawy postępu spekulacje. Tymbardziej teraz, kiedy opinia sfer postępowych od [redacted] lewicy żydowskiej aż do prawicy umiarkowanej postępu już jest zaalarmowana wieścią o redaktorstwie Ludwika Abramowicza, moje wycofanie się od dalszego udziału w organizowaniu pisma staje się dla sprawy zabójcze i całkowicie ją z torów demokratycznych w opinii strąca. Przez moją więc dymisję sytuacja dla pisma wytworzyła się fatalna. Tymczasem jednocześnie wybuchła zacięta [illegible], coraz gęściej dochodzą echa zgorszenia, jakie wywołała w opinii kandydatura Ludwika Abramowicza na redaktora. Już Nagrodzkiemu ktoś, co chciał złożyć deklarację na udział pieniężny na pismo, oświadczył, że na pismo, redagowane przez „[illegible]", pieniędzy nie da. Zupełnie(?) w sądzie Klott, który jest najlepszym barometrem przeciętnej opinii i to właśnie sfer umiarkowanych, uprzedził wszystkich organizatorów pisma, [redacted] żeby Ludwika raczej na redaktora nie angażować, bo już w mieście jest straszny krzyk z tego powodu. Burza tych względów, kompromitujących pismo, podziałała na grono organizatorów. Jedni, jak Krzyżanowski, Piłsudski, mieli już zgóry sami przez się poważne wątpliwości ideowe co do Ludwika; echa opinii szerszych kół z miasta oraz moje radykalne wycofanie się z komitetu dodały im bodźca do podjęcia akcji stanowczej. Dla Nagrodzkiego zaś, który ze względów opportunistycznych skłaniał się na rzecz Ludwika, moje wycofanie się było [redacted] uderzeniem obucha po głowie i dopiero otworzyło mu oczy na sytuację; zrozumiał, że redaktorstwo Ludwika jest dla pisma rzeczą najniebezpieczniejszą. Słowem przesilenie nastąpiło już wczoraj, zaraz po otrzymaniu mych listów, zgłaszających dymisję. Pierwszy porozumiał się Krzyżanowski, który w mojej [illegible] z Piłsudskim z przedstawieniem(?), że trzeba zerwać kontynuację z Ludwikiem. Uradzili oni wezwać na dziś na godz. 4 grono pozostałych organizatorów (Nagrodzki, Witold Abramowicz, Krzyżanowski i Piłsudski) dla omówienia sytuacji. Rano spotkał mnie Piłsudski w sądzie i poprosił, abym mu wyłożył dokładnie motywy mego wycofania się. Wytłumaczyłem mu wszystko to, com wczoraj napisał Nagrodzkiemu i Krzyżanowskiemu.

Po obiedzie koło godz. 5, gdym sobie siedział najspokojniej przy stole, pijąc kawę, przyszli do mnie wszyscy czterej organizatorzy z oświadczeniem, że po naradzie postanowili z Ludwikiem zerwać i proszą, abym ja się zajął zorganizowaniem redakcji. Uważałem, że spośród nich czterech Witold Abramowicz był twardy w tej decyzji najbardziej(?); on to bowiem głównie przez cały czas wszelkimi sposobami forsował brata, to też teraz jest mu ciężko, jak się dowiedział [illegible] potem zżymał się bardzo na poprzednim zebraniu i był zły na mnie. Inaczej sprawa zorganizowania redakcji pozostaje nadal zagadnieniem bardzo ciężkim; [redacted] [illegible] sam całego redaktorstwa wziąć na siebie nie mogę. Nagrodzki proponuje zaprosić na redaktora p. Józefa [illegible], bo uważa, że potrzebny jest do tego człowiek niezależny i sprofesjonalizowany, że przy nim Ludwik zgodziłby się przyjąć dla siebie funkcję [illegible] w piśmie. Dla mnie kandydatura ta jest [illegible] względów wątpliwych. Zgodzi się, że bez sprowadzenia człowieka z Warszawy, [redacted] który by objął funkcję mego współredaktora czynnego, nie obejdzie się. Na kierownika technicznego [illegible] za pośrednictwem zaproszenia Hertza, do którego też zaraz o tym napisałem (bawi on we Lwowie).

Po wieczór przyszedł do mnie Ludwik Abramowicz. Chciał się porozumieć ze mną i wyjaśnić, [illegible] któryśmy [illegible] na jego [illegible] redakcji [illegible] Wypowiedział mi [illegible] wszystko [illegible] więc się porozumieć [illegible]

58.

13 (26) października rok 1911. czwartek.

O godz. 4 zebraliśmy się u Nagrodzkiego w sprawie pisma: Nagrodzki, Krzyżanowski, Witold Abramowicz, Jan Piłsudski i ja. Miałem przedstawić im mój projekt zorganizowania redakcji pisma. Właściwie projektu całkiem gotowego nie mamy, i to jest właśnie naszą słabą stroną w porównaniu do projektu redaktorstwa Ludwika Abramowicza. Ale czyż to, że nie mamy projektu już gotowego, ma być racją wystarczającą do przyjęcia projektu z Ludwikiem, który się nam wydaje słabym. Tymczasem Witold Abramowicz tak właśnie kwestię stawia i uważa moją odmowę na danie sankcji na redaktorstwo Ludwika za upór. Oczywiście zważałem, że skoro projekt gotowy z Ludwikiem wydaje mi się zły, to należy spróbować zorganizowania innego projektu. Otóż plan mój jest taki. Do roboty technicznej, ściśle dziennikarskiej, w piśmie zaangażować Benedykta Hertza, do którego już o tym napisałem. Oprócz Hertza musimy jeszcze znaleźć właściwego redaktora czynnego, który powinien łączyć kwalifikacje ideowe z zaletami publicysty. Proponowany wczoraj przez Nagrodzkiego p. Józef Bąkowski nam stanowczo to się nie nadaje. Jest jeszcze kandydatura Edwarda Sokołowskiego, proponowana przez Krzyżanowskiego, ale ten budzi w nas wątpliwości pod tym względem, że jest to człek partyjny a przeto ujęty w ciasnych ramach. Należy zatem trzeba pojechać do Warszawy i tam szukać takiego człowieka spośród ludzi młodszych. Wydaje mi się to zupełnie możliwym. Taki człowiek, jeśli tylko będzie miał kwalifikacje odpowiednie i jeżeli właśnie żywość i wrażliwość uczuciowe, prędko się wciągnie w stosunki miejscowe przy pomocy mojej jako czynnego kierownika, oraz Hertza, jako dziennikarza-technika. W Warszawie mam stosunki dość obszerne w świecie literacko-publicystycznym. Zwrócę się do Władysława Malinowskiego z „Kuriera", do Krzywickiego i Hurlickiego [?], który się odniosą do naszej sprawy serdecznie i pomogą nam w znalezieniu człowieka. Do Warszawy pojechałbym z Nagrodzkim. Ewentualnie można też poszukać w Petersburgu wśród ludzi młodszych, który niedawno pokończyli wyższe zakłady. Ewentualnie myślałem o niejakim Konstantym Romanowskim [?], który zna się dobrze na sprawach ekonomicznych i pisze dobrze, treściwie i dobitnie (pisywał w „Nowym Życiu" pod pseudonimem Zagrańskiego). Ostatecznie plan mój został zaakceptowany. Witold Abramowicz był wściekły, że z kandydaturą jego został brat jego, którego on tak usilnie na redaktora forsował. Oświadczył więc teraz, że wobec tego on koncesji na pismo na swe imię brać nie będzie i w ogóle uważa całe przedsięwzięcie za chybione. Cały aż odszedł ze złości i podrażnienia

[illegible]

Córeczka moja, Ceśka, o której już oddawna 14/27 października
żadnej wiadomości nie mieliśmy, skończyła dziś
rok i 3 miesiące. Oby się jej dobrze działo i oby rok 1911.
rosła dziecina w radości mojej!
Witold Abramowicz oświadczył dziś Nagrodzkie- piątek.
mu, Krzyżanowskiemu i Piłsudzkiemu, że wobec
odrzucenia przez nas kandydatury brata jego Ludwi-
ka na redaktora pisma, on nie wierzy w uskus-
tecznienie wydawnictwa i wogóle nie widzi
żadnych szans powodzenia i że przeto wyco-
fuje się od dalszego udziału w organizowa-
niu dziennika. Odtąd zajmie on stanowisko
biernego sympatyka pisma, [redacted] szkodzić
nam nie będzie, ale ręki do tej sprawy nie
przyłoży. Chciał też, aby mu wskazać ter-
min, do jakiego czasu my będziemy naszą
próbę stworzenia pisma uskuteczniać,
z tym, że po upływie tego czasu, gdy nasze
przedsięwzięcie do skutku nie dojdzie, on
sobie rezerwuje prawo rozpoczęcia starań
na własną rękę. Oczywiście — terminu
takiego nikt mu nie wskazał. Nie wieleśmy
stracili na wycofaniu się Witolda, którego
udział polegał głównie na forsowaniu bra-
ta na stanowisko redaktora.
Naradzaliśmy się z Bagińskim i Nagrodzkim
nad ewentualnym zaangażowaniem Edwarda
Sokołowskiego na redaktora. Choć jest on
czystym esdekiem, ale nie jest ciasnym
i w pojmowaniu stosunków i potrzeb społe-
cznych w naszym kraju, zwłaszcza wło-
ściańskich, zajmuje stanowisko bardzo pokrewne do
mojego. Ma przytym szczerą ochotę pracować stale i
wyłącznie w naszym piśmie i, co dla nas jest rze-
czą arcyważną, zna stosunki krajowe. Postanowi-
liśmy wszakże na redaktora go nie wzywać, bo bądź-
cobądź pismo nasze musi też służyć wyrazem potrzeb
także ziemiańskich oraz innych klas t. zw. „zamożniej-
szych" i musi przeto uwydatniać i omawiać rozmyślnie pro-
jekty i postulaty społeczne rozwoju klas tych, socjalista zaś
Sokołowski będzie bądźcobądź traktować te sprawy po ma-
coszemu, mało się niemi interesując. Natomiast zaangażowa-
nie Sokołowskiego na stałego współpracownika redakcyjnego przy re-
daktorze-dziennikarzu, sprowadzonym z Warszawy, rozwiązałoby mnie
całkiem [redacted] tak ciężką kwestię organizacji redakcji. Obeszlibyśmy
się wtedy bodaj bez Hertza. Wysunięta kandydatura publicysty [illegible]
[illegible] z Warszawy na redaktora [illegible] niemy już zapewnioną. Na razie wszakie
[illegible] od Bajkowskiego na dziennika
do [illegible] zostaje w zawieszeniu do czasu ostatecznego ustalenia warunków [illegible]
z [illegible].

15 (28) października rok 1911. sobota.

Umówione było u nas z Anną oddawna pójście dziś do Szumana. O godz. 9 1/2 wieczorem spotkaliśmy się z Anną w cukierni Jassowicza przy ul. Wileńskiej. Do Szumana było zawcześnie. Posiedzieliśmy więc trochę w cukierni, poszliśmy do kinematografu „Bronisława" i w ten sposób przeciągnęliśmy do północy, t.j. akurat do terminu rozpoczęcia w Szumanie. I w cukierni i w kinematografie Anna była jakaś smutna i milcząca. Zdawała się skupiona w sobie, wpatrzona w jakąś myśl własną, nazewnątrz zaś roztargniona. Nie wiedziałem dobrze, czemu to przypisać: czy to jest cichość zmęczenia po osłabieniu (bo Anna chorowała przed paru dniami), czy też wyraz jakiegoś specjalnego stanu uczuć. Rozmowa nasza się nie wiązała, Anna odpowiadała mało, półsłówkami, bez ożywienia. Anna ma charakter tak nierówny, uczucia [redacted] jej ulegają pod wpływem niezwykłej wrażliwości takim przeskokom w nastroju, że nigdy, idąc do Anny, przewidzieć nie mogę, jak się dnia tego nasz stosunek ułoży, czy będziemy szczęśliwi, weseli i pogodni, czy przygnębieni zazdrością i niewiarą wzajemną, z bólem tęsknoty [redacted] w sercu i jakimś żalem to złośliwym, to znów tak rzewnym, że dusza w krzyku wyskoczyć by chciała i stopić z tą duszą drugą, kochaną nad wszystko, posiadaną i bliską a znów chwilami tak daleką. Miłość, która pragnie zawsze całkowitej pełni posiadania, [redacted] nie umie rozwiązać ze spokojem zagadki nastrojów. Miłość w świecie psychicznym człowieka jest jak giełda w świecie zbiorowych stosunków handlowych; byle co budzi instynkta [redacted] trwogi i podejrzliwości. To też i ja, obserwując skupienie i milczenie Anny, zacząłem ją podejrzewać o obojętność dla mnie. Przyszliśmy do Szumana i usiedliśmy w jednej z lóż górnych. Anna była wciąż taka sama. Zaczęła wszakże przytym zgadzać [redacted] niepokój nerwowy. Wysuwała się z loży, oglądała salę, stała się smutną, tryskała w oczach łzami(?). Na rozmowy moje, na słowa zdawkowe, prawie że nie odpowiadała i jeno kilkakrotnie z kolejnym wymuszonym uśmiechem, pełnym wyrazu cierpienia, zwracała uwagę na piękne nogi śpiewaczek na scenie. Oświadczyła, że chce pić dużo tego wieczoru. Nie rozumiałem natura drgnął zazdrości, który się w jej sercu odzywał. Sama przecie chciała iść do Szumana, sama mnie do tego namawiała. Udawałem więc, że mnie nogi śpiewaczek wielce interesują, wogóle traktowałem zabawę lekko a gdy [illegible] już zacząłem, śpiewać tem, [illegible] klaski, porozumiewałem się kilkakrotnie z cyganką bułgarską siedzącą z jakimiś panami w loży sąsiedniej. W sercu wszakże miałem ból i tęsknotę po Annie. Ona jedyna mię zachwycała, ta Niż bym cały ten świat zabawy porzucił i zapomniał. Smutek i cierpienie Anny wciąż wzrastał. Podejrzenia [illegible] wały się przekształcać. Za [illegible] Anna, aby już od zabawy odrywać i do siebie ciągnąć, [illegible] jeno [illegible] własny. Po wypiciu większej ilości alkoholu [illegible] ta [illegible] Anna płakała. Zapewniła, że ma przed sobą tylko dwie drogi: albo wrócić [illegible] ciasny [illegible] zabawiająca zapomnienie [illegible] pijaństwa i rozpusty, albo [illegible] i przy[illegible] moje [illegible] w niej [illegible] mi. Chciała [illegible] Anna chciała, abym sobie sprowadził dziewczynę, chciała nawet sama to zrobić. [illegible] była [illegible]

Od Szumana przyjechałem z Anną w nocy do ho- 16 (29) października
telu Polskiego na prospekcie, gdzie mieliśmy numer rok 1911.
zamówiony. Tu spędziłem z Anną noc i cały dzień
dzisiejszy do godz. 11 wieczorem. Wyjazd od Szumana
był ciężki, jak ciężkim i bolesnym był cały niedziela.
ten wieczór u Szumana spędzony. Nerwy Anny się
rozigrały. Szła już ona do Szumana z niewiarą
do mnie, [redacted] przekonana, że z pożądliwością się
przyglądać będę tamtym nóżkom śpiewaczek
i tancerek i że o niej, o Annie, ani myśleć nie
będę. U Szumana, choć mi [redacted] się serce krajało,
udawałem, że istotnie kobiety mnie zajmują i że
się z duszy bawię. Zresztą alkohol wpływał na
mnie podniecająco, więc jak gorzko cierpiałem,
tak też dziko i gorąco a hulaszczo
się bawiłem, krzyczałem, śpiewałem, biłem
brawo, napełniałem całą salę hałasem, tak
że się wszyscy na naszą lożę oglądali. Podejrze-
nia Anny zastąpiły miejsca pewności, że jej
nie kocham i że tylko piękną śpiewaczkę a na-
wet zgrabną nóżkę nad nią przekładam. Żadne
zapewniania moje ukoić Anny nie zdołały. Łzy
już się już na oczy cisnąć zaczynały. Anna
to się buntowała, to tuliła do mnie, ale nie
wierzyła w prawdę mej miłości. Z fanatycznym
uporem twierdziła, że musi się życia pozba-
wić i że drogi dla niej do szczęścia niema.
Potym [redacted] postanowiła dla mnie [redacted] jakąś
dziewczynę sprowadzić. Biła to z uporem
i jakąś piekielną złośliwością zazdrości, która
sama sobie ból zadaje i zdaje się chcieć wypić
czarę męki do ostatniego kresu. Ledwie nad nią za-
panować zdołałem. Potym nie chciała wyjść od Szumana,
twierdząc, że tylko z łaski, [redacted] litując się nad nią, nie biorę
innej dziewczyny i z nią do hotelu jadę. Gdym Annie
o mej miłości mówił, twierdziła, że lubię ją tylko jako zwierzątko w łóżku
ale miłości istotnej nie mam. Ledwie prośbą i błaganiem zdołałem
ją od Szumana wyprowadzić. Gdyśmy do hotelu przyjechali, chcia-
łem Annę przekonać, że miłość moja nie ustosunkowała się bynajmniej
[redacted] z rozkoszą fizycznego użycia; nie rozebrałem się więc i
chciałem się położyć w ubraniu. Wtedy Anna zaczęła gwałtownie
zdzierać ze mnie odzienie, błagać, bym z nią więź rozkoszy. Zaniecha-
łem oporu. Wkrótce, jeszcze tejże nocy, nerwy Anny się uspokoiły.
Anna odzyskała wiarę w mą miłość, wypogodziła się i znów
promieniała radością. Przez cały dzień dzisiejszy nie wychodziliśmy
wcale z hotelu. Nawet obiad do hotelu sprowadziliśmy.
Gawędziliśmy z Anną dużo i serdecznie, Anna śpiewała, ja opo-
wiadałem jej dzieje mego życia i t.d.. Zapanował niezapodziany nastrój
serdeczny, spokojny, szczęśliwy. Znów kochaliśmy się z Anną bez ciągłych
przygadań i żalów wzajemnych. Był to dzień przepiękny w dziejach miłości naszej.

17 (30) października rok 1911. poniedziałek.

Dziś dzień rocznic. Dawniej obchodzono zawsze w dniu tym rocznicę „cudownego” ocalenia cara Aleksandra III z rodziną w katastrofie kolejowej pod Borkami w r. 1888, ale trzeba, że w tym samym dniu w r. 1905 w czasie wielkiego strejku kolejowego wydany został manifest konstytucyjny; to też teraz, gdy konstytucja wpadła w niełaskę, rząd zaniechał urzędowego świętkowania rocznicy „cudu”, aby ciemny i głupi lud nie wyobraził sobie, że to świętkuje rocznicę konstytucji; lepiej jaknajrzadziej o tej konstytucji ludowi przypominać. Dla mnie dziś upływa druga rocznica od dnia mego ślubu.

Pod wieczór był u mnie Nagrodzki. Ma on już odpowiedź od Szatza co do dzierżawy ogłoszeń w naszym projektowanym dzienniku. Przy zmniejszonym formacie (o 1 szpaltę mniejszy od „Kurjera Litewskiego”) Szatz daje przez pierwsze 3 miesiące po rb. 25 za ark., wydzierżawiając na ogłoszenia 4-tą stronę, połowę pierwszej i 1 szpaltę w treści, i za 9 następnych miesięcy po rb. 40 za ark., a na rok drugi wydawnictwa po rb. 50 za ark. Będziemy jeszcze żądali od Szatza większej sumy za pierwsze miesiące. Bądź co bądź wzmożona konkurencja biur ogłoszeniowych w Wilnie wielce ułatwia materjalne stanowisko prasy. Do niedawna nie można było nawet marzyć o takich warunkach. Konkurencja ta się rozwinęła od chwili, gdy firma Metzla, posiadająca biura ogłoszeniowe w Warszawie, Petersburgu, Moskwie, otworzyła oddział w Wilnie. Metzl dąży do zmonopolizowania całej prasy i w tym celu zakontraktowuje ogłoszenia w pismach za olbrzymie ceny. Z pism rosyjskich wileńskich zakontraktował już „Wilenskij Wiestnik”, „Siewiero-Zapadnyj Gołos” i Łotoniewiczowską „Siewiero-Zapadnaja Żizń”; tylko Radinowska „Nasza Kopiejka” jest dotychczas wolna. Z pism polskich zakontraktował „Kurjer Wileński” na lat 5 za rb. 31000 rocznie i miał zakontraktować „2 grosze”, gdyby nie to, że właśnie zostały one zawieszone, ale po ich wznowieniu pod innym tytułem z pewnością zakontraktuje. Konkurent Metzla Szatz, właściciel najstarszego i najpoważniejszego biura ogłoszeniowego w Wilnie, jest w takiej sytuacji, że ma dużo ogłoszeń, ale nie ma gdzie je umieszczać; dla niego przeto powstanie naszego dziennika jest dziś po prostu kwestją bytu.

Wieczór spędziłem dziś w domu. Anna się wyswobodziła z myśli. Po spędzeniu z nią całej nocy i całego dnia wczorajszego ostrzej, niż zwykle, odczuwam jej nieobecność. Cały czas drga we mnie tęsknota za nią. Przywiązałem się niezmiernie do tej kochanej dziewczyny. Coraz więcej ją kocham. Taki dzień, spędzony z nią w najpoufniejszym obcowaniu we dwoje, [illegible] wyłącznie sobie nawzajem, — wiąże nas w tak ścisły zespół, że każdy dzień rozłąki potym napełnia się ostrym żalem i tęsknotą. Brak mi jej okrutnie. Zdaje mi się, że ten [illegible], wrażliwy i nerwowy charakter Anny, taki bujny i szczery, głęboki i dramatyczny, to kontemplacyjny to wybuchowy, pełny kontrastów i nastrojów, mieszający prostotę z kaprysem, wstyd z olbrzymią [illegible] społecznością jej miłości. W stosunku naszym nie ma [illegible], ani jednej chwili [illegible]. Jest to kalejdoskop, pełny przepysznych barw wrażeń, pełny [illegible]. [illegible] taki stosunek nie może [illegible]. Chciałbym, aby ta [illegible] na zawsze. Oby tak było! Wierzę, że tak będzie — przynajmniej z mojej strony.

18 (31) października
rok 1911.
wtorek.

Od kilku dni mam dość dużo zajęcia adwokackiego; przybyło kilku klijentów ze sprawami dość pilnemi, których załatwienie zabiera mi dość dużo pracy.
Wieczorem byłem u Anny, ale znowu wizyta dzisiejsza się nie udała. Z początku dobrze było, ale potem na pewnych drobiazgach zaszły między nami nieporozumienia. Ostatecznie rozstaliśmy się w zgodzie, ale bądźcobądź tem przykry osad nieporozumienia psuje zespół ~~[illegible]~~ stosunek i utrzymuje ciągły niepokój.
Miłość moja do Anny przechodzi przez gorączkowe fazy tęsknot, szałów, najsprzeczniejszych uczuć i nastrojów. Nie umiem utrzymać całkowitej pewności co do miłości Anny ~~[illegible]~~ mnie; chwilami, nawet dniami całymi wierzę w tę miłość, spokojny jestem, pewny i szczęśliwy, gdy wtem lada drobiazg wiara ma się rozbija i znów wpadam w przygnębienie i bolesną rozterkę zwątpienia. Mam wprost strach panniczny, aby nie stracić Anny, jej serca i jej samej. Miłość jej jest dla mnie rzeczą najdroższą. Oprócz tego ~~[illegible]~~ o nią samą mi chodzi. Gdyby jej miłość dla mnie upadła, nie wyobrażam sobie, ~~[illegible]~~ coby się z nią stało. Z jej charakterem tragicznym, żarowym i tak bajecznie, ~~[illegible]~~ wprost chorobliwie wrażliwym, ~~[illegible]~~ — nie zdoła się ona utrzymać w równowadze przy pracy, zdala od rodziny, od jakichś stosunków przyjaznych, bez podniet uczucia, których potrzebuje koniecznie, jak ryba wody, — i albo się rozchoruje lub życia pozbawi, albo rzuci się w wir szalonego życia lupanarów, pijaństwa i rozpusty. To mnie tak boli, że wypowiedzieć nie mogę. Natura to piękna, bujna i swobodna, a tak tragiczna! Dlatego też drżę o tę miłość Anny do mnie i podwójnie się niepokoję. Jakżebym gorąco pragnął, aby przyszło na świat dziecko. Byłoby to nasze dziecko, podwójnie lub potrójnie pożądane. Wiązałoby ono nas węzłem jeszcze ściślejszym, niż nasz stosunek wzajemny, dałoby Annie trwałą ostoję w życiu, któraby ją strzegła przed szałem niepowściąganych kontrastów jej natury, i — gdyby to był syn — dałoby mi szczęście posiadania potomka płci męskiej.

Niestety — dotychczas nie było żadnych wskazówek, dających konkretnie nadzieję na dziecko. Może teraz w ostatnich paru tygodniach. Może! Ale to się dopiero w końcu miesiąca sprawdzi.

16 października
1 listopada.
rok 1911.
środa.

Otrzymałem od Hertza odpowiedź na moją propozycję co do udziału jego w redakcji powstającego dziennika. Oczywiście, że Hertz, jak się można było spodziewać, przenosi punkt ciężkości sprawy na kwestję pieniężną. Zaczyna odrazu list od wyliczania tego, coby tracił, przyjmując naszą ofertę i wynosząc się ze Lwowa. Ostatecznie wszakże żądania jego zbyt wygórowane nie są. Żąda się na stałą pensję sekretarską w kwocie rb. 100, jak mu proponowałem, ale żąda prócz tego, aby mógł pisać artykuły płatne od wiersza (po kop. 3), z których mógłby wyrobić miesięcznie jeszcze jakichś rb. 60-80. W zakresie pracy sekretarskiej bierze na siebie kronikę miejską i prowincjonalną, wycinki z prasy polskiej oraz przegląd tejże, jako rubrykę stałą, dalej codzienną informację polityczną i wieści z całego świata, układ artykułów do druku, wreszcie rewizję (ostateczną korektę) numeru co drugi dzień. Takie zaś prace, jak ewentualne artykuły z polityki zagranicznej, recenzje teatralne, sprawozdania literackie, fejletony tygodniowe, bajki (za te ostatnie żąda po kop. 10 od wiersza) byłyby płatne od wiersza. Oprócz tego Hertz żąda jednorazowego odszkodowania w kwocie 200 rb. za zerwanie się ze Lwowa przed terminem jego zobowiązań w tamecznym kabarecie, w którym ma angażament obecnie. Z warunków tych coś by się oczywiście dało utargować, ale złe one dla nas nie są. Pozyskanie Hertza byłoby dla nas ewentualnie bardzo pożądane, bo łączy on w jednej osobie technikę dziennikarską, do której ma dobre kwalifikacje, ze znajomością stosunków miejscowych. Prócz tego jest to człowiek niewątpliwie zdolny, jako publicysta. Nie ma wprawdzie żadnego tła ideowego, ale też żadnych pod tym względem ambicji (tak sądzę) a przeto da się z łatwością wziąć w ramy naszego kierunku, byle nad pracą jego czuwał redaktor. W tych więc właściwie warunkach, gdybym ja mógł dać większy udział pracy redakcyjnej, obeszlibyśmy się z Hertzem i Sokołowskim może bez sprowadzania redaktora specjalnego z Warszawy. Ale trzeba będzie jeszcze o tym pomyśleć; właściwie jeszcze z Sokołowskim się nie rozmówiłem i dopiero jutro mam z nim konferować, aby sobie wyjaśnić jego stanowisko ideowe w piśmie i jego ewentualne kontrakty współpracownictwa.

A teraz kilka słów o Aneczce. Na dziś nie było między nami umówionego spotkania, ale tak mi się tęsknić nie pozwolił o nią i taka tęsknota, że parokrotnie próbowałem ją widzieć. Rano umyślnie siedziałem w cukierni Jasonowicza przy oknie, aby ją ujrzeć przechodzącą w stronę do Łapkowskiej. Było już późno i traciłem nadzieję, że ją zobaczę — myślałem, że już przed moim przyjściem przeszła, gdy w końcu o godz. 10½ ujrzałem ją przechodzącą. Nie wiedziałem, czy iść za nią

[illegible]

20 października
2 listopada.
rok 1911.
czwartek.

Rano poszliśmy z Nagrodzkim do dr. Sumoroka, którego prosiliśmy o to, aby się zgodził podpisywać nasz przyszły dziennik w charakterze firmowego wydawcy. Dr. Sumorok w zasadzie się zgodził, ale chce wpierw wyjaśnić, czy to nie pociągnie jakichś konsekwencji odpowiedzialności sądowej dla niego, na wypadek, gdyby wytoczony był proces sądowy za jakiś artykuł. Odpowiedzialność taka grozi właściwie redaktorowi urzędowemu, ale nie wydawcy. Otóż o ile co do tego względu dr. Sumorok się upewni, że mu to niczym nie grozi, o tyle się zgodzi. Ostateczną odpowiedź da nam jutro. Pismo wydawane będzie za pieniądze udziałowe, wydawca więc będzie stanowił tylko firmę urzędową tak wobec władz, jak wobec wszelkich zobowiązań prawnych względem trzecich osób. Zapewniliśmy dr. Sumoroka, że mu się da całkowitą gwarancję co do tego, iż wszelkie zobowiązania będą wypełnione i że żadna faktyczna odpowiedzialność pieniężna na niego nie spadnie. Firma dr. Sumoroka byłaby dla wydawnictwa b. pożądana tak dla zawierania umowy z Szatzem oraz wszelkich innych umów, jak dla opinii publicznej: dr. Sumorok jest znany, jako postępowiec bezpartyjny, [illegible] człowiek popularny i szanowany.
Porozumiewałem się z Edwardem Sokołowskim, jako ewentualnym kandydatem na stałego współpracownika redakcyjnego. Dział jego pracy ma dla nas duże względy [illegible]: Sokołowski interesuje się sprawami ekonomicznemi, które bada sumiennie i starannie, zna stosunki miejscowe, jest pracowity, poświęciłby czas i energię wyłącznie pismu, gorąco się [illegible] do tej roboty. Jedno jest tylko do zastanowienia się — to zbyt ściśle określona jego barwa polityczna (esdecka). Z naszej rozmowy dzisiejszej przekonałem się, że jednak rozdźwięków zasadniczych w pojmowaniu rozwoju społecznego kraju w warunkach współczesnych między nami z Sokołowskim — niema. Są wszakże rzeczy, które mogą nas z Sokołowskim w piśmie dzielić. Do takich przedewszystkiem należy stosunek do spraw rozwoju drobnego przemysłu. Interesy klas mieszczańskich muszą znaleźć wyraz w naszym piśmie. Takie np. sprawy, jak organizacja specjalnego kredytu rzemieślniczego i t. p., muszą być w naszym piśmie uwzględnione i traktowane w sposób programowy. Dziś interesy te organu swego nie mają. „Kurjer Wileński” jest organem obszarników i spraw tych do serca nie bierze, „Dwa grosze” sprawami takiemi wprawdzie się zajmują, ale rozwiązują je pod kątem klerykalno-antysemickim. Otóż tu Sokołowski uważa za pożyteczną dla naszego dziennika tylko walkę z antysemicko-klerykalną zachłannością, t. j. pomoc w odpieraniu wspólnego wroga, podczas gdy ja uważam za pierwszą takie drogę wskazań twórczych, t. j. drogę wskazań dla realizowania tych spraw i potrzeb. Pismo ma być przedewszystkiem wyrazem potrzeb klas wytwarzających — to wypływa z jego założeń demokratycznych, ale musi też współdziałać rozwojowi klas mieszczańskich, o ile takowy nie zwraca się przeciwko potrzebom klas wytwarzających i nie jest w kolizji z zasadami demokratycznemi, co w naszym kraju jeszcze nie nastąpiło.
Po obiedzie Nagrodzki, Kryczanowski, Jan Piłsudski, Sokołowski i ja, zebraliśmy się u Nagrodzkiego. Z Szatzem warunki dzierżawy ogłoszeń już są ustalone. Przy formacie zmniejszonym pisma, Szatz daje za pierwsze 3 miesiące po rb. 30 za numer, za następne 3 miesiące po rb. 40 i za 3 ostatnie (licząc rok od 1 grudnia na 13 miesięcy) — po rb. 45. Kontrakt z Szatzem zostanie zawarty jaknajprędzej, jak tylko się ustali wydawca firmowy. Szatz zażądał, aby w tytule pisma było słowo „Kurjer”. Nagrodzki obmyślił nazwę „Kurjer Krajowy”, na co zgodziliśmy się wszyscy. Na jutro Nagrodzki zwołuje szersze koło udziałowców i sympatyków pisma.
Wieczorem poszedłem z Anną na wieczorek białoruski, urządzony w lokalu „Ruty” przez białoruskie kółko muzyczno-dramatyczne. Odegrano z werwą komedyjkę jednoaktową „Hyjis chatka”, potem chór mieszany w strojach ludowych odśpiewał szereg piosnek białoruskich, wreszcie rozpoczęły się tańce na sali. Zabawiliśmy się z Anną na teatrze i śpiewach dobrze. Anna, choć mało rozumie po rosyjsku a po akcencie białoruskiego ucha jeszcze niema, zdołała zrozumieć ogólny wątek sztuki. Na tańcach nie byliśmy. Poszliśmy do restauracji Sztralla [illegible] a stamtąd do hotelu, gdzie przez [illegible] zabawiliśmy parę godzin, ale potem przedłużyliśmy nasz pobyt na noc całą. Harmonja między nami była przez cały czas przepiękna. Wypowiedziałem Annie wszystkie moje troski o nią, całą myśl, jaka zmarła, gdy tylko coś się między nami psuć zaczyna. Anna była wzruszona i rozmarzona, [illegible] się w [illegible], jaką będzie żoną, czuje się szczęśliwą. Była bardzo wzruszona i serdecznie mi wdzięczna za troski moje.

[illegible]

66.

21 października
3 listopada.

rok 1911.

piątek.

[illegible]

Do godz. 2 popołudniu zabawiłem z Anną w hotelu, korzystając ze święta (galówka — rocznica wstąpienia na tron cara). Nad ranem znów był moment, że Anna mię męczyć zaczęła kaprysami i podrażnieniami, ale zaraz potem, gdy zobaczyła, że cierpię, zaczęła żałować i nagrodziła mię serdecznością podwójną. Jest ona pełna kontrastów, nie znosi szarugi i równowagi nawet w szczęściu. Stwarza umyślnie kolizje, lubuje się dreszczami w drażnieniu i sprawianiu bólu, a potem sama nad tym cierpi. Sama mi Anna wyznała, że nieraz nie jest w stanie zapanować nad sobą — kaprysami i że miłość jej wymaga ofiar cierpienia, które ją samą potem nieznośnie męczą. Jest to charakter szalony, niezmiernie w uczuciach głęboki i skomplikowany, przy wielkiej prostocie ekspresji. Spokój i równowaga są w takiej naturze wykluczone. Anna [illegible] z zaciekawieniem dziejów mego życia, mych miłości, mych stosunków rodzinnych i t.d.. Dzieje te, burzliwe i nieraz szalone, bo ja sam też mam naturę skomplikowaną i stąd pod względem bogactwa wrażeń i wypadków mam życie niepospolite, dostarczają Annie dużo materiału do kontemplacji. Kontemplacja burzy i w ogóle wszelkich zjawisk tragicznych, czy to w świecie fizycznym czy psychicznym, jest ulubionym zajęciem Anny. Jest ona w duszy artystką, ma zmysł piękna bardzo wybitny i ostry. Wszelkie ostre starcia warunków, ostre kolizje żywiołów psychicznych — to pole, w które Anna kontemplacyjnie się [illegible], jako [illegible].
My z Anną mamy niezmiernie dużo pokrewieństw psychicznych. Zapewne z tego to powodu tak się czujemy bliskimi sobie i jednocześnie tak często się kłócimy i męczymy nawzajem, a im bardziej męczymy, tym bardziej ku sobie tęsknimy. Oboje jesteśmy bardzo indywidualni i nieokiełzani duchowo, oboje nie umiemy cenić pieniędzy, oboje jesteśmy wrażliwi i szaleni, oboje równie do statecznego i zrównoważonego a praktycznego życia nieprzystosowani, w obu nas grają pierwiastki buntu, głębokiego poczucia sprawiedliwości kosmicznej i tęsknoty do piękna i do całej krasy życia wyzwolonego. Oboje też z Anną kochamy jednako — kochamy [illegible] nie tylko [illegible], ale przede wszystkim piękną duszę. Ja w Annie nie kocham nie jej ciało, ale ją całą, jako indywidualność psychiczną, posiadającą piękno niepospolite. Posiadanie jej jest dla mnie [illegible] kontemplacji tego piękna. Miłość Anny do mnie jest całkiem tej samej natury. Mówiliśmy z Anną dużo o naszym przyszłym ewentualnym dziecku. Oboje byśmy się cieszyli dzieckiem, szczególnie synem. Mówiliśmy o tym synu, którego Mikołajem nazywamy, jak gdyby on miał przyjść z pewnością. Bawimy się marzeniem. Wreszcie moja Anna już jest w ciąży. W ostatnich czasach Anna trochę [illegible] na zdrowiu, ulega zawrotom głowy i mdłościom, jest też mniej kapryśniejsza. W każdym jednak razie ciąża ta byłaby jeszcze chyba bardzo wczesna, bo w pierwszych dniach tego miesiąca Anna miała jeszcze regułę.
Chcę tu jeszcze zanotować to spostrzeżenie, że w ostatnich czasach, t.j. mniej więcej od jakiegoś tygodnia, odkąd Anna się zupełnie przekonała o mojej miłości, stała się względem mnie w kaprysach swoich drapieżniejsza. Robi mi [illegible], trzyma mię w ciągłym [illegible] strachem i grozi, że sobie o [illegible] życia odbierze [illegible] drogą zapomnienia. Wie, jak to mię niepokoi, i wie, że groźby te mię obezwładniają w stosunku do niej. Anna zdaje się igrać ze mną, jak kotka z myszą i jest w tym coś drapieżnego; ale im bardziej mię straszy i niepokoi, tym bardziej się potem sama męczy i żałuje i tym goręcej się do mnie garnie, tym się staje pokorniejszą i w miłości głębszą. [illegible] jest [illegible] zupełnie i z całą [illegible] i [illegible] do [illegible] swego życia w [illegible] na [illegible]. Jest też w miłości tak wytężona, że żadnej innej mężczyzna pod żadnym względem ją nie interesuje [illegible] w tym stosunku do mnie [illegible].
Wieczorem u Nagórskiego odbyło się zebranie [illegible] grona udziałowców i sympatyków powstającego dziennika naszego. Zebranie [illegible] zostało, żeby [illegible] i o tym, co jest zostało zrobione, przedstawić stan rzeczy, sprawozdanie [illegible] powstającego pisma z opinią publiczną i [illegible] to zdobyć większą łatwość w dalszym kompletowaniu [illegible] pieniężnych i w ogóle w zorganizowaniu tego pisma demokratycznego. Z osób zaproszonych nie wszystkie przybyć mogły. Obecni byli: Nagórski, Jan Piłsudski, Witold Abramowicz (który jest [illegible] pisma), Adam Piłsudski z [illegible], brat Jana, Wrzosek (współwłaściciel [illegible]), [illegible], Józef Bohdanowicz, Ludwik Chomiński, Ludwik Śledziewski, [illegible], Krzyżanowski, Józef [illegible], Szadowski?, dr. [illegible], [illegible] Bańkowski, ja i jeszcze ktoś, którego nie znam. Dr. [illegible] po pewnym wahaniu zgodził się przyjąć na siebie rolę [illegible] firmowego!

22 października
4 listopada
rok 1911.
sobota.

Bawi w Wilnie od dni kilku Kotunka Pruszanowska ze swą córką Elizką; jutro Kotunka wyjeżdża na dni kilka do Bohdaniszek. Mało się z nią widuję, bo Kotunka jest przeważnie zajęta sprawunkami i raz tylko na dzień do nas zachodzi i to nie zawsze o takiej porze, gdy ja jestem w domu. Od jakiegoś czasu więcej mamy u nas gości. C. Zonia Dukaltowa bawi już przeszło od tygodnia w Wilnie i mieszka u nas przy swej córce, Ninie, która przechorowała na odrę. Od niedzieli też bawi u nas Marynka Wołodkowiczówna, która przyjechała tu dla zrobienia tualety i u nas zamieszkała. Taki napływ mieszkańców jest trochę nużący, zwłaszcza dla Marynki, mojej siostry, która, jako gospodyni, ma z tym dość kłopotu. Marynka Wołodkowiczówna jest w obcowaniu miła, grzeczna, dobrze ułożona, ładna, ale grunt charakteru ma typowo Wołodkowiczowski: przypomina swą starszą siostrę Zuńkę, jest chytra, przebiegła, egoistka. Codziennym gościem wieczorami jest teraz u nas Hektor Komorowski, który stanowi atrakcję dla panienek — Marynki Wołodkowiczówny i Elizki Pruszanowskiej. Obu się Hektor podoba. Ale Elizka Pruszanowska, subtelna i nieśmiała, nie umie Hektora zająć, nie umie go dla siebie zdobyć; Marynka zaś Wołodkowiczówna zawsze nader umiejętnie potrafi zatrzymać Hektora przy sobie, odciągnąć go od Elizki, zająć wyłącznie sobą. Robi to bardzo zręcznie i przebiegle, zupełnie tak, jak ongi robiła jej siostra Zuńka (obecna Chełchowska), odrywając kawalerów od swojej siostry Elwiry.

Po obiedzie poszliśmy z Nagrodzkim i Janem Piłsudskim obejrzeć drukarnie, z pośród których mamy wybrać jedną dla drukowania naszego dziennika. Obejrzeliśmy drukarnię Łapińskiego, dalej drukarnię „Znicz" Żukowskiego i Borkowskiego i wreszcie „Drukarnię Wileńską" Rajewskiego. Obecnie pod względem drukarń sytuacja jest zupełnie inna, niż w r. 1905 i 1906 przy zakładaniu „Gazety Wileńskiej". Teraz wybór między drukarniami jest o wiele większy, a stąd i warunki druku o wiele dogodniejsze. Konkurencja drukarń, ubiegających się o pozyskanie pisma — ułatwia sytuację wydawnictwa. Wahamy się teraz głównie między drukarnią Żukowskiego a „Drukarnią Wileńską". Nagrodzki skłania się raczej na rzecz pierwszej, a to ze względu tak na większą solidność firmy, jak na to, że w tym samym dziedzińcu jest do wynajęcia lokalik na redakcję i że w samej drukarni jest wygodny pokoik dla korekty i składania numeru. Ja się przechylam na rzecz Drukarni Wileńskiej ze względu na pewną solidarność z Rajewskim, z którym nas wiąże tradycja „Gazety Wileńskiej" oraz pewne wzajemne obowiązki podtrzymania tej drukarni na poły robotniczej.

Wieczorem poszedłem do Anny do jej pokoiku przy ul. Monastyrskiej. Annie dziś głowa boli trochę, jak zwykle. Nie poszła dziś — wcale do pracy do Łapkowskiej. Anna była dziś w usposobieniu trochę rozmarzonym i tęsknym, w nastroju miłości — że się tak wyrażę. Parę razy chciała spróbować pokaprysić i udać, że się na mnie dąsa. Ale ja nie dopuściłem tych dąsów tragicznych i zachowałem się spokojnie i naturalnie. Wtedy Anna zaraz zmiękła i zaczyna tym goręcej się garnąć do mnie. Ale zaczęła niepokoić, [illegible] czy moja miłość się nie ulatnia. Robiłem to dziś rozmyślnie, bo moja pewna nonszalancja w stosunku do kaprysików Anny daje mi nad nią pewną przewagę i potęguje tęsknotę i temperaturę zdobywczą w Annie. To że Anny. Zupełnie ulegając jej, dałbym jej bezwzględną pewność o całkowitym posiadaniu mnie, [illegible] pomniejszyłbym jej uczucia, [illegible] zbytnie [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] jest [illegible] sama [illegible] [illegible], które [illegible] [illegible] [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible]. Ale ta [illegible] [illegible] jest w stosunku do Anny niebezpieczna, bo w niej także [illegible] i — [illegible] niezbliżenie.

[illegible]

23 października
5 listopada
rok 1911.
niedziela.

Koło godz. 5 poszedłem z Anną do kinematografu Sztremera. Właściciel kinematografu, który jest moim klientem, ~~[illegible]~~ dał nam miejsce w loży gratis. Siedzieliśmy więc z Anną wygodnie, mogliśmy też rozmawiać i nie musieliśmy się ~~[illegible]~~ krępować otoczeniem. Przedstawiano długi obraz dramatyczny p. t. „Okropności życia". Temat ~~[illegible]~~ przedstawienia był dla Anny zwłaszcza interesujący, bo stanowił poniekąd aluzję do dziejów jej życia. Rzecz się dzieje w Rosji. W porządnej i uczciwej rodzinie robotniczej rośnie piękna córka. Powszednie skromne otoczenie, ciągła praca, szare tło życia nie zadawalniają żywej natury dziewczęcia, które marzy o szczęściu, o zabłysku świata uciech, miłości, przepychu. Pod wpływem zwodniczych słów swego wielbiciela, porzuca dom, porzuca pracę, staje się kochanką człowieka bogatego. Na zbytku i szczęściu miłości. Po jakimś czasie wszakże kochanek ją porzuca, porwany inną fantazją miłosną. Dziewczyna idzie na bruk, wpada w łapy opryszka-wyzyskiwacza, który z niej robi narzędzie dla swych zbrodniczych spekulacji. Wreszcie opryszek wraz z całą bandą wpada w ręce policji. Dziewczyna jest swobodna. Próbuje wrócić do domu rodzicielskiego, gdzie zastaje matkę konającą. Ukaranie się córki wyrodnej dobija matkę. Ojciec wypędza ją z domu. Następują dalsze dzieje jej tułaczki. Próbuje dostać zajęcia, ale zawsze jest wypędzana, bo mężczyźni, wiedzeni ~~[illegible]~~ jakimś węchem, domyślają się o jej przeszłości i chcą z niej skorzystać. Wreszcie dziewczyna trafia do lupanaru, skąd wnet zostaje za szorstkie obchodzenie się z „gośćmi" także wypędzona. Zrozpaczona, zmęczona nędzą tułaczki życiowej chce się utopić, ale zostaje uratowana przez rzemieślników, ludzi uczciwych. Ci, wzruszeni jej opowieścią, pieszczą ją, doprowadzają do zdrowia i skłaniają ojca do przebaczenia. Dziewczyna wraca do ojca i do życia pracowitego, a jeden z jej zbawców, mężczyzna młody, poślubia ją.

Anna przyglądała się temu obrazowi z niesłychanym zajęciem i wzruszeniem. W scenach tych widziała w przybliżeniu zobrazowanie jej własnego życia. I ona bowiem pochodzi z ubogiej rodziny robotniczej, Rotgowskich. Jej ojciec przywędrował pod Libawą ze wsi, był stolarzem w jakimś zakładzie fabrycznym. Umarł młodo. Matka

[illegible]

24 października. 6 listopada. rok 1911.

poniedziałek.

Napisałem dziś deklarację do gubernatora o założeniu dziennika. Deklarację tę jutro wniesie dr. Ławorok. Tytuł pisma — „Kurjer Krajowy". Zaraz po wniesieniu deklaracji trzeba będzie zredagować ostatecznie i podpisać kontrakt z Szatkiem na wydzierżawienie ogłoszeń. Dopóki kontrakt ten nie podpisany, dopóty sprawa wydawnictwa musi zostawać w zawieszeniu i dopóty nie możemy jechać do Warszawy dla skompletowania redakcji. A czas nagli. Nagrodzki słyszał z wielu prywatnych, że „Kurjer Wileński" i kantor Metzla robią wielkie starania, aby wydawnictwo nasze do skutku nie doszło, i w tym celu starają się oddziałać na Szatkę, aby umowy z nami nie zawarł. Metzl podobno robił jakieś propozycje ustępstw Szatkowi. Wobec tego dopiero wtenczas będziemy mogli być spokojni i pewni swego, gdy kontrakt z Szatkiem podpiszemy, w kierunku więc będziemy.

Wieczorem byłem u starych pp. Ostachiewiczów na Zarzeczu. Zaprosili mnie oni, aby ~~[illegible]~~ porozumieć się ze mną co do mego udziału na zebraniu dyskusyjnym pewnego kółka kobiecego, mającym się odbyć 5 listopada. Kółko to jest złożone z jakichś kilkunastu pań, wśród których są, o ile wiem, p. Ostachiewiczowa, p. Dmochowska, ~~[illegible]~~ p. Zmaczyńska, p. Żukowska, p. Sabrijałowa, Bohdziewiczowa i t.p. Na zebraniach kółka tego odczytują się broszury aktualne, streszczają się dzieła powieściowe, odczytują się referaciki tych pań, służące zagajeniem do dyskusji. Kółko jest bezpartyjne, gromadzi panie rozmaitych kierunków nacjonalistycznych, nie nakłada też żadnych więzów dla czyjegokolwiek przekonania i na swobodę wypowiadania się. ~~[illegible]~~ Jedną z najczynniejszych w tym kółku jest podobno stara pani Marjanowa Ostachiewiczowa. Otóż teraz na porządku dziennym zebrań dyskusyjnych kółka stoi sprawa stosunków polsko-litewskich. Na ostatnim zebraniu p. Ostachiewiczowa odczytała dokonane przez nią streszczenie mego dzieła „Litwa" i obudziło to podobno wielkie zainteresowanie wśród pań, które w ogóle mało są o sprawach litewskich poinformowane, i teraz zaprojektowane zostało na 5 listopada specjalne zebranie dyskusyjne, na które postanowiono zaprosić p. Sabinę Szetkiewiczównę i mnie, jako znawców kwestji litewskiej dla omówienia szeregu kwestji ściślejszych, wypływających z kwestji ogólnej litewskiej. Nawet te pytania szeregu pytań tak dla mnie, jak dla p. Szetkiewiczówny, abyśmy się do dyskusji w zakresie tych pytań zawczasu przygotowali.

Od pp. Ostachiewiczów o godz. 11 wieczorem poszedłem do Anny, u której do północy zabawiłem. Anna przechodzi teraz przez ostrą fazę w swej miłości do mnie. Walczy w niej natura zmysłowa, lubująca się w wymyślaniu, z nerwowymi motywami sentymentalizmu ~~[illegible]~~ i skrupułów do uczucia pogodnego. Walka ta wzmaga jej smutek. Anna jest w stadjum kryzysu. Zdaje się, że się na [illegible] zmysłowych [illegible] spostrzegam, bo to dla niej największy [illegible] przed [illegible]. Ale [illegible], że to jest moja [illegible] [illegible] z [illegible] [illegible]

25 października / 7 listopada rok 1911. wtorek

Dowiedziałem się o śmierci Simbutówny, dentystki w Wilnie i działaczki litewskiej. Szkoda mi jej; znałem ją dobrze i ceniłem za jej pracę w towarzystwach litewskich, szczególnie w Towarzystwie Artystycznym; była to kobieta jeszcze młoda, postępowa, światła, pełna dobrych chęci w pracy społeczno-kulturalnej, ruchliwa; zdrowia była słabego a umarła wczoraj wieczorem prawie nagle z jakiegoś ataku, pochodzącego bodaj z serca.

W Sądzie widziałem się dziś z Witoldem Abramowiczem, który mię poprosił o artykuł do jednodniówki, zaprojektowanej przez niego z bratem. Jednodniówkę tę zamierzają oni wydać koło 10 listopada pod tytułem „Przegląd Wileński"; jest to tytuł naszego tygodnika, który projektowaliśmy wydawać, zanim nie przerzuciliśmy się na dziennik; na tygodnik ten koncesję ma Witold Abramowicz. Jest to balon próbny firmy Ludwika Abramowicza. Ludwik, któremu już świtała nadzieja objęcia redakcji naszego dziennika, nie chce się całkowicie wyrzec nadziei pozostania w Wilnie i zaczepienia tu pracy publicystycznej. Oczywiście, że wydania jednodniówki nie stworzą mu jeszcze dość pola do publicystyki. Ale chce on oczywiście zamanifestować swe stanowisko zasadnicze (jednodniówka ma być postępowa), dać próbkę swego redaktorstwa i ewentualnie, na wypadek niedojścia do skutku naszego wydawnictwa, stworzyć punkt wyjścia do rozpoczęcia wydawania tygodnika pod swoją redakcją. Obiecałem Abramowiczowi artykuł do jednodniówki na temat „Prasa ludowa litewska". W jednodniówce ma wziąć udział literacki Stanisław Kościałkowski, Witold Abramowicz, ja i inni, a zaś autorem udział — Ludwik.

Wieczorem byłem z Aninką w wannie, a potem na [illegible] w restauracji Hotelu Neskowskiego. Miło było, [illegible]

26 października / 8 listopada. rok 1911. Środa.

W Sądzie dziś pomiędzy adwokatami mówiono o kandydaturze Jerzego Jankowskiego (Truńca), który chce się wpisać do adwokatury. Jest duża opozycja przeciwko niemu. Bagiński, Witold Abramowicz wypowiadają się przeciwko przyjęciu go w poczet adwokatów. Jako główny zarzut podnoszą przeciwko niemu to, że jest awanturnikiem i robi burdy i w ogóle jest jednostką pod względem etycznym niepewną. Za motywację wysuwają jego zajście z Ludwikiem Abramowiczem w redakcji „Kurjera Litewskiego" przed laty paru, kiedy to Jankowski za odmowę zakwalifikowania jego artykułu do druku napadł na Ludwika Abramowicza, łajał go, ~~dał~~ uderzył go, zdaje się, po twarzy i groził bodaj rewolwerem. Sprawa ta była onegdaj przedmiotem sądu honorowego, w którym ze strony Ludwika brali udział ~~Kr~~ adwokaci Krzyżanowski i, zdaje się, Kłott. Teraz więc ci, którzy są przeciwni przyjęciu Jankowskiego, uważają, że Krzyżanowski powinien złożyć materiały sądu tego wraz z wyrokiem do komisji adwokackiej, decydującej o przyjęciu w poczet adwokatów. Jankowski chciał się zapisać wpierw na pomocnika u Bułhaka, ale ten, gdy się dowiedział o zarzutach przeciwko niemu, wykręcił się od patronatu i skierował go do Łukaszewicza. Łukaszewicz jest teraz w kłopocie i nie wie, co z tym przykrym fantem robić. Jerzy Jankowski — to niegdyś współpracownik w „Gazecie Wileńskiej" (pseudonim: Truń). Był on wtedy ultraradykalny i skrajnie antyklerykalny; on to był autorem niefortunnego felietonu o Bożym Ciele w № 62 „Gazety Wileńskiej", który nam tyle kłopotu narobił i tak gazecie zaszkodził. Po paru latach Jankowski zaczął współpracować w „Kurjerze Litewskim" w kierunku wręcz sprzecznym z jego poprzednimi przekonaniami i ideałami; w r. 1909 wystąpił w „Kurjerze" ze sławną krytyką mego odczytu petersburskiego o sporze polsko-litewskim; w krytyce tej wystąpił jako przeciwnik socjalizmu i obrońca klerykalizmu. Obecnie nikt nie zgadnie, co to za człowiek pod względem przekonaniowym; mógłby równie dobrze do każdego kierunku ideowego się nagiąć i występować tak dobrze pod maską czerwoną radykalizmu jak pod maską czarną klerykalizmu. Są nawet pewne wskazówki, że ~~on~~ ma konszachty z wydawnictwem klerykalnym „Dwóch Groszy", które są obecnie zamknięte, ale się pod innym tytułem wnet odnowią. Jest to kabotyn skończony, błazen i pozer zdolny, człowiek bez wartości moralnej; choć niewątpliwie [illegible] zdolny.

27 października / 9 listopada rok 1911. czwartek.

W cukierni Siśkiewicza (przy ul. Trockiej) spotkałem się z Witoldem Abramowiczem i Sergielem Sokołowskim. Gdy już Sokołowski wychodził, spytał mię przy pożegnaniu: „No cóż, czy pismo „będzie?" Na to Witold Abramowicz: „Może nawet nie jedno, ale odrazu dwa." Zainteresowałem wnet Witolda, czy nie myśli on istotnie zacząć wydawać z Ludwikiem tygodnik stały. Już wiadomość o zamierzonej jednodniówce Abramowiczów nasunęła mi przypuszczenie, że to jest poniekąd wstęp do wydawnictwa tygodnika. Witold Abramowicz potwierdził to przypuszczenie. Istotnie bracia Abramowiczowie myślą o stworzeniu tygodnika pod redakcją Ludwika. Witold oświadczył, że dla rozpoczęcia wydawnictwa brakuje im tylko ~~1,5~~ 1½ tysiąca rubli. Obliczyli oni budżet roczny tygodnika, który wyniósłby coś koło 4500 rb. — suma bardzo niska, bo gdyśmy my układali przed mię sięcami taki budżet, wyniósł on u nas ± 10000 rb. Abramowicz oświadczył, że się już porozumiał z drukarnią (drukarnia „Kurier" Żukowskiego i Borkowskiego); koszt druku i papieru wyniesie na № — rb. 35; honoraria — rb. 25; razem № — rb. 35+25=60, czyli rocznie za 52 №№ — rb. 3120; redaktor (Ludwik Abramowicz) rocznie rb. 1200, reszta zaś lokal i drobne wydatki, czyli ogółem ± rb. 4500. Z prenumeraty liczą oni na pokrycie rb. 3000 (przy 300 czy 400 prenumeratorach), a więc brakuje rb. 1500. O ile zbiorą tę sumę, rozpoczną wydawnictwo. Powstawanie naszego dziennika utrudnia im nazbieranie brakującej sumy na wydawnictwo, bo nie chcą robić oni sobie konkurencji w zbieraniu udziałów na pismo. ~~[illegible]~~ W każdym razie projekt swój trzymają w rezerwie. Wydanie jednodniówki będzie także, jak to przypuszczałem, balonem próbnym nowego wydawnictwa.

Dr. [illegible] wniósł już wczoraj deklarację do gubernatora na wydawnictwo naszego dziennika p. t. „Kurjer Krajowy". Dziś Bratz podpisał już kontrakt na dzierżawę lokalu dla dziennika na warunkach umówionych. Wobec tego pociągiem wieczornym o godz. 8 wyjechaliśmy z Nagrodzkim i z [illegible] do Warszawy w sprawie zamówienia redaktora czynnego.

[illegible]

28 październik / 10 listopada rok 1911.

piątek.

Przyjechaliśmy wczesnym rankiem do Warszawy i stanęliśmy w hotelu Saskim. Ruszyliśmy zaraz we trzech przedewszystkiem do Władysława Malinowskiego, jednego z najwybitniejszych ludowców, redaktora tygodnika ludowego „Zaranie". Pierwszym zadaniem naszym jest poinformowanie się o ludziach, mogących być ewentualnymi kandydatami na stanowisko redaktora w piśmie naszym, oraz zapoznanie się i porozumienie z takowymi. Malinowski na razie nie był w stanie wskazać nam kandydatów. Wspomniał o Izie Moszczeńskiej, ale my wnet kandydaturę tę odrzuciliśmy, bo Moszczeńska jest zbyt określoną [illegible], po za tym byłaby u nas w Wilnie niepopularna nietylko w opinii prawicy, ale i lewicy na skutek swych ostatnich wystąpień antysemickich. Przyszła mi wówczas myśl kandydatura Wacława Wróblewskiego na redaktora. Jest on moim kolegą z École des Sciences Politiques w Paryżu; znam go dobrze i jest to umysł trzeźwy, dzielna głowa, człowiek z charakterem i choć należy do partji, ale jest z natury bardzo samodzielny i [illegible]; jest to człowiek ideowy, rzetelny, godny wiary i jest wykształcony i wysoce, po europejsku, kulturalny i w zakresie publicystyki pracował, pisze czasem dość często w „Przeglądzie Społecznym" i „Społeczeństwie" Dawida. Moim zdaniem Wróblewski ze wszech miar by się nam nadawał. Malinowski nic nam wszakże o nim powiedzieć nie mógł, bo go osobiście nie zna. Obiecał nam Malinowski, że się rozpyta o ludziach i poinformuje nas na obiedzie. [illegible] poszedł za swoimi interesami, my zaś z [illegible] do Ludwika Krzywickiego. Zastaliśmy go na wylocie. Krzywicki spotkał z całego serca [illegible] i zrobił wszystko, co w jego mocy, aby nam udzielić wskazówek. Na razie wymienił nam z pamięci kilku ewentualnych kandydatów. Zacytował niejakiego Wilanowskiego, Hulanickiego, Muszkata-Muszkowskiego. O Wróblewskim Wacławie wyraził się z całkowitym uznaniem, ale uprzedził, że siedzi on właśnie od dni kilku w kozie, [illegible] w drodze administracyjnej, choć prawdopodobnie wkrótce wypuszczony zostanie. Krzywicki zaprosił nas na wieczór i obiecał w ciągu dnia zebrać dla nas potrzebne informacje o ludziach. Od Krzywickiego poszliśmy do redakcji „Nowej Gazety". Tu przedewszystkiem zwróciliśmy się do Kasperskiego, sekretarza redakcji. Kasperski bardzo sceptycznie usposobiony co do możności znalezienia w Warszawie odpowiedniego dla nas człowieka. O Wilanowskim powiedział nam, że w zakresie publicystyki ma tylko kwalifikacje typu raczej reporterskiego, więc na pracownika o jakiego nam chodzi, t.j. na [illegible] redaktora, nie nadaje się. [illegible] Na wskazanego przez Krzywickiego Hulanickiego też liczyć nie można. Od Kasperskiego zwróciliśmy się do kierownika literackiego „Nowej Gazety" Lorentowicza, który wskazał nam niejakiego Czakalskiego, młodego literata, — o którym ewentualnie pomyśleć warto. Jest to człowiek młody, [illegible], ale człowiek żywy, inteligentny, który [illegible] Lorentowicz obiecał skomunikować nas z Czakalskim [illegible] z redaktorem „Nowej Gazety" St. Kempnerem. O Czakalskim Kempner wyraził się w ten sposób, że to jeszcze człowiek niedojrzały, zbyt zielony, wchodząc [illegible] na stanowisko tak poważne i odpowiedzialne. Spotkaliśmy się w redakcji z Mirosławem [illegible], moim kolegą z École des Sciences Politiques. Obecnie jest on trochę publicystą, trochę [illegible], popularyzatorem [illegible], przedstawicielem [illegible] Czakalskiego [illegible] kandydatura Muszkata-Muszkowskiego, o którym już nam Krzywicki wspominał. Muszkata znam trochę z czasów [illegible]; w końcu r. 1903 spotkaliśmy się z nim na zjeździe [illegible] Polskiej [illegible] od r. 1909 [illegible] „Społeczeństwie" Dawida. Ma to być człowiek [illegible] filozoficzne, literatura, sztuka, [illegible] z publicystyką [illegible] „Zaranie". Malinowski potwierdził [illegible]. O Czakalskim wyraził się, że to człowiek [illegible]. O Muszkowskim Malinowski [illegible]. Kasperski [illegible] wprowadzeniem działu informacyjno-kalendarzowego w dzienniku. W jednej kawiarni o godz. 5 1/2 [illegible]

[illegible]

74.

29 października
11 listopada
roku 1911.
sobota.

O godz. 7 rano przyjechałem do Lublina. Byłem bez noclegu, bo wczoraj o północy wprost z kawiarni na pociąg wyjechałem. Sposobność była jeszcze zawczesna, aby jakiekolwiek interesa załatwić i z kimkolwiek się widzieć. Po wypiciu więc kawy na dworcu kolejowym, postanowiłem się przejść na miasto i rozejrzeć po Lublinie. Lublin jest pierwszym polskim miastem prowincjonalnym, które poznaję. Oprócz Warszawy i Krakowa żadnych miast polskich nie znam. Z dworca kolejowego trafiłem do jakiejś nędznej dzielnicy, z której źle o Lublinie wnioskować zacząłem – coś niewiele lepszego od naszego Dyneburga. Ale stamtąd po przejściu mostu na rzeczce Bystrzycy dotarłem jakąś długą ulicą (zdaje się: Zamojską) do wielkiego kościoła, przy którym stoi duża brama w postaci wieży; po przejściu bramy tej trafiłem do starego miasta, stanowiącego dzielnicę żydowską. Tu mi już Lublin zaimponował. Budowa kamienic przypomina stary Kraków. Znać starą wysoką kulturę, z której wprost to miasto czerpie wieki życia narodowego. Miasto w swej starej dzielnicy ma swoiste piętno architektoniczne, nie tylko w poszczególnych gmachach, jak kościoły, bramy miejskie, gmachy publiczne, ale też w całej masie murów kamienic. Stamtąd wyszedłem na t. zw. Krakowskie Przedmieście do dzielnicy nowej, która ulega wprawdzie szablonowi budownictwa współczesnego, ale robi również wrażenie dodatnie: ulice szerokie, chodniki wygodne, czystość wszędzie wielka, porządek i gust dobry. Ruch też w mieście w godzinach popołudniowych wcale niepośledni. Na Krakowskim Przedmieściu odszukałem redakcję „Kurjera Lubelskiego”, skąd chłopak zaprowadził mię do mieszkania Jabłońskiego, którego poszukiwałem. Jabłońskiego rekomendował mi Kryński jako zdatnego do kierownictwa pismem, bo redagował już tu poprzednio „Kurjer”, a pismo to jest bodaj najlepiej redagowanym ze wszystkich polskich pism prowincjonalnych. Pod względem przekonaniowym Jabłoński należy do lewicy PPS, ale ma aspiracje raczej do ludowców. Pod tym zaś względem pasuje nam doskonale. Wykształcenie ma Jabłoński dobre, był od r. 1905 do 1908 w Paryżu, gdzie ukończył École des Sciences politiques, potem był w Brukseli w Wolnym Uniwersytecie, kształcąc się przez Vandervelde'go. Jabłońskiego zastałem w łóżku. Wytłumaczyłem mu cel mego przyjazdu i powiedziałem, co będzie za pismo i jaka jego rola w redakcji. Wysłuchał i obiecał dać mi odpowiedź wieczorem. Wydał mi się trochę za młody na stanowisko tak poważne, które mu proponujemy. Ma lat 25, wygląda na jeszcze młodszego i robi na mnie wrażenie trochę niedojrzałego ze względu na przekonania i wiedzę, ale ma poważne cechy charakteru. Zdaje się być trochę zanadto podejrzliwy i drażliwy, nie obraźliwy. To też przedstawiłem mu rzecz w postaci tylko propozycji, zastrzegając decyzję na czas mego powrotu do Wilna i porozumienia się z gronem naszych organizatorów.

[illegible]

30 października / 12 listopada rok 1911. niedziela.

Dzień dzisiejszy zeszedł nam z Nagrodzkim w Warszawie bezpłodnie. Jabłoński ani sam nie przyjechał, ani listu nie przysłał. Zapewne propozycji naszej nie przyjmuje. Zresztą niewiele na nim tracimy, bo coraz bardziej dochodzę do przekonania, że się on nam na stanowisko faktycznego zastępcy redaktora nie nadaje: jest za młody. Przychodził dziś do nas do hotelu drugi ewentualny kandydat, zarekomendowany przez Korfantowicza, niejaki Eustachy Czekalski. Jest to młody literat-publicysta, z przekonań należący do „fraków" (frakcja rewolucyjna PPS). Umysł błyskotliwy i trochę narwany, lubujący się w dziedzinach tematów górnolotnych, dość skory do przechwałek. Nie zrobił na mnie wrażenia dodatniego; jest wprawdzie żywy i ruchliwy, co jest cechą dodatnią w dziennikarzu, ale wiedzy gruntownej i ścisłej. Przypomina mi trochę Jerzego Jankowskiego sprzed lat kilku. Sądzę, że treściwe zagadnienia społeczno-ekonomiczne mało by go zajmowały, natomiast lubiłby przebywać w sferze określania kierunków i systematycznych związków między prądami i ideami. Zbytnie bujanie w obłokach frazesów w oderwaniu od ziemi nie wróży mi dobrze o człowieku. Wielkość frazesu nie odzwierciedla wielkości serca — raczej przeciwnie. Z moich spostrzeżeń życiowych ciągnę doświadczenie, że błyskotliwość frazesu osłania zazwyczaj jałowość serca i że najwięksi frazesowicze są zazwyczaj najlepszymi kandydatami na kabotynów idei. Czekalski może być zdolny, ale jest przede wszystkim frazesowicz. Takiego powinniśmy unikać. Zresztą jego dotychczasowa praca publicystyczna nie może być świadectwem jego doświadczenia dla pisma takiego, jak nasze. Pisywał on albo w tajnym „Robotniku" frakcyjnym, albo w „Naprzodzie", a z pism legalnych w „Sfinksie", organie li tylko literackim.

Ostatecznie nasza wycieczka do Warszawy nie dała nam żadnych owoców. Wracamy do Wilna z zamiarem zaangażowania na redaktora p. Józefa Dubowskiego, ziemianina z pow. Święciańskiego, postępowca o kierunku ludowym. Trzeba będzie spróbować. W Warszawie spotkałem się z Konstantym Srokowskim, bawiącym tu w przejeździe do Egiptu. Byliśmy u niego na obiedzie, potem byliśmy z nim w Alhambrze i Sportowej kawiarni. Na noc wyjechaliśmy z Nagrodzkim do Wilna.

76.

31 października.
13 listopada.
rok 1911.
poniedziałek.

Rano przyjechaliśmy z Nagrodzkim do Wilna. W domu zastałem list od Benedykta Hertza, który w odpowiedzi na moją propozycję zredukowania warunków honorarjum za pracę w naszym przyszłym dzienniku pisze, że warunki jego, podane w liście poprzednim, są ostateczne. W paru jeno drobniejszych detalach redukuje swe poprzednie żądania. Bądźcobądź Hertz jest nam w dzienniku tak niezbędnie potrzebny, że volens-nolens, o ile tylko dziennik powstanie, będziemy musieli wszelkie jego warunki przyjąć. Zresztą, objektywnie rzecz traktując, warunki jego, choć są dla naszego budżetu uciążliwe, wygórowane nie są.

Ale zaszła rzecz inna, gorsza o wiele, bo podważająca samo powstanie pisma. Chodzi o umowę z Szatzem na wydzierżawienie ogłoszeń. W budżecie naszym kontrakt roczny z Szatzem, zapewniający nam koło 12000 rb. rocznie, stanowił główną zasadniczą podstawę bytu. Bez tej pozycji niepodobna marzyć o założeniu dziennika. Z Szatzem umowa zawarta była już właściwie zakończona, jeszcze przed naszym wyjazdem do Warszawy. Ale z dwóch egzemplarzy kontraktu jeden był wszakże przepisany; Szatz podpisał egzemplarz czysty, a drugi powinien był podpisać Dr. Sumorok, jako wydawca urzędowy pisma. Tymczasem w drugim egzemplarzu, jako poprawionym, opuszczono jedno bezwzględne słówko, wskutek czego Dr. Sumorok wstrzymał się od podpisu. To było w czasie naszej nieobecności. Szatz wziął do rąk egzemplarz, podpisany przez niego poprzednio, niby dla porównania obu egzemplarzy, i oto teraz, mając w ręku egzemplarz ze swym podpisem, a przeto faktycznie mając możność całkowitego cofnięcia się od umowy, zażądał zmiany jednego kapitalnego warunku, mianowicie co do terminu obowiązywania umowy. Poprzednio ustalony był bezwzględny termin roczny, teraz zaś Szatz żąda dla siebie prawa wypowiedzenia kontraktu o każdej porze w ciągu roku za trzymiesięcznym [?] wypowiedzeniem. To stawia odrazu byt naszego pisma w zawieszeniu, tembardziej, że widzimy, iż konkurent Szatza, Hertz [?], dołoży wszelkich starań, aby się z Szatzem porozumieć co do [?] naszego pisma. Oczywiście więc, że ten warunek Szatza nie przyjmiemy [?]. Bylibyśmy już i tak teraz, gdy byt naszego pisma jest w zawieszeniu. Wieczór spędziłem u Aniny w jej pracowni [?]. Byłem stęskniony do niej nad wszelki wyraz; z Warszawy często [?] do niej kartki wysyłałem.

Po obiedzie spotkałem się z Anną w cukierni Zaszowicza. Zaprowadziłem ją na obiad do gabinetu hotelu Niszkowskiego. Na obiedzie Anna była wesoła, choć się zamyślała [illegible]. Stamtąd poszliśmy z nią do hotelu*. Mieliśmy tam spędzić jeno wieczór, ale za ciężko było się nocą rozstawać, więc zostaliśmy na noc całą.

1 (14) listopada. rok 1911. wtorek.

Anna jest nerwowa nad miarę. Nie wiem, co z nią jest, ale stan jej nerwów staje się coraz gorszy. Ulega bezsenności, raptownie w nocy dostaje wizji, zrywa się, nie poznaje mnie, bierze mnie w półmroku za kogoś innego, wpatruje się we mnie źrenicami rozszerzonemi, z których wyziera obłąkanie; drży, krzyk urywany wyrywa się z gardła. Sądzi, że jestem jej mordercą. Musiałem zapalić światło. Anna czuła się niedobrze, miała mdłości i zwracała trochę. To raptem ogarnia ją ekstaza zmysłowa, której się wstydzi i do której nie przyznaje. A tęskni za mną, lękasz o [illegible] [illegible] w czasie mej nieobecności. Kocham ją nad miarę. Miłość ta spali mnie, jak zapałkę; z serca żywego zostanie jeno zbutwiały węgiel. Wiem, że miłość* ta jest dla mnie kresem. Stoję wobec tragicznej zagadki, której rozwiązania nie dostrzegam, a w którą włożyłem całe serce moje. Ale nie o względne moje serce chodzi, — chodzi o byt, o życie Anny. Jedno tylko bodaj mogłoby być rozwiązaniem skutecznem i dobrem — to dziecko. O jakże dziecka tego pragnę! Z niektórych oznak, mianowicie stanu nerwowego Anny, pewnych mdłości i osłabienia, zdawałoby się, że nadzieja na dziecko mogłaby świtać. W ostatnich dniach miesiąca wypadają reguły Anny. Teraz wszakże do dnia dzisiejszego reguł nie miała, co zdawałoby się potwierdzać nadzieję ciąży. Ale oto w nocy ukazały się drobniutkie ślady krwi. Nie mogą to być nic innego, jak zapowiedzi reguł. Przekleństwo! Boże, zlituj się nad nami!

[illegible]

2 (15) listopada rok 1911. środa.

Jestem na rozdrożu. Wpadłem w wir tragedii życiowej, której finału przewidzieć nie jestem w stanie. Dziś w tragedii tej rozegrał się akt straszliwy, który wstrząsnął całą budową stosunku. Straszliwy nie ze względu na fabułę, ale na nastrój uczuć i samowiedzy naszej. Byłem z Anną w hotelu od dnia wczorajszego. Oboje byliśmy zmęczeni, niewyspani, zdenerwowani. Anna miała moment gorącej wylewnej czułości, była serdeczna, słodka i potulna. Zacząłem jej mówić o mej miłości, o tej głębi i pełni uczucia, które całe mnie obejmuje i w niej zatapia. W niej i dla niej żyję, w niej streszczam moją duszę, wolę, pragnienie i tęsknotę. Szczęśliwy jestem i zarazem nieszczęśliwy. Anna zaczęła się domagać, abym powiedział, przez co i dlaczego nieszczęśliwy jestem. Nieszczęśliwy, bo nie mam chwili spokoju i równowagi, wciąż szarpany niepewnością co do miłości Anny. Czy mnie kocha i jak kocha i czy może mnie kochać. Zagadnienie to jest dla mnie w obecnym stanie mego uczucia nad wszelki wyraz męczące. Nurtuje mnie ono i zatruwa spokój oraz wszelką radość. Anna nie wie, czym jest dla mnie. W zagadnieniu tym streszcza się nie tylko sprawa zaspokojenia mej miłości, ale nadewszystko sam wątek mego uczucia, sprawa bytu Anny, bo miłość jej byłaby jedyną gwarancją jej szczęścia i jej życia. Znaczy — stosunek nasz obecny jest epizodem, z którego wyjściem jest albo śmierć, albo upadek i zmarnowanie Anny. Trzeba tak czuć i to czuć, co ja czuję i wiem, aby pojąć grozę treści tego zagadnienia. Trzeba być mną [?] i mieć myśl ~~[illegible]~~ oraz całą duszę utkwioną w tym jedynym przedmiocie — w duszy Anny, aby widzieć istotę rzeczy. Anna określiła mi w odpowiedzi naturę swego uczucia i stosunku do mnie. Nie powiedziała nic nowego, bo już mi kilkakrotnie dawała to do zrozumienia w czasach ostatnich. Czy mnie kocha? Tak, bo nie kocha nikogo innego i o nikim, prócz mnie, nie myśli, do nikogo i do niczego innego nie tęskni. O mnie myśli, do mnie tęskni, o mnie śni, w mojej osobie cała się psychicznie streszcza. Ale czuje życie poza sobą, ~~[illegible]~~ czuje się już starą, jakby miała lat 40. Przeszłość swoją pogrzebała, nie myśli i nie tęskni do niej. Jej ukochany poprzedni [?] Augustynek — zapomniany; nie ma go dla niej. Ale tej pierwszej miłości, żywej, gorącej, rozpłomienionej [?], tej [illegible] — już więcej nie zaznała [?]. Tej miłości dla niej [illegible], bo [illegible] życie [?]. Dla tym [?] jest Anna [illegible] wyjątkowa, wyczerpana. Dlaczego?, powiada Anna, [illegible] i [illegible], nie poznała mnie ona wcześniej, kiedy by mi [illegible] mogła. To wyznanie Anny, z nieznaną jasnowidzącą [?] [illegible] odsłaniające istotę jej duszy, podziałało na mnie straszliwie. [illegible] nie [illegible] się nie wyrzekła [?]. Taka miłość pierwsza, twórcza, kochała mnie [illegible] Anna, nie Wolberg [?], ale Anna [illegible]. Tej miłości, tego [illegible] Anna Wolberg mi nie da [?]. Dziś jeszcze [illegible] do Anny [illegible], [illegible] Tam mnie czeka szczęście, bo choć [illegible] Anny [illegible] nie [illegible], ale

[illegible]

3/16 listopada rok 1911. Czwartek.

Pić będę. Wynieśliśmy oboje z Anną samo sedno prawdy, straszliwie okrutne. Złudzeń mieć nie możemy. Będę jej kłamać, będę przedstawiać sytuację obecną, ale sam wiary nie mam, bo poznałem prawdę. Obłąkany jestem, choć nie, ale tylko takim będąc, jestem w stanie ogarnąć całą pełnię świadomości w tym jedynym punkcie widzenia. Będę kłamać Annie, że prawda prawdą nie jest, bo inaczej z prawdy tej wyciągnąć bym musiał konsekwencje zabójcze. A bez Anny i poza nią w chwili obecnej żyć nie umiem. A pić będę, bo w alkoholu tylko i w sztucznej atmosferze uczuć narkotycznych utopić potrafię zbyt dokładne i ścisłe wizjonerstwo, które mnie zabija. Poznałem naturę miłości Anny. Jest to [redacted] uczucie szczere, ale jej miłość, bo takowa, w jej prostym znaczeniu, być nie może. Wiem teraz, że dziecka z nią mieć nie będę, bo u kobiety z miłości się ono tylko rodzi przy takim stosunku, jak u nas. [redacted] Dziecko było jedyną postacią rozwiązania tej tragedii na rzecz trwałego stosunku dodatniego. Obecnie, gdy na przyjście na świat dziecka liczyć nie można — żadnego rozwiązania nie widzę. Ale Anny się nie wyrzeknę i nigdy, dopóki mi serca stanie, nie cofnę się z drogi ratowania jej. Jej życie niech się stanie celem moim!

Wieczorem poszedłem do Anny. Spotkałem się z nią w umówionym miejscu, w cukierni Jassowicza i stamtąd poszedłem z nią do jej mieszkania. Przed spotkaniem się z Anną byłem u Szajewskiego, z którym wypiłem dość dużo starki, to też byłem nieco podchmielony. Anna to spostrzegła, a że powiedziałem jej wczoraj, że będę teraz pić, więc zaczęła znów z tego powodu rozpaczać. Cały czas w domu płakała. Twarz ukryła w dłoniach i szlochała, zanosząc się od płaczu. Nie mogłem jej uspokoić, nie mogłem rąk od twarzy oderwać. Nie rozmawialiśmy z Anną wcale, bo ani na chwilę płakać nie przestała. Raz się jej tylko wyrwała z ust skarga, że boli ją, iż tylko na pijano mogę z nią rozmawiać. Biedna, nieszczęsna, kochana dziecko! Po co my się z nią właściwie męczymy, gdy się kochać możemy i kochamy. Boć przecie tylko szczęście jest tu ze strony kochania. Z ciężkim sercem opuściłem Annę o godz. 10½. Z bólem się żegnała ze mną, błagała, bym został. Nie chciałem przeciągać tej męki.

Od Anny poszedłem na „czwartek" do Wróblewskiego. Jest to pierwszy „czwartek" ... [illegible] ... Wróblewski ... Sawrowicz ... Gieysztor ... Wiktor ... Ochab ... [illegible]

4 (17) listopada rok 1911. piątek.

Choć się położyłem w nocy późno, wstałem o godz. 8 i na godzinę 9 byłem już w cukierni Jassowicza przy ul. Wileńskiej, gdzie usiadłem przy oknie na posterunku, skąd widzieć mogę Annę, gdy będzie szła z domu na robotę do Łapkowskiej. Wczorajszy płacz Anny, jej smutek i ból bez kresu zbyt głęboko mię dotknęły. Nie mogłem jej w takiej chwili opuścić, [redacted] umyśliłem ją zobaczyć i pocieszyć, tym bardziej że dziś wieczorem u niej nie będę, bo się z Maryńką do teatru wybieram. Jakoż o godz. 9½ ujrzałem Annę za oknem. Spostrzegła mię natychmiast i weszła do cukierni. Miała wyraz twarzy zmęczony, oczy od łez nocnych czerwone, twarz w ogóle zoraną boleścią i forsowną grą namiętności. Cicha była i smutna. Pytała z niepokojem, dokąd wczoraj poszedłem wieczorem, zaglądała mi w oczy z uśmiechem bolesnym, w którym poprzez nutę czułości też [redacted] przezierała męka osoby upokorzonej. Co za boleść w tym uśmiechu, w całym wyrazie jej twarzy. Nie protestowała przeciwko temu, że piję i pić [redacted] może nadal będę, jeno cierpiała i ruchem dłoni ocierała łzy, które się do oczu cisnęły. Chciałaby mię ona przez cały czas i ciągle posiadać dla siebie i przy sobie. Co za cierpienie się odmalowało na jej twarzy, gdym ją spytał, czy nie znudzę jej mą osobą, jeżeli jutro także kilka razy się z nią w cukierni spotkam. Nie jest mi łatwo stanąć odpowiedzieć na to, jeno się skarży, że ja tak męczę. Ktokolwiek bądź Anna sądzi, jakkolwiek by swe uczucia i stany duszy pojmuje — kocha mię, musi mię kochać, i żyje już dziś bezwzględnie i zupełnie mną i moja. Tę świadomość zdobyłem. A wszakże to jest nic innego, jak miłość.

Całe popołudnie zajęty byłem pisaniem artykułu o prasie ludowej litewskiej dla jednodniówki Abramowiczów, która się ma ukazać za dni kilka. Z naszym pismem nic nowego nie słychać. Z Szatrem [redacted] pertraktacje nie wznowione, to też o dzienniku nie ma co myśleć. Nagrodzki jest zniechęcony i rozgoryczony takim niedołężnym upadkiem sprawy. Ja jestem zdania, że należałoby nam wrócić do projektu tygodnika. Krzyżanowski podziela moje zdanie. [redacted] W niedzielę mamy o tym pomówić. Zachodzi tylko ta trudność, że Abramowiczowie mogą nas ubiec. Wydanie przez nich jednodniówki w postaci Tokarzewskiego da im przewagę do konnego początku. Jeno że Abramowiczowie nie mają pieniędzy na wydawnictwo; moglibyśmy przeto wejść z nimi w pewien układ i za zgodą udziałowców przelać na ich tygodnik pieniądze; [redacted] w tygodniku jabym się mógł redaktorstwa podjąć i zgodziłbym się na [redacted] Ludwika Abramowicza jako sekretarza; gdyby więc Abramowiczowie się na to zgodzili, można byłoby [redacted] mieć pismo, a ja wolałbym nawet, że to tygodnik, niż taki trudnowy dziennik, który musiałby być albo jałowy albo ciężki.

Wieczorem byłem z Maryńką w teatrze polskim i na modnym cyklu na „Dzikiej kaczce" Ibsena. Widziałem [redacted] panią Przybylską, w której się przed 2½ laty za jej czasów poniewieskich, trochę kochałem i która się też wówczas trochę we mnie kochała. Teraz nie znamy się z nią wcale. Ukradkiem wszakże przyglądaliśmy się sobie.

5 (18) listopada rok 1911. sobota.

Zaniosłem dziś mój artykuł o prasie ludowej litewskiej do Ludwika Abramowicza. Ludwik mię poinformował, że jednodniówka jego, która ma wyjść we czwartek, będzie * tokarowym [redacted] tygodnika. Ma nadzieję, że trosta tygodnik na nogi postawić. Upadek naszego przedsięwzięcia z dziennikiem toruje drogę dla tego tygodnika. Uważam, że należałoby nawet wejść z nim w układ.

W kawiarni spotkałem się z Helą Ochenkowską. Rozmawialiśmy długo i przyjaźnie, poraz pierwszy od czasu moich zajść małżeńskich, kiedy to Hela była przeciwko mnie uprzedzona.

Z Anną spotkałem się rano w cukierni Jassowicza. Była taka sama, jak wczoraj. Wyglądała zmęczona, przygnębiona, blada; łzy [redacted] jej wciąż do oczu napływały. Nie skarżyła się, jeno przy każdym słówku z mej strony trzęsła się i płakała. Odprowadziłem ją do Płaskiewskiej. Mówiła, że obecnie nie jest w stanie dobrze pracować. Gdym ją prosił, aby się przemogła i uspokoiła i pracowała starannie z myślą o tym, że ja tego życzę, odpowiedziała, że właśnie myśl o mnie odbiera jej spokój i przeszkadza w pracy. Myśl o mnie tkwi w jej [redacted] umyśle, jak mania, jak zmora, i rani jej serce. Anna była [illegible] w żalu. Szła po ulicy, wciąż sobie [redacted] twarz wycierała a wyglądała, jak męczennica. Powiedziała, że się z jej tak [illegible], i że już nigdy nasz stosunek poprzedni nie wróci, bo nie jestem w stanie jej uwierzyć. Postanowiła cierpieć, dopóki jej siły pozwolą, a potem przerwać życie. Po rozstaniu się z nią, nie mogłem przez dzień cały znaleźć chwilki spokoju. Całem [illegible] w sercu tak bolący, że mię o szał przyprawiała. Wszak Anna mię kocha i miłość jej po prostu z obłędem graniczy. Wieczorem nie poszedłem na zebranie koła kobiet, na którym miałem referować o stosunkach litewskich i pobiegłem do Anny, sprawiając jej niespodziankę. Z wielkim wysiłkiem udobruchałem Annę, ukoiłem jej [illegible], co jej ponadto trzeba, gdy nie przecie, że ją kocham i jak kocham. Odpowiedziała, że nie o to chodzi, ale o mój stosunek i wiarę do niej. „Nie jestem — powiada — żydem kramarzem, który swój towar przedstawia i chwali. Serca mego i uczuć nie umiem i nie zostanę, jak towar, zachwalać”. Anna jest dumna i harda. Nie umie i nie chce [illegible] swej narzucać, wmawiać. Gdy jej nie wierzę, to ona tylko cierpieć będzie i płakać [illegible]. Ja zaś, jak ona [illegible], [illegible] jej nie mogę, i myślę, że ona tylko dla pieniędzy musi jest przy mnie. [illegible] jej [illegible], bo mi we [illegible] powiedziała [illegible], że co przez te dni [illegible], tego ja nigdy się nie dowiem i nie zostanę pojąć. Czy [illegible] widzę jej [illegible] jej tak, jej obłędu, jej bólu? Czy to mi nie ubiera, nie [illegible] o jej miłości. Przez cały czas [illegible] o Annie myślała, mała była chora. Oddała [illegible]

[illegible]

6 (19) listopada
rok 1911.
niedziela.

O południu spotkałem się z Anną, z którą poszliśmy na przechadzkę za miasto wzdłuż toru kolejowego w kierunku Wilejki. Pogoda była dobra, powietrze suche i rzeźwe, wiatr nieco zawiełki, ale nie zimny. Projekt przechadzki tej należał do Anny, i istotnie był to projekt wyśmienity, czysty od wszelkich kinematografów i restauracji. Spacer udał się jaknajlepiej. Rozmowa wczorajsza wieczorna wyjaśniła i usunęła poprzednie nieporozumienie nasze, a zdrowe powietrze wiejskie i ruch wpływały kojąco na nerwy. Byliśmy znów owiani atmosferą miłości i wiary wzajemnej. Odzyskanie wiary w miłość naszą — to środek cudowny, talizman szczęścia naszego. Jak ja bez Anny, tak Anna beze mnie — dziś żyć nie możemy. Rozmawialiśmy swobodnie, serdecznie, a potym, uszedłszy kawałek drogi, weszliśmy do lasku, położonego w kotlince między pochyłościami wzgórz. ~~Tam~~ Tam usiedliśmy za wiatrem, ożywieni spacerem i grającym w sercach naszych hymnem miłości. Wypoczęliśmy w ciszy i wróciliśmy z tym samym pięknym nastrojem do miasta. Jakże szkoda, że to zima nadchodzi i że na czas dłuższy pozbawieni będziemy takich przechadzek. Na obiad zaszliśmy do gabinetu w restauracji hotelu Niszkowskiego. Tu zaszedł, niestety, zaszedł fakt, który zmącił na chwilę nasz spokój i mógł wznowić ~~[illegible]~~ nieszczęsną sytuację ostatniego tygodnia. Przed obiadem kazałem podać przekąskę i wódkę. Chciałem sam parę kieliszków do obiadu wypić, Annę zaś prosiłem, aby nie piła. Wypiłem jeden kieliszek, drugi. Anna zapytała, dlaczego jej pić nie daję, sam piję. Dla żartu poniekąd, częściowo zaś dla przekory odpowiedziałem, że mam przywilej specjalny, dla którego piję. Powiedzenie to podziałało na Annę w sposób okropny. Nie zrozumiała ona, że kilka dni temu, gdym w jej miłość zwątpił, oświadczyłem o mym postanowieniu picia. A więc wciąż przecie w miłość tę wątpię, wciąż wrócić do ~~[illegible]~~ naszego szczęścia poprzedniego nie mogę! A więc sytuacja z dni ostatnich trwa! Anna schwyciła butelkę i pić zaczęła kieliszek po kieliszku bez przerwy i zalała się łzami. Dość tej męki — nie chce już stąpać, bo stracę nie oczy, lecz serca, dziś jeszcze odbierze sobie życie, bo miłości i wiary mej nie odzyska, a wytrzymać cierpienia dłużej nie jest w stanie. Przekonywałem Annę, błagałem ją o spokój, wreszcie nawpół przytomny zamknąłem rzecz. Scena ta, której szczegółów nie umiem opisać, trwała przez czas jakiś, aż gdy zjednoczyliśmy się w bólu obaj, usta i oczy nasze złączyły się, splotły się w pocałunku, a pieszczota ust i wyrazów naszych wyjaśniła nasze nieporozumienie i pogodziła nas w wzajemnym szczęściu. Pieszczoty te, które żywiołowo z nas wytrysły w najostrzejszym momencie bólu, złączyły nas znów w uściśnięciu miłości i wiary; nie towarzyszyło im ani jedno słowo, a gdy ~~[illegible]~~ aż jakiś dramat potym odzyskaliśmy mowę, to już nie do wyjaśnień nic było, bo nastrój był ~~[illegible]~~ zupełnie różny.

Wieczorem w redakcji „Nowej Gazety". [illegible]

7 (20) listopada rok 1911.

Podczas mojej rannej herbaty wpada do mnie
niespodzianie Elizka Komorowska, o której przyjeździe
nic nie wiedziałem. Przyjechała dziś rannym
pociągiem umyślnie dla rozmówienia się ze mną i
wezwania mię do Mamy. Mama od czasu ostatniego powiedziałek.
zjazdu działowego we wrześniu jest szalenie zdenerwo-
wana. Codzień niemal pisze do mnie i w każdym
liście inny wysuwa pomysł, inny projekt. Plącze
się i gmatwa w swoich pomysłach, nie liczy się
z warunkami realnymi. Zdenerwowanie Mamy gra-
niczy z obłąkaniem. Dział ten i jego ewentu-
alne skutki traktuje Mama zgóry, jako klęskę,
i nic nie jest w stanie Mamy przekonać i uspo-
koić. W ostatnich czasach Mama zapragnęła spłaty.
Otóż teraz dowiedziała się, że Mieczyś Bohdanowicz
w rozmowie ze mną wyrażał chęć nabycia ~~od~~ sche-
dy Mamy z ustępstwem 15%, to znaczy za schedę,
którą w ocenie arbitrów wynosi ± 125000, dałby ja-
kieś 102-103 tysięcy. O kombinacji tej nie wspomina-
łem nic Mamie, aby jej nie niepokoić, bo ją uważałem
za wielce niedogodną. Teraz Mama się o tym dowiedziała
~~ostatnio~~ z ust trzecich i zapaliła się do sprzedaży schedy
Mieczysiowi. Elizka przywiozła Mamę do Kowaliszek, a
sama przyjechała po mnie do Wilna. Wobec tego dziś
jeszcze pojadę do Kowaliszek do Mamy.
Wieczorem pożegnałem się z Anną. Zasmucona była
moim wyjazdem, jak i ja też rozstaniem się z nią.
Ten wyjazd na dni parę ciężył mi jednak kamieniem
na sercu; nie umiem po prostu żyć bez Anny. Nasze
rozstanie było owiane szczerą tęsknotą, nad którą zwłaszcza
Anna zapanować nie umiała.
Po pożegnaniu z Anną zajechałem jeszcze na chwilkę
do cukierni Miśkiewicza przy prospekcie, gdzie mieliśmy
się zebrać dla ostatecznego omówienia sytuacji w sprawie pisma,
która się wytworzyła po cofnięciu się Szatry od kontraktu. Zasta-
łem tam Krzyżanowskiego, Piłsudskiego i Witolda Abramowicza.
Piłsudski chciał, żebyśmy jeszcze próbowali wydawania dziennika,
ale myśmy stanowczo to odrzucili, nie mając zapewnionego docho-
du z ogłoszeń. Postanowiliśmy wszakże nie zaniechać sprawy i spróbo-
wać wejść w układ z Abramowiczami, którzy do wydawnictwa ty-
godnika przystępują, a następnie układ taki przedstawić do
zatwierdzenia Towarzystwu. Mamy to wykonać ewentualnie
w ciągu tygodnia, gdy Nagrodzki, który jest teraz chory, wyzdro-
wieje.
O godz. 11 przyjechałem na dworzec kolejowy, gdzie wszakże się do-
wiedziałem, że pociąg idący na Petersburg już odszedł. Zostaje tylko
pociąg pośpieszny, który w Kałkunach nie staje. Wziąłem więc bilet do Dyneburga
z tym, że stamtąd jakkolwiek, dorożką czy pociągiem powrotnym, do Kałkun się dostanę.

8 (21) listopada
rok 1911.
wtorek.

Koło godz. 3 w nocy przyjechałem do Dyneburga. Zastałem tam pociąg idący z Petersburga, którym do Kałkun pojechałem. W Kałkunach się przespałem do godz. 9 rano i koło godz. 10 wyjechałem na Rakiszki. W Rakiszkach zastałem konie kowalskie, które mię do Kowaliszek odwiozły. Mamę zastałem istotnie bardzo zdenerwowaną i poruszoną. Uspokoiła się wszakże trochę, widząc mię przy sobie, i to jeszcze bardziej, gdym Jej zaproponował, aby się wybrała ze mną do Wilna. Sama obecność moja uspokaja Mamę. Gdy zaś [illegible] w Wilnie i będzie mogła każdej chwili pomówić ze mną o każdym szczególe, który jej do głowy przyjdzie, to będzie o wiele zdrowsza.

Najgorsze jest to, że Mama przy swym niepokoju jest daleko od samego wątku interesu, skupionego w moim ręku. Jest przeto osamotniona w swych pomysłach, nie mając się z kim poradzić i komu swe troski wyrazić, a chociażby się tu czy w Bohdaniszkach radziła, to wie ~~[illegible]~~ [illegible], że osobą czynną w interesie jestem tylko ja, nie zaś ci, z którymi tu rozmawiać może.

Co do meritum sprawy przedstawiłem Mamie, że nawiązać rokowania co do spłaty można, tak z Mieczysiem Bohdanowiczem, jak z Wołodkowiczami, ale że rozmowa moja z Mieczysiem, w której on wspomniał, że ewentualnie by kupił schedę Mamy z ustępstwem 15%, nie miała charakteru formalnych pertraktacji. Otrzymanie więc spłaty od Mieczysia, nawet z tym ustępstwem, stanowiącym stratę dla nas poważną, musiałoby być dopiero wywalczone. Spróbować iść na spłatę można, ale to jeszcze samo przez się nie jest rzeczą pewną. Można też będzie ewentualnie proponować przejście na spłatę ~~o~~ na samym zjeździe działczym w toku układów; wtedy ewentualnie ~~o~~ warunki spłaty mogą być uzyskane dogodniejsze. Zresztą będziemy robili, co się da, kierując się wolą Mamy, boć to Jej własność przedewszystkiem.

Sama obecność moja uspakajała Mamę. Stare matki, tak kochające dzieci, jak Mama mię kocha, muszą, jak powój, opleść życie syna i wisieć przy nim. To jest ich potrzeba, ich bytem. Położenie biednej Mamy jest rzeczywiście ciężkie. Nigdy nie miała charakteru kierowniczego, to też usunięcie Jej obecnie od interesu nie daje się pogodzić z Jej naturą i nie może Jej spokoju zapewnić. [illegible] samodzielność jest niedostateczna, nie posiada odwagi czynu, nie jest w stanie myśleć z rozwagą. [illegible] wyjściem z tej sytuacji jest zabranie Mamy do Wilna i [illegible] teraz podług Jej życzenia, chociażby ze stratą.

9 (22) listopad. rok 1911. Środa.

Życie Mamy kochanej jest ważniejsze od straty materjalnej w interesie. To też nie będę przeciwdziałał Mamy dążeniu do wzięcia spłaty za Jej schedę w spuściźnie po babce Tukałłowej, chociaż branie spłaty [redacted] będzie niewątpliwie stanowiło stratę w porównaniu do brania spadku w naturze, a tym bardziej branie spłaty w warunkach obecnych. Ale to jedyne, co Mamie zapokoi i zapewni. Kapitał w gotówce — to ratunek dla Mamy. Będę więc sumiennie i starannie prowadził interes w kierunku spłaty, o ile się to zrobić da. Wszakże i spłata nie jest bynajmniej łatwa do uzyskania, trudniejsza (może), niż się to Mamie wydaje.
Zabieram teraz Mamę ze sobą do Wilna. Zmęczenie podróży w każdym razie o wiele mniej zaszkodzi na zdrowiu Mamy, niż ciągłe gryzienie się i zdenerwowanie jakiegoś [illegible] zdala odemnie i od interesów. Stan Mamy zdrowia jest wogóle bardzo zły. Już od dwóch lat Papa twierdzi, że Mama nie pożyje dłużej nad jakichś lat cztery. Niestety — zaczynam wierzyć, że istotnie życie biedaczki Mamy nie na długo się przeciągnie. Biedna moja Mamusieńka kochana, biedna staruszka, której serce [redacted] biło dla mnie taką miłością, jakiej rzadko nawet u matek. Kochana istota — czyż odejdzie od nas tak rychło w zaświaty!
Niestety! Smutno i boleśnie.
Oto pokolenie ojców naszych stawa u kresu. Czy nie za rychło. Wszak dopiero dziadowie do grobów się pokładli. U schyłku — i to już tuż nieodwołalnego — stanęła właśnie siostra Papy, ciocia Kasia Tyszkiewiczowa. Przed kilku dniami otrzymaliśmy straszliwą wieść, że c. Kasia ma raka a więc chora jest śmiertelnie. Podobno najdłużej do wiosny dożyje. Papa, którego jest ona siostrą jedyną, dotknięty nader boleśnie tą wieścią i jest zgnębiony. Ze wszystkich ciotek tej żałuję najwięcej, bo ją najwięcej kochałem. Przepiękna bo to też i krystalicznie czysta dusza, a dla nas tym droższa, że siostra jedyna naszego Ojca, którego przypomina w najpiękniejszych i najszlachetniejszych właściwościach Jego Ducha.
O godz. 10 wieczór wsiadłem z Mamusią do kocza i ruszyliśmy z wsi na pociąg nocny do Rakiszek.

10 (23) listopada.
rok 1911.
czwartek.

Podróż odbyła Mama względnie nieźle. W Daskiszkach w nocy wsiadła do pociągu z Tatwosią, w Kalkunach też dobrze wysiadła i wsiadła. Cieszyła się z jazdy do Wilna, była spokojna i nie wyglądała wcale zmęczoną. Dopiero gdy nad ranem, podjeżdżając do Wilna, zaczęła manatki pakować, to się już poczuła zmęczona. Dyszała ciężko, wyglądała źle, nerwy się znów rozluźniły. Dowiozłem Mamę do naszego mieszkania przy ul. Wileńskiej. Po wejściu na schody Mama się ostatecznie zmęczyła. Zaraz się położyła do łóżka, a już i wszystkie dolegliwości i zdenerwowania wróciły. Elizka Komorowska, bawiąca chwilowo jeszcze w Wilnie, i Marynka otoczyły Mamę. Po obiedzie wezwaliśmy doktora Sztolcmana. Doktor obejrzał Mamę i, choć narazie nic określonego co do stanu choroby Mamy nie wskazał, jednak bynajmniej nas nie uspokoił. Orzekł, że stan serca Mamy wcale tak zły, jak to Mama wyobraża i wszystkim opowiada, nie jest. Jest sklerosa, ale zresztą nic strasznego. Natomiast zwrócił uwagę na pewne jakoby stwardnienia w okolicy pępka, co mu Mama sama wskazała. Poradził, abyśmy się zwrócili do specjalisty-ginekologa, żeby zbadał, czy to nie pochodzi z jakichś organów kobiecych. Wezwiemy więc jutro dr. Maciańskiego. Następnie Sztolcman powiedział, że jeżeli się czegoś można u Mamy obawiać, to chyba choroby cukrowej. To oczywiście byłoby straszliwe. Dla zorjentowania się pod tym względem Sztolcman polecił dokonać analizy uryny Mamy.

Wieczorem spędziłem godzinkę u Anny. Wobec niewyspania na skutek podróży całonocnej — byłem zmęczony i senny. Tak senny, że ledwie mogłem z Anną rozmawiać. Brakło mi animuszu, humoru, ochoty. To też czas mi zeszedł z Anną bezbarwnie. Miłość jakby przygasła w zmęczeniu. Nastrój mój udzielił się też poniekąd Annie, która także dość ospałą była. Ma ona naturę bardzo wrażliwą, ożywiającą się przez wszelkie podniety i dochodzącą do ekstazy, to znów w braku podniet spadającą chwilami do stanu biernego.

11 (24) listopada rok 1911. piątek.

Mama ma się już dziś znacznie lepiej. Uspokoiła się prawie zupełnie, zmęczenie minęło, fizycznie ma się dobrze. Całą siłą temperamentu swego przylgnęła do myśli o spłacie swej schedy spadkowej po [illegible] i jedynie się już tylko niepokoi, aby coś spłacie nie przeszkodziło i aby nie musiała brać schedy w naturze. Choć ja i większość w naszej rodzinie, — a przynajmniej też Papa, Marynia i Stefanostwo Mieczkowscy, — wolelibyśmy to ostatnie, ale przeciwdziałać życzeniom a raczej gwałtownemu pragnieniu Mamy trudno nam. Eliza Komorowska już dziś wyjechała. Po obiedzie wezwaliśmy do Mamy dr. Maciańskiego, jako specjalistę-ginekologa. Dr. Maciański obejrzał Mamę i znalazł, że organa kobiece są u Mamy w doskonałym porządku i że pod tym względem nie ma żadnych obaw.

Całe popołudnie i wieczór spędziłem dziś w domu, co mi się rzadko zdarza. Do Anny nie poszedłem; umówiłem się z nią wczoraj na jutro wieczór, a choć tęskniłem trochę do niej, jednak ~~nie chciałem~~ postanowiłem nie iść, bo nie chcę jej zbyt wysilać, a wiem, ile wysiłku pochłania ekspansja uczucia u osób tak wrażliwych, jak ona. Na herbacie wieczornej był u nas szwagier mój, Jurek Römer, który wstąpił do mnie po raz pierwszy od czasu zerwania mego małżeństwa z siostrą jego. Jurek bardzo urósł i zmężniał, choć ładnym chłopcem nie jest. Po herbacie pracowałem. Pisałem do Trusiewicza, dając mu informacje do jego pracy o partiach litewskich, potem zacząłem pisać odczyt do mego odczytu na przyszłą sobotę w kółku młodzieży postępowej.

12/25 listopada rok 1911. sobota.

Mama jest już zupełnie zdrowa. Dochodzę do przekonania, że właściwie wcale chora nie była. Cała choroba polegała li tylko na zdenerwowaniu na tle jednego podłoża histerycznego, które się bodaj u Mamy zaprzeczyć nie da. Jestem pewny, że Mamy chęć gwałtowna przejścia nas spłatą w dziale jest w dużym stopniu dziełem Komorowskich. Komorowscy, przedewszystkiem Zyś a za nim Elizka, pragną gwałtownie skapitalizowania schedy Mamy. Oni z nas wszystkich byli w tych czasach najbliżej Mamy i nic ~~[illegible]~~ nie było łatwiejszego, jak oddziałać w tym kierunku na zdenerwowaną Mamę. Wprawdzie Papa, który woli stanowczo, aby Mama brała schedę w naturze, był jeszcze bliższy Mamy, bo z nią stale w Bohdaniszkach przebywał, ale wpływu ~~[illegible]~~ żadnego na Mamie wywrzeć nie mógł, bo Mama nie ma wiary do projektów Papy, zwłaszcza w interesach, i ~~Papa~~ sam nie umie na nikogo wpływać — nie ma żadnych zdolności dyplomatycznych. Gdy już Mama była na tym punkcie zdenerwowana, to wystarczało kilka słów, rzuconych zręcznie przez Elizkę, nawet bez premedytacji, bez intrygi, aby Mamę pchnąć ostatecznie na tory — dążenia do spłaty coûte que coûte.

Wieczorem ~~[illegible]~~ spotkałem się z Anną w miejscu umówionym, skąd poszliśmy z nią do menażerji a potym do restauracji w hotelu Niszkowskiego na kolację. Wieczór zeszedł nieźle, harmonja między nami była dobra, ale nastroju gorącego nie było. W stosunku naszym od czasu mego ~~[illegible]~~ powrotu do Wilna z Bohdaniszek dostrzegam się jakby pewne oziębienie. Czy mi się to tylko tak wydaje, czy też miłość nasza, po ostrym przesileniu poprzedniego tygodnia, wyczerpała naraz swą żywotność? W każdym razie wyczerpała się pewna gwałtowność w stosunku naszym, zbyt równowartościowy spokój.

[illegible]

13/26 listopada rok 1911. niedziela

Wyszedł pierwszy próbny numer tygodnika Abramowiczowskiego p.t. „Przegląd Wileński". Numer ten wyszedł w postaci jednodniówki, ale stanowi on siłą faktu dokonanego. Już przez to samo Abramowiczowie są silniejsi od naszej grupki; my właściwie sprawę położyliśmy, bo od tygodnika przerzuciliśmy się na ośle do dziennika, a gdy projekt dziennika został zarzucony, to nim my zdecydowaliśmy się zorjentować i wrócić do tygodnika, już nas Abramowiczowie ubiegli. Wreszcie też cechą naszą jest brak jednolitości; wpośród nas jest dyplomata Nagrodzki, który w gruncie rzeczy jest sojusznikiem Abramowiczów i ciąży do redaktorstwa Ludwika. Dzisiejszy próbny tygodnika pod względem układu i treści wygląda, zdaniem moim, udatnie. Pod względem kierunku jednakże nie zadawalnia mię całkowicie. Że nie formułuje programu zgóry, to mię nie dziwi i uważam to nawet za dobre. Ale w słowie wstępnym od redakcji, wyłuszczającym poniekąd wytyczne kierunku, jest zdaniem moim błąd kapitalny. Pismo staje na gruncie odrębnego społeczeństwa polskiego w kraju; litwinów, białorusinów, żydów traktuje, jako sąsiadów, chce współżycia zgodnego z nimi, ale swoje zadania zakreśliło w ramach krajowego społeczeństwa polskiego. Rozbija więc społeczność krajową na szereg społeczności narodowych, współżyjących równolegle, ale nie scalkowanych. Przez to oczywiście powiada, że mu chodzi nie o demokrację krajową, lecz o demokrację polską, t.j. narodową, w kraju. Stanowisko to, zdaniem moim, pociąga za sobą poważne konsekwencje. Jest to zatracenie właściwie nacjonalistyczne, chociaż ubrane w szatę demokratyczną. Wcześniej czy później musi ono doprowadzić do walki narodowej i do wyzwolenia nacjonalizmu z osłony demokratycznej. Jest to poważny zarzut, który skieruję do pisma. Na czym zaś przeto polega nazwa „krajowości" takiego stanowiska, o którą Ludwikowi Abramowiczowi tak chodzi? Krajowość ta jest tu tylko zamknięciem nacjonalizmu w ramach terytorjalnych i jest to więc tylko bezideowa „tutejszość", ale nie konsekwentne stanowisko obywatelstwa krajowego, nakazujące w pracy społeczno-politycznej opierać się na jedności społeczności krajowej; demokracja krajowa jest jedna, czy to litewska, czy polska, czy białoruska, czy żydowska. Stanowisko krajowe – to jest budowa jednego gmachu społecznego, czyli zaś szeregu chat narodowych.

Byliśmy z Maryńką z wizytą u teściowej mojej, Edwardowej Römerowej. Nic się od niej o jej córeczce dowiedzieć nie mogłem. Regina nie pisuje prawie nigdy do matki, a gdy raz w jesieni napisała, to nie wspomniała o córce wcale, jak też nie załączyła żadnej wzmianki o uściśnieniu dla swego jedynego brata, Jurka.

Od g. 3 popołudniu spotkałem się z Anną, z którą już całą resztę dnia spędziłem. Wpierw poszliśmy do nowego kinematografu „Teatr w Miniaturze" na przedstawienie „Dziejów Grzechu" Żeromskiego. Dyrektor kinematografu, mój klient Drobeniusz, dał nam lożę. Było nam tam dobrze we dwoje. Przedstawienia dramatów upadku dziewcząt niezmiernie zawsze poruszają Annę. Nie w tym dziwnego, bo to jej nasuwa smutne myśli o jej własnej przeszłości. Anna tuliła się do mnie, drżąca to z obawy, to z bólu; do głębi przejęła tragedja Ewy Pobratyńskiej, której wrażenia nie spółczuła – zwłaszcza w poszczególnych momentach jej upadku i spodlenia. Z kinematografu poszliśmy z Anną do restauracji Myśliwskiej na kawę z likierem. Tu skończyła rozmowa się między nami nieporozumienie, jak to się często zdarza. Annie się wydało, że jestem dla niej zimny i obojętny;

[illegible]

14 (27) listopada roku 1911. poniedziałek.

Widziałem się z Mieczysiem Bohdanowiczem, z którym Mama poleciła mi pomówić w sprawie nabycia od Mamy Jej schedy [redacted] w Staryńkach i Mamuszkach. Mieczyś inaczej już dziś śpiewa, niż przed kilku tygodniami, gdy mi wspominał o możności kupienia całej schedy Mamy z ustępstwem jakichś 15% od ceny, t.j. za jakieś 102000 rb.. Dziś już Mieczyś mówi o ustępstwie 25%, przynajmniej na całej schedzie Staryńskiej, a i we Mamuszkowskiej przebąkuje o ustępstwie nie bardzo mniejszym, niż 15%. [redacted] Na moje zapytanie, czy nie kupiłby od nas tylko tej części, którą nabyliśmy z Zatem od wuja Ignacego w Staryńkach, za tę samą cenę, jaką myśmy wujowi zapłacili, Mieczyś odpowiedział twierdząco. Gdy powtórzyłem rozmowę tę Mamie, Mama się zapaliła do sprzedaży części, kupionej od wuja. Będzie to wprawdzie dla nas, jako interes, niekorzystne, bo primo tracimy na części tej conajmniej kilkanaście tysięcy w porównaniu do jej wartości w ocenie a tymbardziej zapewne do tego, coby się z niej przy eksploatacji umiejętnej wybrać dało, i secundo tracimy też w dziale, bo im większe są nasze prawa ilościowo, tym łatwiej możemy [redacted] przy rozlokowaniu się w dziale [redacted] utworzyć jakąś dobrą figurę naszej schedy, bo wybór mamy większy, ale... cóż robić. Ostatecznie lepsze to, niż pozbycie się całego udziału w spadku z ustępstwem 15%. Teraz bądź co bądź stracilibyśmy na kupionej [redacted] części wuja tylko zysk spodziewany, ale nie kapitał wyłożony, bo tenby się nam zwrócił w tej samej sumie, jakąśmy wujowi wpłacili. Za cenę straty zysków spodziewanych, ale może dalszych, o ile dział szybko do skutku nie dojdzie, — Mama zyskałaby spokój a przez to dałoby się ocalić resztę schedy Mamy, t.j. jej właściwą schedę spadkową w obu majątkach, bo Mama, wycofawszy trochę kapitału, uspokoiłaby się co do reszty i nie potrzebowałaby do spłaty; wniesiony raz schedy spadkowej Mamy w naturze, moglibyśmy jeszcze na niej niemało zyskać. Jutro więc mam uprzednie ostateczne pertraktacje z Mieczysiem. Chciałem, żeby Mama zgodziła się na postawienie desperacji Wołodkowiczów z propozycją kupna tej części za cenę nieco droższą od tej, jaką nam Mieczyś daje; sądzę, że to nam ewentualnie zaszkodziłoby mniej, a może Wołodkowiczowie kupić zechcieliby na warunkach dogodniejszych. Ale Mama się boi, aby to nie wprowadziło zamieszania do interesu z Mieczysiem.

O godz. 3 zebraliśmy się u Nagrodzkiego: Nagrodzki, Krzyżanowski, Piłsudski [redacted] i ja, z początku we czworo, a potem i Witold Abramowicz. Przedstawiłem im obecnie, jakie ustalić dostrzegam w [redacted] razie zmiany kierunku wczorajszej jednodniówki Abramowiczów. Potem zaś, gdy przyszedł Witold A., przystąpiliśmy do układu z nim. Stoimy na gruncie faktu dokonanego, to znaczy przyjmujemy tygodnik taki, jaki on jest, z redakcją Ludwika Abramowicza. Na pismo te przelewamy zebrane pieniądze a zato tworzymy komitet redakcyjny, do którego należeć będzie [redacted] czuwanie nad kierunkiem pisma oraz rozstrzyganie sporów zasadniczych. Komitet ma się składać z osób pięciu. Redaktor Ludwik Abramowicz do komitetu redakcyjnego nie wejdzie (będzie miał tylko głos doradczy) i będzie musiał stosować się uchwałom komitetu. Skoro redaktor ma być wykonawcą kierunku, określanego przez komitet, to uważałem za słuszne, aby mu dać stanowisko członka w komitecie, lecz inni, a zwłaszcza Krzyżanowski, inaczej zdecydowali, wyłączając redaktora z komitetu i zobowiązując go podlegać komitetowi. Witold Abramowicz na takie warunki przystał, ale oświadczył, że układ powinien być akceptowany przez redaktora Ludwika. Mamy więc znów się zebrać we środę dla potwierdzenia układu z Ludwikiem.
Abramowiczowie bardzo zręcznie dokonali manewru z wysunięciem na czoło Ludwika. Witold Abramowicz już od lata w tym kierunku działał. Ponieważ koncesja była wzięta na jego imię, przeto miał on duży atut w ręku, który wyzyskał umiejętnie na niczyją szkodę. Wprawdzie ja byłem stale przeciwny Ludwikowi, a i Krzyżanowski także, to jednak [illegible] Abramowiczowie [illegible] w osobie sprzyjającego Nagrodzkiego. Dziś jest to już fakt dokonany.

Wieczorem byłem u Aneri. Spędziłem z nią kilka godzin w naszym mieszkanku [illegible]. Jest ciepło i pogodnie. [illegible] Dziś [illegible] poniedziałek [illegible]

11 (28) listopada rok 1911. wtorek.

Rano Marynka otrzymała list od proboszcza Chotajewickiego, x. Łaszewicza, rezydującego u c. Kasi Tyszkiewiczowej w Bleszczanicach, z wiadomością, że ciocia Kasia jest bardzo słaba i że śmierć może nastąpić lada dzień. Ksiądz wzywa, aby Marynia lub ktoś z rodziny przyjechał do umierającej cioci i wyraża zdziwienie, że Papa nie przyjechał dotychczas do chorej siostry, która ciągle brata wspomina i pragnie go pożegnać przed śmiercią. Marynia zadepeszowała do Papy i o godz. 7 wieczorem wyjechała sama do Bleszczanic. W parę godzin po wyjeździe Maryni przyszła p. Hajkowiczówna z depeszą o śmierci Cioci Kasi. Ciocia umarła dziś koło południa. Zatelegrafowałem natychmiast do Papy, którego wiadomość ta dotknie bardzo boleśnie. Ze wszystkich ciotek moich — a mam takowych dużo — tę kochałem i ceniłem najbardziej. Nie była to osoba rozumna ani życiowo mądra, miała swoje dziwactwa, ale była osobą nieskalanej prostoty i prawości — bez zastrzeżeń. Była to natura jednolita, piękna, jak piękną też była uroda fizyczna Cioci. Śmierć Jej, tem zanik bezpowrotny, nieodwołalny, — budzi we mnie smutek głęboki i szczery.

Umówiłem się z Mieczysiem Bohdanowiczem o sprzedaży mu części schedy Stanyńskiej, kupionej w czerwcu od wuja Ignacego Tukałły. Część wypłaty, rb. 18000, rozumiemy w gotówce, resztę, rb. 2000, na weksel z procentem na 5%. Odzyskałbym więc tę całą sumę, którą Mama wyłożyła latem na kupno. Zatelegrafowałem do Wołodkowiczów, proponując im kupno tej części za rb. 14000, wyznaczając im termin do jutra rana na odpowiedź lub przyjazd. Jeżeli do rana od Wołodkowiczów odpowiedzi nie będzie, to jutro zakończę interes z Mieczysiem.

[illegible]

16 (29) listopada

rok 1911.

Środa.

[illegible]

Sprzedałem część Mamy, kupioną od wuja w Staryńkach, Mieczysiowi Bohdanowiczowi. Narazie załatwiliśmy tę sprzedaż w postaci nie kupczy, lecz zobowiązania o sprzedaży („[illegible]”). Wczoraj przyjechała c. Zosia Tukałłowa, która dowiedziała się także z chęci kupna, ale już było za późno. Zresztą c. Zosia nie o wiele więcej była gotowa od Mieczysia ofiarować, a zapewne gotówką by płacić nie mogła, kredyt zaś jej nie wiele wart. Telegrafowaliśmy też Wołodkowiczowie, że przyjechaliby ewentualnie stawać do kupna, ale odroczenia terminu do soboty, na co my się zgodzić nie mogliśmy, bo nie chcemy tracić pewnego kupca w osobie Mieczysia na rzecz niewiadomej kombinacji z Wołodkowiczami, którzy żadnej gwarancji odpowiedniejszych dla nas warunków nie dają.

Dowiedziałem się, że wczoraj wieczorem policja dokonała rewizji w mieszkaniu pani Bronisławy Sawrońskiej. Jest to fakt ciekawy, bo oddawna już nie było rewizji śród inteligientów w Wilnie. Prawdopodobnie rewizja ta jest w związku z działalnością oświatowo-kulturalną p. Sawrońskiej śród rzemieślników. Są poszlaki, że jest to dzieło prowokatora, ukrytego w szeregach rzemieślniczych. Od jakiegoś już czasu grono osób, które są czynne śród rzemieślników, zaczęło podejrzewać jednego z nich o ewentualny kontakt z policją. Owoż teraz podejrzenie to nabiera wiarogodności. Dnia tego właśnie miało się u p. Sawrońskiej odbyć zebranie rzemieślników, ale następnie zostało odwołane. Policja przyszła o g. 9 wiecz., t. j. w czasie, kiedy właśnie mogło się zebranie rozpoczynać w normalnej porze, gdy tylko z rewizją chodzi, to przychodzą w nocy koło godz. 2-3. Następnie oddział policji, który przybył, składał się z 15 ludzi, podczas gdy zwykle jest ich 3-5; taki liczny oddział mógł być chyba tylko spodziewanym zebraniem usprawiedliwiony. Gdy wypadkiem nie zastano ani zebrania ani żadnej p. Sawrońskiej, to zrobiono — oczywiście tylko dla niepoznaki — coś na kształt rewizji w papierach, zabierając jakieś nie mające znaczenia listy prywatne, a ustanowiono nie tykając wcale poważniejszych papierów; oczywiście więc, że się w papierach nie rozpatrywano i że w istocie nie o papiery, lecz o coś innego chodziło. Policja musiała być powiadomiona o projektowanym zebraniu, a jak się dziś po sprawdzeniu okazało, ten, którego ewentualnie o donos posądzają, istotnie nie był powiadomiony o odłożeniu takowego i przeto sądzić, że się nie pomylono. Ostatecznie więc rewizja ta nie dała żadnych ściśle dla p. Sawrońskiej rezultatów. Zostałem dziś prywatnie ostrzeżony przez pewne osoby, które mają podobno jakieś informacje ze źródeł [illegible], że ewentualnie gotuje się rewizja u mnie i u Jasiulaitisa i że powinienem się mieć przeto na baczności. Nie wiem, czy mam przywiązywać do tego wagę. Jeżeli tak, to jest to chyba w związku z działalnością śród młodzieży.

Koło godz. 4 zebraliśmy się w mieszkaniu Abramowiczów: Nagrodzki, Krzyżanowski, Pitsejski, ja, Witold i Ludwik Abramowicz dla układu z Ludwikiem w sprawie kierownictwa tygodnika. Układ stanął na zasadach porozumienia. Komitet redakcyjny, złożony z nas pięciu, bez Ludwika, stoi na czele pisma. Komitet ten będzie miał głos bezwzględnie decydujący. Faktycznie też te same osoby, które składają komitet redakcyjny, obejmują wydawnictwo, jako takie. Pismo więc będzie organem własnym tego naszego grona. Jest to więc nie tyle układ, ile wzięcie pisma w nasze ręce z pozostawieniem Ludwika Abramowicza na podrzędnym stanowisku redaktora. Postanowiliśmy wydać odezwę z prospektem i zaproszeniem do przedpłaty w połowie grudnia, a rozpocząć wydawnictwo regularne od nowego roku. Tak, jak teraz sprawa ta stanęła, uważam ją za niezłą. Takie postawienie sprawy jest przeważnie zasługą Krzyżanowskiego i Pitsejskiego.

Zostałem zaproszony przez Jeleńskiego (z „Naszej Niwy”) na sekundanta w sprawie zajścia między nim a niejakim p. Mieczysławem Jankowskim, ziemianinem z pow. Oszmiańskiego. Zajście to miało miejsce wczoraj w mieszkaniu prywatnym p. Burhardtowej przy obiedzie. Jeleński z Jankowskim pili wódkę, przekąszali i jedli obiad. Rozmowa zeszła na temat o białorusinach i ruchu białoruskim. Jankowski, szlagon typu [illegible], wyrażał się z pogardą, lekceważeniem i obrzydzeniem o całym ruchu białoruskim, jego pionierach i działaczach, jako też o samym języku białoruskim nie szczędząc epitetów takich, jak błoto, hołota, chamstwo i t. d. Jankowski wiedział, że Jeleński jest jednym z pierwszych pracowników ruchu białoruskiego i że przeto obraża go wszystkim [illegible] sprawy. Ubodło go rozmyślnie

17 (30) listopada rok 1911.
czwartek.

W dalszym ciągu obradowaliśmy dziś w sprawie honorowej między Jeleńskim a Mieczysławem Jankowskim. ~~A~~ W myśl wczorajszego postanowienia sekundantów my z Jankowskim, jako sekundanci Jeleńskiego, wybraliśmy z naszej strony do komisji trzech osób, mających orzec w sprawie pierwszeństwa przeprosin, — Bronisława Knyżanowskiego, Stefan zaś Jankowski i Wyszyński, jako sekundanci Mieczysława Jankowskiego, wybrali podpułkownika Ochotnickiego. Około godz. 4 ~~[illegible]~~ członkowie tej komisji, w osobach Dr. Szafarewicza, Knyżanowskiego i p. Ochotnickiego, zebrali się wraz z nami w mieszkaniu p. Stefana Jankowskiego. Sekundanci p. Mieczysława Jankowskiego, a właściwie głównie Wyszyński, ~~[illegible]~~ zabierając głos oświadczyli, że po orzeczeniu komisji ~~[illegible]~~ oni zaś proponują p. Mieczysławowi Jankowskiemu, aby się zastosował do orzeczenia i będą go osobiście do tego skłaniać. Byłoby to cofnięciem się od decyzji wczoraj przez sekundantów powziętej i przez to obie strony obowiązującej bezwzględnie. Nie chodzi o skłanianie p. Miecz. Jankowskiego, bo skoro przystawszy przecie sekundanci coś z nami uchwalili, a uchwała jest zaprotokołowana, to już p. Miecz. Jankowski bez naszej sankcji od tego odstąpić nie może. Okazuje się, że ponoś sekundanci p. Miecz. Jankowskiego przez powzięcie decyzji wczorajszej przekroczyli swe instrukcje, ale to już nie nasza rzecz, jeno rzecz wewnętrzna ich stosunku do swego mocodawcy. Po wyjaśnieniu tego szczegółu przystąpiliśmy do referowania samej sprawy wobec komisji. Wyszyński, który był świadkiem zajścia, referując jako strona, powoływał się na swój charakter świadka, co dało nam podstawę do powołania się na świadka Ziemkiewicza. Wobec tego posiedzenie komisji odroczone zostało do jutra z postanowieniem powołania Ziemkiewicza.

Wieczorem poszedłem do Anny, jak było umówione. Zastałem ją czekającą na mnie przed drzwiami, bowiem przyjechała z Libawy jakaś jej znajoma łotewka, poszukująca pracy, która się u Anny zatrzymała. Poszliśmy z Anną do restauracji w hotelu Niezabitowskiego a stamtąd na życzenie Anny do hotelu, gdzie zanocowaliśmy. Czas spędziłem bardzo wesoło i miło. Stosunek nasz jest w jak najlepszym stadjum. Żadna chmurka nie przesłania nam wiary i gorącej serdeczności wzajemnej. Anna jest w miłości jak mona, głęboka a wkłada w uczucia całą swą duszę, całą siebie bez zastrzeżeń. Potwierdzeniu Anna nie zna

18 listopada.
1 grudnia.
rok 1911.
piątek.

Do południa byłem jeszcze z Anną w hotelu. Cudnego tonu nabrał nasz stosunek. W Annie robię wciąż nowe odkrycia. Zdawało mi się, że Anna cała jest ofiarnością ziemną. Przekonałem się wszakże, że jest taką i to w stopniu jaknajwybitniejszym. Dziś nie wątpię, że poświęciłaby wszystko, do życia włącznie, dla człowieka, którego kocha. I zrobiłaby to bez żalu, bez patetyczności, z tą prostotą dziwną, która ją cechuje. Hołowiczności Anna nie zna, nie pojmuje. Niema też w niej nic handlarskiego, nic interesowności. Nie umie i nie chce się wyceniać. Wszelkie wycenianie się jest dla niej organicznie wstrętne, — jest za dumna na to. Przepiękny to charakter, szlachetny, rycerski, prosty — klasyczny wzór najpiękniejszych typów rycerskich. To serce chłopskie przechowało było [illegible] w sobie poprzez wieki wzór człowieka swobodnego w najszlachetniejszym znaczeniu słowa. Kilkowiekowa niewola chłopów łotewskich nie spodliła duszy tej pięknej córki niewolnego ludu. Doprawdy dziwny to lud — Łotysze. Nie jedna bowiem Anna jest taka. W narodzie tym spotkamy całe legiony takich dusz. Naród to, którego przyszłość może być wielka. Bohaterów znajdzie w sobie.

Pół dnia, od godz. 3 popołudniu do godz. 9 wieczorem, zajęty byłem znów sprawą honorową między Jeleńskim a p. Mieczysławem Jankowskim. Komisja, złożona z dr. Szafarewicza, Krzyżanowskiego i podpułkownika Ochotnickiego, po zbadaniu Ziemkiewicza i Wysogińskiego, jako świadków zajścia, orzekła, że pierwszym przeprosić powinien Jeleński. Orzeczenie to komisja oparła na motywach następujących: 1) nie zostało ustalone, że p. Mieczysław Jankowski, po obopólnych obelgach słownych i przed otrzymaniem obelgi czynnej ze strony Jeleńskiego, zamierzał reagować czynnie i 2) zostało ustalone, że p. Jankowski był w czasie zajścia ostatecznie pijany. Orzeczenie to ~~[illegible]~~ zadowoliło to właściwie obie strony. Sekundanci Mieczysława Jankowskiego byli zadowoleni, że nie Jankowskiemu wypadło przepraszać pierwszemu. My także ~~—~~ nic przeciw temu mieć nie możemy, bo ~~[illegible]~~ wszak przeprosiny będą z obu stron, a że Jeleński przeprosi pierwszy, to przecie już on sobie powetował pierwszy wymierzył satysfakcję przez spoliczkowanie p. M. Jankowskiego, wobec czego pierwszeństwo przeprosin przestaje być dlań ciężkie. Ustaliliśmy dokonanie przeprosin na jutro rano na godz. 9.

10 listopada.
2 grudnia.
rok 1911.
sobota.

O godz. 9 rano w mieszkaniu kapitana Stefana Jankowskiego odbył się akt przeprosin pomiędzy Janem Jeleńskim a p. Mieczysławem Jankowskim. Na termin wskazany przybyliśmy Jankowski i ja wraz z ~~naszym~~ młodzieńcem Jeleńskim. P. Mieczysław Jankowski czekał już tam na nas wraz ze swymi sekundantami — p. Stefanem Jankowskim i Wacławem Wyszyńskim. Zaraz też przybył Ziemkiewicz, jako świadek zajścia, którego powołano też na świadka przeprosin. Przeprosiny odbyły się podług formuły jasno ustalonej. Pierwszy Jeleński rzekł do Mieczysława Jankowskiego te słowa: „Przepraszam Pana za obrazę". Bezpośrednio potem Mieczysław Jankowski wyrzekł też same słowa do Jeleńskiego, poczem obaj podali sobie jednocześnie dłonie. Na tym się cały ceremonjał skończył.

Dalszą część dnia spędziłem na opracowywaniu dalszego ciągu mego Podręcznika dla młodzieży. Praca ta posuwa mi się powoli, jak niby w kamieniu, ale pod względem myśli wydaje mi się udatną. Nie wiem wszakże, czy ją na poniedziałek wykończyć zdążę.

Wieczorem o godz. 9 spotkałem się z Anną w cukierni Jasowicza. Poszliśmy na kolację do gabinetu w restauracji hotelu Niszkowskiego, gdzie zabawiliśmy do północy. Odprowadziłem stamtąd Annę do domu i sam wróciłem do siebie.

20 listopada.
3 grudnia.
rok 1911.

niedziela.

Pół dnia zajęty byłem pisaniem odezwy dla młodzieży. Boję się wszakże, że odezwę tę, wyznaczoną na jutro, odłożę, ze względu na okoliczności, żeby nie narażać młodzieży na jakieś przykre konsekwencje, jeżeli prawdą jest, że ze strony policji zwrócona jest obecnie na mnie uwaga. Wypuszczę ją po jakimś czasie, gdy się przekonam, że wieści te są nieprawdziwe.

O godz. 5 w mieszkaniu Nagrodzkiego miało się odbyć zebranie szerszego grona udziałowców i sympatyków naszego pisma, zwołane ~~dla~~ przez nas dla poinformowania ich o stanie rzeczy. Oprócz nas pięciu, tworzących komitet redakcyjny, t. j. Nagrodzkiego, Wygrzanowskiego, Piłsudskiego Jana, Witolda Abramowicza i mnie, oraz redaktora pisma, Ludwika Abramowicza, zebrało się niewielu: stary Mieczysław Ostachiewicz, Jan Klott, Baginski, Stankiewicz i ktoś jeszcze, którego nazwiska nie znam. Zreferowaliśmy im o stanie rzeczy: że wydawnictwo dziennika ze względu na rozchwianie się umowy z Srotrem do skutku nie doszło, że tymczasem Abramowiczowie zorganizowali tygodnik na własną rękę, którego próbny przed tygodniem wyszedł, że przeto postanowiliśmy stanąć na gruncie faktu dokonanego i zużytkować tygodnik Abramowiczowski, zrobiwszy zeń organ nasz. Utworzyliśmy przeto komitet redakcyjny, który będzie jednocześnie komitetem wydawniczym. Pismo będzie odtąd organem tego komitetu, który będzie czuwał nad kierunkiem i będzie zań odpowiedzialny nazewnątrz. Redaktor zaś będzie podległy komitetowi i będzie właściwie tylko wykonawcą kierunku, określanego przez komitet, i przeto będzie przed nami odpowiedzialny. Wobec tego wzywamy tych panów do udzielania pomocy materialnej wydawnictwu. Panowie ci wysłuchali nas, obiecali swe udziały i dalsze poparcie w postaci zdobywania nowych udziałowców oraz zbierania prenumeraty.

Rozczuliła mnie dziś i ujęła serdecznie Anna. Nie widzieliśmy się z nią spotkać wcale, choć to nasz dzień – niedziela, bo miałem cały czas poświęcić na pracę nad odczytem. Aż koło godz. 2 we dnia ktoś do mieszkania naszego zadzwonił. Otworzyłem sam drzwi i ujrzałem... Annę. Stęskniona przyszła do mnie sama odwiedzić. Wahała się, czy się na ten krok zdobyć, żeby jej nie poczytano u mnie i żeby ~~[illegible]~~ czy sobie czy mnie przykrości nie narazić. Z bijącym sercem dzwoniła.

[illegible]

21 listopada.
4 grudnia.
rok 1911.
poniedziałek.

Mama znerwowana interesami, które wcale bynajmniej w złym stanie nie są; ale Mama ciągle rachuje, ciągle oblicza swoje sumy a robi to na ślepo, bo bez cyfr dokładnych w ręku, gdyż rachunek dopiero na rok nowy ~~Anna~~ dla Mamy ułożę. Znerwowanie Mamy udziela się mimowoli otoczeniu. Mnie osobiście odbiera ono spokój i równowagę, tymbardziej że Mama wyrzuca mi ciągle brak praktyki codziennej i moją wszelką pracę społeczną, którą z całego serca nienawidzi, jako odrywającą mnie od wyłącznego oddania się zarobkowaniu.

Smutno mi. Brak mi istotnie praktyczności życiowej, brak umiejętności do przeforsowania siebie na rynku zbytu pracy. Mam wiedzę, mam zdolności, ale ugruntować się materjalnie nie umiem. Niepokoję się też tym, że mam przecie teraz obowiązki względem Anny, którym podołać muszę za wszelką cenę i które mi dziś ponad wszystko inne na sercu leżą, bo ją kocham. ~~A~~ Anny nie opuszczę nigdy a raczej życie moje w ofierze złożę, niżbym miał się tym obowiązkom względem niej sprzeniewierzyć.

Odczyt mój u młodzieży się nie odbył ze względu na obawy co do ewentualnego śledzenia mnie przez policję.

Wieczorem poszedłem z Anną na wieczór białoruski w sali klubu polskiego. Odegrano przeróbkę z „Chama" Orzeszkowej, potem chór śpiewał pieśni ludowe. Wieczór się udał. Tańcom nie przyglądaliśmy się wcale. Zbyt siebie nawzajem stęsknieni i zainteresowani, aby czas coś poza nami zajmować miało. Zjedliśmy kolację i pojechaliśmy do hotelu.

98.

22 listopada. 5 grudnia. rok 1911. wtorek.

Komorowscy spędzili parę godzin w Wilnie w przejeździe z Pleszczenic z pogrzebu cioci Zosi Tyszkiewiczowej do Kowaliszek. Opowiadali o szczegółach śmierci i pogrzebu Cioci. Umarła Ciocia samotnie, jak samotnie w ostatnich latach żyła. Kilka dni ostatnich czuła się coraz słabiej; nie przestała wszakże do końca wstawać; siadywała w fotelu; rak w żołądku i wnętrznościach zaciskał coraz bardziej na ścięgna nogi, uniemożliwiając prawie chodzenie; wreszcie rak z żołądka posunął się do płuc, co ostatecznie spowodowało śmierć. Umarła Ciocia w zeszły wtorek, o 2 godziny przed przyjazdem córki, Maryli. Przy umierającej był tylko ksiądz Łaczewicz. Ciocia miała całkowitą świadomość śmierci. Gasła powoli, ze spokojem i rezygnacją, jaką daje wielka niezłomna wiara w życie zagrobowe. Głęboki cichy smutek rezygnacji, cechujący Ciocię, nie zniweczył do końca pogodnego usposobienia Cioci; w dniu śmierci jeszcze trochę żartowała. Testamentu Ciocia nie zostawiła, jeno listy do Karola O'Rourke'a i Maryli oraz kartki w ręku xiędza. Nam Ciocia nic nie zapisała, jeno Papie rb. 10000. Xiędza Łaczewicza zasypała dobrodziejstwami. Za życia jeszcze dała mu podobno 18000 rb., po śmierci zaś zapisała 10000 z poleceniem wypłacenia ich zaraz po pogrzebie, oprócz tego poleciła wypłacać mu renty rocznej 1500 rb. oraz utrzymania we dworze do czasu wybudowania plebanji w Chołajewiczach. Domyślam się, że kapitał, dany przez Ciocię xiędzu, przeznaczony jest nie osobiście jemu, lecz na jakiś użytek katolicki. Posądzam, że x. Łaczewicz jest agientem jezuitów. Jest to człowiek światły, bardzo przebiegły, dzielny, ambitny. Stosunki x. Łaczewicza z O'Rourke'ami – jaknajgorsze. Taki człowiek, jak x. Łaczewicz, miał wpływ olbrzymi na Ciocię, którego używał nader umiejętnie. Przekopał on rów między Ciocią i O'Rourke'ami, co mu było potrzebne dla ugruntowania swojej akcji i całkowitego opanowania Cioci.

Mama była dziś więcej zdenerwowana, niż kiedykolwiek. Usposobienie biednej Mamy nader ciężkie. Nie ma Mama w sobie ani krzty pogodności, nie umie się zdobyć na spokój, wciąż się trapi i gorzknie przeczuciami i wyżywa swój umysł w oglądaniu rzeczy z jaknajgorszej strony. Mama sieje dokoła siebie nastrój grobowy, który się [illegible] [illegible].

Wieczorem byłem u Anny. [illegible] byli zmęczeni i ja zmarnowany przez biedną Mamę, zabawiliśmy się z Anną [illegible] i śmialiśmy się śmiechem pustym. Zażyłość nasza z Anną tak wzrosła, że się z nią dzielimy wszystkiemi troskami naszemi. Jesteśmy poprostu jedną duszą, jednym zespołem. Piękny to stosunek, daleki od zwykłych i jałowych miłostek.

23 listopada.
5 grudnia.
rok 1911.
Środa.

Papa bawił w Wilnie po przyjeździe z pogrzebu ś.p. cioci Kasi Tyszkiewiczowej do domu. Gniewał się Papa na Mamę za sprzedaż Mieczysiowi Bohdanowiczowi części schedy w Stamyniukach, kupionej od wuja Ignacego Tukałły. Papa żałuje wypuszczenia przez Mamę z rąk tego interesu, a tym bardziej, że ewentualnie chciał sam to od Mamy odkupić. Potem wszakże Papa się udobruchał i był serdeczny. Mama natomiast wpadła w przygnębienie ~~[illegible]~~ jeszcze większe. Wszystko jest dla Mamy przedmiotem niepokoju. Interesa, moja adwokatura, mój udział w komitecie redakcyjnym powstającego dziennika i t.d.. Mój udział w pracy społecznej jest dla Mamy zmorą. Uważa, że to mię odciąga od pracy zarobkowej, wykoleja, łamie moją przyszłość, tę przyszłość, która w ~~[illegible]~~ ideale Mamy rysowałaby się w postaci energicznego zarobkowania oraz wzniesienia w ~~[illegible]~~ sferach „dobrze myślących", t.j. szlachecko-katolickich. Mama natury prawej nie ma; sama właściwie nie wierzy w ideały sfery katolicko-szlacheckiej, jak zresztą [illegible] w żadne ideały, które w ogóle w gruncie rzeczy uważa za balast zbyteczny, choć się do tego nie przyzna nigdy. Obłuda właściwie wystarcza Mamie zupełnie do życia, byle kieszeń była pełna, glans ogłady na zewnątrz i frazes w sercu i ustach. Prostoty, prawdy życiowej, rzetelności przekonań — Mama nie żąda wcale. Ja zaś mam taką właśnie naturę, że gdy w coś wierzę i do czegoś się przywiążę, to idę prosto w odpowiednim kierunku bez względu na wnioski praktyczne. Tego Mama znieść we mnie nie może; do obłudy się nagiąć nie mogę. Że zaś mnie Mama kocha nad życie, bo serce ma dla swych dzieci a zwłaszcza dla mnie istotnie olbrzymie, więc się tym męczy. To też z całego serca nienawidzi to, co ja kocham i czemu służę, i z zaciekłością kobiety histerycznej wygryza mi i zohydza wszystko, co może być dla mnie wartościowe i co stanowi samo jądro moich ukochań i tęsknot. Jest to ciężkie dla mnie, ale muszę to znosić. Obecność Mamy i jej tendencyjny niepokój zatruwają mi życie.

Wieczorem [illegible] na herbatce u [illegible]: Elyasz, Tomasz, Bramson, [illegible] i in. Tomasz opowiadał dużo ciekawych rzeczy o świeżo odbytym zjeździe stronnictwa [illegible] w Petersburgu, z którego wraca. Zbadał też teren co do możności wyszukania subsydjów na wydawnictwo tygodnika wiejskiego w Wilnie, o którego założeniu tu myślimy. [illegible] o tym tygodniku [illegible] się zajmuje [illegible]. [illegible] takie, stojące na stanowisku demokratycznym krajowym, byłoby nader potrzebne. Tomasz przywiózł pomyślne wiadomości o szansach subsydjów na takie wydawnictwo.

24 listopada / 7 grudnia. rok 1911. czwartek.

Mama, której stan nerwowy i zdrowie ogólne od kilku dni się pogorszyło, skarżyła się dziś od rana na ból newralgiczny. Przez cały też dzień Mama kaszlała i po obiedzie dużo kichała. Jest zaziębiona, czuje się i wygląda źle. Pod wieczór stan Mamy się pogorszył. Osłabienie było tak silne, że Mama wpadła w stan jakiejś śpiączki. Drzemała siedząc w fotelu, pogrążona w jakimś ciężkim półśnie; puls mocno przyśpieszony, gorączka duża, oddech ciężki, ogólne jakieś odrętwienie ciała, a twarz koloru ceglastego. Ciocia Zofia Tukałłowa, która bawi od tygodnia w Wilnie, czuwała przy Mamie. Sen Mamy nie był właściwie snem, ale jakimś bezwładem. Na dobitne zapytania Mama odpowiadała półsłówkami, nie otwierając oczu. Byliśmy z ciocią Zofią mocno tym stanem zaniepokojeni. Mogło to być uderzenie krwi do głowy lub zapalenie płuc. Postanowiliśmy wezwać doktora. Pojechałem po doktora i dopiero po wielu niefortunnych poszukiwaniach złapałem dr. Węsławskiego, którego do Mamy przywiozłem. Doktor kazał się Mamie rozebrać i położyć, obejrzał, znalazł przeziębienie i pleuryt, przepisał lekarstwo, kazał postawić bańki i zalecił dietę. Stan nie jest straszny, ale bynajmniej nie lekki. Biedna Mama! Ile serca ona w życiu dawała i daje, tego żadną miarą określić niepodobna. Teraz na ostatku dni swoich z umysłem osłabionym i trawionym niepokojem — cierpi i gryzie się troską o nas, zawsze o nas, a nigdy o siebie! W miłości do dzieci streszcza się całe jej życie. Miłości tej oddała całą siebie.

Wieczorem byłem na „czwartku" w mieszkaniu Tadeusza Wróblewskiego. Obecni byli: Bagiński, p. Sawrosińska, Gabriel Sokołowski, Edward Sokołowski, Ładkowski, Jakubaitis, Tołejewski, Domański, Krzywanowski, Własow, Bogusławski, Klott i ja. Na porządku dziennym była dyskusja na temat o krajowości. Czym jest to „stanowisko krajowe", o którym się tyle mówi, a które się jednak tak rzadko formułuje? Na jakich przesłankach społecznych się ono opiera i czym się daje uzasadnić? Z początku ją sprostowałem, określiłem moje pojmowanie stanowiska krajowego czyli obywatelskiego w przeciwstawieniu do stanowiska nacjonalistycznego. Potem dyskusja przeszła na analizę nastrojów naszej krajowości w społeczeństwie Litwy i Białej Rusi. Czy są i jakie są czynniki społeczno-ekonomiczne, które uzasadniają wyodrębnienie dziś Litwy i Białej Rusi w kraj osobny. Wszyscy, prócz Tołejewskiego, który zresztą nic treściwego nie powiedział, próbowali określić byt takich czynników. Najtreściwiej, najdzielniej, z największą analizą czynników społecznych wystąpił Edward Sokołowski. Jest to istotnie umysł [illegible] spokojny, [illegible] poważny pracownik w kraju, gdyby tu pozostał na stałe. Stwierdziliśmy, że pierwiastki [illegible] już dziś pewne istnieją [illegible] odrębnej krajowości Litwy i Białej Rusi są i że prawdopodobnie w dalszym ciągu rozwiną się one na dobre.

25 listopada.
8 grudnia.
rok 1911.
piątek.

Mama ma się lepiej trochę, ale jest jeszcze mocno chora. Leżała cały dzień w łóżku, ale już mniej spała i w ogóle była żywsza i nawet spokojniejsza, pogodniejsza, niż dni poprzednich. Zatem dziś wszczęła Mama ze mną rozmowę o swym testamencie i o naszym przyszłym dziale po śmierci Rodziców. Z zeszłorocznego testamentu, w którym Mama poleca po prostu dział równy między nami wszystkimi i Papą, Mama jest niezadowolona. Niepokoi się głównie, a może i wyłącznie o mnie i o Marynię, że nie będziemy mieli z czego żyć, gdy fundusz Mamy pójdzie na 7 równych schedł, tym bardziej teraz, gdy kapitał jej jest niewielki (± 40000 rb.) a cała główna masa ~~[illegible]~~ fortuny Mamy jest unieruchomiona w niepodzielonych majątkach spadkowych po Babuni Tukałłowej. Już wczoraj z polecenia Mamy wypisałem dla niej brulion nowego testamentu, w którym Mama uszczupla schedę Henrysia Wołłowicza, jako współsukcesora naszego (jedyny syn zmarłej siostry naszej Helci) o 6000 rb., przeznaczając takowe do podziału między ~~[illegible]~~ resztę spadkobierców i przeto zwiększając nieco każdą naszą poszczególną schedę. Tę zmianę w stosunku do Henrysia uzasadnia Mama tym, że 1) sumę tę pożyczyła Mama kiedyś jego matce, Helci, i nie odebrała takowej, więc weszła już ona faktycznie do schedy Helci, którą w spadku po Mamie reprezentuje Henryś, i 2) Henryś nie chce się uczyć, źle się prowadzi (i teraz wypędzają go teraz podobno z gimnazjum w Borysowie), więc prawdopodobnie spadek ten pójdzie w ręku Henrysia na marne). Ale ta zmiana testamentu nie uspokoiła Mamy, bo nie o wiele przysparza ona schedę Maryni i mojej (o jakiś 1000 rb. na każdą). Znów więc dziś konferowała Mama ze mną i zażądała, abym wygotował od Mamy uznania dla Maryni zobowiązania wypłaty na 6000 rb. z ogólnej sumy spadku poza schedą oraz napisał ~~[illegible]~~ nowe zobowiązanie na 2000 rb. od Mamy dla mnie zamiast karteczki na taką sumę, datowanej z r. 1906, którą mi Mama onegdaj dała.

Nocnym pociągiem wróciła z Pleszczenic Marynka. Przywozi ze sobą wiadomości o [illegible] gratów, pozostałych po ś.p. cioci Zosi, które Dr. Bourke'owie już więc porozdzielili. Przywozi też potrzebną dla mnie wiadomość, że Karol Dr. Bourke poleca mnie zatwierdzenie Maryli do spadku po cioci. Będzie [illegible] przynosiło mi to kilkaset rubli zarobku.

Wieczór spędziłem u Anny w jej pokoiku przy ul. Monastyrskiej. Bardzo mi się podoba łotewskie zdrobnienie imienia Anny: Annina — Anniń! Tym pieszczotliwym imieniem często obecnie moją Annę nazywam. Annina dała mi dziś na moją prośbę pasemko swych pięknych jasnokasztanowych złotawych włosków na pamiątkę. Miała już to pasemko przygotowane dla mnie, o czym nie wiedziałem. Będzie to drogi przedmiot w mych kolekcjach pamiątek. [illegible] że się nie pamiętam [illegible] miłość nie zbladnie, — nie zamykamy likwidować naszego stosunku. Miłość nasza jest obecnie serdeczna i gorąca, bez tego fermentu dramatycznych nastrojów, które tak straszliwie nas męczyły przed kilku tygodniami.

26 listopada.
9 grudnia.
rok 1911.
sobota.

Mama znów dziś inaczej swój testament ułożyła. Wciąż się niepokoiła tym, że ja zamierzam dzielić się z siostrami natrówni, i wciąż prosiła, abym [redacted] przynajmniej nie stosować równego działu do Bohdaniszek w wypadku po Papie. Uspakajałem Mamę, że się nie zgodzę na wydzielanie Bohdaniszek i że zastosuję dział równy tylko do stopy wartości dochodowej, nie zaś rynkowej — Bohdaniszek. Ostatecznie Mama postanowiła ułożyć swój testament w ten sposób, aby mnie zapisać rb. 15000, Marynce rb. 5000, resztę zaś [redacted] funduszu podzielić w równych udziałach między Papą i nami wszystkimi, t. j. Kotunią Pruszanowską, Elizką Komorowską, Elwirą Mieczkowską, Marynią Römerową, mną i Henrykiem Wołłowiczem, potrącając jemu ze schedy Henrysia 6000 rb.. Na tym stanęło. Mama poleciła mi zredagować odpowiednio testament i znacznie się uspokoiła. W ogóle była dziś spokojniejsza i mniej zdenerwowana. Wstawała też trochę i siedziała w fotelu, choć z pokoju swego nie wychodziła.

Wieczorem byłem na odczycie dr. Szabada „Szkoła i tuberkuły" w lokalu szkoły żeńskiej p. Maciejewiczowej. Był to odczyt, urządzony przez Towarzystwo pod nazwą „Semejno-Pedagogiczeskoje Obszczestwo". Jest to towarzystwo, zawiązane na wiosnę r. b.. Zadania jego są oświatowo-pedagogiczne. Dodatnią cechą jego jest stanowisko nie tylko kulturalne, ponadnarodowościowe. Łączy ono tak Polaków, jak Rosjan miejscowych, Żydów, Białorusinów i Litwinów. Obecnie urządza ono szereg popularnych odczytów z zakresu pedagogiki, zadań szkoły, higieny szkolnej i t. p. Od niedawna wpisałem się do towarzystwa tego na członka. Odczyt dzisiejszy, poruszający temat wieczyście aktualny, był nader ciekawy. Słuchaczy, przeważnie członków towarzystwa, zebrało się sporo, osób zapewne koło 50.

Po odczycie poszedłem do lokalu „Bratni" po Annę, która tam była na wieczorku towarzyskim. Umówiłem się z nią, że przyjdę po nią, aby ją do domu odprowadzić. Gdy szwajcar w „Bracie" doręczył jej moją kartkę, Anna zaraz wybiegła do mnie, ubrała się i wyszliśmy razem. Odprowadziłem ją pieszo aż na Monastyrską do jej domu. Anna okropnie się nie chciała rozstawać ze mną, jęczała, smuciła się, że musi iść do siebie i czekać samotnie do jutra. Garnęła się, jak zawsze, do mnie, lgnąc sercem całym, [illegible] wesoła z [illegible].

2 listopada / 10 grudnia. rok 1911. niedziela.

Stan zdrowia Mamy znów się pogorszył — i to znacznie. Przez całą noc Mama nie mogła zasnąć. Kaszle dużo, stęka, czuje wielki ciężar w piersiach. Wygląda źle, jest bardzo osłabiona i zmęczona tak fizycznie, jak moralnie. Znów dziś znaczniej obmyśliła Mama testament. Zapisuje mnie już nie 15, ale 5 tysięcy ponad schedę równą z innymi spadkobiercami. Zgodnie z życzeniem Mamy ułożyłem więc ten testament tak: 5000 dla mnie, 6000 dla Maryni, reszta na równi między wszystkimi siostrami, mną, Papą i Henrysiem Wołłowiczem, oprócz tego legaty po 500 rb. dla dzieci Maryni i 100 rb. dla Zofji Kazimierz i po 400 rb. rocznie przez lat 5 ~~[illegible]~~ na mieszkanie dla mnie z Marynią. Wprowadziła też Mama kodycyl na wypadek mojej śmierci przed Mamą, przekazujący mój udział Maryni lub ewentualnie jej dzieciom, wyłączając przeto moją córkę. Mama, pomimo że jest ciężko chora, tak się o ten testament troszczy i obawia umrzeć przed sporządzeniem takowego, że przepisała dziś własnoręcznie większą część testamentu, męcząc się tym oczywiście. Obawiamy się zapalenia płuc u Mamy.

O południu poszedłem do sądu, gdzie miało się odbyć zwykłe tygodniowe ćwiczenie praktyczne pomocników adwokatów z prawa cywilnego, i następnie ogólne zebranie pomocników. W ogólnym zebraniu wzięli udział następujący pomocnicy: Sławewicz, Zatkind, Andrejewskij, Jasulaitis, Powołockij, Wysoczyński, Łapin młodszy, Węsławowicz, Czyż, Tiomkin, Zwick, Burhardt, Goldman, Dmochowski, Ziman, Briancew i ja. Omawiany był incydent z pomocnikiem Lewinem, który przed kilku dniami w pokoju adwokackim wyłajał w najordynarniejszy sposób pomocnika Kamińskiego. Przewodniczył zebraniu Powołockij; sekretarzował Łapin. Tiomkin wniósł list Lewina na imię przewodniczącego z ~~[illegible]~~ uznaniem swej winy i przeproszeniem. Wobec tego uchwaliliśmy rezolucję, wyrażającą potępienie dla burd i łajań między kolegami publicznie oraz stwierdzającą, że incydent, wobec zaakceptowanego przez nas przeproszenia Lewina, został wyczerpany.

O godz. 4 spotkałem się z Anną, z którą poszliśmy do kinematografu Sztremera, a stamtąd do restauracji Naumowicza. W gabinecie restauracyjnym spędziliśmy z Anną resztę wieczora — do półtorej. Anna żałuje Mamy, którą idealizuje i czci w swym sercu. Dla mnie jest Anna w ostatnich czasach tak dobra, tak słodka, tak oddana, że trudno mi to w słowach wyrazić. Nie ma już między nami żadnego cienia, żadnych niedomówień. Zawarliśmy z Anną pakt na życie. Nie liczy ona ~~[illegible]~~ na jakieś bogactwa. Przedstawiłem jej dokładnie moją pozycję materjalną, która bynajmniej świetna nie jest. Anna pragnie li tylko życia ze mną, pragnie szczęścia takiego wspólnego, nie myśląc o żadnych gwarancjach dla siebie. Jest to charakter zupełnie bezinteresowny, nie liczący rachuby w życiu.

28 listopada.
11 grudnia.
rok 1911.
poniedziałek.

Stan zdrowia Mamy wydawał się nam dziś bardzo groźny. Zachodziła poważna obawa zapalenia płuc. Nocami Mama prawie że nie sypia, ma kaszel ciężki; flegmy odchrząknąć nie może, dusi się, jest osłabiona, potnieje. Wobec zwłaszcza złego stanu serca Mamy byliśmy bardzo już wprost o Jej życie zaniepokojeni. W czasie naszego obiadu była nawet chwila paniki, gdy się zdawało, że Mama umiera. Mama położyła się i zasnęła, a w tym ją kaszel zbudził. W postaci leżącej, z głową zapadłą w poduszki, nie mogła złapać tchu ani flegmy wykrztusić i ani ruszać nie była się w stanie podźwignąć. Szczęściem, że zdołała jedną ręką sięgnąć do dzwonka. Przybiegła przerażona służąca Ewka, zawołała nas z Marynką: wspólnymi siłami dźwignęliśmy Mamę i usadowiliśmy w fotelu. Mama się odchwyciła. Gorączka wszakże u Mamy dziś ustała. Wezwany wieczorem dr. Węcławski uspokoił nas i zapewnił, że zapalenia u Mamy nie ma; kazał znów postawić bańki. Wogóle wieczorami stan zdrowia Mamy jest zawsze lepszy, niż nocami i rankami. Mama skończyła dziś przepisywanie swego testamentu z ułożonego przeze mnie podług Jej wskazówek brulionu. W charakterze świadków podpisali testament: bawiący chwilowo w Wilnie Piotr Rosen i dr. Witold Węcławski.

29 listopada.
12 grudnia.
rok 1911.
wtorek.

Stan zdrowia Mamy, po bańkach wczoraj-szych znacznie się polepszył. Rano był Ksiądz, spowiadał Mamę, ale już nie pos-trzebnie, bo zdaje się, że już wszelka oba-wa komplikacji minęła. I siły Mamy się wzmogły i humor się poprawił. Mama nietylko że wstawała, ale i do jadalnego pokoju przechodziła.

Przed 6-tą przychodził do mnie Ludwik Abramowicz. Wrócił dopiero co z Warszawy, dokąd jeździł dla zwerbowania firmowych współpracowników do tygodnika. Rezultat podróży — skuteczny. Zdobył szereg na-zwisk współpracowniczych, jak Lorentowi-cza, Ludwika Krzywickiego, Kempnera, Dro-goszewskiego, Savitri i innych. Bardzo poważnym dla pisma nabytkiem jest obietnica Krzywickiego dania całego cyklu artykułów o rozwoju życia spo-łeczno-kulturalnego w Królestwie. Na stałego tygodniowego korespondenta warsza-wskiego zaangażował Abramowicz Mirosła-wa Poznańskiego. Pozyskał też do pierwszych NN tygodnika nowelkę Wacława Grubińskiego.
Żałuję, że Abramowicz nie zaangażował Bartlickiego na korespondenta. W tych dniach Abramowicz ma opracować prospekt i zwołać nasz komitet redakcyjny dla zaaprobowania artykułu naczelnego w prospekcie.
Wieczór spędziłem u Anny. Od samego początku tygodnia Anna już tęskni do niedzieli, jako do dnia, który poświęcamy prawie wyłącznie dla siebie. Nazywamy z Anną niedzielę „dniem na-szym". Niedziela zaś następująca jest tym bardziej upragniona, że mamy ją całkowicie spędzić we dwoje. ~~To~~ Uplanowaliśmy całą tę niedzielę od rana spędzić w hotelu. Tęsknota rozsadza Annę, rwie się przez wszystkie pory jej ciała i duszy. Jak strzała, zmierzająca do celu, tak Anna jest skierowana cała do tej niedzieli wesela Miłości naszej, [illegible] w siebie pełni ekstazy i głębokich pragnień rozkoszy. Jest
to [illegible] w pełni rozkwitu, miłości wieku dojrzałego.

30 listopada. / 13 grudnia.
rok 1911.
środa.

Smutna głęboka jesień na dworze. Najcięższy, najbrzydszy czas w roku. Ciemno i posępnie na dworze, wszystko się kurczy i zamiera, zamyka. Jeszcze, jeszcze przetrwać z jakichś parę tygodni, a oto wytryśnie nadzieja słonecznego odrodzenia, świt rozrostu, marzenia o pełni życia. Człowiek jednak nawet w ~~[illegible]~~ kulturze jest wciąż dzieckiem natury. Czy zdoła kiedykolwiek kultura wyzwolić człowieka od natury pierwotnej, stworzyć mu naturę inną, jego własną, a więc jego pierwotną, niezawisłą!

Wieczorem zebrało się nas kilka osób u Krzyżanowskiego na herbatce. Byłem ja, Eljasz Römer, Nagrodzki i Abramson. Śród innych tematów rozmowy poruszyliśmy sprawę wytworzenia środowiska towarzyskiego w Wilnie dla obcowania ludzi rozmaitych narodowości na gruncie omawiania bieżących spraw społecznych i politycznych. Przedewszystkiem środowisko takie, rodzaj klubu, byłoby bardzo potrzebne dla powstającego pisma naszego. Dla pisma potrzebny jest kontakt z opinią publiczną, potrzebne środowisko, gdzieby się ludzie z komitetu redakcyjnego stykali z czytelnikami na gruncie wymiany zdań, krytyki i wskazań. Jest również projekt założenia tygodnika rosyjskiego, który ma być demokratyczny i krajowy. Dla takiego pisma rosyjskiego niemniej potrzebny jest kontakt z opinią publiczną nie tylko demokratów-Rosjan, ale i polaków, litwinów i t.d. Ponieważ dla stworzenia stałego klubu jest to teren za mały, więc wymyśliliśmy urządzać jour-fixy tygodniowe składkowe w domach prywatnych. Mamy na myśli dom rosyjski Torchowskich, dom litewski Janów (Vileišisów), dom polski ewentualnie Krzyżanowskich i dom żydowski może u Eljasza Römera.

1 (14) grudnia. rok 1911. Czwartek.

Stan zdrowia Mamy okazał się wcale nie dobry. Polepszenia, które dostrzegaliśmy, nie ma. Wprawdzie Mama już nie leżała tak, jak poprzednio, dławienie też nie dusi Mamy, ale jest ogromne osłabienie i dziwna senność. Mama sama wyraziła dziś chęć sprowadzenia doktora, mianowicie dr. Sztolcmana. Ten po zbadaniu orzekł, że źródłem choroby Mamy jest serce. Stan serca jest niezmiernie zły, groźny. Klapa sercowa jest tak osłabiona, że nie może dobrze funkcjonować i nie jest w stanie przeprowadzać krwi po organizmie, przeto w organizmie tworzą się zastoje krwi. Takie zastoje jest w płucach i z niego to, nie zaś z przeziębienia, pochodzi bronchit Mamy. Taki też zastój jest w wątrobie, na skutek czego wątroba jest mocno wzdęta. Z zastoju też krwi pochodzi obrzękłość nóg. W ogóle sytuacja jest poważna. Doktor przepisał ostre, gwałtowne środki na pobudzenie działalności serca.

O godz. 8½ wieczorem poszedłem do p. Szklennika na zebranie zarządu Towarzystwa Popierania Kooperacji. Do towarzystwa tego świeżo się zapisałem. Dla ożywienia działalności towarzystwa i dla większego zainteresowania ludzi sprawami kooperacji na niektóre zebrania zarządu dopuszczeni są wszyscy członkowie z głosem doradczym, o ile kto tylko przyjść zechce. Jak brzmi sama nazwa towarzystwa, ma ono na celu popieranie kooperacji i szerzenie idei kooperacyjnej we wszelkich postaciach. Nie jest to więc jakiś związek, centralizujący istniejące kooperatywy, jeno instytucja pomocnicza, doradcza. Jest to jakby biuro informacyjne dla kooperatyw, udzielające porad, wskazówek, pomocy itd. Założycielem towarzystwa i najczynniejszym działaczem jest p. Szklennik, całkowicie i wyłącznie sprawie tej oddany. Właściwie całe wszystko towarzystwo w nim się streszcza. Jest to człowiek dobrej chęci, dobrej wiary, szczery, ale głowa słaba z natury. Dzisiejsze zebranie nie dopisało, bo nawet zarząd się nie zebrał. Obecny był tylko p. Szklennik, p. Turski i ja. Ze spraw bieżących p. Szklennik referował sprawę ewentualnego przyłączenia się szeregu kooperatyw spożywczych do Moskiewskiego Związku Kooperatywnego. Sprawa ta ma dość wielką wagę zasadniczą. Władze nie dopuszczają do żadnego związkowego zrzeszenia kooperatyw krajowych, kierując się oczywiście względami natury politycznej, a popierają natomiast rozmyślnie do centralizacji z Rosją. Gdy szereg kooperatyw spożywczych z pow. Święciańskiego, położonych wzdłuż linii kolei [illegible] Święciany, chciały urządzić zjazd wspólny dla omówienia sprawy wspólnych zakupów towarów, władza na kilkakrotne prośby o pozwolenie na zjazd, odmawiała systematycznie bez podania nawet motywów odmowy. Gdy zaś zaprojektowany został przez nich zjazd kooperatyw w Dyneburgu dla przystąpienia zespołowego do Związku Moskiewskiego, to władze na zjazd taki owszem zezwoliły, dopuszczając do uczestnictwa w takowym i 4 gubernie ościenne. Ze zjazdu dyneburskiego wyłoniła się propozycja Związku Moskiewskiego utworzenia agentury moskiewskiej w Dyneburgu, t.j. składu hurtowego, o ile do Związku Moskiewskiego przystąpi nie mniej, niż 50 towarzystw kooperatywnych. Ta właśnie kwestia jest obecnie na dobie. Kooperatywy się wahają i zasięgają opinii Wileńskiego T-stwa Popierania Kooperatyw. Przystąpienie do Związku Moskiewskiego, świadczyłyby pewne względy, zasadniczo szkodliwe, oddałoby uzależniłoby nasz ruch spółdzielczy od Moskwy i zaprzepaściłoby wszelkie inicjatywy krajowe, których ostatecznym wyrazem byłby związek krajowy. Analogiczna sprawa była niedawno przedmiotem dyskusji w kooperatywach łotewskich, które przez parę lat dyskutowały o tej kwestii i ostatecznie zerwały łączność ze Związkiem Moskiewskim, tworząc własną hurtownię w Rydze pod firmą tamecznego łotewskiego towarzystwa ekonomicznego.

O godz. 10 wiecz. odbyło się posiedzenie komitetu redakcyjnego „Przeglądu Wileńskiego". Obecni byli wszyscy członkowie komitetu, to znaczy Wygodzki, Krzyżanowski, Witold Abramowicz, Pitkowski i ja, oraz redaktor pisma, Ludwik Abramowicz. Zebraliśmy się dla ustalenia tekstu prospektu, którego projekt napisał Ludwik. Ludwik odczytał nam swój brulion, do którego następnie wnieśliśmy kilka poprawek poszczególnych, zachowując wątek ~~[illegible]~~ pierwotny brulionu. Poprawki wnosiliśmy właściwie tylko my z Krzyżanowskim. My dwaj stanowimy lewicę w komitecie, Wygodzki — prawicę z pewnym zabarwieniem nacjonalistycznym. Najbardziej jednak na prawo od nas wszystkich stoi sam redaktor Ludwik Abramowicz. Prospekt jest dość ogólnikowy w treści; zresztą inaczej być nie może, skoro pismo nie chce sformułować a priori programu społecznego. W tonie prospekt jest trochę napuszony w przechwałkach a ubogi w wyrazie idei. Poprawki nasze dadzą się streścić w następujący sposób: 1) wyodrębnienie stanowiska społeczno-obywatelskiego od narodowościowego (pod tym względem projekt Ludwika miał pewną ckliwostkę, mogącą prowadzić do stanowiska nacjonalistycznego) i 2) podkreślenie zadania pisma zwracania bacznej uwagi na konkretne ruchy i zjawiska społeczno-ekonomiczne w kraju, takie jak kooperacja, ruch spółdzielczy itp. Pismo takie, jak nasze, powinno właściwie przede wszystkim zająć się głęboką i poważną analizą stosunków, potrzeb i zjawisk a przez to i zagadnień społecznych w kraju, aby z analizy tej ustaliło sobie wskazania programowe; analizę zaś tę powinno wykonać, stosując krytycznie samokształcenie.

2 (15) grudnia.
rok 1911.
piątek.

Mama ma się tak samo. Jesteśmy z Marynią bardzo zaniepokojeni. Przez całą prawie noc Mama spała w łóżku. Raz tylko na jakąś godzinkę Mama wstała i przesiedziała w fotelu, lecz potem znów się położyła. Właściwie zaś doktor zalecił wczoraj, aby Mama się wcale lub jaknajmniej kładła i starała się zadowolnić siedzeniem w fotelu. Lecz biedaczkę Mamę, która jest bardzo słaba i czuje się wciąż przemęczoną, nęci łóżko tak, że nie może wytrzymać i kładzie się. Za wielka pokusa. Mama jest dziwnie senna. Zawsze bywało, wstawała bardzo wcześnie i snu potrzebowała tylko z wieczora. Teraz zaś nietylko śpi przez noc całą snem twardym, ale chce spać i rano i we dnie. Koło godz. 11 przed południem z wielką niechęcią wstaje z łóżka, siada w fotelu i nadal drzemie, i tak przez dzień cały. Dopiero wieczorem staje się trochę rześniejsza, bo dostaje gorączki i przez to się podnieca. Stan jest bardzo zły.

Chcąc być przygotowany na wszelką ewentualność, sporządziłem wykaz kapitałów Mamy, złokowanych obecnie w Wilnie, aby sytuacja wobec spółspadkobierców na wypadek śmierci Mamy, co nie daj Boże, była wyraźna. Mama wykaz ten własnoręcznie z brulionu mego przepisała, podpisała i wręczyła mi. Pozostaje jeszcze pilna zaległa sprawa, — to sporządzenie ostatecznego aktu kupna (kupczej) na sprzedaż przez Mamę części schedy Staniewskiej Mieczysławowi Bohdanowiczowi. Dotychczas sprzedaż ta zrobiona tylko w postaci t. zw. „zaprzedażnej", t. j. umowy o kupnie na przyszłość. Otóż to trzeba jaknajprędzej w postaci kupczej ostatecznej załatwić. Daj Boże zresztą, że jeszcze długo nasza kochana biedna Mamusieczka pożyje.

Wieczorem o g. 8½ umówiłem się spotkać z Anną przy skwerze na placu Katedralnym, aby pójść razem do wanny. Wkrótce po g. 8½, gdym się przechadzał wzdłuż skweru, spostrzegłem śpieszącą Annę. Anna oświadczyła, że iść do wanny nie może, bo musi być w lokalu „Rūty" na próbie łotewskiego teatru amatorskiego, w którym udział bierze. Spóźnienie się [illegible] naście minut od godziny umówionej oraz ten fakt, że musi mi wieczoru dzisiejszego odmówić, tak strapiły i rozstroiły Annę, że odrazu, przychodząc do mnie, już mię zaczęła z punktu przepraszać, że się gniewam za to na nią. Byłem rzeczywiście zasmucony, ale daleki od gniewu, bo jakaż wina, zrozumiem, że ją inne zajęcia wstrzymują. Ale Anna, zirytowana zawodem wieczoru dzisiejszego, nie dała sobie wyperswadować i do ostatka twierdziła, że się gniewam. Odprowadziłem ją do [illegible] i pożegnałem, smutną i żałosną na umizg za nakoniec gniew [illegible].

[illegible]

3/16 grudnia
rok 1911.
sobota.

Mama przez całą noc nie spała wcale. Biedna Marynka, wymęczona, czuwała przy Niej. Senność Mamy jest przerażająca. Nie jeść i spać nie może, ale ciągle jest na wpół drzemiąca. Osłabienie umysłu – ogromne. Zresztą zmian żadnych w stanie zdrowia niema.

Wieczorem o g. 8½ odbyło się u Nagrodzkiego zebranie ścisłego komitetu redakcyjnego tygodnika w osobach Nagrodzkiego, Kryżanowskiego, Witolda Abramowicza, Piłsudskiego i mnie. Odczytałem zredagowany przeze mnie przed kilku dniami projekt listu do rozesłania do szeregu osób, znanych z przekonań demokratycznych i z ofiarności, dla zwerbowania subsydjów na wydawnictwo. Pierwsza część listu ułożona [illegible] zredagowana w charakterze programowego prospektu pisma. Wyłuszczyłem tam zadania i stanowisko zasadnicze przyszłego pisma. Projekt został zaakceptowany całkowicie. List będzie odbity na hektografie i rozesłany.

Z Anną widziałem się dziś dwukrotnie. Rano spotkałem się z nią w cukierni Jassowicza. Miałem jej dużo do powiedzenia. Chciałem wykrzeczeć jej swoje całkowite zaufanie i niezłomną serdeczność, zatrzeć wrażenie drobnej nieśmiałości po niefortunnym spotkaniu wczorajszym. Pragnąłem z Anną rozmowy poufnej, ale atmosfera cukierni w obecności osób obcych, siedzących przy stolikach sąsiednich, krępowała mnie. W chwilach zaś, gdy usposobiony jestem serdecznie, gdy serce mam przepełnione tkliwymi uczuciami, na rozmowę banalną zdobyć się nie umiem. To też, gdy nie mogłem na skutek warunków zewnętrznych wypowiedzieć tego, co mi na sercu leży, stałem się sztywny; mówiłem o pracach banalnych w takiej chwili [illegible], kłamałem i byłem niezgodny z stanem uczuć własnych, a kłamstwo takiego [illegible] nie [illegible] w stanie. Tak się też teraz stało. Nie mogąc się wypowiedzieć, milczałem i miałem pozór sztywny. Anna zaś, której też na sercu wieczór wczorajszy ciężył, brała mnie pozornie sztywność — czy to za wyraz dąsania się mego, czy też za obojętność. Wyszliśmy z cukierni z ciężkim sercem, pełnym niedopowiedzeń. Po drodze z cukierni, gdym odprowadzał Annę do Szyłkowskiej, rzuciła mi ona zarzut, żem się stał dla niej obcy i że nasza dawna poufność w moim sercu wygasła. Zabolało mnie to, ale na ulicy w dwóch słowach otworzyć jej mego serca, wypełnionego po brzegi, nie mogłem. Rozstaliśmy się w nastroju nader przykrym. Wobec tego postanowiłem wpaść do niej wieczorem [illegible], aby dziś

[illegible]

110.

4/17 grudnia rok 1911. niedziela.

Umówione dziś u nas było z Anną spotkanie się na godz. 9 rano i spędzenie całego dnia razem. Na wyznaczoną godzinę stawiłem się do cukierni Jassowicza. Anny nie zastałem. Czekałem przeszło godzinę — napróżno. Byłem trochę o jej zdrowie zaniepokojony. Wczoraj wieczorem rozstaliśmy się z nią źle. Anna, na skutek mojej wzmianki o dwóch pięknych kokotach, spotkanych na poczcie, była cała poruszona(?). Nie zdołałem jej przekonać i uspokoić. Zazdrość jej potęguje się przez zasadniczą cechę jej charakteru — dumę. Sama myśl o tym, że jakaś inna kobieta mogła zwrócić moją uwagę i wydać się piękniejszą i ciekawszą od niej, upokarza ją. Ona mi daje wszystko, daje całą siebie, daje serce, daje miłość — bez zastrzeżeń, a oto ja gotów jestem to wszystko podeptać dla pięknego lica jakiejś ladacznicy przelotnej. Ten epizod z kokotami na poczcie, całkowicie błahy, poprostu nieistniejący dla mnie, wyrósł w oczach Anny do jakiejś tragicznej [illegible] do stosunku wzajemnego. A wiem, jak mocno Anna bierze takie rzeczy do serca, jak je przeżywa w wyobraźni, jak się męczy niemi. Nie śpi w nocy, nie jest w stanie pracować, myśleć, spełniać najpowszedniejszych czynności. Płacze, mizernieje, wpada w szalone przygnębienie, dostaje jakiegoś obłędu, uważa ból swój [illegible]. Zupełnie te jej stany są istotnie tragiczne, choć oparte są na pozbawionej objektu i li tylko na chorobliwym podnieceniu wrażliwości gruncie. Poszedłem w kierunku Monastyrskiej i już koło samego domu Anny spotkałem ją idącą właściwie na spotkanie ze mną. Wyglądała okropnie smutna i przygnębiona; spała źle tej nocy. Nie skarżyła się, udawała wesołą, choć całe piekło miała w swej myśli i sercu kipiało. Znam ją dobrze. Nie umie udawać, chociaż chce zdać się obojętną i spokojną. Nie umie się też skarżyć i raczej wszystko zniesie, cały ból w sobie podwoi i skupi, niżby chciała narzekać i po kobiecemu [illegible] o swoją krzywdę, o swoje prawa serca upominać. Chce udać obojętną i [illegible], bo ból z niej wyrywa i rozsadza ją, a wtedy tylko płacze. Będzie najpierw wściekła a nie poskarży się. Zamyka się wtedy i cierpi głucho samotnie. Tak też było teraz. Próbowałem tłumaczyć, poruszałem rozmaite tematy. Anna odpowiadała biernie, ale na żadną rozmowę reagować nie była w stanie. [illegible] się w nas ~~[illegible]~~ siliła, który zaś [illegible] w formie banalnej było niepodobne; musiała się ona wytłumaczyć. Wszelka rozmowa stawała się fałszywą, sam głos nasz brzmiał obco i kłamliwie, bo stawał się wyrazicielem tego, ~~[illegible]~~ czym serca były pełne. Chciałem pójść z Anną do restauracji, ale była jeszcze z powodu niedzieli zamknięta. Poszliśmy więc na górę Zamkową, ale wciąż trwał ten stan niedomówiony, kłamliwy. Stamtąd poszliśmy do cukierni Jassowicza. Napięcie nerwów u obojga było nadmierne. Anna nie mogła też zatamować, ja się też męczyłem i zacząłem się na Annę gniewać, że mi nie wierzy, że wciąż mnie posądza, że wreszcie gdy ma jakiś żal do mnie, nie wypowie mi go szczerze, lecz w sobie zamyka i w sobie ból trawi. To też w paroksyzmie wszystko wypowiedziałem Annie, że jest zła i że mnie krzywdzi. Obojeśmy się męczyli. Niepodobna było dłużej wytrzymać w cukierni, to też zaprowadziłem Annę do restauracji. Naprzeciwko. Gdy weszła do gabinetu, stanęła przy oknie i rozpłakała się na dobre, wstrząsając się [illegible] łkaniem. Wtedy posadziłem ją przy sobie, [illegible] i tuląc do siebie, całując i koić [illegible]. Mówiłem serdecznie, gorąco, pieściłem, jak dziecko ~~[illegible]~~. W cieple serca mego rozszlochała się biedaczka spazmatycznie, przygarnęła się do mnie, cała wtulona w me ramiona i ukoiła się serdecznie, bez wyjaśnień, bez perswazji, bo

[illegible]

18 grudnia. Rok 1911. poniedziałek.

Pół dnia zajęty byłem sprawą sporządzenia kupczej na sprzedaż przez Mamę Mieczysiowi Bohdanowiczowi części schedy Stanyńskiej. Wysiedziałem kilka godzin w Banku Ziemskim dla otrzymania świadectwa od Banku na pozwolenie sprzedaży, ponieważ majątek jest zastawiony. Potym musiałem przesiedzieć u rejenta. Kupczą wreszcie podpisałem. Spadł mi ciężar z serca, bo to nam, na wypadek śmierci Mamy, umożliwi spokojne korzystanie z kapitaliku, otrzymanego od Mieczysia z tej sprzedaży. Kiełkuje też u mnie myśl skłonienia Mamy do dokonania fikcyjnej sprzedaży swej schedy spadkowej na Stanyńskach i Mamnytach — komukolwiek z nas, mnie czy Marynce, dla zapobieżenia, w razie śmierci Mamy, zwłoce w dziale; zwłoka taka byłaby bodaj nieunikniona, bo śród spadkobierców Mamy jest nieletni Henryś Wołłowicz. Dla zakończenia obecnie kupczej z Mieczysiem brakuje mi jeszcze jednego dokumentu — urzędowego świadectwa o „pochodzeniu polskim" Mamy, które jest potrzebne przy sprzedaży Polakowi. Obawiam się, żeby uzyskanie tego świadectwa nie było zbyt trudne.

Stan zdrowia Mamy taki sam. Niema przesilenia ~~[illegible]~~ ani na gorsze ani na lepsze. Chwilami niby lepiej, chwilami gorzej, ale poważniejszych zmian niema.

6 (19) grudnia rok 1911. wtorek.

Kilka godzin południowych spędziłem, a raczej zmarnowałem na fotografowanie się w grupie zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos". Fotografowały się u fotografa Jurašaitisa 2 grupy: grupa zarządu „Lietuvių Mokslo Draugijos" oraf grupa zarządu „Dailės Draugijos". Sam pomysł sfotografowania tych grup zarządów dwóch towarzystw pierwszorzędnej wagi w obecnym życiu kulturalnym litwinów, był dobry. Bądźkolwiekbądź takie rzeczy widome i trwałe, jak fotografje pewnych zespołów, wcielające w sobie wagę pewnych zjawisk społecznych czy kulturalnych, istniejących w świecie psychicznym, mają swoje znaczenie niewątpliwe. Materjalizacja świata psychicznego ma dla umysłów ludzkich stanowczo racje bytu. To też bynajmniej nie sam fakt ten uważam za marnowanie czasu. Marnowaniem czasu nazwałem tylko zbyt długie, a poprostu przewlekłe trwanie przygotowań i porozstawiania. Trwało to razem za 3 godziny, a że środ samych zdrowych i najrozsądniejszych litwinów, takich jak np. Smetona, przy słabym zwłaszcza władaniu językiem litewskim, czułem się nieco nieswojsko, więc się przytym wynudziłem porządnie. W grupie zarządu „Mokslo Draugijos" wzięli udział: Dr. Basanowicz, Jan Vileišis, Dr. Antoni Vileišis, Vaizukštis, Žemaitis, Michał Biržiška, Šlapelis, Smetona i jeszcze jeden nieznany mi członek zarządu oraz uczony fiński p. Niemi, bawiący w Wilnie i zajęty studjami nad litewskim pieśniarstwem ludowym. W grupie zaś zarządu „Dailės Draugijos" byliśmy: Antoni Żmujdzinowicz, p. Żmujdzinowiczowa, Jan Vileišis, Józef Landsberg i ja. Projektowano umieścić te 2 grupy w ~~dw~~ broszurce, należącej do składek na litewski Dom Narodowy („Tautos Namai") w Wilnie, ale jest oponuje przeciw temu, i słusznie, bo ~~[illegible]~~ to by zakrawało na reklamowanie samych siebie. Grupy takie powinny być inaczej wyzyskane. Od fotografa całe gremjum poszło na plac zakupiony dla Domu Narodowego, który też chciano fotografować; ale ja tam już nie poszedłem.

Wieczór spędziłem u Anny. W wieczorach tych, z nią spędzanych, mam rozkosz prawdziwą, słodycz poufności małżeńskiej, której dotąd nie zaznałem w życiu. [illegible] oplecionej przygód romantycznych i licznych tak kochaliśmy się wzajem, jak kochali się we śnie. Poufność między z Anną, doprowadzona do zupełności całkowitego a połączona z pożyciem małżeńskim — to nowy dla mnie poziom bytu, na wszelki wymiar umiłowania i szczęścia, a otwierająca cały świat jakichś bogatszych wrażeń. Jesteśmy zaiste szczęśliwi. Anna wiedzie dotychczas szczęście [illegible], ale to już pora spółka. Czyżby zawsze w ciąży? Jeżeli tak, to niechaj tak będzie.

7 (20) grudnia rok 1911. Środa.

Stan zdrowia Mamy lepszy. Doktor stwierdził, że zwrot w kierunku polepszenia jest widoczny, i wobec tego zaniechał narazie projektu konsyljum, które zwołać miał dziś czy na jutro zamierzał.

Cały niemal wieczór spędziłem w domu. Do Anny nie poszedłem, bo jest ona dziś w „Rucie" na próbie teatru Łotewskiego, w którym udział bierze. Skorzystałem więc z wolnego wieczoru, aby pójść na godzinkę do kawiarni Miśkiewicza na prospekcie dla przejrzenia pism artystycznych. Pisma te są zaprenumerowane prywatnie przez grono osób ~~[illegible]~~ i zlokowane w kawiarni. Projekt prenumeraty pism tych należy do Ruszczyca i Boguszewskiego. Ponieważ w Wilnie ~~niema wydawnictw~~ w żadnym lokalu publicznym ani czytelni niema wydawnictw artystycznych, więc zaprojektowali oni utworzyć prywatny zespół osób dla zaprenumerowania takowych. Żeby zaś udostępnić swobodne korzystanie z tych wydawnictw, umieszczono je w jednej z kawiarni, gdzie są one złożone w osobnej szufladzie. Tą drogą usiłowano osiągnąć cel podwójny: spopularyzować przynajmniej w pewnym kole inteligentnym czytelnictwo rzeczy artystycznych oraz smaku do reprodukcji dzieł sztuki i jednocześnie dać podwaliny do rozwoju życia kawiarnianego w Wilnie; pisma mają być tą atrakcją, która ściągać może wieczorami grono ludzi do kawiarni. Zdaje mi się wszakże, że źle wybrano kawiarnię; kawiarnia Miśkiewicza na prospekcie leży na uboczu, jest mało uczęszczana, zanadto zaciszna. Dla wytworzenia zaś gustu do życia kawiarnianego potrzebna jest specjalna atmosfera kawiarniana z gwarem, ruchem, wrzawą ~~chwili~~ ruchliwej chwili bieżącej. O wiele odpowiedniejsza pod tym względem byłaby kawiarnia Sztrala na prospekcie, zwłaszcza w jej obecnym lokalu rozszerzonym. Do zespołu pism artystycznych należy coś z 50 osób, płacących po 2 rb. rocznie. Ja też należę do takowego, ale mam ~~[illegible]~~ tak mało wieczorów wolnych, że bardzo rzadko z pism tych korzystać mogę. Dotychczas zaprenumerowane są wydawnictwa następujące: francuskie „L'Art Décoratif" i „L'Art et les Beaux", niemieckie „Die Kunst für Alle" i „Deutsche Kunst und Dekoration", angielskie „The Studio", włoskie „Emporium", polskie „Sztuka" i „Wieś Ilustrowana" (Warszawa) i „Krytyka", „Museion" i „Miesięcznik Literacki i Artystyczny" (Kraków). Po nowym roku ma być więcej. [illegible] pomysł ten jest dobry.

8(21) grudnia rok 1911. czwartek.

Pół dnia do obiadu zajęty byłem intere=
sami; drugą zaś połowę spędziłem z Anną,
korzystając z tego, że dziś z powodu święta
katolickiego, w magazynie Łapkowskiej nie=
ma zajęcia i przeto Anna ma dzień wolny.
Spotkaliśmy się z nią po obiedzie w cukierni
Jassowicza, skąd zaprowadziłem Annę na
obiad do Naruszewicza. Tu spędziliśmy ja=
kąś godzinkę w gabinecie. Piliśmy żubrówkę,
ulubioną wódkę Anny, którą nazywa ona
„naszą" wódką. Anna lubi pewne podnie=
cenie alkoholem i zawsze się o nie w re=
stauracji dopomina. Parę dni niewidze=
nia się zaprawia nasze spotkania ostrzej=
szą tęsknotą i gorętszym, tkliwszym od=
daniem się wzajemnym. Po obiedzie
poszliśmy do hotelu, gdzie mieliśmy
zabawić tylko do godz. 9 wieczorem,
bo się wybierałem na „czwartek" do
Wróblewskiego, ale tak nam było dobrze
ze sobą, że zostaliśmy do godz. 4 rano.
Dopiero o 4-tej odprowadziłem Annę do
domu na Monastyrską i wróciłem do
siebie.

Nadzieja na dziecko jeszcze raz prysła.
Reguły się ukazały u Anny. Czyż sto=
sunek nasz istotnie ma pozostać na zawsze
jałowym? Że jeszcze teraz Anna w ciąży
nie jest, to może i lepiej, bo i wiosny
przyszłej nie stracimy dla miłości naszej, a
ta pora najpiękniejsza, i nauki kapelusznic=
twa u Łapkowskiej Anna nie będzie zmuszona
przerwać przed upływem roku. Ale boję się, że gdy dotąd
przy tym stosunku naszym ciąży nie ma, to i w
przyszłości nigdy jej nie będzie.

8 (22) grudnia rok 1911. piątek.

Czułem się bardzo zmęczony na skutek późnego położenia się spać nocy ubiegłej. Pogoda ohydna, dzień krótki; słota, mgła, błoto, nastrój zgnilizny i kompletnego upadku w naturze — sprawiają zmęczenie fizyczne. Do obiadu załatwiałem interesa bieżące mechanicznie, bez iskry inteligencji, w jakimś odurzeniu tępej senności. Przed obiadem musiałem wypić dla pokrzepienia się kieliszek wódki. Pod wieczór czułem się lepiej, pracowałem nawet intensywnie. Miałem pracę ciekawą: ułożenia projektu ustawy dla naszego związku ściślejszego.

Wieczorem zebraliśmy się na herbatce u Romana [?]: Kraskowskij [?], Antoni Łuckiewicz, Krzyżanowski [?], Nagrodzki i ja. Rozmawialiśmy o wielu bieżących rzeczach ciekawych, a śród innych także o projekcie postępowego tygodnika rosyjskiego w Wilnie. Zdrowie Mamy ma się ku lepszemu, choć Mama sama tego przyznać nie chce. Przy tym wciąż chorowita i czuje się nieszczęśliwą

10 (23) grudnia rok 1911. sobota.

Wieczorem poszedłem do „Ruty" na przedstawienie amatorskie łotewskie. Grano 2 komedyjki jednoaktowe. W pierwszej występowała Anna. Grała rolę kobiety-kumoszki w średnim wieku. Ugrymowana jednak była starzej, niż jest, i niezręcznie: policzki zbyt gęsto pokryte różem, dokoła oczu zgęszczone sińce, nadające cechę jakby zmarszczek, na głowie czepeczek czarny. Grała wszakże Anna tym razem o wiele lepiej, niż za pierwszym razem w październiku, i w ogóle trzymała się na scenie swobodniej, naturalniej, nie miała tych wielkich zakłopotanych i jakby przerażonych oczu ze świecącymi białkami, które miewa zawsze, gdy jest zła lub zaniepokojona, i które ją szpecą. Anna ma bowiem śliczne, wyraziste oczy, ciemne w pięknej oprawie czarnych rzęsów, ale gdy podniesie powieki i otworzy duże białka, traci cały urok spojrzenia i ~~[illegible]~~ ma wygląd brzydki.

Przyglądałem się Annie na scenie i cieszyłem się z jej postępów scenicznych. Ze sztuki mało co rozumiałem. W antraktach gawędziłem sobie z p. Niemi, uczonym fińskim, bawiącym na studjach w Wilnie. ~~[illegible]~~ Przyszedł tu on dla ćwiczenia żywej mowy łotewskiej, którą zna trochę. Ja czekałem tylko przyjścia zza kulis Anny. ~~[illegible]~~ Przy końcu antraktu przyszła. Zaczęto zaraz grać drugą komedyjkę, którą grano z wielką werwą i talentem. Anna siedziała przy mnie. Była w dobrym humorze, rozbawiona, uszczęśliwiona poczuciem lepszego powodzenia, niż w pierwszym występie. Nie chciałem jej psuć zabawy i ~~[illegible]~~ przerywać dalszego toku wrażeń, to też zaproponowałem, aby została. Sam zaś wyszedłem, bo nie miałem co robić śród nieznajomych Łotyszów, a jednocześnie moją obecnością krępowałbym Annę i zmuszał do wyjścia przy mnie. Anna chętnie została. Choć sam chciałem, aby została, i choć rozumiem psychologię jej nastroju po wrażeniu udatnej gry, jednak było mi przykro i [illegible]. Przyznam, tylko takiej miłości, żeby rzuciła wszystko i w każdym wrażeniu — dla mnie

[illegible]

11/24 grudnia rok 1911.

Szedłem o południu na spotkanie z Anną z przeczuciem, iż dzień zostanie zepsuty przez reminiscencje z wieczora wczorajszego. Postanowiłem sobie wprawdzie zachować się naturalnie, jak zwykle, nie zdradzając mego przykrego wrażenia. Ale to wrażenie niedziela [?] przykre, które utrwaliło we mnie i budziło żal za wczorajszy wieczór stracony, połączone z brzydkim uczuciem zazdrości, musiało wyleźć ze mnie, jak szydło z worka. Nie mogę opanować uczucia zazdrości na samą myśl, że Anna bawi się w jakimkolwiek towarzystwie mnie nie bawiącym [?], choćby zabawa ta była najniewinniejsza. Jestem zły i niesprawiedliwy. Sam przecie wielokrotnie opuszczałem towarzystwo Anny, gdy mię jakaś inna potrzeba wzywała, choć wiem, że Anna tęskni po mnie i jest samotna. Gdy zaś raz jeden Anna opuściła mnie, by zostać na wieczorku z rodakami-Łotyszami, to się na nią gniewam. Wszak do wyboru miała albo zostać się i zabawić, dając wyjście [illegible] li tylko wesołości, która się w niej naturalnie zrodziła po udatnym występie na scenie, albo być odprowadzoną przeze mnie do domu po to tylko, aby się położyć samotnie spać lub samotnie w pokoju swoim siedzieć. Cóż dziwnego, że wybrała to pierwsze. Nic naturalniejszego nad to. Rozumiem to dobrze i sam chciałem, aby Anna została, a jednak... jednak uczucia czy też głuchego samolubnego instynktu zazdrości wyplenić z serca nie mogę. To też przez dzień cały męczyłem Annę w sposób jak najgłupszy. Zachowywałem się nienaturalnie. Tłumiłem zazdrość, nie dawałem wyjścia objawom takowej, ale nie mogłem się zmusić do zwykłej pogodnej serdeczności, odczuwałem sztywność, jak histeryczka, która co innego ma w sercu, niż w pozorach. Anna, która jest wrażliwa a zna moje instynkta zazdrości, poznała się na tym i cierpiała niezmiernie. Tuliłem ją, uspakajałem ją, ale fałszywie, bo zawsze z udanym, wysiłkowym odcieniem [illegible] sztywności. Byłem, jak przewrotny pies łaszący a porozkrętnie [?], jak gdzie [?], podstępnie ją ukłułem żądłem złośliwego docinku, wiedząc — bo wszak idjotą nie jestem, — jak boleśnym będzie to ukłucie dla Anny, która jest odczuwająco zależną, kocha mnie i cała się mnie bez zastrzeżeń oddaje a wiary dla serca swego u mnie znaleźć nie może. Takim podłym ukłuciem było np. powiedzenie moje, że wszak mój wyjazd [illegible] dla Anny obojętny być nie może, bo ma ta [?] jeszcze dużo [illegible] i [illegible], a gdy z 50 [illegible] ja [illegible] 34, to wszak zostanie 49! Temu podobne ukłucia dolewały jadu do ciężkiego stosunku dnia dzisiejszego. Biedna Anna, zmęczona, zbolała, była jak na torturach. Męczyłem ją umyślnie, złośliwie, podle. Przeprosiłem ją, ale wciąż robiłem to samo. Po kilkugodzinnym [?] bawieniu [?] w restauracji [illegible], odprowadziłem Annę do domu i po półgodzinnym pożegnaniu [?] ją [illegible]. Wyszedłem zły na siebie, rozumiejąc zło i winę moją. [illegible] we mnie [illegible], która się zawsze, jak wrzód, z jakichś [illegible] ducha w chwili [illegible] podniosłej; [illegible] swoją [illegible] w [illegible] jak [illegible], [illegible] i [illegible] x)

12 (25) grudnia rok 1911. poniedziałek.

Do godz. 3 popołudniu zabawiłem w Zjeździe sędziów pokoju, gdzie miałem wyznaczoną na dziś sprawę cywilną, w której wystąpić musiałem. Wstając zrana, zmęczony się czułem ociężałym po tańdackiej wypitce wczorajszej i po nocy niewyspanej. Ubrałem się uroczyście we frak i ruszyłem do Zjazdu. Tu zaraz w podnieceniu oczekiwanego występu sądowego ~~który mi się nie~~ odzyskałem trzeźwość umysłu. Lubię występy sądowe, jak lubiłem ongi egzaminy, jak lubię wszelką niepospolitość, która mnie porusza, podnieca, wysila myśl i nerwy. Rzadko mam występy sądowe, ale gdy mam, to się czuję dobrze. Zresztą dziś miałem tylko wzruszenie oczekiwania; sam występ nie nastąpił, bo gdy koło godz. 3 sprawa nasza weszła na wokandę, strony poprosiły Zjazd o odłożenie rozpatrywania sprawy, strony bowiem zamierzają się pogodzić. Ja ~~występować~~ uczestniczę w tej sprawie tylko w charakterze t. zw. „osoby trzeciej“ („upoważnionego męża“).

Podwieczór zachodziła do mnie panna Kobylińska, młoda, dopiero kilkunastoletnia dziewczyna, — po informacje o ruchu litewskim, o stanie kulturalnej i społecznej działalności Litwinów. Miła to bardzo dziewczątko, rozumna, sprytna, dowcipna, pełna życia i pełna gorącej chęci do pracy społecznej. Obyśmy jaknajwięcej mieli w kraju takich obywatelek-pracownic, które łączą kulturę i wiedzę z gorącą gorliwością społeczną. Jest ona jedną z najczynniejszych jednostek śród młodzieży wileńskiej w obozie postępowym. Ma w czasie świąt wygłosić kilka referacików czy pogadanek śród młodzieży o ruchu litewskim i białoruskim i o kwestii żydowskiej. Udzieliłem jej skwapliwie wszelkich żądanych informacji o obecnym stanie prasy i towarzystw oraz związków litewskich i pożyczyłem jej moją książkę — „Litwę“.

Koło godz. 9 pośpieszyłem na Monastyrską do Anny. Byłem bardzo poruszony moim wczorajszym zachowaniem się i w sercu czułem szczery wstyd za rozpustę wieczora wczorajszego. Miłość moja była zaprawiona gorącym poczuciem mojej winy i korzyłem się wewnętrznie. Anna, choć smutna mi wydawała się [illegible]. Nie chciałem się wstrzymać od ucałowania stóp mojej drogiej, mojej Budrysi, kochającej i kochanej dziewczyny. Kupiłem i zawiozłem Annie piękny medaljonik złoty z trzema prześlicznymi szafirami, jako pamiątkę serdeczną i zarazem pociechę po wczorajszej zgubie pierścionka(?). Anna była serdecznie ucieszona i wdzięczna. Zażądała ode mnie miniaturowej podobizny fotograficznej mojej dla włożenia takowej do medaljonu. Wzbraniałem się tego i wymawiałem, ale ona silnie nalegała i obiecać musiałem. Zabawiłem u Anny tylko do godz. 10, bo się spieszyć musiałem do pp. Ostachiewiczów, którym moje przyjście obiecałem. P. Ostachiewiczowa stara gniewała się poprzednio na mnie za to, że nie przyszedłem 5 listopada na zebranie kółka pań, na które byłem zaproszony dla wzięcia udziału w dyskusji na temat stosunków polsko-litewskich. Teraz więc obiecałem uczestniczyć stawić się na następne zebranie ~~[illegible]~~ tych pań, które ma się odbyć w nadchodzącą sobotę i na którym mają być znów omawiane sprawy sporu polsko-litewskiego. Otóż dziś p. Ostachiewiczowa zaprosiła mnie dla przedstawienia mi swego referatu o dziejach unii polsko-litewskiej, [illegible] który ma być przez nią odczytany na zebraniu sobotniem. Treściwy pod względem [illegible] zestawienia z prac historyków wielu [illegible], ale do sprawy społecznych stosunków polsko-litewskich nic ~~[illegible]~~ treściwego nie wnosi.

13 (26) grudnia
rok 1911.
wtorek.

Przystąpiliśmy do załatwienia całego szeregu aktów kupna (kupczych) na majątki spadkowe — Stanyszki i Maciunięty. Wpierw realizujemy sprzedaż na imię c. Zosi Tukałłowej tej części Stanyszek, którą Mama latem pod firmą Ignacego Tukałły kupiła. 5 grudnia sporządziliśmy już kupczą na sprzedaż tej części Mieczysiowi Bohdanowiczowi, ale teraz Mieczyś ustępuje tę część na rzecz c. Zosi, a przeto, po skasowaniu poprzedniej kupczej, która jeszcze zatwierdzona nie była, robimy nową na imię c. Zosi. Kapitalnym zaś interesem jest dokonywające się obecnie przelanie własności na schedę Mamy z Mamy imienia na moje. Robi się to ze względu na chorobę Mamy na wypadek Jej śmierci, aby wejście Henrysia Woltkiewicza, małoletniego, do liczby współwłaścicieli, jako spadkobiercy po Mamie, nie wstrzymało znów na długo sprawy. O przelaniu tytułu własności na moje imię kiełkowała już w Mamie myśl poprzednio, gdy stan Mamy był groźny. Wtedy też napisał stryj Ignacy Tukałło do mnie, podnosząc ten projekt. [illegible] kuratorem Maryni i Mamie. W zasadzie uznaliśmy tę rzecz za pożądaną, ale, ponieważ zdrowie Mamy się polepszyło, odłożyliśmy wykonanie tego zamiaru na później. Tymczasem wczoraj znów tę samą myśl podsunął Mieczyś Bohdanowicz, a Elizka Komorowska, która przyjechała do nas wczoraj, gorąco projekt ten poparła. Aprobata Elizki dużo tu znaczy, bo jest ona jedną ze spadkobierczyń Mamy i, jako taka, jest bezpośrednio zainteresowana w sprawie. Elizka ufa mi i uważa takie rozwiązanie sprawy za dobre i zapewniające nam prędkie korzystanie ze spadku na wypadek śmierci Mamy. Kupując od Mamy Jej schedę w Stanyszkach i Maciunętach, umownie ja staję się właścicielem wyłącznym takowej. Jednocześnie ma być spisana umowa prywatna między mną a Mamą, która określać będzie cały interes, bo przecie faktycznie wartość tej schedy nie przestaje być własnością Mamy a po Jej śmierci własnością wspólną naszą, Jej spadkobierców, a przeto prawa sióstr moich i Papy muszą być zagwarantowane, zwłaszcza na wypadek mojej śmierci. Umowa ta określi warunki mojego zajmowania się interesem wspólnym, wypłat siostrom, moje prawa i obowiązki, moje wynagrodzenie i t.d. Stawiam ja się w tym stosunku, stając poniekąd administratorem sprawy wspólnej. Na wypadek zaś, gdybym chciał wykorzystać przeciw nim [illegible] i zacząć rządzić samowolnie, nie licząc się z warunkami zastrzeżonymi, będzie istniał skrypt (rewers) umowny, wydany przeze mnie na imię Mamy na sumę równą wartości schedy, podług istniejącej oceny arbitrów. Umowa prywatna oraz skrypt muszą być złożone w ręku Papy, który ma czuwać nad wykonaniem przeze mnie warunków umowy oraz strzec praw sióstr, a w razie wykroczenia z mej strony ma zużytkować przeciwko mnie ów skrypt umowny. Tak ma być ten stosunek ułożony.

Otóż dziś Mieczyś Bohdanowicz zaproponował nam skomasowanie się, to znaczy [illegible] pozostałej naszej części Stanyszek na Maciunięty, a my jego odpowiednią część przenieślibyśmy na Stanyszki. [illegible] zamiany gdyby przed miesiącem [illegible] wiosną. Zamiana ta ma być wykonana w postaci (2) aktów kupna. Otóż jeżeli projekt przelania na mnie własności Mamy ma być wykonany do skutku, to należy to robić teraz, żeby [illegible] Mamy na 3 [illegible] na mnie, [illegible] już [illegible]. To właśnie do tego interesu przystąpiliśmy.

14 (27) grudnia. rok 1911. Środa.

Interes przelewu na mnie tytułu własności na schedę Mamy — w pełnym toku. Oprócz kupczej ~~na~~ od Mamy na c. Hózię, która jest właściwie jeno wypełnieniem sprzedaży, dokonanej już w listopadzie, robiliśmy 3 kupcze nowe: jedną od imienia Mamy na imię Miecia Bohdanowicza na 1/14 części w Stanynkach, drugą od imienia Miecia na moje imię na 1/14 w Mamylach (te 2 kupcze stanowią komasację wzajemną schedy Miecia i ~~[illegible]~~ Mamy) i trzecią od imienia Mamy na imię moje na 1/14 w Mamylach. Wszystkie te kupcze zostały już dziś podpisane; są przeto już zawarte, jeno jeszcze nie zatwierdzone przez starszego rejenta. Od dziś więc jestem urzędowym właścicielem 2/14 czyli 1/7 w Mamylach, ~~[illegible]~~ a więc z tytułu ziemianinem. Jest to wszakże tylko fikcja własności, bo mam wydać rewers na całą sumę wartości tej nabytej schedy. ~~Wszak~~ Kiedykolwiek wszakże odpowiednia część prawna tej ~~[illegible]~~ wartości należeć będzie z tytułu praw moich spadkowych po Mamie do mnie. W interesie tym jest jedna rzecz wielce dodatnia. Oto na 1/14 części skomasowaną Mamylów własność przechodzi na mnie od Miecia, nie zaś od Mamy, a przeto w tej części własność moja będzie się uważała za nabytą („благоприобретенную"), nie zaś rodową, i, jako taka, podlegać może testamentowi. Będę się więc mógł nią rozporządzić dowolnie na wypadek śmierci mojej. Obawiamy się jeszcze tego, aby Wołodkowiczowie nie zmyślili wytoczyć do nas akcji o unieważnienie kupczych i zatrzymanie tych części za sobą. Mają prawo do tego aż do czasu zatwierdzenia kupczych przez starszego rejenta, ponieważ tak ja w Mamylach, jak Miecio w Stanynkach jesteśmy osobami postronnemi, którym spółwłaściciele mogą do kupna nie dopuścić, zatrzymując części sprzedane dla siebie w cenie określonej w akcie kupna.

Ponieważ zaś cenę oznaczyliśmy w akcie kupna umiarkowaną — po rb. 3000 na 1/14 Mamylów i po rb. 4200 na 1/14 Stanynek — dla nich kupić wszystkie części te teraz [illegible] ale których [illegible] [illegible] zatrzymaniem [illegible]. Trzeba to [illegible] [illegible] [illegible] Wołodkowiczów [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] Wiecznie [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] w zatwierdzeniu kupczych [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] w zaliczenie [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible]

121

Byłem wieczorem na „czwartku” u Wróblewskiego. 1 (28) grudnia. rok 1911.

Czwartek.

Obecni byli: Tadeusz Wróblewski, redaktor Władysław (?) Bagiński, dr. Boguszewski, Janulaitis, pani Sawrzińska (?), Ładkowski (?), ja, Tiszkin (?), Krzyżanowski (?), pani Boguszewska, Sylwjel (?) Sokołowski (?), Domański i Nagórski. „Czwartek” dzisiejszy był bardzo ciekawy. Mowa była o stanowisku grup postępowych w Wilnie wobec zbliżających się wyborów do IV Dumy. Zaczęło się od tego, że Bagiński zdał sprawę ze swej bytności w niedzielę ubiegłą na zebraniu grona inicjatorów Polskiego Komitetu Wyborczego. Zebranie to odbyło się w lokalu redakcji „Kurjera Wileńskiego”. Zwołane zostało przez ludzi, którzy należeli do poprzedniego Komitetu Wyborczego, wespół z grupą realistów. To znaczy, że inicjatorami byli endecy, klerykałowie i konserwatyści. Z endeków obecni byli redaktor Hlasko, dr. Witold Węsławski, Jasiński, z klerykałów ks. Czerniawski, ks. Jasiński, z konserwatystów Paweł Kończa (?), dr. Dembowski, Tupalski. Było też paru innych, był też bezpartyjny, prezydent Michał Węsławski. Na zebranie to zaproszono też przedstawicieli „postępowców” w osobach Witolda Abramowicza, Jana Klotta i Bagińskiego. Na zebraniu tym przedewszystkiem dr. Węsławski, jako jeden z członków poprzedniego (z czasu wyborów do III Dumy) Centralnego Polskiego Komitetu Wyborczego, przedstawił sprawozdanie z funkcjonowania tegoż. Następnie poszczególni mówcy wypowiadali się co do sposobu zorganizowania Centralnego Komitetu Wyborczego dla obecnych wyborów. Oczywiście, że w samym założeniu postulowano zasadę solidarności, jako podstawę i warunek zgóry dany dla tej przyszłej organizacji. Jakąż mogła być treść tej solidarności w pojęciu klerykałów i endeków? Oczywiście tylko solidarność w ramach wyborców chrześcijańskich (klerykali) i polskich (endecy). A więc punktem wyjścia dla solidarności musiała być cecha wyznaniowa i narodowa. Czyż na gruncie takiej solidarności mógł stanąć postępowiec, wolnomyśliciel, a tembardziej socjalny-demokrata, wyznający klasową budowę społeczeństwa! W sprawie organizacji Komitetu Wyborczego endecy wystąpili z propozycją, aby każda dzielnica miejska mianowała samodzielnie członków tego Komitetu. Byłby to więc komitet reprezentacyjny. Ponieważ wszakże wyborców ogólnych do Komitetu od całej chrześcijańsko-polskiej ludności dzielnice zanadto mieszają (?) dobra, więc dla dokonania wyborów powołani byliby ludzie popularniejsi i wpływowsi w każdej poszczególnej dzielnicy. Jakże się zachowali obecni na tym zebraniu postępowcy? Otóż Bagiński oświadczył, że zdaniem jego Komitet taki powstać winien nie z wyborów od dzielnic, lecz z wyborów od grup, przedstawiających pewien określony kierunek polityczny, to znaczy z wyborów od partyj; współdziałanie zaś grup takich we wspólnym komitecie uważałby Bagiński za możliwe tylko w takim wypadku, gdyby określona była zgóry osoba kandydata poselskiego, przyczem Bagiński by zaważał (?), że grupy także mogą do tej akcji stanąć tylko pod warunkiem, że kandydat będzie przez nich uznany za odpowiedniego, bez względu na to, czy będzie on żyd czy chrześcijanin. Pokrewne stanowisko zajął Klott, Abramowicz zaś wypowiedział się inaczej, żądając przedstawicielstwa do Komitetu nie od dzielnic, lecz od grup zawodowych. Bagiński przed zakończeniem obrad opuścił zebranie. Taka była strona faktyczna owego zebrania niedzielnego. Gdy więc Bagiński na „czwartku” dzisiejszym zdał sprawę z tego faktu, wywiązała się gorąca dyskusja. Szereg mówców, a w pierwszym rzędzie Ledecy (?), Tiszkin (?), Janulaitis i Domański wystąpiło z ostrą krytyką zachowania się Bagińskiego. Ja też gorąco w tym sensie poparłem endeków (?), potwierdzając ich argumentację. Bagiński, przyszedłszy na to zebranie, powinien był tylko jedną rzecz zrobić: ścisłe oświadczenie, że o solidarności na gruncie wyznaniowym lub narodowościowym, gdy chodzi o spełnienie funkcji obywatelskiej, nie może być mowy dla postępowca i że blok z klerykałami i nacjonalistami jest wykluczony, i następnie opuścić zebranie. Tymczasem Bagiński, uważając o sposobie zorganizowania komitetu wespół z elementami endecko-klerykalnemi, choć ograniczył ten zespół li tylko ewentualną osobą wspólnego kandydata, bądźcobądź uznał możliwość jakiejkolwiek solidarności z tymi panami w akcji wyborczej, a przez wzmiankę o ewentualnym kandydacie żydowskim nie naprawił tego wcale, jako popełnił niekonsekwencję, bo nie chodzi oczywiście o kandydaturę czy to żydowską czy chrześcijańską, chodzi o kandydaturę istotnie demokratyczną, a przez to jakaś solidarność z elementami niedemokratycznymi, czy to żydowskimi czy chrześcijańskimi, jest wykluczona. Jeśli natomiast, jak Krzyżanowski

16 (29) grudnia.
rok 1911.
piątek.

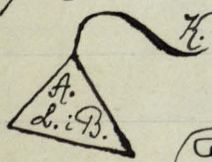

Do obiadu czas spędziłem w Łodzie na dopilnowaniu zatwierdzenia kupczej od Mieczysia na mnie na Mamyłki i od Mamy na Mieczysia na Ułanyszki. Forsowaliśmy to zatwierdzenie całą siłą pary, bo obawialiśmy się interwencji Wołodkowiczów, która jest możliwa tylko do czasu zatwierdzenia kupczej. Wiadomość zaś o tym kupnie tak szeroko się rozeszła, że ~~[illegible]~~ uwaga Wołodkowiczów mogła być na to zwrócona. Dla zapobieżenia temu niebezpieczeństwu obiecaliśmy z Mieczysiem po rb. 30 pomocnikowi rejenta Sokołowa, Jurewiczowi, za przeforsowanie zatwierdzenia u starszego rejenta, jeżeli to przez dzień dzisiejszy załatwić zdoła. Brakowało nawet jeszcze kilku ważnych dokumentów i wobec tego zatwierdzenie na dziś było wątpliwe. Ale Jurewicz tak energicznie się do rzeczy zabrał, że zatwierdzenie uzyskał. Zostaje jeszcze do zatwierdzenia kupcza od Mamy na mnie na drugą czternastkę Mamyłów, ale to już jest mniej niebezpieczne, bo tu przejście własności zachodzi od Matki na syna rodzonego, a przeto wątpliwe jest, czy by się dało obalić pod pretekstem sprzedaży w ręce ~~[illegible]~~ obce.

Na obiedzie byłem z Elizką Komorowską i Marynką u wujostwa Ignacostwa Tukałłów, bawiących w Wilnie.

Od wczoraj Papa bawi w Wilnie. W interesach, które załatwiamy obecnie, nic się Papa nie orientuje. Ja się też obawiam oddać na wyłączną decyzję Papy wykonywania przeze mnie umowy z Mamą w spłacie [illegible] wierzycieli spadkowych. Papa jest już trochę do interesów nieodpowiedni, a nawet kapryśny i uparty, [illegible] też wyłącznie i całkowitą władzę nad sobą oddać Papie w tym interesie bym nie chciał.

17 (30) grudnia rok 1911. sobota.

Zaproszony byłem na dziś wieczór na zebranie koła pań, na którym omawiana być miała sprawa stosunków polsko-litewskich. Takich kół kobiecych powstało w Wilnie kilka. Najczynniejszą organizatorką i kierowniczką kół tych jest p. Kazimiera Ostachiewiczowa. Są to koła o charakterze towarzysko-dyskusyjnym. Należą do nich panie ze sfer inteligienckich (wolnych profesji). Określonego kierunku ideowego nie mają, ale w każdym razie są wolne od tendencji klerykalnych i mają pewne sympatje do prądów postępowych. Na zebraniach, które się urządzają w lokalach prywatnych u poszczególnych pań, należących do koła, pija się herbatkę z tartinkami, opłacaną przez określoną składkę wszystkich obecnych, a następnie odbywa się właściwe posiedzenie z pogadanką na ten lub ów temat. Tematy są rozmaite. Dotyczą one tak stosunków społecznych, narodowych, jak rozmaitych spraw aktualnych; omawiana też bywa kwestja kobieca, odczytywane są wspólnie niektóre książki, poruszające zagadnienia ciekawe, lub wygłaszane odczyty i t. d. Są to więc zebrania towarzyskie, uzupełnione pewną systematyczną wymianą myśli. Jako takie, są one objawem niewątpliwie dodatnim. Wytwarza się tam bądź co bądź pewna opinja publiczna, jest zawiązek zrzeszenia, które formułuje zbiorowo swój stosunek do zjawisk życia publicznego i nawet próbuje czasem reagować na pewne zjawiska natury ogólniejszej. Z łona tych kół wychodzi czasem inicjatywa jakiegoś wypowiedzenia się zbiorowego, chociażby w postaci protestu na jakieś fakta lub jakieś artykuły w prasie i t. p. Na zebraniach kół tych omawiane już były kilkakrotnie stosunki polsko-litewskie. Pani Ostachiewiczowa, która jest duszą kół tych, odczytywała tam dokonane przez nią streszczenie mojej książki „Litwy" i z dyskusji, która się stąd wywiązała, wypłynął projekt zaproszenia na jedno z zebrań mnie i działaczki litewskiej p. Sabiny Pietkiewiczówny, dla wysłuchania przez nas wyjaśnień co do istoty zatargu polsko-litewskiego oraz wskazań dla jakiegoś sprawiedliwego modus vivendi tych 2 narodowości powaśnionych w kraju. Panie ułożyły szereg zapytań tak dla mnie, jak dla p. Pietkiewiczówny, na które mieliśmy przygotować odpowiedzi. Takie zebranie miało się odbyć 5 listopada i istotnie się odbyło, ale bez mego udziału, bo nie poszedłem. Panie, które się dnia tego dość licznie zebrały, zwabione zapowiedzią mojego przyjścia, były bardzo zrażone na mnie, a p. Ostachiewiczowa wystosowała do mnie list z ostremi i gorzkiemi wymówkami. To też gdy na dziś zostałem powtórnie zaproszony, nie mogłem nie przyjść. Zresztą nie żałuję (?) tego wieczoru, u pani [illegible] spędzonego. Pań się zebrało bardzo dużo, zapewne koło 40. Sądzę, że musiały być obecne panie nie tylko z jednego, ale z kilku kół. Mężczyzn było tylko kilku. Ogromnej większości pań tych nie znam wcale i dotychczas nazwisk ich nie wiem. Wiem tylko, że była p. Ostachiewiczowa stara i młoda, adwokatowa Żmaczyńska (?), p. Maszotasowa (?) i inne. Zebranie odbywało się w lokalu szkoły dziecięcej pani Zachorewskiej przy ul. Gubernatorskiej. P. Kazimiera Ostachiewiczowa wygłosiła swój odczyt o Unji Polski z Litwą, bardzo starannie opracowany, który czytała mi przy [illegible] przed kilku dniami. Sensacją wieczoru było moje przemówienie (?). Zresztą już obecność moja budziła sensację. Panie, które mnie znały tylko ze słyszenia i zaspewne przeczytały (?) moją osobę, wpatrywały się we mnie z ciekawością i czekały niecierpliwie mego odezwania się. W takich warunkach musiałem oczywiście głos zabrać, choć się zupełnie nie przygotowywałem do dyskusji i czułem się trochę niepewnie (?). W przemówieniu [illegible] historycznej nie [illegible] za [illegible] stosunków polsko-litewskich. Przemówienie moje [illegible] się [illegible] [illegible] wcale [illegible] przemawiających.

18 (31) grudnia. rok 1911. niedziela.

Na skutek ostatniego zebrania czwartkowego u Wróblewskiego, na którym omawiana była sprawa stosunku grup demokratycznych polskich do rozpoczętej akcji wyborczej, rozpoczętej przez klerykalno-endecki komitet wyborczy, uznaliśmy za wskazane rozpoczęcie działać przez elementy demokratyczne na własną rękę we wspólnej akcji bez różnicy wyznaniowej i narodowej. W tym celu postanowiliśmy się zebrać we wtorek dla ustalenia jej pewnych wskazań praktycznych zaprojektowanej akcji. Tymczasem dowiedzieliśmy się, że dziś ma się odbyć posiedzenie drugie zebranie klerykalno-endeckiego komitetu Polskiego, na które zaproszeni są także ci sami przedstawiciele postępowców, którzy byli na zebraniu poprzednim, to znaczy Witold Abramowicz, Klott i Bagiński. Wobec zaprojektowanej samodzielnej akcji demokratycznej, bezwyznaniowej i beznarodowej, należało ustalić, jak się mają dziś zachować przedstawiciele postępowców w stosunku do zebrania endecko-klerykalnego. Czy mają pójść na te zebranie i jeżeli tak, to czy brać udział w obradach i przyłączyć się ewentualnie do tamtego komitetu, czy też złożyć jakąś deklarację i wycofać się. Słowem należało się porozumieć z tymi trzema przedstawicielami i dać im pewne dyrektywy. Było to tym bardziej potrzebne, że Klott i Witold Abramowicz nie byli wcale na „czwartku" i nie wiedzieli prawie o dyskusji, która tam miała miejsce, i o wnioskach, które się z niej wytoczyły. Dlatego zwołana została na dziś w południe narada szczuplejszego grona u Klotta. Obecni byli: Klott, Witold Abramowicz, Bagiński, Ludwik Abramowicz, Hryniewiecki(?), Piłsudski, Edward Sokołowski i ja. Hryniewiecki(?), Edward Sokołowski i ja wypowiedzieliśmy się stanowczo przeciwko udziałowi grup demokratycznych we wspólnej „polskiej" akcji wyborczej z endekami i klerykałami, uważając ją z wyłącznością wyznaniową i narodowościową w stosunku do wyborów za niedopuszczalną ze stanowiska demokratycznego. Żądaliśmy więc, aby przedstawiciele postępowców złożyli w komitecie „Polskim" odpowiednie oświadczenie i wycofali się od udziału w takowym. Obaj Abramowiczowie, Klott i pośrednio Bagiński, nie negując zasadniczych zastrzeżeń naszych, wątpili, że ze względów praktycznych nie warto narazie zrywać kontaktu z komitetem endecko-klerykalnym, choćby dlatego, by go mieć na oku, a także dlatego, aby móc tą drogą bądź co bądź oddziaływać na decyzję o osobie kandydata. Piłsudski z początku się wahał i skłaniał się raczej na rzecz zwolenników współdziałania tymczasowego z komitetem „Polskim", ale potem przeszedł na naszą stronę. Ostatecznie nasza pozycja zwyciężyła, bo tamci, nie mając podstaw zasadniczych, sami w końcu zrezygnowali. Klott więc, Abramowicz i Bagiński mają dziś pójść na zebranie komitetu endecko-klerykalnego i po złożeniu motywowanego oświadczenia usunąć się z zebrania, zrywając też wspólność akcji.

O 2-ej spotkałem się z Anną w cukierni Jasowicza, skąd poszliśmy na obiad do restauracji Narusewicza. Anna piła przy obiedzie bardzo dużo. Czasami, zwłaszcza gdy ma na sercu jakąś troskę, pije niepomiernie dużo, raz za razem, to znów czasem, jak dziś przy obiedzie, nic pić nie chce. Po obiedzie poszliśmy do hotelu „Bristolu", gdzie mieliśmy resztę dnia spędzić. Ta umiała była dziś jakaś żywa, pijacka. Kazałem przynieść do numeru kawy czarnej i ciastka. Wypiliśmy. W Annie też się nagle zbudziła chęć picia, jak orkan, który się nagle nie stąd ni zowąd zrywa. Ma ona także nieobliczalne porywy, które jak chaos działają żywiołowo. Cały nie mal [illegible] wypiła sama jedna, haustami wprost z butelki. Byliśmy już oboje podochoceni. Wtedy przyszła mi dzika chęć jakiejś szalonej hulanki z Anną. Ciągnęło się [illegible], przyniesiono wina, orgji. Zaproponowałem Annie pójście na przejażdżkę do dziewcząt w lupanarze. Anna, w której też wnet przygasła [illegible], przystała. Nie chodziło mi tym razem o rozpustę, o stosunek z dziewczętami. Pragnąłem ze wszech sił Anny, li tylko jej jednej, ale posiadając ją chciałem wyczerpać w tej dzikiej hulaszczej orgji, z krzykiem, wrzaskiem, śpiewem i ochotą, w swawolnej atmosferze [illegible]. Pojechaliśmy. W towarzystwie trzech dziewcząt piliśmy, śpiewaliśmy, cały czas byliśmy weseli i szczęśliwi, tańczyliśmy i [illegible] swawolnie. W orgji tej pozwalaliśmy z Anną sobie [illegible]. Dla siebie [illegible] i hulaki, li tylko z nią [illegible].

Anna miała chwilę zazdrości, ale się czuła królową w tej zabawie. Orgja cała była jeno tłem dla ubóstwienia jej osoby, jak wakchanalje były wielbieniem Bachusa. Szalona to była, straszna noc! Obojeśmy z Anną byliśmy pijani. Wesele nasze wyczerpywało wszystkie zasoby humoru i szczęśliwości ducha. Była to noc ekstazy szałowej. W ostatnie godziny nocy spędziliśmy z Anną we dwoje w jednym z gabinetów tegoż zakładu.

19 grudnia / 1 stycznia. rok 1911. / rok 1912. poniedziałek.

Po nocy wariackiej („verrückte Nacht" — jak mówiliśmy z Anną) wstaliśmy zmęczeni, wyczerpani: Anna ledwo że była w stanie utrzymać się na nogach, to też nie poszła już dziś do pracy do Łapkowskiej; a że nie mogła też rano po całonocnej nieobecności wracać do siebie, więc ją zaprowadziłem do hotelu Versailles, gdzie się natychmiast położyła; ja zaś, mimo zmęczenia, śpiączki musiałem do moich bieżących zajęć. Żartowałem z Anny, że nocy tej miała wrażenie, jakby się z klatki wyrwała na swobodę i mogła sobie bujać w zabawie wyuzdanej, a oto teraz znów do klatki wracać musi, do pracy codziennej u Łapkowskiej, do zwykłych naszych spotkań w jej pokoiku lub u Jasiewiczów, do wieczorków [illegible] i t.p., słowem do powszedniego trybu jej życia. Anna powiada, że ten tryb, to jej szczęście i że nigdy nie pragnęłaby wyjścia z tej klatki, w której [illegible] przy sobie i czuje się całkiem szczęśliwa. Nic wymuszonego sobie nocy wczorajszej, nie wstydzę się jej. Była ona jeno zaprawą naszej uczty miłosnej z Anną, uczty, która nie rozpustą jest, lecz wspaniałą konsumcją miłości, tajemną ekspansją wszystkich sił i uczucia. Miłość jest uczuciem potężnie kosztownym, bo budzi potrzebę wydajności, nie znającej miary i granic. Oboje z Anną mamy [redacted] ten sam zapęd do wydajności w uczuciu.

Miałem dziś opracować projekt umowy mojej z [redacted] Mamą w stosunku do eksploatacji Bohdaniszek. Ponieważ przelanie na mnie tytułu własności na Bohdaniszki od Mamy jest tylko fikcją, w istocie zaś wartość całkowita [illegible] powinna należeć do Mamy lub ewentualnie jej spadkobierców, ja zaś [illegible] tylko się zająć eksploatacją takową dla zaspokojenia jej, więc spisana ma być umowa prywatna z Mamą, określająca dokładnie moje prawa i obowiązki; korektywem zaś do tej umowy prywatnej ma być rewers urzędowy, wydany zaocznie, który może być zrealizowany bądź na wypadek mojej śmierci, bądź na wypadek, gdybym umowę gwałcił i zamierzał sobie [illegible] [redacted] faktycznie przywłaszczenia. Ale grunt — to ta umowa prywatna, która winna regulować cały stosunek. [redacted] Układanie projektu tej umowy powinno mi było zająć kilka godzin pracy. Przyszło mi na myśl wykonać tę pracę nie w domu, lecz przy Annie w hotelu. Tak też zrobiłem. Wziąłem papier i poszedłem. Anna otworzyła mi drzwi zaspana, ale ucieszona z mego przyjścia i wdzięczna za ten dowód serdeczności. Wzruszona była moim pomysłem, który stwarzał iluzję ogniska domowego. Ja więc siedziałem sobie przy biureczku, Anna zaś spała w łóżku. Kilkakrotnie podchodziłem do niej, siadałem na brzegu łóżka, gawędziłem trochę i znów do pracy się brałem. Anna się tuliła do mnie, pieściła, wzruszona, wyczerpana i senna, omdlewająca zarazem ze zmęczenia i [redacted] błogiej rozkoszy. Po wielkiej wydajności nocy wczorajszej byliśmy oboje wyczerpani i garnęliśmy się do siebie w kupkę w [redacted] nastroju pogody i ciszy. Potrzebowaliśmy ukojenia po gorącym wylewie uczuć i znajdowaliśmy je w serdecznym zespole wzajemnym. Ta noc wariacka zbliżyła nas jeszcze bardziej wzajemnie. Dzieliliśmy się wspomnieniami uczuć, żartowaliśmy serdecznie, [redacted] gawędziliśmy we dwoje. I tak nam było dobrze w tej miłości naszej, w tym zupełnym oddaniu się sobie, w świadomości, że my we dwoje tworzymy sobie świat jeden, osobny, nasz własny. I tylko myśl o rychłym rozstaniu się z powodu mego wyjazdu na Boże Narodzenie na wieś zaprawiała ten nasz pogodny i serdeczny stosunek tęsknotą. Spędziłem u Anny kilka godzin przy pracy. Wieczorem znów do niej przyszedłem, nakarmiłem ją i odprowadziłem do domu.

[redacted] Opowiadano mi dziś o wczorajszym wystąpieniu Klotta i Witolda Abramowicza na posiedzeniu „Polskiego" (tj. raczej endecko-klerykalnego) komitetu wyborczego. [illegible] przedstawiciel „postępowców", Rapiński, na posiedzeniu wpadł [illegible] pośród. [illegible] naszego stanowiska wczorajszego Klott i Abramowicz poszli na zebranie i złożyli tam oświadczenie następujące: solidarność, oparta na czynniku wyznaniowym i narodowym, ich, postępowców i demokratów, w stosunku do wyborców obowiązywać nie może. Wybory do Dumy są bowiem nie narodowe, lecz obywatelskie, pierwiastek zaś obywatelski jest zasadniczy do wyznania i narodowości. [redacted] Oświadczenie to [illegible] wiatyka do siebie, ale też do [illegible] którymi się posługiwali i których opinię wyrażają. Oświadczenie to przyjęte [illegible] w klubie wyborczym na rzecz solidarności [illegible] i narodowości. [illegible] [redacted] [illegible] komitetu, który się tego nie spodziewał, zatarcie na trumieńca w ich [illegible] demokratycznych. Nastąpiła cisza, konsternacja i oczywiście [illegible] gdy z Abramowiczem opuścili zebranie.

(na marginesie:) obrzucenie na „postępowców", którym zarzucano „odszczepieństwo" i nie chcę już nawet [illegible] pod tym hasłem endecko-klerykalnej [illegible] I tak zgromadzeni [illegible] „postępowców" [illegible] ale [illegible]

20 grudnia. / 2 stycznia. rok 1911/1912. wtorek.

Ponieważ jutro już wyjeżdżam z Wilna na święta, więc się już pożegnałem dziś z moją kochaną Annią, która jest nieustannie w żalu. Smuci się, że wyjeżdżam właśnie wtedy, gdy nadchodzą święta i gdy ona będzie miała dużo czasu wolnego. Proponowałem, aby wyjechała na ten czas do Libawy, do matki swojej, ale nie chce. Nie mogłem dziś z nią spędzić tego ostatniego wieczora, bo muszę pójść do Krzyżanowskiego na zebranie. Poszedłem więc do Anny w jej godzinach obiadowych. Godzinkę spędziliśmy razem na serdecznej, jak zwykle, pogawędce. Rozstaję się z nią na te parę tygodni pod jaknajlepszym wrażeniem i żadna chmurka nie przysłania pogody naszego stosunku. Kochamy się rzetelnie, z całym zaufaniem wzajemnym, z całą świadomością uczucia, w najściślejszym porozumieniu ze sobą.

Po obiedzie pisałem artykuł do „Przeglądu Wileńskiego", którego pierwszy № ma być wydany w tygodniu świątecznym. Zamarudziłem z tym artykułem, który powinien był wcześniej dostarczyć. W ogóle taki miałem zawsze zajęć w czasach ostatnich, że dziś dopiero po raz pierwszy wybrałem się do lokalu redakcji „Przeglądu". Artykuł szedł mi dziś gładko. Rad jestem z niego. Szkoda tylko, że nie zdążyłem go dokończyć. Gdy pisanie idzie dobrze, to najlepiej nie przerywać toku pracy i jednym ciągiem go zakończyć. Wtedy artykuł jest najjednolitszy.

Wieczorem koło godz. 9½ poszedłem do Krzyżanowskiego na zebranie, zwołane dla omówienia projektowanej akcji wyborczej elementów demokratycznych. Narazie zebranie to, jako przedwstępne, ograniczyło się li tylko do uczestników naszych „czwartków", bo sama inicjatywa akcji z ostatniego „czwartku" wyszła. Na zebraniu dzisiejszym obecni byli: Krzyżanowski, Klott, Witold i Ludwik Abramowiczowie, Tiomkin, Bagiński, Gabrjel Sokołowski, Domański i ja. Wpierw podzieliliśmy się wiadomościami, jakie każdy z nas posiadał o tym, gdzie i w jakich grupach demokratycznych co się robi w stosunku do przyszłych wyborów. Wyjaśniło się, że w sferach ruchu żydowskiego kwestja stosunku do wyborów była już omawiana. Bundyści są skłonni do przyjęcia kandydatury demokratycznej bezpartyjnej, któraby zdołała skupić szersze elementy wyborców demokratycznych. O kandydaturze partyjnej socjalistycznej nie myślą, gdyż Żydzi byliby przyjęli nawet kandydaturę lepszego kadeta. Zresztą oprócz innych elementów radykalnych wśród Żydów jest jeszcze tak zwana „Hazamira", podobno ugrupowanie sjonistyczne, które jest dość postępowe i walczy z nacjonalistami (sjonistami) i mogłoby być pozyskane do wspólnej z lewicą akcji wyborczej. Wśród Polaków nie ma żadnych dotychczas zorganizowanych grup demokratycznych, któreby się do wyborów w jakikolwiek sposób gotowały. Robotnicy socjalistyczni, grupujący się mniej więcej w klubie „Rzemieślniczym", także jeszcze wyraźnego stanowiska w sprawie wyborów nie zajęli. Prawdopodobnie główny ich wpływ przywiązywaliby do osoby kandydata, gdyby to był kandydat nie partyjny. Bardzo życzliwie by się odnieśli do kandydatury Tadeusza Wróblewskiego i zapewne natomiast przyjęliby jak najlepiej kandydaturę Wróblewskiego bardzo chętnie. O litwinach informacji nie mamy, ale jedno jest tylko pewne, że kandydatura Wróblewskiego byłaby przez nich stanowczo odrzucona z wyjątkiem chyba jakichś paru esdeków. Białorusini, grupujący się przy „Naszej Niwie", dotychczas tylko w zakresie kurji rosyjskiej myśleli coś robić, aby przeszkodzić zwycięstwu prawicowców. Po tych informacjach wstępnych przystąpiliśmy do obrad właściwych. Wszyscy staliśmy na gruncie potrzeby wspólnej akcji wyborczej elementów demokratycznych bez względu na różnice wyznaniowe i narodowościowe. Wybory, jako czynność obywatelska, winny łączyć wszystkich obywateli, stojących na tym samym stanowisku przekonaniowym, czy obywatelem tym będzie żyd, czy polak, czy litwin, czy białorusin. Powstała tylko kwestja o tym, czy dla wspólnej tej akcji ma być utworzony wspólny komitet wyborczy, czy też osobny demokratyczny polski komitet wyborczy, który następnie wejdzie w porozumienie z takiemiż komitetami demokratycznemi żydowskim, litewskim i t.p.. Za utworzeniem wspólnego demokratycznego komitetu wyborczego przemawialiśmy i głosowaliśmy: ja, Krzyżanowski, Gabrjel Sokołowski i Domański. Za osobnym komitetem polskim głosowali: Witold Abramowicz, Klott, Bagiński i Tiomkin. Ludwik Abramowicz, który przemawiał za komitetem polskim, wstrzymał się od głosowania. Wobec tego, że głosy się podzieliły po równi, żadna decyzja w tej mierze przyjęta nie została. Dla wyjaśnienia tej kwestji, niemniej sposobu zorganizowania wspólnej demokratycznej akcji wyborczej, ma być zwołane po świętach nowe zebranie przedstawicieli rozmaitych grup demokratycznych tak polskich, jak żydowskich, litewskich i białoruskich. Listę osób, które mają być na to zebranie zaproszone, ustaliliśmy zaraz. Rezultaty dzisiejszego zebrania były charakterystyczne. Okazuje się, że Bagiński, Tiomkin, w sprawie wspólnej demokratycznej akcji wyborczej w naszych stosunkach [illegible] wyrzekł się z góry akcji [illegible], zgadzał się z [illegible] (Klott, Abramowicz). [illegible] nacjonalistycznego [illegible] także w tej kompanji. [illegible] esdek [illegible] stał konsekwentnie z nami.

21 grudnia / 3 stycznia. rok 1911/1912 środa.

Pociągiem południowym wyjechałem z Wilna. Wyjeżdżam już na Święta do Bohdaniszek. Jadę jednakże nie wprost na Kałkuny, ale naokoło na Radziwiliszki, bo najpierw dla pewnego interesu muszę być w Szawlach. Wyjechaliśmy z Wilna we troje, z Antonim Łuckiewiczem i Sławkiewiczem. Koło 7 my wieczorem byliśmy w Szawlach. Na pogawędkach z rozmaitemi osobami czas nam upłynął do ~~g~~ późnej nocy. Dopiero koło godz. 2 w nocy poszliśmy na kolację do restauracji Siemkiewiczowej, bo już byliśmy wściekle głodni. Po kolacji Antoni Łuckiewicz tejże nocy wyjechał z Szawel, my zaś ze Sławkiewiczem powędrowaliśmy spać do hotelu.

22 grudnia. / 4 stycznia. rok 1911/1912. czwartek.

Mazewicz wyjechał z Szawel koło godz. 10 rano, ja zabawiłem jeszcze do godz. 5 popołudniu. Skorzystałem z czasu, aby dokończyć i wysłać do Wilna mój artykuł do „Przeglądu Wileńskiego", który zacząłem pisać w Wilnie poprzedniej. Z pierwszej części tego artykułu, pisanej w Wilnie, byłem bardzo zadowolony, koniec natomiast wydaje mi się mniej udatnym. Pisanie w hotelu, na poczekaniu, nie usposabia dobrze ani do myślenia ani do stylizowania. Nie mogłem jednak pracy też na dalszą metę odkładać.

Potem napisałem kartkę do Anny, zjadłem obiad i pod wieczór wyjechałem z Szawel przez Radziwiliszki do Abel. Do Abel przyjechałem o godz. 1 w nocy. Zastałem tam konie bohdaniskie i wraz w dalszą drogę ruszyłem. Noc była jasna, księżycowa, mróz ostry — 12° R [illegible]. Śniegu bardzo mało, ale wskroś [illegible], złotoczysto. Jazda była raźna, miła. Sanie sunęły żwawo po lodzie. Szybko, prostą drogą przez jezioro przyjechaliśmy do Bohdaniszek. Kazimierz czekał mię już z ciepłą herbatką, mlekiem i jajami. Pokój mój na górze był ogrzany, łóżko ciepłe czekało na mnie.

23 grudnia / 5 stycznia. rok 1911/1912. piątek.

Jestem w Bohdaniszkach z Papą i Mar-
ryni dziećmi — Helcią i Stefusiem. Mama
została w Wilnie, bo zdrowie nie poz-
wala na jazdę, Marynka została przy
Mamie.
Przed obiadem chodziłem ze Stefusiem na
spacer. Wzięliśmy ze sobą saneczki małe,
na których zjeżdżaliśmy z góry przy
Tarni. Mróz, ślisko, śniegu mało.
Po obiedzie przez cały niemal dzień
siedziałem w moim pokoju na górze.
Czytałem, porządkowałem zbiory moje,
~~[illegible]~~ robiłem rozmaite zaległe
prace piśmienne, które tu ~~[illegible]~~ na
przyjazd mój czekały. Napaliłem u sie-
bie dobrze w piecach, wpuściłem mego
wiernego przyjaciela, starego psa Żucka,
do pokoju, — i tak mi w ciszy i
spokoju, bez troski i rwetesu dzień
minął.
Papa rad z naszego pobytu przez święta.
Wynudził się w samotności bohdanis-
kiej, stęsknił do rodziny. Cieszy się
ze mnie i z dzieci, jest serdeczny i
gościnny.

24 grudnia. / 6 stycznia. rok 1911 / 1912. sobota.

Dziś dzień wigilji. Ponieważ Mamy niema w domu, więc wigilji w Bołdaniszkach nie urządzaliśmy wcale. Zaproszeni byliśmy na wigilję do Kowaliszek do Komorowskich. Po spożyciu lekkiego śniadania południowego pojechaliśmy do Kowaliszek. Papa jechał w wielkich saniach parokonnych z Helcią, my ze Stefusiem w saneczkach jednokonnych. Mróz był tęgi, -13° Réaumura, z ostrym wiatrem, który podwajał zimno. To też zmarzliśmy ze Stefusiem porządnie w nogi.

W Kowaliszkach zasiadło do wigilji liczne towarzystwo. Na święta bowiem przyjechała do Kowaliszek siostra Zysia, pani Krystyna Monyczka, z całą rodziną. Do tradycyjnej więc wieczerzy z opłatkiem zasiadły 3 grona rodzinne, skojarzone w zespole krewieńskim. Były to grono bołdaniskie, grono kowaliskie i rodzina Monyczkich. A więc bołdaniscy: Papa, ja i dziatki Maryni, Helcia i Stefuś Römerowie; kowaliscy: Zyś i Cecylka Komorowscy z dziećmi Hektorem, Julkiem, Zitką i Felusią; rodzina Monyczkich: p. Witold i p. Krystyna Monyczcy z dziećmi: 15-letnim Mieciem, 13-letnim Felkiem, 11-letnią Jagą i małym 2-letnim bobaskiem; oprócz osób powyższych była jeszcze najstarsza siostra Zysia, panna Zofja Komorowska. Po wigilji zapalono choinkę * i raczono się łakociami i bakaljami.

25 grudnia. / 7 stycznia. rok 1911. / 1912. niedziela.

Spędziliśmy cały dzień w Kowaliszkach. Było dość nudno i monotonnie. Papa prosił mię, abym się nie bawił z dziećmi, bo nie lubi tego. To też mało się z niemi bawiłem, choć wyznam, że o wiele więcej by mię to ucieszyło, niż dość sztuczna rozmowa ze starszymi w salonie. Dzieci bowiem są szczere, wesołe, naturalne; bawią się z całego serca, są pomysłowe, dają swobodne wyjście swemu temperamentowi. Wszystkie obecne tu dzieci są bardzo miłe i wciąż gorąco mię o zabawę proszą; tęsknią do zabawy ze mną i [redacted] udział mój w grach uważają za kapitalny warunek wesołości. Istotnie też mało kto ze starszych tak się umie bawić z dziećmi, jak ja. Bawiłem się tylko trochę w „cenzurowanego" i w „sekretarza", resztę zaś czasu siedziałem ze starszymi. P. Witold Morzycki jest jakiś bez humoru tym razem, a szkoda, bo to człowiek zdolny i rozumny. Żyś Komorowski, jak zwykle, gadał bardzo dużo; nie można zaprzeczyć Żysiowi wymowności, ale jest on zawsze dość sztuczny i prowadzi rozmowę w ten sposób, że wpierw coś sobie wykoncypuje a potym dopiero naciąga dowodzenia do z góry założonego twierdzenia, posługując się zupełnie dowolną, acz zręcznie układaną, argumentacją. Jest to człowiek niewątpliwie zdolny, posiadający wiele zalet, ale bardzo skomplikowany. Jest zawsze tendencyjny, wychodzi nie z przekonania, lecz z jakichś punktów widzenia urojonych, w które sam wnet wierzy, albo też z jakichś założeń interesownych, i operuje dość płytką dyalektyką, obraca koła w worku do góry nogami.

132.

26 grudnia. / 8 stycznia.
rok 1911/1912.
poniedziałek.

Znów cały dzień spędzony w Kowaliszkach. Mróz od paru dni ostry. Wczoraj o północy było 22° mrozu. Dziś we dnie mróz lżejszy nieco, -18° a pod wieczór -16° Réaumura. Pomimo tego mrozu pojechaliśmy dziś rano z Papą do Rakiszek do kościoła. Jeżdżenie do kościoła z Papą jest pewnego rodzaju haraczem, który muszę opłacać na rzecz Papy dla uspokojenia skrupułów Jego i dla zadośćuczynienia Mu za inne zgryzoty, jakie ma z powodu rozbieżności moich ideałów z ideałami Jego. Nie rozmawiam nigdy z Papą o kwestjach religijnych, nie wyrażam wobec Niego nigdy mego zdania w sprawach wiary i kościoła. Gdyby Papa był inteligentniejszy, zrozumiałby dziś bardzo dobrze, znając kierunek prac moich i sympatje społeczne, że katolikiem wierzącym a tymbardziej praktykującym być nie mogę, bo zaprzeczałbym tej całej mojej ideologji, która w czynach moich się wyraża. Ale Papa tego zrozumieć nie może i uważa moją działalność społeczną i literacką, moje sympatje demokratyczne, mój stosunek do Litwinów, etc. za jakąś naleciałość, rodzaj obłędu czy jednostronnej manji, która się nie wiąże organicznie z całokształtem ideologji. Podejrzewa mnie jeno Papa o pewną obojętność w sprawach religji, ale nie przypuszcza, abym mógł świadomie odrzucać katolicyzm. W katolicyzmie streszcza się dla Papy alfa i omega wszelkiej prawdy i doskonałości, a wiara ta jest tak prosta, tak gołębio szczera i naiwna, że wyklucza wszelkie na tym gruncie rozumowanie. Wszystko inne Papa znieść może i choć się szczerze martwi, że w mojej pracy społecznej i literackiej nie idę utartymi śladami ideałów szlacheckich, które są ideałami Papy i całej rodziny naszej, jednak z tym, jako z krzyżem bożym, się godzi, ale nie zniósłby mojego wrogiego stosunku do katolicyzmu. Papa posądza mnie jeno o zobojętnienie do praktyk religijnych i dlatego zawsze, gdy ma możność, zabiera mnie ze sobą do kościoła i stara się mnie do tych praktyk pociągnąć. Sądzi, że przez obudzenie we mnie gorliwości religijnej zdołają się wyplenić te naleciałości demokratyczne, które uważa za wytwór Paryża i za skutek wpływów jakichś inspiratorów postronnych. Nie rozumie Papa, że te „naleciałości" demokratyczne, te „nowinki paryskie" nie są jakiemiś „naleciałościami", niezharmonizowanemi z całokształtem wierzeń moich, ale są właśnie najistotniejszym wyrazem tego całokształtu ideowego, który całą moją psychikę ogarnia. Biedny Papa! Nie chcę Mu tego bolesnego zawodu przysparzać, bo nic, prócz zgryzoty, to nie da. Papa mnie zabiera do kościoła z [illegible] w sercu, z [illegible]. Poddaję się temu milcząc dla oszczędzenia kochanemu Ojcu zbędnej ciężkiej zgryzoty, choć mam zupełną świadomość tego, jak daleko jest to [illegible] Papy. Jest to sytuacja bez wyjścia, rozdwojenie niedorzeczne i zasadnicze, którego jednak ujawniać, przez względ na Papę, nie chcę.

27 grudnia.
9 stycznia.
rok 1911/1912.
wtorek.

Po herbacie rannej wyjechaliśmy z Papą z Kowaliszek. Na usilne nalegania całej gromadki dziecinnej Papa zgodził się nie zabierać do Bohdanowiszek Heli i Stefusia, którym pozwolił zostać w Kowaliszkach do nowego roku. Mróz ubył; w południe, gdyśmy z Papą jechali, było −11° Réaumura. W Bohdanowiszkach w domu było zimno, jak w psiarni. Przez te kilka dni nie palono wcale w piecach, a napalono dopiero dziś rano. W Papy pokoju było 8° ciepła, w jadalnym i w innych pokojach tylko po 6°. U mnie na górze chyba jeszcze mniej. To też przedewszystkiem zająłem się porządnym wypaleniem pieca mego, aby móc pracować.

Przez cały ten czas, co jestem na wsi, więcej myślę o Annie. Tęsknię do niej i ciągle wołam ją w myślach. Co noc też śnię o niej. Wogóle miewam jakieś sny dziwaczne i ciężkie, które sprawiają na mnie przykre wrażenie. Sny te są jakoś dziwnie realistyczne, długie, pozostające w pamięci. W Kowaliszkach o wiele intensywniej i realniej żyłem w nocy, w widziadłach sennych, niż we dnie, śród bezbarwnych i naogół dość nudnych posiedzeń towarzystwa w salonie. Tęskno mi do mojej Anusi drogiej, kochanej i kochającej, która mi błyszczy w sercu, jak światełko pogodne, jak słoneczko w ciemnym życiu. Pokochałem ją serdecznie przez tę jesień i dziś już samotność bez niej jest mi nieznośna nawet na czas krótki rozstania. Ileż ja w niej szczęścia zdobyłem, ile wzruszeń szlachetnych, ile ukojenia słodkiego w tej duszy pięknej, bujnej, jak natura wiosenna! To słodkie szczęście we dwoje, ta nasza miłość oderwana od świata i w nas dwojgu skupiona, świat cały w nas i dla nas wzajemnie zamykająca, — to przepiękna baśń liryczna, którą sobie snujemy. Tęskno mi do Anusi mojej, do gwiazdki mojej, której promienie mię przenikają i która wypełnia mię sobą. Z nikim o niej rozmawiać nie mogę, bo miłość ta tajemnica jest naszą. Wyjawianie tej tajemnicy mogłoby jeno stosunkowi naszemu zaszkodzić, a zresztą nie czuję żadnej potrzeby i chęci do zwierzeń. Przeciwnie — stosunek nasz jakoś zakrywa na myśli, że jest on li tylko w naszej świadomości, jak w studni głębokiej w sercach naszych zamknięty. Dziś Anusia występuje w „Bucie" na scenie Łotewskiej. Powodzenia li życzę, słoneczko.

28 grudnia.
10 stycznia.
rok 1911
1912.
Środa.

O południu spacerowałem trochę po dworze, obszedłem wszystkie zabudowania dworskie w Bohdaniszkach, zajrzałem do koni stajennych, roboczych, do krów, owiec, świń, do ptactwa i t. d. Poza tym dzień cały spędziłem prawie wyłącznie w moim pokoju na górze. Na dół schodziłem tylko na obiad i na herbatę wieczorem. Po herbacie gawędziłem dość długo z lokajem Kazimierzem. Opowiadałem mu o Mamyłach, o projektowanym dziale, o całym interesie spadkowym Mamy, Kazimierz zaś opowiadał mi o swoich potrzebach i troskach gospodarskich.

Kazimierz faktycznie jest w Bohdaniszkach o wiele więcej niż lokajem. Jest on już domownikiem, bo przez swą przeszło 30-letnią służbę zespolił się całkowicie z domem naszym i stał się integralną cząstką środowiska, stanowiącego dom bohdaniski. Jest też powiernikiem Papy i, choć się Papa do tego nie przyznaje, ma duży wpływ u Papy, bo zna jego usposobienie i upodobania i umie niemi odpowiednio operować.

Napisałem liścik do Anny. Ponieważ wszakże mogę pisać do niej tylko po niemiecku, a językiem tym władam słabo, więc to mię wielce krępuje w korespondencji. Brak mi słów, nie jestem w stanie wyrazić tego, co czuję i cobym chciał powiedzieć. W rozmowie ustnej potrafimy sobie z Anną wszystko wypowiedzieć, ale w piśmie o wiele trudniej. Jest to wielki i dotkliwy brak w naszym stosunku. Gdy się z nią na czas jakiś, jak obecnie, rozstaję, jestem od niej najzupełniej oderwany.

29 grudnia / 11 stycznia. rok 1911/1912. czwartek.

Pojechaliśmy dziś z Papą do sąsiedztwa, do Łaczan pp. Rosenów. W Łaczanach zastaliśmy następujące osoby: ze stałych mieszkańców był sam właściciel Łaczan Piotr Rosen, matka jego, stara przeszło 80-letnia p. Rosenowa i stały rezydent łaczański, ~~[illegible]~~ krewny Rosenów, p. Jan Chlewiński rodem z powiatu wiłkomierskiego, przezwany „Jancikiem"; oprócz tych była siostra Piotrusia, p. Anna Antoniowa Pisaniowa z dziećmi Tadziem i Terenią, i brat starej p. Rosenowej i zarazem teść p. Anny Pisaniowej, — p. Mikołaj Pisani; ci ostatni przyjechali z Wilna do Łaczan na czas świąt. P. Rosenowa, która jest od lat 8 czy 10 jest bardzo chora i robiąca wrażenie osoby bliskiej śmierci, nie tylko że przeżyła męża, starego p. Justyna, zmarłego w r. 1908, który pomimo bardzo podeszłego wieku wydawał się o wiele silniejszy i żywotniejszy od niej, ale trzyma się wcale dobrze i widocznie pożyje jeszcze: może chodzić o własnych siłach i jakoś z biegiem czasu raczej się wzmacnia, niż podupada.

W Łaczanach byliśmy na obiedzie i zabawiliśmy do zmroku. Papa był w dobrym humorze, jak zawsze, gdy ~~się [illegible]~~ jest w towarzystwie panienek, lubiących dwuznaczne dowcipy, prowadzić rozmowę ~~[illegible]~~ z grubsza zaprawną erotyzmem. ~~[illegible]~~ Cnotliwe panienki w wieku od 35-50 lat lubują się w tematach lubieżnych do rozmowy; cnota nie pozwala im na odpowiednie czyny, ale spragniona żądza tym goręcej pobudza do gadania. Papa im w tym dzielnie sekunduje. Ja osobiście mam zawsze niechęć do takich rozmów. Wolę zawsze czyn, ~~[illegible]~~ bo ten jest przynajmniej szczery i żywy. Ale taka rozpusta słowna — to albo niedołęstwo, albo żądza, przyoblekająca lubieżne maski językowe z pozorów cnoty. Jak dziś z p. Anną Pisaniową, tak ja z [illegible] ~~[illegible]~~ p. [illegible] Papa wciąż [illegible] też miał lubieżną gawędzić. Gdyby Mama umarła, nie zdziwiłbym się, czy Papa nie zechciałby [illegible] kochanki. Choćby już nie [illegible] mógł, to przecież czułby młode ciało przy sobie. Lubieżność nie wygasła u Papy.

30 grudnia / 12 stycznia. rok 1911/1912. piątek.

Spędziłem cały dzień w domu. Zaraz po rannym śniadaniu przyszli do mnie dla porady prawnej włościanie z Wiżajń. Zaspokojenie ich interesu zajęło mi czas prawie że do zmroku. O godz. 3 wyszedłem się trochę przejść; wziąłem ze sobą pół bochenka chleba, który nakarmiłem koniom, krowom i owcom. Potym pracowałem do wieczora ~~[illegible]~~ u siebie na górze.

Przed samą kolacją przyjechali w gościnę młodzi Römerowie z Antonoszy, Maciej i Bronisław. Zabawili do godz. 9½. Mam do nich, ~~[illegible]~~ zwłaszcza do Bronisława, lekki żal za ich stosunek do mnie w roku zeszłym, bezpośrednio po mojej katastrofie małżeńskiej. Że w czasie mego zatargu z Eugieniuszem, wynikłego z likwidacji moich stosunków z Reginą w r. 1910, stanęli oni po stronie Eugieniusza, temu się nie dziwię. Eugieniusz jest ~~[illegible]~~ dla nich bliższy, jest ich opiekunem, to też nic naturalniejszego nadto, że oni, dopiero żółtodzioby, niemogący w tych sprawach mieć sądu samodzielnego, musieli w sporze rodzinnym stanąć na stanowisku Eugieniusza. Ale właśnie dlatego, że są tak młodzi i że w ciężkich rozterkach rodzinnych nie mogą decydować samodzielnie, powinni byli zachować się biernie, stojąc po stronie Eugieniusza ze względów poprostu formalnych, nie przesądzając samodzielnie istoty rzeczy. Maciej też tak się zachował, gdy tymczasem Bronisław pozwolił sobie być nieprzychylnym względem Mamy i Marynii i ostentacyjnie dawał do zrozumienia, że z domem [illegible] ze względu na mnie stosunków [illegible] mieć nie chce. Teraz to wszystko już minęło i stosunki wróciły do normy. Ale żal do Bronisława zachowałem. Obaj chłopcy są piękni i mili. Są już trochę zanadto wymuskani, zanadto [illegible] [illegible]. Nie [illegible] [illegible] [illegible]

Dzień ten — ostatni dzień sta- 31 grudnia / 13 stycznia
rego roku — minął spokojnie roku 1911/1912.
bez wrażeń osobliwych. Spędzi- sobota.
łem go pracowicie, przy biurku
w moim pokoju na górze, za-
jęty spisywaniem moich ści-
ślejszych wspomnień oso-
bistych. Od południa tylko wy-
chodziłem na spacer, resztę
dnia spędziłem w domu. Chcia-
łem gdzieś sobie pojechać spa-
cerkiem, ale mróz był ostry,
dochodzący do -15° Réaumura,
to też projektu tego zaniechałem.

Zwyczaju spotykania nowego
roku u nas niema. Papa
zwyczaju tego nie lubi i nie uznaje,
uważa to za innowację współczesną,
której hołdować nie myśli. U sta-
rych bowiem pradziadów Michałostwa Röm-
merów, u których się Papa wychował, ani póź-
niej u dziada Edwarda Römera z Antonosza
spotykania nowego roku nie było.
Oto rok skończony. Należał on [redacted] bądź co bądź do
lepszych lat w mojem życiu, przyniósł mi klejnot piękne-
go związku z Anną, za który go błogosławię.

1 (14) stycznia. rok 1912. niedziela.

Znów cały dzień spędziłem w domu. Papa wyjeżdżał do kościoła do Krewna, ale tym razem mię ze sobą nie zabrał, bo jechał w małych saneczkach jednym koniem. Duże parokonne sanki z furmanem wysłał Papa do Kowaliszek po Helcię i Stefusia, którzy dziś już do Bohdaniszek wrócić mają. Przyjechały dzieci z Kowaliszek o zmroku. Opowiadały, że w Kowaliszkach się bawiły świetnie i ze smutkiem wyjeżdżały. W Bohdaniszkach nudno im teraz. Są osamotnione, jak w klatce zamknięte. Papa nie pozwala im hałasować, wogóle ciąży im swym autorytetem.

Przez cały prawie dzień bez wytchnienia pracowałem. Siedziałem dalej pisaniem przędzy mych wspomnień. Rano do obiadu praca ta mi szła ciężko, jak z kamieniama, za to wieczorem płynie nierównanie. Były nie tęsknota do Anny i inne potrzeby, wyrywające mię do Wilna, porzuciłbym pewno chętnie jakiś miesiąc tej pracy.

2 (15) stycznia. rok 1912. poniedziałek.

Cały znów dzień spędziłem przy pracy, nie wychodząc nawet na spacer. Na długo by mi jeszcze tej pracy pamiętnikarskiej wystarczyło, a zasmakowałem w niej nielada. Trzeba już jednak będzie za parę dni do Wilna wracać.

Z dziećmi też trochę się zabawiałem. Na życzenie Stefusia wygrzebałem z mego archiwum osobistego stare moje zeszyty szkolne z pierwszych moich lat nauki w gimnazjum wileńskim (r. 1891). Wieczorem znów dałem Helci mój dziennik stary z r. 1891, z którego ona odczytywała głośno kawałki. Bawiłem się z dziećmi nieco w odgadywanie liter w słowach.

Tak przy miłej pracy i zabawie dzień mi prędko zeszedł. Płyną dnie, jak fale.

3 (16) stycznia rok 1912. wtorek.

Rano pojechaliśmy z Papą do Abel w interesie do naczelnika ziemskiego. Interes był krótki i dał się załatwić w kilku minutach. Koło godz. 12½ byliśmy już z powrotem w Bołdo-ruiszkach.

Po obiedzie miałem interesantów, włościan z Pietrowem, którzy przyjechali do mnie po poradę prawną i sporo czasu mi zabrali.

Po załatwieniu tego interesu już chciałem do mojej pracy pamiętnikarskiej zasiąść, z którą się śpieszyć muszę, gdy wtem przyjechał xiądz proboszcz z Krewna, x. Kurtejko. Papa skorzystał z mojej obecności i ulotnił się, zostawiając mnie samego z xiędzem.

Przez dobre 2 godziny musiałem bawić xiędza rozmową. Xiądz — miły i zacny staruszek, człowiek dobry i prawy, człowiek złotego serca, ale i nudny z wrażenia. Wynudziłem się niepospolicie.

Dopiero po kolacji, gdy xiądz wyjechał, mogłem zasiąść do mej pracy, ale to już była tylko kropla w morzu dnia straconego.

4 (17) stycznia
rok 1912.
Środa.

Miałem znowu w ciągu dnia kilku włościan interesantów, którzy mi trochę czasu zabrali. Resztę dnia, prawie bez wytchnienia, zajęty byłem pisaniem pamiętników.

Tak mi upłynął ten dzień, pracowicie, jak wszystkie te dni, w Bohdaniszkach spędzone.

Z wielu przyczyn muszę się spieszyć do Wilna. Jadę chętnie nawet, bo i sprawy sądowe mię tam wołają.

Ale skądinąd żałuję, że nie mogę teraz mego pobytu w Bohdaniszkach przedłużyć. Wdrożyłem się w tę pracę pamiętnikarską, a czas mi tu płynie spokojnie, zdrowo. Nerwy wypoczywają, troski i niepokoje cichną.

O godz. 10 wieczorem wyjechałem do Abel na pociąg nocny do Wilna.

W wagonie spotkałem znajomego towarzysza podróży, młodego p. Tura, z którym razem do Wilna dojechałem. Przez większą wszakże część drogi spaliśmy.

18 stycznia rok 1912. czwartek.

18 stycznia przyjechałem do Wilna o godz. 9 rano. Postanowi=
łem nie jechać dziś wcale do mego mieszkania,
ale ten pierwszy dzień spędzić całkowicie z Anną
we dwoje. Rzeczy więc złożyłem na dworcu na
przechowanie, sam zaś poszedłem do miasta. Za=
szedłem do restauracji w hotelu Niszkowskiego,
napisałem listek do Anny i wysłałem przez
posłańca. Jeszcze przed świętami wspomina=
łem Annie, że wrócę do Wilna zapewne 5go stycznia.
Anna mi już wtedy zapowiedziała, że tego dnia
nie pójdzie do Łapkowskiej na robotę i będzie
mię czekała, aby mieć całiutki dzień wolny dla
spędzenia ze mną. Po otrzymaniu mego listu
Anna zaraz przyszła. Wyglądała zmęczona, bla=
da, bo wczorajszy wieczór była z koleżankami od
Łapkowskiej na weselu jednej z koleżanek, Ży=
bówki, gdzie do godz. 5 rano zabawiła. Spotka=
nie nasze z Anną nie było udatne. Po 2 ty=
godniach niewidzenia się czułem się wobec
Anny naraz trochę skrępowany. Brakło mi
tej swobody, tego wrażenia zażyłości, które są w
naszym stosunku najściślejszym ogniwem
związku. A że byłem jeszcze zmęczony, więc
~~[illegible]~~ przez to jeszcze mniej giętki, jeszcze
mniej ekspansywny. Anna natomiast gar=
nęła się do mnie gorąco, z tęsknotą serdeczną,
wdzięczna za mój list, z Poddaniszek pisany
a taki pełny czułości. Zwłaszcza wzruszona
była Anna zakończeniem tego listu, w którym
przed podpisem nazwałem siebie tak: „Twój mąż
na całe życie". Mój chłód obecny czy też pewna
sztywność moja rozczarowały trochę Annę i oziębi=
ły jej gorący impet serdeczności. Przez dłuższą chwilę trwał
nastrój dość sztywny. Dopiero gdy po obiedzie poszliśmy z
Anną do hotelu Versailles, serdeczność i poufałość znowu wró=
ciły. Uczucia moje się zrównoważyły, humor się polepszył, opowia=
dałem dużo Annie, ściskałem ją, przytulałem. U Anny wrażenie
pozostała chmurka przykrego wrażenia z pierwszej chwili spotkania.

6 (19) stycznia rok 1912. piątek.

Noc całą spędziłem z Anną i pół dnia aż do zmroku niemal. Stosunek nasz się wypogodził zupełnie. Serdeczność wróciła dawna, obustronnie tkliwa, pełna ufności i nietylko miłości, ale i przyjaźni. Była chwila z wieczora, żem wątpił w możliwość, aby mię Anna kochała. Zapewne, że mi nie kłamie, nie udaje, ma dla mnie uczucie serdeczne, nie kocha nikogo innego; ale czy te uczucie jest miłością? Wątpliwości mię ogarnęły; gdym o nich przebąknął Annie, w lot się domyśliła takowych i taki wyraz cierpienia i smutku się na jej twarzy zarysował, że aż mi jej szczerze żal było. Anna nie umie się skarżyć, ma wstręt do zachwalania siebie, do licytowania swych uczuć, jak się zachwala i licytuje towar w handlu. Jest to natura szlachetna, pełna dumy i prostoty. Gdy spostrzega u mnie zwątpienie, zamyka się w sobie i cierpi. Widząc jej boleść i przywodząc sobie na pamięć wszystkie tragiczne chwile rozterek w stosunku naszym, na tle mojej niewiary powstałe, poczułem się głęboko upokorzony tą moją skłonnością do zwątpień, która jej zatruwa spokój i czystość związku naszego. Zato dziś rano harmonja wróciła zupełna. Znów nadpłynie stosunek ten w tych samych ramach, w jakich płynął w półroczu poprzednim. Przyjdzie wiosna, przyjdą rozrywki wycieczek wspólnych, nowe urozmaicenia wrażeń zewnętrznych z zachowaniem tych samych wewnętrznych pięknych wzruszeń uczucia. Anna mi zapowiada, że, pragnąc stosunek nasz oczyścić od mętów namiętności niezdrowych i zamknąć go w łonie wzruszeń prostych i czystych, nie wykluczających pracia pożycia małżeńskiego, postanowiła nigdy nie iść ze mną ani do [illegible] ani do innych źródeł podniet, odrzucając wszelkie orgje, pijaństwo, szał instynktów płciowych. Miłość nasza powinna wystarczyć sama sobie i ona sama z własnego łona przez piękne źródło uciech i szczęścia, bez podniet narkotyków zewnętrznych.

O zmroku pojechałem na kolej, wziąłem rzeczy moje i przyjechałem do [illegible] do mieszkania mego. Dzieci Maryńki przyjechały już dziś rano z Bohdaniszek. W domu powiedziałem, że zajeżdżałem po drodze z Bohdaniszek do Święcian i tam dzień wczorajszy spędziłem. Mamę zastałem w tym samym stanie w jakim była, gdym na święta wyjeżdżał. Zdrowie Mamy nie lepsze. Bronchit [illegible] odchodzi mało, działanie serca słabe. Niepokój [illegible] zawsze ten sam.

7 (20) stycznia rok 1912. sobota.

Przez czas mojej nieobecności, przed samym nowym rokiem, wyszedł № 1 nowego tygodnika „Przeglądu Wileńskiego”. Numer ten dopiero tu w Wilnie przeczytałem, prosiłem bowiem Ludwika Abramowicza, aby mi go na wieś nie przysyłał, bo sam widok pisma postępowego, w którym ja piszę, drażniłby Papę i zaogniał niepotrzebnie nasz stosunek. Z № 1 nie mogę jeszcze nic stanowczego o kierunku, nadawanym przez Abramowicza pismu, orzec. Są niewątpliwie pewne „ale”, są małe tendencyjki, które mnie osobiście rażą i niezupełnie pasują do mojego pojmowania zadań demokratycznych w kraju. Bądź co bądź osoba redaktora dużą rolę odegrywa w sprawie kierunku pisma i żadne komitety redakcyjne nie są w stanie zniwelować osobistego piętna redaktora w piśmie. Choć „Przegląd” ma być w zasadzie organem naszego komitetu redakcyjnego, który ma decydować o kierunku pisma, jednak faktycznie nasz udział ma tylko znaczenie korektywy do tendencji, reprezentowanych przez Ludwika Abramowicza. A ponieważ przekonania Ludwika mocno odbiegają od moich, więc nie jestem wcale pewny, czy pismo pod jego redakcją, nawet przy dozorze nadrzędnym komitetu naszego, zdoła być tym, o co nam a przynajmniej mnie chodziło, — to znaczy być spadkobiercą wskrzesić ideowych nieboszczki „Gazety Wileńskiej”, i to tym bardziej, że w samym łonie komitetu redakcyjnego są ludzie, a śród nich w pierwszym rzędzie energiczny i wpływowy Nagrodzki, którzy są bliżsi do kierunku Ludwika, niż do mego. Może ja będę z czasem żałował, żem do pisma tego rękę przyłożył, i może zmuszony będę z komitetu się wycofać. Przyszłość to pokaże. Ale tymczasem trzeba stać na gruncie faktów i robić w ramach możności, wpływając na polepszenie kierunku. Przechodzić li tylko do krytyki i krytykującej opozycji — jest to rzecz wygodna, ale pachnąca [illegible]stwem. Gdzie nakłada się zawsze odpowiedzialność i brzemię takowe przyjąć na barki należy. Jeżeli rzecz nie jest doskonała, byle jednak w ogólnych rysach dobra, to trzeba się z nią zespolić i pracować dla jej udoskonalenia. Taka też będzie moja droga. Zdolności techniczno-redaktorskich Ludwikowi Abramowiczowi odmówić nie podobna. Numer dobrze ułożony, dobór treści ciekawy. To, co mnie najwięcej razi i jest zamysłem przykrym w piśmie, to pewien odcień nacjonalizmu. Przy zadaniach społecznych staje się zawsze zadanie potęgowania polskości śród ludu wiejskiego, a ponieważ właściwie ludu polskiego w kraju prawie nie ma, a ten, co niby jest, jest właściwie wątpliwy i sporny, bo równie dobrze może być uważany za litewski czy za białoruski, więc akcja, skierowana do wzmożenia polszczyzny tego ludu może być śliską i stworzyć nam na tym walkę nacjonalistyczną polsko-litewsko-białoruską. To jest niebezpieczeństwo realne i tego się boję. Stwierdzałem już, że śród białorusinów i litwinów zwró-

[illegible]

8 (21) stycznia. rok 1912. Niedziela.

Otrzymałem dziś wreszcie pierwsze odbitki mego artykułu o Litwie pruskiej, pisanego akurat przed rokiem. Artykuł ten, opracowany na podstawie obfitego materjału, zebranego przez literata i patrjotę litewskiego z Prus, Vernažisa, który mi go dał do zużytkowania, przeleżał u mnie długo w rękopisie i wreszcie latem wysłany został do Krakowa do prof. Marjana Zdziechowskiego dla umieszczenia go w „Świecie Słowiańskim". Prof. Zdziechowski oddał rękopis mój p. Konecznemu, redaktorowi „Świata Słowiańskiego", o czym mię zawiadomił, dziękując za przysłanie i komunikując, że Koneczny jest bardzo z pracy tej zadowolony i zaaprobował ją do druku a o szczegółach ma sam do mnie napisać. Nie mogąc się doczekać tego listu, pod jesień napisałem raz do Konecznego, a w listopadzie po raz drugi już wprost do redakcji „Świata Sł.". Prosiłem, aby zamiast honorarjum ~~[illegible]~~ przysłano mi osobne zbroszurowane odbitki z artykułu, które rozprzedam na mój rachunek własny. Odpowiedzi nie miałem przez długi czas żadnej. Dopiero w końcu listopada z listu otrzymanego z Budziszyna (w Łużycach Saskich) od miejscowego p. Wjerby, serbo-łużyckiego, z którym się w r. 1910 poznałem i z którym od czasu do czasu koresponduję, dowiedziałem się, że artykuł mój o Litwie pruskiej był już w „Świecie Słowiańskim" opublikowany. Ale o odbitkach w dalszym ciągu nic nie wiedziałem, bo z redakcji żadnej wieści nie otrzymałem. I dopiero w drugiej połowie grudnia otrzymałem list od p. Konecznego z zawiadomieniem, że odbitki w ilości 150 egzemplarzy są gotowe i że pierwsze pięć egzemplarzy zostały wysłane pocztą. Dziś je otrzymałem. Resztę transportem sprowadzę sobie do Wilna przez księgarnię litewską p. Ślapelisa. Odbitki są ładnie wykonane, na dobrym papierze i dobrymi czcionkami, jak wszelkie druki krakowskie. Tytuł broszury brzmi: „Litwini w Prusiech Książęcych" (tytuł ten został nadany przez redakcję „Świata Słowiańskiego"). Broszura zawiera 52 strony druku. Cieszę się z niej bardzo. Zaraz zaniosłem po egzemplarzu recenzyjnym do litewskich redakcji „Viltis" i „Lietuvos Žinios".

Cały wieczór dzisiejszy spędziłem z Anną. O godz. 6 poszedłem z nią do kinematografu „Eden" a stamtąd na resztę wieczora do niej. Kupiliśmy sobie z Anną wędliny i sprawiliśmy improwizowaną kolacyjkę przy herbatce w jej pokoiku po studencku. Pokazywałem Annie mój album z fotografjami, które przywiozłem z Bohdaniszek, potym gawędziliśmy serdecznie śród pocałunków i pieszczot do północy. Nigdy nam nie brakuje tematów do rozmowy i opowiadań, jak nie brakuje chęci wzajem do pieszczot. Z Anną czuję się tak, jakbym był z nią razem od lat dziesiątków. Sprawowaliśmy się z nią przez czas dłuższy półgrzecznie i dziś jesteśmy sobie tak bliscy, tak swojscy, jak prawdziwe małżeństwo. Śliczna jest to pasma pożycia, śliczna kochanka.

9 (22) stycznia rok 1912. poniedziałek.

Zaniosłem moją broszurę „Litwini w Prusiech Książęcych" do księgarza litewskiego, dr. Ślapelisa, aby mu ją pokazać, porozumieć się co do sposobu sprowadzenia całego nakładu z zagranicy i ewentualnie się umówić o przyjęciu jej przez niego na skład główny dla sprzedaży. Zdaje się, że cenzura przeszkód robić nie będzie, bo sam temat i treść jest zupełnie ze stanowiska rządowo-rosyjskiego niewinna. Ślapelis bierze z chęcią broszurę na skład główny i powiada, że ją wyprzeda prędko i z łatwością. Po naradzie ze Ślapelisem wyznaczyliśmy cenę dla sprzedaży po kop. 25 za egzemplarz. Jest to cena wysoka, bo broszura ma tylko 52 strony druku, ale Ślapelis zapewnia, że po tej cenie sprzeda z łatwością. Komisowego bierze 40%. Zamierzam cały nakład (150 egzemplarzy) sprowadzić do Wilna i tu wyprzedać. Na Kraków nic nie zostawię, bo tam temat ten jest mniej aktualny i interesujący, niż u nas w kraju, a zresztą tam ci, którzy się tym interesują, znają pracę tę ze „Świata Słowiańskiego". Broszura rozejdzie się zapewne głównie śród Litwinów.

Całe popołudnie zajęty byłem załatwianiem spraw prawniczych, sprawą spadkową Maryli O'Rourke'owej, sprawą włościanina Liczyka i sprawą mojego klienta p. Siwczyca.

Wieczorem zasiadłem do artykułu dla „Przeglądu Wileńskiego". Chciałem pisać nie artykuł oryginalny, ale przegląd prasy litewskiej. Ponieważ jednak nic wybitnego naraz w ostatnich numerach pism litewskich, które posiadam, nie znalazłem, więc postanowiłem pracę tę inaczej ułożyć, mianowicie w postaci retrospektywnego zbilansowania faktów i zjawisk życia litewskiego w roku 1911.

10 (23) stycznia. rok 1912. wtorek.

Większą część dnia zajęty byłem pisaniem ~~[illegible]~~ przeglądu ruchu litewskiego za ~~[illegible]~~ ubiegły rok 1911 do „Przeglądu Wileńskiego". Ogólny tytuł dla szkicu tego dałem: „Z życia litewskiego". Krótki rzut oka, streszczający główne fakty i zjawiska w życiu kulturalnym i społecznym litwinów w roku ubiegłym, rozrósł się w toku pisania do poważniejszego i dłuższego szkicu, wynoszącego przeszło 20 pasków rękopisu. Wynotowałem sobie z pamięci szereg najcharakterystyczniejszych faktów i zjawisk z roku ubiegłego, ułożyłem z nich plan artykułu i podług planu tego pisałem. A więc na czele umieściłem wstępik, a potym jedną po drugiej szereg notatek następujących: „Prasa litewska w r. 1911", „Litewskie Towarzystwo Artystyczne", „Projekt wydawnictwa Encyklopedji litewskiej", „Dom Litewski w Wilnie", „Wystawa w Maryampolu", „Konsolidowanie się burżuazji litewskiej", „Wybory do Dumy u litwinów", wreszcie małe zakończenie. Z każdej takiej notatki stał się osobny artykulik, a wszystko razem tworzy całość. Narazie do południa praca szła ciężko jak z kamienia, ale gdy potym zasiadłem znów do niej po obiedzie, szło już bardzo lekko i raźnie. Ale już na nic innego czasu nie miałem, choć roboty pilnej a zaległej mam dużo. Do wieczora napisałem już większą część i jeno koniec na jutro odłożyłem. Wieczorem przyszedł do mnie Ludwik Abramowicz, któremu większą część rękopisu wręczyłem. Ponieważ rzecz ta składa się z szeregu notatek drobnych, więc z łatwością da się rozłożyć na 2-3 numerów bez obciążania czytelnika dalszemi ciągami. O „Przeglądzie Wileńskim" cała prasa pisze dużo, w ogóle ludzie wielkie zainteresowanie ukazaniem się polskiego pisma demokratycznego w Wilnie. Ogół nie tylko polski, ale i rosyjski, litewski i t. d. bacznie śledzi zarysowujące się kształty myśli demokratycznej polskiej w kraju. Otóż dobrze sprawę poprowadzić. Jest to chwila wielkiego znaczenia dla ~~[illegible]~~ przyszłego kierunku demokracji, a więc należy rzecz prowadzić z wielką uwagą i poczuciem odpowiedzialności. Wieczór od godz. 9-12 spędziłem u Anny przy ul. Monastyrskiej. Panowała między nami zgoda i dobre porozumienie, ale nastrój przez cały wieczór był nudny.

11 (24) stycznia rok 1912. Środa.

Do obiadu załatwiałem interesa w Sądzie. Po obiedzie wykończyłem artykuł „Z życia litewskiego" do „Przeglądu Wileńskiego", napisałem kilka listów w interesach, przyjąłem wizytę Ignasia Bohdanowicza z żoną, którzy się pobrali wczoraj, i ani się obejrzałem, jak przyszedł wieczór. Miałem do rozstrzygnięcia kwestję, jak wieczór ten spędzić. Właściwie miałem go wolny. Wczoraj mnie Anna na wieczór dzisiejszy prosiła, ale skądinąd miałem ochotę pójść do teatru, na pierwszy występ gościnny znakomitej artystki Przybyłko-Potockiej, która miała wystąpić w roli tytułowej w „Edukacji Bronki" Krzywoszewskiego. Ostatecznie chęć pójścia do teatru zwyciężyła, tembardziej że już oddawna w teatrze polskim nie byłem. Poszedłem więc, ale żałowałem tego później. Gra Potockiej była świetna, pełna dramatyczności i głębokiego wczucia się w duszę nieszczęsnej Bronki w okolicznościach, przez autora stworzonych. Ale sztuka sama była ciężka, męcząca. Dramat niezwykle bolesny i nawet przejaskrawiony. W dramacie problemat jest piękny, w założeniu bardzo prawdziwy, ale w ustylizowaniu scenicznym trochę jednostronnie przesadzony. Nie jestem wogóle amatorem widowisk, a z przedstawień teatralnych najmniej lubię dramat. Przyglądania się problematom dramatycznym uważam nawet za rodzaj chorobliwego zboczenia, o ile ono się staje lubowaniem się. To też podczas przedstawienia, pomimo świetnej i godnej widzenia gry Potockiej, czułem przeciwny lubowaniu się problematem dramatu; (natomiast sama gra mię interesuje i stanowi właściwy przedmiot uwagi mojej), tęskniłem do Anny, do naszej pogawędki serdecznej w jej pokoiku, do tego stosunku szczerego i prostego, który się wyraża w przedziwnej subtelności, a zarazem głębokiego uczucia miłości. Dlaczego wybrałem ten teatr męczący, [illegible] bolesny, zamiast słodkiego wieczoru Anny. Wracając z teatru, spotkałem Ludwika Abramowicza, z którym zaszliśmy na kolację i rozmowę do restauracji Myśliwskiej.

12 (25) stycznia rok 1912. czwartek.

Czułem się niezdrów. Nie wiem, co mi jest. Jakiś ból w okolicy kości pacierzowej niżej pasa. Już parokrotnie to mi się powtarzało w ciągu kilku tygodni ostatnich. Zwykle ból taki mam rano, we śnie, a potem w ciągu dnia mija. Dziś wszakże ból ten jest mocniejszy. Nad ranem w łóżku ból ten był tak mocny, że mi spać nie dawał. Potem trwał przez dzień cały. Zbyt dokuczliwym ból ten nie jest, ale niepokoi mię trochę. Nie mogę się zorientować, czy jest on w mięśniach dokoła, czy w samej kości, czy gdzieś głębiej wewnątrz. Ostatnie byłoby najgorsze, bo wskazywałoby na cierpienie nerek (—) rzecz bardzo ciężka i niebezpieczna. Może to być wszakże reumatyzm albo tak zwane lumbago. Marynia przypuszcza, że to pochodzi u mnie z wyczerpania i nadmiernego używania płciowego, ale nie sądzę, aby tak było, bo pod tym względem w ostatnich czasach, od pół roku, nie nadużywam i [redacted] jestem li tylko w pożyciu małżeńskim z Anną, a żadnych oznak wyczerpania i możliwości impotencji nie czuję; jestem pod tym względem pełny sił żywotnych. Że się bardziej o nerki boję, to też postanowiłem zrobić analizę uryny i dziś już urynę zbieram. Choroba ta nie przeszkodziła mi do spędzenia dnia na zajęciach zwykłych. Rano spotkałem się w cukierni Jasięwicza z Anną. Była milutka, serdeczna, jak zwykle, a świeżość ranna dodawała uroku jej twarzyczce i jej pięknym, szaro-szafirowym oczom. To też tak [redacted] potem przez dzień cały do mojej Anny tęskniłem, że wieczorem znów [redacted] się do niej wybrałem na chwilkę gawędki serdecznej, choć wizyty tej w programie dnia dzisiejszego nie było.

Przez dzień cały załatwiałem interesa, zaniosłem do Ludwika Abramowicza koniec mego artykułu „Z życia litewskiego", [redacted] przetłumaczyłem do „Przeglądu" artykuł Własowa o emigracji do Ameryki, pisany ~~[illegible]~~ w gwarze rosyjsko-białoruskiej, następnie ~~[illegible]~~ przetłumaczyłem z polskiego na rosyjski Ustawę towarzystwa drobnego przemysłu, uzupełniając ją wstawkami odpowiednimi do potrzeb Rosyjskich. Ustawa ta ma służyć do powstania tu w Wilnie takiegoż towarzystwa popierania drobnego przemysłu i sztuki ludowej; nad założeniem takiego towarzystwa krząta się Własow, redaktor „Naszej Niwy" i zdaje się, że to do skutku dojdzie. Chce on w tym roku jeszcze urządzić staraniem tego towarzystwa wystawę przemysłu i sztuki, [illegible] więcej takiej, jaka była w roku zeszłym [illegible] ciała.

13(26) stycznia rok 1912. piątek.

Ból w krzyżu, który mi dolegał wczoraj, ustał niemal zupełnie. Przez cały dzień zajęty byłem interesami i listami. Wieczorem na godz. 9 poszedłem na Monastyrską do Anny. Zaniosłem jej trochę żywych kwiatów, które tak lubi a których oddawna dla niej nie kupowałem. Spędziliśmy kilka godzin na gawędce. Była mała chmurka nieporozumienia a raczej smutku Anny, wynikła, jak zwykle, na skutek jakiegoś nieopatrznego słówka mego, z którego Anna, niezmiernie na punkcie tym podejrzliwa, wywnioskowała, że jej nie wierzę. Ale się uspokoiła potem i dała się przekonać. Anna jest bardzo troskliwa o mnie, bardzo delikatna i w ostatnich czasach bardzo się stara wpłynąć na mnie w kierunku oszczędności. Nie chce, abym na nią dużo wydawał, aby jej nie była ciężarem, nie chce chodzenia na kolacje, które stają się zwykle kosztowne, w ogóle unika wszelkiego wydatku z mojej kieszeni na rzecz stosunku naszego, i chce tylko, abym do niej wieczorami przychodził na gawędkę. Delikatność Anny, jej wstrzemięźliwość na gruncie pieniężnym — to piękny rys jej wielce szlachetnego charakteru. Niema w niej ani krzty ~~interesowności~~ chciwości i wyzysku.

Dziś córka moja, Céśka, skończyła 1½ roku. 14 (27) stycznia rok 1912. sobota.

Właśnie dziś mówił mi o niej Szyjewski, że [redacted] słyszał od p. Michała Montwiłła, męża Eugenji z Römerów, iż [redacted] Céśka hoduje się dobrze, rośnie, jest wesoła, biega dużo i mówi. Słyszałem też, że panna Eliza Courtot, która jest u Reginie mieszka, bardzo lubi i pieści Céśkę. Niechże się szczęśliwie dziecinka moja hoduje. Nie jest mi ona obojętna, mam dla niej uczucia serdeczne, ale już nie mam tej miłości ostrej i gorącej, którą w pierwszym czasie a nawet do lata zeszłego dla niej żywiłem, nie znając jej nawet i nie widując. Pokocham ją później kiedyś, gdy poznam. Jest ona sercu memu drogą, ale nie odczuwam jej [illegible], konkretnie.

Znów mi dziś w krzyżu bolało, zwłaszcza przed i po obiedzie. Przy tym doznawałem jakby [illegible] i kilka razy [redacted] czułem [illegible] w żołądku. Sam nie wiem, co to jest. Otrzymałem analizę uryny mojej od dr. Łapczewicza. Zdaje się, że analiza nie wykazuje jakiejś choroby nerek, choć w rubryce białka zaznaczone, że „białka w ścisłym znaczeniu" są „minimalne ślady"; a więc choć minimalne, ale są ślady. Mam się w tych dniach zwrócić z tą analizą do dr. Sztolcmana dla porady.

Pod wieczór otrzymałem № 3 „Przeglądu Wileńskiego". Są w nim 2 moje artykuły: „Nasz przemysł" i część artykułu „Z życia litewskiego", mianowicie dwa pierwsze kawałki: „Prasa litewska w r. 1911" i „Litewskie Towarzystwo Artystyczne". Kapitalne wszakże znaczenie ma w tym № artykuł wstępny Ludwika Abramowicza p.t. „Idea Jagiellońska", w którym autor wykazuje nieprzydatność idei tej do stawiania za drogowskaz na dziś ze względu na [redacted] jej treść rdzennie szlachecką, obcą potrzebom i aspiracjom ludu naszego, litewskiego i białoruskiego. Artykuł ten jest wcale dobry i bardzo na czasie. Spycha on radykalnie nasz „Przegląd" z torów nacjonalizmu, mającego u nas zawsze zapaszek szlachecki. Jest w nim zaś tężenie demokratyczne, które musi z natury rzeczy wykluczać nacjonalizm. Artykuł ten uderza śmiało w legendę o wieczystym dawnej i spółczesnym trwaniu Unji. Ciekaw jestem, jak artykuł ten zostanie przyjęty przez prasę i opinię polską w kraju, która lubuje się jeszcze w marzeniu o przywróceniu legiend historycznych. Zato niewątpliwie w kołach litewskich i białoruskich artykuł ten sprawi dobre wrażenie i zjedna sympatję dla „Przeglądu". Uważam to za rzecz wielkiej wagi, bo tą drogą, przez dobre porozumienie z Litwinami i Białorusinami, pójść możemy dopiero do ustalenia istotnych prądów demokratycznych. Właśnie wieczorem byłem na zebraniu zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos", gdzie byli też Antoni Żmujdzinowicz i Jan Vileišis, którzy po przeczytaniu artykułu tego byli szczerze przejęci uznaniem dla stanowiska pisma naszego. Do domu wróciłem wcześnie, po godz. 9. Czułem tęsknotę do Anny. Co wieczór, gdy jej nie widzę, tęsknię do niej.

15 (28) stycznia. rok 1912. niedziela.

Rano byłem na zebraniu ~~Litewskie~~ zarządu Litewskiego Towarzystwa Artystycznego („Lietuvių Dailės Draugijos"), potym złożyliśmy z Marynią wizytę stryjence Kazimierzowej Römerowej, która przyjechała tu na karnawał ze starszemi córka=mi, Ireną i Jolantą.

W czasie obiadu naszego wpadł niespodziewanie Papa, który dziś rano z Bohdaniszek przyjechał. Narobił dużo hałasu, zwyczajnie dokuczał, jak zawsze, ale był w humorze dobrym.

O godz. 2½ spotkałem się z Anną w cukier=ni Jassowicza. Jest to czas karnawału. Inni balują, [redacted] uganiają się za rozmaitemi za=bawami, dla mnie zaś jedyną rozrywką po usilnej pracy jest spędzanie czasu z Anną. Każdą chwilę wolną z nią spędzam jaknajchę=tniej i doznaję w tym przyjemności prawdzi=wej. Pomimo kilkunastostopniowego mrozu pojechaliśmy z Anną spacerkiem, korzy=stając z dobrej sanny, za Antokol do Po=śpieszki. Zabawiliśmy tam godzinkę w ga=binecie restauracyjnym przy kawie z be=nedyktyną. Było nam dobrze, wesoło i serde=cznie. Kochana Anna bardzo się troszczy o mój stan zdrowia, jest mocno zaniepokojona o mnie. Bo też istotnie coś mi jest. Ból w krzyżu, niżej pasa, nietylko że nie ustaje, ale raczej się wzmaga. Trudno mi się nachylać, przeginać, wstawać z krzesła. Nie mogę zrozumieć, co to jest. Zdaje się, [redacted] że nie nerki. Chyba pewne [redacted] wyczerpanie potencji męskiej, chociaż dotychczas zewnętrznych oznak takowego nie dostrzegam. Anna też przypuszcza, że takiem jest właśnie źródło mego cierpie=nia, i [redacted] wstrzymuje się od obcowania fizycznego. Zawsze mi Anna zarzucała, że zanadto się oddaję pieszczocie płciowej, zawsze też protestowała gorąco przeciwko pożądaniu jej o gro=gniewania tych uciech. Wiem wszakże, że jest zmysłowa, że ciało się nie przyznaje, lubi taką zabawę. Teraz mię wstrzymuje gorąco, ale widzę że sama biedaczka musi w sobie tłumić chwilkami gorące wichry żądzy.

Natura Anny jest bardzo wrażliwa [illegible]

16 (29) stycznia rok 1912. poniedziałek.

Do rzeczy najcięższych i najtragiczniejszych należą rozdźwięki rodzinne. W takim właśnie bolesnym konflikcie jestem z Papą. Kochamy się z Papą oboje; ja kocham Papę nietylko przez poczucie związku krwi, ale też przez uznanie wielu pięknych cech jego i wogóle przez sympatję, jaką Papa we mnie budzi. Papa też, pomimo żalów, które żywi w głębi serca do mnie, kocha mię serdecznie. Ale należymy z Papą do wręcz przeciwnych obozów i, pomimo pewnego niewątpliwego podobieństwa niektórych cech charakterów obu naszych, mamy biegunowo rozbieżne układy umysłów. Dla Papy istnieje cały szereg praw i pewników niewzruszonych, stanowiących nietykalne tabu. Papa nie należy do gatunku filozofów, nie rozumuje w zakresie swych pewników; ma prawdy gotowe, które przyjął z wychowania, urodzenia, ze środowiska; prawdy te są dlań prawdami objawionemi i basta. Ogarniają one nietylko pewną sumę oderwanych formułek, ale cały stosunek Papy do życia, cały świat psychiczny Papy, a więc religję, kwestje społeczne, narodowe i t. d.. Ja też jestem naturą taką, która nie znosi połowiczności i która całe życie układa w ramach wiary własnej. Ale moja wiara, moje ideały są przeze mnie przemyślane, stanowią najtęższy wniosek z mojej indywidualnej twórczości psychicznej. I kierunek praw moich jest antytezą kierunku Papy. Dla Papy, dla którego całe życie i cała prawda streszcza się w jego pewnikach, mój kierunek myśli, wiary, ideałów, działalności — jest jedną z najcięższych, najboleśniejszych ran sumienia. Ja zaś nie mogę zdradzić ideałów moich, nie mogę żyć inaczej, jak podług nich. Ile stąd cierpienia, ile tragizmu dla nas obu — tego tu wyrażać nie będę. Jest to jedna z największych trucizn, zatruwających moje życie i tamujących pełnię działalności mojej. To są kajdany, które mię żywcem okuwają w karbach strasznego uścisku. Ale dość tego rozwodzenia się nad rzeczami osobistemi. Tego, co się czuje, słowami oddać niepodobna. W słowach to się rozwadnia.

Dziś wieczorem zebraliśmy się w kilku u Witolda Abramowicza dla omówienia spraw wyborczych i przygotowania się do jutrzejszego zebrania przedstawicieli grup demokratycznych polskich. Obecni byli: Witold Abramowicz, Krzyżanowski, [illegible], Gabrjel Sokołowski i ja. Zebranie, o którym pisałem w grudniu, a które miało być zwołane w styczniu z przedstawicieli grup demokratycznych i [illegible] polskich, żydowskich, litewskich i białoruskich, do skutku nie doszło. Jutro odbędzie się zebranie tylko grup polskich. Wyniknęły tu pewne trudności z esdekami. Na ostatniem zebraniu u Wróblewskiego, na którym nie byłem obecny, esdecy oświadczyli obecnym przedstawicielom „postępowców", Krzyżanowskiemu i innym, że się od współdziałania z akcją „burżuazyjnych" elementów demokratycznych cofają dla zachowania czystości stanowiska zasadniczego, które im na kompromisy nie pozwala. Zdawało się, że bodaj potem musieliby prowadzić akcję bez esdeków, co oczywiście by ją osłabiało moralnie a nawet w pewnej mierze i materjalnie [illegible] wybór [illegible], na której liczył [illegible]. Okazuje się [illegible] zwrot do nas gotowi są wrócić [illegible] Dziś [illegible] przyjmowanie [illegible]. Omówiliśmy dziś porządek dzienny i program zebrania jutrzejszego.

154. 1/8 (30) stycznia 1912 roku. Wtorek.

Byłem u dr. Stolcmana. Okazało się, że ten ból w krzyżu to najpospolitsze t. zw. lumbago, to znaczy ból artretyczny pochodzenia dziedzicznego. Nerki są zupełnie zdrowe; niema też mowy o jakimś zaniku potencji męskiej, czym mię straszyli niektórzy znajomi; zresztą [redacted] pod tym ostatnim względem sam wiem dobrze, że byłbym w stanie konkurować z każdym młodzieńcem 20-letnim.

Wieczorem w lokalu klubu bankowego przy placu Katedralnym odbyło się zebranie organizacyjne grupy demokratycznej polskiej w sprawie akcji wyborczej. Z zaproszonych na zebranie [illegible] osób kilkudziesięciu przybyło niespełna 40. Obecni byli: Niewodniczański, Witold i Ludwik Abramowiczowie, Bronisław Krzyżanowski, [redacted] Jan Piłsudski, Nagrodzki, ja, [redacted] Jan Kłott, Gabriel Sokołowski, Doboszyński, Szatkowski, Zasztowt, Węckowicz, Lubowiecki, Budny, Osmołowski, Krzyżanowski (szewc), Uścinowicz, Urniaż, Gulbin, Wraśniewski, Wirszyłło, Walicki, Rańkowski, Wolański, Kruszewski, Bogiński, Edward Sokołowski, Domański i inni, których nazwisk nie znam lub nie pamiętam. Ponieważ jest to w Wilnie pierwsza próba stworzenia zrzeszenia demokratycznej [redacted] akcji wyborczej do Parlamentu śród Polaków, więc uważam za potrzebne dać tu więcej statystyki o składzie osobistym tego pierwszego zebrania porozumiewawczego i zarazem organizacyjnego. Inicjatorami właściwymi tej akcji jest nasza grupa wileńska, mianowicie: Witold Abramowicz, Bronisław Krzyżanowski, ja, Jan Piłsudski, Jan Kłott i Gabriel Sokołowski. Podług zawodów i stanowiska społecznego zebranie dzisiejsze składało się z elementów następujących: grupa techników (inżynierów): Niewodniczański, Gabr. Sokołowski, Doboszyński, Szatkowski, Zasztowt, Domański; grupa adwokatów: Wit. Abramowicz, Br. Krzyżanowski, Piłsudski, ja (ewentualnie mogę być równie dobrze zaliczony do literatów i publicystów), Kłott, Węckowicz, Kruszewski, Bogiński; grupa [redacted] przedsiębiorców handlowych i właścicieli zakładów rękodzielniczo-przemysłowych: Nagrodzki, Osmołowski, Krzyżanowski (szewc), [redacted] Uścinowicz; grupa pracowników instytucji prywatnych (t-stwa asekuracyjne, bank): Budny, Urniaż, Gulbin, Wraśniewski, Wirszyłło; [redacted] z lekarzy (dentysta) jeden — Wolański; z Rady Miejskiej jeden — Rańkowski; wreszcie: dziennikarz Kruszewicz (publicysta), Lubowiecki (niewiem), Walicki (niewiem), Edward Sokołowski (z zawodu agronom, z upodobania działacz polityczny i ewentualnie publicysta). Pod względem przekonaniowym zebranie było pstrokate — od umiarkowanych postępowców do esdeków włącznie. Z właściwych esdeków tylko Kruszewski brał czynny udział w zebraniu, to znaczy głosował. Grupka esdeków w osobach Bogińskiego, Edw. Sokołowskiego, Domańskiego i jeszcze czwartego, którego nie znam, brała udział tylko w charakterze obserwatorów. Ponieważ esdecy jako tacy postanowili ograniczenie się do akcji wyborczej [redacted] grup demokratycznych drobnomieszczańsko-burżuazyjnych nie działać i zachować stanowisko bierne, ewentualnie nas poprzeć w charakterze sympatyków, [redacted] rezerwując zasadę wolnych rąk, przeto dziś przyszli oni tylko dla zorientowania się w stanowisku naszej akcji, aby wiedzieć, na jakich zasadach zamierzamy ją oprzeć i jaki charakter i [illegible] jej nadać. Esdecy przeto od głosowania się wstrzymywali i tylko raz jeden z nich, Edward Sokołowski, zaprotestował, ale w charakterze porządkowym. Zresztą esdecy byli zadowoleni z wyników zebrania dzisiejszego, winszowali nam dobrego stanowiska [redacted] zasadniczego, aczkolwiek ze zwykłą im podejrzliwością zastrzegli się, że dopiero wtedy nam zaufają, gdy w praktyce zasady dzisiejsze wykonamy. Mnie osobiście esdecy uważają za najkonsekwentniejszego i najszczerszego demokratę (z pośród demokratów „burżuazyjnych”). Wyłączając więc stopniowo grupkę esdecką, która była obecna przy naszym zebraniu, lewicę dzisiejszego zebrania stanowiliśmy: ja, Zasztowt, Gabriel Sokołowski, Bron. Krzyżanowski, Kruszewski, Budny. Prawicę natomiast wyraźną stanowili: Ludwik i Witold Abramowiczowie, Nagrodzki, Lubowiecki i zwłaszcza (prawica skrajna) Urniaż. Oprócz tego dominującą prawicę (nie zabierali bowiem głosu) stanowili: Węckowicz, Uścinowicz, Rańkowski, Wolański (ci dwaj ostatni wyszli przed końcem zebrania) i zapewne niektórzy inni. Za wyraźną prawicowość [redacted] biorę tu [redacted] tendencje nacjonalistyczne [redacted] ze szczyptą antysemityzmu, bo pod względem ustalenia demokratycznych postulatów społeczno-politycznych wszyscy, prócz Urniaża, byli zupełnie solidarni. Przewodniczył p. Niewodniczański, [illegible] elektoratury miejskiej. Witold Abramowicz referował na wstępie akcję poprzedzającą, próby [illegible] zbliżenia ze sobą elementów postępowych oraz racje, dla których postępowcy uważali za potrzebne zainicjować samodzielną akcję demokratyczną. Następnie przeszliśmy do ustalenia naszej platformy wyborczej. Przystąpiliśmy do platformy wyborczej, której hasła następujące: 1) obrona interesów warstw pracujących, 2) stanowisko [illegible] całkowitego równouprawnienia wszystkich narodowości, które nasz kraj zamieszkują, 3) walka z nacjonalizmem, 4) walka z klerykalizmem. W dalszym ciągu przeszliśmy do omówienia stosunku naszego do innych grup demokratycznych (żydowskich, litewskich i t. p.). Uznano, że powinniśmy dążyć do [illegible] ze wszystkimi grupami i ewentualnie komitetami, które się utworzą w ramach przyjętej przez nas platformy wyborczej. Po dłuższej dyskusji uchwalono wniosek, poparty przez Zasztowta, mnie, x)

x) Kruszewskiego i Gabriela Sokołowskiego, o tym, że komitetowi naszemu dajemy dyrektywę nawiązania jaknajściślejszego kontaktu z grupami demokratycznymi innych narodowości, [illegible] do zlania się z takowymi [illegible]. Wreszcie wybraliśmy tymczasowy polski demokratyczny komitet wyborczy z 10 osób [redacted] z prawem kooptacji jeszcze pięciu. Do komitetu wybrani zostali: Niewodniczański, Wit. Abramowicz, Kłott, Br. Krzyżanowski, Zasztowt, Doboszyński, ja, Gabr. Sokołowski, Uścinowicz i Osmołowski. Wybrany także Nagrodzki — zrzekł się.

18 (31) stycznia rok 1912.

Pomimo późnego położenia się spać nocy ubiegłej, czułem się przez cały dzień dobrze i humor mi znakomicie dopisywał. Z moim bólem artretycznym w [illegible] jest średnio tak samo. Nie gorzej, ale i nie lepiej. Ciekaw jestem, czy będzie coś z naszej demokratycznej kampanii wyborczej. Jeżeli podział na [illegible] narodowców we [illegible] w Wilnie zastosowany, to bodaj że cała akcja nasza będzie zmarnowana. Ale zmarnowana tylko pod względem rezultatu praktycznego, to znaczy wyboru posła; w każdym jednak razie nie będzie ona zmarnowana pod względem agitacyjnym, a wzgląd ten też nie powinien być bagatelizowany. Kampanie wyborcze do Dumy śród ludności polskiej i chrześcijańskiej stawały się dotąd na gruncie wileńskim prawdziwą orgią antysemityzmu w najohydniejszym gatunku; ideologia klerykalna i antysemickie zachwaszczały świadomość mas ludowych. Oparcie akcji wyborczej na rzetelnym gruncie demokratycznym, zwalczanie zarazków nacjonalizmu, klerykalizmu i antysemityzmu — to wprost obowiązek obywatelski i zarazem niewątpliwie potrzebne i skuteczne.
Wieczór spędziłem u Anny. Zastałem ją smutną i zamyśloną. Nie wiem, co jej jest, ale widzę i czuję, że ma jakąś troskę ciężką. Była serdeczna, garnęła się i tuliła do mnie, ale troski tej i jakiegoś ciężaru, który ją widocznie gniecie, pozbyć się nie zdołała przez cały wieczór. Ona ma naturę dumną, głęboką, skupioną, nie wylewną, więc nie mogłem z niej przyczyny smutku tego wydostać. Trudno mi się nawet było zbyt natrętnie dopytywać, bo mogłaby mnie znów o niewiarę posądzić. Dopytywanie mnie nie tylko by nie uśmierzyło jej bólu, ale by raczej takowy rozdrażniło. Nie chciała mi wyznać, co jej jest, zaprzeczyła wpierw, potem parę razy starała się oderwać od tego swego umysłu, wreszcie raz mi zapowiedziała, abym się jej wcale o to nie pytał. Smutek jej smuci mnie i boli. Czy może ma jakieś kłopoty pieniężne, czy może jest chora, czy coś innego, czego wiedzieć nie mogę. Nieszczęśliwym tego [illegible], a niepokoję się przecież szczerze. Jest ona taka, że nic więcej o nic nie zapyta. [illegible] jak jej dopomóc. Biedactwo kochane! A jest tak szczerze serdeczna, [illegible] mnie, tak swojska, tak drogą.

19 stycznia / 1 lutego. rok 1912. czwartek.

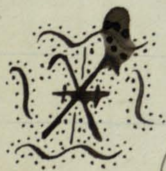

W sprawie wyborów rozmawialiśmy dziś w gronie kilku osób, śród których byli z polaków Krzyżanowski, Nagrodzki i ja, z żydów Eljasz Bonum i Abramson, z litwinów Slażewicz, z białorusinów — Antoni Łuckiewicz. Chodziło nam o zorjentowanie się, jakie szanse powodzenia może mieć zwłaszcza śród żydów [przekreślone] akcja wyborcza, oparta na łączności elementów demokratycznych tak żydowskich, jak chrześcijańskich. Eljasz Bonum i Abramson wskazali, że śród żydów, w odłamach demokratycznych, tendencja do akcji pozanarodowej t.j. opartej na porozumieniu z grupami demokratycznemi [przekreślone] chrześcijańskiemi, może być żywotna, ale tymczasem nic się jeszcze w sprawie wyborów śród żydów nie robi. Podobno tylko w kołach nacjonalistycznych żydowskich pierwsze przedwstępne narady przedwyborcze się już rozpoczęły, ale dopiero w [przekreślone] gronie ściślejszym z inicjatywy Gordona. Co do postaci współdziałania grup demokratycznych chrześcijańskich z żydowskiemi, to tak Bonum jak Abramson uważają, że komitety powinny być osobne, polski i żydowski; pożądany jest kontakt jaknajściślejszy, ale bez zlania się całkowitego. Pod tym względem są oni solidarni z Nagrodzkim, który też zlania się nie życzy a nawet przesadza w obawach pod tym względem. Nie przeczę, że może w praktyce zlanie się okaże się niepraktycznym i do skutku nie dojdzie. Ale stwierdzenia zasady porozumienia się włącznie do zlania się, uchwalone na naszym zebraniu porozumiewawczem jako dyrektywa komitetowi naszemu, jest tylko deklaracją zasady i nie przesądza praktycznej wykonalności ostatecznych konsekwencji takowej.

20 stycznia
2 lutego.
rok 1912.
piątek.

Szajewski zaproponował mi dziś przyjęcie po nim „spadku" adwokackiego. Wyjeżdża on do Taurog i tam osiada, licząc na lepszą praktykę, ponieważ brak tam adwokata a on sam z tamtych stron pochodzi i ma tam przeto pełno stosunków i znajomości. Otóż wszystkie ~~swoje~~ sprawy wileńskie Szajewski przekazuje mnie. Podziękowałem mu serdecznie i chętnie się podjąłem tej sukcesji. Szajewskiemu niezbyt dobrze się tu powodziło, ale bądźcobądź pewną praktykę już miał i w roku ubiegłym wyszedł już na przysięgłego. Spadek po Szajewskim składa się, jak on mówi, z ± 60 spraw, coprawda drobnych przeważnie, ale dla mnie bodaj stosowniejszych nawet, niż grube sprawy, bo ani w Sądzie Okręgowym ani w Izbie Sądowej nie mam prawa występować. Sprawy zaś Szajewskiego są przeważnie u sędziów pokoju i w zjeździe. Na ~~tow~~ wartość honorarjów Szajewski ocenia swój spadek w sumie ± 1500 rb. Dla mnie i to się bardzo przyda a prócz tego wielką wagę będzie stanowiło dla mnie nawiązanie kontaktu z klientelą. Cieszę się z tego bardzo, bo praktyka adwokacka jest dla mnie obecnie wprost niezbędna ze względów materjalnych. 60 spraw drobnych — to wprawdzie robota żmudna i często zapewne nudna, ale bez tego się obejść nie mogę, a własnej praktyki prawie że nie mam, bo taka się wytworzyła opinja w mieście i adwokaturze, że ja nie praktykuję i nie chcę praktykować, wobec czego nikt się do mnie nie zwraca, a sam ja mam taką naturę, że nie potrafię iść przebojem i nie zaprzeczam tej ~~[illegible]~~ opinji. Spadek po Szajewskim da mi oparcie dobrej podstawy praktyki.

Wieczorem byłem u Anny. Zastałem ją w znakomitym humorze, wesołą. Skutek poniedziałkowy był tylko przelotny. Rozmówiłem się z Anną i uspokoiłem się zupełnie. Wieczór zeszedł znakomicie. Oboje byliśmy weseli, to też rozmowa płynęła ~~[illegible]~~ gwarnie, śród żartów, dowcipu, śmiechu i pogodnej serdeczności. Oboje czekamy gorąco niedzieli;

21 stycznia
3 lutego.
rok 1912.
sobota.

Wyszedł z druku № 4 „Przeglądu Wileńskiego”, zupełnie udatny, jeden z najudatniejszych. Dobry jest w nim artykuł Hertza, piękny — artykuł Ludwika Krzywickiego, układ numeru ciekawy, urozmaicenie treści dobre. Cieszę się serdecznie, że pismo się rozwija dobrze. Pod względem prenumeraty też jest dobrze. Prenumeratorów po dzień dzisiejszy jest 221. Uważam to na początek za rezultat dobry w warunkach naszych. Prenumerata wzrasta ciągle.

O godz. 7 1/2 wieczorem poszedłem na zebranie postępowego kółka młodzieży, w którym wyznaczony był na dziś mój odczyt. Zebranie odbywało się w mieszkaniu jednego z lekarzy przy zaułku Żandarmskim. Młodzieży szkolnej obojga płci było osób ze 30. Z przywódców kółka był Mieczysław Niedziałkowski, Sitoiński, panna Kobylińska. (Resztę znam tylko z widzenia), bez nazwisk. Obecni byli tylko uczniowie i uczennice z klas wyższych. Organizacja kółka postępowego jest kilkostopniowa. Ponad ogółem kółka wznosi się ściślejsze kółeczko, złożone z grona bardziej uświadomionych i rozwiniętych. Ponadto kółko ogarnia wpływami swymi organizację odczytowo-oświatową uczniów i uczennic z klas niższych, ~~[illegible]~~ której zadaniem jest nauczanie historji polskiej i rozwijanie popędów samokształceniowych. Ta organizacja niższa jest jednocześnie pepinierką, dostarczającą kadrów do wyższego kółka postępowego na miejsce uczniów występujących i kończących naukę. Tematem dzisiejszego odczytu mego miały być rosyjskie nacjonalistyczne zakusy w Wilnie (kierunek Sołoniewicza; „Siewiero-zapadnaja Żizń”), ściślej — próby oparcia nacjonalizmu rosyjskiego na Litwie białoruskim. Ponieważ wszakże odczytu tego nie opracowałem na czas, więc wziąłem rękopis mej pracy zatytułowanej „Po przesileniu rewolucyjnym r. 1905 w Rosji”, którą napisałem w jesieni r. 1910 i którą w tymże czasie odczytywałem na dwóch „czwartkach” u Wróblewskiego. Z pracy tej wziąłem część pierwszą — o ewolucji stronnictw rosyjskich — i tę część młodzieży odczytałem. Jak się mój odczyt młodzieży podobał — nie wiem, bo dyskusji nie było, gdyż musiałem się śpieszyć na posiedzenie naszego demokratycznego komitetu wyborczego. Ewentualną dyskusję odłożono na inny wieczór, jak też odłożono dalszy ciąg mego odczytu, traktujący o reformie agrarnej w Rosji.

O godz. 9 poszedłem na pierwsze posiedzenie tymczasowego polskiego demokratycznego komitetu wyborczego, które się odbyło u Zasztowta. Obecni byli: Zasztowt, Niewodniczański, Uścinowicz, Osmołowski, Gabrjel Sokołowski, Kłott, Witold Abramowicz i ja. Witolda Abramowicza wyznaczyliśmy na stałego sekretarza komitetu. Do nawiązania pertraktacji z demokratycznemi grupami żydowskiemi wyznaczono podkomisję złożoną z Sokołowskiego, Niewodniczańskiego i mnie; do pertraktacji z litwinami wyznaczono Witolda Abramowicza i mnie, do pertraktacji z białorusinami — Abramowicza i Osmołowskiego. Postanowiono zbadać grunt i poznać warunki oddziaływania w takich in-

[illegible]

22 stycznia / 4 lutego. rok 1912. niedziela.

Spędziłem cały dzień z Anną w hotelu Versailles. Żadna chmurka nie przesłaniała pogody naszego stosunku. W dniach pięknej miłości zdaje się, że od dłuższego już czasu, od miesiąca przeszło, zarysowuje się nowy okres stosunku. W okresie pierwszym, czyli w stadjum początkowym miłości, który trwał mniej więcej do końca września, charakterystyczną cechą było utwierdzanie uczucia i zdobywanie wzajemności. Był to okres zdobywczy, okres rycerski. Nie byliśmy jeszcze siebie pewni nawzajem, to też w stosunku naszym był flirt, były zaloty, było wogóle pewne badanie się i poznawanie; stosunek był bądź co bądź trochę sztuczny, jak zawsze między osobami, którym chodzi o siebie nawzajem, a które nie są jeszcze siebie pewne. Okres drugi, okres próby, trwał mniej więcej przez październik i listopad. Był to okres, kiedy się już nasza miłość wzajemna utwierdziła i stała dla nas pewnikiem. Tu chodziło już nie o zdobywanie, nie o wywalczanie, ale o zachowanie miłości, o jej ostateczne stwierdzenie. Tu miewały miejsce ciężkie chwile wątpliwości i posądzeń, bolesne sprzeczki, specjalna psychologja kontrolowania się wzajemnego. I dopiero w ostatnich czasach, od grudnia, nastał okres treści, okres harmonji serdecznej, okres spokojnej ufności i pełni wiary. Sprzeczki i nieporozumienia są już rzadsze i nie są tak ostre. Zbyt wielka jest wiara wzajemna, aby drobne nieporozumienia zdołały zaważyć poważnie na szali pogodnej harmonji.

Pod wieczór, przed rozstaniem się, rozmówiłem się wreszcie z Anną w sprawie kwestji bolesnej, która mi oddawna kamieniem na sercu leżała: o której [illegible] chciałem z nią pomówić, ale się zawsze wstrzymywałem, rozumiejąc, jak to jest [illegible] takiej [illegible], z natury nieznośnej, drażliwej. Nie chcę tu [illegible] [illegible] słowa — porozumiałem się i wyjaśniłem wreszcie ten ciężki szkopuł.

23 stycznia / 5 lutego. rok 1912. poniedziałek,

Wczoraj wieczorem otrzymałem od p. Ludwika Uniechowskiego, jednego z dwóch wybranych przez nas arbitrów do działu Stawnyszek i Szamytów[?], depeszę, wysłaną z Krakowa, w której prosi o wyznaczenie zjazdu działczego na 4 lutego. Nareszcie więc sprawa tego niedoszłego zjazdu znajdzie może rozwiązanie, gdy ją ujmą w ręce arbitrowie nasi. Od września nie było zjazdu, ponieważ niepodobna było się skorespondować z p. Uniechowskim co do terminu zwołania takowego. Teraz jest już czas największy, bo dla ~~[illegible]~~ dokonania działu polubownego mamy ~~[illegible]~~ termin już tylko po 18 maja roku bieżącego. Jeżeli do tego terminu się nie podzielimy, to dział dokonany będzie w drodze sądowej; dział sądowy mógłby się zaciągnąć na lata całe i prócz tego powstałaby kwestja sztrafu bardzo uciążliwego, bo wynoszącego 6% od wartości kapitalnej spadku. Sztraf ten musiałby opłacić ten, kogo sąd uznałby za winnego niedojścia do skutku działu polubownego. Nie mogąc się doczekać wskazania przez p. Uniechowskiego terminu zjazdu, wyznaczyłem już sam takowy na 28 stycznia; teraz zaś, po otrzymaniu depeszy od p. Uniech., zjazd oczywiście przeniesiony zostaje na 4/II, o czym zawiadomiłem natychmiast wszystkich współwłaścicieli.

O g. 9 wieczorem odbyło się u Krzyżanowskiego zebranie komitetu redakcyjnego „Przeglądu Wileńskiego" w osobach: Krzyżanowskiego, Nagórskiego, Wit. Abramowicza i mnie. Obecny był też redaktor Ludwik Abramowicz. Omawiane były tylko sprawy administracyjne.

Stamtąd o godz. 10½ wpadłem na godzinkę do Anny, aby ją pocieszyć i przytulić serdecznie w jej smutku i troskach[?] obecnych[?], związanej z naszą wczorajszą[?] [illegible] i konsekwencjami takowej, o których tu pisać nie chcę. Są to sprawy nasze, z naszym stosunkiem nierozłącznie związane.

24 stycznia / 6 lutego rok 1912. wtorek.

Cały ranek do godz. 12 spędziłem z Anną na mieście. Nie chcę pisać tym razem, co robiliśmy i o co chodziło. Jest to w związku z naszym rozmówieniem się z nią pozawczoraj. Jeżeli się okaże, że jest dobrze, że niepokoje nasze się nie sprawdzą, to napiszę o tym. Za parę dni będzie to już wiadome. W każdym razie wszakże, jakkolwiek się to wyjaśni, cieszę się, że rzecz ta jest w toku i że załatwiona będzie. Najgorszy był niepokój i niepewność tak Anny, jak moja. Gdyśmy się wreszcie rozmówili i postanowili bądź co bądź wszelkim ewentualnościom zaradzić, stanęliśmy na dobrej drodze. Nic zresztą strasznego stać się nie może. Jest rada na wszystko. Spadł mi teraz ciężki kamień z serca. Wieczorem znów parę godzin u Anny spędziłem. Więzy, które nas łączą, stają się coraz ściślejsze. Niewątpliwie jestem dla Anny nie tylko kochankiem, ale też przyjacielem serdecznym i człowiekiem najbliższym na świecie. To też darzy mię ona zaufaniem najszczerszym i garnie się do mnie, otwierając mi całe swe serce, wszystkie najtajniejsze troski i tęsknoty swoje. Stosunek to piękny.

Całe popołudnie i parę godzin nocnych zużyłem na pisanie artykułu do „Przeglądu Wileńskiego". Będzie to artykuł zasadniczy, poniekąd programowy. To też pracowałem nad nim starannie. Przeprowadzam w nim analogię między starą polityką rusyfikacyjną w dobie przedrewolucyjnej a obecną polityką nacjonalistyczną [illegible] niebezpieczną Stołypina [illegible] Dumy. Wreszcie wyciągam stąd konsekwencje wskazań programowych dla demokracji „obszczeplemiennej" w Rosji, która zapełniła to faktycznie nie

[illegible]

25 stycznia
7 lutego
rok 1912.
Środa.

Dokończyłem mój artykuł do „Przeglądu Wileńskiego" p.t. „Nacjonalizm a kresy". Przeczytałem go Ludwikowi Abramowiczowi, który zakwalifikował go ewentualnie na artykuł wstępny do #6, to znaczy mającego wyjść w przyszłym tygodniu. Artykuł wszakże będzie musiał wpierw przejść przez cenzurę Witolda Abramowicza, który, jako podpisujący pismo w charakterze redaktora odpowiedzialnego, musi pilnować, aby nie było nic, co może go narazić na odpowiedzialność sądową. Ponieważ zaś artykuł mój traktuje o nacjonalizmie rosyjskim i o stosunku kresów i t. zw. „obcoplemieńców" („inorodców") do państwa, więc zalecona być musi wielka ostrożność. Istotnie nie jestem pewny zupełnej legalności artykułu tego z punktu widzenia naszych władz politycznych.
Cały dzień spędziłem na pracy bieżącej. Wieczór, co mi się rzadko zdarza, spędziłem w domu.

26 stycznia. / 8 lutego. rok 1912. czwartek.

Na żądanie Witolda Abramowicza mój wczorajszy artykuł „Nacjonalizm na kresy" będzie poddany pod decyzję komitetu redakcyjnego dla orzeczenia, czy się do pisma nadaje i czy ewentualnie nie zachodzi potrzeba jakichś zmian zasadniczych. Komitet ma być w tym celu na wtorek zwołany. Witold Abramowicz motywuje to tym, że określenie naszego stosunku do państwa, o czym mówię w konkluzji mego artykułu, jest rzeczą takiej wagi zasadniczej, że tu się cały komitet wypowiedzieć musi. Oprócz tego artykułu napisałem dziś drugi p.t. „Handel i żydzi", w którym stwierdzam wybitną zasługę żydów w zorganizowaniu naszego handlu krajowego na zasadach konkurencji i decentralizmu, co odpowiada znakomicie naszym stosunkom i potrzebom ekonomicznym. Sądzę, że artykuł ten przejdzie bez komitetu redakcyjnego, choć może i tu trzeba będzie orzeczenia komitetu. Artykuł ten powinien jest też zasadniczy. Jest to bodaj że pierwsze w prasie naszej podniesienie głosu już nie tylko w obronie żydów, ale ze stwierdzeniem ich dodatniej roli ekonomicznej w kraju, ich zasług w organizacji handlu krajowego. Dotychczas sytuacja u nas w stosunku do żydów była taka, że jedni zwalili na nich góry i winy, robiąc ich winnymi wszystkich nieszczęść i dolegliwości krajowych, inni zaś, broniąc ich, próbowali tylko usprawiedliwić, tłumacząc, dlaczego nie mogło być inaczej, nie zaś przecząc w zasadzie ich szkodliwości. Obrońcy żydów wskazywali, że żydzi zmuszeni byli się stać pasożytami w handlu, bo byli pozbawieni równouprawnienia, usunięci od wszelkich innych pól pracy, zamknięci, jak śledzie w beczce, w t. zw. strefie osiedlenia, wyparci z rolnictwa, zmuszeni do handlu. Mój więc artykuł tworzy wyłom w pojmowaniu roli żydów w kraju i daje nową podstawę do stosunku naszego do żydów. Właściwie stanowisko, które w artykule tym zająłem, nie jest u nas całkiem nowe, bo analogiczne stanowisko zajęła już wcześniej białoruska „Nasza Niwa" zwłaszcza w osobie Własowa. Ale w prasie polskiej stanowisko to jest zupełnie nowe.

Z Anną wypłakałem się dziś parokrotnie. To, o czym nie chciałem pisać w dzienniku i co od paru dni wymiarkowałem, okazało się nie tak strasznym, jak się zdawać mogło. Chodzi mianowicie o zdrowie Anny. Biedna dziewczyna w ostatnich paru miesiącach znacznie zmizerniała; często wygląda blado, miewa zawroty i bóle głowy, czuje się słaba. Zwróciło to już moją uwagę oddawna i wciąż mię niepokoiło. Zauważyłem też od jakiegoś czasu parę wyrzutów na twarzy Anny, niezbyt wielkich, ale uporczywie trwałych. Chociaż ciało Anny było zawsze czyste, bez żadnych śladów wysypki, ale tych parę wyrzutów na twarzy, z których dwa się zagoiły, zostawiając znakie ślad ciemniejszy po sobie, a jeden się nie goi dotychczas, mocno mię niepokoiły. Obawiałem się, czy to nie są oznaki powrotne jakiejś choroby dawniejszej, pod względem wyraźnie — syfilisa. Nieszczęśliwa przeszłość Anny, jej krótki wprawdzie, ale niemniej realny pobyt na Bakszcie, w zakładzie Zosi Sołąbek, [illegible] tę ewentualność możliwą. Przykro mi jednak było zapytywać wprost o to Annę, rozumiejąc, jak bolesnym dla jej wrażliwej i delikatnej natury byłoby takie posądzenie i jak brutalnie by takie zapytanie brzmiało. To właśnie bowiem je, czyli zaraz ten epizod z przeszłości Anny, to jej najboleśniejsza pięta Achillesa. Każde dotknięcie tego bolącego tematu jest prawie okrucieństwem. Nie pytałem więc Anny, ale się niepokoiłem. Kilkakrotnie napominałem jej tylko, że warto, aby się, czując słabą, wybrała do doktora. Raz nawet Anna była u dr. Maciańskiego, ale ten jej tylko żelazo na wzmocnienie krwi zapisał. Widziałem, że zmuszony będę rozmówić się z nią wreszcie wyraźnie w sprawie jej zdrowia i że trzeba to będzie zrobić bardzo ostrożnie, bardzo delikatnie, aby jej nie zadrasnąć. Taka okazja trafiła mi się wreszcie w niedzielę ubiegłą. Rozmówiliśmy się dobrze, serdecznie. We wtorek Anna poszła do dr. Maciańskiego, który po zbadaniu dokładnym skonstatował u niej ślady zadawnionego trypra, ale syfilisa nie znalazł. Nie byłem jednak uspokojony i poprosiłem Annę, aby dała zrobić analizę swej krwi przez dr. Łapacewicza. Dziś właśnie dr. Łapacewicz dał wynik analizy jej krwi. Syfilisa nie ma. Chwała Bogu! To już kapitalna rzecz. Cieszę się niezmiernie, bo tego się głównie obawiałem dla niej, Anny, i toby poważnie zaszkodziło jej zdrowiu. Tryper — to ostatecznie bagatela. Anna się zabrała poważnie do leczenia trypra u dr. Maciańskiego. Chodzi do niego codzień. Leczenie to będzie ją osłabiać i sprawiać bóle dotkliwe w stadium początkowym, ale przynajmniej Anna zdrowa będzie. Postanowiłem zająć się radykalnym odżywieniem jej organizmu.

Wieczór spędziłem na „czwartku" u Wróblewskiego. Obecni byli: Wróblewscy, Własow, pani Bronisława Szukiewiczowa, doktorowa Bogusławska, Domański, Bagiński, Kryżanowski, Janulaitis, Sabaliauskas, Michał Biržiška z żoną, Antoni Łuczkiewicz z żoną i ja. Zebranie było dość nudne. Właściwej dyskusji nie było. Wróblewski traktował nad Kiethasem, my zaś przeglądaliśmy wiersze do Kiethasa.

27 stycznia. 9 lutego. rok 1912.

piątek.

W sprawie naszego zjazdu dzielczego sytuacja się wikła. Nie mogąc się doczekać odpowiedzi od p. Uniechowskiego, wybranego przez nas na arbitra, a licząc się ze względami na ciocię Cesię Tukałłową, która musi wyjeżdżać dla zdrowia zagranicę, wyznaczyłem termin zjazdu na 28 stycznia, o czym wszystkich zawiadomiłem. Tymczasem atoli, w niedzielę ubiegłą otrzymałem od p. Uniechowskiego depeszę z prośbą o wyznaczenie terminu na 4 lutego. W dniu tym wypada wszakże właśnie wesele Stasia Wołodkowicza, a więc jeden z uczestników zjazdu, Ludwiś Wołodkowicz, nie będzie mógł być obecny. Nie mogąc już wszakże zmienić terminu, wyznaczonego przez p. Uniechowskiego, na skutek niepodobieństwa porozumienia się z nim (nie wiem adresu jego w Krakowie) i licząc się z tym, że p. Uniechowski jest zawsze szalenie zajęty i nad czas ściśle rozplanowany, a więc nieprzyjęcie przez nas terminu, wskazanego przez p. Un., spowodowałoby znów odroczenie zjazdu do infinitum, ~~[illegible]~~ i to tym bardziej, że i c. Cesia nie mogłaby dłużej swej podróży zagranicę odkładać, zawiadomiłem wszystkich, że zjazd, na życzenie p. Uniechowskiego, przeniesiony zostaje z 28 stycznia na 4 lutego, z tym oczywiście, że faktycznie nastąpi małe opóźnienie o dzień jeden z powodu zatrzymania Ludwisia na weselu brata. Mieczyś Bohdanowicz, c. Zonia Tukałłowa i drugi arbiter p. Kazimierz Borowski (sędzia) wyrazili już zgodę na przyjazd w terminie oznaczonym. Od Ludwisia Wołodkowicza otrzymałem też list z oznajmieniem, że zaraz po weselu Stasia wyruszy i będzie w Wilnie 5 lutego rano. Tymczasem wczoraj wieczorem otrzymałem list od p. Uniechowskiego, w którym wspomina, że czasu ma mało i że z tego względu żąda, aby na 4 lutego rano wszystko było gotowe, to znaczy przygotowane plany, akty szacunku poprzednich arbitrów, protokoły postanowień naszych co do wyboru arbitrów i zlecenia im funkcji dzielczych, wreszcie odpowiednie dokumenty prawne, gwarantujące zastosowanie się nasze do decyzji arbitrów pod warunkiem pewnych kar. Słowem — wszystko musi być tak gotowe, aby arbitrowie mogli natychmiast, nie zwlekając, przystąpić do czynności dzielczych. Żądanie to p. Uniechowskiego jest bardzo słuszne i zrozumiałe. Zresztą bez tego zebrałoby się nam oczywiście zebrać poprzednio, przed zebra=

[illegible]

28 stycznia.
10 lutego.
rok 1912.
sobota.

Skomunikowałem się telegraficznie z Ludwisiem Wołodkowiczem i z c. Cesią Tuszkiewiczową, wzywając ich na pojutro, poniedziałek, do Wilna na zjazd dla obrad przedwstępnych przed zebraniem się z arbitrami. Oboje swój przyjazd obiecali.
Wieczorem był u mnie Szajewski i przyniósł wszystkie swoje akta spraw adwokackich, które prowadził i które teraz, wyjeżdżając do Taurog, mnie przekazuje. Spraw tych jest względnie dużo, bo czterdzieści kilka, będących w toku, oprócz kilkunastu zawieszonych. Ale są to przeważnie sprawy drobne, jakieś niewyraźne, nieskoordynowane. Roboty będę miał zapewne z tą spuścizną dużo, na zarobek wszakże dużo liczyć nie można. Choć sumy umówionych i będących jeszcze do wzięcia honorarjów z całej masy spraw oblicza Szajewski na rb. 1500 przeszło, ale dużo w tym jest pozycyj niepewnych, tak że niewątpliwie licha część należności faktycznie odpadnie. Całą korzyść, jaką ewentualnie ze spuścizny tej mieć mogę, to pewne nawiązanie stosunków z klientelą.
Opracowałem dziś nowy artykuł do „Przeglądu Wileńskiego” p.t. „Przemysł i klasy społeczne”. Artykuł ten jest dalszym rozwinięciem artykułu p.t. ~~„Przemysł~~ „Nasz przemysł” drukowanego w № 3 „Przeglądu”. Wyjaśniam w nim zachowanie u nas żywotności starych form i przeżytków kultury oraz stopień zróżnicowania klasowego w związku z charakterystycznemi cechami naszego przemysłu i w ogóle z powolnem uprzemysłowieniem kraju. Jest to już trzeci artykuł, który w tym tygodniu do „Przeglądu” napisałem. [illegible] dużo czasu zużytkowałem, bo w przeciągu dwóch tygodni przepędzę urlop innych prac, które mi odbiorą możność pisania.

29 stycznia / 11 lutego. roku 1912. niedziela.

O godz. 11 rano odbyło się u Żmujdzinowiczów zebranie zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos" w obecności obojga Żmujdzinowiczów, Jana Vileišisa i mnie. Omawialiśmy sprawę ułożenia ~~wstępu~~ artykułu wstępnego do wydawnictwa albumu krzyżów litewskich. Nadesłany artykuł wstępny przez autora rysunków krzyżów, malarza Jaroszewicza, ~~[illegible]~~ został przez nas zbrakowany, jako zupełnie blady i beztreściwy. Chodzi nam, aby w słowie wstępnym uwydatniona była waga artystyczna i kulturalna wydawnictwa oraz pewien nacisk na charakter twórczości ~~który~~ ludowej, który się w krzyżach wyraża, i na te ewentualne wpływy oraz współdziałania kulturalne, ~~które~~ które się na krzyżach przechowywać dadzą, jako dokumenty dziejowe splecenia (?) i kultury litewskiej. Żmujdzinowicz i Vileišis chcieli mnie tę pracę polecić, ale się jej nie podjąłem, uważając dziedzinę tę za zbyt mi mało znaną. Ostatecznie postanowiliśmy zwrócić się z tym do Basanowicza. Lękamy się tylko, aby praca Basanowicza nie była zanadto zbytnim subjektywizmem, który się uwydatnia we wszystkich jego pracach naukowych, obniżając wartość takowych.

Po południu odbyliśmy z Marynią wizyty. Byliśmy u Józefostwa [illegible]owiczów, u stryjenki Teodorowej Römerowej i u teściowej mojej. Teściowa nas nie przyjęła, bo jest chora, a syn jej a mój szwagier Jurek Römer jest chory na zapalenie płuc. Zdaje się, że zapalenie jest lekkie, ale dla Jurka jest to bądź co bądź niebezpieczne, bo w rodzinie u nich jest skłonność do suchot. Z suchot umarł ojciec jego i brat starszy.

Całe popołudnie do godz. 10 wieczór spędziłem z Anną. Spotkaliśmy się z nią w cukierni Jassowiczowej (?), skąd poszliśmy do kinematografu Illuzji, potem do Naruszewicza na kolację i stamtąd do niej do domu. Gdyby nie to, że nie chcę nadużywać określenia najlepszego wrażenia (?) i że tyle wieczorów spędzonych z Anną ~~[illegible]~~ zaliczam chętnie do najpiękniejszych, to i ten dzisiejszy nazwałbym śmiało jednym z najpiękniejszych i najszczęśliwszych w stosunku naszym. Co za szlachetność jest Anny, co za prześliczna skromna i poważna prostota natury, co za godność — to zaiste zdumiewające i niepospolite. Jest ona perłą przepiękną w społeczności ludzkiej. Wrażliwość na głęboką, spostrzegawczość wielką, umysł jasny i [illegible] fantazjujący, uczucia szlachetne i proste, wielka subtelność i delikatność w obejściu, ~~w~~ całość psychiczna wszakże niezrównana. ~~[illegible]~~ Jest ona prawdziwie rasową, ma w sobie bądź co bądź głęboką kulturę ludu litewskiego. Z takich okazów ludu można wnioskować o głębokich zastarzałych podstawach kultury narodu. Mówię nie o cywilizacji zewnętrznej, materjalnej, ale właśnie o kulturze psychicznej, kulturze uczuć i myśli. Co by z takiej dziewczyny było, gdyby miała odpowiednie wykształcenie i warunki do życia i działania. To, co w niej jest, to znakomity surowiec kultury, który przecie zupełnie nie był rozwinięty i kształcony. To też dumny jestem z dzieła mego, żem ją wyrwał z upadku i ocalił ~~[illegible]~~ takiego człowieka od zmarnowania. Mam teraz w niej szczęście należne i ma je też ona. Że szczerym uwielbieniem otaczam ją przy sobie, spokojną, uciszoną, znajdującą wyraz dla swych uczuć i myśli, ofiarowanie (?) — to znaczy tylko tyle (?). Życie — to nasze piękno, mające wartość samo w sobie, jak dzieło sztuki artystycznej. Anna żyje teraz dla siebie, snuje swą przędzę emanacji ~~[illegible]~~ psychicznej swobodnie, twórczo. A że jej dusza jest piękną, więc piękne jest jej życie. Jako prostytutka zaś byłaby li tylko zamorzona tłem życia innych, objektem ~~[illegible]~~ czyjej zachcianki ~~[illegible]~~ do [illegible] przez tłumy mężczyzn, ich [illegible] i [illegible] wykorzystywanych (?). Los prostytutki, to los plewy, los pochłaniania gwiazd ~~[illegible]~~ [illegible] ze szczytów potęgi ludzkiej. Konflikty między warunkami społecznymi a emocją twórczą jednostek, ~~[illegible]~~ sprawiające tęsknotę, to [illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

30 stycznia.
12 lutego.
rok 1912.

poniedziałek.

Wszyscy współwłaściciele Starynek i Bomeyków się zjechali. Wczoraj wieczorem przyjechała c. Cesia, dziś rano — Ludwiś Wołodkowicz. Przed obiadem nie udało się urządzić zebrania działowego. Dopiero o godz. 7 wieczorem zebraliśmy się w hotelu Europejskim. Obecni byli: c. Cesia Tukałłowa, Mieczyś Bohdanowicz, ja, Ludwiś Wołodkowicz jako plenipotent cioci Zosi Wołodkowiczowej, i Mieczyś Tukałło, jako plenipotent cioci Zosi Tukałłowej. Dyskusja toczyła się dość chaotycznie, streszczając się wszakże do kilku tez zasadniczych. Przedmiotem obrad było: 1) ustalenie wyboru arbitrów, 2) ustalenie zakresu czynności arbitrów i 3) określenie formy zapewnienia wykonania decyzji arbitrów. W materii punktu pierwszego potwierdziliśmy jeno poprzedni nasz wybór arbitrów w osobach pp. Ludwika Śmiechowskiego i Kazimierza Borowskiego (ustnego), którzy mają sami wybrać superarbitra. Najobszerniej się rozwinęły spory w materii punktu drugiego. Chodziło o to, jakie zlecenia dajemy arbitrom. Mieczyś Bohdanowicz i Tukałło zastrzegli, że komasacja, — [illegible] — to znaczy przeniesienie cząstek z jednego majątku do drugiego, ze Starynek do Bomeyków lub odwrotnie, z kompetencji arbitrów wyłączają. Dział więc ma być robiony osobno w każdym majątku. Komasacja zaś może być robiona jeno w drodze zamiany polubownej. Dla mnie jest to rzecz obojętna, bo ja już skomasowany na Bomeykach jestem. Ale Ludwisiowi i c. Cesi, którzy mają największe cząstki i tu, i tam i którzyby dużo zyskali na skupieniu ich w jednym majątku, nie w smak było to postawienie. Nie mogli go wszakże zupełnie, bo w zasadzie niepodobna zmusić kogoś do dokonywania zamiany bez jego woli. Wtedy c. Cesia oświadczyła, że w takim razie żąda losowania, a ponieważ [illegible] wartości poszczególnych nie są równe, więc losowanie musi się w ten sposób robić, że każdy majątek rozbija się na 14 równych cząstek i następnie się je losuje. C. Cesia myślała, że nastraszy przez to Mieczysia Bohdanowicza, któremu to rozbija schedę w [illegible] i że pod tą groźbą Mieczyś zgodzi się na przymusową komasację przez arbitrów. Na to Ludwiś Wołodkowicz zaproponował taką formę działu: strony wyrażają arbitrom swe desiderata, wskazując, gdzie każda z nich chce się ulokować. Dopiero gdy desiderata dwóch lub kilku stron zbiegną się na jednym miejscu, dopiero wtedy, to znaczy dopiero przy konkurencji zainteresowanych, następuje losowanie; i wtedy temu, kto wyciągnie los, arbitrowie dostarczą w tym miejscu uzasadnioną działkę aż do wypełnienia jego schedy. Mieczyś Bohd. odpowiedział, że się na to godzi, ale że losowania mają się odbywać w ten sposób, że każdy z losujących ciągnie nie po jednej kartce, ale po tyle, ile ma czternastek w swej schedzie w danym majątku, to znaczy, że gdy jeden ma 5 czternastek, a drugi jedną, to szansa ich do losu musi odpowiadać stosunkowi 5:1, nie zaś 1:1. Na to znów nie chciał przystać [illegible], który ma mniej czternastek, a więc w losowaniu miałby mniejsze szanse. Wówczas musieliśmy wrócić do pozycji rozbicia każdego majątku na 14 cząstek równych i losowania takowych w [illegible]. Jest to sposób czysto mechaniczny, automatyczny, acz kolwiek ekonomicznie najmniej racjonalny. Nie mając innego wyjścia, stanęliśmy na tym. Jest to [illegible], jak my arbitrów, których rola się sprowadza do funkcji aparatu automatycznego. Taki dział byłby [illegible] wobec [illegible] i wobec arbitrów. Oto do jakiej konkluzji doprowadziliśmy się w tym [illegible] formalizmem na tle [illegible] działowej i [illegible] — [illegible] takie. My na tym tracimy [illegible], bo w Bomeykach [illegible].

Ostatecznie więc prze[illegible]

31 stycznia.
13 lutego.
rok 1912.
wtorek.

Jak można było przewidzieć, Ludwiś Wołodkowicz drapnął, nie podpisując protokołu wczorajszych postanowień działczych. Wyjechał w nocy do Mińska, zawiadamiając mię kartką, że rezerwuje sobie czas do namysłu do niedzieli, lecz że jednak uchwały podpisze, o ile wszyscy inni obstawać przy niej będą. Oczywiście Ludwiś przestraszył się skutków uchwalonego wczoraj działu automatycznego i ~~[illegible]~~ liczy na wpływ arbitrów, który nas skłoni do innego sposobu działu. Zapewne Ludwiś zobaczy się w Mińsku z p. Uniechowskim i postara się go przekonać, aby zażądał innego trybu działczego. Dziś podpisaliśmy protokół tylko ja i c. Cesia, która wyjeżdża zagranicę i na naszym niedzielnym zebraniu z arbitrami nie będzie (ewentualnie zastąpi ją jej plenipotent — Boguński). Mieczyś i Wołodkowiczowie wstrzymują się z podpisaniem protokołu do niedzieli, Mieczyś Tukałło obiecuje podpisać go jutro. Sytuacja działowa więc jeszcze się nie wyklarowała.

Wyznaczone na dziś wieczór zebranie komitetu redakcyjnego „Przeglądu Wileńskiego" nie doszło do skutku. Chodziło bowiem o to, aby komitet zakwalifikował do druku mój artykuł p.t. „Nacjonalizm a kresy". Tego chciał Witold Abramowicz. Tymczasem z członków komitetu Piłsudski wyjechał, Krzyżanowski poważnie chory leży w łóżku. Z pozostałych, którzy by mogli wziąć w zebraniu udział, Nagrodzki zazwyczaj się wstrzymuje od wydania merytorycznego w treści ~~[illegible]~~ artykułów, ja jestem sam autorem omawianego artykułu, pozostaje więc Witold Abramowicz i sam redaktor Ludwik, który już artykuł mój zna i akceptuje. Wobec tego porozumieliśmy się z Abramowiczami prywatnie co do pewnych zmian w rękopisie z punktu widzenia [illegible]. Końcowe ustępy artykułu zostały trochę [illegible] i [illegible], jest myśl moja [illegible] [illegible] jej konkluzja, wyrazistsza; ~~[illegible]~~ artykuł w tej postaci pójdzie, jako wstępny, do N 6. Od pewnego czasu spostrzegam fakt, którego się nie spodziewałem: redaktor nasz, Ludwik Abramowicz, bynajmniej nie stoi bardziej na prawo od naszego komitetu redakcyjnego; niewątpliwie jest bardziej lewy od dwóch przynajmniej członków komitetu, — od swego brata Witolda i od Nagrodzkiego. Tylko my z Krzyżanowskim i może Piłsudski jesteśmy od niego radykalniejsi. Cieszę się z tego faktu.

Wieczorem spędziłem parę godzin w cukierni Sztrala przy prospekcie. Wygląda ona teraz po przebudowie, jak na Wilno — okazale. Robi wrażenie kawiarni wielkomiejskiej — już na wzór europejski. Sza[illegible] muzyka, gwarno, dużo blasku, ruchu; publiczność się przewija pstra, mieszana, typu kawiarnianego. Sporo kobiet [illegible]. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułem się w dobrze mi znanej atmosferze kawiarnianej. To mię podnieca całą, będąc wspomnieniem [illegible] lat [illegible]. Atmosfera kawiarniana, ruch, gwar, kobiety — [illegible] na [illegible] [illegible]. Spotkałem się tam z Władysławem [illegible] z [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] Żydem, którego w [illegible] [illegible]

1(14) lutego. rok 1912. środa.

Zajęty byłem sprawami adwokackiemi ze spuścizny po Grajewskim. To mi zajęło większą część dnia.

Stefuś wyjechał dziś na zapusty do Starzynek do p. Zosi Tukałłowej, gdzie go oczekuje Niunia, Siemio – do rodziców swoich, do p. Zielcza.

Wieczór spędziłem u Anny. Ze stanem jej zdrowia, tak fizycznie jak pod względem wyglądu i humoru, – jest lepiej. Anna była dziś w usposobieniu niezmiernie nerwowym. To się śmiała, to znów łzy się jej do oczu cisnęły. Była wpatrzona we mnie, jak w tęczę zbawienia, i w takim była głębokim nastroju rozkochania, jaki bywa rzadko nawet u niej. Tym razem nie mogła wstydliwością i dumą przemóc naturalnej potrzeby ekspansji uczucia. Cała jej rozmowa była jednym nieprzerwanym potokiem wyznania miłości; przytem płonęła cała ze wstydu, tuliła się do mnie i chowała twarz swoją, a łzy miała w oczach i uśmiech dziewczęcy na ustach. Ślicznym to był nastrój i pełny radości i szczęścia więcej. Taka stanowczość wyznań Anny świadczy o wielkim wzruszeniu, o niezwyczajnym skupieniu uczucia w tych czasach ostatnich, które się nie wytłumaczą wywołało oddalenie przymusowe, zamierzone na parę tygodni z powodu choroby Anny

2 (15) lutego rok 1912. czwartek.

Korzystając ze święta, cały niemal dzień spędziłem z Anną. Rano poszedłem do niej o godz. 11. Zabawiłem u niej z pół godzinki, a potem wyszedłem z nią na miasto. Pogoda była ładna, mróz niewielki, powietrze łagodne, lekki śnieżek prószył. Zrobiliśmy duży spacer pieszy z ul. Monastyrskiej przez dworzec kolejowy, całą [illegible] aż na Żukiszki pod Zwierzyniec do składu drew Tyszkiewicza, gdzie musiałem właśnie obstalować drwa dla siebie. Spacer był miły, serdeczny. Rzewny nastrój Anny, o którym wspominałem wczoraj, trwał przez dzień cały. Anna jest w tkliwej, gorącej i intensywnej fazie miłości do mnie. Ciągle mię w całym zachowaniu i wyrazie twarzy wyznania miłości, które z niej wybuchowo na usta wypływa, hamowane prześliczną wstydliwością dziewczęcą. Jest w tym wyrażeniu bajeczna. Opowiadałem jej dawniej o pani Krzyżanowskiej, która jest zakochana w mężu po uszy, patrzy nań do dziś, jak pies wierny, wierny wzrok, jak w Boga, i tak idealizuje, jak idealizować umie tylko podlotek swoją pierwszą miłość dziewczęcą. Anna mi w spacerze w ciekawej skardze wyznała, że czuje, iż się staje w tym do pani Krzyżanowskiej podobną. A wieczorkiem, gdyśmy z nią byli w kinematografie, gdzie przedstawiano w jakimś dramacie, jak młoda kobieta kokietuje mężczyznę, Anna, garnąc się do mnie, oświadczyła, że przenigdy nie potrafi tak mię kokietować, tak mię zdobywać, jak tamta. Wzrasta też zazdrość u Anny, drażliwość na punkcie zwracania przeze mnie uwagi na kobiety. Jest też niezmiernie delikatna pod względem pieniężnym; całą siłą wstrzymuje mię od wydatków, boi się być ciężarem dla mnie. Nie chciała dziś przyjąć odeń całej sumy swej pensji miesięcznej. Ostatecznie nie przyjęła, zmuszając mię do zmniejszenia kwoty. Miłość ta, subtelna, rzewna i dumna wzrusza mię głęboko. Czy zasłużyłem na taką!

Wieczorem byłem u p. Szklennika na zebraniu zarządu Towarzystwa Popierania Kooperacji. Obecni byli: członkowie zarządu p.p. Aleksander Szklennik i Ignacy Turski, oraz zwyczajni członkowie Towarzystwa Mańkowski i in. Rozważaliśmy sprawę utworzenia na miejscu agentury powstającego w Moskwie kooperacyjnego Banku Ludowego a następnie poważnej sprawy udziału towarzystw naszych w pierwszym Zjeździe Wszechrosyjskim działaczy drobnego kredytu i kooperacji rolnej, mającym się odbyć w marcu w Petersburgu. Na Zjeździe tym ma być omawiane ustawodawstwo w zakresie kredytu drobnego i kooperacji rolnej i zaprojektowany już jest szkielet nowego ustawodawstwa w tej dziedzinie. Jest to więc moment, kiedy należałoby nam zgłosić nasze dezyderaty i wnioski, ewentualnie poprawki, z punktu widzenia naszych krajowych potrzeb kooperacji i kredytu. Niestety — zamało jesteśmy do takiej czynności przygotowani, zamało [illegible]. Postanowiliśmy więc zwołać na tydzień przed Zjazdem liczniejsze zebranie dla omówienia naszych potrzeb i wniosków na Zjazd, z tym, aby się do dyskusji przygotować rzeczowo i treściwie.

3/16 lutego.
rok 1912.
piątek.

Podług zwyczaju, jak corocznie, Łowołocki zaprosił do siebie grono ~~kolegów~~ kolegów na tradycyjne bliny zapustne. Do grona wybranych, których Łowołocki zaprasza, należę też ja. Najmłodszych pomocników oraz starszej generacji adwokatów Łowołocki nie zaprasza wcale, za kilku jeno wyjątkami. Przeważnie wybiera średnią generację, to znaczy starszych pomocników, przeważnie jednolatek ~~moich~~ swoich, oraz młodszych adwokatów. I śród tych wszakże robi segregację, kierując się zapewne względami sympatji oraz bliższych stosunków zawodowych. Obecni byli przedstawiciele wszystkich czterech narodowości, reprezentowanych w adwokaturze, mianowicie rosjanie: Wołczkowicz, Carik i sam gospodarz, polacy: Klott, Piłsudzki, Wyszyński, Bagiński, Łapiński, Kostowski Juljusz i ja, żydzi: Wygodzki, Lewin, Sołowiejczyk i Ticmukife?, ~~w~~ wreszcie litwin Janulaitis. Obecna też była żona gospodarza i ~~ciotka~~ panna, szwagierka czy też siostra jego. Zasiedliśmy do stołu koło godz. 5 i spożywaliśmy znakomite dary Boże, zalewając je obficie wódką i winem, do godz. 8. Bliny były świetne, to też raczyliśmy się na potęgę. Do blinów oprócz masła i śmietany był kawior, siemga, śledzie. Po blinach był barszcz czysty, potem pieczyste z indyka i jarząbków, dalej lody, ~~a~~ ananasy świeże, owoce, ser. Potem przeszliśmy do salonu na kawę z likierami. Nastrój był wesoły, koleżeński. Nie mogłem się jednak dłużej raczyć kawą, bo musiałem na godz. 8 1/2 śpieszyć na spotkanie z Anną. Umówiliśmy się z nią na dziś wieczór do wanny; spotkanie wyznaczyliśmy ~~[illegible]~~ na placu Katedralnym; Anna miała się specjalnie uwolnić wcześniej od Lipkowskich, aby mieć więcej czasu na wannę. Musiałem się więc śpieszyć na spotkanie, bo nie mogłem jej narażać na wystawanie na ulicy i nie mogłem nie cenić jej wcześniejszego uwolnienia się od pracy dla zyskania czasu na nasz wieczór dzisiejszy. Wieczór ten wszakże się nie udał, bo byłem trochę podchmielony i nie umiałem zastosować serdeczności do Anny. Podchmielenie a zwłaszcza jego stadjum późniejsze jakoś ogłupia i otępia człowieka, pozbawia go subtelnej giętkości umysłu i wrażeń. ~~Jest to [illegible]~~ Następuje to zwłaszcza wtedy, gdy jeden jest podchmielony a drugi trzeźwy, bo gdy oboje są podchmieleni razem, to skutek jest wręcz przeciwny, powodujący do podrażnienia. Czułem, że straciłem dziś wieczór, który mógł być piękny i zły byłem na siebie. Poco mi było pić tak dużo, gdy mię czekało wrażenie tak piękne!

172.

4 (17) lutego rok 1912. sobota.

Spuścizna adwokacka po Krajewskim zajmuje mi dużo czasu i pracy. Gdy mam kilku klientów raz po razie z petycjami do prędkiego załatwienia sprawami, nie mogę w robocie nadążyć. Nie mam jeszcze wprawy do automatycznego załatwiania spraw. Muszę nad każdą trochę posiedzieć, aby się zorientować należycie i powziąć decyzję do działania, muszę też przytym dużo zaglądać do ustaw i wyroków senackich, w których biegły nie jestem. A jeszcze tym bardziej przez to muszę dużo czasu zużywać, że wszystkie te sprawy są same przez się dla mnie nowe i że muszę najpierw każdą poznać od samego jej zawiązku. To mi lwią część czasu pochłania.

Na jutro miało się rozpocząć nasze zebranie działcze u Starynek i Mamuytów z udziałem arbitrów. Tymczasem pod wieczór otrzymałem depeszę z Mińska od Ludwisia Wołodkowicza z zawiadomieniem, że na jutro nie przyjedzie i że dopiero we wtorek, 7 go b. m., się stawi, oraz że p. Umiechowski nań tę prolongatę się zgodził. Ludwiś podaje za pretekst przeziębienie. Zapewne chce wziąć udział w zabawach mińskich z ostatnich dni karnawału. Inni uczestnicy zjazdu dzielczego, Mieczyś Bohdanowicz, Mieczyś Tukałło i drugi arbiter — p. Kazimierz Koszowski, mają już przyjechać jutro rano. Nie zatrzymałem już ich, bo było za późno. Mam nadzieję, że zgodzą się przeczekać w Wilnie te dni parę do wtorku.

Zapusty — czas blinów. Wczoraj jadłem je u Nowołockiego, dziś znów otrzymałem zaproszenie do Witolda Abramowicza. Zebrało się tylko kilka osób. Oprócz gospodarza i żony jego był Ludwik Abramowicz, Piłsudzki, Zlott, Hrydzkiewicz (nie rozumiem z jakiego tytułu zaproszony) i ja. Uraczyliśmy się suto, że ledwie byliśmy w stanie dyszeć.

O godz. 7 1/2 poszliśmy z Maryńką na herbatę wieczorną do starej p. Bohdanowiczowej, gdzie parę godzin zabawiliśmy. Stamtąd o godz. 10 pojechałem do Aniuty na ul. Monastyrską. Byłem już wytrzeźwiony po biesie przy blinach i w dobrym, wesołym humorze spędziłem godzinkę na gawędzie z moją ukochaną.

18 lutego. rok 1912. niedziela.

Rano otrzymałem № 6 „Przeglądu Wileńskiego" z moim artykułem wstępnym p.t. „Nacjonalizm i kresy". Rozumie się, że artykuł jest trochę w ustępach końcowych obcięty, brzmi jednak miejscami nie zupełnie legalnie. Po przeczytaniu artykułu tego w druku wydał mi się on niebezpieczniejszy niż w chwili, gdym go pisał. Cenzura może się w nim ewentualnie dopatrzyć cech zbrodni „nawoływania do obalenia ustroju państwowego" czy czegoś podobnego. W naszych warunkach politycznych i cenzuralnych nie sposób nigdy wiedzieć, gdzie się kończy zakres krytyki dozwolonej i zaczyna tak zwana „zbrodnia". Trochę czułem się zaniepokojony, ale z artykułu rad.

Rano spędziłem kilka godzin z Anną, z którą zwiedziłem doroczną wystawę obrazów, urządzoną przez Wileńskie Towarzystwo Artystyczne. Wieczorem znów się z Anną spotkałem. Byłem z nią w kinematografie Intemera, resztę zaś wieczora spędziłem u niej. Biedna Anna miewa przykre ~~[illegible]~~ chwile, gdy spotyka przypadkiem kogoś, którego znała w charakterze „gościa" na Zakrzeciu. Do takich byłych „gości" należy np. Buszczyc, Jan Kryżanowski (brat Bronisławy). Dziś właśnie, gdyśmy byli z Anną w kinematografie, był też tam Jan Kryżanowski. Czy poznał Annę — nie wiemy. Ale biedna Anna struchlała, straciła humor, wpadła w przygnębienie. Sama myśl, że może być poznana, bardzo ją upokarzała. Jak ciężko jest takiej biedaczce, jak uciążliwy jest taki upadek czasowy, przez który Anna przeszła! Biedne dziecko! Podźwignęła się z tego [illegible], tak szczerze, a wciąż jeszcze wyrzucają i ranią ją kolce tej wstrętnej, haniebnej przeszłości, która przecież była tylko epizodem w jej życiu. Biedne kochane dziecko, opłacające nieszczęście nieszczęściem. Dobrze, że przynajmniej teraz ma życie szczęśliwe. Nie opuszczę jej nigdy i zawsze będę miał [illegible]. Jedna tylko rzecz jeszcze [illegible] Annę i jej spokój [illegible] — to ~~[illegible]~~ [illegible] że ja mam takie stosunki z kobietami, [illegible] do niej.

Każde moje spojrzenie, skierowane na inną kobietę, [illegible] Anny [illegible]. Wiem [illegible] [illegible]

6 (19) lutego rok 1912. poniedziałek.

Widziałem się rano z Tadeuszem Wróblewskim. Artykuł mój we wczorajszym numerze „Przeglądu Wileńskiego" podobał, na zapytanie zaś, czy nie dostrzega w nim cech z punktu widzenia cenzuralnego występnych, odpowiedział, że niewątpliwie pewne elementy „występne" są, ale są też, jak się wyraził, — i „okoliczności łagodzące." Nie jestem jeszcze zupełnie spokojny pod tym względem, choć dotychczas cicho.

Jest wszakże inny feler w N-rze wczorajszym „Przeglądu". W artykuliku moim „Z życia litewskiego" o perspektywach przedwyborczych u Litwinów przedstawiłem konstelacje wyborcze zbyt prawdziwie, zbyt, jak uważają Litwini, otwarcie. Uważają oni, że popełniłem nietakt, rozkonspirowując wobec władz ich ewentualnych kandydatów demokratycznych. Zarzucają mi zwłaszcza zacytowanie nazwisk ewentualnych kandydatów: Ułasewicza, Petrulisa i Yčasa. Kandydatury te są u nich istotnie planowane, ale, jak się okazuje, w sekrecie, o czym nie wiedziałem, bo przynajmniej głośno o nich mówiono. Litwini się boją, że zwrócenie na kandydatów tych uwagi władz może być niebezpieczne. Mają oni teraz przygotowane zawczasu cenzusy, z których w swoim czasie skorzystają. Tymczasem gdy władze zwrócą na nich uwagę, to postarają się doszukać jakichkolwiek braków w tych cenzusach, aby ich zawczasu usunąć, a stąd Litwini pozbawieni zostaną świadomych kandydatów demokratycznych inteligenckich i zostaną skazani na bezbarwnych i mało uświadomionych włościan. W ogóle trzeba chować kandydatury do czasu w cieniu i dopiero w chwili wyborów ~~[illegible]~~ je ~~[illegible]~~ uwydatnić. Wobec kan=

[illegible]

7 (20) lutego rok 1912. Wtorek.

Sołoniewiczowska „Siewiero-Zapadnaja Żyzń" wypuściła dziś artykuł wstępny z powodu mego artykułu „Nacjonalizm i kresy". Oczywiście rzuca się za mój artykuł na „Przegląd", na postępowców polskich, cytując z mego artykułu te wszystkie kawałki, które są skierowane przeciwko państwowości rosyjskiej. Jest to oczywiście zupełnie naturalne w piśmie, które uprawia systematycznie denuncjacje i szpieguje „wrogów wewnętrznych" w państwie. Za zaszczyt natomiast sobie uważam stwierdzenie przez organ p. Sołoniewicza faktu, że ~~[illegible]~~ kierunek demokratyczny, pojęty w myśl mego artykułu, jest niebezpieczniejszy dla ~~[illegible]~~ nacjonalizmu rosyjskiego ~~[illegible]~~ od przeżytych interesów formułek szlacheckich. Tak, z demokracją nacjonalizm rosyjski ani konszachtów, ani punktów stycznych do kompromisu mieć nie może.

Odbył się dziś zjazd dzielczy na Staryńki i Mamyłty. Przybyli obaj arbitrowie, p. Ludwik Uniechowski i p. Kazimierz Borowski. W zebraniu oprócz arbitrów brali udział: Mieczyś Bohdanowicz, ja, Ludwiś Wołodkowicz, jako plenipotent c. Lucji Wołodkowiczowej, Mieczyś Tukałło, jako plenipotent c. Róży Tukałłowej, i Bogiński jako plenipotent c. Cesi Tukałłowej. P. Uniechowski zawładnął zupełnie sytuacją i podporządkował sobie drugiego arbitra, p. ~~W.~~ Borowskiego, który idzie za nim na ślepo. Uniechowski forsuje ~~[illegible]~~ kierunek działu z wyraźnym faworyzowaniem Wołodkowiczów. Mieczyś Bohdanowicz próbował stawić się ostro, ograniczając kompetencję arbitrów i odwołując się do naszej ostatniej uchwały o mechanicznym podziale wszystkiego na 14 równych cząstek z rozlosowaniem takowych w zachowaniu, ale Uniechowski przełamał stanowczo Mieczysia i zmusił go do uległości. Naradził się bowiem z Borowskim i oświadczył kategorycznie od imienia obu arbitrów, że od przyjęcia na siebie roli li tylko ~~[illegible]~~ automatycznej ~~—~~ oni się odmawiają. Mieczyś Bohdanowicz, który rozumie dobrze, że cofnięcie się arbitrów usunie wszelkie szanse działu polubownego i doprowadzi do działu sądowego, za który odpowiedzialność spadłaby na niego, zmuszony został się uspokoić i pójść za wolą arbitrów. Przez cały dzień omawiana była prawie wyłącznie kombinacja działu Staryniek. O Mamyłtach prawie że nie mówiono. Dalszy ciąg obrad odłożono na jutro. Sprawa idzie bardzo ciężko, bo strony się, ze względu do układów, [illegible] nieufności, pozorów, wzajemnych i zachłanność wybujała do ostateczności. Sprawa Staryniek [illegible] bezpośrednio obu arbitrów, bo [illegible] li tylko w Mamyłtach.

8 (21) lutego. rok 1912. Środa.

Cały niemal dzień zużyty na zjazd dzielczy. Rano jeno przez chwileczkę widziałem się z moją kochaną Anną, z którą już od 2 dni się nie spotkałem. Przed godz. 10 zaszedłem do cukierni Jassopiona, gdzie zastałem już czekającą na mnie kochaną dziewczynę. Odprowadziła mnie na Wileńską i tu umówiliśmy się znów do jutra rozstać. Oboje[śmy] stęsknieni do siebie, a biedaczka Anna, której życie jest poza tym mniej zapełnione od mego, nie może z tęsknoty sobie miejsca znaleźć. Wciąż powtarza o sobie z prześliczną naiwną prostotą: „biedna Anna" / „Armes Anna", jak się wyraża w naszej specyficznej gwarze (quasi-niemieckiej). Znów dziś wieczór nie mogliśmy się spotkać.

Poza tym — obrady dzielcze w hotelu Europejskim, przez większą część dnia. Wypłynęły dziś nowe kombinacje, i już, już się zdawać mogło, że wszystko się dobrze i szybko rozwiąże. P. Uniechowski jest istotnie w roli arbitra nierówny: umie układać kombinacje, działać perswazją lub w razie potrzeby brać oporczywych za łeb i naginać ich niemal gwałtem do układu; ma świetny zmysł orientacyjny, giętkość i mądrość umysłu; zna komicznie doskonale sytuację i orjentuje się w poszczególnych momentach, w naturze i tendencjach osób, zastosowując do nich najrozmaitsze skale i metody działania. P. Kazimierz Borowski, skądinąd, jako człowiek, miły i nawet ciekawy, bo charakterystyczny i dowcipny, wobec p. Uniechowskiego bledzie, jako arbiter, i idzie za nim posłusznie. Mieczyś Bohdanowicz, którego p. Uniechowski wczoraj spętał, dziś już idzie w ordynku, nie próbując frondować. Mieczyś Bohdanowicz zrozumiał, że p. Uniechowski będzie skłonny do faworyzowania Wołodkowiczów i postanowił ułatwić Wołodkowiczom przeniesienie się na Mamyły, aby ich od siebie oddzielić i zdobyć jak największą pierwszeństwość na Stanynkach. A że Wołodkowiczowie mają też sami chrapkę do Mamyłów, więc teraz Ludwik Wołodkowicz idzie ręka w rękę z Mieczysiem Bohdanowiczem. My w tej kombinacji jesteśmy na uboczu. Bohdanowicz z Wołodkowiczem wytworzyli kombinację następującą: Bohdanowicz kupuje od c. Zofii 3 cząstki w Stanynkach i komasuje ~~[illegible]~~ Wołodkowiczów i c. Cesię na ~~[illegible]~~ Mamyłach. Wtedy na Stanynkach Bohdanowicz zostałby sam jeden, Mamyły zaś działałyby się polubownie. Przez cały dzień toczyły się o to pertraktacje

[illegible]

[illegible]

9 (22) lutego 177

rok 1912.

czwartek

Wreszcie dobiliśmy jakoś do portu. Przez cały dzień układaliśmy z arbitrami protokół uchwał naszych, streszczających plan podziału majątków oraz zakres ~~[illegible]~~ kompetencji arbitrów. Znów rozgrywały się walki, układały się kombinacje, mające pogodzić czyli raczej stworzyć kompromis apetytów i dążeń poszczególnych, nieraz rozbieżnych a zawsze zaprawionych chciwością i szukaniem sposobu do wyzyskania słabszych. Rywalizacja tych apetytów, starcia, poruszenie namiętności tak pierwotnych, jak chciwość i zazdrość, — dawały widowisko ciekawe, ale też odsłaniały w sposób przykry wszystkie najpodlejsze, najlichsze cechy natury ludzkiej. Z punktu widzenia artystycznego rzecz była ~~[illegible]~~ piękna, z punktu etycznego atoli – szpetna. Ja byłem przeważnie wyłącznie w roli spektatora, bo mój czyli Matki mojej interes jest w tym dziale prosty i nieskomplikowany, a zrealizowanie takowego w postaci określenia konkretnej działki dla schedy naszej dało się dokonać w warunkach nader dogodnych. Już poprzednio, orientując się w dążeniach stron innych, ~~[illegible]~~ wykombinowałem dla siebie działkę na uboczu taką, któraby i dla mnie pod względem wartości była dogodna i spokojna, a zatem szczególnie grubszym rybom w drogę nie wchodziła. Ponieważ główne sfery [illegible], ciocia Józia i Wołodkowiczowie, mierzą iść na dwie kapitalne jednostki gospodarcze — fermę [illegible] i folwark [illegible], więc dla uniknięcia tarć i ewentualnego zbrutalizowania naszej małej schedki przez dwie, uważałem za wskazane nietylko że się usunąć dalej od centrów tych, ale też unikać lokowania się koło tych punktów, gdzie się muszą spotykać kresy rywalizujących sąsiedztw kapitalnych i gdzie przeto walka, o ile kresy te stanowią cząstki cenne, musi się rozgorzeć w całym tłumie. Znalazłem gdzieś miejsce dla siebie w uboczu, ~~[illegible]~~ gdzie walki toczą się wolniej i gdzie przeto mniejszej siły wystarczy do utrzymania się. Chodziło tylko o to, aby miejsce to wypadło na cząstki cenne, to znaczy z naszego punktu posiadały jakąś wartość dla mnie, w sensie towarowej. Jednym takim właśnie miejscem była ziemia [illegible]

[illegible]

10 (23) lutego. rok 1912. piątek.

Pomimo [illegible] zmęczenia po nocy niewyspanej, poszedłem rano na spotkanie Anny. Przez te kilka dni, pochłonięty przez sprawy działowe, widywałem się z Anną jeno dorywczo, toteż stęskniłem się do niej szalenie. Usiadłem w cukierence Jastowicza w oknie, wyczekując na przechodzącą tędy do Łopkowskiej Annę. Anna ujrzała mnie, przechodząc, zobaczyła i wstąpiła do cukierni. Spędziliśmy z nią tam chwilkę, a potem odprowadziłem ją jeszcze do Łopkowskiej. Byłem w humorze szalonym, zachwycony z mojej Anny i pożegnałem się serdecznie z nią. Te chwilki spotkań naszych należą do najpiękniejszych, do najsłodszych w życiu.

Dokończyliśmy dziś formalności postanowień działowych. Każdy ze spółdziedziców musiał podpisać i złożyć na ręce arbitrów weksle (na [illegible] wypadło weksli na 15000 rb.), które mają służyć gwarancją zastosowania się przez nas do orzeczeń arbitrów. Na superarbitra wybrali arbitrowie Hipolita Siaczewicza z Wiazynia. Złożyliśmy na ręce arbitrów plany Stanynek i [illegible], potem zebrali naszych oraz akta oceny, dokonanej w roku zeszłym przez poprzednich arbitrów, — Eustachego Lubańskiego, Chełchowskiego i Jana Borowskiego.

Wieczorem poszedłem na zebranie dyskusyjne młodzieży, na które byłem zaproszony przez młodzież postępową. Tematem dyskusji był nacjonalizm i kosmopolityzm, raczej zadania inteligencji demokratycznej polskiej w kraju (w Litwie i Białej Rusi). Było to zebranie kółka młodzieży narodowo-demokratycznej z udziałem młodzieży postępowej oraz grona inteligentów, złożonego z przedstawicieli białorusinów, polaków-endeków i polaków-postępowców. Zebranie to wyłoniło się z odczytu, który wygłosił Maćkowski w kółku młodzieży narodowej. Maćkowski, polak, ale zbliżony do białorusinów i biorący udział w ruchu białoruskim. Zebranie to już dwukrotnie było odkładane, bo inteligienci endeccy się nie stawiali. Dziś wreszcie doszło do skutku. Na zebraniu było kilkadziesiąt, do dwudziestu, osób z młodzieży; młodzież postępowa przeważała. Z inteligientów byli: [illegible] prelegent Maćkowski, białorusini Antoni i Iwan Łuckiewiczowie, postępowcy ja i Ludwik Abramowicz, endecy Leon Hołowiński i jeszcze pomocnik adwokata Jasiński — i wreszcie gorący nacjonalista, wszakże nie endek, Wacław Studnicki. Referat, wygłoszony przez Maćkowskiego i mający stanowić punkt wyjścia do dyskusji, był całkiem marny: płytki, pełen szablonowych frazesów, zestawień wyjątków z dzieł wielkich myślicieli, historyków i publicystów, ale kompletnie niepotrzebny, banalny. Maćkowski w nim dowodził, że obowiązkiem inteligencji polskiej w kraju tym jest szczerze poprzeć ruch białoruski i litewski, rozwijania prądów narodowych środowiska. Mówił dużo o „duszy” ludowej, o kulturze białoruskiej, o [illegible] skarbnicy wszechludzkiej przez nowe dopełnienia kultury narodowej. Zarzucał inteligencji i szlachcie polskiej szczególne położenie przez szkółki tajne polskie, przez kościół, przez wpływy kulturalne, które ona w tym ruchu polonizacyjnym świadomie i celowo wyzyskuje. Naogół stanowisko Maćkowskiego w zwalczaniu nacjonalizmu polskiego było raczej nacjonalistycznie białoruskie. W dyskusji, która się potem wywiązała, zabierali głos Hołowiński, Jasiński, Studnicki, Maćkowski, obaj Łuckiewiczowie, ja, a z młodzieży tylko postępowcy — Niedziałkowski i Kobyliński. Dyskusja, zwłaszcza w początku, była jałowa. Przedmiotem rozważań było zwłaszcza pytanie, czy kultura ludowa białoruska może dziś czy nie, i co wniosła do dorobku ogólnoludzkiego. Wreszcie ta, utrzymująca temat w obłokach przewidywać i „zabijać czas”, nie mogła dać realnego rozwiązania dla spornego zagadnienia o roli inteligencji krajowej w sprawie kultury ludu. Dopiero dyskusja stała na tym gruncie, gdy Jasiński wraz z pozostałymi [illegible] zaczęli [illegible]. Hołowiński wciągnął się w dyskusję [illegible], całą kampanię ze strony endeckiej prowadził Jasiński, dość wolny i wymowny, lepiej nieco rozwinął temat młody

11 (24) lutego. rok 1912. sobota.

Byłem przez dzień cały zajęty sprawami najrozmaitszemi, wieczorem zaś wpadłem na parę godzin do Anny. Spędziłem u niej czas, jak zawsze, bardzo przyjemnie. Stosunek nasz, który się był w grudniu i styczniu zrównoważył w miłości spokojnej i równej, teraz od paru tygodni znów nabrał młodzieńczego temperamentu i nowych tonów tęsknoty. Znów, jak w pierwszych miesiącach, spotkania nasze są zabarwione gorącą wylewnością uczuć. Nie wystarcza nam spokojna równa miłość, na pewności oparta, zadowolona i syta. Łakniemy ekstazy szczęścia, chcemy się wciąż i aż do zupełności stopić w jednolity zespół czucia. Najcharakterystyczniejszą bodaj cechą miłości, różniącą ją od wszelkich przyjaźni i sympatji, jest właśnie ten nigdy nie zaspokojony głód całkowitego posiadania się wzajemnego, tak fizycznego, jak zwłaszcza psychicznego, — [illegible] ten chęć, jak imperatyw kategoryczny, wyrównania tej przepaści, która bądź co bądź zawsze, bo taka jest natura, dzieli dwa osobniki na 2 światy odrębne. Stanie się całkowicie tych 2 światów w całość jedną — to właściwa dziedzina miłości, tej istoty właściwa. Miłość [illegible] jest w stadjum [illegible] wyższych, drobniejszych, które się u [illegible] manifestuje przeważnie

12(25) lutego rok 1912. Niedziela.

Cały dzień od samego rana, — z przerwą tylko parogodzinną w porze obiadowej, — spędziłem z Anną. Umówiliśmy się z nią spędzić dzień dzisiejszy w hotelu. Rano spotkaliśmy się w cukierni Jassowicza, skąd wprost udaliśmy się do hotelu Versailles („jüdische hôtel", jak go nazywamy). Byliśmy w humorach dobrych, uczucie w nas tętniło i strzelało źródłem gorącym, to też czas nam schodził ze sobą w najlepszy. O godz. 2 popołudniu opuściłem Annę na parę godzin dla załatwienia kilku bieżących spraw na mieście, a o godz. 4 już byłem z powrotem, aby zabrać Annę na obiad do restauracji Myśliwskiej, gdzieśmy już z nią bardzo dawno nie byli. Najniepotrzebniej w świecie zaproponowałem Annie wypić przy obiedzie. Anna ma charakter nierówny, dziki trochę, z ukrytym nieokiełznanym temperamentem, pełny kontrastów i materjału palnego w nastrojach. Młodość u takich osób jest szumna, szalona. W trybie głębokiej miłości natury takie, jak Anny, osiągają prześliczną harmonję i są cudnie piękne, gdy się cała ekspresja ich ~~charakteru~~ bujnej duszy wytęży w kierunku jednolitym. Taka jest moja Anna. Niebezpiecznie jest rozpętać jej temperament, rozbudzać w alkoholu wszystkie sprężyny jej uczuć, zmysłów, tęsknot i t. d.. Anna od dłuższego już czasu nie pije wcale. Nie chce pić i nie pije. Ale gdy raz zakosztuje alkoholu i doświadczy podniety, nie zna miary, granic i hamulców. Tak też było teraz. Długo się wzbraniała przed wypiciem pierwszego kieliszka i wypiła dopiero wobec natarczywych nalegań moich. To samo było z drugim kieliszkiem. Ale już po drugim żądała sama następnych i piła raz po raz. Opróżniliśmy flaszeczkę wódki, a potem chciała więcej. Do kawy wypiliśmy jeszcze ćwiartkę benedyktynu. Byliśmy podochoceni, rozbawieni. Śmialiśmy się, dokazywaliśmy, umizgaliśmy się w restauracji, korzystając, że nikogo oprócz nas o tej porze nie było. Wreszcie wyszliśmy znów do hotelu. Chłodne powietrze ulicy jeszcze bardziej podnieciło Annę. Była jeszcze wesoła, radosna, gwarzyła wesoło, ale już się w ~~...~~ niej biły jakieś nuty dzikiego rozpasania. W hotelu zaczęło się

[illegible]

Rano poszedłem do Anny do hotelu, 13/26 lutego
gdzie ją wczoraj zostawiłem. Spędziłem rok 1912.
z nią tam czas do godz. 2 popołudniu.
Zastałem Annę słabą, zmęczoną po poniedziałek.
alkoholu wczorajszym, zawstydzoną. Wró-
ciła znów do równowagi, „wróciła do klatki"
— jak z nią ~~[illegible]~~ stan taki określa-
my. Przepraszała mię, garnęła się, wsty-
dziła, gniewała się na samą siebie. Za-
pewniła, że już nigdy więcej pić nie
będzie. Postanowienia te jest u niej
stałe, i wypełnia je zresztą szczerze;
wczoraj też tylko na moje nalegania
dała się do ~~[illegible]~~ tej biby namówić,
ale taka już ma biedaczka bujną
naturę, że nigdy wpół drogi ustać
nie zdoła. i gdy już pić zacznie,
to pije do końca. O godz. 2 już zaprowa-
dziłem ją na obiad do restauracji Ni-
[illegible]kowskiego, poczem rozstaliśmy się.

Wieczór spędziłem u Żmujdzinowiczów.
Wobec tego, że pojutrze ma się odbyć ogólne
doroczne zebranie członków Litewskiego T-stwa
Artystycznego („Lietuvių Dailės Draugijos"),
dziś odbyło się posiedzenie komisji rewizyjnej tego
towarzystwa w osobach Czesława Landsberga, Ja-
nulaitisa i Stażewicza. Ja, jako kasjer towa-
rzystwa, poddałem ich rewizji księgi kasowe.
Rocznego sprawozdania kasowego jeszcze nie
zakończyłem; dopiero opracowałem sprawozdanie
z dochodów, ~~[illegible]~~ to też komisja tylko takowe
zlustrowała. ~~[illegible]~~ Lustracja komisji była szczegółowa
i trwała od godz. 8 1/2 wiecz. do godz. 1 w nocy.

14 (27) lutego rok 1912. wtorek. Znaczną część dnia zajęty byłem układaniem rachunków „Lietuvių Dailės Draugijos" do rocznego sprawozdania kasowego. Praca to żmudna bardzo, ale, dzięki Bogu, nie jałowa. Do tylu robót człowiek się angażuje, składzie siły i energję, a ileż z tych robót okazuje się dalszemi jałowych, chybionych dla tych lub innych przyczyn! To też tym goręcej się czuje radość, gdy dzieło, do którego się rąk i pracy przykładało, jest żywe i twórcze. Wtedy się pracy wyłożonej, choćby ona ciężką i samą w sobie nudną była, nie żałuje. Takie mam właśnie uczucie w „Dailės Draugiji" i: Towarzystwo rozwija się znakomicie, z roku na rok rozszerza zakres swych czynności, a dzieło jego jest piękne, bo wspiera i popularyzuje sztukę a przez to przyczynia się dodatnio do rozwoju kultury litewskiej a więc i kultury kraju. Urządzanie wystaw sztuki litewskiej z obfitym działem sztuki ludowej, wystawa Čiurlanisa w roku ubiegłym, wydawnictwo albumu krajobrazów litewskich, zaprojektowanie wydawnictwa dzieł muzycznych ś. p. Čiurlanisa – oto są główne najwybitniejsze momenty działalności „Dailės Dr." Sprawozdanie kasowe zaś odzwierciedla wielkie ożywienie w działalności T-stwa w roku ubiegłym. Ogólny obrót kasowy w roku ubiegłym podwoił się przeszło w porównaniu do roku poprzedniego (w roku 1911-12 wyniósł rb. 2714.19, podczas gdy w r. 1910-11 wynosił rb. 1332.62; różnica wynosi rb. 1381.57).

Wieczorem poszedłem do Anny. Byłem jakiś bez humoru, co biedna Anna zaliczyła na karb rzekomego gniewania się mego na nią za pójście niedzielne. Gdy zaś na jej oświadczenie, że mnie kocha, zaprzeczyłem, biedna Anna wpadła w rozpacz, zaczęła płakać i dąsać się. Zaszły przykre sceny i nieporozumienia, z których nie mogliśmy się wywikłać. Wreszcie już wyjść chciałem i wyszedłem nie żegnany przez Annę. Ale na dziedzińcu Anna mnie dogoniła i błagała, bym wrócił. Wróciłem. Niby się wreszcie pogodzili serdecznie, ale już do końca został nastrój przykry, ciężki i bolesny. Pożegnałem się z Anną; chciała mnie odprowadzić, ale zatrzymałem ją w domu

1 (28) luteg. rok 1912. środa.

Wilno jest pod znakiem romantyzmu. Jeszcze marzec, klasyczny miesiąc (wystrzałów) miłosnych, nie nastał, a już pękają raz po raz dramaty miłosne. W poniedziałek koło godz. 4 we dnie na ul. Wileńskiej przy rogu prospektu (sprawca ze względu na prawdopodobne mieszkania) niejaki inżynier Bojeyko dwoma strzałami z rewolweru położył trupem młodziutkiego studenta-żyda Lifszyca, którego zastał na ulicy idącego w towarzystwie jego żony. Sprawiło to sensację w mieście i powszechny żal biednego chłopca, który zawinił co najwyżej uległością wobec miłości kobiety w pełnym rozkwicie i kobiety bogatej i ustosunkowanej, mogącej go wesprzeć protekcją dla otrzymania wstępu na uniwersytet. Jeszcze się ta sensacja nie wyczerpała, gdy oto dziś w południe w hotelu Zofja niejaka p. Narbuttówna, córka ziemianina z pow. lidzkiego, dwoma strzałami z rewolweru zraniła ciężko Waldemara Tyszkiewicza, w którym się kochała i z którym ją łączyły jakieś stosunki bliższe a który ją zwodził i chciał porzucić, bagatelizując jej miłość i swe obietnice poprzednie. Sympatje powszechne są po stronie Narbuttówny. Jeżeli prawdą jest, to co mówią, że ona go kochała i że mu się ofiarowała, nie zważając na opinję, na stosunki rodzinne i t.d., a że on ją zwiódł, skorzystał z tej miłości, przyjął ofiarę dziewiczą z cynizmem uwodziciela, obiecywał się rozstać z żoną i z nią ożenić, a potem, gdy miał jej dość, zbagatelizował jej serce i skopnął ją, dymisję, — to dobrze zrobiła Narbuttówna, że się w ten sposób zemściła. Nie chodzi tu bowiem tylko o ból fizyczny, o zadanie rany lub śmierci, ale o protest publiczny, o napiętnowanie łajdaka.

Wieczorem miało się odbyć zebranie doroczne członków „Lietuvių Dailės Draugijos", które jednak do skutku nie doszło z powodu zbyt małej ilości członków zebranych. Odłożono więc zebranie na jutro. Idąc zaś na zebranie dzisiejsze (napisałem we dnie do Anny, prosząc, aby przyszła wieczorem do „Ruty" (w „Rucie" bowiem odbywa się zebranie nasze) i posiedziała w pokoju [illegible], abyśmy mogli potem resztę wieczoru spędzić razem, przynajmniej abym ją odprowadził do domu. Właśnie zaś dziś Anna ma w „Rucie" repetycję teatru łotewskiego, w którym sama udział bierze. Gdy więc nasze zebranie do skutku nie doszło, poszedłem na spotkanie Anny, ale się spotkaliśmy, bo przyszła do „Ruty" inną drogą. Wróciłem do „Ruty" i czekałem [illegible], ale niestety, była prawie cały wieczór zajęta swą repetycją, to też wróciłem do domu [illegible] i tak do niej [illegible], [illegible].

16 (29) lutego rok 1912. czwartek.

Rano spotkałem się z Anną w cukierni Jassowicza. Mając trochę czasu wolnego, postanowiłem spędzić go z Anną. Stęskniony byłem do niej szalenie i zły na siebie za te jakieś bezsensowne i bezlitosne utarczki, które się od dni kilku wkradły do stosunku naszego i których winę ja ponoszę. Nieporozumienia te są głupie a złośliwe, jak zatruta igła [illegible] zimie. Chciałem się z Anną przejść, ale ponieważ jest odwilż i ulice toną w błocie, poszliśmy do cukierni Sztrala na prospekcie. Spędziliśmy tam godzinkę i rozeszliśmy się. Nie byłem w stanie odzyskać równowagi humoru; byłem zbyt wzburzony, aby się zdobyć na spokój. To też rozstałem się z Anną bez nieporozumień wprawdzie, ale i bez tej naszej zwykłej pogodnej harmonii. O godz. 4 wedle [illegible] Anna przyszła do mnie do mego mieszkania. Wizyta ta była zapowiedziana, to też czekałem jej z biciem serca, zaniepokojony, aby ktoś w mieszkaniu w domu nie poznał Anny i aby to nie doszło do Mamy. Nie życzę sobie, aby Mama się o naszym stosunku dowiedziała, bo się obawiam, że zechce wtrącić się i starać do zerwania takowego, a wiem, jak Mama w takich razach nie przebiera w środkach i jakich sposobów się ima. Wizyta Anny udała się szczęśliwie. Sam jej drzwi otworzyłem i nikt jej nie spostrzegł. Anna weszła wprost do mego gabinetu. Przyszła dla wybrania sobie pasków litewskich z mojego zbiorku; potrzebny on jest Annie dla uzupełnienia stroju dziewczyny wiejskiej litewskiej do teatru amatorskiego, w którym Anna w sobotę wystąpi.

O godz. 7 wiecz. poszedłem do „Ruty" na doroczne zebranie „Lietuvių Dailės Draugijos". Obecni byli: p. Żmujdzinowiczowa, Jan Vileišis z żoną, dr. Sebuninówna, dr. Basanowicz, Antoni Smetona z żoną, Czesław Landsberg z żoną, dr. Antoni Vileišis z żoną, Michał Biržiška z żoną, Donat Malinowski, fotograf Jurašaitis, parę innych osób i ja. Wysłuchaliśmy sprawozdania rocznego zarządu, potem omawiane były najrozmaitsze sprawy bieżące i wnioski członków. Wśród innych rzeczy uchwalono też protest w sprawie projektu inżyniera Kempfera o zużytkowaniu Góry Zamkowej na nowe urządzenia, w niej rezerwoaru do wodociągów miejskich, i t.d. Zarząd na rok przyszły obrano prawie w tym samym komplecie, co dotąd, to znaczy: Antoni Żmujdzinowicz, p. Żmujdzinowiczowa, Jan Vileišis i inni; zmieniono raz tylko Józefa Landsberga, na którego miejsce

[illegible]

185.

17 lutego.
1 marca.
rok 1912.
piątek.

Rano miałem 2 sprawy u sędziego pokoju II rewiru. Sprawy niezbyt poważne i trudne, chociaż dość zawikłane. Wypadło mi w obu sprawach prosić sędziego o odroczenie, co też sędzia uczynił. Druga z tych spraw była rozpatrywana na samym ostatku, tak że wypadło mi do godz. 2 popołudniu przesiedzieć w kamerze sędziego.
Śliczny dziś dzień, słoneczny, ciepły, z wesołym powiewem wiatru wiosennego. Kałuże wody z resztek topniejących śniegów przed rynsztokami. Na ulicach błoto, chodniki plugawe, gdzieniegdzie wprost zatopione, ale w powietrzu czuć wiosnę, zwiastunkę odrodzenia i życia.
Wieczorem zaniosłem do Anny suknię, którą mi dała Marynka [redacted] z garderoby po ś.p. cioci Kasi Tyszkiewiczowej. Wczoraj właśnie Maryla O'Rourke'owa przysłała Marynce kilka sukni [redacted] i kilka kapeluszy po ś.p. cioci. Poprosiłem Marynkę, aby mi jedną suknię dała. Nie mówiłem, dla kogo, i Marynka mnie nie pytała, ale z pewnością się domyśliła, bo Marynka wie o Annie [redacted] (aczkolwiek nie wszystko). Marynka dała mi ładną suknię jasnopopielatą, t. zw. „reformowaną". Zaniosłem ją Annie. Anna spróbowała ją pomierzyć. Suknia jest dla niej za szeroka i teraz bez przeróbki leży niezgrabnie, ale barwa sukni ślicznie pasuje do Anny. Materjał jest bardzo dobry, to też Anna, po odpowiedniej przeróbce, będzie miała piękną suknię na wiosnę. W jasnopopielatym, lekko obcisłym stroju Anna wygląda wspaniale. Twarz jej o pięknych oczach i ustach i nozdrzach wystylizowanych w ... znakomicie się w tej jasnej popielatej oprawie sukni przedstawia. Anna jest uszczęśliwiona.

[illegible]

186.

18 lutego.
2 marca.
rok 1912.
sobota.

Straszny dzień dla mnie. Jest mi tak, jakgdyby otworzyło mi się piekło, w które runęły wszystkie moje marzenia i radości, cały piękny gmach szczęścia osobistego. Był to dziś wieczór łotewski w lokalu „Ru…ty." Z początku było to przedstawienie łotewskie, a po niem miały być tańce. W przedstawieniu występowała Anna. Umówiłem się z nią, że po skończonym teatrze odprowadzę ją do domu. Zapytywałem ją zawczasu, czy nie będzie wolała zostać na zabawie, bo ja nic innego jej ofiarować nie mogę, jak tylko odprowadzenie do domu, które trwać będzie krótko i ostatecznie wielkiej rozrywki stanowić nie będzie. Ale Anna mię upewniała, że na zabawie nie zostanie i że prosi mię, abym zaczekał na nią i odprowadził. Na tym stanęło. Byłem na teatrze, nudziłem się szalenie, nie rozumiejąc języka i będąc samotny pośród Łotyszów. Ale było mi dobrze, bo mię żywiło oczekiwanie chwili ukończenia teatru, gdy sobie pójdziemy we dwoje z Anną. Gromadziłem sobie obserwacje o grze artystów-amatorów, wrażenia wieczoru, aby się podzielić niemi z Anną kochaną. A byłem skierowany cały do tej chwili, gdy sobie będziemy we dwoje. Anna występowała na scenie w stroju włościańskim, grając rolę służącej u bogatego chłopa. Rola jej była malutka, ale wyglądała Anna pięknie, z dumnym zasobem wdzięku. Kochałem się w niej, jak zawsze, cały w myśli i w marzeniu o niej skupiony. Tak trwało do godz. 2 w nocy. W czasie rozpoczęcia ostatniego aktu, w którym Anna nie grała, stałem właśnie w korytarzyku przy drzwiach widowni, gdy zza kulis wyszła do korytarzyka Anna. Szła z jakimś młodym Łotyszem. Wyglądała prześlicznie, rozpromieniona pierwszym powodzeniem scenicznym, w całym blasku swej najpiękniejszej sukni czarnej z medalionikiem złotym na piersi. Gdy mię spostrzegła, przechodząc koło mnie, zatrzymała się i głosem przepraszającym mi powiedziała: „Wiesz co, ja mam ochotę zostać. Pozwól mi i nie gniewaj się na mnie." Ból mi szarpnął sercem, bo tam ja czekał tyle i tak tęsknił do pójścia razem i tyle miał do powiedzenia. Powiedziałem: „Owszem, zostań", ale tyle było we mnie wzgardy i bólu, że Anna, która mi przeciwstawiała mię [illegible] i była

[illegible]

[illegible]

19 lutego.
3 marca.
rok 1912.
niedziela.

Dzień dzisiejszy — to dzień jakiegoś chaotycznego obłędu. Wycierpiałem tyle, że doprawdy mógłbym postradać zmysły. Jak ja kocham Annę! Po prostu się spalam tą miłością na suchy popiół, przetrząsając płomieniem boleści każdy żywy nerw, każdy żywy zmysł mej istoty. To jest szalone. Nie spałem przez noc całą. Po powrocie o godz. 2 w nocy z nieszczęsnego wczorajszego wieczoru łotewskiego byłem nieprzytomny z bólu. Wszystko się we mnie kłębiło, wszystkie zmysły w dzikim chaosie rozpaczy rwały przeraźliwym głosem o klęskę. Było mi tak, jakbym stracił moją Annę a z nią stracił samego siebie, własną duszę, wszystko co jest we mnie najistotniejszym, jedynym. Stałem się ruiną, zdezorganizowaną kupą gruzów. Marzenia, które pieściłem w sobie o szczęściu, o zdobyciu zupełnej harmonii naszego zespołu, leżały zdeptane, [illegible], jako śmieć najpodlejszy. Anna na chwilę [illegible] wolała zabawę na wieczorze łotewskim. Wolała więc coś ponad mnie. Nie wyczerpuję więc całej jej duszy, całego jej życia. A miłość moja jest taka, że się dzielić nie może. Jak ja cały się w niej streszczam, tak też żądam całkowitego streszczenia się Anny we mnie. Połowiczności lub zostawienia jakiejkolwiekbądź ~~cząst~~ cząsteczki Anny poza mną — znieść nie mogę. Miłość nasza musi być absolutnie zupełnym i tylko absolutnem. Tymczasem Anna wolała jakąś zabawę ponad mnie. Cierpiąc, widziałem w myśli mej obrazy wspomnień, ~~[illegible]~~ zepchnięte do trumny zawodu. Snuły mi się wizje przepiękne naszych oczekiwanych przechadzek i wycieczek wiosennych, najsubtelniejszych, najtkliwszych obcowań we dwoje — zwichnięte, sponiewierane, umarłe. Bo skoro dla Anny nie są one wszystkiem, skoro nie są dla niej tym, czym są dla mnie, to przez to samo ich niema wcale. Nie jałmużny, nie rozrywki pragnę, ale Miłości. I nad tymi gruzami mych snów i wizji, mych tęsknot i wiary, — leciały mi od uszu w duszę melodyjne przepiękne i przeciągłe w dźwięku, pieszczotliwie brzmiące tony wyrazów pożegnalnych Anny: „Tylko nie pij, Misiu!" „Ja jestem zawsze Twoją Annią!" Zestawienie to sprawiało mi ból niebywały. Próbowałem spać, nie mogłem. Zapaliłem świecę i czytałem do rana, a o godz. 8 wstałem. O godz. 9 wysłałem do Anny przez posłańca liścik, w którym najserdeczniej, z [illegible], że dziś zapewne nie będę mógł przyjść. Otrzymałem odpowiedź, że mnie prosi o przyjście. Do obiadu byłem jak automat. Po obiedzie, którego nie jadłem prawie, nie mogłem się powstrzymać i nie pójść do Anny. Jest ona dla mnie jedynym i wszystkim. Czułem, że jest w tym jej [illegible] coś, co musi być usunięte, [illegible]. Chciałem [illegible] Annie, co mi jest, [illegible]. Długo chciałem [illegible], ale nie mogłem. Wypiłem wódki, aby przytępić [illegible] wrażliwość, i pojechałem do Anny, [illegible]. Zastałem Annę [illegible]. Nie byłam [illegible] — [illegible]. Co się przez to [illegible]

20 lutego.
4 marca.
rok 1912.
poniedziałek.

Dziś przed obiadem przyjechał do Wilna tatko, jadący stąd za parę dni dalej, — do Warszawy, dla rozrywki i poradzenia się u lekarzy. W ostatnim miesiącu dostawał tatko raz po razie jakichś wrzodów pod pachą.

Przez popołudnie całe aż do wieczora zajęty byłem studjowaniem sprawy cywilnej Markunia, w której stanę jutro w Zjeździe Sędziów Pokoju wystąpię.

O godz. 8 wiecz. poszedłem z Marynią do teatru polskiego na występ znakomitego artysty Kamińskiego w sztuce Sudermanna p.t. „Walka motyli". Choć nie jestem namiętnym wielbicielem teatru, jednak lubię pójść na przedstawienie od czasu do czasu, zwłaszcza gdy gra jest dobra i sztuka nie zbyt męcząca. Nie znoszę tylko ciężkich dramatów. Sztuka dzisiejsza — to właśnie taka, ~~której~~ jaką lubię.

Pomimo wszakże dobrej gry i przyjemnej sztuki, nie zostałem w teatrze do końca przedstawienia. Po pierwszych dwóch aktach wyszedłem — zaraz po godz. 10. Śpieszyłem bowiem do mojej Anny. Co mi po teatrze, co mi po wszystkiem, — wobec mojej Anni. Nie miałem być dziś u niej, ale tęsknota mię do niej rwała. Czułem też i wiedziałem, że cierpi.

Poszedłem więc. Zastałem ją istotnie przygnębioną, smutną. Nie poszła dziś wcale na robotę do Łapkowskiej, — czuła się wyczerpaną i zupełnie niedołężną. Jak mię moje sceny zazdrości, moje dzikie napady niewiary wyczerpują i męczą — to coś okropnego. Porozumieliśmy się dziś z Anną nieźle. Nie jest to jeszcze zupełny powrót do poprzedniej równowagi, ale już jest zaufanie i serdeczność.

21 lutego.
5 marca.
rok 1912.
wtorek.

W zjeździe sędziów pokoju miałem mieć sprawę Markina, ale się okazało, że przeciwnik, jenerał Bykow, umarł, wobec czego sprawa ~~[illegible]~~ została wstrzymana.
Zły jestem niewypowiedzianie na siebie. ~~[illegible]~~ Byłem dziś wieczorem u Anny i znowu jej głupstw nagadałem, znowu ją męczyłem nicowaniem moich wątpliwości, bolów i t.d. Nie chcę już nawet pisać o tym. Wczoraj już się wszystko znów dobrze między nami układało, a oto dziś, jak wściekły pies, rzuciłem się do kąsania i samego siebie i Anny. Mam w najwyższym stopniu niesmak i poprostu wstręt do siebie. Jestem egoistą, despotą, inkwizytor kobiety, którą kocham i która mnie kocha i która poświęca dla mnie całą siebie. Czuję, że stan moich nerwów graniczy z pomieszaniem zmysłów. Zachowuję się wobec Anny, jak warjat.

22 lutego. 6 marca. rok 1912. środa.

Przez cały dzień byłem napół przytomny ze zgryzoty i tęsknoty do Anny. Tęsknota mię tak żarła, że nie byłem w stanie nic robić. Poruszałem się, jak automat, pracowałem mechanicznie, ~~[illegible]~~ każdy złoś nerw, każdy zmysł był przepojony goryczą tęsknoty. Próbowałem spotkać się z Anną we dnie. Bałem się jej narzucać moją osobą zgryzioną, aby jej nie nudzić poprostu, ~~[illegible]~~ bałem się też, aby mię nie posądziła o ~~chęć~~ podejrzliwość i chęć szpiegowania, ale nie byłem w stanie się oprzeć żądzy widzenia jej. W tym celu przechadzałem się koło godz. 4 po tych uliczkach, któremi sądziłem, że będzie wracała z obiadu do Łapkowskiej. Gdy mi się to nie powiodło, stałem przez czas dość długi we drzwiach jednego domu przy ul. Ostrobramskiej, skąd miałem widok na wylot ulicy Monastyrskiej, którą ona przechodzić powinna. Ale nie ujrzałem jej. Widocznie było zapóźno — już przeszła. Wieczorem znów poszedłem do niej. Uzbroiłem się w resztki energji, wytrzasnąłem w sobie ostatnie rozpaczne błyski wesołości — i poszedłem. Postanowiłem trzymać się na wodzy i stanowczo zakazać sobie wybuchów rozpaczy, goryczy i t.d.. Żeby to uskutecznić, postanowiłem nie spędzać wieczoru z Anną w jej pokoju, ale zaproponować jej przejść się, pójść gdzieś do kinematografu i t.d., żeby na tle fizycznych wrażeń zewnętrznych zagłuszyć wpływ nastrojów wewnętrznych. Poszedłem wcześnie. Już koło godz. 8, wiedząc, że Anna jeszcze od Łapkowskiej wrócić nie mogła, byłem pod Ostrobramą. Ukryłem się w bocznych filarkach Ostrej Bramy i stamtąd, spośród modlącej się publiczności, przyglądałem się pilnie wszystkim przechodniom, czekając przejścia Anny. Wreszcie zobaczyłem kogoś podobnego do niej. Wyprzedziłem tą sylwetkę, ale się to okazała nie Anna. Szedłem więc znów z powrotem i spotkałem ją wreszcie. Anna chętnie się zgodziła spędzić wieczór poza domem. Poszliśmy z nią do cukierni Bronisławy na herbatę, stamtąd do kinematografu Sztremera, wreszcie na kolację do nowej restauracji w hotelu Palace. Trzymałem się w karbach względnie dzielnie. Anna była serdeczna, dość wesoła nawet, bardzo dla mnie uważna i względna. Tak się już czułem tą moją burzą ostatnich dwu tygodni, tak o tę miłość strwożony, że nie rozu

[illegible]

23 lutego. / 7 marca. rok 1912. czwartek.

Wstaliśmy z Anną wcześnie, między godz. 8 a 9. Anna śpieszyła ze wstawaniem, aby się nie spóźnić na robotę do Łapkowskiej. Teraz w pracowniach mód (w kapelusznictwie) następuje ożywiony sezon wiosenny. W tych dniach Łapkowska, właścicielka pracowni, w której pracuje Anna, ~~[illegible]~~ przywiozła z Warszawy ~~[illegible]~~ nowe fasony kapeluszów, to też ~~[illegible]~~ roboty jest dużo. Anna, która się często rankami na robotę spóźnia, boi się i wstydzi reputacji pracowniczy zaniedbującej się i leniwej, i chce tymi czasy wykazać ~~[illegible]~~ pilność wytrwałą. Objaw ten mię cieszy szczerze.

Wogóle Anna — to bogaty materjał ludzki, poprostu skarb śliczny. Chciałbym uczynić jej życie jaknajpiękniejszem. Dla jej miłości poświęcić byłbym gotów wszystko, coby mogło jej szczęścia przysporzyć. Czy moja miłość może jej starczyć w życiu za szczęście? — oto kwestja bolesna dla mnie, której rozstrzygnąć nie umiem. Gdybym to był młodszy, piękniejszy nietylko duchowo, ale i fizycznie, ~~[illegible]~~ i miał charakter mniej skomplikowany, mniejszy i zwłaszcza bardziej zrównoważony nerwowo! Chciałbym się związać z Anną w całość nierozerwalną, zdobyć świadomość, że jej życie jest raz na zawsze z moim związane, nie umysłem tylko, ale sercem, całym jestestwem woli. Dlatego też pragnienie dziecka jest u mnie tak potężne. Niestety — niema go!

Jakiś pryszcz u mnie nad nosem wyskoczył. Spostrzegłem go dziś rano a teraz zatruwa mi on wprost spokój. Jest to bagatela, zwykły wynik ~~[illegible]~~ kataralny, ale sprawia wrażenie, że wyglądam z nim obrzydliwie i że wszyscy patrzą na mnie i brzydzą się mnie. Jak to trzeba czasem drobiazgu, aby ~~[illegible]~~ kogoś humoru i równowagi pozbawić. Żałuję to od tego zeszytu, na co tak jest wrażliwy. Wstydzę się chodzić po ulicy, wstydzę się widzieć z ludźmi. Wieczorem byłem u p. Żmujdzinowiczów na czwartek, na zebraniu zarządu „Dailės Draugijos“: Obecni byli członkowie zarządu: Vileišis, Hailys, p. Żmujdzinowiczowa i ja. Oprócz nas była p. Janowa Vileišisowa i Šaulys.

24 lutego / 8 marca. rok 1912. piątek.

Rano wyjechałem do Kowna. Jechałem specjalnie na zjazd Kowieńskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń Rolniczych. Nie jestem członkiem Towarzystwa tego, ale się niem interesuję, jak każdym poważniejszym przejawem pracy zbiorowej w kraju na polu ekonomicznym. Skorzystałem z zaproszenia, które mi przed paru tygodniami przysłał dyrektor Towarzystwa tego p. Kazimierz Świątecki. Towarzystwo Kowieńskie Wzajemnych Ubezpieczeń rozwija się znakomicie i jest jednym z kapitalnych organów pomocniczych w rozwoju kulturalno-gospodarczym ziemiaństwa kowieńskiego. Zjazd dzisiejszy szczegółowiej mię uczył, że to ma być zjazd reorganizacyjny. W budowie i systemie funkcjonowania Towarzystwa są zaprojektowane przez Zarząd zmiany, które właśnie zjazd dzisiejszy ma rozważać.

Niestety – ten nieszczęsny pryszcz na nosie, który mi od wczoraj zatruwa spokój, popsuł mi wszystkie szyki. Zaczerwienienie nosa jest widoczne i sprawia mi niepokój. Do Kowna jechałem jak na torturach. Wstydziłem się wszystkich pasażerów; zdawało mi się, że wszyscy tylko na nos patrzą. Znaczną część drogi spędziłem w wychodku, gdzie w samotności mogłem się przyglądać w lustrze do syta memu nosowi; im więcej mu się przyglądam, tym się więcej przerażałem. Mam już taką naturę niesłychanie wrażliwą, zwłaszcza na punkcie chorób i wyglądu. Zupełnie tak samo, jak w grudniu r. 1910, gdym był chory na żołądek i zaniepokoiłem się o wątrobę: im bardziej się wtedy do lustra przyglądałem, tym bardziej mi się wydawało, że już jestem żółty. Tak i teraz z nosem. Sam, gdy się zastanawiam, gotów jestem uwierzyć, że przesadzam, ale wrażliwość bierze górę. [illegible] za zdrowiem i z wrażliwością na punkcie zaznaczenia się, jak Mama z interesami i dziećmi. Naprężenie w drodze do Kowna i w Kownie w hotelu smarowałem pryszcz na nosie maścią, którą w Wilnie od Maryni wziąłem. Ale pryszcz nie chciało przejść samo. Choć się wstydziłem wychodzić na ulicę, — poszedłem jednak do apteki. Poprosiłem w aptece, żeby mi dali czegoś do posmarowania pryszcza. Dano mi maści cynkowej. Po powrocie do hotelu wysmarowałem, ale pryszcz wciąż nie pękał. Wtedy już sam go przekłułem szpilką i wyciskałem, ile tylko mogłem, choć się tym brzydzę. Od wyciskania nos wszędzie stał się jeszcze czerwieńszy. Znów więc zasmarowałem maścią cynkową, a po jakimś czasie spostrzegłem, że pryszcz jakby znów zarosł tak samo, jak przedtem. Zrozumiałem z tego, że go niedość wypróżniłem. Znów więc go przekłułem i znów wyciskałem. Takie są dzieje mej [illegible] walki z pryszczem. Wreszcie doszedłem do rozpaczy, bo i nos czerwony i pryszcz niewiadomo czy w porę przekłuty. Byłem w strachu, że może niepotrzebnie go wyciskałem, że może zaraziłem tylko, może teraz znowu narywać będzie, a tymczasem mógłby był sam przejść, a może go zanieczyściłem, może zrobi się wrzód i t. p. Znowu go zasmarowałem. Wreszcie w strachu kazałem sobie podać książkę adresową Kowna, wyszukałem adres doktora, specjalisty od nosa, uszu i gardła, niejakiego dr. Bułhakowa i poszedłem do niego. Było to już po godz. 6. Zebranie T-wa Wzajemnych Ubezpieczeń Rolniczych, na które właściwie przyjechałem, było wyznaczone na godz. 5 popołudniu. Ale tak już byłem przejęty nosem, że na zebranie postanowiłem nie iść. Wstydziłem się pokazać z nosem czerwonym. Zdaje się, że dobrze do doktora trafiłem. Jest to doktor wojenny, wrażenie sprawia dodatnie. Doktor powiedział, że to nie jest pryszcz kataralny, ale pochodzący od zanieczyszczenia. Musiałem się podrapać po nosie, mając palce brudne. Powiedział, że to jest zresztą bagatela, choć wymaga uwagi, bo w pewnych wypadkach może mieć skutki przykre. Ponieważ już pryszcz wyciśnięty, kazał mi smarować sam środek pryszcza jodyną przez 2 dni i oświadczył, że za jakieś 2-3 dni [illegible]. Gdym zapytał, czy nie warto poprostu jeszcze raz pryszcz wycisnąć, odradził, mówiąc, że przy wyciskaniu [illegible] wnętrze pryszcza zanieczyścić i dostać róży w nosie. Przestraszyłem się [illegible], co to jest róża. Okazuje się, że w takim razie cały nos się zaczerwienia i rozdyma w stanie zapalnym i że przytem w całym organizmie robi się gorączka. Po powrocie od doktora nasmarowałem pryszcz jodyną, trzykrotnie tę manipulację ponawiając. Jestem w strachu, czy nie dostanę tej róży. [illegible] wszelkiej [illegible] coś takiego [illegible]. Wieczorem [illegible] bóli i łykałem się, czy nie mam gorączki. Ten pryszcz [illegible] z [illegible]. Ola jutro wieczorem, że może powrócę do Wilna, [illegible] kolejowym spotkać Annę, z którą [illegible] w hotelu i [illegible] cały wieczór razem [illegible]. [illegible] z pryszczem na nosie i wstyd będzie z nią [illegible], a [illegible] z Anną [illegible]. Wieczór spędziłem w [illegible] w hotelu. Przeczytałem artykuł Zanowa [illegible] o [illegible] i [illegible] w Litwie i Białej Rusi.

25 lutego.
9 marca.
rok 1912.
sobota.

Od rana pryszcz na nosie już lepiej wyglądał. A byłem ucieszony, bo już się nie tak wstydziłem chodzić po ulicy i w ogóle spotykać ludzi. Załatwiłem parę interesów prawniczych w mieście, które miałem przy okazji, i wróciłem do hotelu. Dowiedziałem się, że dziś jeszcze odbywa się dalszy ciąg posiedzenia Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń i że zjazd ziemian jest liczny, ale nie poszedłem, bo się jeszcze tego śladu pryszcza wstydziłem trochę. W hotelu wykończyłem redakcję pierwszej części artykułu Wańczewicza i napisałem list do niego. Tymczasem w godzinach popołudniowych spostrzegłem, że pod główką pryszcza znów narasta wrzodzik nazywający materją. Zrozumiałem, że wczorajsze wyciśnięcie wrzodzika było przedwczesne. Trzeba będzie jeszcze parę dni się z nim pomęczyć. Wygląd jednak pryszcza i zaczerwienienie pryszcza mniejsze, niż wczoraj. Na obiad nie poszedłem wcale, bo się nie chciałem w restauracji pokazywać. O godz. 6 wieczorem wyjechałem z Kowna i o godz. 9 z minutami byłem w Wilnie. Na dworcu spotkała mnie Anna, jak było między nami umówione. Mieliśmy noc całą i dzień jutrzejszy do rozporządzenia we dwoje, bo w domu powiedziałem, wyjeżdżając, że wrócę dopiero jutro wieczorem. Miałem już na dziś od paru dni zamówiony numer w hotelu „Daguerre" przy ul. Boksal. Upatrzyliśmy z Anną ten hotel dla schadzek naszych, jako spokojny i stojący na uboczu, gdzie nikt nas zapewne nie pozna. Zjedliśmy na dworcu kolacyjkę i poszliśmy do hotelu. Hotel wszakże nie podobał się nam. Duży pokój, staroświeckie umeblowanie, cisza grobowa, nastrój ponury, sołdacki. Sprawiało to na nas przykre wrażenie. Do godz. 4 w nocy nie mogliśmy zasnąć. Nie mogę od tygodnia odzyskać wobec Anny zachwianej równowagi. Zwątpiłem w jej miłość i nie mogę się zdobyć na rezygnację. Miłość Anny jest zbyt bezwzględna.

26 lutego.
10 marca.
rok 1912.

niedziela.

Cały dzień spędziłem z Anną. I był to dzień kryzysu po ciężkich nastrojach ubiegłego tygodnia. Kryzys się przesilił, jak się zresztą spodziewać należało, w kierunku pomyślnym. Rano obudziliśmy się z Anną w hotelu „Dagmara". Byliśmy zmęczeni, bośmy do godz. 4 w nocy zasnąć nie mogli. To też długo nie wstawaliśmy. Nastrój był dość smutny. Pozornie nie było między nami żadnej sprzeczki, ale odczuwaliśmy oboje pewną skrzętnie maskowaną, pewną sztuczność. Od soboty 18 lutego zwątpiłem o miłość Anny. Wierzyłem, że mię kocha i nikogo innego, że mi nie kłamie, bo kłamać w zaczarowaniu uczucia Anna nie umie, ale czułem, że to nie jest ta miłość bezwzględna, zupełna, jedyna, wyczerpująca całą istotę człowieka, tę miłość, którą ja żywię i której u Anny pragnę. Nie mogąc jednakże winić za to Anny, nie chciałem jej tego wymawiać. Chciałem płynącą stąd boleść zasłonić w sobie i zachować nazewnątrz równowagę spokoju. Pomimo usiłowań chęci nie mogłem tego dokonać. Ból był zbyt silny, zbyt piekący, abym go mógł opanować. Nie byłem w stanie się wysilić na wesołość i dowcip. Pozorny spokój wiał chłodem fałszu. Prawda kipiała wewnątrz. Anna doskonale to czuła, ale czuła też, że jest bezsilna, że nic temu zaradzić nie zdoła, nie zdoła mię dźwignąć słów przekonać o tym, w co sercem wątpię. Anna próbowała zerwać parokrotnie mój sztywny spokój zewnętrzny, prosząc mię nawzajem o wypowiedzenie powodu smutku, o rozmowę szczerą. Ja wszakże, nie chcąc zwiększać naszych męczarni w scenach wzajemnych wyjaśnień, które zwykle sprawy nie rozwikłają, wystrzegałem się od wyraźnego sformułowania mego bólu i wątpliwości. Sztywność utrzymywała się więc ciągle. Byliśmy oboje przygnębieni, bezbarwni i smutni w tej atmosferze. Ale wybuch czyli kryzys dojrzewał. Z hotelu o godz. 3 pojechaliśmy dorożką aż za Antokol do restauracji Pośpieszki, gdzieśmy uplanowali zjeść obiad. Pomimo chłodu ostrego przybyliśmy tą wycieczką. W Pośpieszce było ponuro i cicho. Siliłem się dość długo, chcąc ból mój zniechęcić w sztucznej podniecanej wesołości, alem skutek osiągnąłem wręcz przeciwny. Anna nie wierzyła mej wesołości, to też nie znajdując odźwięku, wesołość ta upadła. Ból się tylko w podniecaniu rozrósł jeszcze bardziej. Anna zbyt dumna, aby się żalić lub o swej miłości zapewniać, prosić, kilkakrotnie mię zwracała do wypowiedzenia się. Wybuchałem z bólu, ale nie wszcząłem rozmowy i wytrwałem.

[illegible]

~~2 lutego.~~
17 marca.
rok 1912.
poniedziałek.

Do godz. 3 popołudniu zabawiłem z Anną w hotelu. Dobrze nam było ze sobą, to też nie kwapiliśmy się ze wstawaniem. Anna musiała wstać o godz. 8, aby być w porę na robocie u Łapkowskiej, — a chciała teraz się wykazać pilną, — ale nie była w stanie przezwyciężyć powiewu lenistwa, powiewu słodyczy naszego stosunku. Harmonja bożej, która się po kryzysie ustaliła u nas od wczoraj, ma w sobie powiew wiośniany, cały przepiękny czar świeżości. Miłość nasza jakby się odmłodziła po tym przesileniu i stała się znów pączkiem rozkwitającym. Wyznawałem Annie dzieje mej miłości, cały przebieg narodzin uczucia i stopniowej ewolucji takowego. Anna słuchała tej opowieści, jak zaczarowana, rozpromieniona i tkliwa, ze wzruszeniem serdecznym w oku. Było nam dobrze. O godz. 3 wyszedłem. Anna została jeszcze w hotelu do wieczora. W domu popracowałem do wieczora a o godz. 8 znów byłem u Anny. Posiedziałem z nią jeszcze, zaczekałem aż się ubierze. Wyszliśmy z hotelu razem i zaraześmy się rozstali. Poszedłem jeszcze do Roglińskiego na chwilkę i wreszcie wróciłem do domu.
Dzień dzisiejszy — to jakiś dzień nie-realny, dzień z fantazji.

196.

28 lutego.
12 marca.
rok 1912.
wtorek.

Do obiadu siedziałem w Zjeździe i w Sądzie, studjując akta rozmaitych spraw, z któremi mam teraz do czynienia. Po obiedzie pracowałem w domu, również w sprawach prawniczych.

Wieczorem poszedłem do Anny. Spędziłem u niej ze 3 godziny i około północy wróciłem do domu. Dzień dzisiejszy zeszedł naogół dość bezbarwnie.

Niepokoi mnie jeszcze ten wyrzucik na nosie, który mnie tak w Kownie męczył. Jest niewątpliwie lepiej, zaczerwienienia nowe niema, ale coś się ten wyrzut na jakiś chroniczny zaciąga. Nie goi się, nie zarasta strupkiem stałym, ale wciąż potrochu się pod nim zbiera materji, wysycha i po jakimś czasie znów zbiera. Choć tak Marynia, jak Anna, kpią z tego wyrzutu i bagatelizują go, ja jednak czuję, że trzeba się do niego zabrać. Jeżeli to jeszcze potrwa, pójdę do doktora.

29 lutego.
13 marca
rok 1912.
Środa

Pracowałem mniej dość dużo w sprawach adwokackich. Nagromadziło się teraz tych interesów dość dużo.

Po obiedzie poszedłem do doktora Świeżyńskiego, specjalisty od nosa, gardła i uszu, dla zbadania się co do tego wyrzutu na nosie, który mi nie przechodzi. Czułem, że to nie jest pospolity pryszczyk katarowy, bo jest zbyt uporczywy i trwały. Doktor stwierdził, że to jest rodzaj liszaju, dał jakąś maść do smarowania i zabronił myć nos wodą surową. Upewnił, że po kilku dniach to przejdzie.

Wieczorem w mieszkaniu Żmujdzinowiczów odbyło się zebranie zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos" dla wysłuchania przedmowy do albumu krzyżów litewskich, napisanej przez dr. Basanowicza. Jednocześnie komisja rewizyjna tegoż towarzystwa miała dokończyć rewizji ksiąg kasowych za rok ubiegły. Z członków zarządu stawili się p. Żmujdzinowiczowa, Bairys i ja, z członków zaś komisji rewizyjnej – Czesław Landsberg i Janulaitis. Obecny też był dr. Basanowicz, który ~~[illegible]~~ odczytał nam swą pracę. Czytanie przedmowy wypełniło cały wieczór do północy, tak że o rewizji ksiąg nie było już mowy. Wobec tego Czesław Landsberg zabrał księgi do siebie i sam w domu prywatnie dokona sprawdzenia rachunków.

Przedmowa dr. Basanowicza do wydawnictwa albumu krzyżów litewskich, zdaniem moim, jest całkiem słaba. Wykazane są głębokie źródła ~~[illegible]~~ kultury obyczajowej, z których wypływają te krzyże, zaznaczona jest słusznie ciągłość dziejowa kultury narodowej, związek jej przez krzyżujące się wpływy z kulturą ludów aryjskich południowego wschodu oraz ludów fińskich północy. Wogóle rzecz napisana poważnie, bez wycieczek zmanowiści i frazesów, – czego się u Basanowicza obawiałem, – z powoływaniem się na literaturę i z udokumentowaniem bogatego materiału porównawczego, zaznaczonym jest, że zostały uwzględnione praźródła indyjskie kultury, których zdaniem moim dałyby się niewątpliwie odnaleźć w architekturze i kros-bnictwie krzyżów litewskich, oraz przez [illegible] czona ~~[illegible]~~ jest zdobnictwie [illegible] symboliki chrześcijańskiej [illegible] kultury; specjalnie wpływy [illegible] autor, który [illegible] kultury [illegible] rzeźbiarskiego [illegible] i zrobił [illegible] więcej i [illegible]

1 (14) marca. rok 1912. czwartek.

Odbył się ~~zjazd częstkowy~~ dziś niezupełny zjazd dzielczy w sprawie [illegible] i [illegible]. Ponieważ c. Cesia Tukałłowa nie zaakceptowała układu, który stanął między resztą współwłaścicieli w lutym, i zażądała albo ~~[illegible]~~ skomasowania jej cząstek na jednym majątku albo całkowitego losowania na oba, więc arbitrowie zwołali zjazd częstkowy dla omówienia sposobu skomasowania c. Cesi. Wołodkowiczów i mnie na zjazd ten nie zwołali; zwołali tylko Mieczysia Bohdanowicza i Mieczysia Tukałłę, t. j. tych, którzy mają działki w obu majątkach i którzy [illegible] mają możność skomasowania c. Cesi. Przybył na zjazd ten mecenas arbiter Hipolit Sieczewicz i arbiter [illegible]; [illegible] nie przyjechał. Choć nie byłem wezwany, pośrednie wszakże na kopiec zebranie dla poinformowania się, co zostało uradzone. Otóż Bohdanowicz i Tukałło zgodzili się skomasować c. Cesię, ale z warunkiem, że jeżeli komasacja ta dokona się na [illegible], to komasujący otrzyma z działki c. Cesi odszkodowanie w naturze podług uznania arbitrów. Postanowienie to będzie zakomunikowane c. Cesi. Zobaczymy, czy się zgodzi. A już najwyższy czas, bo 18 maja upływa termin 2-letni, udzielony przez sąd dla ukończenia działu polubownego.

Wieczorem o godz. 8 pośpieszyłem na zwykłe comiesięczne zebranie Towarzystwa Popierania Kooperacji, które się odbyło u p. Szklennika. Obecni byli na zebraniu: p. Szklennik, Turski, Witold Abramowicz, [illegible] p. Tołoczko, młody inżynier [illegible], ja, wreszcie jeszcze jakiś pan oraz jakaś starsza pani z [illegible]. Omawiana była przede wszystkim kwestia ustalenia jakiegoś budżetu towarzystwa dla pokrywania rosnących ~~[illegible]~~ się potrzeb działalności Towarzystwa. Składki członkowskie stanowią sumę nie wystarczającą, na jakąś subsydia towarzystwo liczyć nie może, bo byt jego jest zaledwie przez władzę tolerowany, i ~~[illegible]~~ o poparciu mowy nie [illegible]. Tymczasem wymagania, które życie i rozwój kooperacji stawia, rosną i działalność Towarzystwa nie może im sprostać. P. Szklennik, stawiając pod obrady kwestię ustalenia źródeł budżetu, związał tę kwestię wprost ze sprawą bytu Towarzystwa. Po dłuższej dyskusji uradziliśmy wszcząć akcję w kierunku opodatkowania się istniejących w gub. Wileńskiej kooperatyw na rzecz towarzystwa naszego. Toby jednocześnie wytworzyło ściślejszy związek między kooperatywami a towarzystwem naszym i dałoby możność towarzystwu uporządkowania biurowości, posiadania wykwalifikowanych instruktorów dla kierownictwa ruchu kooperacyjnego i t. d. Wskutek tej działalność towarzystwa byłaby o wiele skuteczniejsza. Wadą też wielką Towarzystwa w obecnym stanie jego jest to, że faktycznie cała działalność jego streszcza się i pochłania w osobie p. Szklennika. Jest to niewątpliwie człowiek dobrej woli i ideowiec, ale głowa słaba. P. Szklennik zaś tyle włożył serca i pracy osobistej do towarzystwa, że nie jest w stanie oderwać się od subiektywizmu i na towarzystwo oraz zebrania i pracę jego patrzy przez pryzmat osobisty. Nikt nie może inaczej myśleć i robić, jak tak, jak chce p. Szklennik. Osoba p. Szklennika wyciska po prostu wszystkie inne myśli — i to najzupełniej bezwiednie zresztą.

Na dalszym ciągu obrad nie byłem, bo o godz. 10 wiecz. wyjechałem. Spieszyłem do Anny, z którą się dziś spotkać umówiłem. Tęskno mi było do niej. Po przyjechaniu wszakże do niej — znów się obudziły we mnie te same ~~[illegible]~~ jakieś nieokreślone nastroje zwątpień, które mię dręczyły w tygodniu ubiegłym i które już, jak się zdawało, od poniedziałku minęły zupełnie. Ciężko mi dziś było. Kocham Annę i cenię ją niezmiernie za jej prawość, prostotę i prześliczny charakter, dumny, wrażliwy, szlachetny. Dobrze mi z nią [illegible], czyby nawet nie kochała mię tak gorąco, jak ja ją. Ale coś [illegible] we mnie [illegible], pożądając jej miłości; [illegible] dla wszystkim [illegible] był dla niej światem. [illegible], ale Anna, która jest [illegible] wrażliwa i [illegible] [illegible] cały wieczór [illegible] [illegible] [illegible], nie [illegible] się wszakże ani słowem, [illegible] [illegible] [illegible]. Czy to w niej miłość czy tylko pragnienie mojej miłości ???!

2 (15) marca. rok 1912. piątek.

Wieczorem miało się odbyć posiedzenie komitetu redakcyjnego „Przeglądu Wileńskiego", ale dla braku osób, bo Krzyżanowski, Piłsudzki i Nagrodzki się nie stawili, nie odbyło się. Korzystając z tej okazji wieczora wolnego, pojechałem koło godz. 10 do Anny i zabawiłem u niej do północy. Zastałem ją stęsknioną po mnie. Nie czułem się już źle, bo taki wyraz [illegible] miłości z niej tryskał, taki [illegible] był nastrój głęboki i nieledwie szczery, że wątpić nie mogłem. Anna rozumie i wyczuwa stan moich zwątpień i męczy się tym szalenie. Jest zbyt dumna, aby się skarżyć, i nie umie żebrać wiary. Wie zresztą, że wiara jest rzeczą tak głęboką i subjektywną, iż się żadnymi słowami i zapewnieniami nie wytwarza. Milczy więc Anna boleśnie i tłumi w sobie mękę mej niewiary. Ale wyraz jej, oczy, ruchy, łzy ciche, z[…] stokroć za wszelkie skargi. [illegible] Im Anna mnie czuje dalszym od siebie, tym miłość jej staje się bardziej zdobywcza, bardziej dla niej samej paląca. Cechę tę zauważyłem oddawna, a zdaje się, że jest to cecha kardynalna miłości w ogóle. Choć więc nie miałem dziś już wątpień, jednak się trzymałem umyślnie [illegible] na wodzy w pewnej rezerwie, chcąc z Anny wydobyć jakąkolwiek ekspresję. Działałem, jak gracz, i istotnie cudnych osiągnąłem skutków: Kilkakrotnie dałem Annie odczuć pewne źródło zwątpienia. Za każdym razem się zachwiała, ściśnięta bólem, tłumiąc cierpienie i połykając żal w cichych łzach z oczu wtulonej we mnie. A tu jednak mi okazać nie chciała, uśmiechając się wobec mnie uśmiechem poprzez łzawe, bolesne oblicze. Raz mi tylko rzuciła skargę tak żałosną a tak głęboką i trafną, jak ona sama: „Michaś, nie rozmawiaj ze mną przez nawias!"

3 (16) marca. rok 1912. sobota.

Zajęty byłem od rana z Anną ostatecznym układaniem i podpisywaniem umów, mających określić naszą wzajemne prawa i obowiązki w sprawie wyeksploatowania przeze mnie Anny schedy Manuszyłowskiej. Podstawą stosunku naszego w tej sprawie ma być umowa prywatna, określająca drobiazgowo nasze prawa i obowiązki wzajemne. Umowa ta, której szkielet opracowałem w grudniu i która dotąd była wciąż przez nas poprawiana i uzupełniana, została dziś wreszcie przez Annę i przeze mnie podpisana. Gwarancją wypełnienia przeze mnie umowy tej jest rewers depozytalny na sumę rb. 60000, wydany od imienia mego dla Anny (akt ten sporządzony został 23/II). Ażeby zaś dokumenty te były wypełniane zgodnie z wolą naszą i ażeby nikt nie mógł samowolnie ich nadużyć, postanowiliśmy złożyć je do rąk trzecich, mianowicie do rąk Mieczysia Bohdanowicza, [redacted] którego ustanowiliśmy stróżem naszego stosunku. Mieczyś się tej roli podjął. Ułożyliśmy więc z Anną dodatkową instrukcję dla Mieczysia, określającą dokładnie zasady, którymi się ma kierować przy ewentualnym rozporządzaniu się tymi dokumentami. Anna się przy tym ostatecznym układaniu dokumentów zdenerwowała biedaczka porządnie, tłukąc się w niepokoju między Scyllą i Charybdą, — między obawą o zbytnie skrępowanie mnie a zaś obawą o własny i córek interes na wypadek mojej śmierci i możności zagarnięcia schedy Mamusinej przez Reginę lub ewentualnie przez opiekę nad córką moją. O godz. 3 w hotelu Europejskim wręczyłem dokumenty Mieczysiowi.

Wieczorem byłem z Marynką i Helcią na herbatce u wujostwa Ignacostwa Tukałłów. Oprócz nas i gospodarzy była jeszcze p. Masia Bohdanowiczowa, Mania Ordyńcowa i Mieczyś Tukałło. Stamtąd pośpieszyłem na wyznaczone na dziś zebranie zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos”; ale już było zapóźno, — nikogo nie zastałem. O godz. 11 więc wróciłem do domu. Z Anną się dziś widziałem jeno przez chwilę na ulicy. Ja jechałem dorożką na Ostrą Bramę, Anna zaś szła na robotę do Łapkowskiej. Zamieniliśmy z nią jeno parę słów. Anna chciała, abym się z nią [illegible], ale czasu nie miałem. Byłem nieszczęśliwy, bo znów odczułem [illegible] o jej miłości i [illegible].

Przez cały dzień za światła chodziłem z Anną po mieście. Oglądaliśmy pokoje do wynajęcia dla Anny. Nie chce już ona mieszkać nadal w swym obecnym pokoju przy ul. Monastyrskiej (Tiwnej [?]). Pokój ma taki dobry, ale uprzedzona jest za stołowania, a wstydzi się odmówić, pozostając w mieszkaniu. Marzy też moja Anna o tym, że sama sobie będzie gotować na maszynce i sama swą gospodarczą domową prowadzić. Wiem, że to czcze marzenie, bo nikt nie jest mniej stworzony na skrzętną, zabiegliwą i systematyczną gospodynię, jak Anna z jej charakterem wrażliwym i niepraktycznym. Ale niech się tą myślą pobawi. Wiem, że wcześniej czy później albo sama zaniecha tej próby, albo ja będę musiał to ukrócić, bo, gotując sobie sama, będzie jadła nieakuratnie ze szkodą dla zdrowia. Dużo obiegaliśmy z Anną pokojów wynajmujących się, ale żaden się nie trafił odpowiedni. W trakcie tych poszukiwań zwiedziliśmy z Anną kiermasz kaziukowski przy placu Łukiskim. Pomimo brzydkiej pogody ruch na kiermaszu duży, ale eksponaty wyrobów i towarów, choć urozmaicone, niezbyt jednak ciekawe. Najliczniejsze są obwarzanki smorgońskie, pierniki w kształcie tradycyjnych serc, rzeźby [?] i t.d., wyroby wszystkowe z drewna, zabawki (przeważnie tandetne importowane), trochę wyrobów koszykarskich i t.d.. Kupiliśmy dla Anny balonik czerwony, reprodukcję z jakiegoś obrazka do zawieszenia na ścianie, wreszcie koszyczek pleciony do ciasta lub owoców, z którym mieliśmy dużo kłopotu, bo Anna wstydziła się, żebym go niósł w ręku i wciąż mnie błagała, bym go wyrzucił.

O zmroku poszliśmy do kinematografu Sztremera a stamtąd na kolację do restauracji przy hotelu Bristol. Anna oświadczyła, że chce pić. Zdarza to się wtedy, gdy Annie coś ciężkiego na sercu leży, a dziś się czuła ciężko na skutek mojej pewnej oziębłości czy też braku gorętszej serdeczności w ciągu dnia całego. Toteż wypiliśmy z Anną przy kolacji dużo, bo i ja się czułem źle — wciąż mam te same przeczucia natrętne nieszczęśliwości. Po nadmiernym wypiciu strzeliła Anna [?], jak to u nas bywa, [illegible] wyjął [illegible] ochota dla śpiewu czyli raczej dzikiego wycia pijanego, jakiś ulgi, jakiegoś wyładowania kłębiącemu się w głębiach duszy chaosowi [?] i [illegible] bólów i [illegible]. Tam wreszcie ogarnął mnie jakiś [illegible] [illegible] ból [illegible] [illegible] z którego wywiązało się [illegible] z [illegible] z Anną [illegible] [illegible] [illegible] na ulicy, [illegible] do [illegible], ale [illegible] i [illegible] do hotelu Niszkowskiego [?].

5/18 marca. Mieliśmy zabawić z Anną w hotelu tylko
rok 1912. do godz. 8 rano, ale czuliśmy się tak zmę-
czeni po bibce i gwałtownej sprzeczce wczo-
poniedziałek. rajszej, skądinąd zaś było nam tak do-
brze ze sobą we dwoje, że z godziny na go-
dzinę zwlekaliśmy z wyjściem. Wreszcie
Anna się zdecydowała nie iść dziś wcale
na robotę do Stupkowskiej. Ja zaś, niestety,
nie mogłem nie iść wcale, bo i w domu
się pokazać musiałem i ~~[illegible]~~ wstąpić
koniecznie do Sądu oraz przygotować się
do ~~[illegible]~~ dwóch obron karnych,
które mam na jutro. Zwlekałem tyl-
ko, ile mogłem, i dopiero koło godz. 2 ~~[illegible]~~
rozstałem się z moją Anniną słodką. Zmę-
czenie fizyczne dziwnie nieraz podnieca
umysł i funkcje psychiczne. Władze
psychiczne się wtedy zaostrzają, wysubtel-
niają do poziomów jasnowidzenia, sku-
piając się w całej potędze na kilku pun-
ktach kapitalnych. Jest to jednostronne,
ale bardzo głębokie. W takim właśnie
stanie byłem dziś z Anną. Czas ten, z
nią spędzony, był bajecznie w nastroju głę-
boki i szczery. Zdaje się, że teraz już
chyba wszelkie zwątpienia moje, które
w tych tygodniach ostatnich tak nasz
stosunek wykolejały, będą pogrzebane,
— przynajmniej na czas długi.
~~[illegible]~~ Rzeczy najbardziej osobistych, dotyczących nas
i naszego uczucia wzajemnego, mówiliśmy z Anną i
o urządzeniu jej ~~[illegible]~~ życia. Rozważaliśmy projekt
sprowadzenia do Wilna jej matki i siostry z Libawy. Matka
Anny, ~~[illegible]~~ kobieta, usunęła się z pracy i obowiązków zarobkowych, mo-
żeby wybaczyła Annie, gdyby się zakochała, jej pozycja mora-
z Anną jest oparta [illegible] i na cechy [illegible] materia-
lnie. Pod względem materialnym matka jej i siostra razem z nią zamie-
szkałyby, [illegible] utrzymać mogłyby z obecnego zarobku Anny. Dla Anny takie
życie i utrzymanie przy matce byłoby też znaczną pomocą. Zdaje się wszakże,

że z projektu tego, który [illegible]

6 (19) marca, rok 1912, wtorek.

Miałem w Sądzie Okręgowym 2 obrony karne – jedną niejakiego Łazara Katzenberga, oskarżonego o kupno krowy kradzionej, i drugą niejakiego Jotkiewicza, oskarżonego o napad nocny na ulicy z rabunkiem. Obie sprawy trudne, chociaż w drugiej były poważne szanse uniewinnienia, bo ~~[illegible]~~ o udziale Jotkiewicza w napaści i rabunku nie było żadnych dowodów objektywnych z wyjątkiem ~~[illegible]~~ li tylko zeznania współoskarżonego Trzebuszewskiego, złapanego na miejscu zbrodni. Broniłem w zastępstwie Szajewskiego(?), wyznaczonego w sprawach tych na obrońcę z urzędu. Wycisnąłem w obronie wszystko, co się dało, ale jakoś mowy mi nie szły zbyt gładko. Skład sędziów przysięgłych był nie najlepszy – była wyraźna i stała tendencja do skazywania. Obaj moi klienci, tak Katzenberg, jak Jotkiewicz, uznani zostali za winnych i skazani: Katzenberg na 2½ miesiące aresztu przy policji, Jotkiewicz na 3 lata rot aresztanckich z częściowym pozbawieniem praw.

Wieczorem poszedłem do Anny. Miałem z nią spędzić u niej krótką godzinkę, bo chciałem spieszyć do domu dla przygotowania się do 3 spraw cywilnych, które mam na jutro. Ale Anna tak gorąco mnie zaczęła upraszać, abym się z nią przejść po mieście pojechał i wstąpił do hotelu, że uległem, bo i sam wciąż do bytności i obcowania z nią tęsknię. Spacerowaliśmy dość długo po ulicy; broniliśmy się oboje od chęci wstąpienia do hotelu, postanowiliśmy rozejść się do domów. Tymczasem, spacerując, prowadziliśmy żywą dyskusję na temat o [illegible] upadku bie[illegible] [illegible]. Anna jest bardzo nieprzekonana(?) w swoich pozy[illegible] [illegible] tak(?) [illegible] na gruncie [illegible]. [illegible] – [illegible] się oprzeć pokusie i zabrnęliśmy do „naszego" Hotelu Versailles, gdzie [illegible]. 3 [illegible]

8 (20) marca rok 1912. Środa.

Ten sam objaw, który zanotowałem w dzienniku poprzednio, doświadczyłem dziś znowu na sobie: mianowicie im większe jest zmęczenie fizyczne, tym intensywniejsza jest czynność władz umysłowych, z tym warunkiem, że czynność ta jest wytężona li tylko w jednym jakimś kierunku.

Miałem dziś aż 3 sprawy cywilne. Jedną w Zjeździe Sędziów pokoju (sprawa Libawskiego Consumverein z Kuszczą) i dwie u Sędziego pokoju 2go rewiru (obie sprawy mojego klienta Cejtlina, — z domem handlowym Basewicza i z Tarutewiczem). Pierwsza w Zjeździe nie wymagała żadnej pracy, bo plenipotencja moja była przeterminowana a nowa nie nadeszła, więc musiałem tylko oświadczyć o tym na sądzie i prosić o odroczenie sprawy, co też sąd uwzględnił. Sprawy zaś Cejtlina były bardzo zawikłane i uciążliwe. Nie zdążyłem się do nich przygotować wczoraj, a że położyłem się w nocy spać dopiero o godz. 4, więc rano, wstając i czując zmęczenie, myślałem, że będę zupełnie niedołężny na sądzie. Tymczasem stało się wręcz przeciwnie. Jak w jasnowidzeniu ogarnąłem całokształt obu spraw; myśl funkcjonowała znakomicie, świadomość prawna w całej pełni się skupiła, przedziwna ścisłość logiczna ujęła umysł w karby. Toteż popierałem me sprawy na sądzie świetnie, z dokładnością znakomitą. Wprawdzie ostatecznie obie sprawy odroczone zostały dla uzupełnienia dowodów tak jednej, jak drugiej strony, ale postawiłem je na stopie dobrej, o ile tylko sytuacja moja mi na to pozwalała. Bo ostatecznie obie sprawy są ze stanowiska mojego klienta niezupełnie pewne.

Wieczorem byłem na herbatce u Nagórskiego, gdzie się zebrało kilka osób: Krzyżanowski, Nagórski, Eliasz Bonner, Bramson i ja.

8/21 marca. rok 1912. czwartek.

Miałem dziś we dnie miłą niespodziankę. Po obiedzie, o godz. 4½, gdym pił kawę w jadalnym, usłyszałem dzwonek w drzwiach wchodowych. Służąca Emilka poszła drzwi otwierać i w tym przez otwarte drzwi do przedpokoju ujrzałem w drzwiach wchodowych … … moją Aninkę kochaną. Poznałem ją wnet po jej wielkim kapeluszu czarnym i pobiegłem na spotkanie. Wprowadziłem ją do mego gabinetu, gdzie Aninka zabawiła na gawędce jakiś kwadransik. Te improwizowane wizytki Anny w czasie odpoczynku obiadowego są dla mnie zawsze niespodzianką radosną, a dziś tym bardziej, żem o tym ani myślał i że nie widziałem jej od przedwczoraj i do jutra wieczorem widzieć się nie miałem. Moja Anna stęskniła do mnie i przyszła sama, chcąc się podzielić ze mną paru faktami z jej życia. Ma we mnie przyjaciela jedynego i najserdeczniejszego, z którym może się dzielić wszystkiemi wrażeniami, myślami i faktami z życia. Miała mi parę nowinek do zakomunikowania: 1) odwiedziła ją dziś w pracowni Lipkowskiej pani Ławrynińska, z którą się Anna od jesieni nie widziała, i 2) Anna przez swą gospodynię mieszkania przy Monastyrskiej otrzymała obstalunek na zrobienie kapelusza; radziła się mnie, czy przyjąć tę robotę, bo nie jest pewna, czy już tyle umie, żeby potrafić; poradziłem, żeby przyjęła: będzie to jej pierwszy zarobek w kapeluszniczstwie, a czego sama nie potrafi, to się poradzi u koleżanek w pracowni.

Znów dziś poszedłem do doktora Świeżyńskiego dla poradzenia się o tym pryszczu na nosie, który trwa uporczywie i nie chce przechodzić. Nie rozrasta się on teraz, nie narywa, nie ma żadnego strupka; zarosł powierzchnią skórką i ma kształt brodaweczki wypukłej; barwę ma ciemną, otoczony dokoła obwódką ceglastą. I niewiadomo, co z nim robić, jak go się pozbyć. Niewiadomo nawet, co to jest. Wypryszczyk ten bardzo mnie męczy i niepokoi. Dr. Świeżyński nic o nim kategorycznie nie orzekł; wycisnął tylko starannie wnętrze brodaweczki i przepisał jakąś maść ciemną do smarowania i kazał przyjść za tydzień; gdyby za tydzień maść ta nie poskutkowała, to doktor zamierza sięgnąć do środków radykalniejszych. Tymczasem po wyciśnięciu brodaweczki przez doktora wypryszczyk wygląda jeszcze gorzej, bo jest jaskrawie ceglasty, zaogniony.

Wieczorem u Krzyżanowskiego odbyło się zebranie komitetu redakcyjnego „Przeglądu Wileńskiego". Obecni byli: Krzyżanowski, Nagrodzki, [illegible], Witold Abramowicz i ja. Spraw zasadniczych nie rozstrzygano, bo cały wieczór zużyty został na szczegółową krytykę ostatniego numeru przez Krzyżanowskiego. Krzyżanowski, który celuje w analizie, wykazał i wyciągnął na jaw wszelkie usterki, popadając w zbytnią drobiazgowość.

9 (22) marca rok 1912. piątek.

Rano przyszły po mnie konie z Kuczkuryszek, posiadłości Łastowskiego pod Wilnem. Konie przysłał dzierżawca Kuczkuryszek, p. Modliński, mój klijent. Ma on do wytoczenia akcję do rządu o skasowanie wybudowanych z jego zjazdów z szosy, skierowanych na łąkę jego. Chciał, abym pojechał na miejsce dla obejrzenia osobiście zjazdów tych, abym się lepiej orjentował w sprawie. Wycieczka ta za miasto na wieś parą dobrych koni w pięknym wygodnym fajetonie sprawiła mi istotną przyjemność. Pogoda była nie arcyświetna (mało pamiętam wiosen tak brzydkich, słotnych i ciemnych, jak obecna), ale chwilami przecież świeciło słoneczko wiosenne. W Kuczkuryszkach zabawiłem krótko: obejrzałem jeno z p. Modlińskim te zjazdy na szosie, wypiłem herbatę i wróciłem do Wilna.

Poza tym nie wychodziłem z domu wcale aż do wieczora. Wrzód na nosie, wyciśnięty wczoraj przez dr. Świeżyńskiego, wygląda b. brzydko: jest zaogniony i ma barwę czerwoną ciemno-ceglastą. Sam nie wiem, co to będzie; niepokoi mię to mocno, a tymczasem wstydzę się pokazywać na oczy ludziom. Chciałbym, żebym mógł zapaść się w jakiś kąt i być tymczasem niewidzialny. Smaruję wrzód maścią ciemną, którą mi dr. Świeżyński przepisał. Poobiedzie spostrzegłem, że maść ta wyciągnęła z wrzodu trochę materji i przyszło się rozstrzygnąć, co może być oznaką dobrą. Wieczorem poszedłem do Anny. Jej jednak się nie wstydzę. Spędziłem u Anny cały wieczór do północy. Gawędziliśmy serdecznie. Zachwyca mię i budzi cześć Anna przez swą wielką wrażliwość na krzywdę ludzką i głębokie poczucie sprawiedliwości społecznej.

10 (23) marca.
rok 1912.
sobota.

Dzień zeszedł na zajęciach zwy-
kłych. Wieczorem poszedłem z
Marynką na pierwsze przedstawie-
nie do nowego teatrzyku „Maska",
urządzonego w lokalu zamkniętej
cukierni Torwirta przy prospekcie.
Jest to pierwszy w Wilnie teatrzyk
tego typu. Jest to rodzaj kalejdosko-
pu teatralnego; wszystkie sztu-
ki sceniczne są tu w streszcze-
niu reprezentowane: jest komedja,
urywki z opery, kawałki baletu,
kinematograf. Przedstawienie wszakże
bardzo słabe, robiące wrażenie
budy jarmarkowej. Tandeta teatralna
lichego gatunku.
Stamtąd wpadłem jeszcze na
godzinkę do Anny.

11 (24) marca. rok 1912. Niedziela.

Cały dzień spędziłem z Anną. Koło godz. 11½ we dnie spotkałem się z nią w cukierni Jassowicza, dokąd Anna przyszła od p. Sawrońskiej, ~~którą się~~ którą odwiedziła rano. Poszliśmy z Anną na miasto, do cukierni Sztrala przy prospekcie, stamtąd do gmachu cyrkowego po bilety na przedstawienie wieczorne operetki rosyjskiej, potem szukaliśmy dla niej pokoju do wynajęcia. Nadspodziewanie udało nam się wynająć ładny, choć nieduży, jasny i czysty pokoik na 3 piętrze (wejście z ~~podwórza~~) przy rogu ul. Wileńskiej i Małej Pohulanki, a więc w samym środku miasta, w punkcie doskonałym, za rb. 9 miesięcznie. Bardzo się cieszę z tego wynajęcia, bo Anna będzie też pod moim bokiem i będę mógł często i z łatwością do niej wpadać. Po obiedzie znów spotkaliśmy się z Anną i poszliśmy na Górę Zamkową. Potem rozstaliśmy się na godzinkę, bo ja musiałem wstąpić do domu, a Anna zaszła na ten czas do „Ruty". Gdym tam o godz. 6½ po Annę wstąpił, natrafiłem na repetycję chóru litewskiego. Anna zaraz wyszła za mną, ale ja, jak zawsze po każdym zetknięciu się Anny z Litwinami, czułem pewien niepokój i zacząłem się trochę dąsać, co Anna zrozumiała w lot i wpadła w przygnębienie, ~~[illegible]~~ czując się zadraśniętą w swej dumie. Siedzieliśmy na ławeczce w Cielętniku. Żal mi się jej zrobiło. Pojąłem, że ją krzywdzę i ranię fałszywie, k'woli kaprysom jakiegoś. To też otoczyłem ją serdecznością i rozwiałem chmury smutku i przygnębienia. Na godz. 8½ poszliśmy do teatru (gmachu cyrkowego na placu Łukiskim). Anna ~~[illegible]~~ po zdjęciu palta wyglądała ślicznie w swym czarnym stroju, tylko z medalionem [illegible] na piersi. Grano operetkę „[illegible]". Anna, widząc uwagę, z jaką się przyglądałem ~~[illegible]~~ [illegible] i śpiewakom oraz poszczególnym śpiewaczkom chórowym, zaczęła mnie posądzać o jakieś sentymenty czy zdrożności dla artystek i pod wpływem zazdrości i smutku oraz

[illegible]

Zajęty byłem przeważnie bieżącemi sprawami adwokackiemi oraz przygotowywaniem się do jutrzejszego referatu poniedziałkowego z prawa karnego, który mam wygłosić na konferencji pomocników adwokatów. Koło południa otrzymałem listek od Anny, wyznaczający mi spotkanie na godz. 4 na ulicy koło domu mego. Okazało się, że wynajęty wczoraj przez nas dla Anny — pokoik przy ul. Wileńskiej został dziś Annie wymówiony. Dziś rano przyszła do pracowni Szyszkowskiej gospodyni tego mieszkania, w którym się pokoik mieści, i oświadczyła, że ze względu na psa, którego ma mieć Anna, ona się na wynajęcie pokoika nie decyduje. Szkoda mi, bo pokoik był miły, i zwłaszcza ucieszyło mię to, że Anna będzie tak blisko ode mnie. Anna jednak nie jest zmartwiona. Ciężko będzie znaleźć pokój, mając psa, tymbardziej szczenię, które brudzi i gryzie rzeczy. Może w dotychczasowym pokoiku przy Monastyrskiej mogłaby ona będzie trzymać pieska. W takim razie tymczasem Anna pokoju zmieniać nie będzie. Korzystając z okazji, poszliśmy z Anną zaraz dowiedzieć się o tym szczeniątku, czy już jest i kiedy będzie do wzięcia. Pieska (wyżełka) zamówiłem w sklepie broni p. Uminowicza. Zaszliśmy do niego i dowiedzieliśmy się, że piesek, przeznaczony dla Anny, ma już 6 tygodni i jest do wzięcia u niejakiego p. Sawickiego przy W. Pohulance. Obejrzeliśmy z Anną pieska, który się okazał pięknym i już zmyślnym, a zwłaszcza zabawnym. Anna jest zachwycona, ja zaś byłem trochę zły na siebia za to, że sam Annie tego pieska zaproponowałem, a widzę teraz, że będzie to źródłem nowego kłopotu. Zdaję już sobie sprawę, że nie powinienem żałować tej rozrywki dla Anny. Biedna Anna, która poza chwilami spotkań ze mną nie ma żadnej rozrywki, będzie miała zabawkę i przyjemność, będzie miała stworzenie żywe przy sobie, przywiązane i miłe. Jest to dla niej bądźcobądź nabytek dodatni.

12 (25) marca rok 1912.

13 (26) marca rok 1912. wtorek.

Miałem dziś wieczorem referat o skazaniu warunkowym na konferencji prawa karnego pomocników adwokatów. Konferencje te odbywają się co tydzień u Wróblewskiego. Nie bywam zwykle na nich, bo czasu na to nie mam. Dziś wszakże być musiałem, bo wypadła na mnie kolej referowania. Obecni byli: Wróblewski, jako kierownik, i pomocnicy Janulaitis, Andrejewskij, Tiomkin, Lewin, Jundziłł, Łapicz, Żałkind, Sołdman i kilku innych, których nazwisk nie znam. Referat mój był krótki. Wyłożyłem w rysach ogólnych społeczne uzasadnienie instytucji skazania warunkowego oraz szkielet takowego podług ustawodawstwa belgijskiego i francuskiego. W dyskusji, która się potym wywiązała, zabierali głos Wróblewski, Lewin, Tiomkin i młody pomocnik Żyd, którego nazwiska nie wiem. Dyskusja dotyczyła li tylko społecznego uzasadnienia instytucji. Wróblewski, występujący w charakterze prawowitego sędziego, uwydatniał wsteczną klasową podstawę skazania warunkowego. Przez instytucję tę klasy uprzywilejowane i posiadające zaoszczędzają sobie miejsca wolne w więzieniach dla zbrodniarzy szkodliwszych i zarazem gwarantują siebie od spotęgowania zbrodniczości w osobach warunkowo skazanych, którzy w więzieniu stają się gorsi i szkodliwsi. Tiomkin, wychodząc także z założeń klasowych, dostrzegał w skazaniu warunkowym ślady demokratyzacji i wpływu, zdobywanego na prawodawstwo przez ~~[illegible]~~ masy ludowe, których interesom odpowiada instytucja postępowa. Wreszcie trzeci Lewin podkreślał wpływ tendencji humanitarnych w kulturze współczesnej, przeciwko czemu oponowali [illegible].

14 (27) marca rok 1912. Środa.

Wieczorem byłem na zebraniu miesięcznym Towarzystwa Przyjaciół Nauk na zapowiedzianym odczycie „historyka” Mościckiego o sprawie żydowskiej w zabranych dzielnicach Rzeczypospolitej za Stanisława II. Boże mój! Co za „historyk” i co za odczyt! Doprawdy wstyd mi było za zgromadzenie i wstyd za naukę przed postacią takiej „historji”. Nie mówię już o tym, że temat był traktowany tak płytko i li tylko anegdotycznie, jak [redacted] dalej iść nie można. Po raz pierwszy słuchałem Mościckiego, ale z jego prac drukowanych miałem już sąd wyrobiony o nim i wiedziałem, że się po nim dużo spodziewać nie można. Jest on bardziej publicystą, niż uczonym, ale i publicystą kiepskim. Umie wygrzebać kilka dokumentów z archiwum, ale opracowania nie daje żadnego. Społeczna strona zjawisk jest u niego całkiem ignorowana. Ale ostatecznie mniejsza z tym. Jest to brak zdolności i kwalifikacji naukowych. Gorszą natomiast o wiele i wprost oburzającą dla mnie jest metoda traktowania zjawisk historycznych przez Mościckiego. Jest to podły karjerowicz-arogant w najpospolitszym gatunku. Jego „historja” – to wyłącznie schlebianie popularnym instynktom słuchaczów, całkowite podporządkowanie nauki k'woli poklasku tłumu. To klown cyrkowy, błazen nikczemny. Mając audytorjum endeckie w osobach większości członków T-stwa Przyjaciół Nauk pozwalał sobie na taką obłudę w tonie, na takie tendencyjne traktowanie przedmiotu, jakgdyby historja była wyrazem aspiracji i programu Demokracji Narodowej. Żal mnie porywał do tych endeckich baranów wileńskich, który błazna takiego na piedestał nauki wynoszą, bijąc mu oklaski z najszczerszych niewątpliwie źródeł swego serca, stając się ofiarą oszustwa pseudo-naukowego. A Mościcki kpi z nich niewątpliwie w głębi duszy i łaknie w [redacted] swym sercu komedjanckiem poklasku za tani grosz pochlebstwa.

Wyszła dziś jednodniówka esdecka p. t. „Praca”. [redacted] Jest to pierwszy balon próbny nowej wileńskiej ambicjonicznej grupki esdeków. Artykuliki są dobre naogół, ton jest szczery, demokratyczny, uczciwy, jakkolwiek. Jest tam trochę [redacted] uszczypliwości, skierowanych do „postępowców”, którzy znaczą do nas z „Przeglądu Wileńskiego”. Dużo jest tam prawdy o postępowcach, ale uważam [illegible] utrzymanie nie [illegible] historia; „postępowcy” wymownie [illegible]. Spróbowałem napisać odpowiedź na ten artykuł.

15 (28) marca roku 1912. czwartek.

Dziś wieczór zebrało się parę osób u Eljasza Romera dla pogawędki z bawiącym chwilowo w Wilnie znanym działaczem społecznym i publicystą rosyjskim, prof. Gredeskulem, byłym wiceprezesem I Dumy Państwowej rosyjskiej. Obecni byli Eljasz Romer, dr. Jerzy Romer, redaktor Własow, Antoni Łuckiewicz, inżynier Prozorow i ja. Gredeskul, jak wszyscy rosjanie postępowi i radykalni w ostatnich kilku latach, niezmiernie się interesuje ruchami narodowymi na kresach państwa Rosyjskiego i nie umie się dobrze połapać w tej mozaice różnorodnych dążeń i kultur. Rozpytywał mnie dużo o polakach litewskich i stosunku ich do innych narodowości. Wrażenie sprawił na mnie sympatyczne.

Wieczorem u Witolda Abramowicza odbyło się zebranie komitetu redakcyjnego „Przeglądu Wileńskiego". Obecni byli członkowie komitetu Krzyżanowski, Witold Abramowicz, Piłsudski i ja oraz redaktor Ludwik Abramowicz. Omawiana była sprawa programu czy też platformy pisma. Obecnie już sprawa ta staje się aktualna, pismo powinno się uwyraźnić i kondensować. Uprzytomnienie sobie platformy naszej jest w tej chwili też potrzebne ze względu na mające się w tych dniach odbyć zebranie szerszego koła współpracowników i czytelników pisma, wobec których musimy z wyraźnymi postulatami wystąpić. W tym względzie wszakże zebranie nasze dzisiejsze niewiele nam dało, bo ostatecznie kręciliśmy się wciąż na tych samych założeniach ogólnych, które od początku od samego [skreślone] powstania pisma wydobywaliśmy. Zresztą — jakież tu wyjście. My sobie, a redaktor sobie. Zasadniczych sprecyzowań ustaleń żadnych niby niema, ale faktycznie Ludwik Abramowicz kieruje pismo w duchu „ponadklasowego" czy „bezklasowego postępu" z odcieniem nacjonalizmu. My z Krzyżanowskim kładziemy wybitny nacisk na stronę społeczną i kierunek antynarodowy w programie, Witold Abramowicz także szuka wyraźnego oparcia na jakimś podłożu społecznym (jest to u niego rys wyraźnie zaakcentowany, jako pozostałość bawiących jego smakowań socjalistycznych), ale u Witolda kierunek społeczny łączy się z [skreślone] wybitnie zaznaczoną tendencją narodową. A tymczasem Ludwik [skreślone], który, jako redaktor, wykonawca kierunku, stanowiska społecznego nie zastępuje.

Esdecka jednodniówka „Praca", która 16 (29) marca
ra się ukazała skonfiskowana, powinna być rok 1912.
w „Przeglądzie" naszym omówiona, zwłaszcza za
względu na wyrażony w niej stosunek do „postępowców". piątek.
Esdecy w artykule „Do naszych postępowców" uzasadniają racje, dla
których proletarjat musi żywić nieufność do t. zw. postępu rzekomego „wileń-
skiego". Robią przegląd historyczny walk XIX wieku o „wolność", wyka-
zują, jak proletarjat popierał zawsze gorąco ruchy wolnościowe
burżuazji liberalnej i jak potem zawsze był przez burżuazję
zaś tę opuszczony i zdradzony z chwilą, gdy dochodziła ona
do władzy; oczywiście zresztą inaczej być nie mogło i niepodobna
chcieć, aby proletarjat wierzył w jakąś platoniczną miłość burżua-
zji liberalnej do niego, jak niepodobna też chcieć, aby burżuazja
ta wyrzekła się swych założeń klasowych, co nie wyklucza w
pewnych momentach dziejowych współpracownictwa, gdy interesy
tych klas poszczególnych spotkają się na jednej linji kierunku
rozwojowego. Dalej w jednodniówce wyrażona jest nieufność do obec-
nego „postępu" polskiego (w Wilnie zaś: wileńskiego), który jest dziś
w stanie rozkładu tak organizacyjnego, jak ideowego, zaprzeczając
w postulatach konkretnych właściwym hasłom ogólnym (najjaskra-
wiej to się uwydatnia na sprawie żydowskiej, ale też poza tym i w wie-
lu innych sprawach). Jednodniówka, mówiąc o grzechach powyższych
i ciągnąc z nich nieufność do postępu „burżuazyjnego" w ogóle,
kiwa też palcem w naszą stronę, to znaczy w kierunku naszych sta-
łych zalążków postępowych, które mają obecnie wyraz w „Przeglą-
dzie". Otóż tu się, zdaniem moim, popełnia przez esdeków naszych błąd,
który uważałem za potrzebne sprostować w artykuliku moim, napisa-
nym zaraz nazajutrz po przeczytaniu jednodniówki. My
musimy i w jakim stopniu przenosić na stosunki nasze pojęcia „po-
stępu" i „postępowców" ze stosunków obecnych warszawskich? Jednak
u nas mamy prądy demokratyczne w postaci ruchu ludowego białoruskiego i ruchu
ludowo-antyklerykalnego litewskiego, które nie są identyczne z ruchami
liberalno-mieszczańskimi. Dalej śród żydów poza kierunkiem społeczno-
-demokratycznym Bundu, jest kierunek kadecki i są elementy po-
średnie, niezorganizowane obecnie, tworzące szereg odcieni od kadetów do
ludowców i sympatyków socjalizmu. W polskiem zaś odłamie społeczeń-
stwa krajowego, którego masę główną, najtwardszą, świadomą i czynną, stano-
wi szlachta ziemiańska, prądy demokratyczne są istotnie najsłabsze. Otóż
w zapoczątkowaniach, które się robią i których jednym z wyrazów jest
„Przegląd Wileński", chodzić powinno nie o to, aby przeszczepiać do nas żywy i
bezprogramowy postęp warszawski, ale o to, aby wzmocnić i ugruntować
prądy demokratyczne śród polaków i połączyć we wspólnej pracy z de-
mokracją litewską i białoruską. Pod tym przeto kątem widzenia należy,
zdaniem moim, krytykować zapoczątkowania nasze i w szczególności „Prze-
glądu", nie zaś przez przenoszenie nań żywcem krytyki ogólnikowej libera-
lizmu mieszczańskiego i postępu warszawskiego. Krytyka taka, jak ją sfor-
mułowałem, byłaby poważna i płodna i zwalczałaby nawet swoją sentencję,
bo nasz redaktor Ludwik Abramowicz zaiste jest zupełnie „demokratą" i ma
wiele „postępowca" i przeto niedoskonale w myśl założeń zasadniczych pismo
prowadzi. Gra zaiste nie byłaby warta świecy, gdyby nam o małpowanie i o
flankowanie postępu warszawskiego chodziło. Ludwik Abramowicz wszakże arty-
kułu mego, w powyższy sposób sformułowanego, — gdym go mu wczoraj przy-
niósł, nie zaakceptował i prosił się wstrzymać, bo właśnie on sam odpowiedź na-
szą na jednodniówkę gotuje, którą mi przedstawi. Wygianowski dziś mi wyra-
żał obawę co do treści tej zamierzonej odpowiedzi Ludwika i prosił, abym nad nią
czuwał. Boimy się, że Ludwik stanie właśnie na gruncie „postępu" w stylu war-
szawskim, zamiast demokracji.
Wieczorem spotkałem się z Anną. Poszliśmy razem do teatrzyku „[illegible]", który
i tym razem mi się nie podobał. Komedyjka grana z Anną była zupełnie dobra, ale
potem, gdyśmy poszli na kolację do hotelu Niekrasowskiego, nastrój stosunku naszego się
popsuł. Anna była ospała, bez temperamentu. Na mnie to działa zawsze depresyjnie, to
i tym razem odebrało mi to wiarę w miłość i wiarę w samego siebie. Po kolacji odprowadziłem Annę do domu

17 (30) marca. rok 1912. sobota.

Ludwik Abramowicz zapewnił nas, że artykuł zasadniczy w odpowiedzi na tematy, poruszone w jednodniówce esdeckiej „Praca", da dopiero do następnego numeru „Przeglądu", a że w tym numerze ograniczy się tylko notatką informacyjną, z którą ani mnie ani nikogo innego z komitetu redakcyjnego zawczasu zapoznawać nie miał potrzeby. Tymczasem notatka ta, zamieszczona w numerze dzisiejszym, jest już niewątpliwie czymś więcej, niż tylko notatką informacyjną. Abramowicz piętnuje w niej zjadliwą uwagą jednodniówki o bezprogramowej kandydaturze „postępowej" Tadeusza Wróblewskiego w ubiegłej (przed kilku laty) kampanii wyborczej do III Dumy i w ustępie końcowym artykuliku swego, krytykując esdeków, przyznaje solidarność swą, a więc solidaryzuje „Przeglądu" z „ponadklasowym postępem", jako jakimś kierunkiem społecznym.

[Niedokładnie wyraziłem się, że z braku [illegible] „Przeglądu", ale, [illegible] to niewątpliwie zastrzeżenie, tak dla pisma, jak i dla poszczególnych elementów ze stanowiska [illegible].]

Artykulik ten mocno mnie obeszedł, bo skoro „Przegląd" ma być organem naszym, to kierunku „ponadklasowego postępu" wystawiać nie powinien, gdyż zapatrzenia nasze były całkiem inne. Postęp jest właściwie przecie tylko pojęciem względnym, nie – treściwym. Walka królów z feudalizmem we Francji pod hasłem absolutyzmu monarchicznego była onegdaj postępem, dziś wszakże aspiracje absolutystyczne postępem nie będą. Hasłem naszym treściwym może być nie postęp, ale demokracja; nią się legitymować musimy, ją stawiać, z jej wskazań postulaty programowe wyciągnąć; to jest zadanie nasze. Przyjęcie firmy ponadklasowego postępu albo jest czczym frazesem i ogólnikiem, pięknym może, ale zwalniającym nas zbyt tanio od obowiązków, albo jest przyjęciem na siebie kontrasygnaty kartelów „postępu" warszawskiego, stanowiącego formację, zdaniem moim, ciężką dla nas nieodpowiedzialną, przeciwko której musielibyśmy się wypowiedzieć stanowczo. Wobec tego postanowiłem zareagować na artykulik Ludwika w ten sposób, że napisaną (przeznaczoną przed paru dniami) odpowiedź na jednodniówkę „Praca" postanowiłem dać do następnego nr „Przeglądu" w postaci listu do redakcji. Abramowicz prosi, abym tego nie robił, i upiera się z decyzją do napisania przez niego artykułu zasadniczego, na który jak on sądzi, ja się zgodzę. Rzecz ta więc pozostaje w zawieszeniu.

Wieczorem w mieszkaniu Nagrodzkiego odbyło się zebranie szerszego koła sympatyków i udziałowców „Przeglądu". Jest to pierwsze zebranie od czasu rozpoczęcia wydawnictwa, zwołane przez komitet redakcyjny. Chodzi nam o to, aby nawiązać kontakt ściślejszy i obcowanie czynne między redakcją pisma a opinią publiczną w osobach wspólników i sympatyków kierunku naszego. Zebrania takie projektujemy zrobić stałemi. Są one zapoczątkowaniem nader pożądanego, bo bez kontaktu i kontroli czynnej ze strony odpowiedniego koła społeczeństwa pismo może się wyjałowić i być oderwanym od życia. Na zebraniu obecni byli redaktor dziennika Abramowicz, komitet redakcyjny w osobach Witolda Abramowicza, Zygmunta Nagrodzkiego, Bronisława Krzyżanowskiego, Jana Piłsudskiego i mnie, oraz z pośród osób zaproszonych: p. Turski (przewodniczący zebrania), p. Mieczysław Ostachiewicz, Kazimiera Ostachiewiczowa, p. Nagrodzka, Nagrodzki junior, Kłott, Bagiński, Kruszewski, Zasztowt, Dziewicki i kilku innych. Ogółem było osób niewiele, kilkanaście, ale zebranie udało się dobrze, poruszono kilka ciekawych kwestyj, udzielono wskazań pismu, zwrócono uwagę na niektóre notatki i t. d.. W szczególności omówione zostały następujące kwestje: 1) sprawa zatargów polsko-litewskich o język w kościele; sprawa ta, jedna z najbardziej zaognionych, zwłaszcza w diecezji wileńskiej, będąca przedmiotem najgorętszej dyskusji tak w polskim, jak litewskim obozie, nie była dotychczas wcale w „Przeglądzie" omawiana, a wszakże niewątpliwie ma ona tło podłoże społeczne i kulturalne i nie może być uważana za li tylko wewnętrzną sprawę kościelną; a choć nam w stosunku do ruchu litewskiego chodzić więcej powinno o poznanie roboty twórczej litwinów, niż o omawianie momentów zapalnych sporu, to jednak sprawy tej niepodobna ignorować i należy ją poddać analizie, jako zjawisko społeczne, i tak lub inaczej określić nasz stosunek do niej ze stanowiska demokratycznego. 2) stosunek inteligencji demokratycznej i postępowej do życia społecznego i instytucji. Zwrócono uwagę, że elementy demokratyczne z inteligencji (polskiej) stosują się u nas bardzo biernie do przejawów życia publicznego, biorąc tylko udział w instytucjach, są skłonne tylko do krytyki, a nie do twórczości społecznej; w związku z tym zwrócono uwagę, że pożądanym jest, aby „Przegląd" podnosił czynność instytucji i poszczególne zagadnienia społeczne w sposób jaknajbardziej konkretny, [illegible] traktowania spraw. 3) [illegible] roli elementu polskiego w gub. kowieńskiej, poruszona ze względu na artykuł L. Abramowicza w jednym z ostatnich [illegible] [illegible] elementu polskiego w g. kowieńskiej; [illegible]

Cały dzień spędziłem z Anną — wszak to dzień 18 (31) marca.
„nasz" — niedziela. Rano o godzinie umówionej spotka=
liśmy się z Anną w cukierni Jassowicza. W programie rok 1912.
dnia dzisiejszego miało być pójście do hotelu i spędzenie
tam dnia całego. Nie zostało to wszakże wykonane. Już Niedziela.
w cukierni Jassowicza spostrzegłem, że Anna dziś jest
usposobiona zgryźliwie: skierowywała do mnie jakieś aluzje, była
uszczypliwa. Śród innych rzeczy dała mi wyraźnie do zrozumie-
nia, że ideałem moim jest li tylko spółkowanie z kobietą i że
cała moja rzekoma miłość do Anny streszcza się jeno w prag-
nieniu użycia rozkoszy zmysłowej. Wobec tego postanowiłem
sobie do hotelu z Anną nie iść, a przynajmniej jej tego nie pro-
ponować. Skoro Anna daje mi do zrozumienia, że idzie ze mną
nie z ochoty własnej, lecz dla dogodzenia jeno kaprysowi memu, to
mnie też to nie [illegible]. Uciechy, wymuszone na kobiecie, nie są dla
mnie uciechami; mogę sobie pozwolić na obcowanie z kobietą, której
płacę za to, ale nigdy na obcowanie wbrew jej życzeniu z kobietą, którą
kocham, jak Annę. Bolało mię zaś nie to, że z Anną mieć rozkoszy nie
będę, ale to, że Anna w ten sposób miłość mą pojmuje i że tak
mię traktuje boleśnie. Po wyjściu więc z cukierni poszliśmy do ogrodu
Bernardyńskiego na przechadzkę, stamtąd poszliśmy na miasto, kupiliśmy
dla mnie nowe buty przy ul. Wileńskiej, wreszcie na obiad do re-
stauracji Myśliwskiej. Nastrój przez cały czas spaceru i obiadu był nas-
trój przyjazny, dobry, serdeczny nawet, choć było w nim coś niedopowiedzia-
nego, co nas krępowało nawzajem, i czuć było w podziemiu pomruk
burzy, wzbierającej w sercach naszych. Po obiedzie wychodzimy. Dotychczas
nie było między nami wzmianki o hotelu, choć oboje wiemy, że hotel był
w programie, i oboje czujemy, dlaczego program ten nie został wy-
pełniony. Ale milczymy o tym ~~i to~~ przed sobą, i milczenie to stwa-
rza pewien fałszywy dysonans w stosunku naszym. Po wyjściu z obiadu
Anna niby mię prowadzi kierując w stronę hotelu; ja wszakże z pla-
cu Katedralnego zwracam w innym kierunku, przez Preobrażeńską
i Małą Pohulankę wchodzimy na cmentarz ewangielicki. Tam bawimy chwilkę
i jedziemy z nim do mieszkania Anny (piesek będzie się nazywał „Ugryź"), jest
czarny, kudłaty, karny, choć ma dopiero 6-7 tygodni; Anna jest z pieskiem zachwyco-
na serdecznie). Po przyjeździe do mieszkania Anna zajmuje się gorli-
wie pieskiem. * Na tle poprzedniego nieporozumienia i wobec zaprzątnięcia
uwagi Anny przez pieska, czuję się wykolejony. Nie wiem, czy nie jestem zazdros-
tny. Chcę wychodzić. Anna niepokoi się, zatrzymuje, tuli się do mnie, ma łzy
w oczach, ale już doprawdy sam nie wiem, czy mam jej wierzyć, czy
nie: czy to miłość, czy wyraz współczucia u kobiety tak wrażliwej, jak Anna,
czy też to wszystko razem — to histerja. Wreszcie wychodzę. Dość wcze-
śnie, bo dopiero o godz. 6 ½. Wieczorem miałem być u Walumiów Weyssenhoffów,
do których jesteśmy na jakieś zebranie zaproszeni. Miałbym jeszcze czas dla
Anny, ~~ale wychodzę — wcześniej, bo mi~~ ciężko. W domu wszakże do-
wiaduję się od Maryńki, że zebranie u Weyssenhoffów odłożone zostało na jutro.
Wobec tego o godz. 9 znów jestem u Anny. Anna właśnie pieska wymyła, pie-
sek śpi. Rozmawiamy z Anną serdecznie, ale z pewnym ~~—~~ przymusem,
przynajmniej z mojej strony, bo zadra mi na sercu leży. Anna wy-
ciąga ze mnie wyznanie, że ją kocham za wiele, że ją przez tak nadużycia
miłości męczę, że się wyleczyć z tego muszę. Anna płacze, szlocha, powiada,
że cała wina po jej stronie, bo mię męczy i doświadcza rozmyślnie, przez
złośliwą zabawę; powiada, że jest podła, że jest brudna, że jest świnia. Błaga
mię o miłość i o przebaczenie. Ale ja stoję na swoim, — trochę z przeświadcze-
nia i bólu, trochę przez chęć zemsty. Powiadam, że tak nie jest, że Anna nie mo-
że być winną, i że się leczyć z miłości muszę, a jak — * o tym wiem sam.
Dodaję, że dziś jeszcze się leczyć zacznę. Anna pojmuje, że „leczenie" się mo-
je będzie polegało na winie i kobietach; szlocha, nie przeczy, ale gdy ja obstaję
przy moim twierdzeniu, budzi się w niej protest. Wtedy ją zapewniam
jej, że wrócę dziś do domu i „leczenia" spróbować nie będę, ale Anna mi wierzy, płacze
i nie słucha. Wreszcie oświadcza znienacka, że może robić, co mi się podoba. Biorę pieska na kolana, pie-
szczę, potem wychodzę, nie odprowadzony nawet przez Annę.

19 marca / 1 kwietnia.

rok 1912.

poniedziałek.

Wieczorem zaproszony byłem do Waluniów Weyssenhoffów na zebranie odczytowo-dyskusyjne. Zapowiedziany był na dziś odczyt o indyferentyzmie religijnym; dla wygłoszenia odczytu sprowadzony był umyślnie prelegent katolicki z Warszawy (nazwiska nie pamiętam), redaktor „Prądu", pisma katolickiego dla inteligencji. Audytorjum składało się z najwybitniejszej publiczności Wilna, t. zw. „śmietanki" „towarzystwa": obecny był cały świat arystokracji wileńskiej. Panie i panowie z najlepszej socjety wypełnili salony Weyssenhoffa. Były też dopuszczone w szczuplejszym zakresie sfery inteligencji wileńskiej, ale przeważnie tylko „dobrze myślący". Oprócz tego było trochę młodzieży szkolnej, śród której przeważali katolicy i endecy i zakopowie paru postępowców — przeważnie młodzież „dobrze urodzona". Słowem prawie całe audytorjum stanowiła arystokracja, najprawowierniej katolicka, dla której wszelka krytyka a nawet wątpliwość co do doskonałości katolicyzmu stanowiła przedmiot zgorszenia. Ja byłem zaproszony poniekąd w charakterze znajomego Weyssenhoffów, poniekąd zaś w charakterze domniemanego oponenta dla nadania pewnego bodźca do dyskusji. Byłem tam istotnie jedynym, który mógł zabrać głos w opozycji. Paru niewyraźnych „postępowców", których tam dostrzegłem, nie należeli do rzędu osób czynnych, walczących o swe przekonania. Z księży było tylko dwóch, ks. Czeczott (człowiek wykształcony, katolik i konserwatysta czystej krwi, ten sam, który onegdaj w r. 1909 na moim odczycie w Petersburgu opuścił ostentacyjnie w takcie odczytu salę, zgorszony moją krytyką kleru) i ks. Cywiński ([illegible], działacz, jeden z najczynniejszych i najzdolniejszych agitatorów klerykalizmu, jezuita zamaskowany). Ogółem osób było przeszło 100. Walusia Weyssenhoff otworzył zebranie krótkiem kwiecistym przemówieniem, w którym poinformował obecnych o celu niniejszego zebrania. Dowiedzieliśmy się, że grono osób (z inicjatywy, zdaje się, p. Ludwika [illegible] z Kurtowian) zaprojektowało szereg zebrań odczytowo-dyskusyjnych dla omówienia palących spraw religijnych, społecznych i narodowych z pominięciem polityki bieżącej. Celem zebrań tych jest wyjaśnianie prawd i rozważanie punktów wytycznych dla spółdziałania społecznego oraz nawiązanie żywego kontaktu między starszym a młodszym pokoleniem. Pożądane więc jest właściwe nadanie zebraniom tym charakteru dyskusyjnego, a w tym celu dopuszczone jest jak najswobodniejsze wypowiadanie myśli i zdań bez żadnej ostrożności. Na [illegible] przewodniczącego zaproszony dr. Witolda Węsławskiego, endeka inteligenta, chcąc przez to zapewne zaznaczyć demokratyczny charakter zebrania, bo Węsławski do arystokracji wcale nie należy. Rozpoczyna się odczyt. Prelegent mówi właściwie nie o indyferentyzmie religijnym, ale specjalnie o indyferentyzmie katolickim. Staje na gruncie współczesnego ruchu katolików francuskich, którego wyrazicielem jest we Francji działalność hrabiego de Mun, związku młodzieży „Sillon" i t. d. Mówi o potrzebie religji czynnej, o konieczności utworzenia życia podług wyznawanych zasad katolickich, o budowaniu na tychże zasadach życia społecznego. Wskazuje, że Polska, która jest pozornie bardzo religijna, w istocie ulega płaskiej indyferentyzacji. Dzieci się wychowują w zasadach katolickich, obrządki są wykonywane, istnieje dewocja zewnętrzna i t. d., ale religja nie odgrywa w życiu społecznym roli czynnika twórczego, nie zapładnia czynu [illegible], słowem, w sobie ducha apostolskiego. O ten duch apostolski wzywa prelegent, aby duch katolicki wyrwał się z gnuśnej apatji i wniósł z płomienną wiarą twórczą życie, jakie mu religja katolicka nakazuje. Wreszcie prelegent, cytując [illegible] Brzozowskiego, który się w ostatnich latach zaczął od międzynarodowego socjalizmu do katolicyzmu skłaniać, wskazuje, że kościół katolicki jest kościołem tak uniwersalnym, że przechowuje w sobie miejsce dla wszelkich kapliczek wiernych indywidualnych, dla wszelkich tęsknot i prawd poszczególnych. Po odczycie nazajutrz nikt się nie zapisał do głosu. Zarządzono przerwę. W przerwie upraszano mię usilnie, abym zabrał głos i rozpoczął dyskusję. Sam gospodarz Walusia Weyssenhoff, jego żona, dr. Węsławski i inni prosili mię o przemówienie. Liczono na mnie jako na [illegible] dyskusyjny, a oczywiście się nie obawiano z tego wystąpienia mego w tak „porządnym" i katolickim zgromadzeniu (ja wszakże wolałem narazie zaczekać). Po przerwie [illegible] się mała dyskusyjka na temat, czy kosmopolityczny, uniwersalny charakter Kościoła katolickiego daje się pogodzić z interesem narodowym polskim. Zabierali głos ks. Czeczott, ks. Cywiński, Walusia Weyssenhoff i z endeków dr. Węsławski. Ks. Czeczott chciał wyciągnąć endeków na słowo, aby się wypowiedzieli, jakie konsekwencje uważaliby za wskazane, gdyby interesy kościoła zetknęły się w rozbieżności z interesem narodowym, czego oni, jako katolicy wierzący, dopuścić nie mogą. Endecy wszakże, a właściwie ich jedyny przedstawiciel przemawiający, dr. Węsławski, wykręcił się od tej odpowiedzi. Ostatecznie [illegible] i była prowadzona w tonie bezwzględnej apologetyki katolicyzmu. Wreszcie, gdy się już ten temacik wyczerpał, ja głos zabrałem i wystąpiłem z krytyką katolicyzmu. Zaznaczyłem wszakże przedewszystkiem, że w ścisłych ramach li tylko zagadnienia religji, nie dotykając dziedziny społecznej. Przemówienie moje było krótkie i zasadnicze, ale [illegible] wywarło wrażenie [illegible]. Powiedziałem mniej więcej tak. Prelegent utożsamiał indyferentyzm religijny z indyferentyzmem katolickim, co bynajmniej identyczne nie jest. Jeżeli religja ma być wyrazem najwyższych tęsknot ducha ludzkiego, prób rozwiązania najwyższej zagadki bytu, której nauka rozwiązać nie jest w stanie, — wieczności [illegible] takich, jak początek i koniec, [illegible] wszechistnienia, jak [illegible] prawdy i sprawiedliwości kosmicznej, to wówczas indyferentyzm musi być [illegible] i sam indyferentyzm uznany za ujemny. Bo w upadkach [illegible] stanowią religijnych i religji samej, te żywe czynniki twórczego ducha ludzkiego, ta jego potrzeba, których wyrazem były religje, nie mogą się w indyferentyzmie wyrażać. Ale czy jest katolicyzm? On [illegible] wyklucza twórczość religijną człowieka, bo jako system gotowy, ujęty w formuły dogmatów, całkowicie i [illegible] rozwiązuje [illegible] ducha [illegible]. Katolicyzm daje na wszystko odpowiedź kategoryczną, bezwzględną. Katolicyzm wyklucza [illegible] indywidualnych [illegible] i katolicyzm jest tym materiałem, który prowadzi do najlepszego indyferentyzmu w zakresie [illegible]. Na [illegible] przemówienie odpowiedział prelegent, który [illegible] na gruncie prawdy objawionej, która się w katolicyzmie mieści i która [illegible]. Katolicyzm nie jest [illegible] o co się spierać. Nie doczekałem do końca zebrania, które się jeszcze długo ciągnęło, i o godz. 10½ zawiązałem się do [illegible] Aniny, u której [illegible]. Przez cały dzień [illegible] do Aniny. [illegible]

20 marca.
2 kwietnia.
rok 1912.
wtorek.

Biorąc asumpt częściowy ze wskazówki, udzielonej „Prze-glądowi" przez sobotnie zebranie udziałowców i sympatyków pisma o omawianiu konkretnym działalności praktycznych instytucji społecznych i kulturalnych, napisałem dziś artykulik z powodu odczytu Mościckiego, wygłoszonego — w tygodniu ubiegłym na ~~[illegible]~~ posiedzeniu naukowym „Towarzystwa Przyjaciół Nauk". Podałem krytykę metody odczytowej Mościckiego, polegającej na schlebianiu popularnym uczuciom i przesądom słuchaczy, metodę stosowną niedopuszczalną w odczytach naukowo-historycznych i dotknąłem samego tematu odczytu, — kwestii żydowskiej. Artykulik udał mi się dobrze i ma być wydrukowany w najbliższym Nr „Przeglądu".

Dużo się dziś znów zastanawiałem nad moim stosunkiem do Anny. Dlaczego nie możemy być z nią przyjaciółmi? Czy konieczną jest miłość? Miłość jest wiecznym źródłem zatargów, scen bolesnych i męczarni wzajemnej w stosunku naszym. Miłość sprawia to, że Anna się mnie nieraz lęka, boi się otworzyć przede mną całą duszę i z lęku wrażliwego stara mi się dogodzić bez chęci własnej. Tego przecie nie pragnę. Droższe mi jest jej serce, jej dusza, droższy widok pełnego rozwoju jej istoty niż przelotna przyjemność natury pociągowej, która przestaje być przyjemnością, gdy nie mamy wiary we wzajemność takiej przyjemności ~~[illegible]~~ w niej. Życie moje w dziedzinie erotyki było ciemne i brudne. Kobiety są moją namiętnością. Łudziłem się, że w miłości wielkiej i jedynej zdołam nadać życiu treść inną, zdołam znaleźć przeczyste łożysko dla całkowitego zespołu nas dwojga, któryby wykluczył wszelkie męty uczuć niższego rzędu. Tymczasem tak nie jest. Miłość ta jest wciąż zaprawiona zazdrością, niewiarą, szarpaniem nerwów i zmysłów ukochanej Anny i moich własnych. Niechże więc znów wracam do dawnej rozpusty miłostek płatnych i alkoholu, a z Anną zawiążę stosunek inny, niż przyjaźni osnuty. Dam jej to, czego jej w życiu brak, dam jej serce wierne, wolne od zmysłów, i posiądę jednocześnie prawdę jej serca, jej duszę w pełni rozwartą. Tak wykombinowałem sobie i z tym do niej wieczorem przyszedłem. Miłość ma wszakże nie mogła wygasnąć przez akt postanowienia, to też gdym jej zasady tego nowego stosunku przyjaźni wykładał, głos mi się [illegible] i ujrzała zwoto [illegible] serce się ścisnęło. Anna wyczuła zupełnie całej mego [illegible], błagała mnie o zaniechanie tych doświadczeń, o miłość prostą i szczerą, płakała, tuliła mi do serca. Tuliła. Tym wszakże obstawał przy swoim, Anna po jakimś czasie aktem woli się oderwała ode mnie i zesztywniała w pozornej a dumnej obojętności. Wyszedłem od niej. Idąc [illegible] blisko domu, zakończyłem nagle z postanowieniem rozpoczęcia próby od dziś. A więc wracam do dawnego życia hulanek i orgii nocnych, które mnie wyplenię [illegible] przeczysta stoi miłość [illegible] do Anny. Poszedłem [illegible] kawiarni przy ul. Mazowieckiej, gdzie przesiedziałem całą przy [illegible] z [illegible] hulałem; nie [illegible] się wszystkie me [illegible] pod [illegible] do Anny.

21 marca.
3 kwietnia.
rok 1912.
Środa.

Po nocy, spędzonej w lupanarze, wstałem wcześnie i wyszedłem z uczuciem wstrętu i upokorzenia. Noc ta była nocą bolesnego upadku. Nie byłem w stanie poddawać się orgji. Siedziałem z czterema dziewczynami, piłem, słuchałem gramofonu. Ale smutek mi zapiekł serce, poczucie brudu paliło mię wstydem. A w myśli mojej wciąż powstawał wizerunek Anny, przeczystej kochanki mojej. Pocom ją odbiegam i czy odbiec zdołam? I zamiast się bawić z dziewczętami, trapiłem się coraz bardziej. Zamiast radości doznawałem li tylko przygnębienia. Piłem podwójnie i potrójnie, aby smutek zabić, zyskać zapomnienie i wytrzasnąć iskrę chuci szalonej a bezmyślnej, krzykliwej a hulaszczej. Nic nie pomagało. Jak cień mi ta noc podła minęła, jak zmora plugawa.

Wyszedłem rano o godz. 8. Nie poszedłem do domu. Ogarnęła mię tęsknota za Anną. Do niej się kierowały wyłącznie myśli me i uczucia, w niej, jak w słońcu moim, streszczały się źródła życia mego. Czekałem na nią, gdy przechodzić będzie z domu na robotę do [illegible]. Czekałem u [illegible], czekałem pod Ostrą Bramą, wreszcie poszedłem na spotkanie w kierunku jej domu. Spotkałem ją wreszcie wychodzącą z domu. Poprosiłem, aby wstąpiła ze mną do cukierni [illegible] na kakao. Anna wnet poznała, że się coś niepospolitego stało ze mną. Wkrótce zaczęła się domyślać prawdy. Zacząłem wtedy Annie znów przekładać mą teorję przyjaźni, ale serca mi [illegible] brzmieniu słów. Anna słuchała tej teorji, jak pomysłu dziecka, jak jakiejś głupiej fantazji, dalekiej od życia. Wyspowiadałem wreszcie prawdę o nocy spędzonej. Anna się zalała łzami bólu i oburzenia. Nie, ona „przyjaźni" takiej nie chce, brudu tego za przyjaźń nie przyjmie. Przyjaźnią taką obrażam ją tylko. Albo stosunek nasz będzie miłością, albo go nie będzie wcale. Żadnych sytuacji pośrednich być nie może. Gdyby Anna była kobietą-materjalistką, gdyby mię nie kochała, mogłaby przyjmować ode mnie dary, utrzymanie i t.d., bez miłości zupełnej. Ale tak nie jest. Skoro więc tak rzeczy stawiam, to nie ma innej drogi, jak rozstanie natychmiastowe i [illegible]. Anna jest zdecydowana na to. Wejdzie na drogę upadku — mniejsza o to, ale mi nic do tego, bo własnością moją nie jest. [illegible] tylko słów bólu i prawdy Anny, zrozumiałem cały obłęd mojej spekulacyjnej konstrukcji o „przyjaźni". Kochamy się [illegible] i kochać się musimy. Miłość nasza jest prawdą jedyną. Przebłagałem Annę, rozmówiłem się z nią znów z głębi istoty serca, wyznałem, że w [illegible] miłości naszej winna być obustronna szczerość bezwzględna. Nie powinniśmy ze sobą niczego mówić przez [illegible] — jak to mi już raz Anna powiedziała. To prawda wielka. [illegible], z [illegible], od których [illegible] do domu, spędziłem z Anną. [illegible] sobą przepiękne. Anna się wdrożyła na myśl o nocy mojej, ale więcej [illegible]

22 marca.
4 kwietnia.
rok 1912.
czwartek.

I dzień dzisiejszy znów w znacznej części spędziłem z Anną. Byłem z nią do obiadu razem i potym razem wieczorem od godz. 10 do godz. 2 w nocy. Chodziliśmy z nią po mieście, załatwiliśmy sprawunki, zaczym siedzieliśmy w wynajętym pokoju w hotelu Versailles. Pogoda wróciła do stosunku naszego, pogoda słoneczna, wiary i uczucia pełna. Z ciężkiego kryzysu, z upadku i załamu mojego — A było to zmartwychwstanie raz dobre, szczęśliwe, kojące. Szczerość zupełna ~~[illegible]~~, obnażająca nasze dusze wzajemnie, opromieniona miłością, — dawała nam rozkosz posiadania się całkowitego. Odrzuciliśmy wszelką maskę, wszelką połowiczność. Byliśmy z Anną potężni, pełni woli i mocy twórczej: oddawaliśmy się sobie bezwzględnie, żywiołowo, jak dwoje ludzi zdrowi, kochający, pełni świadomości i samowiedzy. Ten dzień ostatni przed rozstaniem świątecznym był dniem szczytu miłości naszej. Odzyskaliśmy się z Anną po bolesnych przejściach zwątpień i kryzysów nerwowych.

Mam podziw i uwielbienie głębokie dla Anny mojej, nietylko jako do kochanki, ale jako do człowieka. Jest ona człowiekiem głębokim i niepospolitym, co też ją kocham właściwie. Mądra jest ona nad wyraz. Myślą i uczuciem przenika wszelkie pozory i umie dostrzec samo jądro życia. Nie jest gadatliwą, jak wiele innych kobiet, lecz każde jej słowo jest pełne głębi i prostoty, godne wyryciu na tablicy ~~[illegible]~~ przez wieczystych. O godz. 2 w nocy pożegnaliśmy się z Anną z żalem, bo mamy przed sobą rozstanie na dni kilka.

23 marca.
5 kwietnia.
rok 1912.
piątek.

Mamy dziś wielki piątek. Wyjeżdżam na kilka dni świąt Wielkiejnocy do Bohdaniszek, do Papy samotnego. Ja jeden odwiedzam teraz Papę w samotności. Marynka wyjechała już przed dwoma dniami z dziećmi na wakacje świąteczne do Bielcza i Robertowa (do Pruszanowskich i Mieczkowskich). Wolała tam pojechać, niż do Bohdaniszek, bo Papa, gdy jest w Bohdaniszkach bez Mamy, tak ostro i samowładnie rządy sprawuje, tak wszystkich i wszystko w ręku trzyma, że nikomu się swobodnie poruszyć nie da. Papa jest z natury despotą, przywykł do samowoli zupełnej, jest bezwzględny, z niczym się nie liczy i do nikogo nie zastosuje, natomiast wszyscy inni muszą się ślepo do Papy stosować. Mama umiała zawsze łagodzić nieco tę bezwzględność i samowolę Papy, teraz zaś przez tę zimę bez Mamy spędzoną Papa odwykł zupełnie od liczenia się z kimkolwiek. Bohdaniszki stały się twierdzą, w której się samowładnie rozsiadł Papa, tłumiąc sobą wszelką możność swobody dla nas. Lubi Papa, abyśmy przyjeżdżali, jest dla nas gościnny i serdeczny, ale nie popuści cugli w niczym.

Mama na święta zostaje w Wilnie; na czas naszej nieobecności przejedzie Mama do siostry swej, cioci Mani Bohdanowiczowej, na ul. Dworcową.

Wyjechałem z Wilna o południu. Jechałem z doktorem Domusowskim i panami Sławskimi z Sol, ojcem i synem. Z Abel w okropną pogodę po szkaradnej drodze przyjechałem na wieczór do Bohdaniszek.

24 marca.
6 kwietnia.
rok 1912.
sobota.

Sądziłem, że te kilka dni świąt, które mam zabawić na wsi, spędzę całkowicie w Bohdaniszkach. Papa bowiem pisał poprzednio do Wilna, że wyjeżdżać do Kowaliszek na święcone nie zamierza ze względu na zły stan dróg. To też projektowałem sobie wykonać przez te dni kilka cały szereg prac tak praktycznych, jak literackich. Zamierzałem skorzystać z ciszy bohdaniskiej i popracować. Gdybym wiedział, że papa się do Kowaliszek wybiera, może bym wcale z Wilna nie wyjechał, bo główną pobudką moją było odwiedzenie papy w samotności. Tymczasem oświadczył papa, że do Kowaliszek pojedziemy. Musiałem oczywiście się do tego zastosować. Spędziłem więc dziś tylko pół dnia w domu. Siedziałem przeważnie w moim pokoiku na górze i pracowałem trochę. Miałem ~~[illegible]~~ przy sobie mego wiernego towarzysza i przyjaciela bohdaniskiego, staruszka schorowanego psa Żuczka. Ten mię kocha całą mocą swego starego serca psiego. Gdy przyjeżdżam do Bohdaniszek, Żuczek zaraz siada przy drzwiach na ~~[illegible]~~ werandzie, skąd ma najbliższą drogę przez schody do mojego pokoju. Korzysta z pierwszej okazji odemknięcia drzwi, aby się wdrapać po schodach do mnie. Cieszy się z mej obecności nieopisanie i nie chce się na chwilę rozstać ze mną. Wzruszająca jest ta wierna miłość starego psa. Jakie uczucia i wrażenia w tej duszy psiej się lęgną, jakie dramaty głuche ~~[illegible]~~ życie jego wypełniają? Widuje mię zaledwie kilka razy do roku i to bardzo krótko, a zawsze jest w miłości równie stały i serdeczny. Czy tęskni do mnie, czy myśli i śni o mnie w długich okresach mej nieobecności? Bo nie zapomina mię nigdy i nigdy się nie zachwieje w wierności. Biedny samotny stary pies, drzewa dobrej kochającej istoty. O godz. 3 po obiedzie wyjechaliśmy z Papą do Kowaliszek. Droga okropna, [illegible], wiatr przenikliwie zimny, ciągły deszcz i śnieg. W Kowaliszkach zastaliśmy Zosię i Elizkę, Hektora, Julę i Feliksa. Ziutki nie ma, nie przyjechała na święta.

25 marca.
7 kwietnia.
rok 1912.
Niedziela.

Święto Wielkiejnocy. Pierwszy raz jestem na święconym w Kowaliszkach. Znacznie tu trochę wygląda niż w Poledaniszkach. Niema stałej rozstawy stołu. Święcone stoi w śpiżarni i tylko na czas śniadania, obiadu i kolacji się wynosi do jadalnego na stół. Święcone pod względem mięsiwa smaczne i urozmaicone: jest indyk, szynka, wołowe, cielęcina, szpekuchy, z osobliwości jest głuszec i szynka z dzika (przysłane z Bielcza); brak tradycyjnego prosięcia. Ciast słodkich natomiast, o wiele mniej, niż zazwyczaj na święconym w Poledaniszkach; dziwne, bo Kowaliszki słyną z wyrobów cukierniczych; jest więc tylko jedna babka, 2 torty, czekoladowy i orzechowy, i 2 mazurki, bułka szafranowa i bułka biała z rodzynkami.

Przez cały dzień siedzieliśmy wszyscy w domu. Raz tylko chodziłem z Zysiem na spacer. Powietrze szkaradne, wiatr ostry zimny, kilkakrotnie napadała zawieja śnieżna.

26 marca.
8 kwietnia.
rok 1912.
poniedziałek.

Rano, z okazji drugiego dnia świąt, Papa zechciał się wybrać do kościoła i mnie wziąć ze sobą. Pojechaliśmy do Rakiszek po okropnej drodze. Kawał drogi między Rakiszkami przy Kowaliszkach a wioską Serafiniszkami jest prawie niemożliwy do przebycia. Rozmokłe gęste ciasto gliniane wypełnia drogę, która się ciągnie w zagłębieniu śród pól równi. Ani w bok zjechać ani po drodze — niepodobna. Koła grzęzną prawie że po osie. Jest gorzej, niż gdyśmy jechali przed dwoma dniami tędy, bo przez te parę dni wypadło znów mnóstwo mokrego śniegu i deszczu. Jechaliśmy czwórką koni w wysokiej żółtej bryczce (obstalowanej dla Papy z Królestwa przez Stefana Mieczkowskiego przed 4 laty). Bryczka ta ma resory tak miękkie, że po grząskich wertepach wiosennych wciąż się strasznie w boki przechyla, a że jest wysoka i wąska, więc ciągle grozi wywróceniem. Papa, który niby tak jest ostrożny i nie jeździ po złych drogach, wybrał się w tę podróż do Kowaliszek z lekkomyślnością niepospolitą. Coby to były za krzyki, gdyby to ktoś z nas tak się, jak teraz Papa, wybrał! Wracając z kościoła do Kowaliszek, musieliśmy z Papą część drogi iść pieszo po rozmokłej śliskiej ziemi. Papa klął przez klimat i naszą drogę, ale sam winien.
Pod wieczór o godz. 6½ wyjechaliśmy do Kowaliszek i późnym wieczorem stanęliśmy w Bohdaniszkach. Przez tę jazdę do Kowaliszek cały mój czas świąteczny został zmarnowany, bo jutro już muszę wyjeżdżać. Żadnych robót wykonać nie zdołałem.

2 (15) marca.
9 kwietnia.
rok 1912.
wtorek.

Oto już po moich wakacjach świątecznych. Z Bohdaniszek nic nie skorzystałem, bo ani jednego całkowitego dnia w nich nie spędziłem, a dziś już wyjeżdżam. Nie zdążyłem nawet rozsegregować książek pozostałych po ś. p. panne Faustynie Ławickiej a leżących u mnie od lat kilku, z których mam wybrać szereg dla ofiarowania do ~~archiw~~ księgozbioru, zakładanego przez Wacława Studnickiego przy archiwum miejskim w Wilnie. Zacząłem je segregować podług katalogu, ale miałem tylko ~~czas~~ do godz. 1 i nie zdążyłem roboty tej wykonać. O godz. 1 konie już były zaprzężone i stały pod gankiem. Pojechaliśmy z Papą na obiad do pp. Antoniostwa Weyssenhoffów do Łosiaszkowa, skąd już miałem jechać wprost na kolej. Wyjechałem na pociąg pod godz. 6½ wieczorem w kierunku Rokiszek. Musiałem bowiem przed Wilnem zajechać do Poniewieża dla zobaczenia się i rozmówienia z Biesiekierskim, bratem panny Krystyny, panny-aptekarkowej w Rokiszkach, którego chcę umówić na leśniczego do naszej schedy Mamyłowskiej. W Poniewieżu na dworcu spotkałem się z Biesiekierskim, który był powiadomiony o moim przyjeździe i miał mnie poznać po znaku umówionym. Rozmówiłem się z nim przy herbacie i zdecydowałem się na zaangażowanie go z zastrzeżeniem, że umowa nasza siły mieć nie będzie, o ile dział do skutku nie dojdzie. Biesiekierski zrobił na mnie wrażenie dodatnie. Umówiłem go za rb. 35 miesięcznie z mieszkaniem i opałem, na utrzymaniu jego. Zabawiłem w Poniewieżu na dworcu do godz. 3 w nocy. O godz. 3 wyjechałem pociągiem na Kalkuny do Wilna.

28 marca.
10 kwietnia.
rok 1912.
środa.

O godz. 2 popołudniu przyjechałem do Wilna. Mamę już zastałem w mieszkaniu: dziś właśnie wróciła z mieszkania cioci Mani Bohdanowiczowej, u której przez święta przebyła. Zjadłem obiad i zaraz zasiadłem do pisania skargi kasacyjnej do Senatu w sprawie Jotkiewicza, jutro bowiem upływa termin kasacyjny.

O godz. 8 wieczorem poszedłem do cukierni Jassowicza, gdzie miałem umówione spotkanie z Anną; idziemy z nią dziś wieczór na przedstawienie operetki żydowskiej, na które bilety jeszcze przed świętami wzięliśmy. Anna była ubrana w swą nową jasnopopielatą suknię przerobioną z sukni Maryli O'Rourkeówej. Przedstawienia operetki żydowskiej odbywają się w sali t. zw. filharmonji przy ul. Nowogrodzkiej. Jest to pierwsza trupa operetkowa żydowska; do Wilna trupa ta przyjechała na szereg przedstawień. Grane są oryginalne operetki w żargonie, osnute na charakterystycznym tle życia żydowskiego. Jako wyraz oryginalnej twórczości żydowskiej, są one ciekawe i barwne, jak barwne i pełne męki, tragizmu i uczucia jest życie wydziedziczonych, męczonych a jednak tak żywotnych mas żydowskich. Dziś grano sztukę „Das pintele jid", — mieszczącą w sobie sporo głębi niedoli żydowskiej, lecz też gorącą ideę o odrodzeniu i świetlanej, niemal posłanniczej przyszłości synów Izraela. Dużo przytym scen rodzajowych, dobrze skreślonych i chwilami znakomicie wykonanych. Sala była wypełniona po brzegi; znajomych żydów-inteligentów nie widziałem wcale. Z chrześcijan byliśmy z Anną chyba sami jedyni, to też zwracaliśmy na siebie uwagę powszechną i byliśmy zewsząd sympatycznie traktowani. Zabawiliśmy się dobrze, wesoło. Była chwilka przed końcem przedstawienia, kiedy mała sprzeczka między mną a Anną zaszła na tle mojej niechęci [illegible] zazdrości, gdy Anna jednemu z artystów na scenie [illegible], ale potem wszystko to się ułożyło. Odprowadziłem Annę do domu. Anna nie chciała iść do domu, błagała, abym ją wziął

Że oto dotychczas [illegible] do hotelu [illegible] się cała [illegible] mię, że [illegible] mię, była [illegible] ale [illegible] i wspólnie do siebie.

29 marca / 11 kwietnia. / rok 1912. / czwartek.

Otrzymałem dziś list od mego byłego kolegi z katorgi, Stefana Dąbrowskiego. Z listu się dowiedziałem, że Dąbrowski został w roku zeszłym za należenie do „lewicy" PPS skazany na osiedlenie i że obecnie jest internowany w niejakim Wydrinsku guberni Jenisiejskiej w Syberii. Humor atoli dopisuje Dąbrowskiemu: list pisany w tonie żartobliwym, z właściwą Dąbrowskiemu swadą i lekkomyślną nonszalancją. Nawet o swych troskach i nędzy życia osiedleńczego mówi Dąbrowski w tym samym lekkim sposób, w jaki by mówił o jakiejś piosence kabaretowej w Paryżu lub o skandaliku w paryskiej kolonii polskiej. Jest to paradny typ człowieka: wszędzie pozostaje sobą, takim samym, łatwo się zastosowującym, żyjącym z dnia na dzień czy to w przedsiębiorczej Ameryce, gdzie lat kilka spędził, czy w Paryżu, czy na wygnaniu w dalekiej dzikiej Syberii. Obudził on we mnie znów wspomnienie paryskich oraz sympatię i żal do tułaczej doli wygnańców polskich. Wyczytał tam gdzieś Dąbrowski ogłoszenie o „Przeglądzie Wileńskim" ze wzmianką o spółpracownictwie moim i prosi o przysyłanie mu pisma oraz dostarczenie książek, których mu na wygnaniu brak.

Widziałem się dziś i rozmawiałem z Witoldem Abramowiczem, który zajęty jest obecnie projektem stworzenia nowego towarzystwa wzajemnego kredytu, mającego zorganizować tani kredyt detaliczny dla sfer przeważnie rzemieślniczych i drobnohandlowych. Witold Abramowicz chce zainteresować pomysłem tym grono osób, ażeby rzecz tę wspólnemi siłami wykonać. Namawia mnie też do większego udziału w organizowaniu tego przedsięwzięcia. Myśl jest niewątpliwie dobra, mieszcząca w sobie pierwiastek społeczny. Nie zdaję sobie narazie sprawy co do warunków wykonania projektu.

Wieczór spędziłem dziś w domu. Do Anny nie poszedłem. Odwiedziłem ją tylko w porze obiadowej, przeszedłem się z nią po mieście, odprowadziłem ją do Łapkowskiej i wróciłem do domu. Obiecałem Mamie, że spędzę dziś cały wieczór w domu: jest to u mnie wyjątek nadzwyczajny. Zrobiłem to dziś umyślnie dla Mamy, która cała drży z radości na myśl, że ma mnie w domu o kilka pokoi od siebie. Miłość Mamy do mnie jest ponad wszelką miarę, a teraz tym bardziej się z mej obecności cieszy, że się sama jedna w mieszkaniu nudzi i każdą samotność czuje. Wieczór ten spędziłem na pracy literackiej dla „Przeglądu Wileńskiego". W 4 świątecznym „Przeglądu", który przeczytałem dopiero po powrocie z Bohdaniszek, ukazała się ta zapowiadana przez dziennika Abramowicza „zasadnicza" odpowiedź jego na zarzuty, skierowana przez dziennik „Praca" do „postępowców". Otóż ta odpowiedź dziennika nic zasadniczego w sobie nie ma i jest, zdaniem moim, całkowicie płytka i nieodpowiadająca temu, co być [illegible] naszym przy zakładaniu „Przeglądu". Dziennik tego tam [illegible], zarzuca [illegible] doktrynerstwo, chroni się pod sztandar [illegible] „ponad klasowego postępu". Wygotowałem więc dziś replikę do „Przeglądu" na kształt artykułu dziennikarskiego i oprócz tego napisałem krótki artykulik, [illegible] z powodu przedstawień operetki [illegible] w Wilnie.

[illegible]

30 marca 228
12 kwietnia
rok 1912.
piątek.

Zawiozłem do redakcji „Przeglądu" oba moje napisane wczoraj artykuły. Artykuł pierwszy o jednodniówce esdeckiej „Praca" zawierał całkiem inne ujęcie odpowiedzi na zarzuty, skierowane w jednodniówce tej „do naszych postępowców", niż to zrobił Ludwik Abramowicz w swym artykule w № 13 „Przeglądu". Nie bagatelizuję bynajmniej zarzutów jednodniówki, uważam je za zupełnie uzasadnione, o ile się stosują do ruchów liberalno-mieszczańskich na Zachodzie i jeszcze bardziej do społecznego „postępu" warszawskiego w jego obecnym stadjum rozkładu ideowego. Ale wyraziłem dalej powątpiewanie co do trafności i racji skierowywania tychże zarzutów do nas, którzy stanowimy jeszcze zaczątków pracy demokratycznej śród polaków litewskich. Nie podobna nas traktować dzisiaj za wyraz ruchu mieszczańskiego. Jesteśmy mało skonsolidowani, tworzymy jeno zaczyn demokratyczny i wolnomyślny. Zapewne, że z naszej dziś orbity wyjść może kiedyś początek ruch mieszczańsko-liberalny, jako też inne ruchy. Jesteśmy pąkiem, który prawdopodobnie w dalszym rozwoju rozpęknie się na kilka prądów odrębnych, jeżeli się rozwinąć zdołamy. To, o co nam a przynajmniej niektórym z nas i mnie w szczególności chodzi, to wypełnienie i skrystalizowanie elementów demokratycznych polskich dla stopienia ich we wspólnej robocie z demokracją litewską, białoruską i żydowską, słowem skonsolidowania demokracji krajowej. Owszem, nie taję, że „Przegląd" nie jest w zupełności wyrazem tej właśnie myśli i że nurtują w nim nasadzane przez Ludwika Abramowicza tendencje nacjonalistyczne oraz może właśnie prąd do wytworzenia u nas ruchu mieszczańskiego, że to też w gruncie rzeczy jednodniówka esdecka pod pewnym względem rację miała i miał też rację ze swego stanowiska Abramowicz odpierać te zarzuty przez uzasadnienie właśnie tych tez, które jednodniówka zwalczała. Ale ponieważ „Przegląd" mieści w sobie nietylko Ludwika, ale i nasze dążenia, które w stopniu słabszym, więc uważałem za potrzebne stwierdzić w „Przeglądzie" te nasze dążenia i odpowiedzieć jednodniówce w myśl takowych. Z naszych dążeń wypływa, że jesteśmy (przynajmniej ja) dziś z esdecją solidarni, bo drogi nasze nie rozchodzą się i nie przeciwstawiają. Odpowiedź moja brzmi więc zupełnie inaczej, niż Ludwikowa. Ludwik Abramowicz, choć się ze stanowiskiem moim nie zgadza, musiał wszelako ją [illegible], bo nie rozporządza pismem i musi się z opinją komitetu redakcyjnego liczyć, a w komitecie tendencja moja ma zwolenników we mnie i [illegible] Krzyżanowskim. Niestety — czuję, że górę w piśmie bierze tendencja Ludwika [illegible] nasza jeno z walką musi sobie pewniejszą drogę torować, [illegible] tendencji [illegible] Ludwikowi wywojować. Z artykułu [illegible] z powodu [illegible] [illegible] i to jest [illegible] [illegible] do [illegible], wykonania [illegible] duszy [illegible] Ludwika, [illegible] [illegible]. To też artykuł ten Ludwik [illegible] w innych [illegible] umieścić [illegible]

228.

31 marca.
13 kwietnia.
rok 1912.
sobota.

Wieczorem o godz. 9 spotkałem się z Anną, z którą spędziłem czas do późna w noc. Ponieważ mamy przed sobą 2 dni świąt, jutro niedzielę i pojutrze poniedziałek (święto Zwiastowania przeniesione z 25 marca na 2 kwietnia), więc wzięliśmy z Anną na te dni parę, licząc od dziś wieczór, pokój w hotelu Versailles; będziemy tam mieli nasze pied-à-terre. Dziś więc wieczór ~~[illegible]~~ zeszliśmy się wprost w hotelu. Obcowanie z Anną jest piękne, jak pieśń z bajki. Taka z niej płynie pełnia uczucia, taka głębia życia psychicznego, taki temperament silny, że jest ona dla mnie źródłem przebogatym szczęścia, słońcem, które mię przenika i życie moje zasila. Nigdy żadna miłość nie dała mi takiego bogactwa życia, jakie mi dała Anna. ~~[illegible]~~ Jesteśmy małżonkami z wybranych i szczęśliwych wybranymi i najszczęśliwszymi). Mądra też jest moja Anna: tak w życiu patrzy głęboko, tak przedziwnie trafnie spostrzega, tak umie myśleć jędrnie, taką ma wrażliwość subtelną, taki zmysł sprawiedliwości, a taką prostotę w mowie, że się od niej uczę prawdy, staję się z nią sam lepszy, głębszy, mędrszy.

1 (14) kwietnia. rok 1912. niedziela.

W Nrze dzisiejszym „Przeglądu Wileńskiego" jest już i mój artykuł na jednodniówkę „Drogę", zatytułowany przez Ludwika Abramowicza „Zastrzeżenia" i umieszczony w postaci artykułu wstępnego, i mój artykulik z powodu operetki żydowskiej w postaci listu do redakcji. W artykule wszakże wstępnym moim, mającym charakter wypowiedzenia się zasadniczego, Abramowicz zmienił i usunął kilka wyrażeń i określeń takich, które miały także znaczenie zasadnicze, a przez to zdołał w pewnych szczegółach zatuszować i ewentualnie zmienić istotną treść myśli mojej. ~~Jest~~ Tak oto Abramowicz pousuwał wszystkie ostrzejsze twierdzenia moje o „postępie" warszawskim, zastąpił w stosunku do „postępu" warszawskiego wyraz „rozkład ideowy" przez „kryzys ideowy", usunął całkiem wzmiankę lekceważącą o „postępie ponadklasowym". Zmiany te są bardzo charakterystyczne dla Ludwika Abramowicza, który konsekwentnie nadaje pismu swój własny kierunek i obcina, osłabia kierunek mój.

Cały niemal dzień dzisiejszy spędziłem z Anną w hotelu. Nie mogliśmy się wybrać za miasto ani nawet na spacer po ulicach, bo powietrze było zimne i szalały zawieje śnieżne. Od godz. 2–4 byłem na obiedzie w domu, potem ~~w~~ zawiozłem Mamę w gościnę do stryjenki Zygmuntowej Römerowej i znów pospieszyłem do Anny, z którą zabawiłem do godz. 2 w nocy. Pod wieczór poszliśmy z Anną na kolację do restauracji Myśliwskiej. Tam wypiliśmy trochę. Alkohol działa na Annę zwykle podniecająco. Podniecenie Anny dochodzi do ekstazy, graniczącej z obłędem. Anna jest cała rozpalona fizycznie wprost gorąca, jej dotknięciem parzy jak ogień. Przy kolacji Anna płakała, trzęsła się, szeptała ulicznie, podniecając ~~[illegible]~~ w [illegible] do ~~[illegible]~~ skrajnego zenitu upojenia. Potem w hotelu poprostu się paliła, namiętność jak żywo szalona. Nie byłem jej poprostu w stanie zaspokoić. Po raz pierwszy pobytu w hotelu, gdy Anna już się wykrzyczała, [illegible] zaczęła płakać [illegible] gonkiem [illegible], a za ja na tle jej namiętności [illegible] z hotelem, Anna się pogniewała na mnie, ale potem [illegible]

2 (15) kwietnia rok 1912. poniedziałek.

Dzień zeszedł mi słodko z Anną. Z powodu przeniesionego na dziś święta Zwiastowania Anna była dziś wolna od pracy (choć bowiem Anna katoliczką nie jest, jednak, pracując w katolickim magazynie Łapkowskiej, święci je po katolicku). Mieliśmy nasz pokój w hotelu Wersalu, jako pied-à-terre; tam spędziliśmy chwile wolne w słodkiej i serdecznej poufności. Poza tym zaś chodziliśmy razem po mieście, razem wszystkie interesa załatwialiśmy. Dla mnie bowiem ~~[illegible]~~ święta dziś nie było; na jutro mam sprawę w zjeździe sędziów pokoju, przekazaną mi przez Krajewskiego; sprawy tej nie znam, nie mam pojęcia, o co chodzi; sytuacja jest nader przykra; w kancelarji zaś zjazdu ~~[illegible]~~ aktów sprawy już niema — odesłane są do członka-referenta. Od kilku dni dowiaduję się w kancelarji i zawsze bez skutku. Dziś więc znów musiałem się starać dotrzeć do aktów sprawy. Oprócz tego musiałem być u rejenta i w kancelarji członka powiatowego, u którego mam sprawę pojutrze. Nie chcieliśmy się z Anną rozstawać, ~~[illegible]~~ to też Anna towarzyszyła mi ~~[illegible]~~ w pielgrzymce po wszystkich tych urzędach. Anna ~~[illegible]~~ umysł bystry i żywotny, to też z chęcią zachodziła ze mną wszędzie, przyglądała się, obserwowała, robiła uwagi. Anna jest poradna: spostrzegawczość ma znakomitą, dojrzy w każdej rzeczy wątek istotny, ze wszystkiego wyciąga obserwacje i wnioski oryginalne, a zawsze bardzo charakterystyczne i treściwe. Dzień mi minął śród wędrówki w interesach a odpoczynku ~~[illegible]~~ we dwoje z Anną. Co za prześliczność, że wreszcie mam w mojej Annie towarzyszkę życia! Przez nią życie me się wypełnia treścią w dwójnasób, zyskuje na potędze i barwności.

3 (16) kwietnia rok 1912. wtorek.

Od rana zajęty byłem interesami go-rączkowo. Przedewszystkiem miałem sprawę w zjeździe sędziów pokoju. O sprawie tej nie miałem żadnego pojęcia, bo akt tej spra-wy nie miałem w ręku. Dowiedziałem się już wczoraj, że akta te są u sędziego pokoju I rewiru, p. Daniłowicza, który tę sprawę ma w zjeździe referować. Rano więc pojechałem do mieszkania sędziego Daniłowicza, który na prośbę moją dał mi akta do przejrzenia. Spra-wa niezbyt skomplikowana, ale kwalifikująca się chyba tylko do przegrania. Obmyśliłem, jak mo-głem, obronę pozycji klienta mego, p. Ma-linowskiego, i byłem przygotowany do wystąpie-nia sądowego. Sprawa się przewlekła do godz. 3 po południu, bo wypadło czekać na przyjście po zjeździe referenta p. Daniłowicza, aż gdy już przy-szedł, to się okazało, że komplet sędziów jest dla mojej sprawy nieodpowiedni, a zapasowego zaś sędziego nie było. Wobec tego sprawę wypadło odłożyć, a całe czekanie poprzednie było zbytecz-nem.

Wyznaczony był na dziś przez arbitrów na-szych zjazd działowy na Staryszki i Mamuty. Tymczasem właśnie zasłabła ciężko 90-letnia matka superarbitra naszego, Hipo-lita Siecewicza. Słabość jest zagrażająca, to też oczywiście Siecewicz funkcji superarbitra pełnić teraz nie może, a pozostali arbitrowie Umia-stowski i Borowski nie chcą sprawy działowej ad infini-tum odkładać, więc postanowili zaprosić innego super-arbitra i otrzymać od c. Cesi telegraficznie zgodę na dokonanie tej zmiany. Na superarbitra mają, o ile wiem, powołać p. Józefa Sugęckiego z Metliczyc. Tymczasem więc zebranie odroczono do jutra. Z Dębowskim, Łagiewskim i Domańskim
Widziałem się dziś z [illegible] w odpowiedzi na jednodniówkę
o [illegible] się zachwycali moim artykułem w odpowiedzi na jednodniówkę
20/V w N 14 „Przeglądu Wileńskiego”. Winszowali mi i [illegible]

232.

4 (17) kwietnia roku 1912. Środa.

Rano miałem sprawę sądową u członka powiatowego. Sprawa bagatelna, ale zabrała mi czasu dużo, bo musiałem przez kilka godzin czekać mojej kolejki. Nie nudziłem się wszakże, bo przysłuchiwanie się drobnym sprawom, toczącym się w [redacted] sądach niższego stopnia, dostarcza dużo ciekawego materjału do obserwacji i spostrzeżeń życiowych. Te zatargi sądowe drobnego kalibru, w których chodzi zaiste o drobiazgi, — są jednak kawałkami życia, są obrazkami, żywcem [redacted] wykrojonymi z realnej gry interesów i namiętności ludzkich na tle stosunków ekonomicznych. Co za typy ludzkie się tam przesuwają, co za kalejdoskop [redacted] namiętności, temperamentów, dążeń, ambicji i t. d. w starciu wzajemnym!

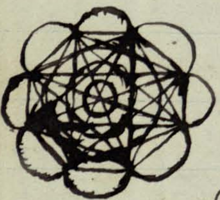

Między godz. 1½ a 3 popołudniu mieliśmy dziś częściowe zaćmienie słońca przez tarczę księżyca. Dzień był dziś słoneczny, jaskrawy, [redacted] ciepły, pełną gębą wiosenny, jakich nam skąpo udziela wiosna obecna. W tych warunkach zaćmienie było znakomicie widzialne. Księżyc powoli się posuwał na słońce i gdy przeszło połowę kręgu słonecznego zasłonił, to już się blask promieni wyraźnie osłabił; stopniowo dzień [redacted] bladł i mroczył się; wreszcie światło zmalało do zimnego wyrazu grudniowego słońca, co sprawiało wrażenie zmroku; największe zaćmienie ogarnęło 9/10 tarczy słonecznej; potem księżyc się zaczął z słońca cofać i jaskrawość blasku wróciła do słonecznej normy kwietniowej. [redacted] Ulica roiła się [redacted] ludźmi; sztubacy, pracownicy, sklepowi, policjanci, dziewczęta, panowie i panie — wszyscy się gapili na słońce przez szkiełka zakopcone.

W porze obiadowej koło godz. 4 odwiedziłem Annę w jej mieszkaniu. Wyszliśmy [illegible] w mieście [illegible], a potem odprowadziłem ją do Łapkowskiej.

[illegible]

5 (18) kwietnia rok 1912. czwartek.

O południu wezwani zostaliśmy przez wspólnych arbitrów — p. Ludwika Uniechowskiego i p. Kazimierza Borowskiego — na zebranie. Tu arbitrowie nam oznajmili, że p. Józef Święcicki, wybrany przez nich na superarbitra, zawiadomił ich telegraficznie, że przyjechać do Wilna na zjazd dzielczy nie może. Wobec tego p.p. Uniechowski i Borowski postanowili przenieść zjazd do Mińska, to znaczy do miejsca zamieszkania superarbitra p. Święcickiego. Jutro rano musimy się przeto w Mińsku stawić.

Nasza sprawa dzielcza posuwa się żółwim krokiem, napotykając co chwila na przeszkody. Trzeba, że właśnie ~~[illegible]~~ na dzień wyznaczonego zjazdu rozchorowała się matka Sieczewicza. Wybrano nowego superarbitra, Święcickiego, otrzymano ~~[illegible]~~ od cioci Cesi z nad Adryatyku telegraficzną zgodę na zmianę osoby superarbitra, aż oto nowy superarbiter odmawia przyjazdu. Gdyby nie potrzeba nowego porozumiewania się telegraficznego z ciocią Cesią, łatwiej byłoby wybrać na poczekaniu nowego superarbitra i proces kontynuować niezwłocznie. Teraz zaś trzeba wszystkim jechać do Mińska. Ale już mniejsza z tym. Gorsze niebezpieczeństwo uwidoczniło się ze strony cioci Zosi Tukałłowej, która, niezadowolona z perspektywy losowania dworu Starzyńskiego i ze zmiany Sieczewicza na Święcickiego, zastanawia się, o ile wiem, poważnie, nad ewentualnością zerwania całego działu. Wytwarza się nastrój groźnej katastrofy. Zerwanie układów obecnie równałoby się prawie całkowitemu pogrzebaniu działu polubownego.

Mieliśmy już o godz. 12 w nocy wyjechać z Wilna do Mińska, gdy oto po obiedzie przyszedł Borowski i oświadczył, że Uniechowski się rozchorował, dostał jakichś przelotnych bólów wewnętrznych i leży. Wobec tego dziś nie wyjeżdżamy. Wyjazd do Mińska odłożony został na jutro, na godz. 10 rano, o ile Uniechowski będzie w stanie jechać. Same niepowodzenia! Jakieś fatum ~~[illegible]~~ złośliwe wisi nad tym działem.

W porze obiadowej byłem u Anny. Poszliśmy z nią do ogrodu Bernardyńskiego na spacer, stamtąd do cukierni Sztrala, a wreszcie odprowadziłem ją do Zaleskowskiej. Byliśmy w podniosłym nastroju miłości, cieszyliśmy się sobą, jak dwa kochane rozkochane ptaszki, przytulając się pieszczotliwie i ...

[illegible — four lines written upside down at the top of the page]

234.

(19) kwietnia rok 1912. piątek.

Pan Uniechowski wywędrował, przeto pociągiem rannym o godz. 10½ wyjeżdżamy wszyscy na zjazd dzielczy do Mińska. Dnia wczorajszego po południu zaszły już kombinacje nowe, zmieniające i znacznie upraszczające sytuację dzielczą: oto Mieczyś Bohdanowicz odkupił od cioci Zosi Tukałłowej całą jej schedę w Staryńkach, płacąc o 10% niżej oceny arbitrów. Teraz więc Bohdanowicz zostaje sam jeden na Staryńkach, względnie z 1/14 cioci Cesi Tukałłowej, która zresztą przeniesiona zostanie niewątpliwie na Mamyły. Zostają więc tylko Mamyły do podzielenia, gdzie, po rozlokowaniu cioci Cesi i mnie na zafiksowanych już nam działkach, reszta, rozbita na 2 części, t. Mamyłtowska i Kasryńska, — ma być rozlosowana między Wołodkowiczami a ciocią Zosią. Ale już się przebłyskuje nowej kombinacji, — odkupienia przez Wołodkowiczów całej schedy c. Zosi w Mamyłach, jak to zrobił wczoraj Bohdanowicz w Staryńkach. To już by ostatecznie dział uprościło. Trzeba było nam czekać aż dwa lata, kłócić się, męczyć, aby wreszcie w przededniu terminu działu sądowego dojść do kombinacji tak prostej, jaka się wytwarza obecnie. Ale takie są prawa natury: wszystko musi wpierw dojrzeć, a dopiero się osiąga formułę prostą. Proces dojrzewania jest burzliwy i skomplikowany, — w dojrzałości prosty.

Pojechaliśmy więc do Mińska gromadą: p. Ludwik Uniechowski, Kazimierz Koporowski, Mieczyś Bohdanowicz, c. Zosia z synem Mieczysiem Tukałłą, i ja. Ludwiś Wołodkowicz wyjechał już wczoraj. Ja byłem przepełniony w drodze tęsknotą do Anusi. Umówiliśmy się z nią spędzić we dwójkę cały wieczór soboty jutrzejszej, następującą noc całą i całą niedzielę, na którą projektowaliśmy sobie wycieczkę za miasto, o ile pogoda będzie ładna. Tymczasem z perspektywy sprawy dzielczej wnioskować już mogłem, że się tam obrady zaciągną i że kto wie, czy chcieć-by na jutro wieczór do Wilna wrócić zdołam. A pogoda mamiła błękitem słońca, a gorące wizje przepięknego spędzenia czasu we dwójkę z kochaną Anusią rozpalały mi tęsknotę. Anusia mi jest jak nektar młodzieży i mocy boskiej. W miłości uczucie rozpętu naszego jest tak zupełne, tak wszechobejmujące, że nie znajduję wyrazu na określenie jego. Trzeba by na to stworzyć wyraz nowy, jedyny, wyraz, w którym by się tylko ta jedna miłość nasza mieściła, wyraz taki indywidualny, taki jedyny, jak jedyną i indywidualną jest ta miłość nasza. Niestety — mowa ma tylko wyrazy rodzajowe, szablonowe, w które się układać muszą przepiękne i pojedyncze kwiaty życia osobniczego.

Po przyjeździe do Mińska wieczorem odbyło się krótkie posiedzenie dzielcze. Ponieważ zaraz, jak to było do przewidzenia, nawiązały się między Ludwisiem Wołodkowiczem a c. Zosią pertraktacje w sprawie kupna przez Ludwisia Mamyłtowskiej schedy c. Zosi, więc na prośbę Ludwisia odroczono obrady dzielcze do jutra do godz. 10½ rano.

Dowiedziałem się od superarbitra naszego, p. Józefa Święcickiego, o tym, że nieszczęśliwy mój Henryś Wołłowicz jest śmiertelnie chory na tyfus. P. Święcicki powiada, że Henryś jest umierający i że wezwany do niego z Mińska do Borysowa doktór oświadczył, że nadziei na uratowanie go nie ma. Przy Henrysiu bawi od dni 10 ojciec jego, mój były szwagier, Józio Wołłowicz. Wiadomość ta poruszyła mię mocno. Henrysia kochałem szczerze, i osobiście i jako jedyną latorośl nieboszczki siostry mojej Helci Wołłowiczówny. Poczucie gorącej sympatii i serdecznego żalu wypełniło mi serce na myśl, że biedny Henryś umiera gdzieś daleko od nas, a choć nie [illegible] przy sobie, to jednak [illegible] nas, tych [illegible] najbliższych po matce, nie tylko że nie jest w takiej chwili przy nim, ale nawet nic [illegible] jego nie wie. To mię skłoniło do skorzystania z mocy wolnej, aby [illegible] do Borysowa. Przyjechałem do Borysowa, a potem i zabawiłem tam [illegible] następnego [illegible] do godz. 3-ej w nocy. Te 3 godziny spędziłem z Józefem Wołłowiczem, od którego dowiedziałem się szczegółów o Henrysiu. [illegible] nie widziałem, [illegible] w nocy. Stan Henrysia straszny; [illegible] katastrofy; [illegible]

7 (20) kwietnia rok 1912. sobota.

O godz. 7 z minutami rano byłem już w Mińsku z powrotem. Cały dzień wypadło przebyć w Mińsku dla sprawy działowej. Musiałem zrezygnować z jazdy do Wilna i z pięknej perspektywy dwudniowego pobytu z Anusią. Zatelegrafowałem do niej, aby mię nie czekała dziś wieczór.

Układ między Ludwisiem Wołodkowiczem a c. Józią Tukałłową nastąpił: Ludwiś kupuje (na własne imię) schedę c. Józi w Mamczycach za rb. 200000. Ciekawym jest ten fakt, że tak przy kupnie przez Wołodkowiczów schedy starszych [?], jak przy kupnie przez Wołodkowiczem schedy Mamczycowskiej, pośredniczył w układach faktor-żyd, który zarobił na pośrednictwie rb. 2600 dla siebie. Po co był potrzebny pośrednik dla układów między tak bliskimi krewnymi i tak zresztą dobrze obeznanymi z przedmiotem tranzakcji! Ale chciwość i nieufność wzajemna tak zniekształciła stosunki, że bez pośrednika nawet tak prostej rzeczy dokonać między sobą nie zdołali (chyba żyd-pośrednik w zakresie faktycznym był zgoła niewystarczający).

Arbitrowie ułożyli więc projekt ostateczny działu w postaci protokołu, podpisanego przez nich i przez nas. Święcicki w roli superarbitra jest bardzo dobry: sprawiedliwy, bezstronny, taktowny i poważny. Umiastowski natomiast zachowuje się dość niewyraźnie, forsując sprawę na korzyść Ludwisia Wołodkowicza. Umiastowski zresztą tym razem nie gra już tej roli dominującej, jaką grał na zjeździe lutowym: ze Święcickim się liczy i ustępuje mu. Umiastowski próbował dziś podstępnie tak zredagować określenie naszej schedy, aby można było coś urwać z najpiękniejszego naszego lasu sosnowego (na uczastku № XVIII) na rzecz Wołodkowiczów. Jak wiadomo w protokole zjazdu lutowego zastrzeżone zostały do naszej schedy uczastki łączne №№ XVI, XVII i XVIII, a co one nie wypełnią, to się nam dodzieli na uczastku № XIX, łączącym № XVII z XVIII. Tymczasem Umiastowski tak dziś próbował naszą schedę określić, że się ona zacznie od № XVI i pójdzie dalej w kierunku wyznaczonym przez arbitrów. Dość, żem to sprostował, żądając wymienienia tych właśnie trzech zastrzeżonych dla nas uczastków, to [?] Umiastowski próbował rzecz w ten sposób wyjaśnić, że przez to się określa tylko kierunek posuwania naszej schedy od № XVI, a ponieważ granica ma być przez arbitrów oznaczona, więc przy rozciąganiu takowych na № XIX część № XVIII może już wyjść poza schedę naszą. Oczywiście, że to różnica wielka, bo w taki sposób № XVIII przestaje być dla nas zagwarantowany. Zwalczyłem takie formułowanie sprawy przez p. Umiastowskiego i w tym względzie poparł mię całkowicie superarbiter p. Święcicki, co ma wielkie znaczenie.

Po podpisaniu protokołu projektu działowego o godz. 11 wyjechałem z Mińska.

Teraz rozpocznie się już odgraniczanie [?] — scheda na planie przez geometrę pod kierunkiem arbitrów.

8 (21) kwietnia rok 1912. niedziela.

O godz. 5 rano przyjechałem do Wilna. Opowiedziałem Aninie i Maryni o przebiegu zjazdu dzielczego (?), o zakusach Uniechowskiego do [redacted] uszczuplenia naszej sekcji na wczestku (?) # XVIII; i o chorobie Henrysi wreszcie i mojej jeździe do Borysowa. Potem o godz. 9 rano poszedłem na Monastyrską do Anny. Dzień był słoneczny, ciepły, jaskrawy. Annę zastałem dopiero przy toalecie, więc zaczekałem w ogrodzie przy domu, aż się ubierze. Po jakimś czasie wyszła do mnie Anna z olbrzymią peruką lśniących żółtawych loków fryzury na głowie. Perukę tę zafundowała sobie u fryzjera z własnych i kupionych włosów. To uczesanie perukowe wygląda na Annie dziwacznie i razi sztucznością. To też zaraz na wstępie wyśmiałem [redacted] fryzurę. Anna była stropiona, bo wyobrażała sobie, że będzie jej z tym do twarzy i że będzie robiła wrażenie dodatnie. Jest to wybryk kokieterji u Anny, nieudatny jednak. W peruce tej ginie moja miła naturalna Anna i natomiast wyłania się jakaś pretensjonalna jejmość sztucznego wyrobu miejskiego. Wolę skromne naturalne włoski, pięknej złotawo-szarej barwy, zdobiące skronie mojej Anny. Anna zaraz zdjęła perukę i uczesała się, jak zwykle. Poszliśmy z nią do hotelu Wersalu, gdzie zabawiliśmy do obiadu. Na obiad rozeszliśmy się do domów. Po obiedzie znów żeśmy się spotkali i wybrali na wycieczkę za miasto wzdłuż toru kolejowego w kierunku Wilejki. Powoli, odpoczywając po drodze lub zbierając pierwiosnki, doszliśmy koło godz. 7 1/2 do Wilejki. Okazało się, że [redacted] na pociąg do Wilna trzeba czekać do godz. 10 1/2, wobec tego najęliśmy sobie w Wilejce bryczkę i traktem Połockim wróciliśmy przez Zarzecze do Wilna. Tu, [redacted] czując głód po spacerze, wstąpiliśmy na kolację do restauracji Myśliwskiej. Anna zapragnęła pić, bo jej się pojednywanie (?) przytrafiło (?). Oponowałem z początku, bo wiemy z doświadczenia, że po libce (?) [illegible] najweselsza, jakaś szaleńka i awanturnica, ale dotknięto się wreszcie upojenia (?). Anna obiecała, że się będzie trzymała na wodzy i dotrzymała słowa. Po kolacji, w nastrojach podniecających, ale [illegible] wesołych (?) i rozkochanych, poszliśmy do hotelu, gdzie [illegible] zakończyliśmy (?).

9 (22) kwietnia, rok 1912.

Obudziliśmy się z Anną rano w hotelu. Z godziny na godzinę zwlekaliśmy z [redacted] rozstaniem się. Czas biegł ~~ty~~ wszakże i znaczył opóźnienie coraz większe. I dopiero koło godz. 6 wieczorem oderwaliśmy się wysiłkiem woli od siebie i opuściliśmy hotel.

Nie żal mi tych nocy przepięknych, które spędzam czasem z Anną. Ale skądinąd doznaję zawsze przykrości przy powrocie po nocy takiej do domu. Nikt mi też wymówki nie robi, ale w nastroju jest niepokój i jakiś wstyd żalów i wyrzutów niedomówionych. Mamusia jest stroskana i zbolała jakby, Marynia milczy i nic nie pyta. Marynia domyśla się zresztą stosunku mego z Anną, choć pojmuje stosunek ten węższe [redacted] inaczej, niż jakim jest on w istocie. Marynia sądzi, że mam w Annie li tylko kochankę w pospolitym trywialnym pojęciu tego wyrazu. Dziś właśnie wieczorem Marynia rozgadała się jakoś ze mną i dotknęła tematu Anny; mówiła, że zanadto się na mieście pokazuję z Anną, ostrzega, że już ludzie zwracają na to uwagę i zaraz [redacted] dadzą upust domysłom i obmowie. Marynia się już sama niepokoi o ten stosunek mój z dziewczyną, o której bądź co bądź sądzi, że jest „bez zasad”, nie może mnie kochać, i co najwyżej ma dla mnie wdzięczność oraz uznanie dla pieniędzy moich. Mówiłem Maryni, że mam w Annie najbliższego i najdroższego dla mnie człowieka, osobę, która mnie kocha ze wszystkich najbardziej, i że znam ją i wierzę całkowicie. To nie przekonało Maryni; boleje ona nad tym, że ta „towarzyszka” moja jest nie-Polką, kobietą bez religii, kobietą bez wykształcenia; a co do [illegible] narodowej, to Marynia uważa także [illegible] iluzję moją, za wzór naiwności; przepowiada, że się kiedyś młodszy znajdzie, który z serca Anny mnie wyrugiuje. Wiem, że tak nie jest. Marynia [illegible] zaprosić do [illegible] Anny, pomimo [illegible] mnie przez [illegible] wspomnienia [illegible] od tej miłości nowej, której się obawia.

10 (23) kwietnia, rok 1912, wtorek.

Słyszałem od Witolda Abramowicza, że fundusze naszego „Przeglądu Wileńskiego" są już na wyczerpaniu. Napływ prenumeraty słaby, a kapitał składkowy topnieje szybko. Można przeczuć, że pismo nie zdoła się na dłuższą metę utrzymać. Bądź co bądź dobrze byłoby, aby dotrwało do czasu jesiennych wyborów do Dumy. Mnie osobiście „Przegląd", a raczej kierunek, nadawany mu przez Ludwika Abramowicza, coraz mniej się podoba. Jest to naśladowanie u nas t. zw. „postępu" warszawskiego, nacechowanego jałowością idei i frazesem. „Postęp ponadklasowy" w stylu taniego liberalizmu społecznego, z rodzimym zapaszkiem nacjonalizmu i antysemityzmu i z wyjadaniem na księży, — to bryndza. Śmiałych ruchów Ludwik się boi, śmiałego [illegible] obłudy przez szczere i głębokie, a wolne od uprzedzeń i obsłonek, uwydatnianie najbardziej palących kwestyj, jak np. litewska i inne, — unika. Wycofałbym się chętnie z komitetu redakcyjnego, ale w sytuacji obecnej moje usunięcie się mogłoby ostatecznie podważyć pismo i zgotować mu pogrzeb.

Wieczorem byłem w teatrze polskim na „Marii Stuart" Słowackiego. Zaprosił mnie do loży Żyś Komorowski, który przyjechał z Ukrainy na dni kilka do Wilna. Byliśmy w loży z Marynką, Żysiem, Hektorem, p. Czesławem Komorowskim i niejakim p. Żukiewskim.

11 (24) kwietnia, rok 1912. Środa.

Rano byłem z Marynią na nabożeństwie żałobnym i poświęceniu pomnika na grobie ś.p. pana Stefana Budrewicza na cmentarzu Rosa. Była to dziś pierwsza rocznica zgonu staruszka. Na cmentarzu zebrało się grono osób, przyjaciół, znajomych i najbliższej rodziny zmarłego ze staruszką-wdową, przeszło 80-letnią panią Malwiną Budrewiczową na czele. Starzy Budrewiczowie, nieboszczyk p. Stefan i p. Malwina, — to dla mnie jak krewni najbliżsi: za moich czasów petersburskich (lata 1892-1901) miałem w nich opiekunów najserdeczniejszych, przyjaciół najdroższych i najtroskliwszych. Nabożeństwo odprawił i mowę wygłosił przyjaciel pp. Budrewiczów i ich krewny [illegible], ks. Jasiński, proboszcz św. Jakóba. Kościół katolicki ma jednak piękny i głęboki rytuał kultu. W nabożeństwie żałobnym i odpowiednim śpiewie i muzyce dźwięczy poważny i głęboko nastrojowy ton rezygnacji, smętnej melancholji w świadomości znikomej istoty rzeczy indywidualnych, mądre czucie ciągłości i jednolitości kosmicznej, w której się wszystkie szczegóły i cała mnogość wszechrzeczy — stapia. Religja, utrwalona w kształtach kultu, wyjaśnia się tu już nie jako potęga polityczna kościoła, ale jako głęboka mądrość wieków i pokoleń ludzkich, ich wielka synteza świata, skupiona w mitach.

Wieczorem byłem u Anny. Obraziła się na mnie za to, żem do niej wczoraj wieczorem nie przyszedł, choć jej to wyraźnie obiecałem. Rozgorzał w niej bunt w poczuciu niesprawiedliwości mojej, że się na nią często gniewam, gdy coś nie po myśli mojej wypadnie, sam zaś bez wahania nie dotrzymuję słowa, gdy mnie coś innego podkusi.

12 (25) kwietnia rok 1912. czwartek.

Cały niemal dzień upłynął mi na zajęciach adwokackich i na załatwianiu korespondencji zaległej, którą muszę odrobić przed wyjazdem do Marumyłów, to znaczy do końca tygodnia bieżącego.

Wieczór spędziłem u Anny. W stosunku naszym ustaliła się w ostatnich czasach pogoda, która ma swoje dobre strony i przynajmniej nie sprawia tyle męki, nie wyczerpuje tak nerwów, nie kosztuje tyle ducha, ile sprawiały szalone dramaty sprzed świąt Wielkiejnocy. Skądinąd wszakże pogoda ta nuży zbytnią monotonną jednostajnością. Zdaje się, że człowiek nigdy nie jest w stanie posiąść stałej doskonałości. Tylko chwila może być doskonałą, ale nie żaden stan ciągły. W dramacie człowiek pragnie spokoju i tęskni do pogody. W pogodzie, która się zbytnio przedłuża, tętno życia słabnie, wrażliwość tępieje i człowiek znów tęskni do podniety. U Anny to pragnienie podniety jest bodaj ostrzejsze, niż u mnie. Anna się kocha w kontrastach, w jaskrawej grze wrażeń i namiętności. Jest ona antytezą bierności i nie znosi ckliwo-mdłych słodyczy wegietacyjnego używania. Jej natura jest żywiołowa i żądna burz. Toteż teraz Anna próbuje wywołać nieraz sztucznie wewnętrzne wstrząsy, aby przełamać monotonję pogody, ale sztuczna konstrukcja stanów psychicznych nie sprawia nowego dramatu i nie sprowadza upragnionej burzy.

13/26 kwietnia rok 1912. piątek.

Stan zdrowia Henrysia Wołłowicza jest wciąż zły. Od czasu mej bytności w Borysowie przed tygodniem, Józio Woł. Ojciec przysyła mi codzień kartkę z wiadomością o stanie Henrysia: mam przeto regularne biuletyny o przebiegu choroby. Dotąd nietylko że niema polepszenia, ale jest z dnia na dzień coraz gorzej. Stan jest groźny. Niebezpieczeństwo śmierci ~~[illegible]~~ trwa stałe. Gorączka utrzymuje się na poziomie ponad 40°, Henryś jest nieprzytomny, nie poznaje ojca; obecnie, jak się dowiaduję z kartki dzisiejszej, tyfus skomplikował się jeszcze zapaleniem mózgu, przez co stan jest jeszcze groźniejszy. Lada chwila spodziewamy się strasznej wieści. W ~~Hen~~ Henrysiu zgasłaby ostatnia żywa pamiątka naszej zmarłej przed 18 laty siostry — Helci Wołłowiczowej. Podwójna byłaby strata kochanego chłopca, dzielnego dziecka, zdolnego, miłego, a dla nas tylko serdecznymi wzruszeniami — drogiego.

242.

14 (27) kwietnia, rok 1912. sobota.

Przyjechał dziś do Wilna na odczyt Ludwik Krzywicki. Krzywicki miał tu mieć 2 odczyty: dziś w klubie przemysłowym odczyt przyrodniczy (geologiczno-antropologiczny) o starożytności pochodzenia człowieka, i jutro ~~[...]~~ w klubie szlacheckim publiczny odczyt społeczny o kobiecie i jej dorobku. Pierwszy urządzony staraniem klubu przemysłowego, drugi — grona osób prywatnych z działaczek społecznych Szurbinówną na czele. Aż oto wczoraj władze odmówiły pozwolenia na odczyt jutrzejszy o kobiecie, wobec czego Szurbinówna zatelegrafowała do Krzywickiego, aby nie przyjeżdżał. Wiadomość o tym zaniepokoiła członków zarządu klubu przemysłowego, który już pozwolenie na swój odczyt mieli i czekali przyjazdu Krzywickiego. Toteż wczoraj po obiedzie przybiegł do mnie Uścinowicz, jeden z najczynniejszych członków zarządu klubu przemysłowego, z prośbą, abym, jako znajomy osobisty Krzywickiego, uprosił go telegraficznie o przyjazd, co też zrobiłem; w nocy otrzymałem depeszę od Krzywickiego, że przyjedzie, i dziś ~~[...]~~ przed południem spotkałem go na dworcu. Krzywicki się zalokował u siostry(?). O godz. 4 grono osób, którego skład osobisty ustaliliśmy(?) z Uścinowiczem i Boguńskim, podejmowało Krzywickiego obiadem w hotelu Europejskim. Na obiedzie obecni byli, prócz Krzywickiego: ze sfer handlowo-przemysłowych (z klubu przemysłowego) Uścinowicz, Szrewe(?), Krzyżanowski(?) i Szymonowicz, z „przeglądowców" Ludwik Abramowicz i ja, z esdeków Boguński, Edward Sokołowski, Domański i Jamulaitis(?), wreszcie mężczyźni(?), jak Tadeusz Wróblewski, pani Ławrinska(?) i Klott. Obiad miał charakter spotkania się dla gawędki poufnej. Mówiliśmy o przyszłych wyborach, o układzie stronnictw i t. d.. Krzywicki był mało mówny i wyglądał zmęczony. W ogóle fizycznie Krzywicki robi wrażenie, że postarzał. Wieczorem byłem tylko przez krótką chwilkę na początku odczytu Krzywickiego. Byłem wyczerpany(?), bo musiałem się śpieszyć, przede wszystkim(?) — na spotkanie z Anną. Zanotuję tu szczegół charakterystyczny i ciekawy: esdecy zaprosili mię urzędowo do współpracownictwa w zapoczątkowanym przez nich wydawnictwie periodycznym(?)

Urzędowo — miałem dziś wyjechać do Mandziunów(?), i urzędowo — o północy wyjechałem. W istocie wszakże wyjeżdżam do Mandziunów(?) dopiero jutro o północy, a całą tę dobę rezerwuję dla stosunku z Anną. ~~[...]~~ Nikt nie wie o mej obecności w Wilnie, jestem więc zupełnie swobodny i mogę bez żadnego skrępowania spędzić cały czas z moją żonką kochaną. Jakoż wyjechałem z domu z neceserem na dworzec, tam go na przechowanie oddałem i wnet pojechałem do hotelu Wersalu, gdzie się spotkałem z Anną. Poszliśmy na kolację do restauracji Szyszkowskiej(?) i stamtąd na noc — do hotelu.

1 (28) kwietnia, niedziela. Rok 1912.

Dzień cały spędziłem z Anną. Wstaliśmy późno, koło południa. Mieliśmy iść za miasto na spacer; ponieważ urzędowo nie ma mię w Wilnie, więc na obiad do restauracji nie idziemy, aby nikt ze znajomych mię nie spotkał. Obiad zjemy na zimno za miastem z zapasów prowizji, którą sobie na wyjazd ten przygotowaliśmy zawczasu. Anna postanowiła spróbować wziąć ze sobą po raz pierwszy na spacer pieska swego, Ugrysia. Poszła więc o południu do swego mieszkania i wkrótce z Ugrysiem, prowadzonym na sznureczku, wróciła. Wyszliśmy zaraz i bocznemi uliczkami, abyśmy ~~[illegible]~~ jakimkolwiek znajomych spotkać, przeszliśmy na Antokol. Ugryś (właściwie należałoby wymawiać: „Ugryź", bo imię to stąd pochodzi) biegł dobrze, bez narowów. Jest mały jeszcze, ma dopiero ± 3 miesiące, ale jest zmyślny i dyscyplinowany. Anna wcale dobrze nim kieruje, ~~[illegible]~~ utrzymuje karność i umiejętnie go kształci. Piękne to szczenię, z rasową budową wygięta(?), prześliczną głową, pysznymi uszami i rozumnymi oczami. A wesoły jest Ugryś, a serdeczny i przywiązany do Anny, a nieposkromiony duszy, która się dobrze kojarzy z temperamentem jego. Znakomity nabytek dla Anny i jako piękny okaz psa i jako dzielny towarzysz i przyjaciel. Chcieliśmy jechać za Antokol tramwajem, ale nie przyjęto nas z psem. Dojechaliśmy więc do Pospieszki dorożką, stamtąd pieszo w górę w kierunku przeciwnym od Wilji. Tam w młodym lasku zostawiliśmy w pięknej górzystej pozycji, skąd mieliśmy widok na całe Wilno i Wilję za wyjątkiem Antokolu, — urządziliśmy popas. Ugryś sobie biegał i bawił się dokoła po lasku. Przed zmierzchem wróciliśmy pieszo do miasta. Ugrysia już nie prowadziliśmy na postronku; biegł sobie luzem doskonale; tylko przy spotkaniu z psami trzeba go było odwoływać, bo towarzystwo psie zwróciło jego uwagę(?) i kazało zapominać o obowiązkach. Zabawiliśmy z Anną w hotelu do godz. 11, o której rozjechaliśmy się. Ja pojechałem na [illegible], zaś Anna [illegible] na [illegible] do [illegible] Monkiewicza(?), — Bieniakowskiego. Zaprowadziłem go listownie z

Powiedziawszy(?), aby się stawić w dniu wieczorem do Wilna dla [illegible] nie ze mną do [illegible]. O pół 5 wyjechaliśmy [illegible] Mińskim(?).

16 (29) kwietnia rok 1912. poniedziałek.

O godz. 7 rano przyjechaliśmy z st. Siedlcekier-skim do st. Jadowkowic [?], skąd dalej mieliśmy jechać końmi do Mamylów. Zjedliśmy w jakiejś karczmie przy stacji śniadanie ranne, złożone z jajecznicy, mleka, herbaty i chały żydowskiej (a także smacznych szpekuchów z zapasów domowych st. Siedlcekierskiego), i najęto furę z mańcerką [?], czarnym drobnym, ale krzepkim koszykiem [?], trzęską bryczką z siedzeniem wypchanym sianem, w które zapadliśmy głęboko, ruszyliśmy w drogę. Zimno, przymrozek, ale słońce świeci jaskrawe, a oto z lasów bliskich kukułka zakukała, i kuka, kuka ciągiem, długo. W dobrą godzinę! Potrząsamy pieniędzmi w portmonetkach podług zwyczaju, aby się szczęściło i mnożyło grosza tak, jak się przypomina jej kukułczych w cudzych gniazdach. Kukułka zwiastunka przygodnej [skreślone] płodności, tęgaca niespodzianką z [skreślone] obfitością, niechże nam będzie istotnie symbolem dobrej wróżby w tej pierwszej podróży dla objęcia dziedzictwa. W przeciąg godzin koło południa dojeżdżamy do Mamylów. W pięknej wesołej miejscowości, śród lasów, zamykających zewsząd ciasny krąg horyzontu, leży dwór Mamylowski, pełny przedziwnej melancholji rzeczy opuszczonych, pod którymi śród nieładu i zapuszczenia widać dawną świetność, znaczoną śladami dawnej troskliwej kultury. Takie są Mamyly. Budynki opuszczone, pola rabunkowo wyeksploatowane, a śród pięknych klombów drzew, malowniczo z widoczną myślą zdobniczą ugrupowanych dokoła rezydencji, a dziś rozrosłych w dzikiej samowoli krzaków, śród zdziczałych trawników spirei i t.d., — stoi dom niezamieszkały w ruinie. Świecą białe kolumny krytego podjazdu, a obok szczerzy się wyłom w ścianie domu; wewnątrz pokoje obszerne, puste, z posadzką, o ścianach pokrojonych [?]; dwa długie skrzydła domu są w części zamieszkałe przez rodziny leśników i dzierżawców z gromadą dzieci bosonogich, psów, kłótów [?] i kur. Śród klombów drzew i krzewów dziedzińca i ogrodu spacerowego biegną i krzyżują się linje ongi dróżek, a zaś gdzieniegdzie z rosnących dziś dziko grup nad drzewami wyrysowują się ślady pierścieniowych konturów zdobniczych w postaci kręgów, półtoru [?] i alei zwężonych i najrozmaitszych, przez potłumionych [?] przez strzyżenia gałęzi. Dziś dawna sztuczna

17 (30) kwietnia, wtorek, rok 1912.

Do obiadu chodziłem po lesie wraz z Biesiakierskim i obecnym leśnikiem Mamutowskim, Nowikiem. Co za las, co za las! Zaiste wybór zrobiłem udatny, biorąc las w tej właśnie części majątku. Lasy Mamutowskie są w ogóle piękne, ale moje lasy należą do najpiękniejszych. Drzewa smukłe, równe, wysokopienne, tak w niebo strzelające, że do pióropuszów ich wierzchołków ledwie dostrzec można. I wszystkie takie, sztuka w sztukę. I młode drzewka, cieniutkie, a już w górę wystrzeliły do wyżyn zawrotnych. Bajeczny las. Sporo też w moim kawałku sztuk towarowych sosny i jodły. Zaiste żal mi niszczenia lasu tego. Nie zdobędę się chyba nigdy na wytrzebienie go do tła; raczej po wyprzedaniu towaru zatrzymam go dla siebie na własność, wypłacając Mamie część jego podług oceny. W lesie tym gotów jestem się rozkochać. Serca brak do wytępienia tych prześlicznych drzewek młodych, prących się z taką mocą wegetacji w górę, zdrowych, silnych, szczęśliwych i pięknych.

Zimno. Kilkakrotnie padał gęsty śnieg i grad. Całe przedobiednie wszakże spędziłem w lesie. Obejrzałem las szczegółowo. Nigdzie nie ma śladu samowolnych porąbów przez włościan. Pod tym względem stan lasu wzorowy. Dowiedziałem się, że z lasu mego do spławu nie jest niedaleko (?), niż z innych części Mamutowa. Ucieszyło mnie to, bo dotąd słyszałem, że jest dalej, a to ma wielkie znaczenie, gdy jednocześnie będą się sprzedawały wszystkie części lasów mamutowskich. Biesiakierskiego ulokowałem już dziś w Trusewiczach w chacie starosty Waszkiewicza; lokata ta kosztować będzie rb. 2 miesięcznie; wolałbym wszakże, aby leśnik mój nie był zależny od wioski, mieszkanie zaś stwarza pewien stopień zależności. Projektuję postawić własną chatę na skraju lasu mego. Byłaby to sobie porządna chata gospodarska z mieszkaniem na 2 końce. Wybudowałbym ją z suchostoju.

Ukazanie się jednego ze spadkobierców (?) w dobrach mamutowskich budzi sensację. Cały świat tutejszy: leśników, drobnych dzierżawców, dożywotników włościan, szlachty, otrzymujących [illegible], którzy tak lub inaczej z dworem związani, poszła wieść o dziale, mnożą się komentarze, skwapliwie mówiony (?), wyczekuje o szczegóły, wyobrażają [illegible] co będzie za [illegible]. Wyczuwa się pewne przygnębienie u tych ludzi z powodu, że [illegible] o ogromnej [illegible]

wyjątkowo przechodzą do rąk zmiennych, wśród których przez lat kilka Wołkowiczów. Niewiele jest nazw takich, nazw * jednego z [illegible]. „[illegible]” albo „[illegible]” albo „[illegible]”, albo [illegible] [illegible] [illegible] „[illegible]”.

18 kwietnia.
1 maja.
rok 1912.
środa.

Rano z moim leśnikiem Bieniakierskim i dotychczasowym wspólnym „towarzym" Stankiewiczem wyjechałem do lasu dla obejścia raz jeszcze schedy mojej. Chodziło mi o to, aby Stankiewicz przy mnie zapoznał Bieniakierskiego z lasem. Stankiewicza nadal po dziale trzymać nie będę; nie gniewa się zresztą za to na mnie, bo zostanie na tych samych warunkach u Wołodkowiczów. Miałem sto pociech z tej wycieczki leśnej w towarzystwie Bieniakierskiego i Stankiewicza. Obaj, pomimo pierwszy się widzą, badają się nawzajem z pewnym odcieniem podejrzliwej nieufności, maskując takową wyszukaną grzecznością wzajemną i potakiwaniem sobie. Jak jednak człowiek jest w instynktach i gestach swoich pierwotny i jak podobny do zwierząt, a zwłaszcza do psa! U ludzi mniej wykształconych, prostszych, te ~~pierwotne~~ przejawy natury pierwotnej uwydatniają się o wiele plastyczniej, wyraźniej. Bieniakierski ze Stankiewiczem robili najzupełniej wrażenie dwóch psów, które się obwąchują przy spotkaniu, mierząc siłę własną, niepewne wzajemnie, okazujące wielką sympatję i grzeczność całym układem ciała i machaniem ogona, a gotowe się rzucić na siebie przy lada zdradzonym przez towarzysza złym zamiarze lub oczywistej słabości. To podobieństwo do psów tym bardziej mi się w umysł wraziło, że obaj są z natury swej służby dworakami i obaj pełni pochlebstwa w stosunku do mnie. Biedne ludziska. Obaj są charakterystyczni zresztą i przez to jeszcze bardziej w zestawieniu interesujący: Stankiewicz mówi z białoruska i ma typowy gest i temperament chłopa białorusina, mój zaś Bieniakierski mówi z litewska i jest nie mniej typowym litwinem, choć się poczuwa za polaka. Mowa Bieniakierskiego pełna takich charakterystycznych zwrotów litewskich, jak „jego tu było" „jego wydeptane" (on tu był, on wydeptał), „on wyjechawszy" (on wyjechał) „on wyższy za mnie" (wyższy ode mnie).

Teraz dopiero oceniam w całej pełni wartość lasku sosnowego (na planie pod № XVIII) między Wydrzynem i Zasieczkami. Lasek ten — to perła prawdziwa schedy naszej. Ludwik Wołodkowicz zazdrości mi tego lasku i chciałby mi go przy pomocy Umiechowskiego wydrzeć. Muszę się go trzymać oburącz i kopytami; spodziewam się, że utrzymać w całku zdołam, bo go zawczasu zastrzegłem w protokole na rzecz schedy naszej.

Po obiedzie opuściłem Mamuty i przyjechałem na wieczór do Kazia Wołodkowicza do Chotenicy, gdzie zanocowałem. Z Kaziem rozmawiałem dużo o dziale. Kazio zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że Ludwik, po nabyciu dla siebie schedy c. Józi, zaniedbuje interesów matki swej w dziale i świadomie krzywdzi je na rzecz interesów własnych. Jest to niewątpliwe.

10 kwietnia. 2 maja. rok 1912. czwartek.

Wstałem o godz. 6, żeby zaraz jechać na kolej. Postanowiłem przed powrotem do Wilna wstąpić jeszcze na chwilę do Mińska dla kilku interesów detalicznych w sprawie działu. U Karia w Chełmnicy zabawiłem przez to b. krótko, właściwie tylko zanocowałem u niego. Zamiar złożenia wizyty Stasiowi i jego młodej żonie w Nowym Dworze odłożyłem do następnej bytności w Mamyłach. Kario był b. uprzejmy i serdeczny dla mnie, jak zwykle. Ze wszystkich Wołodkowiczów z nim też mię stosunki najlepsze. Lubię go i względnie bardziej szanuję, niż resztę rodzeństwa jego. Jest on bądźcobądź głębszy od innych, posiada pewne zrozumienie spraw moralnych i sumienia, czego ani Zunka Chełchowska, ani Ludwiś, ani Staś, ani Lolo i Marynka Wołodkowiczówna nie mają (o Zosiku, którego znam najmniej, nie mówię). Kario jest mniej przewrotny, niż Zunka, nie jest takim [illegible] skończonym i cynicznym, jak Ludwiś, jest zresztą rozumniejszy i światlejszy od niego, nie ma też tej bezwzględności, jaką ma Staś. Wprawdzie i Kario jest urodzonym Wołodkowiczem, jest dla ludzi, który [illegible] zaś [illegible] ciężki, nie bardzo przebiera w środkach i jest wolny od jakichkolwiek ideałów i aspiracji wznioślejszych, ale bądźcobądź ma większą kulturę od rodzeństwa swego.

Wyjechałem więc z Chełmnicy zaraz po godz. 7 rano. O godz. 10 z minutami wyjechałem już z Radoszkowicz koleją na Mińsk, gdzie spędziłem 3 godziny. Wstąpiłem do geometry p. Falkowskiego, któremu poruczono zaprojektować rozgraniczenie działek na Mamyłach. P. Falkowski pokazał mi w projekcie granice mojej schedy. Zdaniem moim granice te są dla mnie świetnie zakreślone: mam cały lasek № XVIII, mam łąkę, która w lasek ten wchodzi, mam [illegible] wyjątkowy skrawek pola ornego, który mi się dla leśnika przyda, znakomicie zakreśloną połączenie między laskiem № XVIII a laskiem № XVII, wreszcie mam jeszcze otrzymać od Ludwisia Wołodkowicza dopłatę na rb. 500. Jeżeli te granice zostaną przez arbitrów zatwierdzone, będę zupełnie zadowolony. Odwiedziłem też w Mińsku p. Józefową Święcicką, od której się dowiedziałem, że w stanie zdrowia nieszczęśliwego [illegible] a jej synowca Henryka Wollowicza nie nastąpiło polepszenie i obecnie mniejsze [illegible]. [illegible] 2 wyjechałem do Wilna, gdzie wieczorem stanąłem. Do domu nie zajechałem, jeno z [illegible] do hotelu. [illegible] z nim koleją w [illegible]; [illegible] [illegible] i moja Anna [illegible] się [illegible] do [illegible].

248.

20 kwietnia / 3 maja. rok 1912. piątek.

Obudziliśmy się z Anną rano w hotelu zmęczeni, osłabieni po wypitce wczorajszej. Do godz. 4 popołudniu nie wychodziliśmy z hotelu. Wreszcie poszliśmy na obiad do gabinetu w restauracji Naruszewicza. Byliśmy jak dwie muchy senne na jesieni, ale dobrze nam było ze sobą i z żalem myśleliśmy o rozstaniu. Około godz. 7 poszedłem z Anną na dworzec kolejowy, wziąłem złożowane tam na przechowanie rzeczy moje i, odprowadziwszy Annę do jej mieszkania przy ul. Monastyrskiej, ~~dziś~~ pojechałem do domu, wyprzedzając przyjazd z Mińska. W domu zastałem szpital: Mama przeziębiona i od kilku dni na bronchit chora, Stasiuś od 2 dni leżący, Helcia kaszląca. Zastałem też szwagra mego, Ezechjela Tuszanowskiego, który przyjechał na spotkanie córki swej, Zosi, wracającej ze szkół z Finlandji. Zosia od wczoraj bawi w Wilnie, mieszka u nas.

21 kwietnia.
4 maja.
rok 1912.
sobota.

Załatwieniu kilku najpilniejszych interesów zaległych wypełniłem mi dzień cały do wieczora.

Wieczorem otrzymałem list od Tuśka, chłopca-podrzutka, dziś już mężczyzny w kwiecie wieku. Przed laty 21, w roku 1891, Tusiek podrzucony został, jako jeszcze dziecko 3-letnie, ~~w Ostr~~ przez jakąś kobietę w Ostrej Bramie (wiadomość o tym podrzuceniu jest w moim dzienniku ówczesnym pod datą, jeżeli się nie mylę, 8 czerwca). Przez lat kilkanaście Tusiek hodował się w Bohdaniszkach; w r. 1896 trzymałem go do chrztu; daliśmy mu imię Wiktor i nazwisko Tusiek. W Bohdaniszkach był zaniedbany; hodowano go w piekarni bez dozoru, bez kierunku; cała zasługa opieki polegała li tylko na tym, że go karmiono, ale też kazano mu często paść i pracować. Próbowano wprawdzie uczyć trochę Tuśka, ale nad nauką tą słabo czuwano. Nic też dziwnego, że w sercu sieroty zamiast wdzięczności zapanowała gorycz z pewnym nawet odcieniem niechęci do opiekunów przybranych. Niecierpliwość Tuśka i jego charakter z natury twardy i kanciasty zraziły doń Papę, który się go rad pozbył i słyszeć o nim nie chce. Tusiek przed laty 8-9 poszedł sobie w świat; z początku słychać było o nim: służył gdzieś parobkiem w mieście, był raz jakąś biedą skazany na więzienie, w czasie rewolucji mówiono o nim, że jest pochopny do strejków i zna ducha buntowniczego, potem służył woźnicą na poczcie ziemskiej w Abelach, potem go wzięto do wojska i odtąd żadnej wieści. List dzisiejszy pisany jest z Petersburga. Tusiek dostąpił nielada zaszczytu — służy w Siemionowskim pułku Gwardyjskim, jednym z najznakomitszych pułków w Rosji. Zwraca się do mnie, jako do ojca chrzestnego, z prośbą o przysłanie mu jakiegoś datku. Biedny chłopiec! Pisze nieudolnie, przemawia do serca. Może go tam nawet większa bieda ciśnie, ile chęć drobnego użycia przyjemności, ale mniejsza o to, — jest samotny i luzem na świecie wystawiony, jak kołek przydrożny, jak liść jesienny.

Wieczorem byłem u Heleny. Helena, czując się pewnie [illegible] po dłuższym wczorajszym i trochę się krępując ewentualnymi docinkami koleżanek, nie była dziś u Jakowskiej na robocie. Ponieważ nie chciałbym, aby się zaniedbywała w pracy, choć zresztą sam jestem bezpośrednim sprawcą tego zaniedbania, zrobiłem jej na wstępie wymówkę i tonem dość szorstkim. Wrażliwą biedną duszę to obeszło okrutnie, tymbardziej, że biedaczka sama się źle czuła i chciała się przygarnąć do mnie w kojącym cieple serca. Ta nawet list przygotowała do mnie, który dziś [illegible] mi wręczyć zamiast [illegible], ale nie wysłała. Szorstkość moja dotknęła ją boleśnie w chwili [illegible] nerwowej. Posmutniała, wpadła w apatię i pognębienie; przez cały wieczór ją pieściłem i starałem się udobruchać, a jednak całkowicie jej równowagi zwrócić nie zdołałem.

22 kwietnia / 5 maja. rok 1912. niedziela.

Spędziłem cały dzień, prócz pory obiadowej, za domem. Z paru przerwami parogodzinnymi spędziłem czas z Anną. Anna była smutna i przygnębiona. Nastrój wczorajszy, tak paskudnie przeze mnie wytworzony, wykoleił biedną kochaną dzieweczynę i pogrążył ją w głębokie odmęty bólów i przeczuć fantastycznych, których doznawszy, pragnie ich żądz nieziszczonych, walczących z odrazą, ostydzeniem, dumą i t.d.. Anna nie ma nikogo, prócz mnie. Ma jeszcze swego psa, Ugrysia, ale ten jej zrozumieć nie może, a choć ją kocha, to jednak obcowania serdecznego jej dać nie może. W chwilach rozterki, smutku, zwątpienia w siebie, jakichś bólów nieokreślonych, w tych chwilach, słowem, gdy dusza Anny tak wrażliwa i głęboka, gry uczuć pełna, pogrąża się w samotnej otchłani najsprzeczniejszych kontrastów dramatu, ja mogę być dla niej tą jedyną ostoją serdeczną, którą jest dla kobiety mężczyzna kochający. Jestem tym jedynym, który zdoła tak fizycznie, jak moralnie ukoić tęsknotę kobiety, zgasić pożar jej dramatu, przywrócić równowagę żywiołów psychicznych. I oto w takiej chwili wczoraj z brutalną szorstkością kopnąłem biedną Annę ostrym egoistycznym wyrzutem. To ją osamotniło zupełnie i pogrążyło w zamęt straszliwej rozterki bez wyjścia. Cały dzień pieściłem ją, koiłem i ukoić nie mogłem. Czy mnie nie wierzyć? Czy nie kocham jej tylko dla uciechy zmysłowej, jak większość mężczyzn „kocha" swe kochanki? Czyż zmuszona brać ode mnie podłe pieniądze, brać utrzymanie, jako zapłatę za dawaną mi uciechę. Myśli te szarpały Anną ~~i~~ i sprawiały jej mękę piekącą; nie była w stanie mi uwierzyć, nie mogła przezwyciężyć poczucia obrazy takiego stosunku. Zachwiana przez mą szorstkość i brutalność wczorajszą wiara do mnie nie dawała już jej busoli do właściwego rozwiązania tych zagadnień, które tylko w miłości rozwiązania znajdują. Byłem z Anną w cukierni Bronisława, byłem u niej, byłem w kinematografie Lutremera. I dopiero późnym wieczorem po kolacji w gabinecie u Niszkowskiego miłość moja zdołała rozproszyć mrok niewiary Anny i dać jej wreszcie ukojenie nieznaczne, którego ciąg dalszy przeniośliśmy do hotelu Versalu, gdzie zabawiliśmy z nią do godz. 3 w nocy. Pewien wszakże osad melancholji pozostał u Anny.

O godz. 12 w południe byłem u Znamierowiczów na zebraniu zarządu „Lietuvių Dailės draugijos", gdzie oprócz Znamierowiczów i mnie byli Kairys i Jan Vileišis. Omawialiśmy sprawy zbliżającej się VI dorocznej wystawy litewskiej, oraz projekt wydawnictwa książki o Čiurlionisie z reprodukcjami dzieł jego. Do książki tej zamierzaliśmy wziąć artykuły z książki zbiorowej rosyjskiej o Čiurlionisie, mającej być wydaną przez „Mir Iskusstwa", oczywiście w tłumaczeniu litewskim, oraz artykuły oryginalne litewskie, z których jeden, podobno piękny, już się pisze przez artystę Stapinskiego z wnikliwym wglądem po Čiurlionisie. Szkice do reprodukcji upatrzyliśmy takie, jakie z wydawnictwa „Mir Iskusstwa". O godz. 5 wiecz. w lokalu klubu szlacheckiego byłem na odczycie Henryka Krzywickiego o kobiecie i jej dorobku kulturalnym. Odczyt popularny, ale co do myśli bardzo piękny.

23 kwietnia. / 6 maja. rok 1912. poniedziałek.

Większą część dnia spędziłem w domu. Zajęty byłem opracowywaniem podania do sądu w sprawie Zuckerkurynck. Wieczór spędziłem u Anny. Nastrój był w stosunku naszym pogodny, piękny. Siedząc u Anny, pisałem w dalszym ciągu podanie sądowe. Była to w naszym stosunku burzliwym sielanka rodzinna. Pracowaliśmy oboje każdy sobie, spoglądając w chwilach przerwy na siebie i zamieniając się kilku słówkami serdecznymi.

24 kwietnia.
7 maja.
rok 1912.
wtorek.

Dowiedziałem się, że dziś rano czy wczoraj skonfiskowano ostatni № „Przeglądu Wileńskiego" za artykuł wstępny Ludwika Abramowicza p. t. „Świt". Naturalnie że wytoczony zostanie proces prasowy przeciwko Witoldowi Abramowiczowi, jako redaktorowi odpowiedzialnemu, i Ludwikowi, jako autorowi artykułu.

Z powodu ostatnich wyjazdów moich do Mińska i Mohylowa zaniedbałem od dłuższego czasu współpracownictwa w „Przeglądzie", co mi obecnie wielce na sumieniu ciąży. W 3 №№ ostatnich nie ukazał się żaden artykuł mego pióra. To też dziś zabrałem się do pracy nad artykułem wstępnym natury zasadniczej. Uwydatniam w nim moje pojmowanie t. zw. stanowiska krajowego, polegające na koncepcji społeczeństwa naszego, jako związku jedynego, niezależnie od podziału na narodowości. Jest to antyteza koncepcji nacjonalistycznej, wyznawanej nawet przez Ludwika Abramowicza (a więc i w „Przeglądzie" dotychczas dominującej), ~~która~~ podług której zamiast ~~[illegible]~~ jednej społeczności krajowej jest szereg odrębnych i równoległych społeczności, — polskiej, litewskiej, białoruskiej i t. d. Stanowi ta też dwóch koncepcji, — ~~[illegible]~~ krajowej (mojej) i nacjo-

[Margin note, written vertically:] [illegible] w końcowych [illegible] uchwytnej; — Artykułu tego dziś jeszcze nie skończyłem. Zostałem [illegible]. Uważam, że [illegible] w stanie, który [illegible] [illegible]

25 kwietnia / 8 maja. rok 1912. środa.

[illegible upside-down lines at top of page]

Byłem w charakterze przedstawiciela prasy (za biletem zaproszeniowym „Przeglądu Wileńskiego") na uroczystościach, wyprawionych przez miasto Wilno z trzech okazyj: mianowicie poświęcenia ~~[illegible]~~ nowej kliniki dla chorób zakaźnych na Zwierzyńcu, założenia pierwszej rury kanalizacyjnej przy moście Zarzecznym i otwarcia odnowionej sali Miejskiej w domu pod № 10 przy ul. Ostrobramskiej. Na pierwszej z tych uroczystości nie byłem. Przyjechałem jeno na godz. 11½ wprost do mostu Zarzecznego. Tam się odbyło nabożeństwo uroczyste prawosławne wobec przygotowanej do opuszczenia rury kanalizacyjnej, którą następnie opuszczono do otworu kanałowego, i stamtąd ~~[illegible]~~ ruszyli wszyscy do sali miejskiej, gdzie miasto podejmowało wszystkich gości sutym śniadaniem. Uroczystości te miały charakter ściśle urzędowy. Nabożeństwo było tylko prawosławne, mowy tylko rosyjskie. Obecny był na nabożeństwie i na śniadaniu arcybiskup prawosławny Agafangieł z gronem wyższego duchowieństwa [illegible], dalej przedstawiciele władz z wicegubernatorem [illegible] na czele, ~~[illegible]~~ sprawującym obecnie czasowo wobec wakującej po Lubimowie posady obowiązki gubernatora. ~~[illegible]~~ Osób obecnych na śniadaniu było przeszło sto do paruset. Śród wielu innych osób dostrzegłem następujące: prezydent miasta p. Michał Węsławski, wiceprezydent Konrad Niedziałkowski, urzędnik do szczególnych poleceń Hoppe, gen. Berthold, dyrektor Banku Ziemskiego Paweł Kończa, dyrektor banku handlowego Karol Salmonowicz, inżynier Prozorow, Niewodniczański, Sienfeld, Gabrjel Sokołowski, Milewski, mecenas Zmaczyński, Bujko, Klott, dr. Witold Węsławski, dr. Hanusowicz, dr. Dembowski, dr. Rymsza, dr. Masko, dr. Boguszewski, Ferdynand Ruszczyc, Wacław Studnicki, Solimani, Napoleon Rouba, Władysław, ksiądz Cyrawski, Kazimierz Dmochowski, Jankowski, Uścinowicz, Bolesław Perkowski, Wacław Makowski, Feliks Zawadzki, Kruszyński, Miśkiewicz i inni. Śniadanie było zimne, złożone z przekąsek, ryb, mięsiw i sałat w bardzo obfitej ilości. Niemniej obficie były reprezentowane najrozmaitsze gatunki wódek, wina, prócz tego podawano gorący barszczyk z pasztecikami i kruszon, którym pito zdrowie. Początkowo wszystko się odbywało arcylojalnie i „prawomyślnie". Wzniesiono toast za zdrowie monarchy, orkiestra odegrała „Boże caria chrani", potem nastąpił długi szereg monotonnych i ceremonialnych toastów w języku rosyjskim. Lecz oto gdy już publiczność bankietująca się podochociła i w czubach się dobrze zakurzyło, wyprawiono figiel demonstracyjny na złość figurom urzędowym a tak zręcznie, że niepodobna było ze stanowiska formalnego żadnego zarzutu zrobić. Oto był tego na śniadaniu oficer francuski, bawiący w Wilnie z misją od rządu francuskiego. Pod pozorem więc owacji dla oficera tego zażądano odegrania marsylianki, którą powitano takim entuzjazmem, takim żywiołowym wybuchem, że orkiestra musiała raz po razie znowu i znowu ten śliczny hymn republiki francuskiej powtarzać śród huczącej oklaskami sali. Zapał dla marsylianki był żywiołowym przeciwstawieniem chłodu i sztywności, z jakim przyjmowano toasty za cara i w ogóle mowy rosyjskie. Na toast za cara i na hymn rosyjski kilka zaledwie głosów, mianowicie arcybiskup Agafangieł, [illegible], Hoppe, kilku Rosjan wymienionych urzędowo i prezydent Węsławski krzyknęło z urzędu „hurra!" przy sztywnym lodowatym milczeniu sali, podczas gdy marsylianka

26 kwietnia.
9 maja.
rok 1912.
czwartek.

Mieliśmy dziś pod wieczór zebranie zarządu „Żiburėlis'a“, towarzystwa wspierania kształcącej się niezamożnej młodzieży litewskiej. Zarząd stanowią panie Felicja Bortkiewiczowa i Wysocka z „Lietuvos Ukininkas“, p. Żmujdzinowiczowa i ja. Udział w towarzystwie tym jest jedną z czynności moich, do których przywiązuję wielką wagę i które mi są drogie. Młodzież kształcąca się litewska, ten kwiat przyszły narodu, — to przeważnie biedacy pod względem materjalnym, synowie włościan, którzy w biedzie, schnąc z niedostatku i puchnąc z głodu, walczą o lepsze jutro i zdobywają światło i wiedzę. „Żiburėlis“ przez rozdawnictwo stypendjów i zapomóg, działając już od lat przeszło 20, wpierw nielegalnie a od r. 1907 legalnie, jest znakomitą ostoją wzrastającej inteligiencji litewskiej. Należy podnieść, jak ubogi naród litewski w osobie swej inteligiencji, stanowiącej przeważnie proletarjat ~~...~~ inteligiencki, umie być ofiarny na rzecz swych przyszłych wzrastających pokoleń i pracy na rzecz swej ukochanej kultury. „Żiburėlis“ jest stale w ręku demokratów, zwalczanych szczególnie przez Tilet, który zorganizował także instytucję konkurencyjną.

27 kwietnia / 10 maja. rok 1912. piątek.

Rozpoczęliśmy z Helą Ochenkowską tłómaczenie z litewskiego na francuski napisanej przez dr. Basanowicza przedmowy do albumu krzyżów litewskich wydawnictwa „Lietuvių Dailės Draugijos".

Pracę tę musimy robić we dwoje, bo ja się nie czuję dość mocny we francuszczyźnie, aby się samodzielnie tłómaczenia podjąć, więc zaprosiłem do tego Helę, która znów nie zna języka litewskiego i przeto potrzebuje pomocy mojej. Tłómaczenie to jest pracą uciążliwą. Naraźie przyjąłem je do wykonania z polecenia zarządu „Dailės Draugijos", ale się potem spostrzegłem, że praca ta zajmie zbyt dużo czasu, a tam chodzi o pośpiech w wydawnictwie. Podzieliliśmy więc przedmowę na dwie części i część pierwszą tłómaczę ja z Helą, część drugą tłómaczą w ten sam sposób Żmujdzinowiczowie z panną Studnicką. Gdyśmy się zebrali z Helą do pracy, przekonaliśmy się, że tłómaczenie we dwójkę pójdzie jak po grudzie. Ustanowiliśmy więc taki sposób, że ja będę Heli dyktował z tekstu litewskiego na język polski, a Hela będzie następnie sama przekładała na francuski i wreszcie wspólnie zestawimy tekst francuski jej tłómaczenia z oryginałem.

Wieczór spędziłem u Anny. Z radością spostrzegam, że jednak Anna nigdy mi spowszednieć nie może. Ma ona duszę tak piękną, charakter tak bujny i wrażliwy, tyle subtelności czucia, tyle szlachetności, dumy i głębokiej spostrzegawczości oraz inteligencji wrodzonej, że obcowanie z nią poprostu mnie uszlachetnia, podnosi i dostarcza zawsze świeżych wzruszeń. Zdobyłem w niej żonę doskonałą.

256.

28 kwietnia.
11 maja.
rok 1912.
sobota.

Dziś pod wieczór pojechałem do Mińska. Jazda ta spowodowana została wiadomością, otrzymaną przed kilku dniami od Ludwisia Wołodkowicza o tym, że geometra Falkowski, przy sprawdzaniu projektu rozgraniczenia schedy w Mamyłotach(?), natrafił * na pomyłkę w ocenie ziemi; mianowicie jedna pozycja została podwójnie podliczowana(?), wskutek czego suma ogólna oceny podniosła się sztucznie o rb. 11000, a stąd i każda czternastka miała w sobie błąd odpowiedni. P. Falkowski dokonał projektu rozgraniczenia na podstawie oceny z błędem, toteż na schedę ostatnią, cioci Lucji Wołodkowiczowej, zabrakło mu ziemi (bo schedom poprzednim nadał takowej za dużo). Wobec tego robota dalsza została wstrzymana do czasu zwołania zjazdu współwłaścicieli z arbitrami. Ponieważ czas nagli, bo 18 maja upływa termin dwuletni, wyznaczony przez Sąd Okręgowy do działu polubownego, a tymczasem wezwania na zjazd nie otrzymujemy, więc jadę do Mińska dla zobaczenia się z superarbitrem p. Święcickim i z Ludwisiem Wołodkowiczem dla omówienia sytuacji i najpraktyczniejszego sposobu wyjścia.

Jadąc do Mińska na niedzielę, postanowiłem wziąć ze sobą Annę. Ta propozycja moja przyjęta z radością, bo ma przed sobą dzień wolny i woli go spędzić ze mną na wycieczce, niż samotnie w Wilnie. O godz. 6½ wyjechaliśmy więc na Mińsk. Droga nam upłynęła przyjemnie. Gawędziliśmy serdecznie, przyglądaliśmy się smutnemu krajobrazowi lasów tysiącznych(?) i dzikiemu zaniedbaniu uprawy, które się wzdłuż drogi tej dostrzegać daje. Potem, gdy ściemniało, Anna się położyła i potroszę drzemała, potroszę gawędziła ze mną śród wesołego przekomarzania się i gorącego nastroju miłości. Do Mińska przyjechaliśmy przed północą. Zajechaliśmy do hotelu Brauncela(?) i poszliśmy na kolację do Café Select. Tłumy publiczności kawiarnianej, gorący zaduch atmosfery, przesycony wyziewami kuchni i ludzi, — źle na mnie podziałały. Odezwał(?) się mój [illegible], rozbolała głowa i nawet [illegible] się rozstroić zaczęło a kaprysy wzięły(?) górę nad poprzednim nastrojem serdecznym.

* Przy kolacji [illegible] Anna zaczęła w stopniu [illegible]

[illegible]

29 kwietnia / 12 maja rok 1912 niedziela.

Obudziliśmy się z Anną po wieczornych rozdąsanych kaprysach wczorajszych dalecy od siebie, — każdy w innym łóżku. Wyleciało wszakże, po krótkim zlikwidowaniu w kilku słowach tych dziecinnych nieporozumień wczorajszych, pogodziliśmy się serdecznie, i wesoło, w jak najlepszym usposobieniu i harmonii, ubraliśmy się i wyszliśmy na miasto. Ja zaszedłem do Ludwisi Wołodkowiczowej, rozmówiłem się z nią w interesie, potem byłem u p. Święcickiego, którego nie zastałem, niestety, wreszcie zjadłem z Anną obiad w Café Select i, nie ~~[illegible]~~ chcąc odkładać powrotu do Wilna dla widzenia się z p. Święcickim, pociągiem o godz. 2 popołudniu wyjechałem z Anną z Mińska. Jechaliśmy pociągiem pospiesznym w klasie III. Anna mię sama namówiła do klasy III i nastawała gwałtownie, abym ani myślał o klasie II. Już to moja Anna daleka jest od jakichkolwiek zamiarów wyzyskiwania mię i jest ona zawsze hamulcem moim na wydatki i każdy rubel wydatku na nią muszę wywalczyć, bo się zawsze wzdraga, i jest na punkcie pieniężnym subtelnie delikatna i wstydliwa, jak dziecko. W drodze zmówiliśmy się z Anną sprzeczali. Dąsała się ona na mnie za to, że po przyjeździe do Wilna mam iść na posiedzenia aż dwóch towarzystw, zamiast z nią czas spędzić, a że ~~[illegible]~~ ma ducha przekory bardzo rozwiniętego, który przy wszelkim dąsaniu się stokrotnie się wzmaga, więc o byle co sprzeczała się ze mną i zawsze, z uporem ponieważ, musiała być w każdej kwestii przeciwnego zdania, niż ja. Rozmawialiśmy z nią w wagonie o sprawach społecznych i naukowych. Ja parokrotnie wpadałem w ton nieco mentorski, wykładając Annie twierdzenia moje ex catedra, jak profesor. Anna tonu mentorskiego nie znosi organicznie i buntuje się nie przeciwko treści samej, lecz przeciwko tonowi. Mentorstwa, zarozumiałości nie może przetrawić i z uporem, przedziwną subtelnością wyczuwa wszelki odcień [illegible] zarozumialstwa. Jest to w niej przepiękna cecha niezależności ducha, wrodzony głęboki zmysł swobody, który ~~[illegible]~~, jak przeczysty kryształ, ją zdobi i nadaje jej cechę potężnej mocy i prostoty. Duch protestu, swobody i buntu jest w Annie wieczyście żywy i niegasnący. Jest ona anarchistką wrodzoną. W chwilach zaś, gdy jest zdenerwowana, obrażona, duch ten protestu przeradza się w przekorność. Nie może wtedy wytrzymać, aby nie protestować i nie sprzeczać się, a jednocześnie cierpi nad tym, boleje i męczy się i tym goręcej mię kocha, im dalej ode mnie przez sprzeczanie się odbiega. Łączą się to w niej te jej typowe kontrasty uczuć. Po przyjeździe do Wilna Anna była już cała szczęśliwa na mnie za to, że idę na posiedzenia jakieś, bo właśnie jej po sprzeczce pożądała namiętnie ukojenia serdecznego. Musiałem ją wszakże opuścić i spieszyć na walne doroczne posiedzenie towarzystwa popierania kooperacji w murach po-franciszkańskich. Zastałem tam osób zaledwie 12. Dziwna obojętność ogółu dla sprawy tak doniosłej, jak kooperacja w naszym kraju drobnej własności i drobnej wytwórczości. Obecni byli: [illegible], Turski, Dowiakowski, Witold Abramowicz, Jan Piłsudski, Bražaitis z Żelsmontu, Bociarski, ja i jeszcze parę osób. Po sprawozdaniu rocznym i dyskusji — ~~[illegible]~~ ogólnej o stanie ruchu kooperacyjnego w gub. wileńskiej wypłynęła na porządek dzienny z inicjatywy Bražaitisa sprawa wpisywania się istniejących kooperatyw spożywczych do Związku Moskiewskiego i łączenia przez Związek ten agentury czyli hurtowni z [illegible]. Bražaitis jest gorącym zwolennikiem przystąpienia do Związku Moskiewskiego w obecnych warunkach, gdy sądzi, że względy polityczne nie dopuszczają do utworzenia własnego związku krajowego, i pragnął, aby Towarzystwo popierania kooperacji wypowiedziało się w tej kwestii. Wszyscy niemal obecni byli stanowczo przeciw przystąpieniu do Związku, uważając, że to osłabi samodzielność kooperatyw naszych i odwlecze dążenia do własnej organizacji związkowej, jedynej zaś formy [illegible] centralizm [illegible] woli federacyjnej ~~[illegible]~~ [illegible] jak względy natury politycznej, względy na dawne wyjścia w kooperatywach spo-

[illegible]

258.

30 kwietnia / 13 maja. rok 1912. poniedziałek.

Miałem dziś dość przykre przejście w pewnej sprawie sądowej. Występowałem w sprawie wiejskiej Zofii Błażewiczowej, która z swojej obligacji poszukuje 500 rubli od gromady wiejskiej („[illegible]“) wsi Dukojnie na tej podstawie, że gromada przyjęła ziemię nadziałową po dłużniczce, wiejskiej [illegible] Bojarojciowej, zmarłej bezpotomnie, i że przeto stała się wiejska spadkobierczynią zmarłej i odpowiadać musi za jej długi. Sprawa ta toczyła się u powiatowego członka Sądu Okręgowego; otrzymałem ją w zastępstwie od Szajewskiego. Formalnie sprawa stoi mocno i musi być wygrana, ale mam pewne skrupuły sumienia i nie jestem przekonany o czystości moralnej tej sprawy. Skrupułów tych poprzednio nie miałem, bo bliższych szczegółów nie znałem, a coś może być porównanie mniej zawikłanego, niż rejentalny oblig pisany. Tymczasem na sądzie ujawniły się przykre szczegóły. Włościanie, od których żądałem należności z obligu, byli wściekli. Istotnie może się tu im stać krzywda, choć bodaj że stali się oni tu ofiarą własnej chciwości. Nieboszczka Bojarojciowa miała 1½ dziesięciny ziemi nadziałowej w wiosce Dukojniach, była stara i biedna. Ponieważ nie miała spadkobierców, więc wioska rościła sobie prawo do jej ziemi po jej śmierci, jako do ziemi t. zw. „[illegible]“. Baba z tego tytułu wyłudzała sobie datki od włościan, mamiąc ich nadzieją zostawienia im ziemi. Wioska, licząc na wzięcie spadku po babie, przyjmowała się do pewnych obowiązków wspierania jej i karmienia, a po śmierci ją pochowała swoim kosztem i dawała na msze za jej duszę. Tymczasem baba wydała przed śmiercią cichaczem oblig swojej jakiejś krewniaczce Błażewiczowej na rb. 500. Oczywiście tych 500 rb. nie brała wcale, jeno w tej postaci zapłaciła Błażewiczowej za jakiś datek może 10-cio, może 20-rublowy. Dla baby ziemia ta była źródłem spekulacji i narzędziem do żebraniny. Nadzieją zostawienia im ziemi wyłudzała datki od włościan i tą też samą ziemią wyłudziła datek od Błażewiczowej. A że ziemi tej, jako nadziałowej, nie mogła Błażewiczowej ani sprzedać, ani zapisać, więc zaopatrzyła ją obligiem fikcyjnym, ale formalnie mocnym. Po śmierci Bojarojciowej ziemię [illegible] Błażewiczowa, ale gromada wiejska ją stamtąd wyrugowała i ziemię, jako bezpańską [illegible], zagarnęła. Ale tą drogą gromada stała się spadkobierczynią Bojarojciowej, odpowiedzialną za jej długi. I oto wtedy Błażewiczowa wytoczyła do gromady akcję o rb. 500. I teraz gromada odpowiadać musi za dług ten nie tylko jej ziemią po Bojarojciowej, ale całym [illegible] włościan [illegible] dla wyrobienia tych pieniędzy licytować konie, krowy i t. d. włościan; wartość zaś tych 1½ dziesięciny spadkowej [illegible] może tylko w jakiejś 1/5 części odpowiada temu długowi. [illegible] A jeżeli teraz Błażewiczowa zechce skorzystać z wyroku [illegible] całe 500 rb., to [illegible]

1 (14) maja. rok 1912. wtorek.

Zajęty byłem bieżącemi sprawami adwokackiemi. Odwaliłem ich całą kupę przez dzień dzisiejszy, pozałatwiałem rozmaite zaległości w korespondencji z klientami, ułożeniu podań, zaopatrzeniu takowych we wszelkie niezbędne uzupełnienia i t.d.. Słowem – dzień spędziłem pracowicie.

Wieczorem poszedłem do Anny. Głowa mię bolała od południa i nawet obfite dozy fenacetyny, która mi zazwyczaj bardzo na ból głowy pomaga, nie skutkowały. To też miałem zabawić u Anny krótko. Ale taki mam pociąg do Anny, tak mi z nią czas upływa dobrze, tyle wzruszeń doświadczam serdecznych, tak się poddaję temu czarowi miłości, który z niej tryska, że, jak nałogowiec, nie mogę się od niej oderwać i bawię u niej dopóty, dopóki mogę, to znaczy aż gdzieś po północy. Biedną Annę nerwuje to, że ja bywam tak często na rozmaitych zebraniach i posiedzeniach towarzystw, że opuszczam ją wciąż dla takowych, że się nie streszczam cały w tym moim stosunku do niej, że mam cały świat stosunków, prac, zadań, słowem – życia, poza nią. Chciałaby, abym się cały zamknął niepodzielnie w miłości naszej, abym wszystko dla stosunku naszego poświęcił, wszystko inne mu podporządkował. Zazdrosna jest o mnie już nie w stosunku do kobiet tylko, ale w stosunku do wszystkich ludzi, do wszystkich sfer życia mego, które się poza nią i poza miłością naszą wyżerają, w stosunku do świata całego. Burzy się w niej i gotuje ten instynkt miłości, który pragnie i żąda wyłączności, całkowitego oddania się i posiadania. Na tym tle wciąż wybuchają u nas scenki, wciąż Anna mi to wymawia i wciąż się tym gryzie. ~~[illegible]~~ [illegible] takiej to wyłączności i do Anny oddaniu się i posiadaniu, ona zaś od mnie zdobyć takowej nie może, co ją [illegible] pomawia i [illegible]

W tych scenach zazdrości, przypominaniu, Anna jest niezmiernie podobna do [illegible] i tak [illegible] to znosi się, [illegible] w tej [illegible] i ekstazy [illegible] Tu jest [illegible] nie w [illegible] wyłączności, [illegible] w tej [illegible] tylko, w [illegible], w kontakcie [illegible] miłości [illegible]

2 (15) maja. rok 1912. Środa.

Miałem rano sprawę w Zjeździe Sędziów Pokoju. Występowałem od imienia „Consumverein" libawskiego, ~~[illegible]~~ poszukując na p. Konradzie Muszczy drobnej kwoty należności (rb. 98.75) za towar. Sprawa była łatwa do wygrania, to też bez wysiłku i bez wielkiej zasługi mojej ją wygrałem.

Wieczorem spotkałem się z redaktorem białoruskiej „Naszej Niwy" Własowym, z którym poszliśmy na kolację do Hotelu Europejskiego a potem do godz. 3 w nocy spacerowaliśmy, przyglądając się prześlicznemu świtaniu poranku majowego nad brzegiem Wilji. Gawędziliśmy z nim dużo, serdecznie i szczerze, o życiu naszym i o rzeczach osobistych. Jest to człowiek ciekawy, oryginalny, o bogatym życiu psychicznym i misternej organizacji duchowej, którejby się nie można było z pozorów domyślić. Opowiedziałem mu dzieje mego stosunku i małżeństwa z Reginą oraz całą kanwę barwną mych przeżyć od czasu mego pobytu w Taryce aż do chwili obecnej. Mówiłem też o moim obecnym stosunku z Anną, o tej miłości nowej a niezwykle głębokiej, która wypełnia obecnie życie moje, nie wtajemniczając wszakże Własowa w szczegóły przeszłości Anny. Własow mi też opowiadał o sobie. W rozmowie tej dokonaliśmy głębokiej analizy na sobie. Stwierdziliśmy ten fakt niezawodny, że u ludzi takich, jak my, którzy już osiągnęli wieku dojrzałości i którzy tyle przeżyli — nie tak ilością lat, co niepospolitym bogactwem wrażeń, ilością energji i uczuć, zawodów, wiary, dramatów, — miłość ma cechę zupełnie inną, niż u młodzieniaszków. Nas nie zadowolni była panieneczka w pączku młodości, o krasnym liczku i zgrabnej nóżce. Może podnietę fizyczną da nam większą dziewczynka 13-letnia od kobiety dojrzałej, ale miłości w nas obudzić nie zdoła. My ~~[illegible]~~ przez miłość szukamy człowieka, kochamy się w duszy ludzkiej, ~~[illegible]~~ pożądamy doskonałego piękna i doskonałej pełni psychicznej. W Annie mojej kocham właśnie człowieka, kocham tę niepospolitą bogactwo jej duszy tragicznej, która streszcza dla mnie świat cały i daje mi pełnię wizji kontemplacyjnej oraz doskonały wyraz rozwoju wszystkich uczuć ludzkich. Panienki na wydaniu, ubogiej duchem, nieświadomej i niewyrobionej psychicznie pokochać nie zdołam, a gdybym takąż pokochał nawet przez jakieś przypomnienie powrotu do młodości bezpośredniej czyli przez złudę, to szczęśliwy nie będę i wzajemności [illegible] nie zdołam. Natomiast dla takiej, jak Anna, ja właśnie jestem tym mężczyzną, tym człowiekiem rozwiniętym i tragicznym, którego ona pokochać musi. Miłość nasza — to nie flirt, nie zabawa, to fatalizm.

Rano byłem na zebraniu Zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos"; obecni byli wszyscy członkowie Zarządu: Żmujdzinowicz, Żmujdzinowiczowa, Jan Vileišis, Bairys i ja. Przedmiotem obrad naszych były kwestje, związane z otwarciem dorocznej wystawy litewskiej, która już wkrótce, 12 b. m., ma być otwarta. Kłopot mamy z lokalem, którego dotychczas nie zdołaliśmy dla wystawy znaleźć. Eksponatów nadesłanych — dużo; przedmiotów twórczości indywidualnej artystów-litwinów — koło 140, dział sztuki ludowej, jak co roku, ciekawy; w dziale tym główną i najciekawszą pozycję stanowią tkaniny, potem wyroby z drzewa, wyroby garncarskie i t. d. — 3 (16) maja. rok 1912. czwartek.

O godz. 11 byłem w murach franciszkańskich na zebraniu dzielnicowym uczestników „dnia białego kwiatka", który się urządza w Wilnie w nadchodzący wtorek, 8 ~~go~~ b. m. „Dzień białego kwiatka" urządza się na rzecz Ligi do walki z gruźlicą. Jest to pierwsza w Wilnie próba tego rodzaju organizacji zbierania ofiar. Cel bardzo sympatyczny. Zaproponowano mi wziąć udział w sprzedaży tulipanów „białego kwiatka"; przyjąłem propozycję z chęcią i w tym celu poszedłem dziś na zebranie organizacyjne, które się odbyło pod patronatem znanej filantropki wileńskiej, p. Ciundziewickiej. Wyznaczono też pary sprzedających (pan z panią), punkt postoju i godziny. Mnie, jako literatowi, dano za towarzyszkę literatkę, pannę Emmę Jeleńską-Dmochowską. Miejsce wyznaczono dobre, przy rogu prospektu i ul. Sadowej. Z towarzyszki wcale nierad jestem — jest szpetna i trochę głucha. Wstydzę się trochę takiej towarzyszki. Spróbuję namówić Helę Ochenkowską na trzecią do nas.

Po obiedzie poszedłem z Anną na spacer za miasto — do Karolinek nad Wilją za Zwierzyńcem. Wzięliśmy za sobą Ugrysia, który z tygodnia na tydzień rośnie, jak na drożdżach. Pogoda była ładna, choć od czasu do czasu dżdżyło; to nie zmąciło [illegible] o pięknym ciepłym i słonecznym dniu [illegible] wokół. Dotychczas, na szczęście, [illegible] liści [illegible]. Po powrocie ze spaceru wstąpiliśmy obaj do szpitala Wierzbołowskiego. Wypiłem trochę za dużo piwa, [illegible] przy pójściu do mieszkania Anny zachowałem się trochę brutalnie, potem [illegible]

4/17 maja. rok 1912. piątek.

Po wczorajszym nadużyciu alkoholu czułem się przez dzień cały zmęczony i senny. Nie byłem w stanie załatwić interesów, pracować. Głowa odmawiała posłuszeństwa w funkcjonowaniu, ciało domagało się snu. Pod wieczór jakoś trochę raźniej się czułem. Nie mogłem wytrzymać, aby nie zobaczyć się z Anną. Jestem, jak pijak, w stosunku do Anny. Stała się ona wprost nałogiem moim, którego przezwyciężyć nie jestem w stanie. Nie myślę tu wcale o przezwyciężeniu miłości, która jest prawdziwą ozdobą i słońcem życia mego, ale przezwyciężyć nie umiem nawet chęci doraźnej zobaczenia Anny. Spotkałem ją wieczorem na ulicy, wracającą z roboty od Łapkowskiej. Wstąpiliśmy na herbatę do cukierni Jasiowicza, potem przeszliśmy się razem kawałek po mieście i rozeszliśmy się do domów.

Rocznica urodzin moich. Skończyłem lat 32. Nie lubię rocznicy tej, a zwłaszcza nie lubię powinszowań na dzień urodzin. 5 maj! — 5 (18) maja. rok 1912. sobota.

Data ta jest sama przez się sympatyczna dla mnie, bom ją jakoś z lat dawnych pokochał, ale to, co mi ona przynosi, — przybytek lat wieku, — sympatyczne już dziś nie jest. I czegoż tu zresztą ~~[illegible]~~ z tej okazji winszować? Gdyby to mi roku ubyło, to co innego, ale przyrostu, — memento mori, fe!

A zresztą niech tak będzie, nie buntuję się nadaremno, boć przyrost lat odpowiada istotnemu dojrzewaniu i, niestety, przejrzewaniu człowieka. Choć się jeszcze bynajmniej starym nie czuję i choć mam zasób wrażliwości zaiste młodzieńczy, jednak czuję dojrzałość wielką, świadomy jestem brzemienia doświadczeń życiowych i fizycznie wyglądam raczej starzej nad wiek mój, niż młodziej.

Umówiłem się dziś z Helą Ochenkowską, aby mi towarzyszyła we wtorek przy sprzedaży „białego kwiatka.“ Towarzystwo panny Lucyny Jeleńskiej-Dłuskowskiej nie bardzo mi się uśmiechało; choć jest ona bowiem [illegible] i podobno miła (znam ją mało!), jednak tak brzydka i nadto głuchawa, że być z nią wys[illegible] całym czasem i to na jednym z najpiękniejszych punktów Wilna — trochę by mię skompromitowało. Teraz będę z nią i z Helą, piękną, razem wesoło. W takiej trójce już mię panna Lucyna Dłuskowska razić nie będzie i [illegible]

284.

19 maja. rok 1912. niedziela.

Rano mieliśmy posiedzenie Zarządu „Dailės Draugijos", na którym zajęci byliśmy spisywaniem katalogu eksponatów, na otwierającą się za tydzień VI doroczną litewską wystawę sztuki.

Resztę dnia po obiedzie od godz. 2 poświęciłem Aneczce, co stanowi jednocześnie największą rozrywkę i szczęście moje. Przez tydzień cały tęsknię zawsze wraz z Anną do tej niedzieli lub dnia świątecznego, które sobie i dla siebie nawzajem rezerwujemy. Pierwsza część dnia, reszta nam pięknie, ale koniec był chmurny i brzydki. Poszliśmy wpierw z Anną na ul. Niemiecką wybrać jej upięcie do kapelusza letniego. Anna kupiła sobie piękny a olbrzymi rondzie to biały kapelusz słomiany z szerokim kantem czarnym, a do niego projektowała kupić dwie skrzydła barwy zielono-czarnej, otaczające całe pół ronda kapelusza. Chciała wszakże, abym ja też jej wybór potwierdził, to też wstrzymała się z kupnem. Ja zaaprobowałem całkowicie gust Anny. Po powrocie do domu Anna się przebrała pięknie, nałożyła nową czarną spódnicę i stanik sukni popielatej, przerobionej z sukni Maryli [illegible]owej, już to sprawiony świeżo piękny czarny krótki paltocik letni i różowy kapelusz biały ze skrzydłem. Wyglądała ładnie. Poszliśmy z nią przejechać się łódką po Wilji. Dzień był pogodny, słoneczny, ciepły. Przejechaliśmy się z prądem od Cielętnika aż pod Zakręt, skąd pieszo wróciliśmy do miasta. W toku tego zaprojektowałem pójść z Anną na wieczór do teatru w ogrodzie Bernardyńskim, gdzie od 1 maja trupa, zorganizowana przez Orzechowskiego, daje przedstawienia operetki i opery. Dziś jest właśnie „Halka" Moniuszki, której nigdy jeszcze nie słyszałem. Uprzedziłem Annę, że ponieważ w teatrze polskim jest zawsze pełno szlachty ziemiańskiej i krewnych moich, więc musimy nam się zachować ostrożnie, nie zdradzając zbytnio czułości wzajemnej, aby złe języki ludzi złośliwych, lubiących zawsze plotki, nie za-

[illegible]

265.

20 maja. rok 1912. Poniedziałek.

O południu byłem na poświęceniu kamienia węgielnego pod przyszły gmach teatru polskiego, budującego się przy rogu ulic Zankowskiej(?), Wielkiej Pohulanki i nowej uliczki Teatralnej. Teatr jest stawiany przez Towarzystwo komandytowe pod firmą Hipolita Korwin-Milewskiego, Mieczysława Bohdanowicza, Feliksa Zawadzkiego i S-ki. Dotychczas założone są dopiero fundamenta, a całkowite wykończenie gmachu projektowane jest na początek zimy r. 1913. Plac pod budowę wybrany jest, zdaniem moim, nie najlepiej: punkt jest trochę na uboczu, zadaleko od głównych i najruchliwszych arterji miejskich, jakiemi są prospekt Świętojerski i ul. Wielka, następnie niedogodny do dojazdu, bo położony pod górę, wreszcie otoczony gmachami brzydkiemi, które będą wypełniały(?) tło placu teatralnego. Sam gmach teatru, jak sądzić można z projektu, który mieliśmy dziś możność oglądać, będzie ładny. Na uroczystości poświęcenia była szczupła garstka osób, pośród których dostrzegłem następujące znajome osoby: ks. Jasiński (celebrant uroczystości), Hipolit Korwin-Milewski, Mieczysław Bohdanowicz, Feliks Zawadzki, Smugiero(?), inż. Szczerowski(?), Tadeusz Dembowski z żoną, Nina Szczerowska (Falkowska z domu), Szymon Meysztowicz, Ferdynand Ruszczyc, Emilja Węsławska, ks. Cyrawski(?), Napoleon Rouba, Konrad Kuszcza(?), Lolo(?) Gorecki (wnuk Adama Mickiewicza), Jaś Hrehorowicz. Uroczystość była cicha, bez żadnej ostentacji ani przyjęcia. Ks. Jasiński pokropił fundamenta, w węgle zamurowano puszkę z odpowiednim aktem na pergaminie, podpisanym przez obecnych — i koniec. Stałem z Ruszczycem, prowadząc ciekawą rozmowę o architekturze i stosunku t. zw. sztuk stosowanych do t. zw. sztuki czystej. Ciekawą też wypowiedział Ruszczyc o najbliższym pokrewieństwie łączącym dwie gałęzie sztuki, na pozór tak od siebie dalekie i operujące tak odrębnymi środkami oraz działające na odrębne zmysły, — architekturę i muzykę, a to ze względu na ich budowę ściśle logiczną, dającą się niemal do czystej matematyki sprowadzić. Słusznie też zwraca uwagę Ruszczyc na nieuzasadnione całkiem uprzedzenie do t. zw. sztuki stosowanej, uważanej nietylko przez szeroką publiczność, ale i przez większość artystów, za sztukę niższego rzędu. Z przesądem tym Ruszczyc zresztą walczy nietylko słowem, ale i czynem bezpośrednim, oddając talent i pracę swą na zdobnictwo dekoracyjne pod wszelkiemi postaciami (zdobnictwo sal, gmachów, afisze, winiety, okładki do książek i t. p.) i zaniedbując nawet t. zw. wielkie malarstwo płócien, co niektórzy uważają za marnowanie talentu i robią mu z tego zarzut.

Pod wieczór z obu Łuckiewiczami i Własowym poszedłem do dr. Domana(?) na prywatną pogawędkę o wyborach. To, co się od dr. Domana dowiedziałem, nie podobało mi się. Widzę, że żydzi, nawet t. zw. postępowi, opierają wybory całkowicie na zasadzie narodowo-wyznaniowej i w zakresie bloków wyborczych i układów nie przebierają w środkach. Wytworzyli oni (prawica, nacjonaliści i postępowi) wspólny komitet Rafesowski(?) i wchodzą w układy z obszarnikami na zakres 3 guberni (wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej), dając poparcie stale ziemianom i zyskując 3 mandaty dla siebie. Ciekawa, ale [illegible] możliwa, czy spełni się czysta się wytworzona kombinacja wyborcza na gub. kowieńską, jeśli mam wierzyć dr. Domanowi [illegible]

[illegible]

266.

8 (21) maja. rok 1912. wtorek.

Noc spędziłem prawie całą bezsenną. Wczoraj bowiem uściskałem się i pogodziłem serdecznie z Anną po tym tak rażącym głupim zatargu [illegible] na „Halce" i wieczorem pośrednio z nią na kolację do [illegible], a stamtąd wstąpiliśmy do hotelu, gdzie od godz. 1 do godz. 4 rano zabawiliśmy. Tyle że tylko spałem, ile zdrzemnąłem w hotelu przy Annie. O godz. 4 odprowadziłem Annę do niej na Monastyrską i potem 5ta przyszedłem do domu, ale się już spać nie kładłem, bo dzień się zrobił słoneczny, jaskrawy, a miałem artykuł do „Przeglądu" do napisania, a także miałem w perspektywie sprzedaż uliczną „białego kwiatka".

Dzień białego kwiatka! Od rana słońce świeci pięknie, koło południa już skwar dokucza, pierwszy prawdziwy upał w tym roku. Ciekawa to jest obserwacja życia ulicznego, tak słabo rozwiniętego w Wilnie. Jest to dziś dopiero pierwsza w Wilnie próba tego rodzaju święta czy też kwesty ulicznej, tak rozwiniętej w ostatnich latach zagranicą i nawet w innych miastach państwa rosyjskiego, a stosowanej już i w sąsiednim Kownie i [illegible]. Cel szlachetny: — na walkę z gruźlicą! Już między godz. 8 a 9 rano ukazują się na rozmaitych punktach ulic pary i trójki kwestujące, złożone przeważnie z młodego mężczyzny ze skarbonką zapieczętowaną, zawieszoną na przepasce kolorowej przez ramię, i z jednej lub dwóch pań w jasnych lekkich strojach spacerowych z koszyczkiem w ręku, pełnym białych kwiatków sztucznych, naśladujących małgorzatkę żywą. Już ten i ów z przechodniów nosi w butonierce kwiatek, oznakę opłaconego na rzecz walki z gruźlicą datku. Publiczności jeszcze na ulicach mało, wygląd ulic zwykły, ranny. Od godz. 9 już wszystkie posterunki przez kwestujących zajęte. Każdy kwartał ulicy, każdy róg [illegible], a na głównych arteriach, jak prospekt, plac Katedralny, ul. Wielka, ul. Wileńska, Niemiecka, — co krok [illegible] kwestujący z kokardką białą z trzema kwiatkami u góry. Tempo ożywienia ulicznego szybko wzrasta. Ulice się zaludniają, podniecenie [illegible] w tłumie i udziela się zaraźliwie każdemu. Kwestujący, którzy naraz [illegible] się ośmieleni i trochę ospali, szybko się podochocają, nabierają odwagi, sprytu i animuszu i szturmują dzielnie przechodniów. Koło południa ulice są zatopione powodzią tłumu, chodniki na głównych arteriach ruchu wypełnione po brzegi publicznością, która się już przelewa na właściwą brukowaną ulicę. [illegible] tłumu uwijają się roje kwestujących. Wygląd trochę na wzór karnawałów południowych. Tłum [illegible] jak [illegible] Wilno, takie zazwyczaj skupione, [illegible] statyczne w przejawach zewnętrznych, zdobywa się na ekspansywność, wyrzuca ze siebie temperament, na jaki go stać. Od 12ta do 3 ciej należy kolej. [illegible] o godz. 11½ do p. Ciundziewickiej, siedziby organizacji cyrkułowej, po oznaki, skarbonkę, kwiatki. Stamtąd o południu ruszam z towarzyszkami memi p. Cunową Jeleńską-Dmochowską i Helą Ochenkowską na posterunek, który mamy przydzielony w samym kwiecie Wilna przy rogu Świętojerskiej i Tatarskiej przy cukierni Sztralla. Chodzimy zresztą do ul. Wileńskiej i aż do hotelu Żorża, tudzież pod Bank Ziemski. Zaczepiamy przechodniów o kwiatka, ale nie napastujemy, to znaczy nie wmawiamy kwiatka tym, którzy go już mają. Zresztą coraz więcej osób udekorowanych. Niektórzy mają już całe pióro i kapelusz gęsto usiane kwiatkami. Od godz. 12 do 3 samo apogeum ruchu i podniecenia ulicznego. Hela Ochenkowska, pełna życia i zapału, rozkochana w zabawie ulicznej i tej emanacji temperamentu [illegible], która ma w sobie niektóre cechy [illegible] artyzmu, [illegible] ze zgrabnym przegięciem konturów ciała, proporcją, zachętą, zbiera obfite datki. Nie było prawie ludzi, którzy by ani razu kwiatka nie kupili. Takich, którzy nie mając kwiatka, odmawiali kategorycznie kupowania, nie zebrałoby się chyba 0,5% przechodniów. [illegible] z tych chyba żaden nie odmówił sobie kupienia kwiatka; [illegible] dzieci [illegible], ile groszy jakiś miał, a nie miał — to wyprosił za darmo. [illegible] byli [illegible], który [illegible] z [illegible], oraz zbiedzone stare kobiety. Najuboższa ludność miejska, robotnicy, [illegible] — brali kwiatki, a [illegible] nawet [illegible]. [illegible] byli udekorowani, [illegible] policjanci, stróże, subiekci sklepowi, żołnierze, którzy [illegible] bardzo [illegible] kupowali. Inteligencja [illegible] byli [illegible] przez [illegible] kwestujących. [illegible] do tramwajów, cukierni, zatrzymywano dorożki, automobile, rowery. [illegible] zaczęło brakować kwiatków. Kwestujący musieli [illegible] kwiatki jedni u drugich, [illegible] kwiatki [illegible] dla [illegible]. W organizacjach cyrkułowych i w zarządzie centralnym też brakło, to [illegible] lub [illegible] była jakaś [illegible] i pod wieczór sprzedawano już kwiatki [illegible]. [illegible] się wieczór [illegible]. [illegible] z Helą i p. Dmochowską przechodził [illegible] z [illegible] dziewczyny [illegible], które znałem [illegible] w zakładzie [illegible] a która teraz, jak wiem, [illegible] przy ul. Wileńskiej w [illegible] zakładu [illegible], — ładna [illegible] a sympatyczna Łotewka Tamara i żydówka Zenia. Kupiły u nas po kwiatku z oczami [illegible], [illegible] uśmiechnięte a bardzo przyzwoicie wyglądające i skromne. Wieczorem, gdym przechodził po ul. Wileńskiej, ujrzałem te same Zenię i Tamarę z kokardkami, sprzedające kwiatki w towarzystwie cichego nieśmiałego chłopaka lat 20 stu. Tamara podeszła do mnie i z [illegible] uśmiechem zaproponowała mi kwiatek, przypominając, że poprzednio kupiłem takowy u niej. Kupiłem z wielką chęcią, [illegible] wzruszony tym [illegible], że oto [illegible] dziewczyny, [illegible] i [illegible] w rozpuście lupanarowej, zachowały jeszcze, pomimo już lat kilku praktyki, [illegible] szczerości, [illegible] zdolność przeżywania przyjaźni [illegible], — i że [illegible] się [illegible] uczestniczkami święta i zabawy w entuzjastycznej gromadzie ludzkiej, w której się jednostki [illegible] ze sobą w wielkim obcowaniu [illegible] zapału [illegible] jest piękna. [illegible] „Dnia białego kwiatka" [illegible]. Moja siostra [illegible] całkiem [illegible] kwiatkowi [illegible] w [illegible] ulicznej od godz. 8 rano do 5 [illegible] i od 9 wieczór do 11 [illegible].

9 (22) maja. rok 1912. Środa.

O g. 7 rano przyjechałem do Mińska. Tu dowiedziałem się, że Mieczyś Bohdanowicz i Mieczyś Tukałło przyjadą dopiero o godz. 4 popołudniu i że zjazd nasz odbędzie się przeto o godz. 6 wieczorem. Korzystając więc z czasu, zasiadłem w hotelu do wykończenia mego artykułu do „Przeglądu Wileńskiego”, który zacząłem pisać wczoraj w przerwach zabawy „Białego kwiatka”. O godz. 11 wysłałem część pierwszą artykułu pocztą, aby Ludwik Abramowicz oddał ją do drukarni, gdyż artykuł ten jest przeznaczony na wstępny do № bieżącego, który się jutro lub najpóźniej w sobotę ukazać musi. W artykule tym, nawiązując [illegible] do szeregu innych artykułów „Przeglądu” i zwłaszcza do dwóch ciekawych artykułów Zdanowicza-Kuncewicza o ewolucji form własności ziemskiej i ruchu kooperacyjnym, stwierdzam, że dziś w kraju naszym — Litwie i Białej Rusi — ruch ludowy włościański jest nieustępliwie wyrazem postępu społecznego i jednocześnie jest najpilniejszą potrzebą rozwoju krajowego, z stąd wyciągam wnioski o potrzebie odpowiedniego programu ludowego, który musi być oparty na założeniach demokratycznych i krajowych. Uważam istotnie, że kapitalizm zadaniem „Przeglądu” naszego byłoby przygotowanie gruntu do powstania takiego programu przez systematyczne dokonywanie analizy stosunków, potrzeb i kierunku rozwoju krajowego. Dla mnie jest to główna misja „Przeglądu” i mojego w nim udziału. Po wysłaniu pocztą części pierwszej artykułu dokończyłem go w dalszym ciągu jednym tchem.

Z okazji tematu o mojej pracy literackiej, wspomnę tu o pewnym fakcie charakterystycznym, o którym wczoraj napisać nie zdążyłem, bo mi miejsca w dzienniku nie starczyło. Rzecz jest taka. Przed paru tygodniami zwrócił się do mnie p. Zygmunt Turski od imienia redakcji wileńskiego ludowego pisemka „Jutrzenka” („quasi-demokratycznego”, bo całkowicie zależnego od plebanji i dworu) z prośbą o napisanie artykuliku prawno-społecznego o obecnej organizacji sądownictwa wiejskiego (sądy włościańskie gminne, naczelnicy ziemscy, zjazdy powiatowe), o wydziale [illegible] i w związku z tym o nowym projekcie sądownictwa miejscowego, rozważanym obecnie w petersburskich Izbach Ustawodawczych. Zgodziłem się chętnie. I oto wczoraj, gdym sprzedawał na ulicach Wilna „biały kwiatek” z p. Emmą Dwochowską, naczelną kierowniczką „Jutrzenki”, osobą wcale dość postępową, choć zabarwioną endecko, wspomniałem jej o zamiarze pisania tego artykułu. P. Dwochowska potwierdziła prośbę p. Turskiego i dodała jeszcze, że powinienem nie poprzestać na tym jednym artykule, ale i nadal zasilać „Jutrzenkę” pracami popularnemi na tematy prawno-społeczne. Ale dodała, że muszę [illegible] i prosić, abym się zgodził nie podpisywać artykułów moim nazwiskiem, bo [illegible] „Jutrzenka” [illegible] kompromitowałoby i spowodowałoby dla pisma [illegible] na stronę [illegible] pojęcia, — dodała [illegible]

10 (23) maja. Rok 1912. Czwartek.

[illegible] Og. 5 rano byłem już w Wilnie po powrocie z Mińska. Pociągiem południowym wyjechała już z Wilna na lato do Bohdaniszek Mama. Odprowadza ją Maryńka. Zostałem więc w mieszkaniu tylko z Dzieniem [illegible] i Stefusiem i z 2 służącemi, Anusią [illegible] i [illegible] Emilką. Maryni córka Helcia już od dni 10 bawi na wakacjach w Bohdaniszkach. Maryńka tu jednak wróci jeszcze za dni kilka i zabawi do końca maja, kiedy już się skończą egzaminy u Stefusia i Dziunia.

[illegible] Nadmienię tu coś o sprawach wyborczych. Wczoraj, w czasie nieobecności mojej, odbyło się tu zebranie naszego demokratycznego polskiego komitetu wyborczego. Żałuję bardzo, że na dzień ten wypadł właśnie mój wyjazd do Mińska. Sytuacja wyborcza [illegible] układa się dla nas niepomyślnie i zmusza nas [illegible] ewentualnie do zejścia z innej, niż dotąd placówki. Zimą, gdyśmy nasz komitet demokratyczny tworzyli, mogło się zdawać, że możemy mieć w pewnych okolicznościach szanse zwycięstwa. Gdyby bowiem był podział [illegible] prawyborców miejskich na podstawie chrześcijańską i żydowską, to przy walce klerykałów i nacjonalistów polskich z [illegible] nacjonalistami żydowskimi, my w bloku z postępowcami żydowskimi moglibyśmy zdobyć większość. Gdy wszakże teraz wytworzył się blok całej prawicy polskiej z żydami i [illegible] do bloku tego weszli nie tylko żydzi-nacjonaliści, ale i żydzi-postępowcy aż do grania Bundu, i gdy blok ten nie jest li tylko zjawiskiem lokalnym, ale jest systematycznym, politycznym, rozciągniętym na trzy gubernie, to już o jakimś przeciwdziałaniu z naszej strony, uwieńczonym zwycięstwem, mowy być nie może. My tu, odosobnieni, zlokalizowani w Wilnie, nie możemy marzyć o zwycięstwie. W tych warunkach powstają u mnie takie ewentualne projekty co do naszej, to znaczy demokratycznej, roli w zbliżających się wyborach: 1) spróbować rozszerzenia roboty naszej z Wilna na gubernię, [illegible], aby postarać się zmobilizować do wyborów drobną własność ziemską, która zwykle dotąd bardzo biernie się do akcji wyborczej ustosunkowała; celem takiej roboty [illegible] polegałby na tym, aby skład osobisty wyborców z kurji ziemiańskiej w komisji [illegible] wyborczej gubernialnej był o ile możności demokratyczny: obszarnicy i [illegible]. W tym celu należałoby spróbować zwołać poufne zebranie ludzi z powiatów dla wspólnej narady i wyjaśnienia sobie, jakie mogą być szanse takiej akcji. Projektu tego jeszcze w komitecie naszym nie rozwijałem, ale zamierzam go wnieść na najbliższym posiedzeniu takowego. 2) Ponieważ w mieście Wilnie nie mamy szans zwycięstwa, więc musimy wystawić kandydaturę zasadniczą, kandydaturę protestu, nie licząc na wygraną. Ponieważ wszakże cadecy wystawiają już własną kandydaturę również zasadniczą, a 2 kandydatur zasadniczych, demokratycznej i odrębnej cadeckiej, wystawiać nie ma sensu, bo to osłabia jeno siłę protestu, skądinąd zaś w warunkach obecnych nie ma zasadniczej sprzeczności między stanowiskiem i postulatami politycznymi naszymi, t.j. demokratycznymi, a cadeckimi, bo nasza platforma ogólnopolityczna [illegible] określona, daje się [illegible] cadeckiej, więc czy nie należałoby [illegible] i [illegible] się w „komitet dla poparcia kandydatury cadeckiej". [illegible] stanęła na [illegible] „pokrewnym gruncie", z tą jeno różnicą, że postanowiła nie [illegible] za cadekami, ale porozumieć się z nimi co do wspólnej kandydatury opozycyjnej. Następne zebranie nasze — we środę

Wieczorem [illegible] Stefusia z Dziunią w wannie a potem byłem [illegible]

11 (24) maja. rok 1912. piątek.

Pomówiłem dziś z Bagińskim o sytuacji wyborczej w Wilnie i o ewentualnym bloku wyborczym demokratów z esdekami, zaś o poparciu kandydatury esdeckiej przez demokratów. Bagiński ma pokonferować z grupą esdecką i powiedzieć mi we wtorek przed zebraniem naszego komitetu wyborczego, jak się esdecy na ewentualny zespół z nami zapatrują. Zdaje się, że esdecy będą zadowoleni z poparcia naszego; odniosłem takie wrażenie z rozmowy z Bagińskim i Edwardem Sokołowskim. Jeżeli esdecy wystawią kandydaturę mało znanego robotnika, to nasze poparcie i nasza agitacja będą miały małe znaczenie. Jeżeli wystawią inteligenta, to dość znanego i popularnego nazwiska o ustalonych i wyraźnych przekonaniach, można będzie skupić szeregi opozycji i wykonać przy niej demonstracyjną i jaskrawą kampanię agitacyjną. Tak, jak dotychczas stały rzeczy, esdecy uważali — za najpożądańszą dla siebie kandydaturę robotniczą, ale ponieważ nie byli pewni, czy zdołają znaleźć robotnika śród robociarzy, a bo przyjęcie kandydatury wyraźnie esdeckiej mogłoby mieć dla kandydata smutne następstwa represyjne, — więc mają oni w zapasie kandydaturę inteligencką w osobie Bagińskiego, który się na kandydowanie zgadza. Dziś słyszałem wszakże od Edwarda Sokołowskiego, że jednak nie można jeszcze uważać za odrzuconą kandydaturę Tadeusza Wróblewskiego. Podobno w kołach robotniczych jest prąd wyraźny na korzyść Wróblewskiego. Choć osoba Wróblewskiego jest mało sympatyczna, jednak, ze względu na inne, byłaby to ostoja i dla nas kandydatura najlepsza, gdyby się zdecydował przejść pod sztandarem esdeckim.

[illegible]

2/70

12 (25) maja. rok 1912. sobota.

Zaszedł bardzo przykry wypadek z litewską wystawą sztuk pięknych. Dziś właśnie otwarta została VI doroczna wystawa litewska, urządzana przez „Lietuvių Dailės Draugij'ę". Na wystawie tej, śród wielu rozmaitych dzieł tak twórczości indywidualnej artystów-litwinów (malarstwo, rzeźba), jak stosowanej sztuki ludowej (tkaniny, pasy, ręczniki, obrusy, wyroby z drewna i t. d.), ukazała się też rzeźba znanego młodego rzeźbiarza litewskiego Piotra Rymszy, zatytułowana „Walka". Rzeźba przedstawia grupę, złożoną z rycerza na koniu, walczącego z orłem jednogłowym. Orzeł, przywalony do ziemi, ze skrzydłami rozpostartemi, wpił się drapieżnym dziobem w gardziel końską; koń przysiadł z bólu na tylnych nogach, wspina się i przydeptuje przedniemi orła, jeździec zaś z zamachniętym mieczem w ręku gotuje się do zadania ciosu śmiertelnego ptakowi. Grupa ta symbolizuje oczywiście walkę polsko-litewską, walkę Orła z Pogonią. U dołu grupy, jakby dla podkreślenia symbolu, tarcza z herbami Polski i Litwy, z Orłem i Pogonią. Orzeł przedstawiony w postaci napastującego drapieżnika, którego zwycięża wolna rycerska Pogoń. Oczywiście walka jest przesądzona i sympatje artysty są całkowicie po stronie litewskiej. Sam fakt wnoszenia przesądów narodowościowych, tendencji politycznych do sztuki, następnie apoteozowanie walki narodowościowej, bo w rzeźbie tej uwydatnione jest nie wyzwalanie się ludu litewskiego i demokracji litewskiej od szlachty, ale właśnie zatarg narodowościowy, usymbolizowany w postaciach herbowych, wreszcie tendencyjne zohydzenie strony polskiej w osobie Orła, — są same przez się mało sympatyczne. Wystawienie zaś utworu tego w Wilnie, gdzie większość jest polska, gdzie uczucia i sympatje polskie w ogniu prześladowań rosyjskich są żywe i boleśnie drażliwe, jest nietaktem. Wreszcie tu, gdzie zatargi narodowościowe są tak ostre, gdzie każdej iskry niepotrzebnej należy się obawiać [illegible], aby pożar bratobójczy się nie rozgorzał, taki utwór jest zgoła szkodliwy. Toteż wielka szkoda, że „Dailės Draugija", pod której sztandarem rzeźba ta się ukazała a która jest instytucją naukowo-kulturalną i służącą czystym zadaniom rozwijania sztuki ludowej i kształtowania się kultury litewskiej, stała się dzięki tej rzeźbie terenem nowego, i to bardzo bolesnego epizodu walki i nienawiści narodowościowej. Niestety — ja sam należę do zarządu „Dailės Draugijos", i odpowiedzialność za wystawienie tej rzeźby i skutki takowego spada przeto i na mnie. Na ostatniem posiedzeniu zarządu była mowa o tem. Żmujdzinowicz zakomunikował nam o rzeźbie Rymszy, aleśmy jej nie widzieli; mówiono wtedy, że choć w utworze tym można się dopatrzyć walki Orła z Pogonią, jednak chodzić nam powinno tylko o to, czy rzecz ze stanowiska sztuki jest dodatnia czy nie, nie zaś o myśl autora; zresztą rzecz zatytułowana „Walka", co nie wyraża przecie walki polsko-litewskiej; wreszcie uważano, że gdyby nawet pojmować to, jako stosunek walkę polsko-litewską, to przecie takowa istnieje, i wolno artyście brać temat ze zjawisk społecznych i narodowych. Takie argumenta wydały się wówczas przekonywające, dopóki się tej rzeźby nie widziało. Dziś zaś ją dopiero zobaczyłem w szkole wystawowej na krótko przed otwarciem. Nie podobała mi się ona i sprawiła mi niesmak. Ciekaw jestem teraz, jak ją powita publiczność polska i jak się poczuje dotknięta. Przy otwarciu wystawy nie byłem. Zetknięcie rzeźba ta wywołała oburzenie śród publiczności polskiej. Mecenas Jarocki, gorący patrjota-polak, zareagował stanowczo, zwymyślał komitet [illegible] z wyrazami głośnego protestu, ciągną wiary katolicy [illegible] Stymatam(?), [illegible], Świeniecki — byli dotknięci [illegible], że Rymsza wniósł tu sztukę do celów politycznych i szczególności do [illegible] polaków i [illegible] nie [illegible]. Tego dnia spotkałem się na mieście z [illegible] Abramowiczem i z [illegible], którzy obaj byli z powodu tej rzeźby oburzeni tak na Rymszę, jak na „Dailės Draugiję" i mówili, że wystawę tę należy bojkotować. [illegible] [illegible]

13 (26) maja. rok 1912. niedziela.

Wczoraj o północy wyjechaliśmy z Anną z Wilna do Trok na trzy dni Zielonych Świątek. Będą to nasze wakacje we dwójkę, o których marzyliśmy oddawna. Jesteśmy w Trokach we dwoje, odcięci od świata znajomych, wszelakich stosunków i prac, oddani sobie, swobodni. Zamieszkaliśmy w hotelu „Nowotrockim" niejakiego Melikowskiego. Mamy pokoik niewielki z oknami na podwórzy i ogródek, ale nam tu dobrze, bo się czujemy odosobnieni od świata i złączeni ze sobą całkowicie. Wzięliśmy też ze sobą towarzysza naszego, wyjątkowo Anny, Ugrysia, który rośnie jak na drożdżach, jest coraz piękniejszy i rozumniejszy, nabył karności pod kierunkiem Anny i jest do niej bardzo przywiązany. Wstaliśmy koło godz. 8 rano i po spożyciu lekkiego śniadania ruszyliśmy na jezioro na łódkę. Pogoda, ciepło, pięknie. Jest to kwiat wiosny, która, spóźniona w tym roku, namiętnie się teraz rozwija. Drzewa już dobiegają pełni rozwoju liścia, sady osypane ~~[illegible]~~ białym kwieciem jabłoni, grusz i wiśni. Słońce sypie złote promienie ognia, złagodzone wszakże wietrzykiem na jeziorze. Najęliśmy łódź na dzień cały. Ja wiosłuję, Anna mi dyktuje kierunek, Ugryś się kręci na dnie łódki, ~~[illegible]~~ gracuje wszakże i karny. Odwiedziliśmy najpierw wyspę [illegible] z pięknymi a [illegible], tak zaciekawionymi ruinami zamku wielkoksiążęcego, tamżeśmy wypoczęli na łące dziedzińca zamkowego, korzystając z niewielkiego jeszcze o wczesnej porze napływu turystów, wykąpaliśmy Ugrysia, rzucając go kilkakrotnie do wody, że się stał czysty i piękny, łącząc biały włos z czarnym [illegible] w słońcu [illegible] srebrzystym, i koło południa ~~[illegible]~~ wypłynęliśmy dalej na jezioro pod piękny pałacyk Tyszkiewiczowski, leżący [illegible] nad brzegiem jeziora. Wyspa się roi od słowików. Na obiad wróciliśmy do Trok, po wieczór zaś o godz. 6 znowu wypłynęliśmy na jezioro, po przeczekaniu deszczu, który z wieczora przeleciał ponad [illegible]. Popłynęliśmy na jedną z wysp za wyspą zamkową. Byliśmy tam sami, [illegible] bez towarzystwa [illegible] turystów. Odpoczęliśmy tam [illegible], powiedzieliśmy i przeżyliśmy, i [illegible] już, na godz. 11 wróciliśmy do Trok do hotelu naszego.

14 (27) maja. rok 1912. poniedziałek.

Drugi dzień — cudownych wakacji w Trokach. Wstaliśmy z Anną późno. Dopiero koło godz. 12 wyszliśmy z hotelu, bo przeczekać musieli[?] deszcz rzęsisty, który spadł przed południem. Wyszliśmy na miasto i skierowaliśmy się do jeziora. Po drodze kupiliśmy kartofli surowych do pieczenia przy ognisku, chleba, masła, kawał kiełbasy suchej. Słońce znów zabłysło, wiatr na jeziorze ustał. Puściliśmy się w drogę łódką i po jakimś czasie dotarliśmy do pięknej wyspy, położonej dość daleko za wyspą zamkową[?]. Chodziło nam bowiem o miejsce ustronne, dokąd nie dociera zgiełk [redacted] grupy wycieczkowych. Tam obraliśmy ustronne[?] dogodne, naciągaliśmy z lasku gałęzi suchych, rozłożyliśmy ognisko i zaczęliśmy piec kartofle. Co chwila wszakże przebiegały nad nami chmury, kropiąc nas deszczem i psując posiedzenie nasze. Anna się chowała w zarośla, kapelusze i zapasy chowały się pod palto moje. Ugryzł[?] [illegible] i wytarzany w ziemi [illegible] towarzyszył [illegible] zabłoceniem, ja zaś po bohatersku stałem na posterunku, pełniąc funkcje kapłana ogniska. Wkrótce wszakże chmury tak gęsto zaczęły się podnosić, że myśleć należało o ucieczce. Zaledwie kilka kartofli pieczonych spożyłem w pośpiechu, i czym prędzej uciekać musieliśmy, bo już się i Anna zaniepokoiła, trwożąc się o los kapelusza słomkowego i garderoby. Wróciliśmy do Trok. Przy wysiadaniu z łódki deszcz nas złapał ulewny i towarzyszył przez całą drogę do hotelu. Ociekający wodą, brudni, zachlapani, dotarliśmy do domu. Szczęściem[?] Anna ustrzegła się, bo szła w paltocie moim, zarzuconym na ramiona, ale kapelusz słomkowy biały, piękny, o szerokim rondzie i kwiecie ozdobionym, prześliczny [illegible] jednym zmoczeniem. Skurczyło się [illegible] kapelusz zmoczony, [illegible] słomkowy biały na zielono. Byliśmy tą stratą strapieni, ale

[illegible]

15 (28) maja. rok 1912. wtorek.

Trzeci i ostatni dzień w Trokach. Trzydniowe wakacje nasze przeleciały nam z Anną, jak śliczny letni sen, tak piękny i wonny, jak kwiat z bajki fantastycznej, a tak porównawczo krótki, jak mgnienie oka. Wakacje te nie ~~bogate~~ obfitowały w faktów zewnętrznych, ale bogactwem wrażeń wzruszeń swych utrwaliły się nam gorąco i serdecznie w pamięci, budząc żal przy rozstaniu. Wogóle dostrzegłem, że w stosunku naszym z Anną stopień namiętności zmysłowej w ostatnich czasach, z mojej przynajmniej strony a zdaje się, że i u Anny, osłabł w porównaniu do stanu poprzedniego, ale związek uczuciowy, jako ściśle psychiczny, pogłębił się niezrównanie. Dziś pogoda była już mniej bajeczna. Temperatura się oziębiła, deszcz chłodny padał przez pierwszą połowę dnia. Siedzieliśmy z Anną w hotelu, nie wychodząc na miasto i ani myśląc o jeziorze. Mieliśmy roboty dużo, bo trzeba było coś zrobić ze zniszczonym przez deszcz wczorajszy kapeluszem Anny, zaplamionym na zielono. Anna wyprasowała żelazkiem moje odzienie, zmięte po deszczu, potem swój nieszczęsny kapelusz. Wtedy posłała mnie Anna na ulicę po lakier czarny, którym przelakierowaliśmy kapelusz na czarno. Choć przestał on być tak elegancki, jak poprzednio, jednak stał się możliwym przynajmniej. To zajęcie cały czas wypełniło. Pod wieczór posililiśmy się jajami, ogórkami solonymi, serem białym i kakao, i o 6 godz. wieczór wyjechaliśmy z Trok w karecie do Landwarowa i dalej koleją do Wilna, gdzieśmy się z bólem rozstali. Anna tęskni do życia ze mną we dwoje, do zamieszkania razem po małżeńsku. Powiada, że właśnie to jest najpiękniejsza teraz, dopókiśmy młodzi i nie wystygli. Niestety — to jest przedwczesne, dziś jeszcze niewykonalne. Niestety!

Wieczorem pośpieszyłem na zebranie naszego polskiego komitetu demokratycznego wyborczego. Obecni byli Witold Abramowicz, Zasztowt, Klott, Bronisław Krzyżanowski, Eugeniusz Sokołowski i ja (nie stawili się inni: Niewodniczański, Łotoszyński, Osmołowski i Uśnianowicz). Po omówieniu sytuacji uznaliśmy, że powinniśmy nadal działać samodzielnie, nie idąc koniecznie w ogonie endeckim, choć porozumienia z endekami dla solidarnej wspólnej akcji uważalibyśmy za ~~[illegible]~~ pożądane (ja osobiście sięgam nieco dalej i przypuszczam uznanie dla konieczności poparcia endeków). Uznaliśmy, że należy wytężyć wszystkie siły dla pozyskania kandydatury Wróblewskiego, która by nawet dać nam ewentualnie zdołała zwycięstwo. Wydelegowaliśmy Witolda Abramowicza, Zasztowta i Krzyżanowskiego do pertraktacji z Wróblewskim. Wysuwająca się na czoło u przeciwników naszych z t. zw. „Komitetu Centralnego" (~~[illegible]~~ [illegible] endeckiego) kandydatura Bronisława Umiastowskiego wielce by [illegible] nasze Wróblewskiego, [illegible] dlań nawet elementy umiarkowane i wpływ [illegible]. Gdyby się Wróblewskiego pozyskać nie zdołało, co byłoby bardzo wielką stratą, to [illegible] kandydaturę [illegible] bez naszego [illegible]. Na wypadek ewentualnego [illegible] kandydata demokratycznego Krzyżanowski zaproponował [illegible] jakiś [illegible] i [illegible] z [illegible], co [illegible] potwierdzać, potem Abramowicz, [illegible]

16 (29) maja. roku 1912. Środa.

Sprawa nieszczęsnej rzeźby Rymszy p.t. „[redacted] Walka”, wystawionej na wystawie litewskiej, jest wciąż na porządku dziennym i ma przebieg bardzo przykry. Jak pisałem w sobotę, Zarząd „Dailės Draugijos” nie zdołał w pierwszym dniu wystawy znaleźć żadnego wyjścia z tej ciężkiej sytuacji. Wszyscy [redacted] obecni członkowie Zarządu, a obaj Żmujdzinowiczowie, Kairys i ja (Jana Vileišisa nie było w Wilnie), a oraz [redacted] obecni artyści, jak Kalpokas, Wienożyński i zapewne sam Rymsza, — byli w najwyższym stopniu zmartwieni incydentem i żałowali, że rzeźba ta została wystawiona. Ale co było robić i jakie wyjście znaleźć? Czy rzeźbę z wystawy usunąć? Dla Litwinów było to z wielu względów trudne i bodaj niemożliwe do wykonania. Trzeba się bowiem liczyć z psychologią ludzką i specjalnie z zawiłymi względami godności narodowej i t.p. [redacted] Usunięcie rzeźby byłoby jawnym ustępstwem wobec opinii polskiej. Gdyby Polacy szczerze się dotknięci, zachowali się taktownie, Litwini mogliby się prędzej na ustępstwo zdobyli. Ale już pierwszy Jarocki zachował się nietaktownie, wywołując gwałtowną awanturę na wystawie. Dalej wystąpienie „Kurjera Litewskiego” i „Gazety Codziennej”, brutalne w tonie, pełne fałszu, przesiąknięte insynuacją, nawołujące do bojkotu, przemawiające w tonie „gospodarzy” do parobków, musiały stokrotnie zaognić sytuację i jeszcze bardziej utrudnić drogę wyjścia, bo tu już wchodziła w grę godność narodowa litewska, której wobec arogancji i obłudy pp. z „Kurjera” i „Gazety” na szwank narażać Litwini nie mogli. Gdyby tego elementu w zachowaniu się nieprzodujących kół opinji polskiej nie było, to zapewne Zarząd „Dailės Draugijos” mógłby w drodze polubownej rzeźbę, jako obrażającą Polaków, usunąć. Oprócz godności narodowej, której Zarząd sam przez się na szwank narażać nie chciał, trzeba się jeszcze było liczyć z opinią litewską, [redacted] aby jej nie urazić. Sytuacja była bez wyjścia. Jedynym byłoby wyjściem [redacted] wycofanie rzeźby z wystawy przez samego autora Rymszę. W tej ostrej sytuacji bez wyjścia Żmujdzinowicz, chcąc ratować „Dailės Draugiję” oraz dać finał incydentowi, postanowił [redacted] podać się do dymisji z prezesostwa w Towarzystwie w drodze publicznego listu umotywowanego, w którym wyraził, że jako prezes całego zajścia bierze na siebie odpowiedzialność, gdyż nie zdołał ustrzec Towarzystwa od [redacted] wciągnięcia go wbrew jego woli do dziedziny polityki. List Żmujdzinowicza był napisany z godnością i wyraził słuszne oburzenie na prowokacyjne zachowanie się panów z „Kurjera” et tutti quanti. Podanie się wszakże Żmujdzinowicza do dymisji z prezesostwa nie byłoby wystarczającym załatwieniem sprawy. Tymczasem Rymsza, zmartwiony tym wszystkim, nie widząc wyjścia, usłyszawszy przez jednych o wycofaniu rzeźby, przez innych o zachowaniu takowej, poszedł na wystawę z toporkiem i rozbił „Walkę” a potem, zdenerwowany i [redacted] poruszony, zaczął rozbijać inne prace swoje jedną po drugiej, aż [illegible] zatrzymany. Tą drogą oprócz „Walki” rozbił jeszcze dwie rzeźby. „Walka” więc już usunięta, ale sytuacja rozwiązana nie jest. Żmujdzinowiczowi [illegible] podanie się do dymisji, ja też cofnąłem [illegible] mój projekt cichego [illegible] nie się z Zarządu [illegible], że w tej chwili opuszczenie Towarzystwa byłoby zdradą [illegible] przez Piłata. Wyczerpane [illegible] i [illegible] [redacted] [illegible] list Jana Vileišisa [illegible] komunikat od Zarządu [illegible] i [illegible] godności o [illegible] wystarczająco dobre [illegible] intencji i [illegible]

17 (30) maja roku 1912. czwartek.

Sprawa z nażbą Dymszy zaczęła się kończyć. W opinii polskiej tak śród elementów postępowych, jak nawet konserwatywnych, z wyjątkiem endeków, zwrot ku złagodzeniu zajścia. Ludzie ochłonęli z pierwszego impetu wrażenia i zaczynają dostrzegać sytuację we właściwym świetle. Arogancki, pełne pychy i obelg, artykuły „Kurjera" i „Gazety Codziennej" zbudziły niesmak. Ton „gospodarny" miasta, z jakim pisma te zwróciły się do litwinów, urażał polaków, niedotkniętych manją nacjonalizmu, i wydał się conajmniej niestosowny. Ofiarnie nażby przez Dymszę, w którym to fakcie upatruje się bolesny dramat wyrafinowanego artysty, zmusił polaków do ochłonięcia. Opinja coraz bardziej pojmuje, że prowokacji, jak narwał „Kurjer", ze strony litewskiej nie było, jeno conajwyżej był ze strony zarządu „Dailės Draugija" nietakt, — raczej nawet nieopatrzność. Uchwalony przez nas wczoraj komunikat zarządu, taktowny, poważny, który się ukaże w pismach, wyświetli istotną proporcję całego zajścia. Komunikat ten umieszczony będzie w pismach litewskich i w ważniejszym „Przeglądzie". Ludwik Abramowicz da w „Przeglądzie" artykuł wstępny z okazji tej nażby nieszczęsnej. Nie czytałem rękopisu artykułu tego, ale mnie Ludwik zapewnił, że potępiając wystawienie się tej nażby, wstrzyma się od tonu ostrego i raczej zajmie stanowisko kojące, a w każdym razie bojkotu jakiegoś, jak to zrobił „Kurjer", ogłaszać nie będzie.

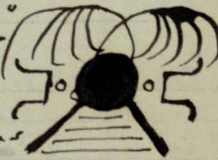

Mój artykuł wstępny w ostatnim Nrze „Przeglądu" — „Społeczne programu ludowego", wywołał zainteresowanie w sferach postępowych. Białorusini z „Naszej Niwy" winszowali mi zajętego stanowiska. Jedni są też artykułem tym zainteresowani i widzą w nim pierwszy głos, ustosunkowujący pozytywnie do przejścia z dziedziny frazesów i ogólników do dziedziny ścisłej programowej i do skonkretyzowania przyszłego radykalnego stronnictwa ludowo-drobnomieszczańskiego. Ze stanowiska proletarjackiego stosują się oni trochę sceptycznie do takiego kierunku, w którym upatrują tendencje drobnomieszczańskie, ale nie mogą zaprzeczyć, gdy się ich do tego przyciśnie, że dziś w naszych społecznych stosunkach krajowych ruch włościańsko-ludowy jest wyrazem postępu społecznego. W każdym razie uważają oni artykuł ten za wypowiedzenie się programowe i silnie się z tym głosem liczą.

Na dziś wyznaczony był zjazd w Wilnie współwłaścicieli Stanowiska i Ananiszek z arbitrażem dla dokonania działów. Pod wieczór zjechali się już wszyscy, ale już przystępować do spisywania aktu było za późno, tymbardziej, że geometra p. Zaleskiej, który dokonał odgraniczenia względem szczegółów, pierwszy dziś nie przyjechał z planem i wykazami szczegółowymi, a prócz tego trzeba jeszcze otrzymać z Wileńskiego Banku Ziemskiego pozwolenie na proporcjonalne rozłożenie długu bankowego na działy poszczególne. Tak więc spisywanie aktu działowego odłożono na jutro, to znaczy na ostatni dzień 2-letniego terminu, udzielonego nam przez Sąd Okręgowy dla dokonania działu polubownego. Za wszystkie jeszcze pewna, ale: „Oto b. Celina Tukałłowa zgłasza przez Mieczysława Tukałło pewne zastrzeżenia. Zdaje się jednak, że zastrzeżenia te dadzą się częściowo uwzględnić, częściowo zaś usunąć, bo inaczej c. Cesia zostałaby winną niedojścia do skutku działu polubownego i byłaby zagrożona stratami.

Z Aniną dziś tylko przez pół godziny w czasie jej odpoczynku obiadowego się widziałem. Nie widziałem się z nią od przedwczoraj, od czasu powrotu z Trok, to też stęskniony byłem i to tymbardziej, że tam wspólny pobyt w Trokach zbliżył nas i zespolił jeszcze bardziej, jeśli to tylko możliwe, i pozostał we wspomnieniu jak obraz słodki i ogniskujący, budzący tęsknotę i pragnienia. Odwiedziłem Aninę, z pracy wracając, i pośpieszyłem kochaną Ugrozię, i posiedziałem jakiś czas z Aniną na spacerku do ogrodu Bernardyńskiego.

Późno wieczorem, a właściwie już w nocy, byłem na kolacji w hotelu Żorża z Własowym, Iwanem i Antonim Buchiewiczami i Edwardem Sokołowskim. Właściwe widowisko przedstawia Narbuttówna, która w lutym, z miłości tragicznej nabrania, strzeliła do Tyszkiewicza Waldemara. Teraz się afiszuje po mieście, jeździ konno, przesiaduje po restauracjach, cała się manifestuje [illegible] pis, jak [illegible] otoczona [illegible] próżniaków i nieponiższych za „złotej młodzieży" takich, jak Mieczysław Tukałło, Bohdan [illegible] czyli „kiermaszowych paniczów", jak ich [illegible] nazywa, którzy wszyscy [illegible] i [illegible] tachający [illegible] rozpróżniaczona [illegible] nerwy.

18 (31) maja. rok 1912. piątek.

Okazuje się, że jeszcze bynajmniej pewności nie ma co do tego, czy sprawę z Neiburgiem można uważać za zakończoną. Dziś ukazał się artykuł wstępny w „Viltis'ie", którego sam nie czytałem, ale o którym już dużo od litwinów słyszałem. Artykuł ten tchnie namiętnym nacjonalizmem i skierowany jest do „Dailės Draugij'i", której się zarzuca uległość względem polaków i brak godności narodowej, jako skutek przyjmowania do towarzystwa (a nawet do zarządu!) polaków i wypływająca stąd konieczność liczenia się na każdym kroku z [redacted] zachciankami aspiracjami polskiemi. Oczywiście że „Viltis" pije też do mnie, uważając mnie za wysłannika sprawy polskiej, za szkodnika, który pod pozorem serdecznej przyjaźni dla litwinów wciska się do kół i towarzystw litewskich, aby prowadzić w nich krecią robotę i [redacted] fałszować litewski rozwój narodowy. Taką opinię o mnie „Viltis" w roku zeszłym zupełnie jawnie wyraziło w artykule Kubiliusa. „Viltis", celujące w ciasnocie nacjonalistycznej, nie jest w stanie pojąć [redacted] społecznego stanowiska krajowego, które uważa za fałszywe, i chciałoby odgrodzić litwinów murem chińskim od reszty społeczeństwa. W tym wypadku z „Dailės Draugij'ą" artykuł [redacted] „Viltis'a" jest podobno tylko wstępem do odpowiedniej kampanii, którą rozpocząć zamierzają nacjonaliści, a która skierowana ma być bądź do odpowiedniego zreformowania Towarzystwa w kierunku narodowym przez [redacted] wyrugowanie zeń elementu polskiego i zapewne wogóle elementu demokratycznego z zarządu [redacted] (bo obecnie zarząd składa się z samych demokratów), bądź do rozbicia obecnego Towarzystwa i założenia nowego o cechach już „ściśle" litewskich. W kampanii tej „viltisowcy" chcą się oprzeć na księżach, których Żmujdzinowicz zwerbował nieopatrznie w wielkiej ilości na członków. Zobaczymy, co z tego będzie i czy kampania taka się uda. Czy pozyskają też nacjonaliści artystów dla siebie, bo przecież bez nich Towarzystwo artystyczne, najbardziej nacjonalistycznie usposobione, funkcjonować nie zdoła. Ale w każdym razie sytuacja jest dziś dla Towarzystwa groźna, a wojowniczo usposobiony nacjonalizm litewski jest siłą rosnącą, która dużo zdziałać potrafi.

Dziś zakończony wreszcie został dział Staryszek i Maryszków. Od godz. 4 popołudniu do godz. 2 w nocy zajęci byliśmy układaniem tekstu aktu działowego u rejenta Sokołowa. Do godz. 9 wieczorem biedni arbitrowie, [redacted] Święcicki, Ulrichowski i Korwin Korowski, których fatygi w tej sprawie nie oszczędziliśmy zaiste, [redacted] wysiedzieli cierpliwie, ale pogodzić ostatecznie wszystkich sprzeczności apetytów, wybuchających jeszcze w chwili ostatniej. Wreszcie wszystko ułożone zostało, arbitrowie odjechali, a my [redacted] długo jeszcze tkwili po kancelarii rejenta, rachując między sobą i czekając na wpisanie aktu do księgi rejentalnej; wreszcie o godz. 12 w nocy akt podpisany został przez Mieczysia Tołłoczko, mnie, Ludwisia Wołodkowicza, Mieczysia Tukałło, jako plenipotenta c. Zosi, Tarasa Wołodkowicza, jako plenipotenta c. Dziuni, i Grzegorzewskiego, jako plenipotenta c. Lusi. Rejent Sokołow, jego pomocnik Jurewicz i cała kancelaria pracowali do godz. 2 w nocy, tak też rachunek wypadł słony. Wyznaczyliśmy do dnia zatwierdzenia naszego przez sąd [redacted] dla dokonania działu zaległego termin 2-letni. Wreszcie wolni jesteśmy i cali. Ja osobiście rad jestem z mej schedy, która jest najpiękniejszą ze wszystkich: choć jest mała, bo wynosi tylko 1/7 całości Maryszków, ale mi los najładniejszy.

Józef Święcicki prosił mnie dziś o przyjęcie na siebie funkcji opiekuna Henrysia Wołłowicza. W zasadzie się zgodziłem.

19 maja / 1 czerwca.

Wieczór spędziłem z Anną. ~~Pojechaliśmy~~ Korzystając z ładnej pogody, wzięliśmy rok 1912. ze sobą Ugrynię i poszliśmy na spa- sobota. -cer, wpierw do ogrodu Bernardyńskiego a stamtąd na Autokol do restauracji pływającej na kolację. Opowiadałem Annie szczegółowo o całej sprawie z nazbą Żymary (?). Anna słyszała już o tym w pracowni Łapkowskiej i sama mię zainteresowała o szczegóły sprawy. Była zażalona nawet, żem sam jej wpierw tego nie opowiedział, i wyrzucała mi, że nie traktuję jej jako towarzyszki i powiernicy myśli moich i zamało ją wtajemniczam w sprawy społeczne, które moje życie wypełniają. Ten szpetny żargon niemiecki, którym się z Anną w rozmowie posługujemy a który obojga kaleczymy, bo ani Anna ani ja nie umiemy dobrze po niemiecku, utrudnia nam porozumiewanie się, zwłaszcza w dziedzinie tematów bardziej oderwanych. Kiedyż to się już Anna nauczy mówić po polsku! Z pewnym przeto mozołem zdałem Annie szczegółowo sprawę z całego tego zajścia. Ciekaw byłem, jakie będzie jej zdanie stanowcze, do którego wagę przywiązuję, bo Anna jest tą osobą bezstronną, nie uprzedzoną ani na rzecz Polaków, ani na rzecz Litwinów, w dodatku jest wrażliwą na krzywdę, ma wyczucie i subtelnie rozwinięty zmysł sprawiedliwości społecznej, jest samodzielną (?) w sądzie i reaguje na zjawiska w rzeczywistości (?) bezpośrednio. Anna się wypowiedziała całkowicie po stronie litewskiej, upatrując w zachowaniu się „Kuryera” obłudę i arogancję; także wypowiedziała się po stronie litewskiej demokracji, ale nie nacjonalizmu.

278.

20 maja.
2 czerwca.
rok 1912.
niedziela.

Przeczytałem w „Przeglądzie Wileńskim" artykuły, dotyczące sprawy groźby bojkotu. Jest tam artykuł wstępny Ludwika Abramowicza, artykulik pojednawczy i gorący młodej panienki Moksiewiczówny, wreszcie nasz komunikat od Zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos". Naogół, choć w artykule wstępnym Ludwika jest stanowcze potępienie tak groźby bojkotu, jak faktu wystawienia takowej, stanowisko „Przeglądu" jest względnie umiarkowane. Mowa jest tam li tylko o lekkomyślności Zarządu, ale ton jest pojednawczy, jest stanowcze odrzucenie zarzutów prowokacji, nawoływania do bojkotu, wogóle tych wstrętnych oszczerczych i obłudnych haseł „Kurjera" i „Gazety Codziennej", którymi rozniecić probowano nienawiść do Litwinów.
Przyjechał do Wilna Papa i był u nas rano i na obiedzie. Ja zresztą, poza herbatą ranną i obiadem, nie byłem, jak zazwyczaj w niedzielę, wcale w domu, bo wszak to nasz dzień z Anną. Rano poszedłem do niej i wybrałem się z nią na Antokol do Šaulysa, do którego interes miałem. Anna posiedziała w ogródku, nim się ja z Šaulysem rozmówiłem. Zaangażowałem go do stałego prowadzenia w „Przeglądzie Wileńskim" działu z życia litewskiego i z prasy litewskiej, bo Michał Biržiška, który dotychczas dział ten prowadził, na okres wakacyjny z powodu braku czasu się zrzekł tej czynności.
Po obiedzie pojechaliśmy z Anną parostatkiem do Werek. Wzięliśmy ze sobą Ugrysia, który jest obecnie stałym towarzyszem naszym we wszystkich wycieczkach. W Werkach spacerowaliśmy po lesie i potem, wracając, błądziliśmy trochę. Wycieczka udała się dobrze, pogoda nam sprzyjała, zapach cudowny wypełniał powietrze, bzy kwitną. Wracając ze spaceru leśnego posprzeczaliśmy się z Anną. Ja się z okazji jakiegoś powiedzenia Anny rozgniewałem, Anna się nadąsała i zacięła w uporze, jak to w jej naturze bywa, i potem przez czas jakiś ani rusz do ładu dojść nie mogli. Skończywszy atoli z dąsów, przeszliśmy po pogodzeniu się w taką rzewną słodycz miłości, że się nasze serca stopiły, a Annie łzy rozczulenia i cichego żalu do siebie za dąsy poprzednie spływały po policzkach. Po powrocie do Wilna poszliśmy do restauracji Wiszkowskiego na kolację. Anna pić nie chciała, ale ją zaciągnąłem i namówiłem, a wtedy zjedliśmy i pili bez flaszki. Byliśmy podchmieleni wesoło. Annę na Monastyrską odprowadziłem. Anna mię do swego pokoju wpuściła przez okno i chciała, abym u niej pozostał do wczesnego ranka, dopóki wszyscy śpią w mieszkaniu i nas nie dojrzą.

21 maja / 3 czerwca. rok 1912.

Raniutko, koło godz. 5, zbudziła mię Anna, nakazując wstać, ubrać się i wyjść. Była to pierwsza próba przenocowania powiedziałek w jej pokoju, która wszakże (przedwcześnie) ~~[illegible]~~ nie udała, bo rano dom się budził i obecność moja zostałaby niechybnie spostrzeżona, kompromitując Annę. Ubrałem się więc szybko i wyskoczyłem przez okno do ogrodu. Za mną wyszła Anna, która się też ubrała, i piesek Ugryś. Ostrożnie przeszliśmy z ogrodu przez dziedziniec do bramy, w której furtka już była otwarta. Spostrzegł nas idących tylko jakiś jeden staruszek, który się nam uważnie przyglądał, ale to nas nie wzruszyło, bo staruszek ten nic o nas wiedzieć nie może. Poszliśmy z Anną na dworzec kolejowy, gdzie wypiliśmy kawy i wody selcerskiej. Głowa po niewyspaniu i po libacji wczorajszej tętniła mi chaosem; byłem do niczego. Anna też zmęczona i słaba. Z dworca o godz. 6½ poszliśmy po Zawalnej i Trockiej; przy rogu Trockiej i Wileńskiej rozstaliśmy się: Anna poszła do siebie na Monastyrską, ja do siebie — na Wileńską. Przez cały dzień czułem się słaby i na poły chory ze zmęczenia; nie byłem w stanie pracować; spałem jeno trochę rano i pisałem listy. Mało też wychodziłem na miasto, wieczór spędziłem w domu i przed północą jeszcze się do łóżka położyłem.

22 maja.
4 czerwca.
rok 1912.
wtorek.

Przez dzień cały przygotowywałem się do pisania artykułu do „Przeglądu Wileńskiego”; to znaczy ~~—~~ właściwie szukałem momentu stosownego do napisania takowego. Artykuł ten już od zeszłego tygodnia dojrzał całkowicie w myśli mojej, więc praca już właściwie nie ~~[illegible]~~ czekała mię ciężka: chodziło nie o stworzenie ~~[illegible]~~ myśli, jeno o zredagowanie na piśmie tego, co w myśli stworzone już było. Ale się jakoś zwlekałem i odwlekałem pracę z godziny na godzinę. Wreszcie koło godz. 6 zabrałem się do pisania, ale po naszkicowaniu początku znów odłożyłem robotę do wieczora, chcąc ją wykonać u Anny. Treść tego zamierzonego artykułu ma być następująca: na przykładzie polemiki „Kurjera Litewskiego” z białoruską „Naszą Niwą” wykazać rozprzężenie charakterne w etyce i w metodach polemicznych prasy naszej (a zwłaszcza wykazać nadużywanie haseł i sztandarów narodowych), i wyciągnąć z tego asumpt do uzasadnienia potrzeby utworzenia w Wilnie Wileńskiego Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, zbudowanego na sekcjach narodowych. Wieczorem u Anny znów się położyłem pracować: wieczór był tak piękny, ogród z zapachem bzu kwitnącego, uczył ~~[illegible]~~ przez okno otwarte, Anna była prześliczna, — do pracy się nie chciało myśleć. Wyszedłem z Anną do ogrodu, potym wróciliśmy do jej pokoju, gdzie do godz. 1 w nocy zabawiłem.

Opowiadał mi dziś Ludwik Abramowicz, że w sobotę na zebraniu t. zw. „szubrawców” u Wróblewskiego obecni (przeważnie starzy filistry, impotentnie postępowe lub narodowo-klerykalne) napadli na niego za ostatnie artykuły w „Przeglądzie” z powodu nieszczęsnej niby Szymony. A zdawałoby się przecie, że artykuł Abramowicza p.t. „Orzeł i Pogoń”, jakkolwiek pojednawczy w stosunku do Litwinów, dawał przecie satysfakcję uczuciom polskim, piętnując wystąpienia niby Szymony i nawet zarzuty upatrując w szeibie tej tendencji. Ale [illegible] zaspokoić mogą jeno bezwzględne [illegible] litewskich [illegible], co za przebłata, [illegible] w szeregach prawowiernych [illegible] narodowych, zaciętości [illegible] się tam: dr. Wirsolin (niby postępowiec), ks. Cyrewski, endecy Bronisław Umiastowski i legionista Römer

23 maja / 5 czerwca. rok 1912. Środa.

Umarła ś.p. ciocia Celina Tukałłowa. Koło południa otrzymałem od c. Zosi z Warszawy depeszę, zawiadamiającą o tej śmierci. Cioci Cesi w sobotę robiono w Warszawie w klinice operację: wycinano jej macicę, dotkniętą „złośliwym polipem" — był to zapewne rak, jeno doktorowie nie chcieli zastraszać rodziny. W zeszłym roku robiono już c. Cesi jakieś małe cięcie, potem ciocia spędziła zimę zagranicą i, wracając przed kilku tygodniami, zawadziła się w Berlinie u lekarzy, którzy nakazali natychmiast drugą operację. Ciocia, po powrocie do Warszawy, ~~[illegible]~~ odkładała umyślnie operację do czasu zakończenia naszego działu Stanynek i Mamytów, przeczuwając śmierć i nie chcąc nam swą śmiercią w dziale przeszkodzić. Pod tym względem szczęśliwie się stało, że śmierć cioci nastąpiła po dziale, bo inaczej znów byłaby zwłoka. Trzeba zaś takiego trafu, że śmierć ta nastąpiła w kilka dni dopiero po dziale. Ciocia zresztą świadomie czekała na zakończenie działu i przez to przedłużyła sobie trochę życie, bo gdyby nie odkładała operacji, byłaby zapewne umarła wcześniej. Spadek po c. Cesi składa się z folwarku Pereskorki, który ciocia właśnie świeżo w dziale otrzymała, i z kilkudziesięciu tysięcy kapitału. Ponieważ c. Cesia jest bezdzietna, więc spadkobiercą urzędowym jedynym jest po niej wuj Ignacy Tukałło, jako brat rodzony. Ale jak słychać, ciocia Cesia zapisała testamentem kapitał wszystkim siostrom, a więc w 1/4 części i Mamie, Perechorki zaś w jakiś sposób ~~[illegible]~~ (bodaj że w drodze ustnego polecenia wujowi) przekazała młodszemu synowi cioci Zosi, Janowi Tukałło. Ale to tylko tak mówią. Jak jest — zobaczymy. Pogrzeb cioci Cesi w sobotę w Warszawie. Papa, który bawił w Wilnie, dziś wieczorem już na pogrzeb wyjechał. Mama depeszowała do nas z Bohdaniszek, ~~[illegible]~~ prosząc, abyśmy też z Marynią oboje na pogrzeb pojechali. Marynia nie pojedzie, ale ja pojadę.

Od południa do godz. 5-6 wieczorem pisałem mój artykuł do „Przeglądu", o którym wczoraj w dzienniku wspomniałem. Artykuł udał się, zdaje się, nieźle, choć jest bodaj nieco za długi. Pod wieczór zaniosłem go Ludwikowi Abramowiczowi, bo już wielka pora dać go do składania.

Wieczorem byłem u Anny. Chodziłem z nią godzinkę w ogrodzie. Zaproponowałem Anni, aby się wybrała ze mną do Warszawy, korzystając z mojej jazdy na pogrzeb cioci. Anna ucieszyła się serdecznie z perspektywy tej wycieczki.

24 maja.
6 czerwca.
rok 1912.
czwartek.

Korzystając ze święta Bożego Ciała i zwolnienia wobec tego Anny od pracy, większą część dnia z nią spędziłem. Pogoda cudna, upał, wiosna w najpełniejszym rozkwicie, natura ~~w chwili~~ dobiega do chwili przesilenia swego. Dzień i czas cudowny, kiedy się nie chce siedzieć w domu, kiedy wszelka praca niesłychanie nudzi i męczy. Jeżeli pracować w czas taki, to tylko twórczo, ale broń Boże nie mechanicznie: właśnie wszystkie są w stanie wytężenia i porządają emanacji twórczej. Wiosna jest u szczytu, potęga rozrostu i płodności święci w naturze orgje bachusowe. Nadewszystko zaś się nie chce siedzieć w mieście, wśród zaduchu i swędu wyziewów rynsztokowych, # smrodliwego kurzu uliczek, murów rozpalonych w słońcu i t.d.. Niestety jednak, — nie mogłem sobie na zupełne świętkowanie pozwolić. Urzędowego bowiem święta dziś niema, instytucje publiczne funkcjonują, a że jutro na jakiś tydzień z Wilna wyjeżdżam, przeto miałem kupę interesów pilnych, niepodlegających zwłoce, załatwić. Do obiadu Anna mi towarzyszyła we wszystkich zajęciach moich. Byliśmy w rejestrze, w Sądzie Okręgowym, u sędziego pokoju. W drodze gawędziliśmy, w instytucjach zaś Anna czekała cierpliwie, podczas gdy ja załatwiałem interesa. Zwiedziliśmy też razem wystawę litewską, która się Annie bardzo podobała; zwłaszcza się podobały pejzaże pędzla Żmujdzinowicza i Varnasa, które istotnie w twórczości artystów litewskich są niepospolicie piękne i górują nad kompozycjami fantazji. Jeden Čiurlionis z litwinów był geniuszem w dziedzinie ~~kompozycji~~ wizji natchnionych, inni, próbując iść jego torami, nie osiągają wyraźnych pozytywów artyzmu. W odtwarzaniu natury natomiast są litwini niezrównani: nie są li tylko odtwórcami, kopistami rzeczy widzianych, ale poprostu stwarzają, stylizują naturę rylcem duszy litewskiej. Wystawa litewska jest istotnie piękna i wskroś oryginalna. Moja Anna ma dużo szczerego zmysłu artystycznego, to też zwiedzanie z nią wystawy podwaja przyjemność kontemplacji, bo przy wzajemnej wymianie spostrzeżeń i wrażeń oboje z Anną intensywniej czujemy piękno. Jaka w tej kobiecie dusza bogata, co za wspaniały materjał ludzki! Tacy ludzie, jak Anna, nie rodzą się tysiącami. Są to perły rzadkie w łonie ludzkości; posiadanie jednej z tych pereł jest dla mnie szczęściem, które ofiarą całego życia okupić powinienem i pragnę.

Po obiedzie znów byłem u Anny [illegible]

25 maja.
7 czerwca.
rok 1912.
piątek.

Raniutko o godz. 4 wstaliśmy z Maryńką, aby jechać do Trok. Na dziś wyznaczona jest majówka adwokacka; korzystając z takowej, zaproponowałem Maryńce, aby się rano wybrała ze mną do Trok, których nie zna a które poznać pragnie, z tym, że po obejrzeniu takowych ze mną wróci sobie koło południa do Wilna, ja zaś zostanę i połączę się z adwokatami, którzy w tym czasie nadjadą. Wyjechaliśmy pociągiem o godz. 5 rano. W Trokach zwiedziliśmy kaplicę grobową żołnierzy w kościele, potym pojechaliśmy na jezioro. Obejrzeliśmy szczegółowo ruiny zamku na wyspie, przepływaliśmy jeszcze dużo łódką po jeziorze w prześlicznej pogodzie słonecznej bez najlżejszego wiatru, i po godz. 10 wylądowaliśmy. Zastaliśmy na brzegu adwokatów Janulaitisa i Carika, którzy pierwsi rowerami przybyli. Maryńka odjechała do Wilna, a my zaś we troje popłynęliśmy w dół łodzią na jezioro, hen daleko, szukając między wyspami dogodnego miejsca dla kąpieli. Dopiero gdzieś na przeciwległych brzegach jeziora znaleźliśmy takowe. Kąpiel była znakomita, woda z wierzchu ciepła i dopiero w głębszych pokładach ostra i zimna. Po kąpieli wodnej wzięliśmy jeszcze słoneczną, płynąc przez czas długi łodzią [redacted] nadoły. Wstąpiliśmy na wyspę zamkową, stamtąd do Trok, ale nigdzie nie zastaliśmy reszty towarzystwa adwokackiego, które już powinno było przyjechać. Była godzina 2, i chciało się nam jeść po wiosłowaniu na upale i po kąpieli. Wstąpiliśmy więc do hoteliku i kazaliśmy sobie podać mleka, piwa, jaj, bułki i ogórków solonych. Gdyśmy tę przekąskę spożywali, ujrzeliśmy na ulicy fury, naładowane adwokaturą, jadące z Landwarowa. Dokończyliśmy śniadania i pospieszyliśmy za nimi [redacted] na wyspę zamkową. Na majówce obecni byli adwokaci: Zmaczyński, Wygodzki, Rubanowicz, Bądzkiewicz, Kulwieć, Bagiński, Julian Kontkowski, Leon Sumorok, Janulaitis, Carik, Buszhowski, Zimont, Łapin młodszy, Burhardt, Goldman, Wyszyński, Jundziłł, Naruszewicz, Iwanowski, Skinder oraz kilku innych. Na wyspie nad brzegiem jeziora zaczęto się kąpać, raczyć wódką, piwem i przekąskami. Ja osobiście mały w tym udział brałem, bo byłem bardzo znużony z niewyspania (spałem tej nocy ledwie 2 1/2 godziny), upałem i ciągłym przez cały niemal dzień wiosłowaniem. Piłem mało, w dowcipach się nie wysilałem i tęskniłem do [redacted] samotności z Anną, której tak jestem zawsze spragniony, jak ryba wody. Odjechałem wkrótce samotnie na daleką wyspę, tam się wykąpałem powtórnie, wróciłem do Trok i wsiadłem do Landwarowa najętym fajetonem starozakonnym — na kolej. Czekałem pociągu na Warszawę, który mi miał przywieźć Annę. Umówiłem się z nią tak bowiem, że się tu spotkamy i pojedziemy razem — do Warszawy, dokąd jadę na pogrzeb ś.p. Cesi Tukałłowej. O godz. 9 przyszedł pociąg, a w nim Anna. Po krótkiej sprzeczce i szczebiocie, które są u nas zjawiskiem zwykłym przy każdej okazji, usnęliśmy z Anną na twardych ławach III klasy.

[illegible]

184

26 maja.
8 czerwca.
rok 1912.
sobota.

Rano przyjechaliśmy z Anną do Warszawy. Na wstępie zaszła drobna rzecz, przykra wielce i zawsze boleśnie przez moją biedną Annę odczuwana. Oto tym samym pociągiem, którym jechaliśmy z Anną, przyjechał też do Warszawy Mieczyś Bohdanowicz. Na dworcu kolejowym w Warszawie Mieczyś nas zobaczył. Nie zna on Anny osobiście, ale zna z widzenia, bo kilkakrotnie ją w moim towarzystwie widział. To też Mieczyś przyglądał się Annie bacznie i, ze zwykłą mu arogancją, szedł za nią krok w krok do dorożki, pokrywając ciekawość swą rozmową o śmierci i pogrzebie c. Cesi i o dziale naszym. Widoczne było, że Mieczysiowi chodzi tylko o zaspokojenie swej ciekawości, iście babskiej, aby sprawdzić, jak się zachowamy z Anną i czy razem pojedziemy. Od Mieczysia usiedliśmy z Anną do dorożki i pojechaliśmy. Dla Anny momenty takie są dotkliwie bolesne: rozumie, że znajomi moi i krewni, jak Mieczyś, traktują ją jako rozpustnicę, jako, co najwyżej, kochankę moją, i ja zaś, który ją kocham, nie daję sankcji stosunkowi naszemu, ukrywam takowy przed ludźmi, wstydząc się go i obniżając Annę w oczach ludzkich istotnie do poziomu kochanki, choć ją niby za żonę mą uważam. Dla kobiety kochającej i dumnej, jak Anna, jest to upokorzenie, które się w pewnych chwilach równa policzkowi. Niestety — dopóki żyją rodzice moi, nie mogę w inny sposób stosunku mego z Anną utrzymać, bo primo byłby to cios zbyt srogi dla Mamy, wobec jej charakteru, poglądów, stanu zdrowia etc., zabójczy, secundo zaś wywołałby to ze strony całej rodziny mojej i zwłaszcza Papy taką presję na mnie, taki nacisk szalony w dziedzinie najdotkliwszej, materjalnej, że niewątpliwie nie tylko na teraz zostałbym całkowicie wyzuty z dochodów, ale i pozbawiony spadku ojcowskiego, co byłoby dla nas i Anny przyszłości [illegible] dotkliwym ciosem. Związek mój z Anną uważam za wieczysty, za małżeństwo stałe, i nie chcę [illegible] go od czegokolwiek [illegible] i [illegible]. I kocham Annę i chcę być z nią uczciwym. Gdy zyskam zupełną swobodę materjalną po śmierci rodziców czy w inny sposób, wówczas bez względu na konsekwencje stosunek mój małżeński z Anną ujawnię i dam mu sankcję całkowitą. Jest to nie tylko mój dług wdzięczności i uczciwości dla Anny, ale i nakaz wewnętrzny miłości mojej. Te wszystkie względy i okoliczności są prawdziwe i nie służą mi bynajmniej tylko za parawanik dla usprawiedliwienia postępowania mego wobec mego własnego sumienia. Ale nie można się oczywiście dziwić, jeżeli biedna Anna w chwilach strapień i zwątpień cierpi boleśnie z powodu tak nieuregulowanego stosunku. Gdyby mnie nie kochała, to mogłaby się świadomie zadowolnić rolą kochanki, zwłaszcza po bolesnych przejściach jej ostatniej przeszłości. Ale miłość zmienia kapitalnie psychologię kobiety. Sytuacja obecna bywa chwilami dla Anny nieznośna, upokarzająca, jak to dziś wobec Mieczysia miało miejsce, bywa też boleśnie niepokojąca na przyszłość. Miłość pragnie praw swych pełnych, niezłomności pożycia i pozorów nawet — choćby. [illegible] miłość dumnej, swobodnej Anny. Ten pierwszy moment na bruku warszawskim był zwiastunem dalszych powikłań w stosunku naszym dnia dzisiejszego.

Z hotelu poszliśmy z Anną pod kościół t. zw. Górny Zbawiciela, skąd po nabożeństwie żałobnym miano wywieźć ciało ś. p. cioci Cesi Tukałłowej na cmentarz Powązkowski. Anna stała w kościele na uboczu, aby nie być dostrzeżoną przez uczestników uroczystości pogrzebowej, zwłaszcza Bohdanowiczów. Na pogrzebie z rodziny obecni byli: ciocia Zosia Tukałłowa z dziećmi Mieczysiem, Januszem, Zulą i Niunią, c. Masia Bohdanowiczowa, Mieczyś Bohdanowicz z żoną, Papa, wuj Ignaś Tukałło, Żorik Wołodkowicz, Walery Tukałło i szereg osób z rodziny Tukałłów, których osobiście nie znam.

Po pogrzebie i wizycie urzędowej u Włodzimierzostwa Römerów, u których Papa na czas pobytu w Warszawie zamieszkał, spędziłem resztę dnia z Anną. Oprowadzałem ją po Warszawie, woziłem dorożką, automobilem i tramwajem elektrycznym, zachodziłem do cukierni i wieczorem do ogródka Bagateli. Ale harmonji i dobrego zespołu między nami nie było. Przedewszystkiem na nastroju Anny ciążył przygnębiający epizod ranny na dworcu z Mieczysiem Bohdanowiczem. Drugiem źródłem rozdźwięku był stosunek Anny do Warszawy a raczej przez pryzmat Warszawy do tego, co jej się we mnie obcego wydało. Anna [illegible] zawsze o dworze naszym szlacheckim a w pojęciu jej Polska i polacy są przesiąknięci kulturą właśnie szlachecką; Anna zaś z charakteru chłopka a z całego temperamentu i układu psychicznego miłośniczka swobody, nienawidzi szlachty i kultury szlacheckiej, w której dostrzega symbolizację niewoli i ucisku ludu; jako Łotewka [illegible] to jeszcze intensywniej, [illegible] czym innym. Swoim zapatrywaniom o przekonaniach i ideałach demokratycznych [illegible], [illegible] ją za polaczkowatość, gorzej zaś za katolicko-szlacheckie. O [illegible] pochwały dla Warszawy Anna tłumaczy sobie, jako tendencyjne, zdradzające moje istotne sympatje dla kultury szlacheckiej.

20 maja.
2 czerwca.
rok 1912.
niedziela.

Cały dzień spędziłem z Anną. Jeno od godz. 2½ do 5 popołudniu ją opuściłem, bo musiałem być w tym czasie na obiedzie u Włodzimierzostwa Zösów a potym u c. Józi Tukałłowej dla poinformowania się dokładnego o testamencie ś.p. cioci Cesi. Pogodziliśmy się z Anną po sprzeczkach i dąsach dnia wczorajszego. Wszelako do obiadu nie mogłem się pozbyć przykrego wrażenia nieporozumień wczorajszych i nie byłem w stanie odzyskać swobody humoru. Chodziliśmy z Anną po mieście, jeździliśmy automobilem, zwiedziliśmy piękny park Łazienkowski. Pod wieczór zato humory się nam poprawiły. Anna się już zupełnie z Warszawą pogodziła, podobała jej się szczerze, i nie próbuje już jej poniżać. Istotnie Warszawa, zwłaszcza zaś Aleje Ujazdowskie, wyglądają w tej porze roku uroczo: mnóstwo zieleni, natury, ożywienie olbrzymie, ludzie strojni; wielkomiejskie cechy Warszawy uwydatniają się w najpiękniejszej swej postaci. Wieczorem byliśmy znów z Anną, jak wczoraj, w ogródku Bagateli, ale tym razem byliśmy zupełnie sobie oddani, weseli, serdeczni. Spotkałem tam moich dawnych znajomych i przyjaciół paryskich, kolegę Leona Altera i dr. Fedorowicza, z którymi przez chwilkę pogawędziłem. Tak się cieszymy z Anną z naszej wycieczki warszawskiej i z odzyskanych humorów, że postanowiliśmy przedłużyć tu pobyt choć o noc jedną i wyjechać zamiast dziś o północy — jutro o godz. 10 rano.

Co do testamentu c. Cesi Tukałłowej, to kapitał (± 160000 rb.) zapisała w ten sposób: tysięcy trzydzieści kilka na legaty (T-stwu pań im. św. Wincentego à Paulo, Muzeum Przemysłu i Rolnictwa i Kasie im. Mianowskiego [redacted] — pierwszym tysięcy 15, dwom [redacted] ostatnim po tysięcy 8), oraz kilka legatów drobniejszych); resztę kapitału (± tysięcy 120) w równych [redacted] udziałach na 8 części dla osób następujących: dla moich siostr Elwiry Mieczkowskiej i Maryni Römerowej, dla czworga dzieci c. Józi Tukałłowej i dwojga dzieci siostry Mieczkowskiej Cioci. Elwira więc i Marynia mieć będą ze spadku tego [redacted] każda po jakieś tysięcy 15. Ciekaw jestem, jak się zachowa Marynia, która głosiła zawsze, że nie uważa się za uprawnioną do skorzystania ze spadku, nawet w linii bocznej po ciotkach, z wyłączeniem [redacted] reszty rodzeństwa. Zapewne wobec brzęczącej gotówki w kieszeni zapomni o głoszonych niedawno maksymach i [illegible] zapis ten przyjmie. Uważam, że postąpi słusznie, zwłaszcza ze względu na dzieci, ale przecież było tak zawsze hałasować contra temu.

286.

28 maja. / 10 czerwca.
rok 1912.
poniedziałek.

Cały dzień upłynął na podróży z Warszawy do Wilna. Ale podróż ta była wesoła, miła, jak rzadko. Nietylko że się nam nie sprzykrzyła, ale gdyby można było, tobyśmy ją chętnie w nieskończoność przedłużyli. Wyjechaliśmy z Anną z Warszawy o godz. 10 rano. Jechaliśmy sobie skromnie III klasą. Humory nam służyły świetnie. Byliśmy rozbawieni, swawolni, jak dwoje pacholąt. Patrzaliśmy przez okno, żartowaliśmy, śmieliśmy się o byle co do rozpuku. Tłomaczyłem Annie z „Kurjera Porannego" na nasz żargon niemiecki całą litanję wydanej dnia wczorajszego, co nam służyło wszystkiem do kapitalnego śmiechu z powodu zabawnych qui pro quo w wyrażeniach niemieckich, poglądowych opisywaniu rzeczy, których przetłumaczyć nie umiałem, i t. d. Ubawiliśmy się znakomicie. Chwilami, gdy wychodziłem do korytarza dla wypalenia papierosa a Anna zostawała w wagonie, spoglądaliśmy na siebie wychyleni z okien poprzez ruchomą przestrzeń [illegible] ciętą pędem pociągu: porozumiewaliśmy się śmiechem, znakami, gestami zabawnemi; rozbawiona, roześmiana twarz Anny, ozdobiona krótkim słomianym kapeluszem – panamą moim, przypiętym do włosów, w którym jej prześlicznie do twarzy, smagana wichrem pędu, błyskotliwa jakaś, świecąca prześlicznym kołem białych zębów w rozchylonych śmiechem wargach, wyglądała cudownie, jak złote wcielenie życia i snów o szczęściu. Później, gdzieś za Białymstokiem, za Grodnem, — uspokoiliśmy się. Spoważnieliśmy obaj i potym znów Annę jakiś nastrój nerwowy, jak się to u niej często zdarza, ogarnął, bo oto niespodzianie wzięła gorąco do serca drobiazg, który w zabawie był zupełnie bezmyślnie przeraźliwie [illegible] odpowiedziany. Zeszliśmy z nią w „łapki" i ja po grze tej ~~[illegible]~~ zażartowałem z Anny, że ma łapy, jak u niedźwiedzia. U biednej Anny, włościanki rodowitej, ręce są istotnie niezgrabne, ciężkie, duże, kościste. Biedaczka wie o tym i wstydzi się często rąk swoich, żałuje, że niema dłoni wypieszczonej, subtelnej. W istocie mnie to nic nie razi: kocham te jej ręce córki ludu, takie, jakie są, rzetelnej pracowitej kobiety, nie ujmujące krasy jej wyrazu ani tych innych prześlicznego stworzenia jej duszy głębokiej, subtelnie-wrażliwej i mądrej. Ale powiedzenie moje, choć w żartobliwym nastroju wyrażone, było niedelikatne i obeszło Annę. Nagle się zasmuciła i zaczęła, nie chcąc słyszeć

29 maja.
11 czerwca.
rok 1912.
wtorek.

Choć w pociągu spałem przez całą drogę z Wilna do Radoszkowic, — a jechałem klasą I, bo w II miejsca nie było, — jednak po przybyciu do Radoszkowic koło godz. 6 rano czułem się zmęczony. Widocznie to upał i duszność w wagonie sprawiają zmęczenie. Najętą furmanką pojechałem koło południa do wsi Trusewicz, gdzie zalokowany jest mój leśnik Biesiekierski. Ponieważ Biesiekierski zajmuje 2 pokoje, więc w jednym z nich ja się zalokowałem. Biesiekierski sprowadził już swą żonę z dzieckiem. Biesiekierska młoda niebrzydka kobieta, włościanka-białorusinka rodem, z nad granicy powiatów dziśnieńskiego i [illegible]; pochodzi z ojca prawosławnego i matki-katoliczki, chrzczona była w obrządku prawosławnym i dopiero po r. 1905 przyjęła katolicyzm. Po polsku mówi z typową z litewska gwarą pogranicza białorusko-litewskiego. Po spożyciu posiłku z jaj sadzonych ze słoniną, poszedłem z Biesiekierskim obejść poraz pierwszy granicę, wytkniętą między moją schedą a [illegible] Ludwisia Wołodkowicza. Granica jest dla mnie bardzo pomyślna. Otrzymałem parę pięknych trzeciek i trzy miniaturowe skrawki poletek, wynoszące razem niewięcej ponad dziesięcinę pod lasem № XVIII. Reszta — czysty las. Przyjąłem od Biesiekierskiego raport o bieżących sprawach i potrzebach. Już się ujawniła pierwsza kradzież leśna, co prawda bagatelna, i natychmiast wykryta. Przyjąłem kilku interesantów-włościan, umówiłem się z gospodarzami wsi Trusewicze o paszę bydła wiejskiego w lesie, wreszcie sprowadziłem przez Biesiekierskiego cieślę, z którym się umówiłem o budowie chaty (leśniczówki) na schedzie mojej. Cieśla wszakże zaproponował taką cenę szaloną, że dalsze pertraktacje przerwałem. Postawienie własnego domku i przeniesienie tam leśnika uważam za rzecz pilną. Miejsce pod domek obrałem mile. Zamierzam nazwać ~~—~~ całą moją posiadłość — Wiązowica, stylizując z białoruska nazwę płynącego ~~...~~ w niej źródełka ruczaju — Wiązówka. Zmęczony, o 9-tej spać poszedłem.

30 maja / 12 czerwca. rok 1912. Środa.

Chodziłem znów z Biesiekierskim po lesie, przyjmowałem interesantów-włościan. Przychodził ten chłopak ze wsi Łowcewicz, który ukradł z lasu mego kilka sztuk młodych brzózek. Przychodził się godzić. Żal mi go było serdecznie, bo rozumiem, że ściął brzózki dla własnej jeno potrzeby pilnej; kupić ciężko i niewygodnie, dużo czasu zużyć trzeba na wyszukanie, skąd kupić, a tu pod bokiem las piękny, w którym i znaku nie będzie po skradzeniu. I wziął zresztą nie całe zrąbane brzózki, jeno kawałki te, które mu były potrzebne. A w umyśle włościanina wszelka własność łączy się ściśle z pracą; ziemia jest dla niego własnością tylko o tyle, o ile jest warsztatem pracy; ~~[illegible]~~ własności ziemi, jako ~~[illegible]~~ kapitalistycznego środka produkcji, nie pojmuje; i o ile tę pierwszą, uznaną przezeń własność szanuje i kradzież takowej uważa za zło, za zbrodnię, o tyle tę własność ziemi drugą, kapitalistyczną, uważa za gwałt, za niesprawiedliwy przywilej społeczny. Tymbardziej za nieprawną uważa własność lasów i innych swobodnych tworów natury, niewytworzonych ręką ludzką, gdy takowe zawłaszczone należą do pana, to znaczy do pasożyta. Z tą też psychologią musiałem się liczyć u chłopaka tego rzetelnie. Niestety — własność ma swoją logikę. Z tytułu właściciela musiałem żądać odszkodowania: „[illegible] — [illegible]", powiada mądre przysłowie ~~[illegible]~~ rosyjskie. Choć wartość tych brzózek skradzionych minimalna a wina chłopaka tego, ta nędzna zbrodnia jego, ze stanowiska jego psychiki żadna, jednak musiałem się w obronie własności oprzeć nie na jego, lecz na urzędowej i upaństwowionej psychice prawnej, i żądać odpowiedniej kwoty odszkodowania, przewyższającej wartość straty i stanowiącej jeno właściciela karę. Przykre to było przejście. Pogodziłem się z nim na 2½ rublach.

Wieczorem umówiłem się z Czesiem [illegible] do [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] — [illegible] 500 [illegible] [illegible]

31 maja / 13 czerwca. rok 1912. czwartek.

Wstałem o świcie, o godz. 3 rano. Przed godz. 4 wyjechałem z Trusewicz na kolej do Jadoszkowicz, gdzie koło 7 1/2 stanąłem. O godz. 1 byłem już w Wilnie. Zaniosłem zaraz Annie, bawiącej u siebie na obiedzie, skórkę lisią, którą wczoraj dla niej od włościanina Nowika w Trusewiczach kupiłem. Skórka duża, bardzo pięknie wysuszona. Anna była szczerze ucieszona z tego nabytku; zrobi sobie piękną futrzaną mufkę z całego lisa na zimę. Wieczór od godz. 8–12 też u Anny spędziłem.

Dowiedziałem się od Edwarda Sokołowskiego, że w sprawach wyborczych zaszły poważne zmiany. Blok obszarników polskich z żydami zerwany został. Polacy bowiem uzależniają blok od układów na gub. kowieńską. Bez pozyskania gub. kowieńskiej (drugiego mandatu polskiego) nie dają nic żydom w Wilnie. Litwini zaś (bez [illegible]), których żydzi starali się pozyskać do układu kowieńskiego ~~z~~ z obszarnikami, odmówili kategorycznie ustąpienia chociażby jednego mandatu litewskiego. Że zaś żydzi nie chcą też rezygnować ze swojego, już posiadanego mandatu kowieńskiego i że się nie decydują na koalicję z litwinami na rzecz obszarników, więc obszarnicy-polacy w Kowieńskiem nic zyskać nie mogą, a zatem nie chcą nic dawać żydom w Wilnie i już prawdopodobnie wystawiają kandydatury w mieście Wilnie z pierwszej kurji [illegible] Umiastowskiego i z drugiej kurji powtórnie X. Maciejewicza. Dla klerykalno-konserwatywnej akcji kandydatura Maciejewicza jest [illegible].

1/(14) czerwca. rok 1912. piątek.

Większą część dnia zużyłem na interesa prawnicze. Wieczorem poszedłem do Anny, z którą poszliśmy na kolację do kawiarni Sztrala w ogrodzie Bernardyńskim. Lato już się czuje, sezon ogórkowy. Miasto się wyludnia po troszę i staje się nudne. W mieszkaniu naszym w Wilnie jest jeszcze oprócz mnie Marylka, która już w poniedziałek do Kołdanowa wyjeżdża — wtedy zostanę tu sam. Anna moja też na wylocie. Jutro ma ostatni dzień pracy u Łapkowskiej i otrzymuje urlop letni. Ma zabawić jeszcze ze 2 tygodnie w Wilnie, spędzając tę resztę czasu prawie wyłącznie ze mną, a wtedy ma wyjechać na jakiś miesiąc do Libawy do domu swego, to znaczy do starej matki i siostry.

2/15 czerwca.
rok 1912.
sobota.

Maryńka dziś zahulała: całą noc nie była w domu; z wieczora poszła do teatru na operetkę z Mieczysiem Tukałło, wróciła zaś o godz. 8 rano. Posądzałem już wczoraj, że po teatrze nie zechce wracać do domu i da się ~~[illegible]~~ Mieczysiowi namówić, jak przypuszczałem, do Szumana. Jest bowiem w Maryńce, wbrew pozorom, żyłka hulaszcza. Młoda jeszcze kobieta, lat 34-ech, w pełni rozwoju a już w przededniu uwiędu, pożąda radości życia; od lat przeszło 10 nie żyje z mężem, a ~~[illegible]~~ natura dopomina się praw swoich; na tym gruncie w każdej kobiecie gra temperament, budzą się namiętności. Jest to takie w swoim rodzaju dramat, bo nieraz to musi kosztować stłumienie pożądań naturalnych kobiety. Biedna Maryńka, jak może, się tłumi i bierze w karby. Jej gorączkowa czynność, latanie za sprawunkami, które zewsząd przez wszystkich krewnych i znajomych ze wsi się nasyłają, przejęcie się sprawami filantropji, ciąganie się po znajomych, pasja pisania listów i t.p., to płynie z tego źródła niezaspokojonych tęsknot i pragnień kobiety dojrzałej. Wszystko to robi ona gorączkowo, oddaje się z całą bezwzględnością, smakując w tych czynnościach drobiazgowych instynktownie upuszczenie temperamentu, zmylenia natury. Wypełnia we życie biedaczka surrogatem, gdy inaczej nie może. Walczy skutecznie, ale ciężko. Żal mi jej szczerze. Zacna to i dobra dusza, a biedna. Mieczyś Tukałło, który już przez nadmiar użycia jest zblazowany i lubuje się w subtelnych podnietach kontemplowania gry namiętności, wyczuwa w Maryńce tę walkę wewnętrzną i bawi się nią. Raz już chciał ją po teatrze do Szumana zaprowadzić, ale się oparła. Wczoraj, korzystając z tego, że się nie opiera, tymbardziej, że i chwila jest ku temu, mając dzieci z mamą w domu [illegible], a tu już i ostatnie dnia pobytu w Wilnie przed wyjazdem na wieś. U Szumana wszakże nie była Maryńka. Pozwoliła sobie tylko [illegible] kolację w hotelu Bristol, zafundowaną przez Mieczysia, z [illegible]. Na kolacji siedziała do 3-ej w nocy, a potem, wstydząc się wracać tak późno do domu, poszła do biednej chorej kobiety, którą się opiekuje i [illegible] do [illegible] rano.

3 (16) czerwca. rok 1912. niedziela.

Noc spędziłem z Anną w hotelu Wersalu. Dzień także cały prawie razem. 2 razy tylko w ciągu dnia opuściłem Annę i oba razy spotkała mię przykrość.

Pierwszej przykrości doznałem, gdym o godz. 11 poszedłem do p. Żmujdzinowiczowej dla spisywania rachunków „Dailės Draugijos“. Wziąłem do rąk dla przejrzenia „Kurjer Litewski“ i natrafiłem tam zaraz na artykuł wstępny Hłaski, będący repliką na mój artykuł w „Przeglądzie Wileńskim“ z zeszłego tygodnia. W artykule moim na przykładzie polemiki, która się przed paru tygodniami toczyła między „Kurjerem“ a białoruską „Naszą Niwą“, uwydatniłem potrzebę założenia Wileńskiego Towarzystwa literatów i dziennikarzy, które prócz funkcji organizacji zawodowej miałoby wydział dla spraw etyki literackiej i wydział specjalny dla spraw narodowościowych; towarzystwo takie byłoby zorganizowane w postaci związku autonomicznych sekcji narodowościowych. Otóż Hłasko obrusza się na mnie za to, że śmiałem krytykować jego polemikę z „Naszą Niwą“, wytacza znów cały proces zarzutów do „Naszej Niwy“, mnie zaś odsądza od prawomyślności(?) narodowej i stara się przedstawić bądź jako fanatyka „partyjnego“ (niewiadomo jakiej partii), bądź jako osobnika lubiącego się wieczyście litościć i [illegible] akceptującego z góry wszelkie zarzuty, które ktoś do jego narodu skieruje, natomiast pobłażliwego dzieciństwa(?) dla obcych. Polemika p. Hłaski składa się przeważnie z drwinków(?) osobistych i insynuacji. W stosunku do mego projektu Towarzystwa literatów i dziennikarzy Hłasko stosuje tę samą metodę krytyki: nie argumentuje rzeczowo, jeno parodiuje mój projekt i w tej postaci go bagatelizuje i wyśmiewa. Wszystko to mię oburza, bo choć przywykłem oddawna do napaści publicznych w prasie, jednak odczuwam je zawsze mocno. Zresztą — rzecz dziwna — boli mię nie sama napaść, jeno ból i smutek, który sprawi ona biednemu Papie. Tą tym bardziej razi [illegible] taktyką napaści, i to stanowi dla mnie punkt najdrażliwszy.

Wieczorem spotkała mię przykrość inna, — znacznie poważniejsza. Oto po powrocie do domu zastałem list od Papy. Byłem już pod przykrym wrażeniem artykułu Hłaski i prócz tego niejako w przeczuciu: Anna mi opowiadała swój sen wczorajszy, w którym [illegible] mieliśmy nogi związane, co ma zwiastować, że doznamy przykrości z jej powodu. I oto istotnie. Do Papy doszły wieści o moim stosunku z Anną i oczywiście w postaci przesadnej. Papa pisze, że się pokazuję na spacerach i w teatrze w towarzystwie dziewczyny wyzwolonej z domu publicznego, wyrzuca mi „nowe grzesznictwo“, zgorszenie dla przyzwoitych i pomiatanie opinią publiczną i smuci się srodze. Nie dziwię się, że Papa w ten sposób na rzecz tę patrzy, a gdyby zeszedł nawet więcej o miłości naszej, nie zmieniłby zdania. Ciężko to i boleśnie [illegible]; droga cierpień otwiera się [illegible]

4 (17) czerwca roku 1912. poniedziałek.

Dzień był smutny i przykry. W faktach zewnętrznych nic przykrego nie zaszło, [illegible] jeno wewnętrznie było mi strasznie ciężko na sercu. Byłem przygnębiony wczorajszym listem Papy; ogarnął mię rodzaj stanu odrętwienia fatalistycznego, który ogarniać musi ~~mie~~ zwierzęta, idące do jatek na rzeź, jeżeli mają świadomość sytuacji i są w stanie myśleć: wiedzą, co się stać musi, i wiedzą, że są niewinne a jednak tak będzie, jak być musi: wina ich bowiem jest ta, że są zwierzętami tuczonymi i pożądanymi na mięso dla człowieka, a tego zmienić i usunąć nie mogą. Tak samo też ja: wiem, że mój stosunek do Anny w żadnym razie aprobaty zyskać nie może i będzie źródłem potępienia dla mnie; wiem, że to jest konieczność nieubłagana, której zmienić nie mogę, nie wyrzekając się Anny, wyrzec się zaś jej nie mogę, bo ją kocham i bo, z moich zasad, z mojej wiary — mam słuszność zupełną i prosty obowiązek uczciwości po temu.

Przez cały dzień byłem przygnębiony i nic mię z tego stanu wyrwać nie zdołało. Prawie cały dzień z Anną spędziłem. Panna Marynka wyjechała do Bohdaniszek i ja po pożegnaniu jej poszedłem do Anny na Monastyrską. Od dziś Anna przestała już pracować u Łapkowskiej — ma wakacje letnie. Na obiad poszliśmy z Anną razem — do Nitkowskiego. Anna poznała mój stan przygnębienia i tak się domagała wyznania prawdy, żem jej musiał o liście Papy powiedzieć. Zasmuciła się szczera biedaczka.

Wieczorem pisałem u Anny artykuł do „Przeglądu Wileńskiego”, poniekąd w odpowiedzi na wczorajszy artykuł Hłaski w „Kurjerze”; rozwijam w nim dalej potrzebę oraz podstawy organizacyjne zaprojektowanego przeze mnie Wileńskiego Towarzystwa [illegible] i dziecińców kasy. Praca nad artykułem szła mi jednak ciężko, bo pod wpływem przygnębienia nie miałem niezbędnej swobody myśli i werwy. Przygnębienie wyraża się u mnie zwykle w postaci senności i strasznej jałowej pustki, która zalega ~~w~~ umysł, serce i wolę.

[illegible]

294.

5 (18) czerwca
rok 1912.
Wtorek.

Dziś już przygnębienie moje, spowodowane listem Pappy, jest o wiele słabsze; wpłynęła na to pogoda słoneczna, która wywiera na mnie w ogóle zawsze wpływ olbrzymi. Rano, gdym był na wystawie litewskiej dla przyjęcia rachunku i pieniędzy z kasy wystawowej, spotkałem tam i zapoznałem się z p. Kirkorową z Krakowa, wdową po publicyście i literacie Adamie Kirkorze. Jest ona z Litwy rodem, ale mieszka stale w Krakowie. Zwiedzała wystawę litewską z wielkim zainteresowaniem i gorącą sympatją oraz uznaniem dla wysiłków kulturalnych odradzającej się Litwy narodowej. Miło było widzieć u polki tyle gorącej i szczerej odczucia sympatji dla ciężkiego wysiłku litwinów. Niestety – objawy sympatji takiej są niezmiernie rzadkie. Miłość, wzgarda (?) i frazes o [illegible] z powoływaniem się na dziejowe więzy unji tkwią się w olbrzymiej większości ogółu polaków naszych w stosunku do litwinów z głęboką niechęcią i nienawiścią nawet do ich ruchu odrodzeniowego. „Miłość" jest tylko dla tych litwinów, którzy się za polaków uważają lub przyznają zachowania uległości względem Polski. Litwini zaś, jako naród osobny, samodzielny, są znienawidzeni. Ta nienawiść, ta lituanofobja uczuciowa, szerzy się w ostatnich leciech stronnictwa (?). Można spotkać często o wiele większą wyrozumiałość dla litwinów u polaków odrzuconych, niż u tych polaków krajowych, którzy są przecie tą krwią i kulturą bliscy litwinom, stanowiąc wprost tegoż społeczeństwa, tegoż ludu. Ciekawym wszakże objawem są trwające quand même w pewnych sferach czy raczej jednostkach ze szlachty, spolonizowanych kulturalnie, głębokie aspiracje pokrewieństwa z ludem litewskim i poczucia plemiennej i narodowej odrębności od Polski. Jednym z wyrazów takich aspiracji, będących zresztą tylko nastrojami uczuciowymi, był opublikowany w „Kurjerze" przedwczorajszym list do redakcji p. M. Römerowej (Michałowej) z Oziaran powiatu Nowogródzkiego, Downeykówny z domu), protestujący gorąco przeciwko nazwaniu przez „Kurjer" Wilna miastem polskiem i zaznaczającej wyraźnie odrębność od Polski i jedność narodową litwinów bez względu na język używany domowy. Dla mnie niespodzianką było to wystąpienie Michałowej Römerowej z Oziaran, której o takie aspiracje nie posądzałem. Ten nastrój jest u pewnych jednostek ze szlachty upośledzony (?) dziś jeszcze; tymczasem jest tylko nastrojem, ale sądzę, że z czasem wykrystalizuje się w określony świadomy kierunek narodowo-polityczny i odegra rolę w dalszym kształtowaniu się stosunków krajowych. Zastanawiałem się w dalszym ciągu u Anny nad artykułem o potrzebie utworzenia towarzystwa literatów i dziennikarzy, ale dziś mi ta robota oporna, jak z kamienia; nie zdobywam

6 (19) czerwca. rok 1912. Środa.

Dziś znowu dzień smutny. Miałem wciąż w myśli list Papy i ciężką sytuację, która wcześniej czy później nas z Anną prawdopodobnie czeka. Ale miłość, która nas łączy, jest taką ostoją, taką piękną treścią wypełnia życie, że doprawdy żadne cierpienia i ciężary zewnętrzne nie przemogą siły szczęścia, które ona daje. Ona mi słodzi samotność, ona mi daje tętnie- ~~co~~ zrównaną pełnię życia uczuciowego, które doprawdy potęguje stokrotnie radość, barwność i głębię ~~[illegible]~~ bytu. Wdzięczny jestem Anni serdecznie i mam dla niej obowiązki, które uważam za święte.

„Jawnogrzesznictwo", „zgorszenie dla młodych", „pomiatanie opinją publiczną" — powiada Papa. Prawdy istotnej, tej miłości stosunku naszego, Papa nie zna. Gdyby zresztą znał nawet, to jestem pewny, że nie dobrałby określeń poważniejszych dla stosunku naszego. „Pomiatanie opinją publiczną", tą opinją obłudną, opinją świętoszków, która się rozsiadła w poczuciu doskonałości własnej, jak pani jaka, która się czołga przed siłą uznaną i brutalną, toleruje wszelką rozpustę i hańbę, byle gdzieś się kryła po kątach, a dostrzega i rozdmuchuje wszelką skazę u człowieka słabego, i rzuci bez wahania potępienie na to, co jest szczere, głębokie i prawdziwe, jeżeli to się tylko przed nią nie płaszczy i nie mieści w formułkach uświęconej obłudy! Papa jest człowiekiem prostym i szczerym, który bierze obłudę opinji świętoszków za monetę rzetelną, ale w gruncie co za ogromisko przewrotności i zepsucia w takich wskazaniach opinji! Być u Szumana, kupować dziewki, nurzać się w wyuzdanej rozpuście, lupanary zwiedzać, — to się toleruje i ostatecznie byle cicho, uchodzi. Ale ci sami, którzy na to pozwalają sobie i innym, będą się gorszyli i potępiali, gdy się kocha uczciwie i prosto i jawnie dziewczynę, która się z tej ohydy ich zabaw rozpustnych wyrwała, dziewczynę, której nie znają, której duszy nie widzą i wyzyskać ją chcą, a którą, jako towar rozpusty, każdy z nich by kupił chętnie.

Tłumaczyć to wszystko Papie, podejmować walkę przedwcześnie, — nie uważam za dobre ani dla Anki ani dla Anny. Napisałem więc do Papy, zaprzeczając pogłoskom, które do jego wiadomości doszły, że nawet stosunek mój z Anną ostatecznie się wyjaśnił, ale przyznam, że to jest ona, ta, którą z [illegible] uratowałem.

Pociągiem nocnym wyjechałem z Wilna na Bohdanowicze do mego lasu Mamyłowskiego, który odtąd Wiażowiczami nazywać ~~będę~~ zamierzam. Na kolej odprowadziła mnie Anna.

7 (20) czerwca rok 1912. czwartek.

O godz. 5 z minutami rano przyjechałem do Radoszkowicz. Na stacji zastałem konie Kazia Wołodkowicza z Chełmnicy przysłane po mnie. Miałem bowiem zamiar pojechać do Kazia i pisałem mu o tym, ale furmany mi powiedział, że Kazio wyjechał do Wilna. Żałowałem, bo chciałem się od niego dowiedzieć o cenach miejscowych na las przy sprzedaży detalicznej właścicielom. Nie znając cen tych, muszę je zgadywać na ślepo i oczywiście ze stratą. To też wstrzymuję się tymczasem ze sprzedażą, ale wobec wielkiej potrzeby włościan i naglenia muszę po trochę to tu, to owo z lasu sprzedać.
Wobec tego pojechałem na Radoszkowicze do Trusewicz. Po drodze z miasteczka Radoszkowicz zboczyłem o parę wiorst traktem wileńskim do folwarczku Migówka należącego do redaktora „Naszej Niwy" Własowa. Sądziłem, że go tam zastanę, ale się zawiodłem.
Przed południem przyjechałem do wsi Trusewicz. Po spożyciu śniadania z jaj sadzonych na słoninie, sera i miodu, zdrzemnąłem się nieco. Potym przeszedłem się po lesie, obliczyłem mniej więcej ilość pni sosnowych i jodłowych do sprzedania, opierając się na wykazach obrachunkowych Zaniewskiego z r. 1910 (grubości ponad 8 werszków miary piersiowej, których naliczyłem coś od 7-8 tysięcy), potym pod wieczór po obiedzie przyszedł cieśla Grabowski, z którym podpisaliśmy umowę na budowę leśniczówki i obliczyliśmy dokładnie ilość i rozmiar belek i desek potrzebnych na budowę.

8 (21) czerwca.
rok 1912.
piątek.

Cały dzień mi zeszedł na umawianiu robotnika do rąbki i wózki drzewa na budowę domu. Opornie szło mi z tym, a musiałem zakończyć umowę koniecznie dziś, bo jutro wracam do Wilna. Z cieślą Czesławem ustaliliśmy już dokładnie miejsce pod dom; umowa z nim skończona już zupełnie, trzeba więc natychmiast dostarczyć materiał, aby rozpocząć budowę. Cenę na zrąbanie drzewa, rozpiłowanie na belki i wywiezienie ich z lasu wykalkulowałem mniej więcej z cen, o których się dowiedział Bielskiewski(?), oraz z przepisanego przeze mnie kosztorysu budowy, sporządzonego przez cieślę Waszkiewicza, z którym się w zeszłym tygodniu umawiałem. Próbowałem umówić gospodarzy ze wsi Łowcewicze, potym ze wsi Ostrowiej(?), dalej mego gospodarza starostę Waszkiewicza p. Truskewicza(?), u którego obecnie najmuję mieszkanie. Ale wszyscy ci tak się drożyli, że już nie wiedziałem, czy potrafię dać sobie radę. Trudna to sytuacja, gdy wymaga umawiać, a nie bardzo znam ceny i ludzi; włościanie mają aż nadto sposobu, aby zrozumieć swe fory a moją stronę słabą, prócz tego mają oni łatwość robienia zmowy i odstraszania konkurentów. Jest oprawdzie chciwość i chytrość, która ta rozbija ich solidarność i dzieli, ale przy pierwszych krokach znajomości, gdy się jeszcze nie zna ludzi i interesów poszczególnych, trudno sobie poradzić. Wybrnąłem jednak z sytuacji szczęśliwie. Udało mi się umówić na warunkach względnie dla mnie dogodnych Fiodora Nowika, dzierżawcę z Zaścinek(?), który się pokwapił na zarobek łatwy i bliski i robotę objął. Od jutra ma zacząć rąbać las. Starosta Waszkiewicz, który był jednym z głównych macherów oporu i zwyżki ceny i liczył, że robota napewno jemu się dostanie, był wściekły na Nowika i rozżalony tak na mnie, jak na siebie samego, że wypuścił z rąk taką świetną i łatwą okazję zarobku tuż przy domu i w porę, kiedy roboty polowe nie wyciągną(?). Żałował z duszy Nowika, wygrażał mu i pomstował, a potym prosił mnie i błagał, abym z Nowikiem zerwał i jemu robotę oddał, gdyż się już taniej niż Nowik. Choć mi go i żal było, jak zresztą żal i Nowika, odmówiłem, bo umowa, choć słowna, stanęła.

9 (22) czerwca rok 1912. sobota.

Od rana powietrze słotne; mżący drobniutki deszczyk nie ustaje na chwilę, zaciągając powietrze gęstą mgiełką; wilgoć przenikająca, gęste niskie chmury sunąc po niebie, tworząc mrok jakiegoś dnia listopadowego. Koło godz. 9 rano wyszedłem z Pleszkierskim i najętym wczoraj Fiodorem Nowikiem do lasu. Zaczęliśmy wybierać jedną po drugiej suche sosny od 6 werszków i więcej i ciąć je. Piękny to widok, pełny grozy i potęgi, gdy taka sosna niebotyczna, podcięta toporem i piłą, drży, sili się i wali z łoskotem na ziemię poprzez gąszcz leśną, która z trzaskiem się pod nią kruszy. Do południa Nowik, pracujący z synem, powalił pierwszych 16 sztuk sosen. Nowik pracuje starannie, uważając, aby sośnie podciętej dać taki kierunek, żeby jak najmniej uszkodziła lasu padając.
Koło południa wróciłem do Trzasewicz, zjadłem obiad i ~~[illegible]~~ koło godz. 2 wyjechałem na kolej do Radoszkowicz. Deszcz się wzmógł i literalnie zalewał mię wodą. Ani na chwilę przez całą drogę nie ustał zupełnie, jeno to mżył, to lał strumieniami. Przyjechałem na kolej przemokły wskroś do nitki; nietylko palto, marynarka, ale ~~[illegible]~~ koszula, gatki, skarpetki, wszystko — jak z wody wyjęte. Kołnierz i mankiety mięciutkie; papiery w kieszeniach przemokły. O g. 7 wyjechałem koleją z Radoszkowicz i koło g. 11 wieczorem byłem w Wilnie. Umówione było, że mnie Anna na dworcu w Wilnie spotka, alem jej nie zastał. Ponieważ było późno, więc już nie zachodziłem do niej, jeno wprost do domu pojechałem.

Rano poszedłem do Anny. Poszliśmy 10 (23) czerwca.
z nią na przechadzkę z wyżełkiem Ugry- rok 1912.
siem do ogrodu Bernardyńskiego, stam- niedziela.
tąd na obiad do restauracji pływającej
na Wilji, a po obiedzie za most
Zwierzyniecki na Żołtaniski brzeg
Wilji, gdzie Anna wykąpała i wy-
myła kapitalnie Ugrysia. Stam-
tąd przyszliśmy do mego mieszka-
nia. Ja pracowałem przy biurku,
Anna zaś siedziała przy mnie
w gabinecie, przeglądając ilustra-
cje, pocztówki ilustrowane i fo-
tografje. Około godz. 8, gdym wszy-
stkie interesa załatwił, wyszliśmy
znów razem na miasto. Zjedli-
śmy kolację w restauracji Niszko-
wskiego, suto skropioną żubrówką
i winem reńskiem. Pod koniec
kolacji trochęśmy się posprzeczali.
Nieporozumienie groziło konsekwen-
cjami długich przewlekłych ~~[illegible]~~ dąsań się
wzajemnych, ale jakoś potem wyczerpało się
samo przez się. Poszliśmy ~~[illegible]~~ na noc do hotelu
Wersal.
Tak oto minął ten dzień atmosfery familijnej.

300. 11 (24) czerwca. rok 1912. poniedziałek.

Dziś u litwinów dzień otwarcia dorocznego zjazdu ~~[illegible]~~ Towarzystwa Naukowego („Lietuvių Mokslo Draugijos") oraz dzień obchodu rocznicy 60-letniej urodzin dr. Jana Basanowicza, któremu to obchodowi litwini nadają charakter uroczystości narodowej. Zebrania doroczne Litewskiego Towarzystwa Naukowego stały się od lat kilku faktycznie zjazdami całej czynnej inteligencji litewskiej. Pod urzędową formą ~~[illegible]~~ ogólnego zebrania Towarzystwa Naukowego zjazdy te trwają po dni kilka. Inteligencja litewska wszystkich grup i obozów, młodzież ucząca się, księża, nauczyciele ludowi i t. d., korzystając z pory wakacyjnej, zjeżdżają się do Wilna nie tylko z prowincji litewskiej, ale i z dalekich kolonij litewskich z najgłębszej Rosji, wreszcie z Litwy pruskiej. Jest to miejsce „rendez-vous" całej inteligencji, jej punkt zborny. Na posiedzeniach urzędowych wygłaszane są referaty na rozmaite tematy, wieczory zapełnione są koncertami, przedstawieniami teatralnymi i balem, w przerwach zaś między posiedzeniami i zabawami odbywają się rozmaite zebrania i narady poszczególnych grup, towarzystw i stronnictw. Zjazdy te odgrywają wybitną rolę w ruchu litewskim, ogniskując raz do roku wszystkie poszczególne sprężyny i więzadła całego mechanizmu pracy społecznej i kulturalnej litwinów.

Dziś ~~[illegible]~~ o godz. 6 wieczorem w lokalu litewskiego klubu „Rūta", zbyt już ciasnym dla takiej ilości zgromadzonych, rozpoczęła się uroczystość obchodu rocznicy urodzin Basanowicza. Popularna postać dr. Basanowicza, tego pierwszego apostoła Odrodzenia litewskiego, tego „Mojżesza" litewskiego, jak go nazywają czasem symbolicznie sami litwini, jest dla nich droga nad wszelki wyraz, jako [illegible] zostaje w narodzie nie sprzyjającym, jako żywego autora tych pierwszych bolesnych i niestrudzenie ciężkich wysiłków garstki młodzieży z przed lat 30, z któ-

12 (25) czerwca rok 1912. wtorek.

Pod wieczór niespodziewanie przyjechała do Wilna Elwira w przejeździe do Bohdaniszek. Elwira jedzie ze swą roczną córeczką Helcią i ze służącą Marynką, która pełni funkcje niańki przy dziecku. Towarzyszy Elwirze jej mąż, Stefan Mieczkowski, który ją odprowadził do Wilna i po kilku dniach wraca do Robertowa. Ucieszyłem się z ich przyjazdu serdecznie, bom już ich od dawna nie widział, i uprosiłem, aby się sprowadzili zaraz z hotelu do mojego mieszkania.
Przy herbatce pogawędziliśmy o tym i owym, przeważnie o interesach, — o sklepie ufamnytowskim i o spadku po ś. p. cioci Cesi Tukałłowej. Elwira i Stefan są oczywiście bardzo ucieszeni z zapisu c. Cesi, który im dała do 15 tysięcy rubli, ale są trochę obiatowani, że Mama zechce korzystać z uwzielonego jej dożywocia dochodów. Moją było myślą, aby Mama dochody te dawała Elizie Komorowskiej, która ma też dużo potrzeb i trosk pieniężnych, a nic w spadku nie wzięła. Ale Elwira oburzyła się na samą myśl o tym, uważając, że potrzeby Elizki wobec jej potrzeb są arcyświetnie zaspokojone i że tam potrzeba jest tylko na szlachtę przed trzema dziećmi. Żalili się Mieczkowscy na Papę za to, że się nie zgadza nie za życia swego z posagu Elwiry wypłacić i że w ogóle utrzymuje ich w zależności przez skrępowanie pieniężne i ewentualność groźby cofnięcia przeznaczonego posagu na wypadek, gdyby coś wbrew woli Papy przedsięwzięli. Ale Papa trzyma w ten sposób wszystkich, Lecz i nas a Sztefancia mnie. Wyjaśniłem im, że jest to robota Zygmunta Komorowskiego, który ma wpływ ogromny na Papę i używa go zręcznie, aby wszystkich w szachu trzymać. Porozumieliśmy tylko, co zrobić, gdy Mama umrze i wpływ Komorowskiego się jeszcze spotęguje.

302. 13 (26) czerwca rok 1912. Środa.

Cieszę się, że oboje Mieczkowscy, tak Elwira, jak Stefan, podzielają zupełnie mój plan administrowania i eksploatowania schedy Mamylowskiej, to znaczy są przeciwni wycinaniu lasu w pień i pozbywania się własności; rozumieją, że lepiej jest wyciąć teraz towar (od jakichś wierszków 8), a dalej czekać, aż las 6- i 7-wierszkowy za lat parę podrośnie i znów się, jako towar, po cenie wyższej sprzeda, i t.d. W ten sposób o wiele więcej się z lasu tego wybierze, niżby się miało zysku na procencie od gotówki przy całkowitej wyprzedaży lasu obecnie. Mając taki warsztat produkcji leśnej, jakim jest ta scheda nasza, szkoda byłoby się go pozbywać dla natychmiastowego posiadania gotówki, zważywszy ciągły zmaksymizowany przyrost lasu i nadewszystko postępujące tempem szalonym narastanie cen. Cieszę się, że Mieczkowscy są w tym zakresie sprzymierzeńcami moimi. Natomiast Zygmunt Komorowski napiera gwałtownie na sprzedaż jakąkolwiek jednorazową i całkowitą. Zygmunt używa niewątpliwie wszystkich sposobów, aby dopiąć swego. Na szczęście ~~…~~ Papa zna wartość ziemi i lasu i jest zwolennikiem stanowczym utrzymania własności i pod tym względem wpływ Zygmunta nie zdoła zmienić opinii Papy. Co zaś do Mamy, to u niej dezyderata nie są wyklarowane, choć na ogół Mama skłania się raczej do sprzedaży lasu forsownej. Maryunia zaś, choć niby w tym opinii własnej nie ma, poddaje się jednak wpływowi Zygmunta.

Wieczorem wyjechałem z domu dla spędzenia ostatniego wieczoru, nocy i dnia jutrzejszego z Anną, która jeszcze jutro do Dubowy na wakacje wyjeżdża. Mieczkowskim powiedziałem, że wyjeżdżam na ~~jedną~~ całą dobę z Wilna. Pojechałem na Monastyrską do Anny. Ułożyliśmy projekt pójścia do … dla zabawienia się po … Ponieważ wszakże mieliśmy jeszcze sporo czasu, więc siedzieliśmy w ogródku przy mieszkaniu Anny. Przyszła pani gospodyni mieszkania, p. Zakolska, i córeczka jej, 14- czy 15-letnia dziewczynka, miłe dziewczątko, niezgrabne trochę w tym wieku przejściowym

14 (27) czerwca. rok 1912. czwartek.

Ostatni dzień przedwakacyjny z Anną. Wstaliśmy późno. Narazie Anna czuła się [illegible] ani zmęczenia ani bólu głowy po libacji wczorajszej. Dopiero przy obiedzie w restauracji hotelu [illegible] Annie się zaledwie rozbolała głowa; trwało to zresztą krótko i wkrótce znów Anna mocniejszą się poczuła. Po obiedzie już trzeba było myśleć o wyjeździe na kolej. Anna poszła do domu po rzeczy, które już miała spakowane od wczoraj. Ja zabiegłem jeszcze w interesie Prószyńskiego i stamtąd wprost na kolej, dokąd wkrótce i Anna, obładowana rzeczami i z Ugrysiem na ręku, przybyła. Smutno nam było się rozstawać, ale dopiero [illegible] i uczucie pustki po rozstaniu się w całej pełni w sercach naszych ujawnią. Anna wyjeżdża na jakiś miesiąc, a może i więcej. Chce zobaczyć matkę i siostrę, ale powiada, że nie jest pewna, czy tam wytrzyma tak długo i czy nie wróci wcześniej do Wilna. Powiada, że dawniej, gdy wyjeżdżała z Litwy do Rygi lub Windawy, to tęskniła [illegible] zaledwie, teraz zaś tęsknoty tej nie odczuwa. Owszem — pojechać chce, ale już się jej Libawa nie wydaje najpiękniejszą, najzdrowszą jak dawniej. Bo wie, że ma tu serce moje w Wilnie, ma tu byt i ma szczęście, które mają dla niej wagę nietylko materialną. Anna zabiera oczywiście ze sobą naszego wyjątka Ugrysia, którego pokochała bardzo i który się też do niej niezmiernie przywiązał. I mnie przy rozstaniu żal też było Ugrysia, towarzysza naszych spacerów wspólnych, zabawnego i sympatycznego. Charakter tego pieska jest wyraźnie zarysowany i bardzo w obcowaniu miły. Odprowadziłem Annę w wagonie, uściskałem ją na pożegnanie gorąco i gdy pociąg ruszył, poczułem się wzruszony głęboko. Jakże inny jest ten wyjazd wakacyjny Anny z Wilna od jej ubiegłego przyjazdu w roku zeszłym! Jeżeli tylko się to uda, myślę odwiedzić Annę w Libawie w lipcu.

Po przyjściu do domu z dworca kolejowego zastałem Henryka Wołłowicza, który dziś tu z Borysowa przyjechał, i mojego byłego pupila Józefa [illegible], który przyjechał [illegible] do seminarjum duchownego w Wilnie. Ponieważ Henryś Wołłowicz nie może teraz jechać do Bohdanowa, bo się go tam [illegible] boją, więc go zabieram ze sobą do pow. wilejskiego, gdzie go ulokuję tymczasowo w [illegible] u [illegible], który zgodził się go na czas jakiś przyjąć. Wczoraj właśnie otrzymałem od [illegible] depeszę, wzywającą mnie na [illegible] do [illegible] wspólnego z nim objeżdżania [illegible]. Wobec tego zorganizowany [illegible] wyjazd z Henrysiem z Wilna do [illegible].

304.

1 (28) czerwca rok 1912. piątek.

Z Danitką przyjechaliśmy z Henrysiem Wołodkowiczem do Radoszkowicz. Ze względu na Henrysia, który wolał odrazu do Marii Wołodkowicza zajechać i nie chciał tymczasowo na dzień parę się lokować w Truszewiczach, pojechaliśmy wprost z kolei do Chełmicy. Marii w domu nie zastaliśmy. To mi sprawiło mitręgę, bo zamierzałem go prosić o konie, aby natychmiast do Truszewicz wyjechać, dokąd się śpieszyłem, by zastać jeszcze Mieczysia Bohdanowicza. W nieobecności zaś Marii, jako gospodarza, nie mogłem się samowolnie jej końmi rozporządzić. Posłałem więc do wioski po furmankę. Dopiero o południu przyjechał Danitko, który mię powiózł do Truszewicz. Danitko — to typ parobczany; chłop to lat 60, syn nieprawego Elizy włościanki i starego Ludwika Wołodkowicza, ojca mego Józefa; jest to więc brat przyrodni mego Józefa i stryj młodszych Wołodkowiczów. Ma kawałek ziemi w Wołosce, gdzie mieszka z rodziną, lecz jednocześnie wciąż się przydworne i przy Wołodkowiczach kręci; z moim Józefem jest w stosunkach przyjaźni serdecznej; obaj mają temperament nieokiełznany, natury dzikie i szalone, typowi dziedzice krwi Wołodkowiczowskiej, krwi rozbójniczej i szynkowiczów kresowych z doby rozpasania anarchji szlacheckiej. Są to natury proste a dzikie, nieokiełznanie barwne i niezwykłe, żadnych hamulców moralnych i społecznych, zarazem silne i niezmordowane tak w pracy, jak w gwałtach, rozpuście i szale hulackim. Przez szereg lat Danitko towarzyszył mojemu Wołodkowiczowi wszędzie, dokąd ten jeździł, był jego, jak się sam wyraża, — „[illegible]" i zarazem powiernikiem i towarzyszem; kilka zim spędził z nim w Warszawie, gdzie obaj tworzyli przedziwny zespół dwojga szalonych bałamutników, wyodrębniających się ze świata kultury charakterem dziewiczej samowoli i fantazji wyuzdanej. Żadne środowiska kulturalne nie zdołały okrzesać i wypolerować ze szablonu tych dziewiczych ... starej Litwy, Rusi szlacheckiej. Żadne pojęcia ... i społeczne wyższego rzędu nie są w stanie dotrzeć do przekonań Danitki. Pojęcia narodowości nie zna, różnica religji także nie istnieje; Danitko wyznania jest prawosławny, ale religja jest dlań li tylko

16 (29) czerwca rok 1912. sobota.

Koło godz. 1 popołudniu wyjechałem z Truszewicz do Chełmnicy do Marii Wołodkowicza. Rozpytałem się Marii o ceny miejscowe na materiały leśne, warunki zbytu lokalne, porządki administracji leśnej i t.d., i podziękowałem mu za gościnne przyjęcie u siebie Henrysia Wołłowicza. Jest to istotnie ze strony Marii akt grzeczności i serdeczności rodzinnej bardzo chwalebny. Henryś, choć się trochę krzywi na ten pobyt musowy w Chełmnicy, ale się czuje, zdaje się, nieźle. Spodziewam się, że wkrótce Rodzice mu pozwolą mu już do Bohdaniszek jechać. Tyfus już u niego dawno minął, dezynfekcja dokonana, rekonwalescencji włośników zakończona — żadnego niebezpieczeństwa już niema.

Oto ciekawy kwiatek charakterów i temperamentów Wołodkowiczowskich, który tu zanotuję. Jest to typowe zwłaszcza dla Stasia, który najwięcej z rodzeństwa odziedziczył dzikiej krwi awanturniczej Wołodkowiczowskiej (sądzę, że Maria nigdy by tego nie zrobił): Oto w przeszłym tygodniu przyjechał do Nowego Dworu na lato z zagranicy schorowany stary wuj Wołodkowicz z żoną, ciocią Anusią. Wuj Wołodkowicz od paru lat jest trawiony jakąś ciężką chorobą wewnętrzną (bodaj czy nie rak), która go stopniowo, choć wszelkim kuracjom, dobija. Ścina powoli, ale systematycznie. Wracając na lato do siebie napisał z Berlina do ogrodnika, by na przyjazd jego nasadził kwiatów na klombach w ogrodzie kołem domu, by mieć rozrywkę i radość jakąś w tym ciężkim stanie zdrowia. Tymczasem Staś, który dzierżawi Nowy Dwór i na czas przyjazdu rodziców przenosi się do innych [illegible], w złości [illegible] ojca kazał wpędzić krowy do ogrodu i spaść wszystkie kwiaty. Wszyscy opowiadają o tym fakcie z oburzeniem.

Na pociąg wieczorny wyjechałem z Chełmnicy w kierunku Wilna.

17 (30) czerwca. rok 1912. niedziela.

Rano, po przyjeździe do Wilna, przebrawszy się w Austrii, poszedłem do hotelu Europejskiego dla spotkania się z Mieczysiem Bortkiewiczem dla omówienia z nim projektów sprzedaży leśnej w Wiażowiczkach. Skorzystałem dziś z rozmowy z Mieczysiem, dowiedziałem się o gatunkach towarów leśnych, cenach na nie, systemie kontroli leśnej, głównych warunkach kontraktu sprzedaży i t. d..

Poza tym cały dzień, prócz obiadu i kolacji, które zjadłem w restauracji pływającej na Wilji, spędziłem w domu przy pracy.

Przyjechała dziś ze wsi do Wilna Hela Ochenkowska i zamieszkała w naszym mieszkaniu. Mało mam wszakże z jej towarzystwa pociechy, bo Hela jest cały dzień poza domem i tylko nocować przychodzi.

Tęskno mi do Anny. Zwłaszcza o zmroku, gdy nastaje tęskna chwila wspomnień, cieniów niewyraźnych i żalów i przeczuć, samotnie mi i smutno na sercu. Dopóki byłem w Truszewiczach, nie odczuwałem tak boleśnie nieobecności Anny. Ale tu w Wilnie, gdzie mi ją wszystko przypomina, gdzie na każdym kroku tęsknota ją moja odtwarza, tęskno mi do niej strasznie. Wszystko mi jest drogie, co się z nią wiąże. Z rozczuleniem wspominam jej kochanego Ugrysia, który pochłonął jakby część jej duszy Anny i świeci mi też we wspomnieniu jej barwą, jej wyrazem, jej cechą jakoby. Nie miałem od niej dotychczas żadnej wiadomości, jak dojechała z Ugrysiem do Libawy i jakie były jej pierwsze wrażenia.

18 czerwca.
1 lipca.
rok 1912.

Papa przyjechał do Wilna i był na obiedzie u mnie. Przed przyjściem Papy i w pierwszej chwili po przyjściu byłem trochę zażenowany, bo nie wiedziałem, jak się nasza rozmowa ułoży, powiedziałby (?) po liście Papy sprzed 2 tygodni, w którym mi Papa wyrzucał gorzko mój stosunek z Anną, nazywając takowy „jawnogrzesznictwem, zgorszeniem dla młodych i lekceważeniem opinii publicznej". Na list ten odpisałem wprawdzie do Papy, tłumacząc, że moje stosunki z kobietami znajomemi nie mają nic wspólnego z wersją o „dziewczynie, uratowanej z domu publicznego" (oczywiście musiałem Annę od tej plamy za wszelką cenę, a więc i świadomym zaprzeczeniem prawdzie, ratować; zresztą ten szczegół o „dziewczynie, uratowanej z domu publicznego", a czasokolwiek pozornie prawdziwy, jest w świadomości „opinii publicznej" zupełnie inny, niż jest w rzeczywistości i całej prawdy, tak jak ją wiem i pojmuję; „opinia publiczna", ta plotkarka złośliwa, nigdy pojąć nie zdoła i nie zechce, to też w istocie tej wersji opinii publicznej, jak ją Papa cytował, z wszystkimi uzupełnieniami [illegible] przeczę uczciwie i kłamstwo popełniać będę nie ja, ale ta „opinia"). Nie wiedziałem jednak, czy uwierzył Papa listowi memu, skąd i jakie ma informacje o Annie i o stosunku naszym, to też mogłem się spodziewać rozmaitych zarzutów i scen przykrych. Tymczasem Papa przez cały czas ani słówka nie wspomniał o tej sprawie. Papa biedny jest słaby, wrażliwy i w głębi lęka się mnie. Na papierze, listownie, albo w czyjejś obecności potrafi mnie skarcić, nawet skrzyczeć, ale na 4 oczy się boi i wstydzi. Pozorną uległością, zupełnym wstrzymaniem się od wszelkich sporów z Papą, zdołałem otoczyć się w stosunku do Papy taką niedostępnością, jak ślimak w skorupie swojej. To też Papa wobec mnie milczy i traci odwagę: wie, że robię tak, jak chcę i jak myślę, a przecie mnie na walkę wyzwać nie jest w stanie i pozornie ustępuje mi w każdym zetknięciu się osobistym. Dziwny to nasz stosunek z Papą. Papa rozmawiał ze mną o [illegible], o innych rzeczach, ale o tym ani słowa.

Tęskno mi do Anny. Tak tęskno, tak samotnie, jak się nie spodziewałem. Nie mam od niej dotąd żadnej ~~[illegible]~~ wiadomości. Na chwilę nie przestaję myśleć o niej. Straszną pustkę odczuwam. Jak student tęskni do wyjazdu na wieś na wakacje i liczy godziny pozostałe, tak ja gotów byłbym liczyć godziny do dnia mego wyjazdu do niej do Bikszt (?). Ale, niestety, nie wiem, kiedy to nastąpi. Sprawy [illegible] trzymają (?) mię tu [illegible]. Chyba nie wcześniej, niż za jakieś dobre 2 tygodnie (?) będę mógł się do Bikszt (?) wyrwać.

19 czerwca / 2 lipca. rok 1912. wtorek.

Znowu był Papa na obiedzie i znowu ani słówka o mym stosunku do Anny. Na papierze mój papcio ruch, ale na cztery oczy wobec mnie pary z ust w tej sprawie nie puszcza. To dobre. Podejrzewam, że mnie Zygmunt Komorowski, przez swego syna Hektora, który [illegible] coś by mógł z jesieni z półsłówek Maryni domyślić, a że potem widywał mnie często w towarzystwie Anny a ma język długi, więc mógł się przed Elizką czy Zygmuntem wygadać. A jestem pewny, że Zygmunt nie omieszka skorzystać z wszelkiej okazji, aby Papę przeciwko mnie podjudzić i pokątnie zrazić. Papa jest tak słaby i tak wpływowi Zygmunta podlega, jak dziecko. A Zygmunt po mistrzowsku zaiste Papę zdobywa i kieruje. Działa podchlebstwem, obłudą, prowadzi całą kampanię strategiczną, której się Papa nie domyśla. Już teraz u Papy co drugie słowo — to Zygmunt na ustach. Spostrzegłem, że i w sprawie lasu Mazurykowskiego zdołał Zygmunt Papę swemi aspiracjami natchnąć i zaszczepić ferment niepokoju i niewyraźnej wprawdzie, ale kiełkującej już niewątpliwie nieufności do mnie. Papa, który zna i ceni wartość ziemi i lasu, pcha jednak do forsownej sprzedaży, powodowany niepokojem i dewizą Zygmunta, że lepiej [illegible] i bezpieczniej wziąć mniej choćby, ale gotówką i to zaraz dla innej Mamy, którą uważa za kandydatkę do śmierci, niż zachowywać szanse na grubszy wzrost bogactwa leśnego i kapitału w perspektywie, ale pod firmą imienia mojego. Mnie ta zniecierpliwość trochę, którą wyrzucam, jest nader przykra, zwłaszcza u Papy. To też się cieszyłem gorąco, gdym się przekonał, że siostra pojęła Elwira z całej serdeczności ufa i wierzy, bez żadnych słów tajemniczych. Nie mogę pojąć, dlaczego Mieczysław Bortnowski tak forsownie

20 czerwca / 3 lipca. rok 1912. środa.

Trapi mię niepokój o Annę. Co to jest, że tak milczy. Już tydzień się jutro kończy, jak wyjechała, i dotąd ani słówka od niej nie mam. Prosiłem ją na wyjezdnym, aby mi zaraz po przyjeździe do Libawy kilka słów na kartce napisała. Obiecała mi to zrobić, ale nie dotrzymała obietnicy. Wiem, że jest leniwa do pisania, zwłaszcza gdy musi pisać do mnie po niemiecku, nie znając pisowni niemieckiej. Ale zdaje mi się przecie, że powinna zatęsknić do mnie choćby przez chwilkę i poprostu przez impulsywność uczuciową kilka słów skreślić, szczególnie że ja do niej od niedzieli codzień piszę i że z kartek moich widzi, jak do niej tęsknię i jak mi bez niej ciężko. A może listy moje, adresowane po łotewsku, nie dochodzą do niej. Zaiste zaczynam już się niepokoić. Czy się jej coś nie przytrafiło? A czyżby wrażenia powrotu do domu, do rodziny, do znajomych i przyjaciółek swoich, do swej Libawy kochanej, były tak silne, że aż zatarły w niej żywą pamięć o naszym stosunku i tęsknotę do mnie? Wszak to czasami tak bywa. I bywa nawet tak, że nagły powrót do środowiska rodzinnego, z którego się było wyrwanym, tak przykuwa serce człowieka do przeszłości, że to, co jest [illegible], to, co się wczoraj jeszcze kochało i zdawało bliskiem, staje się naraz obcem i omal że obrzydłym. Czyżbym miał moją Annę tracić? Zresztą nie myślę nawet o takim porzuceniu. Jak mi jest Anna drogą, to poznaję z tęsknoty obecnej. Przed wyjazdem jej myślałem, że gdy wyjedzie, będę miał przez czas dłuższy spokój zupełny, apatyczny, i że zwiększę czas na pracę intensywną, uczuciem nie oderwaną. Tymczasem zamiast spokoju do pracy mam wielką tęsknotę.

Napisałem dziś testament mój, nie żebym się śmierci spodziewał, lecz dlatego, aby na wypadek śmierci mojej zabezpieczyć Annę i [illegible] moje od [illegible] Wiwulowskich, ~~[illegible]~~ stosownego włożenia [illegible] Mamy, wyłącznie na rzecz córki mojej.

310.

21 czerwca.
4 lipca.
rok 1912.
czwartek.

Wciąż nie mam listu od Anny. Tydzień dziś minął, jak wyjechała, a mnie się zdaje, że już kilka minęło. Zdaje się, że to nie może być, iżby to było w czwartek ubiegły, tydzień temu, gdym odprowadził Annę z Ugrynian na dworzec. Wydaje się już dawno, dawno.

Widziałem dziś wuja Józefa Wołodkowicza, który od dni kilku wrócił z ciocią Lucją z zagranicy. Wygląda strasznie. Choroba wewnętrzna, która go trawi a w której się raka domyślają, zupełnie go wyniszczyła. Wuj, choć ubrany, który ciągle (a coraz więcej) siedzi w poduszkach na fotelu; co chwila zresztą musi zmienić pozycję, bo każda go męczy. Jest to dziś szkieletowe widmo człowieka, stoczone przez chorobę. Chodzić wuj prawie nie może, ledwie się przesuwa przez pokój, wsparty całym ciężarem na służącym. Wuj wymizerowany na ciele, zwłaszcza na twarzy, która ma barwę ziemi. Gdy leży wyciągnięty na łóżku w ubraniu, ma się całkowite złudzenie oglądania nieboszczyka. Chyba że już wuj nie będzie w stanie wyjechać stąd do Nowego Dworu. Śmierć zresztą już tuż, tuż ~~[illegible]~~ czyha nad wujem.

Gdy już o śmierci mowa, to nadmienię o śmierci Adama Siedwitty. Umarł w Petersburgu pozawczoraj, o czym mię zawiadomiła żona jego. Było to dla mnie niespodzianką zupełną, nader bolesną, bo z Siedwittą łączyły mię stosunki serdeczne. Był to wykolejający się społecznie, ~~[illegible]~~ pijak nałogowy, ale człowiek, kierujący się sumieniem i wiarą w swe ideały społeczne, człowiek, którego duszy nie zdołało nigdy przeniknąć jad filisterstwa. Był to jeden ze współpracowników dawnych z „Gazety Wileńskiej" i to jeden z tych, co [illegible] [illegible] [illegible] wiary [illegible] [illegible] Siedwitta [illegible] [illegible] [illegible], wyrzuczony * [illegible]

z mojej pracy dziennikarskiej. Miał przyjechać latem w lipcu na dni kilka do mnie do Wilna dla wypoczynku. Cieszyłem się z tej perspektywy wizyty jego, bo lubiłem zawsze z nim gawędzić długo, o wszystkim na świecie, gdy nagle telegraficzna wieść, że umarł.

22 czerwca.
5 lipca.
rok 1912.
piątek.

Wreszcie dziś wieczorem doczekałem się listu od Anny. Byłem już poważnie zaniepokojony, gdy oto wieczorkiem listonosz doręczył mi list upragniony. Te kilka słów kochanych, pisanych ~~ręk~~ kochaną ręką Anny, są dla mnie źródłem pogody, spokoju i radości na dni przyszłe najbliższe kilka. Wiem przynajmniej teraz, że Anna dojechała do Libawy, że jest w domu, że jest zdrowa i że nic nieprzewidzianego nie zaszło. Listek Anny, pisany na pocztówce z widokiem z Libawy i włożony do koperty zamkniętej, zaadresowany 20 czerwca, po południu; zawiera taką oto nieskomplikowaną treść w łamanej niemczyźnie, która na piśmie jeszcze trudniej i dziwaczniej się składa, niż w naszej rozmowie ustnej: „Kochany Michaś, nie myśl tak, że ja mogę Cię tak prędko zapomnieć; ja myślę ciągle o moim Michasiu; wolę raczej być w Wilnie przy moim Michasiu; tu mi jest tak nudno, siedzę cały dzień w domu i pomagam siostrze mej pracować. Czekam, kiedy Michaś przyjedzie do Libawy. Ja i Ugryś jesteśmy zdrowi i czekamy Michasia. Andrin Cię całuje i czeka. ~~Michaś~~ Michaś, przyjedź, przyjedź”. Nie chodzi mi o treść tę, wykalkulowaną z mozołem w języku niemieckim, w którym Anna właściwie pisać nie umie, ale o sam fakt ten, że to są słowa, pisane przez Annę: to mię uspokaja.
Wieczór spędziłem u Żmujdzinowiczów na porządkowaniu rachunków zakończonej VI wystawy litewskiej. Żmujdzinowiczowie wręczyli mi piękny obrazek (widoczek) pędzla artysty Varnasa, który wygrałem na loterii. Bardzo się z niego cieszę.

[illegible]

312. 23 czerwca / 6 lipca rok 1912. sobota.

Wspominał mi już pozawczoraj chłopak z redakcji „Przeglądu Wileńskiego", […] którego na ulicy spotkałem, że Ludwik Abramowicz jest chory. Dopiero dziś wszakże go odwiedziłem i przekonałem się, że to nie jest zwykła choroba, jeno jakiś dramat natury prawdopodobnie uczuciowej. Zdaje się, o ile mogłem zmiarkować z półsłówek i zachowania się otoczenia oraz z urywanych słów samego Ludwika, ciężko chorego, probował się on otruć. Niewątpliwie jest to w związku z ostatnią bytnością i wyjazdem Heli Ochenkowskiej. Hela Ochenkowska, która tu przed kilku dniami bawiła, we czwartek wyjechała z Wilna na wieś. Ludwik zaś zachorował we środę. Co między nimi zaszło — nie wiem. Ludwik i Hela pokochali się od jakiegoś czasu, od roku czy dwóch. Miłość, jak to bywa u ludzi dojrzałych, bo oboje mają przeszło 30-letki(?), nie staje w pół drogi, lecz rozwija się konsekwentnie aż do związku zupełnego. To też Ludwik i Hela myśleli o małżeństwie. Kapitalną wszakże przeszkodą było to, że tak Ludwik jest żonaty, jak Hela zamężna, a w kościele katolickim rozwodu nie ma. Hela oddawna już się z mężem rozstała, Ludwik zaś, pokochawszy Helę, rozstał się także ze swą żoną, Kalinowiczówną z domu, z którą ma kilkoro drobnych dzieci. Gdyby nawet Heli, jako bezdzietnej, udało się uzyskać unieważnienie małżeństwa z Ochenkowskim, o czym starania rozpoczęła, to przecież pobrać się z Ludwikiem w kościele katolickim by nie mogła, bo Ludwikowi unieważnienia małżeństwa uzyskać by się nie udało. Był u nich projekt taki, żeby Ludwik przyjął kalwinizm i wystarał się dla siebie o rozwód kalwiński, i żeby skłonić męża Heli, Ochenkowskiego, może za zapłatą, aby zrobił to samo. Wtedy Hela, nie zmieniając osobiście wyznania, mogłaby wziąć ślub kalwiński z Ludwikiem. Projekt ten wszakże, dla rozmaitych względów, nie dochodził do skutku, a tymczasem miłość ta trwała i stosunek się coraz pogłębiał. Chwilami był burzliwy, chwilami serdeczny […] i pogodny, ale zawsze silny i głęboki. Co teraz zaszło, nie wiem. Wyjazd Heli z Wilna zbiegł się z tą dziwną „chorobą" Ludwika, która ma wszelkie cechy próby samobójstwa. Teraz Ludwik leży bezwładny, przeważnie nieprzytomny, ciężki. Dziś ma się lepiej, jest przytomny, ale mówi ciężko, z wysiłkiem, odstępami, ma duszności, stan(?) się gwałtownie[illegible] i oczywiście stan nerwowy jest straszliwy. Ale co jest najdziwniejsze — to że przy Tośku(?) jego siedzi jego żona, ta sama „chorowita" [illegible], z którą się rozstał. Jak ona się [illegible] w takiej chwili zostawszy(?), jak przyszła, zostawszy(?), i co z tego będzie — nie wiem. Ale Ludwik [illegible]. O Heli myśli — nie [illegible] żony, bo wieczorem, gdy żony nie było, mówił za nią i prosił, by mu do Heli telegrafować. A Hela wbrew(?) [illegible], choć [illegible] nie zapewne [illegible]

24 czerwca.
7 lipca.
rok 1912.
niedziela.

Rano przyjechałem do Radoszkowic i stamtąd najętą furmanką koło południa przyjechałem do Truszewicz. W budowie domu w Wiązowcu postępu niema. Cieśla Czebotar nie przystąpił jeszcze do budowy; dotąd tylko w zastępstwie Czebotara i z ramienia jego ociosuje belki cieśla Sawicz. Dziś w przejeździe przez Radoszkowicze kupiłem cegłę do pieców i komina w budującym się domu, po rb. 1.35 za setkę palonej, i umówiłem mularza Hryńkiewicza z wioski Żowczewicz za rb. 50 do podmurówki i postawienia 2 pieców i komina. Najciężej idzie z piłówką desek. Nie można dostać traczów, a ci, co się zgłaszają, żądają ceny niemożliwej. Tymczasem zaś potrzeba jest pilna, bo już jest późno, a deski muszą trochę przeschnąć.

25 czerwca.
8 lipca.
rok 1912.
poniedziałek.

Do Chełmnicy przyjechałem o północy. Żony nie zastałem, jeno Henrysia Wołłowicza, którego stąd jutro wywiozę do Wilna i stamtąd do Bohdaniszek.

Spędziłem dzień cały w Trusewiczach. Sprawy, dotyczące budowy domu w Wiazowcu, więcej mi zabierają czasu i kłopotu, niż kapitalna sprawa sprzedaży lasu.

O godz. 8 wieczorem wyjechałem do Chełmnicy. Po drodze zajechałem do tartaku w Prudziszczu, umyśliłem bowiem posłać ~~tam~~ ewentualnie tam belki do rozpiłowania na deski do budującego się domu ~~[illegible]~~ w Wiazowcu. Ponieważ nie mogę znaleźć traczy za cenę mniej więcej dostępną, więc chciałbym się dowiedzieć o warunkach, na jakich mógłbym rozpiłować deski w tartaku. Smutny widok przedstawia dojazd do tartaku w Prudziszczu od strony Mamytów. Jedzie się przez szczątki wycinanego lasu, śród rzadkich, sterczących samotnie, nagich młodych sosnek, — ma się wrażenie ruiny, dewastacji, dzikiego rabunku, jakiego tu człowiek dokonał, nie kompensując tego dzieła zniszczenia żadnym tu aktem twórczym. I wpośród tych ruin leśnych syczy złowrogo i dyszy czasem dymem z wysokiego komina tartak, pożeracz lasu tego, potwór nienasycony, któremu w ofierze składają się po paszczy dziennie setki najpiękniejszych kloców drzewnych, wyhodowanych tu w lesie przez dziesiątki lat w cichym szumie boru, w pięknym tworze natury.

26 czerwca. / 9 lipca. rok 1912. wtorek.

Rano wyjechałem z Henrysiem Wołłowiczem z Chełmnicy do Wilna. W Bohdaniszkach już się nie obawiają zaraźliwości tyfusu u Henrysia i proszą, aby go przywieźć lub przysłać. Wobec tego nie chcę już dłużej nadużywać gościnności Marii Wołłodkowiczowej i wywożę Henrysia.
Jechaliśmy z Henrysiem III klasą. W wagonie tłok, duszno. O godz. 6 wieczorem przyjechaliśmy do Wilna. Zastałem w mieszkaniu moim c. Józię Tukałłową z Ninunią. Mieszkanie nasze nigdy, nawet latem, nie jest puste. Wciąż się w nim ktoś lokuje z rodziny lub z osób. Jest to coś w rodzaju zajazdu ~~[illegible]~~ familijnego, ale ja tym nie przykrzę, bo miejsca jest aż nadto. Przed paru tygodniami była Elwira ze Stefanem, potem Henryś Wołłowicz, potem Srubys, potem Hela Ochenkowska, teraz znów c. Józia z Ninunią, Henryś Wołłowicz, za parę dni znów Elwira Mieczkowska.
Zachodziłem do redakcji „Przeglądu Wileńskiego". Ludwik Abramowicz ma się już lepiej; wstaje, a nawet dziś jeździł z Mietkiem do ogrodu Bernardyńskiego, choć naogół jest jeszcze tak fizycznie, jak psychicznie osłabiony. Żona wciąż jest przy nim, choć skądinąd Ludwik nie przestaje myśleć o Heli Ochenkowskiej. Zapytywał mnie, czy nie miałem od niej drugiego listu.
Gdy wracam do Wilna, tęsknota za Anną potęguje się stokrotnie. Wszystko mi ją tu przypomina. Brak mi jej taki, że miejsca sobie znaleźć nie mogę. A niestety — przed końcem przyszłego tygodnia nie uda mi się zapewne pojechać do niej do Libawy, o czym marzę.

[illegible]

316.

2 [?] czerwca.
16 lipca.
roku 1912.
środa.

Umarł Eljasz [?] Łomnie.

Z biednym Ludwikiem Abramowiczem dzieje się źle. Fizycznie ma się lepiej, ale stan psychiczny okropny. Jest to ciężki dramat życiowy, bardzo ciężki, ale, jak wszelki dramat, jest prosty. Ludwik kocha Helę Ochenkowską. Miłość ta trwa od lat przeszło 2. Oboje z Helą są ludźmi dojrzałymi, w pełni rozwoju. Miłość mężczyzny w tym wieku, po 30-tce, — to nie miłostka chłopca 20-letniego. W miłości tej wyczerpuje się cały organizm człowieka; mówić tu o zerwaniu tej miłości, o wywiezieniu Ludwika, jakby chciał brat jego, Witold, — to nonsens; zapomnieć, oderwać się od tej miłości człowiek nie może. Miłość taka — to nietylko jakieś jedno poszczególne uczucie w życiu psychicznym człowieka, — to jego właściwy stan psychiczny. Rozwiązanie może być też tylko jedno, — proste, jak prosta jest istota tego stanu: pobranie się. Gdy niemożliwe jest małżeństwo legalne w żadnej postaci, to powinno być pobranie się bez ślubu. Innego wyjścia nie ma — inaczej jest śmierć. Że wyjście to jest ciężkie tak dla Ludwika, który skądinąd poczuwa się do względów sympatji i obowiązków względem żony i dzieci, jak zwłaszcza dla Heli, dla której byłoby to zerwaniem z całym jej środowiskiem i z matką, — to pewne. Ale wszelkie inne rozwiązywanie tej sprawy będzie fałszywe. Natura się oszukać nie da i prawda będzie łamała wszelkie konstrukcje sztuczne, a fałsz będzie się mścił na życiu i pomści. Ludwik i Hela zabrnęli w sytuację, z której innego wyjścia nie znajdą: rozmnażają, fałszują i łatają życie, tworzą kombinacje skomplikowane, w których chcą zmieścić i pogodzić rozmaite względy i konwenanse, gdy życie im nakreśla nakaz prosty — małżeństwo. Są słabi i [?] w tych aktach, choć są tragicznie nieszczęśliwi. Oto skutek — próby samobójcze Ludwika. A co dalej? To samo. Chyba że go Hela nie kocha. Nie kocha, jeżeli się bawi tylko czy też histeryczką jest — to wyjście będzie możliwe a nawet konieczne inne: Ludwik musi się przekonać o tym, a wtedy, gdy się przekona, że ona nie kocha, to choć przecierpi, ale się uleczy i — zapomni. Długo dziś o tym myślałem i rozmawiałem z Ludwikiem.

28 czerwca. 11 lipca. rok 1912. czwartek.

Byłem na pogrzebie Eljasza Romma. Oprócz dość licznej rzeszy żydów, brała też udział w uroczystości pogrzebowej garstka chrześcijan. Z najbliższych z ostatnich czasów towarzyszy i przyjaciół zmarłego obecni byli: bracia Łuckiewiczowie, Iwan i Antoni, Własow, Prozorow, Kraskowskij, Skarżewicz, Bramson, Nagrodzki i ja; oprócz nas było jeszcze kilku chrześcijan, dr. [illegible], Bronisław Umiastowski, poeta białoruski Kupała i jeszcze kilku. Zmarły Eljasz Romm był typem idealisty w najpiękniejszym znaczeniu słowa: całe życie jego było jednym ciągiem nieustającej pracy społecznej; społecznikiem był do fanatyzmu. Był jednym z tych żydów, którzy nie zasklepiali się wyłącznie w ramach spraw żydowskich; rozumiał związek ścisły, zachodzący między emancypacją żydów a ogólną sprawą demokratyczną w kraju ~~(i będąc szczerym patryotą żydowskim)~~. To też pracując w obozie żydowskim, walczył wiecznie z nacjonalizmem, ujawniającym się w prądach sjonistycznych. ~~[illegible]~~ Szukał też zawsze kontaktu z demokratycznemi grupami chrześcijańskiemi, z któremi pragnął zawiązać współpracownictwo obywatelskie. Był jednym z nielicznych żydów, który zdawał sobie sprawę z odrębności kraju naszego i w społeczeństwie chrześcijańskiem widział nie li tylko jakąś jedną masę państwowo-rosyjską, lecz dostrzegał i pojmował wagę ugrupowań narodowych litewskich, białoruskich etc. i t. d. Był to, słowem, — rzetelny obywatel kraju, uspołeczniony i prawowity syn nie tylko narodu żydowskiego, ale i tej Litwy ojczystej, pojętej jako zespół społeczny ~~[illegible]~~ ponad różnicami narodowościowemi; te cechy przysłaniały w nim uczucia towarzysza idei jego.

318.

29 czerwca / 12 lipca. rok 1912. piątek.

Dzień mi tak jakoś upłynął miło. Do obiadu spędziłem czas z Ludwikiem Abramowiczem. Z tego, co mi o Heli i o jej stosunku do niego opowiadał, wnioskuję, że Hela jest poprostu histeryczką; zdaje się, że tam z jej strony miłości niema; prócz tego Hela wydaje się połowiczną. Ludwik zdecydowany jest postawić Heli alternatywę kategoryczną — aut-aut: albo zerwanie z Ludwikiem, albo zerwanie ze światem całym i połączenie się z Ludwikiem. Sądzę, że jeżeli nawet Ludwik doprowadzi tę decyzję do skutku i alternatywę taką postawi, to Hela z niej nie wybrnie i zechce nadal tę samą połowiczność zachować. Ale może się zdoła Ludwik przekonać, że ona go dość silnie nie kocha, i wtedy może się zdoła znaleźć drogę ratunku i — choć to droga ciężka — zapomnienia.

Po obiedzie chodziłem z Henrysiem Wołłowiczem po mieście za sprawunkami, pod wieczór byłem z nim u staruszki pani Ludrewiczowej, wreszcie byłem u Żubojdzinowiczów, gdzieśmy kontynuowali likwidację rachunków VI wystawy litewskiej.

30 czerwca.
13 lipca.
rok 1912.
sobota. ~~piątek~~

Rano wyjechaliśmy z Wilna z Henrysiem Wołłowiczem. Jadę do Bohdaniszek nietylko dla odwiezienia Henrysia, ale i dla pomówienia z Mamą o interesach lasu Wiarowieckiego, aby zdać Mamie sprawę ze wszystkiego, co się dotąd zrobiło i co nadal w sprawie sprzedaży lasu zamierzam. Jadę na króciutko, bo tylko do jutra wieczór. Koło godz. 6½ wieczorem przyjechaliśmy z Henrysiem do Abel, gdzie już czekały na nas konie bohdaniskie.

Przyjazd do Bohdaniszek zawsze mię wzrusza. Wszystko mi się tu wydaje piękniejsze, zwłaszcza milsze, jakieś bardziej swojskie, kochane: i te widoki, i te powietrze, i zapach pól, i ludzie i rzeczy. Drogą na Antonosz i Sokolewnię przyjechaliśmy do Bohdaniszek, które są teraz obficie zaludnione: oprócz obojga Rodziców, bawi tu Elwira Mieczkowska ze swą maleńką córeczką, Marynia z dziećmi swymi, Helcią i Stefusiem, dalej pół-towarzysz, pół-korepetytor Stefusia uczeń klasy VII z gimnazjum rosyjskiego Arkadjusz Didenko, wreszcie siostrzenica moja Zośka Pruszanowska, która z powodu panującego w Bielcu kokluszu spędza część wakacji tu u nas. To też gwarno w Bohdaniszkach i wesoło; młodzież dziecinna wypełnia cały dwór ruchem. A lato w pełni rozkwitu, piękne, ciepłe. A nie ma to jak wieś w tej porze roku, zwłaszcza dla mnie nasza wieś litewska.

1 (14) lipca. rok 1912. niedziela.

Dzień spędziłem w Bohdaniszkach. Spokojnie tu, cicho, pogodnie, z dala od gorączkowego zgiełku wszelkich spraw i namiętności. Zdawałoby się, że tu jest dla mnie ten raj pogody wiecznej, równowagi i szczęśliwego bytowania bez troski: wszystko dokoła jest równe, umiarkowane, stateczne, serca bują w atmosferze ciepłych uczuć rodzinnych, swobodnego wesela dzieci i t. d.. Lubiłem czasami odetchnąć tą atmosferą umiarkowania i szczęścia rodzinnego, wypocząć w niej, wypożyć rozkosznie nerwy. Sprawiało mi to przyjemność i wypełniało jakimś uczuciem błogości, które jest zapewne udziałem dusz cnotliwych w raju po zgonie. Niewolnymi w życiu chwile, gdy takie spokojne pogrążenie się w atmosferze umiarkowania rodzinnego zdawało mi się po prostu zbawczym i stanowiło szczyt mego chwilowego ideału szczęścia, jak to było wiosną r. 1910 po mojej chorobie ostrogowej i po strasznych przejściach katastrofy wileńskiej. Na długą metę a tym bardziej na całe życie szczęścia bym w takiem bytowaniu znaleźć nie zdołał. Tym razem odczuwałem wyraźnie mocniej niż kiedykolwiek, sprzeczność zasadniczą między tą umiarkowaną pogodą rodzinną a moim życiem osobistym, moją naturą, aspiracjami i całym kierunkiem losu mojego na przyszłość. Czuję, że dla mnie atmosfera ta jest zasadniczo obca. Bawię się w niej chwilowo wesoło, jest mi w niej dobrze, tęskno mi nawet do tego spokoju sielankowego, ale skądinąd ciągnie mnie przez się do mego żywiołu, do mego życia odrębnego, które się dla mnie w Wilnie streszcza. W niej całe me życie utkwiło, w niej ma przyszłość, moje szczęście i klęski, mój los — zwłaszcza. Marzy mi się, że po śmierci Rodziców, gdy obejmę Bohdaniszki, wystawię dla nas domek mieszkalny w Kowarskach i tam się z Anną zabudujemy; Bohdaniszki zaś ustąpię Marynce do mieszkania, gdy zechce

2 (15) lipca. rok 1912. poniedziałek.

Przyjechała Hela Ochenkowska i po obiedzie przyszła do mnie dla pomówienia w sprawach jej stosunku z Ludwikiem Abramowiczem. Przekonałem się, że Hela właściwie Ludwika nie kocha; była to u niej poniekąd zabawa, poniekąd może szczypta histeryi, może też przez pewien czas miłość. Dziś wszakże stosunek ten, który ją tyle kosztował, wyczerpał Helę i zmęczył. Przez ten stosunek pozycja Heli w rodzinie, w jej sferze towarzyskiej, w domu [?] nawet, została zachwiana, obrzydzona [?], sponiewierana, zbrukana. Stosunek Heli z Matką, dla której cała ta sprawa była ciosem straszliwym, został zwichnięty. Hela zdobyła reputację awanturnicy, niemal rozpustnicy. Dla takiej natury, jak Hela, wrażliwej i połowicznej, ciosy te były tym cięższe. A miłość jej przecież nie była taka, aby wszystkie te próby wytrzymać. Tymczasem Abramowicz nie był tym mężczyzną silnym, któryby potrafił Helę porwać, pokierować, jej miłości kształt związku nadać. Ten był połowiczny, chwiejny, bezczynny, napuszony względnie [?] kaprysu [?], uprzedzający ciągle, typowy histeryk, pozujący na ofiarę, egzaltujący własne nieszczęście, a nie dostrzegający cierpień Heli, słowem — aktor, nie zaś człowiek czynu. Takiej kobiety porwać nie zdoła, a jeżeli nawet ją uchwyci, to ją z rąk wypuści. Toteż wypuścił teraz. Po rozmowie ze mną Hela zdecydowała się zerwać z Ludwikiem całkowicie i ostatecznie. Widziałem, że się w głębi serca z tej decyzji cieszy i że ją dawno w tajnikach zamiarów żywi, jeno się nie umiała zdobyć na odwagę, nie była w stanie tego Ludwikowi wyrazić; stosunek ten ją zmęczył i umarł w jej sercu; zadowolenia mu poświęciła, a nie wzięła nic, prócz męki. Kobietę zaś trzeba trzymać. Hela trochę się niby zżymała, niby tłumiła ból przy powzięciu decyzji rozstania, ale w gruncie rzeczy widziałem, że się cieszy. Gdy się przekonałem, że nie ma u niej takiej miłości bezwzględnej, aby porzuciła wszystko i poszła za Ludwikiem w tych warunkach, to ją sam namawiałem do zerwania; dziwiłem się nawet, jak prędko się na rozstanie zdecydowała i jak ją to mało kosztowało. Wówczas napisała list do Ludwika, który mam mu jutro wręczyć po wyjeździe Heli, następnie napisała list do żony Ludwika. Wstąpiłem więc do Ludwika z zawiadomieniem, że Hela dziś doń nie przyjdzie, jak to było projektowane. O decyzji, powziętej przez Helę, nic mu nie mówiłem, ale Ludwik sam był wściekły i obrażał się tym, że Hela nie przyjdzie, i wręczył mi wszystkie jej listy dla zwrócenia jej. Przyjąłem listy i zaniosłem Heli. Ludwik zapowiadał mi trzykrotnie, że dziś się życia pozbawi, zaraz po moim wyjściu, tymczasem zaś wcale tego nie zrobił; nocował w domu, potym u Krzyżanowskiego. Jego próby samobójcze są też, jak się zdaje, histeryczne: wszystko to jest teatralne i fantazyjne [?]. Ludwik się lubuje w swoim nieszczęściu, w swoim cierpieniu, gada o tym ze wszystkimi bez końca, słowem — chory jest [illegible] a [illegible] ... w nocy i szczerze [?] [illegible] Ludwika — [illegible] też u żony Ludwika, zawiadomiłem ją o sytuacji i wręczyłem jej list Heli.

322.

3 (16) lipca. rok 1912. wtorek.

Dodam jeszcze parę słów o wczorajszym zebraniu w sprawie obchodu 100-letniej rocznicy r. 1812. Zebranie zwołał Studnicki, któremu chodziło o to, aby wilnianie nadali tej rocznicy innej jakiejś wagi, niż jaką jej nadają obchody urzędowe; chodziło o to, aby uprzytomnić sobie, czem było dla Litwy wkroczenie wojsk Napoleońskich w owej dobie i jakie stąd wypływają analogje, wskazania i nauki na przyszłość. Zebranie było bardzo udatne. Aktywistów prawie że nie było z wyjątkiem jednego Świrskiego, za to dużo krajowców; zebranie miało charakter gorszego zbratania się elementów różnonarodowych na gruncie wspólnych trosk krajowych, — wyrazu szczerej idei obywatelskiej, starannie a bardzo taktownie przez Białorusinów przestrzeganej. Nawet wstecznicy i nacjonaliści tacy, jak Obst, stojący się nagół z pogardą do ruchów białoruskiego i litewskiego, byli pod urokiem współobywatelstwa krajowego. Nie wybrano na przewodniczącego, kładąc nacisk na to, żem oto prawnuk Michała Römera, prezydenta miasta Wilna w tych czasach pamiętnych r. 1812. Białorusini podkreślili umiejętnie a wszakże taktownie, nie drażniąc uczuć i wspomnień zebranych tu polaków, że należy odróżniać aspiracje ludu chłopskiego w dobie przyjścia Napoleona od zwycięskiego entuzjazmu szlachty i że wspólność jest tylko ta, że jak chłopi się zawiedli na Napoleonie, tak i szlachta doznała zawodu straciwszy wszystko po klęsce Wielkiej Armji, a że wskazanie dla przyszłości winno być to, aby się łączyć tak polakom jak białorusinom we wspólnej pracy obywatelskiej. Ze strony białoruskiej główną grę prowadził Wacław Łastowski, który wziął wszystkich zebranych i który był autorem wniosku o wydaniu w 3 językach broszury o r. 1812. Nastrój solidarności obywatelskiej był tak głęboki i tak ludzi do miłości jednał, że w końcu zebrania Zmitrowicz zapałał takim entuzjazmem, iż zaproponował, aby komisja redakcyjna, wybrana dla wydania broszury o roku 1812 i złożona z 2 litwinów, 2 polaków i 2 białorusinów, a do której i ja wchodzę, została uznana za zaczątek konfederacji polsko-litewsko-białoruskiej i, jako taka, została instytucją stałą. Propozycja ta już nie była dyskutowana, bo była wypowiedziana w chwili, gdy się już rozchodzili.

Z Ludwikiem Abramowiczem jest coraz gorzej. Traci głowę, ma ataki furji, robi wrażenie warjata. Dostał od Heli list z zawiadomieniem o zerwaniu stosunku ze mną nie wszystkiem. Na mnie jest zły, zapewne za to, że zgadzam

4 (17) lipca. rok 1912. środa.

Otrzymałem znów pod wieczór liścik od Anny, który mi był niespodzianką, bo wczoraj wysłałem jeden, a Anna mię w ogóle listami do zbytku nie psuje. Oto treść tej kartki kochanej w tłumaczeniu z żargonu niemieckiego: „Kochany Michaś, dlaczego nie piszesz, kiedy „przyjedziesz do mnie do Libawy, przyjedź, mnie „tak nudno bez Ciebie. Ugryź też czeka bardzo „swego pana; a jeżeli nie przyjedziesz, to „Anna będzie się gniewać i nie przyjedzie do „swego Michasia, a wtedy Michaś będzie płakać. „Tylko nie zapomnij przywieźć czernic dla swej An„ny, która Cię czeka. Anna chce widzieć swego „Michasia i być z nim razem. Przyjeżdżaj, Anna „Cię czeka."

Zajęty byłem dziś pisaniem artykułu do „Przeglądu Wileńskiego" w sprawie wyborów. Uwydatniłem w nim poważną rolę, którą w wyborach z guberni wileńskiej mogłaby odegrać drobna własność ziemska, od której dziś zależy złamanie dominacji obszarników. Artykuł udał się dobrze. Poza tym zajęty byłem przeróbką stylistyczną artykułu Konrada Rusiecewicza; jest to świetny artykuł polemiczny, napisany z temperamentem i przepojony gorącym szczerym demokratyzmem; ukaże się on w numerze bieżącym „Przeglądu".

Stan Ludwika Abramowicza się polepszył nieco. Obłęd wczorajszy minął. Ludwik jest teraz pozornie spokojny. Oczywiście, że spokój to tylko zewnętrzny, powierzchowny. Otrzymałem list od Heli. Stosunek Heli do zachowania tego sprawia na mnie przykre wrażenie: nic żalu, nic serdecznego uczucia dla człowieka, z którym ją tyle razy łączyła miłość czy gorąca sympatia; Hela stara się w swych oczach zohydzić Ludwika, jako potwora, nie ocenia w nim cierpiącego, siebie i ojca [illegible] męczeństwa. Jakże jednak głęboko błądził Ludwik, posądzając Helę o miłość dla siebie. Nie było!

Wieczorem u Witolda Abramowicza odbyło się zebranie komitetu redakcyjnego „Przeglądu Wileńskiego". Ludwik Abramowicz podał się do dymisji ze stanowiska redaktora, którą potem raz zgodził się zastąpić dymisją przez czasowe zawieszenie; tymczasem zastąpi Ludwika w czynnościach redaktora Hertz. Omawialiśmy dalej budżet „Przeglądu", potem sprawy wyborcze nieco i wreszcie potrzebę pełniejszej akcji ludowej polskiej w kraju. Jest to potrzeba silna; acz w tej drodze obawiam się nacjonalizmu u narodników tej akcji — Witolda Abramowicza i Nagrodzkiego. Tu mogę się zmienić zresztą.

18 lipca. rok 1912. czwartek.

Od czasu naszej znajomości z Anną, a przynajmniej od sierpnia, odkąd się stosunek nasz obecny wytwarzać zaczął, nigdy jeszcze nie rozstawaliśmy się na tak długo, jak tym razem. Dziś upłynęło 3 tygodnie od dnia jej wyjazdu do Litwy na wakacje, 3 długie tygodnie spędzone samotnie bez niej. Rozstanie to, przedłużając się, bynajmniej nie osłabiło uczucia mojego dla niej. Nie mniej intensywnie dziś, niż w pierwszych dniach po jej wyjeździe, odczuwam jej brak dotkliwy i tęsknię.

O godz. 6 wieczorem nasz komitet redakcyjny „Przeglądu Wileńskiego" w osobach Knyziałowskiego, Witolda Abramowicza, Nagórskiego, Piłsudskiego i mnie, zebrał się u Witolda Abramowicza dla spotkania się z adwokatem i działaczem społecznym Aleksandrem Lednickim z Moskwy, byłym posłem do I Dumy, wybitnym postępowcem. Zwracaliśmy się do Lednickiego z prośbą o poparcie materialne „Przeglądu" w postaci udziału pieniężnego. Towarzysz Lednicki obiecał w zasadzie i wyraził życzenie zapoznania się z organizacją finansową i redakcyjną pisma, więc w tym celu dziś zebraliśmy się, korzystając z jego czasowego pobytu w Wilnie. Stan finansowy „Przeglądu" jest świetny. Prenumeratorów mamy trochę więcej ponad 300, drugie tyle mniej więcej się rozchodzi w sprzedaży szczegółowej. Do końca roku wydawnictwu brakuje nam, podług obliczeń z dotychczasowego biegu budżetu, około 2000 rb., z których ± 1000 rb. pokrywa się ze zgłoszonych, ale niewypłaconych jeszcze udziałów, a drugi tysiąc tymczasem wakuje. Że jednak do końca roku dotrwamy — to pewne, bo Nagórski i Knyziałowski nie dadzą upaść i ewentualnie z własnej kieszeni niedobór pokryją. O sumie zresztą z Lednickim nie mówiliśmy. Lednicki obiecał przysłać na rzecz „Przeglądu" kilkaset rubli w bliskim czasie z Moskwy, ale ile mianowicie — nie wyszczególnił

6 (19) lipca. rok 1912. piątek.

Dziś wypada rocznica pamiętnego dla mnie dnia uratowania Anny. Błogosławię tę datę, a dzieło to uważam za najbardziej wartościowe w całym życiu swoim, i to podwójnie, tak dla Anny, bo cóż może być wyższego ponad zdobycie życia i danie mu pełni swobodnego rozwoju, jak dla mnie samego, bo w stosunku z Anną pozyskałem dopiero całkowity wyraz mojej własnej indywidualności i szczęścia.

Przyjechała dziś do Wilna w przejeździe z Bohdaniszek do Robertowa Elwira Mieczkowska z córeczką i z siostrzenicą naszą Irenką Pruszanowską, którą odwozi do Bialcza.

Wieczorem w lokalu archiwum miejskiego w murach po-franciszkańskich odbyło się pierwsze posiedzenie nowej wybranej w poniedziałek komisji redakcyjnej do złożenia broszury popularnej w trzech językach o roku 1812. Komisja ta ochrzczona została w mieście nazwą komisji konfederackiej ze względu tak na to, że powstała na zebraniu, święcącym rocznicę setną akcesu Litwy do konfederacji Księstwa Warszawskiego, jak zwłaszcza na to, że się składa z Litwinów, Polaków i Białorusinów dla wspólnej solidarnej pracy nad uwydatnieniem krajowego znaczenia roku 1812. Z członków komisji obecni byli z Polaków ja i Wacław Studnicki, z Białorusinów Iwan Łuckiewicz i z Litwinów Michał Biržiška. Białorusin Łastowski i Litwin Jonulaitis byli nieobecni. Omówiliśmy we czworo główne wytyczne tej broszury. Uznaliśmy, że w przeciwstawieniu do broszur rządowych należy uwydatnić społeczną wagę momentu wojny francuskiej r. 1812 i jej znaczenie dla Litwy, a dalej sięgnąć do Rewolucji francuskiej i do naszego roku 1864 i t.p. Napisanie wzoru tekstu broszury zleciliśmy Białorusinowi Łastowskiemu, który umie pisać popularnie i ujmuje stanowisko demokratyczne. Mamy wspólnie z Łastowskim omówić plan broszury. Dziwi to mnie, że Studnicki nie oponuje nas ciągnąć zbytnio na kierunek nacjonalistyczny i państwowo-polski. Po zebraniu poszliśmy na kolację do ogrodu Bernardyńskiego, gdzie też się z Bułhaczanem spotkali.

7 (20) lipca. rok 1912. sobota.

Podług nakreślonego przeze mnie rozkładu czasu i pobytów na lipiec, miałem tak jak dziś wyjechać do Truskawiec do lasu na dni parę dla spraw budowy domu, a stamtąd dopiero do Libawy do Anny na jakieś dni kilka i wreszcie odbiję do Bohdaniszek na resztę lipca.

Tymczasem wczoraj pod wpływem tęsknoty do Anny, która mnie nieustannie trawi, strzeliło mi do głowy pojechać wpierw nie do lasu, lecz właśnie do Anny, bo zresztą jakaż różnica, czy pierwej tu czy tam, — a już wytęskniłem aż nadto i mogę sobie bez uszczerbku dla interesów na tę najradośniejszą chwilę wakacji moich pozwolić.

Gdy raz już mi ta myśl zaświtała, nie byłem w stanie ~~[illegible]~~ oderwać się od nadziei rychłego widzenia Anny i odrazu na dziś wyjazd do Libawy ustaliłem. Co za szczęście!

O godz. 6 ~~[illegible]~~ 7 wieczorem wsiadłem do pociągu. Byłem wzruszony samym faktem jazdy w kierunku Libawy i jeszcze bardziej nadzieją widoku Anny kochanej.

Nie zawiadomiłem Anny o przyjeździe, ale już mniej więcej może mnie ona w tych dniach spodziewać, bo pisałem, że ~~[illegible]~~ przyjadę wkrótce.

Wiwat, wiwat! Oto znów będę miał ją przy sobie, oto znów nieporównany wdzięk i barwność psychiczna tej Kobiety-żony otoczy mnie i da wytęsknioną pełnię życia. Anno moja — w Tobie zyskam całego siebie uzupełnienie.

8/(21) lipca. rok 1912.

O, dniu jedyny, dniu, którym bym nieskończoność chciał przedłużyć! Po tak długim rozstaniu błogosławiony bądź dniu połączenia, dniu niezrównanej słodyczy i niedzielnej głębi. Czym jest dla mnie Anna? — więcej niż żona, więcej niż kochanka, przyjaciółka, towarzyszka. Jest dla mnie wszystkim, jest wcieleniem całej prawdy życiowej, koroną bytu mego. Stosunek nasz nie ma w sobie nic ckliwości, nie z tej zdawkowej słodyczy przeciętnego romansu miłosnego, w której się właśnie uosabia obłuda li tylko chciwej żądzy i wyrafinowanego egoizmu. Nie ma ckliwości, ale nie ma też u nas konwenansu kontraktowego, streszczającego się w formule „do ut des". Stosunek nasz — to życie samo, to my. Streszczamy się w nim zupełnie, ze wszystkiemi wzlotami i zaletami ducha naszego, z całym zasobem zmysłów, uczuć, pragnień, myśli. Jest to głębia tak wielka, tak ~~[illegible]~~ w świadomości rozumu a przecie w istocie tak prosta, jak duch ludzki. To też to, co wyraził Bóg ~~[illegible]~~ biblijny, tworząc Ewę, jako wyraz jedności zupełnej w stopieniu dwojga ludzi dwóch płci odrębnej, — to się w stosunku naszym z Anną całkowicie wypełniło. Tak głębokiego stosunku, czyli związku żadnego, jak małżeństwo, zaiste innego nie ma. Małżeństwo — rzecz święta, rzecz wielka, — poza nią są błazeńskie imitacje i parodje szczęścia, są błazeńskie grymasy łatanej biedy, szczęście zaś — w nim tylko. Witaj mi, Anno kochana!

Spróbuję w kilku słowach określić przebieg dnia tego. Już od Możejek, od godz. 3 w nocy, nie spałem. Zbliżanie się do Libawy ~~[illegible]~~ podniecało mnie, poruszało. Na ostatnich stacjach kolejowych zaczęli się już mnożyć Łotysze, których zawsze lubiłem i ceniłem, ale którzy teraz, odkąd Annę kocham, są dla mnie podwójnie drodzy. W każdym Łotyszu dostrzegam jakby cząstkę istoty mojej Anny. Ludzie to silni duchowo, niezmiernie dzielni, wytrwali, jednolici, lud wielkiej przyszłości, a kobiety ich piękne nie tyle rysów, ile tą jakąś potęgą, która się w nich wyraża i z wnętrza wyziera, — złotowłose, jasne, z dużemi oczami. Po przyjeździe do Libawy przebrałem się na dworcu i, zasięgnąwszy informacyj co do rozkładu ulic i drogi, ruszyłem na miasto. Koło godz. 8 rano byłem na ulicy, przy której mieszka Anna — „Sirzu iela" albo „Srochowa". Nie mogłem wejść do Anny, która mieszka z matką i siostrą, jeno się więc przyjrzałem domowi, w którym mieszka, a czekałem, że może właśnie się ukaże. [illegible] Anna mieszka w dzielnicy robotniczej, w środowisku twardej pracy i walki. Sama ze środowiska tego pochodzi, co jest najszlachetniejszym [illegible] w społeczeństwie współczesnym. Z ulicy tej poszedłem do [illegible] miasta, do placu, na którym róże rosną, i stamtąd wysłałem do Anny posłańca z listkiem, zawiadamiając o przyjeździe i wywiadując się, [illegible]. Wrócił posłaniec z listkiem od Anny, bym ją przy [illegible] czekał. Że jakoś godzinkę przyszła z Ugrysiem. Z [illegible] poszliśmy do [illegible], potem do [illegible] Anny. [illegible] matka jej z siostrą [illegible] i z [illegible] pokojów [illegible], ale czysty i ze smakiem [illegible]. Cały dzień spędziliśmy na [illegible] lub w hotelu. [illegible] się czułem z podróży, ale [illegible].

328.

9 (22) lipca. rok 1912. poniedziałek.

Anna była dziś zajęta. Mój przyjazd znienacka nie dał jej możności przygotować się zawczasu i uwolnić od zajęć domowych. Anna przez czas pobytu w domu u matki pomaga matce i siostrze w robotach. Matka jej, staruszka, chodzi na robotę do portu i do fabryki, siostra jest szwaczką, pracuje na obstalunek w domu, ale jest chora na płuca. To też dziś te kobiety ledwo mogą podołać robocie w domu, i oczywiście Anna musi je wyręczać, to w gotowaniu obiadu, to w sprzątaniu mieszkanka, to w praniu bielizny, to wreszcie pomagając siostrze w szyciu. Anna pod tym względem przeby nie ma żadnej i nietylko się nie wstydzi środowiska swego i nie uchyla od pospolitej pracy w domu, ale całym sercem pomaga matce i siostrze. Ma ona głębokie i subtelne współczucie dla niedoli wogóle a rodziny swej w szczególności i jakimkolwiek się do pomocy garnie. I oto na dziś właśnie było wyznaczone w domu jej generalne pranie bielizny, do którego umiała stanąć. Wczoraj z wieczora miała zamiar wrócić na noc do domu i dopiero dziś pod wieczór po zakończeniu prania przyjść już na stałe do mnie, oczekując w domu wyjazdu do Widawy. Wczoraj wszakże, gdyśmy się z Anną w hotelu znaleźli, nie mogliśmy się oderwać od siebie. Z godziny na godzinę odkładaliśmy powrót Anny do domu, i tak cała noc przeszła. Dopiero więc dziś rano o godz. 10 odprowadziłem Annę do jej domu. Odprowadziłem ją niedaleko od domu i tam się pożegnałem, żeby przypadkiem matka jej lub siostra lub ktoś z sąsiadów nie dostrzegł, że przychodzi z mężczyzną obcym. Pożegnanie nasze, choć tylko na godzin kilka, było niezwykle serdeczne. Zostałem sam. Chodziłem po Libawie, przejechałem się tramwajem elektrycznym, tu i ówdzie, wreszcie posiedziałem nad morzem. Libawa sprawia na mnie wrażenie dodatnie. Nie znałem dotąd miasta tego (byłem tu kiedyś małym rocznym dzieckiem z Mamą w r. 1881). Miasto portowe ma zawsze cechy odrębne od miast lądowych: praca kipi, wielkie składy handlu tranzytowego, śpichlerze olbrzymie, wozy i wagony ładowne ciągną brzegiem przystani, parostatki i żaglowce towarowe nadają całemu miastu wygląd innego życia, innych zadań, innych funkcji, niż te, którymi żyją nasze miasta (litewskie). Libawa jest oprócz tego miastem fabrycznym; skojarzenie tych 2 cech — wytwórczości przemysłowej i wielkiego morskiego handlu tranzytowego — jest dla Libawy charakterystyczne i uwydatnia się tym bardziej, że miasto jest względnie niewielkie i przeto jego cechy zasadnicze nie zatracają się w szablonie zwykłego ruchu miejskiego. Tu zaś znów mię zachwyty wybrzeże na plaży morskiej. Ono mnie otwiera okno, zawieszona na płytkim wybrzeżu przezroczystym — i patrzę w nieskończoność; tu antyteza miasta handlowego i portu: w widoku morskim niema kraty drobnych, a choćby wielkich nawet zabiegów i usiłowań ludzkich — jest namiętność, ale inna, namiętność ruchu, żywiołu, potęgi. Choć dzień cały spędziłem samotnie, bez Anny, jednak poczucie, że jestem z nią w tym samym mieście i że ją zobaczę, działało na mnie kojąco i budziło jakieś czucie serdeczne, słodkie i ciche. O godz. 8 wieczorem Anna przyszła. Poszliśmy z nią znów nad morze i do kurhauzu na kolację, a potem Anna wróciła na noc do siebie, bo się wstydziła matki i siostry, aby drugą noc za domem spędzić.

10 (23) lipca. rok 1912. Wtorek.

Rano przyszła do mnie Anna. ~~to~~ ~~[illegible]~~ Teraz już przyszła na stałe, na cały czas mego pobytu na Łotwie. Powiedziała w domu matce i siostrze, że wyjeżdża do Windawy, dokąd z nią istotnie jutro wyjeżdżamy. Poszliśmy z Anną zaraz na miasto i potem nad morze. Anna jest przewodnikiem moim w Libawie, pokazuje mi, udziela wskazówek i wiadomości, a robi to wszystko inteligentnie i z wdziękiem. Obiad zjedliśmy w kurhauzie na werendzie, mając przed sobą widok na plażę i na szeroką, ~~[illegible]~~ blado-siwą wodę Bałtyku. Po obiedzie poszliśmy wypocząć do hotelu, a o godz. 8 znów wyruszyliśmy na miasto. Teraz Anna mię zawiozła do portu Aleksandra III. Na moście przy wejściu do portu wóz jeszcze zatrzymał nas żandarm, żądając wylegitymowania się z celu naszej wyprawy. Tu Anna oświadczyła, że jedziemy w gościnę do jakiejś rodziny robotniczej, zamieszkałej w porcie, którą ona zna. Żandarm po sprawdzeniu przez telefon, że rodzina taka egzystuje istotnie, ~~a~~ po pewnych ceregielach nas wpuścił. Nie wiele mieliśmy stąd wszakże pożytku, bo już się ściemniło i zaczęło, chodzić zbyt dużo po porcie, moglibyśmy obudzić podejrzenie, że się zajmujemy szpiegostwem. Brnęliśmy po piasku głębokim do siwego morza, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ wykąpaliśmy się trochę i wkrótce wyszliśmy. Na kolację pojechaliśmy do restauracyjki letniej „Cetinje", położonej na wysepce na jeziorze libawskim, a raczej na kanale, łączącym jezioro z morzem i służącym za przystań dla statków handlowych i rybackich. Było nam tam jednak ~~[illegible]~~ przyjemnie: wysepka cienista, bez drzew, z zaroślami jeno, płaska, samotna, na szerokiej gładkiej wodzie, w dali mury spichlerzy i martwych budynków handlowego portu. Chłodno też było i pusto na werendzie restauracyjnej.

Anna się trochę obawiała spotkania z siostrą lub kimś znajomym. Nie chce, aby w domu wiedziano, że jeździ ze mną, bo byłoby [illegible] z koleżankami [illegible]: [illegible] wiedzieli. Zatrzymanie [illegible] z klasy robotniczej, [illegible] prostaczki [illegible].

11 (24) lipca. roku 1912. Środa.

Wstaliśmy z Anną raniutko i siedliśmy na statek „Windau", który nas powiezie z Libawy do Windawy. O godz. 8 rano statek odbił od brzegu. Po wyjechaniu z portu Libawskiego obawiałem się narazie choroby morskiej. 2 razy tylko w życiu moim jechałem po morzu — w styczniu r. 1904 — z Ostendy do Dowru i z Dowru do Calais: nie doświadczyłem wtedy choroby morskiej, ale chwilowo miałem zawrót głowy i czułem, że w dłuższej podróży mógłbym chorować. To też byłem trochę niespokojny. Do Windawy podróż trwa 8 godzin. Ale morze było spokojne, pogoda łagodna, fala słaba; zresztą przez cały czas podróży nie odjechaliśmy ani razu tak daleko wgłąb morza, aby nie widzieć brzegu. Kołysania fal nie czuć było wcale na statku, jeno drganie maszyny parowej. Można było spacerować po pokładzie bez zbaczania z prostej linii, bez zataczania się, czego w mojej podróży do Dowru dokazać nie mogłem. Siwy Bałtyk dawał mi widok prześliczny. Morza wogóle nie znam prawie, nigdy nad niem nie mieszkałem, widywałem przelotnie jeno, ale je kocham. Z jednej strony miałem z pokładu horyzont zamknięty leciuchnem skrawkiem brzegu, zaznaczonym pasemkiem lasów, z drugiej zaś strony morze het nieskończone, piękne zwłaszcza gdy się na nie patrzy pod słońce: Bałtyk pod słońcem błękitnie i zlewa się z powietrzem i promieniami słonecznemi w wielką mgiełkę biało-siwą, błyszczącą odcieniem złotawym. Na statku, tak na pokładzie, jak w kajucie, publiczności było sporo: na górze przeważała publiczność łotewska, w kajucie gospodarzyli piwosze-Niemcy. My z Anną i z jej wychowańcem Ugrysiem, który dana w tej podróży towarzyszy i jest dla nas nakształt dziecka naszego, tworzyliśmy grupę osobną: zajęci tylko sobą, z nikim żadnych znajomości nie zawieraliśmy. Byliśmy weseli, roześmiani, gawędziliśmy, śmialiśmy się, żartowaliśmy ze sobą i li tylko na siebie nawzajem patrzaliśmy. Musieliśmy sprawić wrażenie

[illegible]

12 (25) lipca rok 1912. czwartek.

Większą część dnia spędziliśmy w Windawie. Dla Anny Windawa ma wspomnienia. Przed laty 3 czy 4, w r. 1908 czy 1909, brat Anny dzierżawił pod Windawą ogród; Anna mieszkała tu wtedy z bratem, jako gospodyni i pomocnica jego: uprawiali (tu oni) warzywo, ziemiopłody, kwiaty, które Anna codzień woziła do Windawy na rynek na sprzedaż. Mieli tu oni małą gospodarczkę ogrodniczą, mieli własnego konia, którego Anna gorąco lubiła. Potem poszło im jakoś źle, zapasu gotówki nie było, nie mieli z czego opłacić arendy, więc ziemię im odebrano, a sprzęty zlicytowano. Ma więc tu Anna wspomnienia miłe, bo lubiła to zajęcie w ogrodownictwie, ale też gorzkie i smutne, bo spotkał tu ją i brata zawód w przedsięwzięciu, krach. Anna mnie zaprowadziła za miasto, tam, gdzie jest ten ogród i ten domek, w którym mieszkała z bratem. Smutne to było życie mego kochanego biedactwa, smutny i ciężki los biednej dziewczyny z rodziny ubogiej, w wieczystym niedostatku, z ciągłą troską o chleb powszedni, w ciężkiej pracy bez jutra, bez wyzwolenia, a dziewczyny tak subtelnie wrażliwej, obdarzonej takim temperamentem i taką naturą bujną, jak moja Anna!

Na ogół Windawa, choć Anna jej nie lubi, mnie się podoba. Miasteczko samo jest niewielkie, ale czyste i niebrzydkie. Ładny zaś urok — to port morski i piękna rzeka Wenta, której ujście jest miejscem przystani statków. Jako port niezamarzający, Windawa ma wybitne znaczenie handlowe. To też handel tranzytowy między morzem a lądem stałym tu się rozrósł potężnie, kładąc swą wyłączną cechę na mieście. Składy towarów, śpichlerze, olbrzymie elewatory dla ładunków zbożowych otaczają dolny bieg i ujście Wenty, której brzegi są wypełnione statkami (o tej porze roku mniej, ale w zimie tu aż się roi podobno od statków i robota ładownicza kipi gorączkowo). Windawa ma charakter bardziej jednolity, niż Libawa. Jest to miasto li tylko handlu morskiego, wiążącego morze z lądem. Przemysłu własnego, który w Libawie jest dość wybitnie rozwinięty, tu nie ma. Pod względem składu ludności, Windawa też sprawia na mnie wrażenie miasta bardziej jednolitego, niż Libawa. W Libawie poza dominującymi Łotyszami jest bardzo jeszcze cech niemieckich, poza tym [struck] na każdym kroku Polacy, Litwini, Rosjanie. Tu w Windawie, choć podobno Łotysze (Łotysze?) są [illegible] i składają się przeważnie z wynarodowionych Liwów, których wszystkie w potocznym [illegible] się przechowały, na ogół większa jest jednolitość przynajmniej językowa łotewska. Po niemiecku bardzo często niepodobna się rozmówić, [illegible] raczej po rosyjsku.

Pod wieczór o godz. 7–8 wyjechaliśmy znów morzem, na tym samym, co wczoraj, parostatku „Windau" w kierunku Rygi, dokąd jutro dopiero dojedziemy. Zaraz za Windawą w kierunku Rygi jest w Bałtyku jakiś prąd czy wir wodny, po którym się wjeżdża natychmiast po wyjechaniu z portu Windawskiego. Fala jest tam krótka, kołysząca, przyprawiająca z łatwością o chorobę morską. Całe morze jest tu, nawet w czasie zupełnej pogody, drobnie rozkołysane. Czuje się to tak na przestrzeni dwóch godzin drogi. Zaczęło nas kołysać, [illegible] byli w kajucie, gdzie Anna zrobiła dla mnie posłanie [illegible]. Anna zaczęła trochę mdleć, [illegible] na pokład. Trzeba było iść, bo od kołysania statku kręci się, idąc, zatacza.

[illegible]

332 13 (26) lipca. rok 1912. piątek.

Rano, gdyśmy się obudzili z Anną i powychodzili z łóżek (spaliśmy w kajutach osobnych), statek płynął po morzu równym, spokojnym, gładkim, bez fali. Nie było śladu kołysania wczorajszego. Anna była już zdrowa, ale po wczorajszym umęczeniu osłabiona, blada. Biedaczka jest oczywiście słabego zdrowia; ciągle ją męczą bóle głowy, chwilami miewa zawroty, jest przeważnie blada i słaba. Gdyby nie to, że ma kości grube, wyglądałaby bardzo mizernie, bo ciało ma bardzo chude. Widocznie ma biedaczka anemję.
Koło południa wjechaliśmy z morza w ujście Dźwiny i sunęliśmy dalej śród pięknych [illegible] do Rygi. Przed godz. 1 byliśmy w Rydze, ale musieliśmy jeszcze czekać na rozwiedzenie mostu, potem niezmiernie długo trwało dobicie statku do brzegu, tak że wylądowaliśmy dopiero koło godz. 2-3. Z porady dorożkarza zajechaliśmy do hotelu „Ryga”, który miał być niby czysty i niedrogi, lecz się okazał obskurnym burdelem schadzek, brudnym i drogim. Przyjazd do Rygi obudził kokieterję Anny. Po przebraniu się poleciała do fryzjera dla uczesania się i natłoczenia sztucznej fryzury. Po obiedzie poszedłem z Anną wybrać dla niej kapelusz. Oddawna już Anna, odkąd jeszcze w Trokach w maju deszcz poplamił i nadpsuł jej kapelusz, który musiała następnie przefarbować na czarno lakierem i który już teraz tak eleganckim, jak poprzednio, nie jest, marzyła o sprawieniu nowego kapelusza. Wyjeżdżając do Libawy, zapowiadała, że tam sprawi sobie nowy kapelusz letni, co ja starałem się wyperswadować. Ale w Libawie nie wystarczyło jej pieniędzy, bo musiała dopomóc matce i siostrze, i została bez nowego kapelusza. Teraz ja po przyjeździe do Libawy, wiedząc, jak Anna o nowym kapeluszu marzy, i chcąc jej sprawić przyjemność, zapowiedziałem, że po przyjeździe do Rygi zafunduję jej kapelusz. Poszliśmy więc z Anną do jednego magazynu, potem do drugiego. Anna przebierała długo ~~[illegible]~~ i nie mogła się na żaden zdecydować. Walczyła w niej wstydliwość i wrodzona a bardzo w niej rozwinięta delikatność z kokieterją i namiętnością kobiecą do strojów. Wstydziła się wydatku z mojej kieszeni a cała się zapaliła do eleganckich modnych i kosztownych fasonów i upiększeń kapeluszy. Tymczasem we mnie narastała niechęć do kokieterji Anny i jakiś żal za to, że tyle serca i temperamentu w to wkłada. Chciałem też, aby Anna wyglądała w kapeluszu, jak [illegible], [illegible] — wołałem coś skromnego. Anna była jak w gorączce i [illegible]. To też z [illegible] [illegible], zmierzyło[?] się [illegible] kapelusza [illegible] [illegible] się [illegible] i [illegible], [illegible] się kupić.

[illegible]

14 (27) lipca rok 1912. sobota.

Żal mi biednej Anny, strasznie żal. Jest słabowita, bardzo wątłego zdrowia. Dziś rano, gdy się ubierała, nagle się jej źle zrobiło, tak że musiała usiąść na stołku i zaraz się położyć. Po chwili odzyskała siły, ale była blada i bądź co bądź osłabiona. Przez cały ten dzień uskarżała się na ból głowy. Chciałbym być dla niej zawsze równie serdecznym, słodkim, troskliwym, a niestety — nie jestem takim. Tkwi we mnie paskudna natura samca, która jest większością sprawiona uciech i rozkoszy obcowania z kobietą kochaną. Chwilami panuję nad sobą i jestem w stanie stłumić tę pasję krwiożerczą, ale znów chwilami wyłazi szydło z worka i żądza podła mąci mię wewnątrz i przyprawia o jakąś dziką chęć pastwienia się nad Anną i zadawania jej bólu, gdy się zaspokoić nie daje. ~~Anna~~ W Annie coś pociąg zmysłowości ~~[illegible]~~ widocznie się w tych czasach obniżył; jeszcze przez 3 pierwsze dni w Libawie była ona gorąca i namiętna; teraz zaś jest widocznie zmęczona i wyczerpana i obcowanie fizyczne ją męczy; widzę, jak go unika, jak się od niego chroni dyskretnie, bojąc się wszakże sprawić mi przykrość. Jest wymęczona też podróżą, chorobą morską, bólem głowy. Ja też panuję nad sobą i staram się skierować uwagę żądzy, co mi się objektywnie udaje, ale żądza tłumiona wyrywa się wewnątrz w postaci złych humorów, łatwego podrażnienia i t.p., a wtedy jestem dla Anny ciężki, zły i okrutny. Zanadto szanuję w niej kobietę słabą, zanadto uwzględniam jej stan zdrowia. I rozumiem to dobrze, gdy myślę o tym, bo jednak, gdy jestem z Anną, nie umiem zapanować nad nastrojami, które — wiem to dobrze — z niezaspokojonej żądzy samczej płyną.

Wstaliśmy dziś z Anną dość późno. Do obiadu chodziliśmy po Rydze, załatwiliśmy kilka sprawunków, po obiedzie zaś pojechaliśmy ~~[illegible]~~ nad morze do miejscowości letniskowej Assern. Assern więcej się nam podobał od wczorajszego Karlsbadu, bo zabudowanie tu mniejsze i roślinność obficiejsza, ale bądź co bądź i tu nie tak pięknie, jak głosi przesadna opinia o ryskich kurortach morskich. Więcej mi się podoba dla pobytu nad morzem. Na noc wróciliśmy do Rygi. Piesek Anny, Umyk, stale nam we wszystkich wycieczkach towarzyszy. Mamy w nim bardzo miłego i zabawnego towarzysza.

Dziś rocznica urodzin córki mojej, Cesi Römerówny. Jak daleki dziś jestem nie tylko fizycznie, ale duchowo, od tego dziecka. W pierwszym roku po jej urodzeniu była ona ciągle żywa w marzeniach moich. Teraz — jest dla mnie zupełnie obca. Nie myślę o niej nigdy prawie, nie znam jej wcale. Dziś skończyła Cesia 2 lata.

1 (28) lipca. rok 1912. niedziela.

Rano pochodziliśmy z Anną jeszcze ostatni raz po Rydze, zjedliśmy obiad znowu na werendzie jakiejś eleganckiej restauracji w parku Wermańskim i na godz. 4 popołudniu, przebrawszy się do podróży, ruszyliśmy na dworzec kolejowy tak zwany „Ryga II“, by już wracać do Libawy. Otóż i koniec tej naszej wycieczki z Anną, krótkiej, jak mgnienie oka. W pięknych chwilach serdecznego nastroju nazywaliśmy z Anną tę naszą wycieczkę podróżą poślubną. Byliśmy bowiem sami świata sami, oddani wyłącznie sobie, jakby odcięci od wszelkiego obcowania z ludźmi.

Na dworcu kolejowym spotkała Annę przykrość. Miała ona portmonetkę w swym woreczku ręcznym i oto ktoś na dworcu w tłumie otworzył woreczek i, nie tknąwszy innych rzeczy, wybrał portmonetkę. W portmonetce było przeszło 8 rubli, całe bogactwo Anny, cały jej majątek, reszta jej pensji lipcowej. Pieniądze te powinny były jej wystarczyć do końca pobytu w Libawie, to znaczy do pierwszych dni sierpnia, i opłacić podróż powrotną do Wilna. Biedna Anna, spostrzegłszy tę stratę, bardzo się stropiła; pobiegła zaraz z wagonu do poszukiwań, ale oczywiście nie znalazła już zguby; portmonetka z pieniędzmi już się ulotniła. Anna była zgryziona i zasmucona; tak się poprzednio dość uchylała od przyjęcia jakiegoś naddatku ode mnie, twierdząc, że sobie z temi 8 rublami wystarczy, i tak była dumna z tego, że się bez obciążania kieszeni mojej obejdzie. To też ze zmartwienia aż popłakała w wagonie, ale potem rychło się uspokoiła i odzyskała humor, który nam aż do samej niemal Libawy dopisywał. Obiecałem Annie wysłać jej zaraz trochę pieniędzy z Wilna, by miała za

[illegible]

16 (29) lipca. rok 1912.

Jestem niepoprawnie zły. Wczoraj wieczorem po głupich scenach żalów, które właściwie ni w pięć ni w dziewięć wyprawiłem Annie, powodując się li tylko, jak powiedziałbym zwykle, kaprysami, nie spróbowałem się z Anną pogodzić, i tak, w rozterce wzajemnej usnęliśmy w hotelu „Kronstadt", do którego zajechaliśmy. Dopiero rano przygarnąłem się do Anny, by ją przeprosić i ukoić. Ale zanadto biedaczka moja dotkliwiej, męczyła się tym, com jej wczoraj nagadał, dotykając złośliwie jej nieszczęśliwej przeszłości oraz raząc ją przypuszczeniami na przyszłość. Anna była głęboko wzruszona i na razie nie dawała się ukoić, nie chcąc uwierzyć szczerości zapewnień moich. Wreszcie po jakimś czasie uściskaliśmy się i pogodzili. Jakiż ja jestem zły chwilami dla Anny, ile niegodziwości, ile złośliwych instynktów drzemie w naturze samczej!

Ostatni dziś nasz dzień! Jak smutno. Także bywałem w tych dniach ~~tak~~ chwilami tak ciężki dla Anny, dlaczego własnowolnie zatrułem szereg pięknych momentów mojego własnego i naszego szczęścia!

Dzień ten ostatni zużyliśmy na wycieczkę zamiejską. Pojechaliśmy we dwoje łódką ~~przez~~ jezioro Libawskie na brzeg przeciwległy; tam zjedliśmy skromny obiadek w restauracji leśnej i przez kilka godzin spacerowaliśmy po laskach i polach okolicznych, ~~—~~ odpoczywaliśmy na trawie, piliśmy mleko u farmerów łotewskich i t. d. Przed wieczorem mieliśmy wracać, ale taki wicher się zerwał i taka fala wstała na jeziorze, że musieliśmy wracać łodzią motorową, przyczepiwszy z tyłu naszą łódeczkę. Ostatnie godziny w Libawie spędziliśmy w pokoju w hotelu. Smutno się rozstawać. Annie rozstanie ciężyło kamieniem na sercu, mnie także. Było nam jak przed nieszczęściem. Przed północą Anna mię odprowadziła na dworzec kolejowy i zaraz mię pociąg poniósł w kierunku Wilna. Oto i koniec tego snu złotego. Szczęśliwie i ciężko. Oby prędzej doczekać sierpnia i powrotu Anny.

17 (30) lipca rok 1912. wtorek.

Dziś rano przyjechałem do Wilna. Śpieszno mi już do Bohdaniszek, ale muszę jeszcze wpierw zabawić parę dni w Wilnie, gdzie mam trochę roboty, i pojechać chciałbym na króciutko do lasu mego.

Byłem dziś w redakcji „Przeglądu Wileńskiego". Ludwika Abramowicza już nie ma, wyjechał na wypoczynek do Bronisława Krzyżanowskiego na jego letnie mieszkanie pod Wilnem. Ludwik już jest podobno spokojniejszy. Sądzę, że stopniowo wróci do równowagi i zapomni o Heli. Nie należy on, zdaje się, do ludzi zbyt głębokich. Jego dramat uczuciowy miał raczej charakter teatralny, widowiskowy; był to raczej kryzys nerwowy na podkładzie histerycznym, niż głęboka tragedia uczucia. Ludwik Abramowicz, który już miał sobie życie odbierać i w każdym razie uważał się za całkowicie odtąd niezdolnego do pracy i z tego tytułu oświadczał, że się zrzeka redaktorstwa „Przeglądu"; ostatecznie nie zrzekł się takowego, jeno wziął sobie urlop na czas dłuższy. Obecnie pełni czasowo funkcje redaktora w zastępstwie Ludwika — Benedykt Hertz. „Przegląd" tymczasowo w miesiącu bieżącym wychodzić będzie raz na 2 tygodnie w podwójnej objętości. Najbliższy numer wychodzi właśnie w końcu tygodnia bieżącego. Do tego numeru ja daję kwestjonarjusz o stanie ekonomicznym wsi ze wstępem, w którym nawołuję chętnych do układania na podstawie kwestjonarjusza tego monografji czyli opisów wiosek oraz uzasadniam pożytek społeczny takiego przedsięwzięcia.

[illegible]

18/31 lipca

rok 1912.

Wieczorem w moim mieszkaniu odbyło się posiedzenie naszego polskiego demokratycznego komitetu wyborczego. Obecni byli członkowie komitetu Witold Abramowicz, Bronisław Krzyżanowski, Gabrjel Sokołowski, Zasztowt, Uścinowicz, Środa i ja oraz przyprowadzony przez Krzyżanowskiego Jan Piłsudski, który brał udział w naradach narówni z członkami komitetu i zapewne odtąd będzie do komitetu należał. Nieobecni byli Józef Kłott, Niewodniczański, Doboszyński i Osmołowski (ten ostatni zawiadomił, że się z braku czasu wycofuje z komitetu).

Sytuacja wyborcza jest w obecnej chwili taka. Endecko-konserwatywno-klerykalny t. zw. „Polski Centralny" komitet wyborczy już się ukonstytuował i ogłosił się. Kandydatur swoich dotychczas komitet ten nie ogłosił. Formułowanie kandydatur ma być u nich ustalone koło połowy sierpnia w drodze głosowania na zebraniu wspólnym komitetu centralnego z komitetami cyrkułowymi. Słychać już wszakże, że tam od I kurji wystawiona będzie kandydatura Witolda Bańkowskiego (umiarkowanego postępowca, na którego względnie liczyć mogli a który przeszedł do endeków), a z II kurji jakiegoś zapewne księdza, bardzo prawdopodobnie że tegoż Maciejewicza. Kwestja podziału prawyborców miejskich na jedną kurję wyznaniową, chrześcijańsko-katolicką i żydowską, dotąd jest w zawieszeniu. Nasza pozycja jest bardzo trudna, bo nie mamy odpowiedniego kandydata. O Wróblewskim nie ma co myśleć — nie zgodzi się. I znowu dziś, jak zawsze, gdy zaczęto mówić o kandydacie demokratycznym za odmową Wróblewskiego, zaproponowano moją kandydaturę. Dla elementu demokratycznego moja kandydatura ma barwę wyraźną i jest pożądana, ale moje imię jest postrachem dla kleru i endeków, którzy mają we mnie wroga jawnego i zdeklarowanego, toteż szanse takiej kandydatury jaskrawej jak moja, byłyby w Wilnie słabe. W naszym komitecie Witold Abramowicz jest stanowczym przeciwnikiem mojej kandydatury. Co do mnie, to ze względów osobistych wolałbym uniknąć kandydowania, bo szans przejścia do Dumy nie dostrzegam, a narażanie się na oszczerstwa i ataki przeciwników w kampanji wyborczej nie jest szczytne, zwłaszcza że tu mogą być wywlekane jakieś fakty z mojego życia osobistego, z małżeństwa mego z Marie i mego stosunku z Anią, i że w dzisiejszym a zwłaszcza u Papy narazić mię to mogło na konsekwencje nader bolesne, skądinąd wszakże nie mogę zaprzeczyć, że kandydowanie i rzucenie się w wir walki wyborczej podobałoby mi się i dla strony pożądanej wrażliwości mojej. Odmówiłem dziś, ale na stanowczą kategoryczną odmowę zdobyć się nie mogłem i sam nie wiem, czy się zdobędę, jeżeli nalegać będą. Wolałbym wszakże, aby ten kielich przeszedł [illegible] i tak dużej ambicji i wrażliwości, a tak w istocie gorzki, ominął mię jakkolwiek. Postanowiliśmy kooptować do naszego komitetu nowych paru członków: Wacława Studnickiego, dr. Boguszewskiego, dr. Ambrożewicza,

19 lipca
1 sierpnia
rok 1912.
czwartek.

Zaraniutko przyjechałem do Radoszkowicz, skąd najętą furmanką dojechałem do Chełmnicy. Chciałem dostać stamtąd konie do wioski Trusewicz, ale Kazia w domu nie zastałem: wyjechał o kilka wiorst na roboty polowe i nie miał wrócić do wieczora. Nie dostałem też herbaty i śniadania, a gdy się dowiedziałem, że wszystkie konie chełmnickie, włącznie ze stajennemi, są dziś zajęte pracą, postanowiłem pójść piechotą do odległego zaledwie o pół wiorsty Nowego Dworu i stamtąd o konie poprosić. Tak też zrobiłem. Wchodząc do Nowego Dworu spotkałem idących na spacer Zunię Chełchowską z braćmi Lolkiem i Zozikiem Wołodkowiczami, którzy byli bardzo zdziwieni tym niespodzianym spotkaniem. Oprócz wyżej wymienionych zastałem w Nowym Dworze oboje wujostwo Wołodkowiczów, Cenię Ludwisiową Wołodkowiczową, Marynię Wołodkowiczównę i małe dzieciaki t. zw. „Zobulinkę" (Zuńkę) Chełchowską i Hanię córkę Ludwisiów Wołodkowiczów. Cenia Wołodkowiczowa (Chrzczonowska z domu, rodząca się z Truszanowskiej, rodzonej siostry szwagra mego Czechjela) bawi w tych stronach czasowo: przyjechała odwiedzić swą córeczkę, hodującą się u Chełchowskich, i rodzinę męża; jej rozstanie z Ludwisiem nie było właściwie zerwaniem; poprostu Cenia nie chce mieszkać w Mińsku, gdzie właśnie mieszka mąż. W Nowym Dworze zabawiłem do jakiejś godz. 5-6 popołudniu. ~~[illegible]~~ Na obiad przyjechał tu Kazio Wołodkowicz, z którym potym odjechałem do Chełmnicy, skąd dał mi on konia do Trusewicz. Przyjechałem do Trusewicz koło godz. 10 wieczorem.

20 lipca.
2 sierpnia.
rok 1912.
piątek.

Spędziłem dzień w Trusewiczach.
Chodziłem trochę po lesie, obejrzałem budującą się leśniczówkę w Wiarowcu, dokonałem wypłat za rozmaite wykonane roboty w związku z budową domu, wydałem wreszcie odpowiednie rozporządzenia b. Dziesiekierskiemu.
Słowem — poświęciłem dzień sprawom administracyjnym.
Upał był i parność wielka, więc zresztą chodziłem względnie mało.
Już to lato mamy w tym roku niezmiernie suche, jak zresztą jest stale od lat jakichś 4–5.
Dziwi mnie, że taki mały jest ruch kupców koło lasu mego. Karteczek na obejrzenie lasu wydałem w końcu czerwca pewno przeszło 20, a obejrzało las jeno 4 kupców, do mnie zaś dla pertraktacji o sprzedaży prawie żaden się nie zgłaszał.
A powinnoby być chyba inaczej, bo las wyjątkowo piękny, przyrostu niezwykły i zapasów się niezmiernie potrzeba.
Na pociąg nocny do Wilna wyjechałem z Trusewicz o zmroku i przez całą niemal drogę drzemałem i kiwałem się w furmance.

21 lipca / 3 sierpnia. rok 1912. sobota.

Dzień spędziłem na załatwianiu w Wilnie poszczególnych drobnych interesików. Byłem w Sądzie i w Zjeździe Sędziów Pokoju, zajrzałem do poszczególnych spraw. Byłem u Żmujdzinowiczów dla zakończenia rachunków VI wystawy litewskiej i wieczorem wypełniałem blankiety przekazów dla wyekspedjowania pieniędzy wystawcom za ~~[illegible]~~ sprzedane na wystawie eksponaty. Rozmawiałem też dziś z litwinem Šaulysem, który od niedawna tu osiadł w Wilnie i jest wcale tęgim człowiekiem, szczerym demokratą, wolnym od nacjonalizmu, co należy do wyjątków nawet w obozie demokratycznym u litwinów. Wreszcie zaangażowałem adwokata Wyszyńskiego, a także Jeleńskiego i Stefanowskiego do mojej dziesiątki podkomitetowej w myśl uchwały środowej naszego demokratycznego komitetu wyborczego.

22 lipca.
4 sierpnia.
rok 1912.
Niedziela.

Wyszedł z druku podwójny № 29-30 „Przeglądu Wileńskiego" pod redakcją Mertza; postanowiliśmy bowiem na koniec lipca i początek sierpnia, t.j. na sezon t. zw. ogórkowy, wydawać „Przegląd" nie co tydzień, lecz co 2 tygodnie, w objętości podwójnej. № obecny był debiutem redaktorskim Mertza w „Przeglądzie". Debiut, czy to zawdzięczając istotnie Mertzowi, czy też przypadkowi, wypadł bardzo udatnie. Numer ten jest bardzo ciekawy i treściwy. ~~Wielki~~ Zawiera [redacted] on prócz obfitego działu rozmaitych wiadomości bieżących, paru rzeczy ogólnikowych, wstępnego artykułu pióra Mertza dość sobie ględziarskiego na temat polityki Koła Polskiego, trzy ciekawe i treściwe prace, [redacted] dotyczące samej rdzeni stosunków krajowych — to mój kwestjonarjusz o stanie ekonomicznym wsi, artykuł młodego Chomińskiego o własności ziemskiej w kraju, omawiający ciekawe zagadnienie o bycie i przyszłości większej własności ziemskiej, poruszone przez Kuncewicza, i treściwy cyfrowy artykuł dr. Boguszewskiego o działalności sanitarnej w budżecie miasta Wilna.
Ciekaw jestem, czy mój kwestjonarjusz znajdzie oddźwięk i czy pobudzi ludzi do [redacted] sporządzania opisów wsi. Jest on bardzo wyczerpujący i istotnie wart [redacted] krytykowania. Zdaje się, że powinien on pobudzić szersze zainteresowanie.

23 lipca.
5 sierpnia.
rok 1912.

poniedziałek.

Dziś wreszcie wyruszyłem na urzędowe wakacje moje do Bohdaniszek. Ale wakacje te zmalały bardzo, bo pilno mi z powrotem do Wilna, a pilno dlatego, że tam się już z Anną spotkam. Właściwie Anna mogłaby już teraz do Wilna wrócić, a nie wraca tylko dlatego, że mnie jeszcze nie będzie. Z tego względu zabawię w Bohdaniszkach nie dłużej, niż do 2 sierpnia, a na 3 sierpnia rano wezwę już Annę. Oby czas ten przeleciał błyskawicznie! Wyjechałem z Wilna do Bohdaniszek ze Żmujdzinowiczami. Gdy się przed paru tygodniami dowiedziałem, że Żmujdzinowiczowie jadą do Dusiat, skąd projektują wycieczkę łódką po rzece Świętej od jej źródeł do Wilji i dalej Wilją do Kowna, zaproponowałem im, aby przyjechali do Bohdaniszek, skąd odprowadzę ich łódką po jeziorze Sartys (po litewsku = Sartai) do Dusiat. Naraz się wahali, bo nie znają Rodziców moich a słyszeli, że Papa jest człowiekiem starej daty i nie lubi Litwinów, więc się obawiali narazić na przykrość i być źle widzianymi. Ja wszakże nie dałem za wygraną i, ~~powiedziawszy~~ będąc w Bohdaniszkach 1 lipca, powiedziałem o projektach Żmujdzinowiczów Mamie i Maryni. Istotnie Mama i Marynia lękały się, że Papa byłby nierad z wizyty Żmujdzinowiczów, ale potem Mama potrafiła w chwili stosownej uprzedzić Papę i, zyskawszy tą drogą aprobatę Papy, Marynia napisała do Żmujdzinowiczów, zapraszając ich serdecznie. Żmujdzinowiczowie byli zaproszeniem Maryni bardzo ujęci i dziś razem ze mną wybrali się do Bohdaniszek. Papa w ogóle nie lubi Litwinów i, choć nie jest pyszny, nie lubi, aby do Bohdaniszek przyjeżdżali ktoś z innej, t. zw. niższej sfery towarzyskiej; szczególnie zaś nie lubi i ma jakieś uprzedzenie do moich znajomych osobistych, których posądza zawsze o bezbożność i przekonania wywrotowe, socjalistyczne. Zdaje się, że ambicja Papy cierpi na tym, że w swoim domu znosić musi ludzi, dla których Papa nie jest autorytetem i którzy mogą mnie za coś godnego powagi i uznania uważać. W oczach Papy jestem [illegible] dziedzicem i człowiekiem niepoważnym, kształconym, ale zwichniętym przez złe wpływy i naleciałości wywrotowe.

Żmujdzinowiczowie – bardzo mili ludzie. Ona, moja koleżanka z czasów paryskich, dentystka z zawodu, pochodzi z rodziny szlacheckiej ziemiańskiej (Putwińska z domu) ze Żmudzi. Właściwie Żmujdzinowiczowa jest z urodzenia i wychowania kultury polskiej, jeno przez swe sympatie i przez aspiracje demokratyczne zaczęła się poczuwać do narodowości litewskiej. Mąż jej, Antoni Żmujdzinowicz, artysta-malarz, jest pochodzenia włościańskiego. Jest on Litwinem z krwi i kości; rodem jest z pow. sejneńskiego gub. suwalskiej. Jest patriotą litewskim gorącym, choć nie nacjonalistą; zresztą w ogóle daleki jest od polityki. Jako człowiek jest b. sympatyczny, cierpliwy, żywy, bardzo słodki i łagodny, wrażliwy, prosty i czysty.

24 lipca
6 sierpnia
rok 1912.
wtorek.

Zatrzymaliśmy Żmijdzinowiczów na cały dzień dzisiejszy w Bohdaniszkach, odkładając wyjazd do Dusiat na jutro. Papa jest dla Żmijdzinowiczów towarzysko grzeczny, chociaż jakiejś uprzejmości większej nie okazuje i naogół ma w sobie pewien chłód i sztywność. Za to Mama jest dla nich bardzo serdeczna. Po obiedzie chodziliśmy z Maryńką i Żmijdzinowiczami na pole do koni roboczych, potym Antoni Żmijdzinowicz, ja, Stefuś i Arkadjusz Dziemba, korepetytor Stefusia, uczeń 7 klasy gimnazjum, kąpaliśmy się w stawie na polu. Po kolacji Żmijdzinowiczowie, Maryńka, ja i dzieci wybraliśmy się na dłuższy spacer pod ~~Sta[illegible]~~ Staczeragi, stamtąd doliną Łaciupisa do wioski Ruskiele i z Rukiel do domu. Okolica Bohdaniskie obfitują w piękne i malownicze widoki. Głębokie rozległe doliny, przecinające faliste płaskowzgórza i zbiegające się długiemi i szerokiemi pasmami do wielkiej wspólnej doliny jeziora Sartys, stanowią w widokach przepiękne skojarzenie wzgórz z dalekiemi ~~[illegible]~~ perspektywami przestrzeni. Dla oczu, wrażliwych na piękno natury, miejscowość nasza daje wspaniały materjał dla wrażeń estetycznych. Niewątpliwie też musi ona pięknie kształtować charaktery mieszkańców kraju tego.
Rano byliśmy ze Żmijdzinowiczami u Kligysów w wiosce Bohdaniszkach. Stefa Nie[illegible] pokazywała im stary ~~[illegible]~~ litewski ubiór stary, — tę namiotkę, która już wyszła dziś z użycia. Z całym namaszczeniem zawiązała namiotkę na głowie Helci, która wyglądała przepięknie w tym charakterystycznym i malowniczym stroju.

25 lipca
7 sierpnia
rok 1912.

Środa.

Mieliśmy dziś odprowadzić Żmujdzinowiczów do Dusiat. Wstaliśmy wcześnie, po godz. 6 i wyjechaliśmy całą gromadą trójką koni w olbrzymiej t. zw. bryce warszawskiej przez Pakiewie do Rzewun. Bryka warszawska wyjęta od lat ze składów po wielu latach nieużywania. Pojemność jej zaiste znakomita. Jechali obaj Żmujdzinowiczowie, Marynia, ja, Helcia, Stefuś, Arkadjusz Dzienko i furman, a jeszcze przy dobrych chęciach wobec potrzeby drugie tyle by się w bryce zmieściło. W Rzewuniach zabawiliśmy czas jakiś, bo to dziś święto patrona parafjalnego, Jakóba, i Marynia z Helcią się spowiadały. Marynia z dziećmi była w kościele, ja zaś oprowadzałem Żmujdzinowiczów po cmentarzu kościelnym i mogiłach, pokazując im piękne krzyże litewskie, które są zaiste u nas prześliczne. Z Rzewun dojechaliśmy końmi nad brzeg jeziora Sartys pod Bobryszki. Okazało się wszakże, że w Bobryszkach łódki do wynajęcia do Dusiat nie ma. Po długich naradach postanowiliśmy konie odesłać do Rzewun a samym dotrzeć pieszo do Stawskich do Annopola i oddać się pod opiekę p. Józefa Stawskiego, aby nam obmyślił lokomocję dalszą. Przeprawiliśmy się na łodzi na wyspę do Bobryszek i ruszyliśmy pieszo wpoprzek wyspy z parą wiosek do wsi Krugiszek, skąd znów należało przejechać łodzią na drugi brzeg → odnogi jeziora do Annopola. Po drodze na wyspie spotkaliśmy jedną z sióstr Stawskiego, która wnet zawróciła i z nami do Annopola poszła. W Annopolu nakarmiono nas obiadem. Dopiero koło godz. 1 we dnie ruszyliśmy dwiema łódkami w drogę w kierunku Dusiat, odprowadzani przez Józefa Stawskiego i siostrę jego. Rozmowa ogólna toczyła się przeważnie po litewsku; dla mojej siostry Maryni było to nowością: nigdy, zdaje się, nie była ona w takiem towarzystwie inteligentów Litwinów, w którym by prowadzono rozmowę ogólną po litewsku, zawsze bowiem obecność polaka lub polki w gronie kilku Litwinów wytwarza rozmowę polską; zresztą Marynia potrafiła nieźle mówić po litewsku; gramatyki się wprawdzie nie trzymała, bo jej nie zna, ale słów nie szukała. Dzieci zato nasze rozumiały: Helcia tylko umie po litewsku, ale wstydzi się mówić wobec inteligentów, bo mówi językiem łamanym z błędami. Po odjechaniu wiorst 3 od Annopola, jeszcze przed kuracją Dusiacką

[illegible]

26 lipca. / 8 sierpnia. rok 1912. czwartek.

Po wyjeździe Żmujdzinowiczów czas płynie w Bohdaniszkach w niezmąconym spokoju. Człowiek wraca do jakichś prawzorów życia organicznego, je, [redacted] rusza się, siedzi, śpi, — bez żadnego wysiłku, bez żadnej troski doraźnej. Jeno się czuje, że spokój ten jest przemijający, że gdzieś tam poza tym błogim spokojem czekają nań troski, walki, czeka życie, które się przecie kocha i do którego, pomimo kłopotów i bólów, się tęskni, bo jest w nim także i wesele i szczęście. Taki pobyt w Bohdaniszkach — to powrót do lat dziecinnych, do prostych uciech dalekiej przeszłości. Istotnie nic się tu właściwie od moich lat dziecinnych nie zmieniło: ludzie trochę postarzeli, niektórzy ubyli, przybyli nowi, drzewa podrosły, ale duch i charakter ogólny — ten sam typowy, co dawniej. Pod wieczór byłem w kąpieli ze Stefusiem i Arkadiuszem Didenko, wieczorem po kolacji byłem z tymi w Gaju, gdzieśmy ognisko w lesie rozpalili. Jest wciąż pogoda, ciepło, ale już nie takie, jak poprzednio mieliśmy: codzień są burze z wichrem, deszczem lub nawet ulewą. Stałych deszczów wszakże dotąd nie było, ale [redacted] przypuszczam, że może nastąpią, bo mi dziś na wieczór ząb się trochę rozbolał.

27 lipca.
9 sierpnia.
rok 1912.
piątek.

Pojechałem z Pappą po obiedzie do Łotrzewnia do pp. Antoniostwa Weyssenhoffów. Naprawdę nie miałem ochoty jechać i zgodziłem się jechać tylko dla dogodzenia Pappie, który szukał towarzysza lub towarzyszki do tej jazdy i nie znajdował ochotnika. Teraz wszakże jestem bardzo zadowolony z tej jazdy, bo w Łotrzewnie zastaliśmy malarza p. Henryka Weyssenhoffa, synowca p. Antoniego. Z Henrykiem Weyssenhoffem znamy się dobrze z czasów moich paryskich. Na wiosnę roku 1905 spędziliśmy z nim razem noc jedną na szalonej hulance po Paryżu; ta noc stała się spoidłem naszego stosunku serdecznego; bo też to była noc bajeczna, spędzona w towarzystwie kobiet, wpierw w „Caveau d'Olympia", a potym u modystek na „rue Poissonnière"; pełna wspaniałych pomysłów artystycznych i pustej zabawy dziecinnej na tle pięknie udekorowanej orgji zmysłowej. Czego bo tam nie było i jakich uciech i jakich wizji świetnych! Pełną gębą po parysku! Byliśmy tam we troje: Henryk Weyssenhoff, Stefan Pipani i ja. Znałem się z Weyssenhoffem już oddawna poprzednio, ale dopiero noc ta zadzierzgnęła między nami węzeł sympatji i poniekąd koleżeństwa. Teraz po spotkaniu się zaczęliśmy odrazu mówić do siebie na „ty". Teraz Henryk Weyssenhoff przyjechał w te strony dla dokonania szkiców do ilustracji książki Józefa Weyssenhoffa „Soból i panna". Jest to artysta z bożej łaski, człowiek wielkiego talentu, wielkiej wrażliwości i temperamentu oraz wybitnej kultury. Rozmowa była bardzo ciekawa i ożywiona; Henryk bawił nas mnóstwem barwnych opowiadań, z których najciekawszym był wspomniany opis świetnego balu artystów „des Quat'z'arts" w Paryżu zimy ubiegłej: zabawa z tysiąca i jednej nocy, pełna czaru zmysłowego w najsubtelniejszej dekoracji smaku paryskiego, kobieta kult kobiety, jako takiej, szczyt zachwytów ekstazy artystycznej. Kostjumy, technika dekoracyjna, artyzm zabawy, nagie kobiety przepiękne, prost

[illegible]

28 lipca.
10 sierpnia.
rok 1912.
sobota.

Dzień wystygł, chociaż bardzo pogodnie i bezbarwnie, ale pracowicie. Do obiadu układałem dla Mamy rachunki z działu i z administracji Wiżuńca. W godzinę po obiedzie poszedłem ze Stefusiem i Arkadjuszem kąpać się do stawu na pole. Potym resztę dnia i wieczór zajęty byłem segregowaniem książek, pozostałych po ś.p. pannie Faustynie Sawickiej, zmarłej w r. 1908. Książki te zostały po jej śmierci odesłane do mnie przez jej brata, jenerała Sawickiego, i odtąd leżą w Bohdaniszkach. Były przywiezione w dużej pace drewnianej, w której od niepamięci tych czasów leżały; są zbutwiałe, pokryte starą pleśnią i kurzem, choć już w Bohdaniszkach znacznie przeschły. Jest tego z paręset tomów; znaczna ilość pochodzi z wieku XVIII, a są i starsze; reszta — z pierwszej połowy w. XIX. Sukcesem na nie nabywcę śród antykwarjuszów warszawskich, ale bez powodzenia. Obecnie część ich ofiarowuję Staudzickiemu do wileńskiego archiwum miejskiego, trochę zachowuję dla siebie, wreszcie resztę, zbakowaną, ofiaruję chyba do Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. ~~Na wieczór dziś Marynka z dziećmi wybrała się do Kowaliszek, dokąd i ja jutro się wybieram.~~ Dzień ciepły, ale burzliwy. Zdaje się, że się rozpoczynie czas wilgotny.

29 lipca.
11 sierpnia.
rok 1912.
niedziela.

Pobyt 10-dniowy w p. Bohdaniszkach obowiązuje do wizyty w Kowaliszkach. Toteż dziś wybrałem się do Kowaliszek. Pojechałem tam sam jeden Zuchem ~~w~~ w linijce. Spędziłem tam dzień cały i na noc wróciłem, zabierając ze sobą Henrysia Wołłowicza, który ~~.~~ w Kowaliszkach od paru tygodni bawił.

Żyś był bardzo serdeczny, nie wykazywał żadnych kwasów, żadnych oznak ze swej strony niezadowolenia. ~~.~~ Wiem, że w gruncie rzeczy Żyś jest niekontent z tego, że scheda Mamy w Mamylach jest ~~.~~ na moje imię i że do mego wyłącznego uznania zostawiona jest jej eksploatacja. W ostatnich czasach Żyś przy widzeniu się ze mną nie dotykał wcale tematu tego. ~~.~~ Dziś wszakże sam zaczął ~~.~~ mówić o Mamylowskim lesie, rozpytywać o moich projektach sprzedaży, wyrazić swoje zdanie. Wolę to, niż intrygowanie potajemne [pr] za plecami mymi. Oczywiście Żyś namawia mię do jak najrychlejszej całkowitej sprzedaży lasu w [illegible], aby czym prędzej przetopić to na gotówkę, choćby ze stratą pewną, i mieć zapewnioną sumę spadkową, złożoną ~~.~~ już na imię Mamy. Mówiliśmy zresztą z Żysiem i o wielu innych rzeczach, serdecznie i przyjaźnie, jak dawniej.

Z Henrysiem mam kłopot. Wiedział, że jest projekt przeniesienia go do Wilna i zalokowania w którymkolwiek z gimnazjów wileńskich; wiedział, że o ile znajdziemy w którymkolwiek gimnazjum wakans do VI klasy, to będzie musiał tej jesieni zdawać egzamin. Toteż, gdy teraz w gimnazjum Kotlickiego wakans jest, Henryś powiada, że zdawać w porządku nie może, bo się nie przygotował. Okazuje się, że nawet książek szkolnych ze sobą z Borysowa nie wziął. A zdawać do VI klasy nie byłoby mu trudno, bo już w roku zeszłym zdawał i miał być przez cały rok w VI klasie.

30 lipca.
12 sierpnia.
rok 1912.

Posłał dziś Papa do Narkun po krzyż mój, który w roku zeszłym obstalowałem u stolarza Łaszasa i który już jest gotów. Ja z leśnikiem Bohdaniszkim poszedłem w poniedziałek pod Karwieliszki, gdzie krzyż też ma stanąć, i czekałem. Leśnik wykopał jamę, atoli krzyża nie doczekaliśmy się; okazało się, że po krzyż trzeba posłać inną kolaskę i pomieścić 2 ludzi. Musiałem więc odłożyć sprowadzenie krzyża na jutro.
Koło obiadu przyjechał Tukys. Radość była wielka śród dzieci z powodu jego przyjazdu, bo go wszyscy lubią; zwłaszcza Henryś i Stefuś z całego serca kochają Tukysa. Koło godz. 4 poszedłem z całą gromadką chłopców się kąpać: Henryś, Arkadjusz Dikenko, Tukys, Stefuś i ja z nimi. Pomimo że powietrze od dni kilku znacznie ochłodło, woda jest ciepła jeszcze.
Wieczorem zajechał do p. Bohdaniszek na króciutko w przejeździe z p. Rakiszek do Łoczan Piotr Rosen. Zabawny to człowiek — jest zmienny, goniący za sensacją i popularnością, w gruncie rzeczy próżniak, plotkarz, niewykształcony, ale wcale sprytny. Piotruś Rosen chce być ze wszystkimi dobrze, z każdym chce być za pan-brat, przyjacielem i powiernikiem serdecznym. Umie z wielkim sprytem zmieniać skórę: w r. 1905 był chłopomanem, z socjalistami był socjalistą, z litwinami jest litwinem, z ziemianami ziemianinem i polakiem, słowem — z każdym jest takim, jakim w danej okazji być wypada, aby zaimponować, zyskać zaufanie i przyjaźń. Teraz jest w wielkiej zażyłości z Przedrzymirskim, co mu naturalnie wielce pochlebia, a jednocześnie zdobywa popularność i u[illegible] [illegible] inteligentów i działaczy litewskich, jak Šatkelis, Stagnis, Tyrima. Obecnie pl[illegible] towarzyszy Józefowi i Henrykowi [illegible] w ich czynnościach artystycznych.

350. 31 lipca.
13 sierpnia.
roku 1912.
Wtorek.

Sprowadziłem dziś krzyż z Narkun. Wykonany jest przepięknie i stanowić będzie niewątpliwie jeden z najwspanialszych okazów w okolicy. Nie jest to właściwie krzyż, jeno rodzaj kapliczki na wysokim postumencie. Nasze „krzyże" litewskie dzielą się w ogóle na 2 ~~z~~ zasadnicze grupy: grupa właściwych krzyżów i grupa wysokich słupów kapliczkowych; grupa kapliczkowa jest zapewne pochodzenia starszego i bodaj w architekturze swojej nie jest ~~sp~~ spadkobierczynią bezpośrednią świątyń prastaryjskich; krzyże właściwe mają natomiast w architekturze swojej wybitne cechy bizantyjskie, zwłaszcza w szczycie i zakończeniu ramion. Motywy dekoracyjne wszakże w obu tych grupach są pokrewne, chociaż w krzyżach przeważają figury i w ogóle twory symboliki chrześcijańskiej, a więc pochodzenia późniejszego, w kapliczkach zaś rysunki i zakończenia daszków, kurzganki i rozmaite dodatki dekoracyjne są właściwie czysto architektoniczne, mało związane z symboliką chrześcijańską. Kapliczka czyli „krzyż", który ~~dla~~ wykonał dla mnie stolarz Łapas z Narkun, był wzorowany na takimże krzyżu w wiosce ~~D~~ Dejbgałowcach, jakkolwiek nie był imitacją lub tym bardziej kopją całkowitą. Kapliczka dejbgalska runęła ze starości jeszcze, i Łapas zmuszony był komponować szczegóły architektury i zdobnictwa z własnej inicjatywy, nie mając żywego modelu, prócz byle-jakowego szkicu rysunkowego. ~~Kapliczka [illegible]~~ Korpus słupa kapliczkowego ma na całej wysokości kolor ciemno-zielony z kantami ciemno-brązowo-czerwonymi — dobór kolorów bardzo gustowny; na wysokości mniej więcej 3 arszynów od podstawy słup otoczony jest czworokątnym daszkiem tegoż koloru ciemno-zielonego; pod daszkiem sufit, naśladujący firmament niebieski, koloru nieba z ~~[illegible]~~ gwiazdkami jaskrawej czerwieni, drobno usianemi w symetrycznym układzie;

Ostatni dzień w Bohdaniszkach. Dzień 1 (14) sierpnia upłynął na dokończeniu segregowania książek po ś.p. Faustynie Sawickiej, po środami na spacerach, żartach z dziećmi i t.d.

Kapitalnym w naturze momentem dnia był niepokój o Annę. Pisałem do Anny w zeszłym tygodniu, wyznaczając termin jej przyjazdu do Wilna na pojutrze 3 sierpnia. Dwa listy o tym wysłałem do niej jednocześnie w piątek. Dla upewnienia się zaś, że Anna dobrze zrozumie wyznaczony termin (bo korespondencję naszą w specjalnym żargonie nie mieszanym nie daje gwarancji, że wszystko, co napisane, zostało zrozumiane a nawet odczytane), prosiłem ją, aby mi napisała do Bohdaniszek, adresując poste restante. Po tę odpowiedź posłałem na pocztę wczoraj, — naprożno; posłałem znów dziś, i list istotnie od Anny przyszedł. Ale treść listu Anny nie daje mi pewności, że zrozumiała, iż ją na pojutrze o przyjazd proszę, a może zresztą zrozumiała, ale wyjechać nie może, bo wujaszek Ugryś jest chory i Anna sama nie wie, co począć. Otóż, co pisze: „Kochany Michaś, dlaczego nie piszesz do mnie „tak długo, już nie wiem co robić. Karty twoje otrzymałam „jeno 29 lipca, nie wiem, kiedy mogę jechać. Ugryś jest „strasznie chory już więcej niż od tygodnia i jest tak stras„zliwie chudy, jakże mogę jechać. Byłam już z Ugry„siem u doktora, nic nie pomaga. Pisz zaraz, kochany „Michaś, co mam robić. To pisze twoja biedna nieszczęśliwa „Annin". Nie wiem i nie rozumiem, czy Anna nie może jechać ze względu na Ugrysia, czy też nie wie, kiedy jechać. Postanowiłem zatelegrafować jutro do niej z Wilna, zapytując, czy będzie mogła na pojutrze rano do Wilna przyjechać, i jeżeli nie będzie mogła, to chyba sam do Libawy wyjadę, aby sprawdzić, co to jest i pomóc Anninie. ~~Ale~~ Zaniepokojony jestem o Ugrysia, bo wiem, jak Anna się do tego pieska przywiązała. Na pociąg nocny wyjechałem z Bohdaniszek z Henrykiem Wołłowiczem — na Wilno.

2 (15) sierpnia rok 1912. czwartek.

Dziwny ze mnie człowiek. W dzienniku mogę się do wszystkich słabostek przyznać. W gruncie rzeczy dla bardzo wielu względów wolałbym, aby kandydatura moja w tych walkach wyborczych nie figurowała. Obawiam się też zażarcia oszczerstwa przeciwników, wywlekania moich spraw małżeńskich i ewentualnie wywlekania i szargania w brudach mojego związku z Anną. A jednak ambicja moja cierpi i boli na myśl, że w komitecie demokratycznym jakaś inna kandydatura może być bardziej pożądana od mojej.

Zaraz po przyjeździe do Wilna wprost z dworca kolejowego wysłałem do Anny depeszę z odpowiedzią ~~o~~ opłaconą, zapytując, czy nie będzie mogła przyjechać do Wilna jutro rano. Po przyjeździe do mieszkania czekałem depeszy powrotnej. Byłem bardzo zaniepokojony. Im bardziej się zastanawiałem nad treścią wczorajszego listu Anny, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że to bynajmniej nie jest to, iż Anna nie zrozumiała terminu wezwania do przyjazdu, lecz że z powodu choroby Ugrysia nie może się na tę podróż zdecydować i nie wie sama biedaczka, co wobec tego począć. To też obecna moja telegraficzna propozycja przyjazdu, ~~[illegible]~~ brzmiąca pośpiesznie jako wezwanie, może ją jeno w kłopot wprowadzić, nie rozwiązując trudności. Z niecierpliwością i niepokojem czekałem odpowiedzi Anny i już szykowałem projekt wyjazdu do Bikun dziś jeszcze o godz. 6 wieczorem. Atoli około godz. 2½ otrzymałem depeszę tej treści: „[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]. [illegible]. [illegible]." A więc przyjeżdża moje biedactwo. Jutro raniutko wyjadę do Koszedar na jej spotkanie.

Wieczorem spotkałem się z Witoldem Abramowiczem. Dowiedziałem się od niego, że wczoraj odbyło się zebranie naszego polskiego demokratycznego komitetu wyborczego, na którym omawiana była kwestia kandydatury demokratycznej z II kurii wileńskiej. Zatrzymano się na dwóch kandydatach — mojej i Bronisława Krzyżanowskiego. Ostateczne ustalenie jednej z tych 2 kandydatur ma nastąpić na następnym zebraniu za tydzień. Bronisław Krzyżanowski zgadza się na postawienie kandydatury. Osobiście Witold Abramowicz jest zwolennikiem kandydatury Krzyżanowskiego i mnie w ten sposób rzecz zreferował, że wyższe szanse kandydatury Krzyżanowskiego są w pewnym komitecie ze względów oportunistycznych większe niż ~~[illegible]~~ szanse mojej.

Wstałem raniutko, o godz. 4, i o godz. 3 (16) sierpnia
6 siedziałem już w pociągu, idącym w rok 1912.
kierunku Libawy. Jechałem do Kosze-
dar na spotkanie Anny. Byłem wczoraj piątek.
znowu i trochę jeszcze niespokojny. Taka
mię tęsknota brała za Anną i tak [illegible]
dość z nadziei jej zobaczenia oto za chwi-
lę i zarazem niepokój o zdrowie jej i o
stan Ugrysia, że nie mogłem usiedzieć.
Kalkulowałem wciąż, gdzie jest w tej chwili
pociąg, wiozący mi Annę i pędzący het
z Libawy ku mnie po tych samych szynach,
po których ja na spotkanie pędziłem. O godz.
7 1/2 byłem już w Koszedarach. Czas prędko pły-
nął. Oto już dzwonek na peronie oznajmił,
że pociąg z Libawy, wiozący Annę, wyruszył
z ostatniej stacji z Żejmy i zbliża się już
do Koszedar. Oto już i sylwetka pociągu na
horyzoncie. Pociąg podchodzi. Zaglądam do
okien mijających mnie wagonów. Anny jeszcze
nie widzę. Pociąg stanął. Chcę wejść i przejść
przez wszystkie wagony. Ale oto widzę, jak z
jednego wagonu wychodzi Anna, niosąc Ugry-
sia na łańcuszku i idzie do bufetu. Spieszę
za nią. W bufecie ją łowię — niespodzianka. Przy-
witanie, radość. Ugryś wygląda straszliwie,
chudy, chwieje się na nogach, zupełnie słaby,
oczy błędne — chory najpoważniej. Wracamy
do wagonu, pociąg rusza. W serdecznej rozmowie
droga nam mija niepostrzeżenie. Postanawiamy
ulokować Ugrysia w lecznicy dla zwierząt, bo jest cho-
ry bardzo poważnie, a Annie trudno go doglądać, gdy
sama nawet mieszkania nie ma. Tak też robimy. W leczni-
cy weterynarz konstatuje, że Ugryś jest chory na ostrą
[illegible] brzuszną, bardzo niebezpieczną. Ugrysia pakują do
klatki. Anna płacze. Dzwonimy na [illegible] do [illegible] mie-
szkania Anny, ale okazuje się, że gospodyni, u której Anna mieszkała, wyrzuciła ją z mie-
szkania. Idziemy na miasto, potem na [illegible] i do hotelu Warszawa. Czas nam schodzi bajecznie.

4 (17) sierpnia roku 1912. sobota.

Dzień cały spędziłem znowu z Anną. Do Dominika nie zachodziłem nawet wcale. Wstaliśmy późno i, przeczekawszy deszcz, który pod wieczór lał jak z cebra, poszliśmy na obiad do hotelu Niszkowskiego a stamtąd na miasto — szukać pokoju do wynajęcia dla Anny. Obeszliśmy dzielnicę Nowy Świat, potem ulicę Monastyrską i wreszcie Zarzecze. Nudne to i męczące zajęcie, bo pokoje są przeważnie albo brudne, albo drogie, albo niewygodne, — prawie zawsze brakowne. Co sekundę jest się narażonym na doświadczanie przykrych podejrzeń, niewypowiadanych wprawdzie w oczy, ale ~~[illegible]~~ widocznych w sposobie traktowania nas z Anną przez osoby wynajmujące. To, że Anna jest młoda i przystojna, dobrze ubrana, że nie mówi ani po polsku ani po rosyjsku, że wreszcie przychodzi ze mną, mężczyzną, budzi podejrzenia: wiele osób dla samych tych względów nie decyduje się wynająć jej pokoju. Oprócz tego przy poszukiwaniach mieszkania musieliśmy zwracać uwagę na to, aby było wygodnie się lokować z Ugrysieńkiem, którego Anna na dzień czy musi zostawiać albo w domu albo na podwórku. Jeden ładny i bardzo dogodny pokój znaleźliśmy przy ul. Monastyrskiej, to znaczy przy tej samej, przy której Anna w roku zeszłym mieszkała jeszcze w innym domu, ale ten pokój, ze wszelkich względów miły i dogodny, okazał się nieco za drogi. Wreszcie znaleźliśmy pokój odpowiedni na Zarzeczu w zaułku Białym: pokoik wprawdzie mały, ale tani, za 6 rubli, w zacisznym drewnianym domku parterowym w ogródku, przy rodzinie rosyjskiej. Jednocześnie wszakże sprawa wynajęcia tego pokoika niezakończona, bo jeszcze

nie jest on wolny, i dopiero jutro gospodyni da odpowiedź, czy go można będzie zaraz wynająć. Anna ucieszona z pokoika. Wieczorem byliśmy w ogrodzie Bernardyńskim, kolację zaś spożyliśmy zimną w numerze w hotelu. Zostałem znów na noc u Anny. Zmysłowość Anny miewa, jak mówi, okresy przypływu i odpływu. Przed paru tygodniami, gdym był w Litwie u siebie i jeździł z nią do Siewawy i Rygi, był u Anny okres odpływu zmysłowości. Teraz natomiast jest okres przypływu. Zmysłowość jej jest teraz tak silna, że ~~[illegible]~~ już [illegible] po prostu. Wygląda też teraz i ma się Anna dobrze. Wspaniała z niej towarzyszka i żona.

18 sierpnia, rok 1912.

Dzień dzisiejszy prawie cały z Anną spędziłem. Niestety — okazało się, że ten pokoik na Zarzeczu przy zaułku Krzywym, na którego wynajęcie liczyliśmy w niedzielę, będzie wolny dopiero od 20 bieżącego miesiąca; Anna zaś potrzebuje pokoju zaraz. Wobec tego znów chodziliśmy i szukaliśmy. Obeszliśmy Zarzecze, Śnipiszki, ale nigdzie nic odpowiedniego nie znaleźliśmy. Raz na Zarzeczu natrafiliśmy na jakieś mieszkanie, zaludnione przez same młode i wesołe kobiety. Był tam pokój wolny, za który poproszono 10 rb., a gdy zobaczono Annę, to [redacted] wyraźnie ogromną chęć pozyskania jej za lokatorkę i odrazu bez targu ustąpiono za 8 rb. Ale lokatorki same, [redacted] ich wygląd, ich chęć nagła i nawet natrętna do pozyskania Anny za lokatorkę, — wydały się nam podejrzane. Zrozumieliśmy wkrótce, że zabrnęliśmy do legowiska kobiet rozwiązłych obyczajów. Jak trudno o pokój dla samotnej młodej i przystojnej dziewczyny — to przechodzi pojęcie. Albo właściciele mieszkania lękają się, że to jest dziewczyna lekkiego prowadzenia i z tego powodu odmawiają, albo gdzieindziej właśnie w sidła zepsucia ją złapać pragną. Zdecydowaliśmy wreszcie, że nie mamy innej rady, jak wynająć ten pokoik przy zaułku Krzywym choćby od 20 b.m., a tymczasem zalokować się gdzieindziej, ale gdzie? Obmyśliliśmy różne ewentualności i załatwienie ostateczne tej sprawy na jutro odłożyliśmy. Pod wieczór na tle zmęczenia i niepowodzenia przy poszukiwaniu pokoju humory się nam zepsuły i trochęśmy się z Anną posprzeczali. Anna była zła i kapryśna, ja także. Na noc dziś wróciłem do domu, Anna zanocowała sama w hotelu Wersalu.

Odwiedzamy z Anną codziennie Ugrynia, który leży w lecznicy dla zwierząt [illegible]. Ma się już lepiej — zdaje się, że niebezpieczeństwo minęło; będzie żył; jest wesoły, ale jeszcze słaby i strasznie wymizerowany.

6 (19) sierpnia, rok 1912, poniedziałek.

Pokój przy zaułku Kwiatowym, na który tylko liczyliśmy z Anną, zawiódł nas. Gdyśmy tam dziś poszli, odmówiono nam wynajęcia. Było widoczne, że właściciel mieszkania, jakiś drobny urzędnik pocztowy, rosjanin, boi się wpuścić Annę, jako kobietę młodą i przystojną a samotną; ~~[illegible]~~ boi się ory=[illegible], aby to się nie okazała jakaś grysetka lub utrzymanka. Wreszcie ja rozstrzygnąłem tę nieszczęsną kwestję mieszkaniową w ten sposób, że się zdecydowałem wynająć pokój przy ul. Monastyrskiej w domu pod № 11, któryśmy oglądali przedwczoraj. Pokój trochę za drogi na środki Anny, ale obiecałem dopłacać jej po parę rubli miesięcznie z mojej kieszeni. Anna protestowała, wzbraniała się, bo wogóle bardzo nie lubi wszelkich dopłat z mej strony, ale skrupuły te ostatecznie przeforsowałem. Pokój Anny obszerny, o 3 oknach, na salce, wystającej w postaci nadbudówki z korpusu domu. Pokój ten należy do mieszkania niejakiego p. Tura, rosjanina czy niemca z [illegible]. ~~X~~ Gospodarz mieszkania, p. Tur, człowiek starszy, samotny, bardzo grzeczny i cichy, aczkolwiek nie flegmatyk wcale, bo z twarzy wygląda energiczny i wyrazisty, jeno z jakimś głębokim smutkiem czy blaskiem tragicznym, zmęczony i skupiony głęboko w sobie. Służącej p. Tur nie trzyma wcale, usługuje stróżowa. W mieszkaniu jest tylko p. Tur, który zresztą cały dzień do jakiejś godz. 5 jest poza domem, i jeszcze jakiś mężczyzna samotny, lokator, którego chwilowo w Wilnie niema. Wygodę i niezależność będzie Anna miała wielką, bo nikt tam się nikim nie opiekuje, może też z kuchni korzystać, o ile zechce, bo kuchnia stoi tam bez użytku. Jedno tylko, co nas z Anną niepokoi, a zwłaszcza niepokoi wieczorem, to jest sąsiedztwo wyłącznie dwóch samotnych mężczyzn i jakaś cisza grobowa, zalegająca mieszkanko na [illegible], jakby odcięte od świata. Zdaje się, jak żeby się tam w tej ciszy jakieś nieszczęście kryło, gotowały jakieś ~~[illegible]~~ dramaty i przeczucia straszliwe. Wieczorem ~~[illegible]~~ mrowie przechodzi. I sam gospodarz jakiś dziwnie cichy, tajemniczy, z tragicznym

7 (20) sierpnia 1912. wtorek.

Do obiadu cały czas przy załatwianiu moich dziennych interesów towarzyszyła mi Anna. Zachodziłem do sądów, do zjazdu, do rejenta, do banku, na pocztę, do magazynów — zawsze z Anną. W chwili załatwiania interesu Anna sobie czeka cierpliwie na ulicy, a za to potem, idąc z jednego miejsca w drugie, gawędzimy, żartujemy, bawimy się wyśmienicie. Nadzwyczajnie lubię, gdy mi tak Anna towarzyszy. Niestety — niedługo utracę tę przyjemność, bo w dnie powszednie Anna od jesieni rozpocznie pracę; tylko teraz, dopóki jeszcze Anna nie zaczęła chodzić do Łapkowskiej, możemy sobie na tę przyjemność pozwolić. W towarzystwie Anny o wiele nawet lepiej załatwiam interesa: mam bowiem werwę, dobry humor, energię. Z Anną też mi w ten sposób czas lepiej upływa: obserwujemy razem ludzi, sceny z życia, obrazki, przeplatając obserwacje i ~~[illegible]~~ wymianę wrażeń dowcipem, żartami, lekkim flirtem spojrzeń i uściśnień rąk. Bawimy się przytym we dwoje, jak żaki. Wystarczamy sobie z Anną zawsze tak znakomicie, że nic nam poza nami do szczęścia nie potrzeba. Anna lubi mi towarzyszyć, bo jest z natury ciekawa, żądna spostrzeżeń i wrażeń: przygląda się z ulicy instytucjom, biegowi spraw ludzkich, słowem — temu procederowi życia, który się w urzędach, sądach, kancelariach, w bankach odzwierciedla. ~~[illegible]~~ Obserwacja jest jedną z ulubionych rozrywek Anny.

W naturze Anny przy jej zdolnościach, wrażliwości niepospolitej, zmyśle piękna i ~~[illegible]~~ uczuciowości są 2 cechy, które, kojarząc się z powyższemi, sprawiają wszystkie jej nieszczęścia, którym poprzednio ulegała: to upór i [illegible] powiedziałbym — [illegible], czyli raczej nie tyle [illegible], ile pewien brak rygoru i panowania nad sobą, zawsze „laissez aller". Te cechy w [illegible] dziecku i kochance są b. piękne i ponętne, [illegible] postaci kobiety, ale są niebezpieczne dla niej, gdy [illegible] się nie [illegible]. Anna jest tak rozkoszna, że doprawdy ma się w niej ~~[illegible]~~

wcielenie samego życia ze wszystkimi kaprysami jego, z całą [illegible] towarzyszącą [illegible] przeszłych [illegible]

358.

8 (21) sierpnia. rok 1912. środa.

Do obiadu przy załatwianiu przeróżnych interesów bieżących znów mi towarzyszyła Anna. Do pracy w Szepkowskiej stanie Anna dopiero od przyszłego tygodnia, obecnie więc mamy jeszcze kilka dni, które możemy spędzać przeważnie razem.

Henryś Wołłowicz, nad którym kuratelę przyjąłem, nie należy do najprzyjemniejszych pupilów. Jest samowolny, uparty, myślący tylko o uciechach, dopominający się ciągle pieniędzy. Za kilka dni Henryś będzie próbować zdawać do klasy V-ej gimnazjum Winogradowa, ale zapewne bez powodzenia, bo uczy się mało i zdaje się, że nie bardzo dba o wstąpienie. Nająłem dlań dziś korepetytora i umówiłem się o lokatę dla niego na zimę u pp. Tunczewiczów na Zarzeczu.

9 (22) sierpnia. rok 1912. czwartek.

Rano, gdy poszedłem do Anny dla wyjścia z nią razem na miasto, jak to robimy codzień, zaszła między nami mała sprzeczka, na skutek której wyszedłem na miasto sam i przez dzień cały nie dozobaczyłem się z nią więcej, bo już czasu zajść powtórnie nie miałem. Tak oto dzień dzisiejszy w naszym stosunku zmarnowaliśmy na skutek głupiej sprzeczki. A była to właściwie nie tyle sprzeczka, ile utarczka, wypływająca z pewnych rozbieżnych zapatrywań naszych światopoglądów polityczno-społecznych. Oboje z Anną miłujemy swobodę, oboje nienawidzimy odruchowo wszelką formę ucisku i gwałtu tak moralnego jak fizycznego czy to jednostki nad jednostką, czy też klasy społecznej, koterji, grupy, narodu i t.d. nad narodem, grupą, koterją, klasą i t.d. Ale ja, jako polak i pochodzący z rodziny dostatniej i arystokratycznej, mimowoli odczuwam intensywniej i nienawidzę goręcej ucisk narodowy i polityczny rosyjski, niż ucisk społeczno-klasowy, Anna zaś, jako łotyszka i pochodząca z rodziny robotniczej, nienawidzi przedewszystkiem ucisk klasowo-społeczny i jest typową anarchistką apolityczną. Dla niej, jak dla wszystkich łotyszów, większym wrogiem [redacted] od państwowości rosyjskiej jest dominacja społeczna baronów niemieckich. W stosunku do Rosji nienawidzi ona obecnego rządu, ale nie [redacted] samej idei państwowości obcej, która jest dla niej obojętną. Nie ma też ona tej jakiejś głębszej i instynktownej niechęci narodowej, jaką każdy z nas mimowoli do wszystkiego, co tu jest rosyjskie, zaborcze, żywi. To też gdy jej ujawniam wstręt i nienawiść do ucisku narodowego i do panoszącego się tu prawosławja, Anna wytyka mi natychmiast także, a zdaniem jej gorszy nawet, ucisk społeczny obszarników polskich nad ludem i nie mniejszy od prawosławja ucisk moralny i umysłowy katolicyzmu. Ostatecznie nie chodzi mi o usprawiedliwianie obszarnictwa polskiego i katolicyzmu, ale gniewa mnie to, że Anna tak mnie w tej materji osacza, iż potrafi przedstawić mnie za obłudnika, który, zwalając winę i nienawiść na jednego tylko z winowajców, na rząd i prawosławje, zostawia w ukryciu i przez to pośrednio usprawiedliwia drugiego winowajcę społecznego — obszarników, szlachtę i katolicyzm.

Wieczorem mieliśmy zebranie naszego wyborczego komitetu demokratycznego. Stawili się tylko: Krzyżanowski Bronisław, Klott, Witold Abramowicz, Zasztowt, ja i w charakterze gościa, Ludwik Abramowicz. Mówiliśmy o kandydaturze Krzyżanowskiego, który się jeszcze waha, ale ostatecznie zapewne się zgodzi, jeżeli zresztą wogóle nasza akcja nie zamrze przed kampanją wyborczą. Niestety bowiem — apatja jest straszliwa, zwłaszcza w starszych kręgach demokratycznych. Nawet członkowie komitetu wyborczego nie przychodzą na zebrania, a cóż dopiero mówić o bierności szerszych sfer wyborców z kół demokratycznych. Postanowiliśmy zwołać znowu szersze zebranie z sympatyków i elementów demokratycznych, aby się także zorjentować, co przedsięwziąć i czy wogóle coś przedsiębrać warto.

10 (23) sierpnia. rok 1912. piątek.

Pogodziliśmy się z Anną serdecznie i znów razem chodziliśmy po mieście do obiadu. Mam kłopot ze stołowaniem się Anny. Jest ona słabego zdrowia, a: nemiczna pomimo mocnej budowy szkieletu, bywa blada często, miewa bóle i zawroty głowy, to też potrzebuje prze: dewszystkiem dobrego odżywiania. Tymcza: sem Anna właśnie jak najmniej dba o je: dzenie. Teraz ma zamiar stołować się sa: ma w domu, to znaczy codzień sama sobie coś na maszynce sporządzić. Znając Annę, domyślam się, jak będzie wyglądało to sto: łowanie się. Anna mało przywiązuje wagi do jedzenia, wstydzi się nawet zbyt dużo my: śleć o swojej własnej wygodzie, a skądinąd jest w jedzeniu kapryśna, potrzebuje zmia: ny i byle co jej nie dogodzi. W porze obiado: wej, ~~[illegible]~~ przychodząc do domu na krótko do Łapkowskiej, nie będzie miała czasu sobie zgotować, a ~~w~~ wracając wieczorem, będzie się nieraz czuła zmęczona i potem się ~~gotować~~ gotować, sprzątać i t.d.. Nie jest ona też gospodynią typową i skrzętną, która systema: tycznie sobie codzień zgotuje, pójdzie za: wczasu przed pracą na rynek i t.p. Boję się, że z braku gospodarności i z niechęci, jaką ma Anna do pieszczenia się własnego, będzie się ży: wiła przeważnie jakiemiś surogatami w rodzaju kaszek improwizowanych, ogórków ~~[illegible]~~ solonych i temu podobnych pokarmów. W dodatku biedaczka spekuluje obecnie na oszczędności. Z 40 rubli, które do: staje miesięcznie, postanowiła wysyłać po rb. 10 matce do Libawy; jest to z jej strony odruch bardzo piękny, wywołany spółczuciem i widokiem ciężkiego ubóstwa rodziny w Libawie.

Matka jej jest stara, siostra chora i nie mogąca dużo zarabiać. Anna, jak to bywa często u ludzi z ubogiego stanu, ma żywe poczucie obowiązku rodzinnego i, odejmując nieomal sobie od ust, posyłać postanowiła oszczędności matce. Z pozostałych rb. 30 miesięcznie musi opłacić mieszkanie, stołować się, ubrać, słowem — całkowicie się utrzymać. Oczywiście zamierza to robić kosztem stołowania się. Perswaduję jej, jak mogę, ale nie wierzę w skutek perswazji. Anna ma jedzenie w pogardzie. Wogóle Anna potrzebuje kierownictwa, bo sama jest niepraktyczna i kierująca się impulsami uczuć. Ale upór jej utrudnia wszelkie kierownictwo. Gdy czegoś nie chce, zacina się i milczy.

11 (24) sierpnia rok 1912. sobota.

Z Anną znowu, jak codziennie, spędziłem czas do obiadu na załatwianiu interesów na mieście i potym wieczorem u niej w jej cichej salce przy ul. Monastyrskiej. Wakacje nasze się już kończą, bo oto od poniedziałku Anna już staje do pracy u Łopkowskiej: będziemy się już z nią odtąd widywać tylko wieczorami.

Henryś Wołłowicz zdaje dziś pierwszy egzamin do klasy VI w gimnazjum Winogradowa. Dowiedziałem się, że egzamin się udał, a był to jeden z najcięższych. Oby zdał i został przyjęty. Henryś jest bardzo trudny do prowadzenia. Nikt w szkole nie wyrobił karności, a upór i brak hartu moralnego robią zeń jednostkę, ulegającą z łatwością zepsuciu i niepodatną do systematycznej pracy nad sobą. Wobec Henrysia Sienio Truskanowski, który jest leniwy i tępy i który też nieraz nastręcza dużo kłopotu w oddziaływaniu wychowawczym, jest jeszcze arcyłatwy. Zresztą Henryś z natury nie jest zły i nie jest pozbawiony aspiracji moralnych. Serce ma dobre, nie ma pychy, przywiązuje się do wspomnień z przeszłości, wogóle ma tendencję do gromadzenia w sobie zasobu uczuć i wrażeń (nie stwarzając własnej przeszłości duchowej) doznanych. Ale skądinąd lubi sobie pogadać bezwzględnie, z niczym się nie licząc; jedzenie (jest żarłokiem niezrównanym!), uciechy wszelkiego rodzaju chce mieć na zawołanie. Przymusu nie cierpi i sam go do siebie w żadnej postaci nie stosuje. Pieniądze lubi niezmiernie, traktując je jako narzędzia uciechy, i gotów jest dla pieniędzy bardzo dużo poświęcić; a już ambicję przedewszystkiem. Tymczasem z pieniędzmi jego mam kłopot. Kasa jego pusta, [illegible] źródeł dochodów, bo składka, którą jego stryjowie i wujowie łożą, jest opłacana nieregularnie i w znacznej części już zgóry pobrana, a tymczasem długów zaległych w [illegible] jest sporo i ciągle są wydatki bieżące. — Henryś domaga się ciągle pieniędzy kieszonkowych i gniewa się na mnie, że mu takowych odmawiam, a odmawiać muszę, bo na najpilniejsze potrzeby brak środków. Znowu nie wiem, co robić z lokatą Henrysia, bo p. Kuncewiczowa, z którą się umówiłem o mieszkanie Henrysia, obecnie zawiadomiła mię listownie, że go przyjąć nie może: obawia się, że nie potrafi nim pokierować i utrzymać dozoru.

[illegible]

12 (25) sierpnia rok 1912. Niedziela.

Dziś był dzień brzydki i ciężki niezmiernie. Zrana, korzystając z niedzieli, jednej z ostatnich niedziel gasnącego lata, wybraliśmy się z Anną na wycieczkę za miasto. Poszliśmy na kolej w humorach dobrych, weseli i serdeczni. Nic nie zapowiadało najmniejszej burzy w stosunku naszym. Siedliśmy do pociągu do Nowej Wilejki. Tu, przy wyjeździe z Wilna, zaszła drobna, zupełnie błahostka, rzecz, która nam nietylko cały ten dzień zepsuła, ale która może zostawić w stosunku naszym osad niewygaszony na czas dłuższy, a w każdym razie jest symptomatyczna. Otóż w wagonie było parę osób z moich znajomych. Wspomniałem Annie, że oto widzi, jak byłoby lepiej, gdyby umiała po polsku; teraz bowiem właśnie rozmowa niemiecka zwraca uwagę moich znajomych i daje większy powód do komentarzy o stosunku naszym. Gdy jadę we dwóch z młodą osobą i jeszcze rozmawiam po niemiecku, to już ci znajomi moi nie pomyślą w żadnym razie, że to jest moja siostra lub kuzynka, a jeżeli znajomą, to znajoma nie z mojego środowiska zwykłego, które jest polskie; a więc zaraz urośnie supozycja, że to jest dziewczyna z półświatka. Nie było w tym powiedzeniu moim żadnej chęci ukrytej podrażnienia Anny lub jakiegoś zarzutu. Wielokrotnie mówiłem Annie, że pragnąłbym, aby się nauczyła po polsku, i ostatecznie Anna tego mi za złe nie brała, choć w ogóle ma niechęć do polaków i polskości, uważając takowe za synonim chełpliwej szlachetczyzny, obskurantyzmu i przesadnego wyobrażenia o sobie. I otóż ta Anna zapałała gniewem, posądzając w tych słowach moich twierdzenie, że tylko to, co polskie, jest przyzwoite, porządne, godne szacunku, słowem — dobre. Nie miałem tego bynajmniej na myśli, ale Anna jest tak w stosunku do [illegible] jakoś podejrzliwa i tak uprzedzająca się i uparta, że gdy jej się coś sobie wyobrazi, to zazwyczaj jej tego z głowy wybić nie można,

[illegible]

Rano miałem sprawę w Zjeździe sędziów 13 (26) sierpnia
dziów pokoju. Sprawę przegrałem, bo pod- rok 1912.
stawy akcji klienta mego były naogół powiedziałbym
słabe. Chociaż żałuję, że sprawa przegrana,
bo moralnie niewątpliwie mój klient miał
rację, ale skądinąd nie doświadczam wiel-
kiej przykrości, bo mam świadomość, że
sprawa nie z mojej winy przegrana. Wczoraj
mi służyła na Zjeździe i broniłem pozycji
mojej dobrze, ile się dało, a że nie wybro-
niłem — to ze słabości podstaw prawnych
wynikło.

Wieczorem byłem u Anny. Anna
gotowała przy mnie kolację swoją, zło-
żoną z mięsa gotowanego i smakowi-
tego bulionu, zaprawionego mnóstwem
jarzyn. Po burzliwym dniu wczorajszym
dziś już wrócił spokój. Anna dziś poraz
pierwszy wyszła do pracy w pracowni
Łapkowskiej. Odtąd będzie znów pracowała
stale. Wakacje jej się skończyły.

Wieczór dzisiejszy zeszedł nam miło. Choć
sprzeczki nie było i choć urzędowo zajścia wczo-
rajsze były zlikwidowane, jednak nie mo-
gliśmy odzyskać swobody w stosunku na-
szym. W szczególności ja czułem żal do Anny
za to, że przez swe wieczyste posądzanie mię o jakąś
przewrotność i przez zbytnie dopatrywanie się we mnie
tych cech, których Anna nie znosi, — wmawiając we mnie na-
cjonalizm i szlachetczyznę, — uniemożliwia mi ona
nawiązanie i ustalenie tego stosunku przyjaźni, ufności
zupełnej i obcowania ~~[illegible]~~ intelektualnego, o jakim bym
z nią wieść pragnął. Chciałbym, aby nasz stosunek mógł być
całkowitym porozumieniem dwóch indywidualności z całym światem uczuć,
idei, pragnień, uczuć i przekonań, a nie mogę tego osiągnąć, bo Anna
tyle co chwila podejrzewa i wmawia we mnie aspiracje, których nie mam.

14 (27) sierpnia rok 1912 wtorek.

Pod wieczór dom się nasz zaludnił. Przyjechała Marynka w powrocie z Nowego Dworu, z nią też Marynka Wołodkowiczówna, która ma u nas na dni kilka zamieszkać, dalej Kotunia Truszkowska, eskortująca Siółkę na poprawkę do szkoły i wiozącą ze sobą Zbyszka do dentysty. Nie lubię tego przepełnienia domu, zwłaszcza przez osoby przejezdne, które są ciągle zajęte jakiemiś sprawunkami, odwiedzinami i t. d.. Drzwi się nie zamykają, po mieszkaniu krążą jakieś fatałaszki, pakunki z magazynów z kramami płócien i innych towarów łokciowych, sznurki, nożyczki i t. p.. A jaczy odwiedzających przez tego, jakieś ciągłe włóczenie się po wszystkich pokojach z kąta w kąt. Nieład, zawierucha, mieszkanie staje się jakimś zajazdem, kramem. I choć mój pokój jest dla tej włóczęgi niedostępny i całkowicie wyodrębniony, jednak poza swym pokojem ~~[illegible]~~ przestaję się czuć u siebie. A dzieci w takiej atmosferze zupełnie się z rygoru usuwają i oczywiście jeno mnożą nieporządek. Z Kotunki rad jestem, bo ją kocham szczerze, tę moją najstarszą siostrzyczkę, ongi wice-matkę moją, dziś kobietę ~~zsza~~ zszarganą fizycznie przez choroby i rodzenie dzieci, postarzałą mocno, zniszczoną. Tęga to była głowa i serce, śliczny materjał ludzki, zużyty przez życie, ~~[illegible]~~ wyeksploatowany na rzecz ogniska rodzinnego.

Ząb mi dziś dokuczał bardzo przez dzień cały. Ten ból zębów a właściwie newralgiczny ból szczęki cały trwa u mnie już od 3 tygodni, to słabszy, to znów rosnący, ale w ostatnich czasach jest gorszy, szczególnie zaś wczoraj i dziś wieczorem. Jest to cierpienie nieznośne, dokuczliwe, pozbawiające humoru, inteligiencji, energji. Wieczorem w deszcz ulewny, od którego mój ząb jeszcze mocniej się rozbolał, pojechałem na ulicę Monastyrską do Anny. Dziś we troje, gdym zaszedł do lecznicy dentystycznej dla poinformowania się o stanie Ugrysia, powiadomiono mi tam, że go już zabrała [illegible]. To też wieczorem

[illegible]

15 (28) sierpnia
rok 1912.

Pisałem dziś artykuł do „Przeglądu Wileńskiego" w sprawie wyborów. Chodziło mi o uwydatnienie różnicy między stanowiskiem demokratycznym a nacjonalistycznym, które z natury rzeczy jest wsteczne. Żydzi, którzy z wyjątkiem esdeków z Bundu, organizują się w jednym wspólnym komitecie wyborczym żydowskim, choć wystawić mają kandydata, który niewątpliwie należeć będzie w Dumie do opozycji, a choćby to był nawet osobnik tak jaskrawy i zdolny, jak Szwarcenberg, stawiają oczywiście wybory na gruncie li tylko nacjonalistycznym i konfesjonalnym z wyłączeniem stanowiska społecznego. Cóż z tego, że ten ewentualny poseł żydowski będzie tam w Dumie „demokratą" czy „postępowcem", powiedzmy kadetem lub nawet bardziej na lewo, jeżeli przeforsowanie jego osiąga się kosztem spotęgowania tej w masach wileńskich wyłączności konfesjonalnej i spaczenia w nich zmysłu obywatelskiego? Czy wątpliwe zdobycze w tej IV Dumie usprawiedliwią i opłacą szkodę, wynikającą z tego w świadomości społecznej mas? Większą ma wartość świadomość mas, jako czynnik stały w rozwoju społeczno-politycznym, niż zdobycie lepszych instytucji i ustaw w środowisku ciemnym i roznamiętnionym przez nienawiść rasową. Demokratyczne grupy żydowskie, które się nie wahają w ten sposób łączyć z żydowską reakcją nacjonalistyczną i talmudystami dla zdobycia mandatu „demokratycznego" w Dumie, składają dowód niedojrzałości politycznej i uprawiają właściwie oportunizm demokratyczny, który jest antytezą postępu w naszych warunkach. Lepszy już jest „Centralny" polski komitet wyborczy, który, opierając akcję wyborczą śród chrześcijan na tych samych zasadniczych podstawach, co żydzi, nie udaje przynajmniej gorliwości demokratycznej i, łącząc jawnie elementy wsteczne, nie daje dla swej roboty reakcyjnej pozorów demokratycznych.

Dziś się pogodziłem z Anną. Właściwie kłótni nie było, ale przez dzieli trwało w stosunku naszym pewne skrępowanie na tle żalu i nieporozumień zasadniczych. Rozmówiłem się z Anną szczerze o naszych pozornych różnicach poglądowych, które właściwie są jeno skutkiem nieporozumienia, bo w istocie rzeczy oboje jesteśmy sobie ideowo niewzruszenie pokrewni i z tego samego zatracenia [?] [illegible] i wniosków społecznie [illegible]. [illegible] — swobodą.

[illegible]

366.

16 (29) sierpnia. rok 1912. czwartek.

Dowiedziałem się, że esdecy, którzy na wyborach występować będą wspólnie z Bundem żydowskim, na odbytej wczoraj naradzie powzięli następujące decyzje. Mają zaproponować Tadeuszowi Wróblewskiemu wystawienie jego kandydatury z tym zastrzeżeniem, aby on najpierw w jakikolwiek sposób zrehabilitował się publicznie w sprawie Blondesa i żeby zaznaczył wyraźnie, iż jego kandydatura poselska będzie kandydaturą społeczną, nie zaś narodową. Sprawa Blondesa jest piętą Achillesową Wróblewskiego. Była to głośna sprawa przed jakichś laty 10 w Wilnie, w której chodziło o posądzenie żydów o mord rytualny. Wróblewski tak się w tej sprawie zachował, że dał powód do myślenia, iż istotnie mord rytualny miał miejsce. Odtąd, pomimo największych wysiłków Wróblewskiego do wykazania swego oblicza wolnościowego, w masach żydowskich jest szalona niewiara i niechęć do niego. W masach tych Wróblewski jest tym człowiekiem, który przyłożył rękę do oskarżenia żydów i zadania im krzywdy największej. Żadne frazesy wolnościowe nie mogą tej opinii zatrzeć. Piętno to ciąży fatalnie na Wróblewskim.

Otóż o ile Wróblewski wypełni teraz te 2 warunki, wymagane przez esdeków, wystawią oni jego kandydaturę i zapewne zgodzą się nawet zwolnić go od obowiązku wstąpienia w Dumie do frakcji socjal-demokratycznej. Takie są ich wnioski. Jeżeli zaś układ taki z Wróblewskim nie stanie, to esdecy postawią przypuszczalnie kandydaturę Bogińskiego, już wyraźnie partyjną.

Nie są to jeszcze pewniki, ale tak się horoskopy esdeckie przedstawiają. Gdyby się udało esdekom pozyskać kandydaturę Wróblewskiego, to zapewne i nasza grupa demokratyczna odstąpiłaby od kandydatury Krzyżanowskiego i poparła Wróblewskiego.

Zarysowują się więc teraz 4 grupy w wyborach z II kurii miasta Wilna: 1) komitet „centralny" polski, łączący wszystkie, to znaczy klerykalne i nacjonalistyczne elementy polskie, 2) żydzi, łączący zwartą ławą, z wyjątkiem Bundu i esdeków, a więc łączący pod sztandarem solidarności narodowo-konfesjonalnej tak prawicę swoją, ortodoksów i nacjonalistów, jak grupy i kierunki demokratyczne i w szczególności kadetów (jest to syjonizm zaiste), 3) nasza grupa demokratyczna, 4) esdecy wszelkich odcieni, tak chrześcijańscy jak żydowscy, wespół z Bundem.

[illegible]

1/14 (30) sierpnia rok 1912.

W kombinacjach wyborczych zarysowują się poważne i charakterystyczne szczegóły. Zdaje się, że jeżeli nie będzie podziału na podkurje chrześcijańską i żydowską, o czym piszę tek. niewiadomo z góry, to kampanja wyborcza będzie u nas gorąca i ciekawa, a może i skuteczna. Sprawa mniej więcej przedstawia się tak. Ogólna ilość zapisanych prawyborców z II kurji miejskiej w Wilnie wynosi koło 13000. Z tej liczby jest ± 7000 chrześcijan i ± 6000 żydów. Grup wyborczych, występujących w akcji, będzie, jak się zdaje, 4: a) polski endecko-klerykalny komitet „centralny", b) grupa wszechżydowska, c) grupa demokratyczna i d) esdecy z Bundem. Z powyższej liczby prawyborców Bund z pośród żydów zdobyć może koło 1500 głosów, biorąc proporcje z ostatnich wyborów z r. 1907, esdecy z pośród chrześcijan koło 500 głosów, czyli razem kandydat esdecko-bundowski zdobyć może do 2000 głosów. Nasza grupa demokratyczna zdobędzie, dajmy na to, na Krzyżanowskiego 500 głosów chrześcijańskich. Komitet polski „centralny" mieć będzie pozostałych głosów 6000 chrześcijańskich, grupa wszechżydowska głosów 4500. Jak się wyjaśniło, w I kurji miejskiej, przy niepodziale na podkurje wyznaniowe, żydzi mieć będą stanowczą przewagę i przeprowadzą stamtąd bez kwestji swojego tylko [illegible] Szmenberga. Mając zapewnione zwycięstwo w I kurji, żydzi nie będą się prawdopodobnie wcale kusić o przeforsowanie swojego posła żydowskiego z II kurji, nietylko dlatego, że są w mniejszości, ale też i głównie dlatego, żeby nie jątrzyć antysemityzmu w masach chrześcijańskich. W tych warunkach żydzi przyłączą się zapewne do któregoś z kandydatów chrześcijańskich, ale do którego, czy do kandydata komitetu centralnego, czy do kandydata demokratycznego czy esdeckiego. Jeżeli kandydatem komitetu centralnego będzie ksiądz, to żydzi oczywiście głosów mu nie dadzą. Gdyby wszakże komitet centralny wystawił endeka świeckiego z lewego skrzydła, to poparcie go przez żydów nie jest całkowicie wykluczone. Prawdopodobniejsze jest wszakże poparcie przez żydów bądź kandydata demokratycznego bądź esdeckiego, o ile tylko nie będzie nim Wróblewski, na którego żydzi nie pójdą. Kandydatura Krzyżanowskiego byłaby w tych kombinacjach bardzo dobra. Wtedy przy udziale żydów i esdeków tradycyjnym porozumieniem, czy to w pierwszym stopniu, czy przy wyborach ściślejszych, z esdekami, moglibyśmy wygrać z Wilna posła demokratycznego. Byłby to rezultat świetny, a że [illegible] polaka, więc poza pierwszy w [illegible] ukazałaby się polska reprezentacja [illegible] i [illegible] monopolu endeckiego [illegible], [illegible] i Warszawa [illegible]

368. 18 (31) sierpnia, rok 1912, sobota.

Kryżanowski wciąż jeszcze się wahał z przyjęciem kandydatury, lecz zdaje się, że już teraz, po naradzie wczorajszej, jest bardziej zdecydowany. Staję się coraz bardziej gorącym zwolennikiem jego właśnie kandydatury i to z wielu względów. Niewątpliwie w obecnym układzie stosunków i przy niepodziale na porażkę wyznaczenie [illegible] pewnej szanse dla tej kandydatury są. Osoba zaś Kryżanowskiego, jako kandydata demokratycznego, jest bodaj że najodpowiedniejsza. Pomimo pewnej zbytniej nerwowości i płynącej stąd impulsywności ~~[illegible]~~ niestałości Kryżanowskiego, jest on jednak niewątpliwie szczerym i uczciwym demokratą i radykalistą, który nigdy w kontrakty z reakcją i ze wszelką obłudą elementów oportunistycznych nie wejdzie. Ma też tęgą dobrą głowę i szaloną pracowitość, co prawda nie systematyczną, nie sitzfleischowską, ale gorącą, nerwową, jak koń wyścigowy. Ma też w Wilnie sympatje, jest dość szeroko znany i ma opinję naogół dobrą. Ze względu na szanse przejścia jest bodaj że lepszy od Wróblewskiego, bo pozyskać może głosy burżuazji żydowskiej, których Wróblewski nie pozyska, a głosy te w obecnych warunkach byłyby dla zwycięstwa naszego niezbędne. Kryżanowski kwestjonował, czy warto stawiać odrębną kandydaturę demokratyczną, gdy esdecy postawią własną. Co za sens będzie stawianie 2 kandydatur demokratycznych i walki między demokratami a esdekami? Czy na tym nie ucierpi ~~[illegible]~~ sprawa demokracji w Wilnie? Otóż tak stawiać sprawę nie podobna. Nasza grupa demokratyczna, która jest dopiero w stanie formacji, za esdekiem nie pójdzie. A składa się ona z żywiołów dość różnolitych społecznie i przekonaniowo, których wspólną cechą jest właściwie tylko antyklerykalizm i pewne ustawicowe aspiracje postępowe. Dużo w niej jest pierwiastków nacjonalizmu i antysemityzmu. Dobrze więc, jeżeli na czele tej grupy, jako jej reprezentant, stanie demokrata rzetelny, jakim jest Kryżanowski. To będzie coś, co skonsoliduje w niej pierwiastki bardziej ~~[illegible]~~ lewicowe i pchnie ją na tory większego radykalizmu. Jeżeli teraz grupę tę zaniedbać ~~[illegible]~~ i cofnąć z niej elementy kry[illegible], kiedy ~~[illegible]~~ kandydaturę Kryżanowskiego, to albo się wysunie na czoło jakaś marna kandydatura oportunistyczna, albo grupa cała się rozłoży i ~~[illegible]~~ wielu jej elementów wciągnie do obozu endeckiego. Kandydatura Kryżanowskiego jest niezbędna choćby dla formacji grupy demokratycznej.

Przyszedł dziś do mnie Sławewicz i oświadczył, że demokraci-litwini w Wilnie nie pójdą w wyborach z litwinami klerykałami i nacjonalistami, to znaczy nie wystawią wspólnie demonstracyjnej kandydatury litewskiej dla [illegible] policzenia głosów litewskich. Prawdopodobnie zechcą poprzeć kandydaturę demokratyczną Kryżanowskiego, jeżeli takowa wystawiona będzie. Z kandydatami nie pójdą z esdekami a także nie dadzą swych głosów Wróblewskiemu. Jeżeli ~~[illegible]~~ kandydatem będzie on. W tym celu zamierzają oni wezwać na swoje zebranie Kryżanowskiego dla wysłuchania jego credo w kwestji narodowej i społecznej. Warunkiem stawiają tylko [illegible] Kryżanowskiego do Koła Polskiego; poza tym chcą mieć od niego pewne zobowiązania.

19 sierpnia / 1 września / rok 1912. / Niedziela.

Dzień dzisiejszy spędziłem prawie wyłącznie z Anną. Do obiadu chodziłem z nią po mieście, po obiedzie wieczór cały spędziłem u niej.

Piesek Ugryź dziś przyczynił Annie kłopotu. Jest to dla niej prawdziwe nieszczęście. Wygląda wspaniale, słabo włada kością pacierzową, wskutek czego ~~[struck out]~~ stanie się ciągle na tylnych nogach i wygląda na paralityka, jest nieznośnie brudny a nie może być myty w chorobie, śmierdzi; brudzi w pokoju, gdy Anny nie ma w domu. A do tego wszystkiego jest nieposłuszny, niezmiernie teraz głupi, i kapryśny w jedzeniu, przeto męczący, przykry i kosztowny. O ile był na wiosnę sympatyczny, o tyle jest teraz wstrętny. Radzę Annie, aby ~~[struck out]~~, o ile się nie poprawi za jakiś miesiąc, oddała go, ale Anna nie chce tego robić. Męka z tym pieskiem.

Henryś Wołłowicz [illegible] [illegible] egzaminu do kl. VI w gimnazjum Winogradowej. Zdał i został przyjęty. Jest to rzecz kapitalna. Tyle się uczył nadal i [illegible] aspiracji [illegible].

370.

20 sierpnia.
2 września.
rok 1912

poniedziałek.

Wieczorem w mieszkaniu Nagrodzkiego odbyło się zebranie grupy demokratycznej, zwołane dla zatwierdzenia zaprojektowanej kandydatury Bronisława Krzyżanowskiego i ustalenia dalszej akcji. Na zebraniu obecnych było przeszło 20 osób, mianowicie: Niewodniczański, przewodniczący zebraniu, Witold i Ludwik Abramowiczowie, Klott, Nagrodzki, Gabrjel Sokołowski, Zasztowt, Urniaż, Gulbin, Poniatowski, Stefanowski, Popławski, Wyszyński, dr. Hausmanowicz, dr. Potapowicz, Korolec, Kazimierz Ostachiewicz, Łastowski, [illegible] Krzyżanowski, ~~dr.~~ Szymonowicz, jeszcze paru i ja. Bronisław Krzyżanowski nie przyszedł wcale, nie chcąc swoją obecnością krępować zebranych w wypowiadaniu się o jego kandydaturze. Zebranie zatwierdziło kandydaturę Krzyżanowskiego bez żadnej dyskusji. Komitet dotychczasowy uznano za rozwiązany i postanowiono wybrać nowy. Żeby wszakże skład osobisty komitetu nie był wypadkowy, lecz mieścił w sobie ludzi wpływowych i pożytecznych z rozmaitych cyrkułów, dykasterji i profesji, postanowiono ~~nie~~ nie określać składu jego ~~na~~ na poczekaniu, lecz wybrać osobną komisję z pięciu osób, którym polecić ułożenie listy nowego komitetu, złożonego z 12 osób. Do komisji tej, która ma do przyszłego poniedziałku ułożyć listę nowego komitetu, powołano Niewodniczańskiego, Gabrjela Sokołowskiego, Uścinowicza, Klotta i mnie. Poza tym zebranie dzisiejsze prawie niczym się nie zajmowało. Poruszano ogólnikowo przykład porozumiewania się z innemi grupami, jak żydowską, demokratyczną litewską i endecką, stwierdzono też, że kandydatura Krzyżanowskiego ma być oparta na platformie programowej, ~~[illegible]~~ uchwalonej na zebraniu styczniowym w Klubie Bankowym.

W poniedziałek przyszły ma być zwołane nowe zebranie grupy demokratycznej na wzór dzisiejszego, na którym ma być zatwierdzona lista nowego komitetu wyborczego i omówiona kwestja taktyki wyborczej i środków na agitację. Naogół zebranie dzisiejsze było bardzo puste — nikt nie zdołał zebranym podniecić wiary, ognia i zapału, powiemy że sprawa nasza dobrze się zapowiada i ma dość powiększa szanse zwycięstwa. Ciekawe jest to, że śród elementów, objętych popieraniem endeckiego komitetu „centralnego", projektowanego przez komitet [illegible] kandydatura księdza budzi niechęć i że niektórzy z tych elementów, jak np. dziś Korolec, przechodzą z tamtego komitetu wprost do nas.

21 sierpnia
3 września
roku 1912.
wtorek.

Cyfry kombinacji wyborczych, które przed kilku dniami tu przytoczyłem i na których opieraliśmy nasze obliczenia, dziś już niezupełnie odpowiadają rzeczywistości. Chodzi o to, że cyfry tamte datowały ~~[illegible]~~ mniej więcej z 16 sierpnia, a 17-go i 18-go, t.j. w 2 ostatnich dniach przed ostatecznym zamknięciem listy, wpisało się jeszcze dużo nowych prawyborców tak chrześcijan, jak żydów. Ogółem jest podobno obecnie zapisanych nie 13, lecz po 20 tysięcy prawyborców; ilość ~~[illegible]~~ prawyborców chrześcijan przewyższa ilość żydów o jakichś 200-300 osób. Tędy wszakże, że choć cyfry absolutne zmieniły się od czasu naszego obliczania, ale stosunek poszczególnych cyfr prawdopodobnie wielkiemu zmianom już nie ulegnie. Bardzo ciekawa rzecz, czy się uda nam przeforsować Kryjanowskiego. Zwycięstwo to miałoby znaczenie istotnie olbrzymie. Wszelkie zwycięstwo dodaje powagi i znaczenia grupie i kierownikowi ~~[illegible]~~ walczącemu. Ludzie, opinja przeciętna, dają się z łatwością sugestjonować przez fakty, nie analizując zbytnio zawiłych czynników takowych: „vae victis" jest zawsze na dobie, a ~~[illegible]~~ zwycięzcom tryumf i uznanie. Ta magiczna siła faktów byłaby dla nas w zwycięstwie tym ogromnym kapitałem zdobyczy, większym od wszelkich rezultatów praktycznych działalności dumskiej naszego ewentualnego posła.

Wieczór spędziłem u Anny. Kochana dziewczyna — wszystko na świecie zmienne, powodzenie się splata z zawodem, smutki przychodzą i nas chłostają, a uczucie kobiety kochanej i kochającej to grunt granitowy szczęścia

372.

22 sierpnia. / 4 września. rok 1912.

środa.

Pisałem dla „Przeglądu" artykulik o perspektywach wyborczych u litwinów. Artykulik udał mi się dobrze, rad zeń jestem, ale muszę się jeszcze wpierw poradzić Stażewicza, czy nie rozkonspirowałem czegoś za dużo z zamiarów i nadziei litewskich. Litwini konspirują się bowiem straszliwie w sprawie wyborów i to może być jest jednym z sekretów ich powodzenia. Umieją oni zawsze robić cichaczem, bez hałasu, i umieją osiągać cel. Bardzo mi trudno pisać o sprawach i stosunkach litewskich; poinformowany jestem o tych sprawach znakomicie, ale nie zawsze się orientuję w tym, co można pisać a czego nie można. Gdy napiszę za dużo, to potem litwini mają do mnie pretensję. Z tego powodu nie mogłem się podjąć stałego prowadzenia działu litewskiego w „Przeglądzie"; dział ten prowadził z początku Michał Biržiška, potem, gdy ten się odmówił dla braku czasu, prowadził Šaulys; potem i Šaulys z braku czasu się wycofał, wskutek czego „Przegląd" nic już od dłuższego czasu ~~o~~ z dziedziny życia litewskiego nie umieszczał. Było to luką bardzo dotkliwą, tym bardziej, że i bez tego „Przegląd" zbyt mało stosunkowo miejsca poświęcał sprawom krajowym. To też umyśliłem zdobyć się teraz na odwagę i napisać artykuł z życia litewskiego, co mi się w zupełności udało.

Wieczorem u mnie odbyło się zebranie komisji, wybranej w poniedziałek na zebraniu grupy demokratycznej dla ułożenia listy demokratycznego komitetu wyborczego. Przyszli p. Niewodniczański, Uścinowicz, Kłott i ja (Gabriel Sokołowski nie przyszedł). Ułożyliśmy listę z 20 osób, z których oczywiście nie wszyscy przyjmą wybór. Na liście tej znalazły się następujące nazwiska: ja, adwokat Jan Kłott, ~~[illegible]~~ Uścinowicz, ~~dr~~ Witold Abramowicz, Korolec, Fleury, Gabriel Sokołowski, Bolesław Stankiewicz, redaktor Ludwik Abramowicz, dr. Juljusz Sumorok, Aleksander Zasztowt, księgarz Feliks Zawadzki, Jan Kolimasi, Adam Piłsudzki, adwokat Adolf Zmaczyński, którego pragnęlibyśmy pozyskać na prezesa komitetu, Hackowski (rzeźnik), Ignacy Turski, Aleksander Šmejlis, Szkowski i Wacław Studnicki. Lista ta ułożona jest zresztą dość przypadkowo, bez systemu. Należałoby ~~[illegible]~~ układać ją nie tak dorywczo, bez pośpiechu, ale po poprzednim dokładnym zorientowaniu się o rozmaitych ludziach wpływowych w poszczególnych cyrkułach miejskich i poszczególnych fachach rzemieślniczych.

23 sierpnia
5 września
rok 1912.
czwartek.

Zwaczyński, do którego Klott dziś się zwrócił z propozycją przyjęcia stanowiska prezesa tworzącego się demokratycznego komitetu wyborczego, odmówił stanowczo. Wobec tego zwróciliśmy się z Klottem na własną rękę do adwokata Marjana Strumiłły. Strumiłło w zasadzie się zgadza, ale jeszcze prosił o kilka dni do namysłu. Zgoda Strumiłły będzie zależała od tego, czy będzie on wierzył w szanse zwycięstwa naszego i czy wogóle akcja nasza wyda mu się poważną. Jest to wogóle człowiek [redacted] ostrożny, który się zaangażuje w jakąś sprawę tylko o tyle, o ile jest pewny, że się przez to nie zblamuje. Już sam ten fakt, że Strumiłło dziś nam nie odmówił i że jest skłonny do przyjęcia u nas prezesury, jest dobrym znakiem i świadczy dodatnio o perspektywach, jakie budzi [redacted] nasza akcja. Pozyskanie prezesa dla komitetu naszego jest sprawą ważną. Prezes daje imię komitetowi; musi to być człowiek z powagą i popularny w mieście, a niezbyt kanciasty, nie zbyt jaskrawie wyraźny.

Co do osoby Krzyżanowskiego, to tak Strumiłło, jak inni z przeciętnej publiczności sfer inteligienckich, podnoszą przeciw niemu to, że nie jest mówcą i że jest zbyt nerwowy. Uważają, że nie jest to jednak najlepsza kandydatura. Ale właściwie poza Wróblewskim nie mamy istotnie żadnego mówcy.

Wieczorem poszedłem z Anną na spacer, korzystając z pięknej pogody. Pochodziliśmy po ogrodzie Bernardyńskim, wstąpiliśmy do Botanicznego, gdzieśmy się przyglądali nieco produkcjom tancerek, śpiewaczek i kupleciarzów na scenie otwartej, potym poszliśmy na kolację do hotelu Niszkowskiego. Obudziła się dziś u nas obojga jakaś dzika namiętna chęć użycia, pragnienie [redacted] szału. Od kilku tygodni [redacted] pędziliśmy życie cnotliwe, statecznie — nie chodziliśmy na kolacje, nie hulaliśmy wcale. Wprawdzie nie odmawialiśmy sobie uciech [redacted] obcowania miłosnego wieczorami w pokoju Anny, ale to były uciechy powszednie, bez teatralnego tła, bez dekoracji szału. W obojgu nas budzi się bies dzikiego [redacted] szału, który chwilami, jak dziś, rwie się do jakiegoś używania bez granic.

24 sierpnia
6 września
rok 1912.
piątek.

Sytuacja wyborcza śród żydów bynajmniej się tak klarownie nie przedstawia, jak się zdawać mogło. Zaprawdę istotnie są szanse, że żydzi odrębnej kandydatury własnej z II kurji nie wystawią, ale i to jeszcze zupełnie pewne nie jest. Natomiast jest ewentualność inna, bardziej realna a dla nas niebezpieczna, że żydzi mogą się zechcieć wstrzymać od głosowania. Że żydzi nie wystawią osobnej kandydatury, to prawdopodobne. Chyba nieliczna grupka irredenty syjonistycznej wystąpi z własną kandydaturą żydowską, ale to mniej ważne. Masa żydowska za tą grupką nie pójdzie, a nawet większość nacjonalistów żydowskich jest przeciwna stawianiu kandydatury żydowskiej z II kurji. Nie stawiając własnego kandydata, żydzi też zapewne nie zdecydują się oddać głosów na kandydata komitetu „centralnego". Jeżeli kandydatem tym będzie ksiądz, to oczywiście i mowy niema o głosach żydowskich, ale jeżeli nawet będzie lewy endek lub taki umiarkowany quasi-liberał typu dr. Kiewlicza, to i tak zapewne żydzi na poparcie go się nie zgodzą a w kandydaturze [illegible] żydowskie głosów swych mu nie dadzą. Co więc zrobią żydzi? Albo poprą kandyda-

25 sierpnia / 7 września rok 1912. sobota.

W sprawie kandydatury Krzyżanowskiego nie mam nic nowego. Sam Krzyżanowski nerwuje się najbardziej; wszelkie kombinacje, gawędy o nim, najdrobniejsze zarysy perspektyw wyborczych obchodzą go, jak rzeczy kapitalnej wagi. Jeżeli Krzyżanowski nie przejdzie do Dumy, to zapewne odechce mu się raz na zawsze kandydowania. Jeżeli się tak nerwuje teraz, gdy właściwie jest cicho i nic się nie robi, to cóż będzie w najgorętszym momencie kampanii wyborczej, gdy przeciwnicy zaczną nań miotać oszczerstwa, wytaczać nierzeczywiste i urojone zarzuty co do osoby jego, jego przekonań, czynów dawnych, praktyki adwokackiej. A choć Krzyżanowski należy do ludzi, z których przez całe życie nic zdaje się brudnego wygrzebać się nie da, to jednak przeciwnicy jego kandydatury, zwłaszcza zaś niezrównani w oszczerstwie i insynuacjach księża z demagogiczną „Gazetą Codzienną" na czele, potrafią stworzyć na poczekaniu bajki, które za najistotniejszą rzeczywistość wydawać będą.

Późnym wieczorem przyjechała dziś Mama. Przyjechała tym razem na krótko, tylko dla zrobienia w Wilnie u rejenta plenipotencji w sprawie spadku po ś.p. Cioci Cesi Tukałłowej. Marynia pojechała na spotkanie Mamy do Nowej Wilejki, jak zaś z gromadką dzieci poszedłem wieczorem do cyrku. Byli ze mną Stefuś i Helcia, Sienio Przychanowski i ex-korepetytor Stefusia — Arkadjusz Didenko. Cyrk Truzzi pod jednym tylko względem celuje — ma bardzo piękne konie. Zaś balet, pantomima, klowny, — nie arcyświetne. Cyrk ma zawsze jakąś atmosferę zmysłowości, pożądania kobiet. Trykoty, zgrabne kształty ciała, giętkie sprężyste ruchy kobiece na arenie, strojne kobiety i mnóstwo kokot śród publiczności, — stwarza jakąś atmosferę drażniącą, nerwową, ~~[illegible]~~ prowadzącą do kultu kobiety, jako najszlachetniejszego narzędzia zmysłów. Budzi się tęsknota pożądania

[illegible]

26 sierpnia
8 września
rok 1912.
niedziela.

Cały prawie dzień spędziłem z Anną. Rano poszedłem do niej, napisałem u niej parę listów bieżących, potem poszliśmy razem na miasto. Humory służyły nam dobrze, stosunek utrzymywał się na stopie serdecznej. Na obiad wróciłem do domu, po obiedzie znów do Anny pospieszyłem. Zastałem ją w ogrodzie z Ugrysiem. Stan zdrowia i wygląd zewnętrzny Ugrysia widocznie się z dnia na dzień polepsza: nie jest już teraz tak przeraźliwie chudy, z nosa mu nie cieknie, powieki się zagoiły, oczy żywe, humor dobry, krzyżem włada lepiej, nie chwieje się tak i nie zatacza na tylnych nogach; apetyt ma znakomity i wkrótce już zapewne będzie zdrów zupełnie i będzie znów piękny i miły, jak dawniej.

Zaproponowałem Annie pójście wieczorem do cyrku; wczorajsza bytność moja zachęciła mnie do pójścia poraz drugi. Oddawna nie byliśmy z Anną na żadnym widowisku, ni żadnej zabawie. Anna, choć nie jest amatorką cyrku, przystała. Na godz. 8 poszliśmy piechotą przez całe miasto od Mościszkiej [illegible] na plac Łukiski do cyrku. Wzięliśmy bilety, usiedliśmy, ja wyszedłem na chwilkę dla małej potrzeby, o czym uprzedziłem Annę, i oto w tym czasie nagle z niewiadomych i niepojętych dla mnie przyczyn nastąpiła w humorze Anny jakaś kategoryczna zmiana. Syn, po wyjściu na chwilkę z cyrku, wrócił i dał znak Annie, aby zeszła ze swego miejsca i poszła ze mną zwiedzić stajnie. Anna zaprzeczyła ruchem głowy, robiąc przytem grymas złośliwy. Zmiarkowałem, że jest czegoś nierada, poszedłem sam do stajen, lecz wnet po chwili wróciłem i usiadłem przy Annie. Zastałem ją ponurą, jak noc, uporczywie milczącą, zaciętą w ~~[illegible]~~ jakiejś głuchej dumie. Poznałem odrazu, że jest w jednym z tych stanów humoru, kiedy nic poprostu [illegible] [illegible] w stanie. Tu ani perswazja, ani serdeczność, ani prośby ni gniewem

[illegible]

[illegible]

2 sierpnia.
9 września.
rok 1912.
poniedziałek.

Kandydatura Zmyjanowskiego nie znajduje jakoś dotąd wielkiego oddźwięku w przeciętnych szeregach inteligencji wileńskiej. Nie tylko że nie ma entuzjazmu, ale jest raczej sceptycyzm.

Adwokat Marjan Strumiłło, który, gdyśmy się do niego przed kilku dniami zwrócili z Klottem z prośbą przyjęcia stanowiska ~~pr~~ prezesa w naszym komitecie wyborczym, zdawał się zgadzać i poprosił jeno kilka dni do namysłu, odmówił swego udziału w komitecie.

Wieczorem u Zasztowta odbyło się zebranie grupy demokratycznej dla zatwierdzenia listy definitywnej komitetu wyborczego. Na zebraniu obecni byli: Jan Klott, Pietraszkiewicz, Stefanowski młody, Turski, który przewodniczył zebraniu, ja, Uścinowicz, Bulbin, Bujnicki, Karimfer(?) Ostachiewicz, Zasztowt, Poniatowski, [illegible], Gabrjel Sokołowski, Jan Piłsudski, Ludwik Abramowicz, ~~[illegible]~~ Korolec i jeszcze paru. Z listy komitetu, zaprojektowanej przez naszą komisję z 5 osób, zatwierdzono wszystkich tych, którzy dotychczas wyrazili zgodę na należenie do niej, oraz wpisano zaraz w porozumieniu parę nowych nazwisk. Oto więc spis tych, którzy wchodzą już obecnie do komitetu: Michał Römer, Jan Klott, Uścinowicz, Witold Abramowicz, Gabrjel Sokołowski, Bolesław Stankiewicz, Ludwik Abramowicz, dr. Juljusz Łunnowski(?), Aleksander Zasztowt, Ignacy Turski, Aleksander Zwejlis(?), Łdowski(?), Bujnicki, Jan Piłsudski i Bulbin, to znaczy osób 15, którym polecono dokompletować komitet w drodze kooptacji oraz wybrać prezesa komitetu. Przy kompletowaniu komitetu polecono uwzględniać zwłaszcza ludzi wpływowych z poszczególnych dzielnic miasta oraz sfery rzemieślniczej. Dyskusja toczyła się dziś głównie co do pertraktacji i układów z innymi grupami wyborczymi i zwłaszcza co do stosunku do klerykalno-endeckiego komitetu „centralnego". Korolec, który dotychczas jest jeszcze członkiem komitetu centralnego, choć osobiście sympatyzuje z nami, proponował, aby nasz komitet zwrócił się do „Centralnego" z propozycją przyjęcia naszej platformy i naszego kandydata. Turski poparł tę propozycję. Motywacja jego polegała na tym, że komitet „Centralny" w dotychczasowej platformy programowej nie ogłosił i kandydata nie określił, więc urzędowo nie wypowiedział się jeszcze jako sprzeczny z naszą akcją, a my mamy nadzieję, że nasza akcja [illegible] kandydat [illegible] wywołania [illegible] niektórych członków komitetu „Centralnego" i że jeżeli nie zostaniemy odrzuceni, co jest oczywiste, pociągniemy za sobą całego komitetu całe [illegible] zerwanie z księżmi i endekami, to [illegible] [illegible] go [illegible].

[illegible]

378.

28 sierpnia / 10 września rok 1912. wtorek.

Jak słychać — w polskim komitecie „centralnym" dotychczas żadna kandydatura nietylko wystawiona, ale nawet poważnie omawiana nie była. Elementy klerykalno-endeckie są w wielkim kłopocie. Choć one w komitecie „centralnym" rej wodzą, jednak muszą się liczyć tak ze sferami rzemieślniczemi, jak z inteligiencją bezpartyjną i z temi elementami nie-endeckiemi, które należą do komitetu „centralnego" i których klerykali i endecy obawiają się stracić. Kandydatura księdza i w szczególności ks. Maciejewicza jest bardzo niepopularna tak śród inteligiencji, jak w masach. W razie ogłoszenia tej kandydatury wielka ilość wyborców odpadnie i przejdzie do nas, a nawet z komitetu „centralnego" wystąpią prawdopodobnie niektóre jednostki z prezesem dr. [illegible] na czele. Endecy też radziby uniknąć kandydatury księdza, widząc jej niepopularność, ale nie mogą iść otwarcie przeciwko księżom, bo plebanje stanowią główne placówki i główne narzędzia wpływów komitetu „centralnego". Tak więc endecy są między młotem a kowadłem. W tych warunkach komitet „centralny" ugrzązł na kwestji kandydata i nie może wybrnąć. Dotychczas kwestja ta jest w komitecie „centralnym" starannie przemilczana, bo nikt w gruncie rzeczy wyjścia znaleźć nie może. A i księża są też zapewne zaszachowani ~~bo~~ i nie mogą odstąpić od kandydatury księdza, bo tu wchodzi w grę grubszy interes Kościoła: kurja rzymska musi mieć swego przedstawiciela w Dumie petersburskiej, a znikąd indziej go mieć nie może, jak z Wilna.

Wieczorem byłem u Anny. Pogodziliśmy się z nią serdecznie po niefortunnym wieczorze niedzielnym. Okazuje się, że zły humor Anny w cyrku stąd pochodził, że ja, wyszedłszy na chwilę przed rozpoczęciem przedstawienia, zadługo zabawiłem, i że, idąc do stajni, wywołałem Annę zdaleka gestem zamiast podejść do niej. A więc była to zupełna bagatela, która w kilku słowach mogła być zlikwidowana. Anna wtedy już, w niedzielę, po wyjściu z cyrku, przy kolacji u Nieszkowskiego i wczasie gdym ją odprowadzał do domu, czując się winną, błagała mnie spojrzeniem o przebaczenie, ale ja wtedy pragnąłem wyjaśnień, pragnąłem wyznania winy Anny. Nie wytrzymałem, czując się skrzywdzony i dotknięty z tą [illegible] upartym zachowaniem się Anny, [illegible] za jej jedynym [illegible] i odzyskać swobodę humoru. Dziś Anna [illegible] przez cały [illegible]. Płakała, tuliła się do mnie, patrzyła w [illegible] i obejmując mnie nogi. Złote dziecko, serdeczne i gorące się gorąco, choć chwilami kapryśna, a kochająca

28 sierpnia / 11 września rok 1912.

„Kurjer Litewski" w dzisiejszym artykule wstępnym pióra redaktora Hłaski rzucił się [redacted] na mnie za mój artykuł z ostatniego „Przeglądu Wileńskiego": Oso i środa-bug akcję wyborczą elementów demokratycznych w społeczeństwie polskim w Wilnie Hłasko uważa za zdradę narodową, za robotę na rzecz żydów, którzy z tego rozdwojenia wśród polaków skorzystają i własnego posła do Dumy przepchną. Hłasko udaje, że nie wiedzieć, że żydzi osobnej kandydatury z II kurji stawiać nie zamierzają; oczywiście musiał wiedzieć o tym, ale udaje, że nie wie, aby mieć sposobność dosięgnąć koniuszka antysemickiego i akcję naszą w opinji publicznej tym straszakiem zabić. Operowanie hasłami antysemityzmu, stwarzanie teorji „wroga wewnętrznego", jakim mają być u nas żydzi, — to ulubiony i wypróbowany środek nacjonalistów wszelkiego kalibru, tak jak w opozycji rosyjskiej posługiwanie się straszakiem „inorodców". Hłasko stara się całą naszą akcję demokratyczną zbagatelizować, jako warcholskie przedsięwzięcia „p. M. Römera" z garsteczką przyjaciół, ale z tego, że się tak gniewa i że się tak na nas rzuca, widoczne jest, że się akcji naszej wcale poważnie boi. Podobno i „Gazeta Codzienna" wystąpiła dziś z jakiemiś zarzutami do nas i w szczególności do mnie, ale tego dobrze nie wiem, bo nie czytałem.

Najniespodzianiej zgłosił się dziś do mnie dr. Łyścianko, prosząc o poinformowanie go o sytuacji wyborczej i deklarując się zwolennikiem naszej akcji oraz kandydatury Krzyżanowskiego. Wogóle dają się dostrzec rysy charakterystyczny nieufności szerokich kół umiarkowanej bezpartyjnej inteligencji do akcji klerykalno-endeckiej komitetu „centralnego" i pewne garnięcie się jej do nas. Supponuję, że byłoby nieźle, abyśmy takiego dr. Łyścianko wciągnęli do naszego komitetu. Wogóle uważamy, że elementów skrajnych i wyraźnie radykalnych do komitetu naszego wciągać nie warto, natomiast postarać się o reprezentację aktywnych jednostek z pośród mieszczan oraz umiarkowanych przedstawicieli wolnej inteligencji, aby zademonstrować, że mamy za sobą szerokie bezpartyjne stanowiska społeczności, nie zaś tylko grono nieuświadomionych wyrostków.

30 sierpnia / 12 września. rok 1912. czwartek.

Rannym pociągiem o godz. 10 wyjechałem z Wilna do Radoszkowicz. W wagonie spotkałem się z moim kolegą szkolnym z Petersburga (ze szkoły prawa) Sergjuszem Kudrewiczem, który był o 3 klasy niżej odemnie. Teraz jest on wice-prokuratorem Sądu Okręgowego w Wilnie i jedzie do Radoszkowicz dla dokonania lustracji aktów tamecznego sędziego ~~[illegible]~~ śledczego. Kudrewicz, jadąc do miasteczka Radoszkowicz, wysiadł na stacji Alechnowicze, ja zaś, mając dalszą drogę na toż miasteczko Radoszkowicze, pojechałem koleją o jedną stację dalej, do stacji Radoszkowicze. Ze stacji dojechałem do miasteczka znakomicie, po pańsku, w wygodnym fajetonie, parą perskich koni, należącym do p. Zawadzkiego, którego furman ofiarował mi się mnie odwieźć za napiwek. W miasteczku Radoszkowiczach spotkałem przejeżdżającego na rowerze redaktora „Naszej Niwy" Własowa, który ma tu w pobliżu folwark Mażówkę. Wstąpiliśmy z Własowym do zajazdu p. Szapirowej na gawędkę. Tam ~~[illegible]~~ spotkaliśmy się z sędzią śledczym i tym samym wice-prokuratorem Kudrewiczem, który jechał z inną koleją. Spożyliśmy wspólnie rodzaj obiadu, skropionego wódką. Towarzystwo sędziego śledczego i wice-prokuratora sprawiało na mnie przykre wrażenie. Sędzia śledczy tutejszy jest polakiem, jedynym bodaj w całej gubernji. Jest jest [illegible], zbiedzony i znać po nim, że czuje się niepewny na tej posadzie. Jako polak, to też wysługuje się z wierności [illegible] i cały jest [illegible] w uniżoności wobec [illegible] wice-prokuratora, który, jako typowy „czynownik" rosyjski, umie się i przyjmuje chętnie starego [illegible] i [illegible].

[illegible]

31 sierpnia / 13 września rok 1912. piątek.

Dzień spędziłem w mym lesie pracowicie. Rano przed obiadem i poraz drugi po obiedzie byłem przy budowie mego domku. Ściany domu już gotowe, i już cieśla Czeboltar wywozi z lasu osinę na krycie dachu. Zostanie jeszcze do wstawienia podłoga, sufit, drzwi i okna, komin i piece. Deski już są gotowe, cegły jeszcze za mało. Spodziewam się, że po św. Michale cały domek będzie gotowy. Wydałem rozporządzenie o wybiciu drugich drzwi z tyłu domu, które będą miały zamknięty ganek od wejścia, oraz parę okien w tejże tylnej ścianie domu. Dalej najęłem cieślę Ławicza do budowy chlewa, odrynki i t. zw. „powietki", które staną pod jednym dachem. Ten drugi budynek gospodarski stać będzie za domem pod samym lasem i łączyć się będzie z domem opłotkowanym dziedzińcem. Budowanie bardzo mnie bawi; domek, którego ściany się wznoszą, cieszy mnie i zajmuje; z radością w nim zamieszkam i chętnie będę w nim spędzać przy pracy dnie odpoczynku, gdy je sobie urwać z mych zajęć wileńskich zdołam. Planuję już sobie, gdzie ~~[illegible]~~ i jak założę sad, gdzie będzie studnia, jak pójdzie droga, jak może z czasem stanie na wzgórku dom okazalszy. Miejsce jest prześliczne, wesołe śród pięknej zieleni leśnej; na tle wyniosłych sosen i brzozy. Powietrze wrześniowe czyste i jędrne, chłodek rześki, głos brzmi śród lasu tonem donioślejszym. Ślicznie!
Wieczorem przyjechał do mnie do Truszewicz w odwiedziny redaktor Własow [illegible] i zanocował u mnie.

1 (14) września rok 1912. sobota.

Rano, przed wyjazdem z Truszewicz na kolej, zdążyłem jeszcze przejść się z Własowym po lesie i ~~zajść do ludzi~~ pokazać mu budujący się domek. Przy tej sposobności Własow poprosił mię dać 10 sztuk osin na pokrycie dachu w składzie straży ogniowej ochotniczej w Radoszkowiczach, gdzie on urządza od czasu do czasu białoruskie przedstawienia amatorskie i wieczorynki. Nie mogłem mu odmówić, uważałem bowiem, że spełnię przez to mą powinność obywatelską chociażby w minimalnym stopniu względem tego ludu, śród którego mi tam być wypada.

Koło godz. 11 przed południem wyjechałem do Radoszkowicz na kolej. Przez pewną część drogi Własow towarzyszył mi na furze.

W miasteczku Radoszkowiczach przyłapał mię na drodze żydek Trybzon, młody początkujący kupiec leśny, który traktuje o kupno lasu mego. Trybzon sam przez się nie przedstawia firmy solidnej, ale kontrakt byłby urzędownie zawarty na imię ~~fi~~ pewnej firmy bankierskiej z Mińska i pieniądze byłyby zapłacone z góry. Trybzon jest jedynym kupcem, który nie przestaje traktować ze mną o kupnie lasu. Rzeczywiście innych kupców, prócz niego, nie mam obecnie. Ale rozchodzimy się z Trybzonem w cenie. Trybzon nie daje więcej, niż po rb. 9.25 za pień, ja zaś ustąpiłem już do rb. 9.50 i niżej ustąpić się nie zgadzam. Te 25 kopiejek różnicy wynosi na 5000 sztukach sosny – rb. 1250. Może uda mi się, że jeszcze się z Trybzonem zejdziemy. Wielką pokusą w umowie z nim byłoby wypłacenie z góry całej sumy gotówką, na co on się zgadza. Rozstałem się z Trybzonem i spóźniłem się w Rado-szkowiczach na pociąg dzienny. Musiałem więc przesiedzieć na stacji 4 godziny do pociągu wieczornego. Do Wilna przyjechałem koło godz. 11 wieczorem. Na dworcu spotkała mię Anna, uprzedzona telegraficznie o godzinie przyjazdu mego. Wspólnie poszliśmy z Anną do Szumana. Zabawiliśmy się dobrze. Program u Szumana był urozmaicony i ciekawy. Anna [illegible] jak zwykle chwila zazdrości i gniewu, gdym się przyglądał tancerkom i śpiewaczkom na scenie, ale naszej harmonii [illegible] nie zepsuło(?) [illegible]. Na noc poszliśmy do hotelu Wersalu(?).

Cały dzień spędziłem z Anną. Do mieszkania mego wcale nie zaglądałem — urzędowo jeszcze do Wilna nie wróciłem i wrócę dopiero jutro pociągiem rannym. Tymczasem jestem w Wilnie incognito.

2 (15) września rok 1912. Niedziela.

Wstaliśmy z Anną koło godz. 2 popołudniu. Po hulaniu wczorajszym została pamiątka w postaci bólu głowy. Na obiad poszliśmy do restauracji przy hotelu Bristol. Stamtąd poszliśmy do mieszkania Anny, posiedzieliśmy w ogrodzie z Ugrysiem, który jest już w najlepszym stadjum rekonwalescencji, potym poszliśmy z Ugrysiem przejść się na miasto, kolację zjedliśmy znów w tej ~~xxx~~ samej ~~xxx~~ restauracji i zanocowaliśmy w hotelu Wersal.

3 (16) września rok 1912. poniedziałek.

Rano rozstałem się z Anną — odprowadziłem ją z hotelu do domu, a sam do siebie wróciłem, symulując powrót z Truskawca. Południowym pociągiem wyjechała z Wilna do Bohdaniszek Mama. Zdążyłem Mamie powiedzieć o mojej rozmowie z kupcem Żyrkronem, o propozycji jego po rb. 25 za pień sosny przy 5000 pni i pieniądze wszystkie gotówką z góry, to Mama wyraziła na tę cenę zgodę. Żyrkron ma napisać do mnie w tych dniach w tym interesie. Może już i dobijemy targu.

Dzień spędziłem cały przy biurku przy pracy adwokackiej. Wieczór też zabawiłem w domu, a do Anny nie poszedłem, bo nie będzie dziś w domu, ma iść do „Ruty" na próbę teatralną w towarzystwie litewskim.

Pogoda dziś brzydka, dżdżysta, ciemna. Humor mi nie dopisywał, ogarnęło mnie przygnębienie. Złożyły się na to rozmaite przyczyny, tak pogoda, jak rozmaite troski wewnętrzne.

W sprawach wyborczych niewiele nowego. Kapitalna wiadomość, o której się dowiedziałem, gdym zajrzał do Gaziety z tych kilku dni ubiegłych, — to ukaz o rozwiązaniu III Dumy. Wstępujemy więc urzędowo w okres wyborczy.

Rozmawiałem z Krzyżanowskim, który jest dobrej myśli. Krzyżanowski doradza bardzo, abyśmy na prezesa naszego komitetu wyborczego zaprosili dr. Szumorskiego, jako bardzo popularnego w ubogich sferach ludności przedmiejść.

Przeczytałem artykuł „Mazepki" w numerze środowym dzisiejszej klerykalnej „Gazety Codziennej", skierowany przeciwko natchnionej demokratycznej akcji wyborczej. Co za brudy, co za podłość w tym piśmie! [illegible]. O jakże dalecy są ci klerykali od wzorów nauki Chrystusa, [illegible]

[illegible]

Kapitalna zmiana w sytuacji wyborczej. 4/17 września rok 1912. Wtorek.

W dzisiejszych pismach rannych ukazała się wiadomość, że z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych w I i II kurji miejskiej w Wilnie i powiecie wileńskim wprowadzony zostaje podział na podkurje wyznaniowe, t. j. chrześcijańską i żydowską. ~~[illegible]~~ My na tym tracimy niezmiernie, właściwie ~~[illegible]~~ przegrywamy całą kampanję. Bez poparcia większej głosów żydowskich, na które w wyborach obecnych liczyć mogliśmy, nie zdołamy przeforsować naszego kandydata contra klerowi. Ciemna i ślepa masa ludności wileńskiej, posłuszna klerowi, zawsze zwycięży ilościowo tę garść świadomych i światłych wolnomyślników, która pójdzie z nami. Zresztą samo przeświadczenie o ~~[illegible]~~ przyszłym niepowodzeniu działa deprymująco i odbiera naszej akcji zapału i wiary. Notuję zdaniem ten fakt, że przejście kp. Maciejewicza czy jakiś inny kandydat komitetu „centralnego" musi być, niestety, uważany odtąd za przesądzony. A skoro przejdzie do komisji gubernjalnej na wyborcę, to przejdzie niewątpliwie i na posła, bo większość bezwzględną mają w komisji chrześcijanie i to właśnie wsteczni, więc z 8 wyborców ~~[illegible]~~ II kurji miejskiej wybiorą zawsze na posła wyborcę z ramienia komitetu „centralnego", bo wszyscy inni 7 wyborców będą żydzi.

Kłosko w „Kurjerze Litewskim" rzucił się dziś znów na nas, tym razem za artykuł d. Abramowicza w ~~[illegible]~~ „Przeglądzie". Ze stanowiska zasadniczego i jakimś mógłby nieco Abramowiczowi zarzucić, ale oczywiście z względów przeciwnych zarzutów, niż Kłosko. Oczywiście że w ręku Kłoskiego głównym atutem jest antysemityzm. A więc samą możność pozyskania dla naszej kandydatury głosów żydowskich uważa Kłosko za zbrodnię, za zdradę narodową, za dopuszczenie żydów do rozstrzygania spraw wewnętrznych polskich. Nieznośny ten antysemityzm! Czyż chodzi tu jednak o narodową sprawę polską, o dziedzinę ~~[illegible]~~ spraw narodowościowych wyłącznie? Czyż nie o wybory do Izby ustawodawczej państwowej idzie? Czy żydzi nie są takimi samymi obywatelami Wilna i Rosji, jak my, czyż nie przeważać powinny sprawy krajowe? Wreszcie wykorzystanie chwilowości obywatelskie, jeżeli [illegible] w dodatku [illegible]. Wolna za współczesnym wrogiem rządem rosyjskim nacjonalistycznym i państwowym zaborczym i niewolniczym, to powinniśmy się raczej ze stanowiska narodowego przeciwko wroga tego wyzyskiwać, nie zaś ku uciesze jego gnębić żydów.

[illegible]

[illegible]

385

5 (18) września rok 1912. środa.

Wczoraj, jednocześnie z naszym komitetem, odbyło się posiedzenie komitetu „centralnego". Informacje o tym posiedzeniu czerpię częściowo od pomocnika adwokata Jasińskiego, endeka, który należy do składu komitetu „centralnego"; częściowo zaś od Korolca, który też do komitetu tego należy, choć sympatyzuje z nami. Otóż odbyło się tam wreszcie próbne głosowanie na kandydata. Endecy, wolni teraz przy podziale na podkurje od obaw co do przewagi głosów żydowskich i pewni, że nasza kandydatura teraz w wyodrębnionej kurji chrześcijańskiej zwycięstwa nie osiągnie, posłali już otwarte karty. Wystawione zostały kandydatury ks. Maciejewicza, Andrzeja Tupalskiego, Tadeusza Wróblewskiego, Jasińskiego endeka i dr. Kiewlicza; dwaj ostatni, obecni na posiedzeniu, nie przyjęli kandydatury. W głosowaniu próbnym ks. Maciejewicz otrzymał 18 głosów, Wróblewski 3 głosy (!) i Tupalski też kilka zaledwie. Choć głosowanie to było tylko próbne, bo ostatecznie kandydatura komitetu „centralnego" ma być ustalona w październiku przyszłym, ale już z obecnego wyniku widać wyraźnie, że kandydatem ~~[illegible]~~ ich będzie nie kto inny jak ks. Maciejewicz. A więc stało się. Znów ksiądz, agent czarnej międzynarodówki, zostanie posłem naszego stołecznego Wilna. Endecy, którzy zapewniali przywódców, że księdza nie życzą, głosowali w komitecie otwarcie za księdzem, bo na Wróblewskiego padły niewątpliwie nie endeckie głosy. Tak coraz bardziej ex-demokraci narodowi stają się pachołkami kleru i narzędziem reakcji. Bo żadna zaiste reakcja nie jest tak straszna ~~[illegible]~~, jak reakcja klerykalizmu katolickiego. Ważny też jest nie wybór posła, nie sama osoba ks. Maciejewicza, bo tam w Dumie chyba że o wielkich rezultatach dla kraju naszego mowy jeszcze być nie może, ale ważna jest ta zachłanność klerykalizmu w akcji wyborczej, ta dyktatura plebanji i zakrystji nad ciemnymi masami ludności. Z tym walczyć musimy, idąc wspólnie z garścią światłych i świadomych rzemieślników i sięgając w głąb masy ludowej w imię jej emancypacji.

Jest bodaj że jedyny jeszcze sposób niedopuszczenia ks. Maciejewicza do Dumy, mianowicie żeby przeprowadzić na wyborcę z II kurji miejskiej z któregokolwiek z powiatów polaka postępowego. Żydzi, którzy w niektórych miastach w powiatach mają wszędzie większość, przeprowadzą chętnie na wyborcę polaka-postępowca dla tej kombinacji. Wtedy w II kurji miejskiej będzie dwóch wyborców polaków — ks. Maciejewicz i postępowiec. Wtedy gdyby powiat [illegible] dał z 2 kurji ziemiańskiej postępowca [illegible] wtedy [illegible] by się [illegible], żydzi i [illegible] blok, który by wybrał z II kurji na posła postępowca zaś księdza. Ale czy się [illegible]

6 (19) września roku 1912.

O godz. 1 zebrała się dziś w redakcji „Tygodnia" komisja wykonawcza ~~[illegible]~~ naszego komitetu wyborczego. Obecni byli: sekretarz komitetu naszego Jan Piłsudski, członkos czwartek. wie komisji wykonawczej Witold Abramowicz i Zasztowt, oraz zwykli członkowie komitetu Turski, ~~[illegible]~~ Ludwik Abramowicz i ja. Odczytaliśmy tekst odezwy wyborczej, której wydanie zostało postanowione we wtorek. Odezwa ta ma w krótkiej i popularnej formie streszczać główne postulaty nasze i ma być, po odbiciu jej w jak największej ilości egzemplarzy, rozesłana do wszystkich lub do większości prawyborców chrześcijan. Tekst odezwy ułożył Zlott. Treść wypadła zresztą blada, ogólnikowa, bez mocnego jądra programowego. W odezwie zaznaczono tylko walkę z wszelakim uciskiem, narodowym i religijnym, zasadę zupełnego równouprawnienia wszystkich narodowości w kraju, obronę interesów ludu pracującego, dążenie do samorządu demokratycznego. Dwa kapitalne postulaty naszego stanowiska demokratycznego, — autonomia i powszechne głosowanie, — nie mogły być ze względów cenzuralnych wyrażone. ~~[illegible] w stosunku do por~~

W sprawie organizacji komitetów cyrkułowych postanowiliśmy na wniosek L. Abramowicza zastąpić sztuczny policyjny podział cyrkułowy miasta przez naturalny podział dzielnicowy. Dzielnic takich ustanowiliśmy 12, mianowicie: dzielnica I — Antokol, II — Śnipiszki, III — Zwierzyniec ze Żołtaniszkami, IV — Łukiszki, V — ~~[illegible]~~ Pohulanka i Nowe Zabudowanie, VI — Nowe Miasto aż do kolei, VII — Nowy Świat, VIII — Rossa z ul. Monastyrską i całym szmatem między Ostrobramą a mostem kolejowym, IX — Popławy, X — Zarzecze, XI — Śródmieście I od Ostrej Bramy do ul. Trockiej, Dominikańskiej, Świętojańskiej, XII — Śródmieście II od Trockiej i Dominikańskiej do Wilji. Członkowie komitetu mają być rozsegregowani ~~[illegible]~~ podług dzielnic, poczynając stosownie do ich miejsca zamieszkania, z wyznaczeniem na nich obowiązku utworzenia komitetów dzielnicowych, tak rzemieślniczych, jak inteligenckich. Najlepiej się zapowiada u nas organizacja dzielnicowa Rossy z ul. Monastyrską, gdzie mamy kilku dzielnych i popularnych ludzi z naszego komitetu.

Wieczorem byłem u Anny. Po kilku dniach niewidzenia się oboje śmy byli bardzo stęsknieni do siebie. Anna się tuliła do mnie, była usposobiona zdrowie i nad [illegible] gorąco. Ta jest na to tęsknota, powiada, że się czuje [illegible] [illegible] mnie w ciągu paru [illegible], zapominając roli swej i [illegible]. Wczoraj [illegible] 9 wieczorem Anna, idąc na próbę teatru do „[illegible]", wystała całą godzinę [illegible]

7 (20) września rok 1912. piątek.

Ostatecznie ułożona lista członków „Polskiego demokratycznego komitetu centralnego”, popierającego kandydaturę Bronisława Krzyżanowskiego, składa się z osób następujących: 1) Witold Abramowicz (adwokat), 2) Tadeusz Łyżnicki (urzędnik Banku Ziemskiego), 3) Kazimierz Dobrzyński (inżynier), 4) Stanisław Fleury (fotograf), 5) Zygmunt Zdowski (handlowiec, właściciel magazynu tytuniu fabryki „Noblesse”), 6) dr. Władysław Jabłonowski (lekarz), 7) Stanisław Jackowski (rzeźnik), 8) Bolesław Jakubowski (emeryt), 9) Jan Klott (adwokat), 10) Kazimierz Ostachiewicz (urzędnik asekuracji), 11) Jan Piłsudski, sekretarz komitetu (adwokat), 12) Michał Römer, 13) Aleksander Inglis (urzędnik za składu narzędzi rolniczych Wileńskiego T-stwa Rolniczego), 14) Gabrjel Sokołowski (inżynier), 15) Jan Poliman (urzędnik Banku Handlowego), 16.) Bolesław Stadziewicz (urzędnik asekuracji), 17.) dr. Juljusz Szumowski (lekarz), 18.) dr. Czesław Życilko (lekarz), 19.) Bolesław Tymonowicz (rzemieślnik, właściciel magazynu szczotek), 20.) Józef Trocki (rzemieślnik-ślusarz), 21.) Ignacy Turski (sekretarz Wil. T-stwa Rolniczego), 22.) Witalis Uścinowicz (rzemieślnik-puszkarz, właściciel magazynu broni), 23.) Stefan Wrześniowski (urzędnik Banku Handlowego), 24.) Aleksander Zawtowt (inżynier) i 25.) Franciszek Żukowski (rzemieślnik-zdun). Lista istotnie demokratyczna.

Wieczorem spotkałem się z Anną na miejscu umówionym przy placu Katedralnym, skąd poszliśmy do wanny na Zarzecze. W wannie zaszła między nami mała sprzeczka, raczej nieporozumienie. Anna po ciepłej wannie była senna, drzemała na kanapce

[illegible]

8(21) września rok 1912. sobota.

Do obiadu nie widziałem się z Anną, choć to dziś dzień świąteczny, który zwykle spędzamy we dwoje. Ale Anna miała dziś w „Życiu" próbę teatru łotewskiego. Nie chciała iść na tę próbę, prosiła, abym przyszedł do niej, ale odpowiedziałem jej wczoraj kategorycznie, że nie przyjdę. Chcę bowiem, aby Anna miała jeszcze jakieś inne dziedziny życia poza naszym stosunkiem, aby ewentualnie miała jakąś rozrywkę, jakiś interes poza tym. Anna zaś tyle wkłada w nasz stosunek, tak się w nim zamyka, że nie chce wiedzieć o świecie bożym poza tym, a każdą rzecz, która ją choć chwilowo ode mnie odrywa i niejako wykrada z naszego obcowania, nienawidzi i klnie. Tak też zła jest teraz Anna na te próby teatru łotewskiego.

Po obiedzie poszedłem do niej. Poszliśmy z pieskiem Ugrysiem za miasto torem kolejowym, tam posiedzieliśmy przy cegielni za Rossą na wzgórzu, i o zmierzchu wróciliśmy do pokoju Anny. Ponieważ byliśmy zmęczeni i niewyspani oboje po wczorajszym późnym położeniu się, więc teraz, nie zapaliwszy światła w pokoju, położyliśmy się na ciasnym łóżeczku Anny i zasnęliśmy. Choć ciasno, ale dobrze, ciepło, serdecznie we dwoje. Przespaliśmy się do godz. 10 wieczór, potem napisałem jeszcze u Anny parę listów i koło północy pożegnałem ją i wróciłem do domu.

Serdeczność Anny i siła jej uczucia nietylko się nie wyczerpuje, ale się wzmaga i potężnieje. Nie ma żadnego śladu spowszednienia dla niej stosunku tego. Jest ona dla mnie tak dobra, tak oddana, tak się całkowicie wcieliła w życie moje, tak tęskni i pragnie mnie, że doprawdy większego zbliżenia, ściślejszego zespołu małżeńskiego — być nie może.

9 (22) września rok 1912. Niedziela.

Choć to niedziela, ale tylko pół dnia udało mi się spędzić z Anną, ponieważ do obiadu byłem zajęty. Wpadłem jeno do niej rano na godzinkę, i potym od godz. 5 do północy czas z nią spędziłem. Byliśmy na spacerze w ogrodzie Bernardyńskim, potym wieczorem po kolacji zimnej spożytej w pokoju Anny, byliśmy w kinematografie Strelmera. O półtorej z żalem rozstałem się z Anną. Nasze miesiące miodowe nigdy się nie kończą. Stosunek nasz ma taką słodycz, taką świeżość uczucia, tyle ciepła, barwy i wyrazistości, że spowszednieć nie może. Nie przypuszczałem dawniej nigdy, żeby miłość, zrealizowana we wspólnym pożyciu, mogła zachowywać ciągle taką moc i władzę nad duszami kochanków. Miłość Anny jest wciąż taką samą, silną, tęskną i namiętną, jaką była w pierwszych chwilach przed rokiem. W pewnym względzie miłość Anny się nawet pogłębiła, wyszlachetniała, bo się zespoliła z serdecznym przywiązaniem dla mnie, pewnością o mojej miłości i poczuciem głębokiej solidarności życiowej, łączącej nas odtąd na przyszłość. Jak miłość Anny, jest z samej natury jej charakteru, nie miała żadnych cech spekulatywnych poprzednio, tak tym bardziej nie ma ich dziś. Promieniowanie uczucia, które tryska z wyrazu Anny i które przetapia ją w jakąś uduchowioną nadziemską istotę, zdającą się być nie ciałem, lecz emanacją najwyższych skupień ducha, nadaje jej piękno niepospolite, widoczne tylko dla mnie, albowiem ku mnie całkowicie ta emanacja się skierowuje i we mnie ten wyraz wchłania.

Dziś Anna mi oświadczyła [struck out] w chwili ekstazy uczucia, [struck out] płonącej szczęściem i wstydliwością, że z pewnością ma teraz ochotę mieć dziecko. Wątpię w to zresztą, bo tylekroć już czasu ta nadzieja w roku zeszłym zawiodła. Sądzę, że Anna dla jakichkolwiek przyczyn fizjologicznych jest i będzie bezdzietna. Dziś mnie to już zresztą nie niepokoi.

Z rana dziś miałem zebranie Zarządu „Lietuvių Dailės Draugija" — pierwsze po wakacjach. Byliśmy wszyscy w komplecie: Żmujdzinowiczowie, Jan Vileišis, Kairys i ja. Omawialiśmy szczegóły zakończenia i rozesłania wydawnictwa albumu kopii obrazów litewskich, które się fatalnie spóźniło, następnie sprawy uporządkowania i zinwentaryzowania zbiorów towarzystwa, wreszcie sprawę nowego zamierzonego wydawnictwa artystycznego o Čiurlionisie.

10 (23) września
rok 1912.
poniedziałek.

Do obiadu zajęty byłem sprawami bieżącemi na mieście, po czym zaś większą część dnia, to znaczy całe popołudnie i wieczór spędziłem w domu przy biurku. Załatwiałem korespondencję, przyjmowałem interesantów, odrabiałem pracę bieżącą adwokacką, wieczorem zaś pisałem artykuł do „Przeglądu Wileńskiego" w kwestji zatargów językowych polsko-litewskich w kościołach djecezji wileńskiej. Nie jest to właściwie temat w tej chwili aktualnym, zwłaszcza wobec pochłonięcia opinji i naszych sfer postępowych wyborami, ale w gruncie rzeczy jest to sprawa o wiele żywotniejsza w naszych stosunkach krajowych od kwestji osoby lub osób posłów naszych do IV Dumy. Artykuły o wyborach, wobec brutalnych i przewrotnych form walki, napaści i insynuacji, jakiemi zasypały nas pióra „Kurjera Litewskiego" i „Gazety Codziennej", budzą we mnie w tej chwili niesmak i odrazę. Plwanie się, zachlapywania się wzajemne błotem plugawych kłamstw, fałszowania intencji przeciwnika i t.p., to obrzydliwa dziedzina podłości politycznej. Niech ją uprawiają księża z „Gazety Codziennej", rekordziści „chrześcijaństwa". Dla mnie jest to wstrętne. W akcji wyborczej cenię li tylko żywy kontakt z ludem przez namiestników, nie zaś tę obrzydliwą polemikę dziennikarską.

Byli u mnie kupcy leśni, którzy od jakiegoś czasu zwlekali się coraz bardziej zgłaszać zakupując. Ale cenę dają niską, nie przewyższającą rb. 9 za sztukę przy 5000 sztuk. Żałuję, że nie dobiłem targu z Żydkiem przed 10 dniami, gdy mi ofiarę w Bohdanowiczach dawał po rb. 9.25. Dziś napisałem do Żydka, że się na cenę jego godzę, ale nie jestem pewny, czy on już nie cofnie.

11 (24) września rok 1912. wtorek.

Wieczorem u Zastawta odbyło się zebranie [illegible] plenarne polskiego demokratycznego komitetu wyborczego, na którym byli wszyscy członkowie takowego z wyjątkiem Dobrzyńskiego, Fleury'ego, dr. Jabłonowskiego, Smeglisa, Sokimianiego i Trockiego. Długo i szczegółowo omawiany był tekst odezwy ulotnej, która ma być rozpowszechniona jaknajliczniej w naszych prawyborców. Tekst tej odezwy, napisanej początkowo przez Klotta, potem przerobionej przez Ludwika Abramowicza i wreszcie uzupełnionej przez Krzyżanowskiego, został z nieznacznemi poprawkami przyjęty. Składa się ona ostatecznie z ogólników, ale napisana popularnie i względnie śmiało. Uwydatniono w niej potrzebę walki o wszelkie swobody i prawa [illegible] obywatelskie z wyszczególnieniem walki z uciskiem narodowym i religijnym, dalej zasada zupełnego równouprawnienia oraz [illegible] zasada samorządu demokratycznego. Dość blado, ale warunki cenzuralne na inną treść by nie pozwoliły. W komitecie naszym są zresztą elementy umiarkowane i bynajmniej nie radykalne społecznie, z którymi też liczyć się musimy i miarkować nasz radykalizm (do takich należą zwłaszcza dr. Łycieński, Turski, Jackowski, Jakubowski). Nasza prawica w komitecie boi się jaskrawości; są to nie radykali, jeno czystej krwi demokraci, którzy wyznają jedyną zasadę — wolę ludu. Jest nawet w komitecie jeden, Jackowski, rzeźnik, który chyba dlatego tylko do nas należy, że nie jest klerykałem, bo skądinąd jest demokratą antysemickim. Gdy czytano w odezwie ustęp o równouprawnieniu wszystkich obywateli bez różnicy narodowości, Jackowski, nie[illegible], pobożnie [illegible] z odcieniem zgorszenia zapytał półgłosem: „A to czyżby i żydów równouprawnić?" potem sam się pocieszył półgłosem: „No, to tak tylko mówić, ale niekoniecznie robić." Skądinąd wszakże taki Jackowski jest nam bardzo potrzebny, bo ma stosunki i powagę w sferach rzemieślniczych, o które nam najbardziej chodzi. Potem rozsegregowaliśmy wszystkich członków komitetu naszego na grupy dzielnicowe, zalecając jaknajrychlejsze tworzenie dzielnicowych komitetów. W kwestii zdobycia środków na agitację wyborczą nie [illegible] wszystkich. Jedyny sposób — to zbieranie składek, ale czy się da dużo zebrać? Dotychczas mamy w kasie wyborczej 30 rb.

12 (25) września rok 1912. Środa.

Wieczorem z inicjatywy esdeków odbyło się w mieszkaniu p. Kuby i Romanówny zebranie grona osób dla narady w sprawie w gubernji. Obecna była grupa „Naszej Niwy", esdecy i grupa nas demokratów polskich, mianowicie zaś z demokratów Bronisław Krzyżanowski, Kłott, Witold Abramowicz i ja, z „Naszej Niwy" Iwan i Antoni Łuckiewiczowie, Naikowski i Łastowski, z esdeków zaś Zagiński i żyd Monoson. Dwa główne były przedmioty narady: przeprowadzenie na wyborcę z II kurji miejskiej z któregokolwiek z powiatów jakiegoś postępowca dla stworzenia przeciwwagi ks. Maciejewiczowi, oraz sprawa przeforsowania grona postępowych wybrańców z kurji ziemiańskiej w celu umożliwienia w komisji wyborczej gubernjalnej bloku postępowego (pod tym względem liczymy głównie na powiat lidzki, gdzie pracuje w tym kierunku Zenon Kancewicz, następnie poniekąd na dziśnieński z Sergjuszem Łopacińskim na czele i z pow. trockiego liczymy na jedynego Sokołowskiego, o ile przejdzie). Narada nasza nie dała wszakże żadnych rezultatów pozytywnych — przekonaliśmy się, że za późno zabierać się teraz do tej roboty, brak też nam kompletnych środków, bo każda z grup dziś przedstawionych ma zaledwie nieznaczną możność poddziałania włościańskiej bezpośredniej robocie wyborczej: to znaczy my w Wilnie, „Nasza Niwa" śród włościan i w kurji rosyjskiej, esdecy u siebie, — a szanse, niestety, minimalne.

Endecko-klerykalny komitet „centralny" polski ogłosił dziś wreszcie swe kandydatury: Reńkowskiego Witolda z I kurji miejskiej i oczywiście ks. Maciejewicza z II kurji.

Podobno [illegible], że w gub. suwalskiej na prawyborach z kurji drobnej [illegible] [illegible] przepadł, ale nie on jeszcze [illegible]. Tam walka między klerykałami a demokratami litewskimi nie [illegible]. Ostatecznie rozstrzygną tam polacy i żydzi na korzyść [illegible].

13 (26) września rok 1912. czwartek.

Nic ciekawszego w dniu dzisiejszym nie zaszło. Żeby wszakże coś zapisać, zanotuję epizodzik bagatelny, który miał dziś miejsce. Przed obiadem otrzymuję z poczty bilecik tej treści: „11 сентября 1912. Многоуважаемый Господин Ромер. Мне очень хотелось бы Васъ видѣть по маленькому дѣлу. Когда получите мое письмо, сейчасъ-же позвоните по телефону Паласъ-Отель № 104. Надѣюсь просьба будетъ исполнена. Люба." Naturalnie przypuściłem sobie, że to pisze Luba Römerówna, córka Eljasza Römera, którą zatwierdzam obecnie do spadku po ojcu i która mnie wybrała na kuratora swego. Rodzina Römerów nie chce, aby Luba była ~~[illegible]~~ aktorką, i życzy ją wydać za mąż, ona zaś tego nie chce i żeby mieć ręce wolne i móc ~~[illegible]~~ dalej robić karjerę artystyczną w teatrze polskim ~~[illegible]~~ realizuje obecnie spadek po ojcu, a że jest niepełnoletnią, więc mnie o przyjęcie nad nią kurateli uprosiła i teraz wciąż ma różne te interesa do mnie. Podobieństwo podpisu na liście „Люба" do imienia „Luba" sprawiło, żem przyjął ten list za list od Römerówny, choć dziwiło mnie, że pisze po rosyjsku, będąc artystką teatru polskiego. Przez telefon nie mówiłem, bo telefonu w mieszkaniu mym nie mam. Wszakże po obiedzie Römerówna była u mnie i tu się wyjaśniło, że list nie od niej pochodzi. Zachodziłem w głowę, od kogo może być ten list: nie przypominałem sobie, abym znał jakąś „Lubę", a że pisze z hotelu i w hotelu mieszka i podpisuje się imieniem zdrobniałym, więc mogła być jakąś dziewczyną lekkich obyczajów, ja zaś przecież z takiemi żadnych znajomości w tej sferze nie posiadam. Ale fakt ten mnie zaintrygował, a że wieczór

[illegible]

14/27 września rok 1912. 395,

Rano odbyło się posiedzenie komisji wykonawczej komitetu demokratycznego. Obecni byli: Piłsudzki, Witold Abramowicz, Uziemowicz i ja. Postanowiliśmy dla sprężystszego działania komitetów dzielnicowych ustanowić nad dzielnicami dozór specjalny. Piłsudzki, W. Abramowicz, Zasztowt i ja wzięliśmy każdy po 3 dzielnice pod swój dozór; ja objąłem dozór nad dzielnicą VII (Nowy Świat), dzielnicą VIII (Monastyrska i Łosia) i IX (Popławy). Dotychczas już się akcja nasza rozszerza; dzielnicowi członkowie komitetu powyznaczali już zebrania, niektórzy już agitują czynnie. Jutro ma wyjść z druku odezwa nasza w 10000 egzemplarzy. Kooptujemy też do czynnej pomocy młodzież postępową.

Po obiedzie poszedłem do gimnazjum Winogradowa na wybory komitetu rodzicielskiego. Jako kurator Henrysia Wołłowicza biorę udział w wyborach w klasie VI. Komplet rodziców * i opiekunów stawił się w liczbie dostatecznej dla dokonania wyborów (wymagana jest obecność 2/3 rodziców i opiekunów mieszkających w mieście). * Z każdej klasy rodzice wybierają 3 przedstawicieli do komitetu rodzicielskiego. W klasie VI, z której * ja wybierałem, wybrani zostali do komitetu dr. Węsławski, niejaki Szachnowicz (Żyd) i ja. Potem ogół rodziców i opiekunów z całego gimnazjum wybierał prezesa i wiceprezesa komitetu: na prezesa wybrany został p. Konrad Niedziałkowski, wiceprezydent miasta Wilna, na wiceprezesa zaś dr. Witold Węsławski.

Napisałem dziś pod wieczór list dyplomatyczny do Papy. Znając Papę i wiedząc, jak jest bezkrytyczny, domyśliłem się, że napaści Hłaski w „Kurjerze Litewskim" na akcję wyborczą naszego komitetu demokratycznego zrobią na Papie niewątpliwie wielkie wrażenie. Zarzuty zdrady narodowej, konszachtów z Żydami, uważanymi za „wrogów narodowych"; — to są środki, które najskuteczniej trafiają do umysłów takich, jak Papy. A że Hłasko łączy wciąż akcję naszego komitetu demokratycznego z imieniem moim, więc zarzuty te w mniemaniu Papy kojarzą się też ze mną i dotykają przeto Papę boleśnie. Jestem pewny, że Papa jest mocno stanowo-szlachecki zgorszony i że cierpi na tym bardzo. W niedzielę otrzymałem od Papy list polecony, ale nie otworzyłem go wcale, bo jestem pewny, że zawiera gorzkie wyrzuty z powodu mego stanowiska w wyborach. Postanowiłem więc oszczędzić sobie zgryzoty i listu tego nie czytać. Natomiast postanowiłem napisać sam do Papy, wyjaśniając mu nasze stanowisko w wyborach i prostując fałszywe insynuacje „Kurjera" o rzekomym dążeniu naszym do specjalnej sprawy żydowskiej.

15 (28) września rok 1912. sobota.

Wyszła z druku odezwa nasza, zalecająca prawyborcom wileńskim kandydaturę Bronisława Krzyżanowskiego. Nie jestem nią zachwycony. Teraz podoba mi się ona jeszcze mniej, niż gdy była w rękopisie. Jest istotnie bardzo blada, bez krwi i kości. Są jeno ogólniki o równouprawnieniu, zdobyciu swobód i samorządzie. Jędrnego programu nie ma. Może być, że popełniliśmy błąd, kompletując nasz komitet z elementów niewyraźnych, kompromisowych. Tracimy przez to niewątpliwie na wyrazistości. Gdybyśmy mieli szanse zwycięstwa, wtedy takie przyciągnięcie do nas elementów chwiejnych, bezbarwnych, byłoby uzasadnione. Ale w charakterze grupy opozycyjnej, w charakterze „świadomej" mniejszości, należałoby się może właśnie wyraźniej zaakcentować swe oblicze ideowe, zasadnicze, unikając stanowczo oportunizmu. Największą bowiem siłą opozycji jest zazwyczaj właśnie jej krystaliczna czystość przekonaniowa. Mam pod tym względem świadomość własnej poniekąd winy, bo sam byłem za wciągnięciem do komitetu elementów umiarkowanych. Daje się tu na wyborach wyraźnie odczuwać słabość naszej grupki radykalnej. Za mało jesteśmy związani z życiem publicznym, za mało scementowani wewnętrznie; nie mamy naszej właściwej sfery działania w masach ludowych, jak ją mają nasi ludowcy-litwini, białorusini z „Naszej Niwy" lub socjalni demokraci, a przeto nie zdołaliśmy dotąd wyrobić programu własnego.

Wybory w podkurii chrześcijańskiej z II kurii miejskiej w Wilnie wyznaczone zostały na 29 b. m.

Wieczór spędziłem u Anny. Ma ona pokoiki w tym domu przy ul. Monastyrskiej (pod № 11), w którym mieszka. Właściciel mieszkania, p. Tur, jest jakimś lepszym; ale dom jest zabudowany przez Łazarza Umiastowskiego, który pełen jest rozmaitych dokumentów o Annie, gorszy się wojennie czytaniem [illegible] wieczornemi oraz złości się na psa Ugrysia. Starają się wygryźć stąd Annę, skarżą się nieustannie. Sytuacja jest bardzo przykra.

[illegible]

Większą część dnia spędziłem z Anną. 16 (29) września roku 1912.

Rano przyjechał Papa; otrzymał już na szczęście wczorajszy mój list, wysłany pozawczoraj, tj. ten, w którym wspominałem niedzielne ostre słówka z moim stanowiskiem w wyborach; widocznie list mój przejednał Papę. Nie wątpię, że Papa nie podziela osobiście mojego stanowiska i uważa je za dziecinadę, ale wierzy w moją dobrą wiarę. Wykazywałem Papie na wzór, że we wszystkich narodach (niemcy, rosjanie, żydzi, litwini, a więc i polacy) stronnictwa postępowe i lewicowe są zawsze za zniesieniem ucisku narodowościowego, podczas gdy stronnictwa prawicowe ucisk ten popierają. Wiem, że Papa uważa, iż polacy stanowią pod tym względem wyjątek, ale przynajmniej argumenty moje, choć nie przekonały, bez [illegible] trafiły Papę. To grunt, że Papa wierzy przynajmniej zawsze w uczciwość moją i uważa mnie za nieporadnego marzyciela, za wielkie stare dziecko.

Z Anną musiałem się wieczorem rozstać, idąc na obiad pożegnalny, urządzony przez grono osób dla pp. Szewałowych, opuszczających Wilno. P. Szewałow, rosjanin-postępowiec, idealista w najlepszym znaczeniu słowa, zajmujący tu posadę inspektora fabrycznego, został przeniesiony do Petersburga. Grono osób z miejscowej postępowej inteligencji rosyjskiej i żydowskiej postanowiło pożegnać uroczyście, dla zaznaczenia swojej sympatji dla tego kierunku wolnościowego, który on tu przedstawiał, będąc wzorem nielicznych u nas rosjan-urzędników uczciwych, światłych, postępowych. Anna była b. obrażona, że ją dla tego wieczora opuszczam, tłumacząc mylnie, że to tylko fikcja — ta rzekoma demonstracja solidarności elementów postępowych, a że w istocie chodzi tu tylko o hulankę wesołą, która dla mnie jednego się zapewne skończy u [illegible]. Obiad z hulanką [illegible] Anny za fatalny [illegible] sposób [illegible] zostaną [illegible]. [illegible] Anna. Nastrój, który na tym obiedzie panował, był nader [illegible], bez cech pijackich, bez obżarstwa, wycia [illegible]. Nie mogłem nie pójść, bo moja obecność, jako przedstawiciela postępowych kół inteligenckich polskich, była dla organizatorów bardzo upragniona. Chodziło o [illegible] charakteru solidarności międzynarodowej na tle zbratania się w hasłach ludzkości i wolności, co też ja w przemówieniu mojem, wygłoszonem przy obiedzie po polsku, zaznaczyłem. Z pośród [illegible] obecni byli najwybitniejsi przedstawiciele grupy postępowców, a więc [illegible] Sokołow, inspektor [illegible], artysta-malarz [illegible], dziennikarz Markow, następnie [illegible], [illegible] kilku innych oraz kilka pań, dalej [illegible] i z pośród nich [illegible], dalej białorusin Antoni Łuckiewicz, litwin [illegible], z polaków właściciel szkoły handlowej żeńskiej p. Maciejewiczowa i ja.

17 (30) września rok 1912. poniedziałek.

Wczoraj już, idąc na obiad pożegnalny dla pp. Szewałowów, czułem się niezdrów: zebrało mi się na katar, zęby bolały i gardło bolało. Dziś rano już się bardzo źle czułem. Do objawów wczorajszych przybyło jeszcze łamanie w kościach, słabość ogólna. Pomimo to wyszedłem rano na miasto, ale po powrocie jeszcze się gorzej czułem. Wobec tego po obiedzie położyłem się do łóżka, po wypiciu poprzednio wywaru z kwiatu lipowego z sokiem malinowym na poty. Zasnąłem na potęgę, pocąc się i majacząc w gorączce, i ani się przebudziłem do nocy.

Miałem dziś list od Łukysa z wieścią, że w prawyborach włościańskich w gminie rakiskiej przeszedł na delegata do powiatu kolega mój paryski i sąsiad z wioski Audra pod Bogiełami, Józef Petrulis, kandydujący na posła do Dumy. Cieszę się z tego, i jest to człowiek ideowy, nieskalanie czysty, demokrata szczery. Kontragitacja księży, którzy chcieli go zdyskredytować wobec włościan, nic nie zdziałała. Natomiast w gminie jużynckiej na prawyborach włościańskich przepadł ex-poseł Kriwiec ~~[illegible]~~, który w czasie posłowania przerobił się z esdeka na klerykała i ugodowca.

18 września / 1 października rok 1912. Wtorek.

Dzisiejsze wieczorowe ~~zebranie~~ posiedzenie naszego ~~[illegible]~~ demokratycznego komitetu wyborczego powzięło bardzo poważne a nie spodziewane postanowienie. Obecni byli na posiedzeniu następujący członkowie komitetu: Turski, Jakubowski, Uścinowicz, Szymonowicz, Witold i Ludwik Abramowiczowie, ~~[illegible]~~ sekretarz komitetu Piłsudski, Kazimierz Ostachiewicz, Bujnicki, Doboszyński, Zasztowt i ja, dalej nasz kandydat Krzyżanowski oraz dwaj nowi członkowie komitetu, Mańkowski i Wacław Studnicki. Pozyskanie Studnickiego jest rzeczą bardzo dodatnią. Studnicki jest narodowcem gorącym, ale społecznie zajmuje stanowisko radykalne i istotnie demokratyczne i rozciąga na pojęcie krajowości i jest zwolennikiem przekonanym całkowitej równości praw tak Polaków, jak Litwinów, Białorusinów, Żydów. Jest wrogiem nieprzejednanym państwowości rosyjskiej i nienawidzi Endecji za jej politykę ugodową w stosunku do państwa i rządu. Jest to człowiek wielkiej wiary, ideowiec szlachetny, natury bezwzględnie szczerej, temperamentu i ruchliwości niepospolitej. Jest w gruncie rzeczy zwolennikiem bojkotu Dumy, jako organu państwowości rosyjskiej, ale uznaje za potrzebne wyzyskać kampanję wyborczą dla agitacji w celu dyskredytowania lokajskiej ugodowej polityki Koła Polskiego i w szczególności Endecji oraz klerykałów naszych, reprezentowanej przez ~~ka~~ kandydaturę ks. Maciejewicza. Studnicki — to u nas będzie siła agitacyjna pierwszorzędna. Zorganizuje młodzież, niewiasty, będzie jednak maszyną agitacyjną. Z powodu czasowego na dni kilka wyjazdu Piłsudskiego Studnicki obejmie sekretarjat naszego komitetu, to znaczy stanie się sprężyną główną. A gdy się czemuś odda, to bezwzględnie.

Ostatnio na komitecie zdawano sobie sprawę z tego, co w poszczególnych dzielnicach dotąd zrobiono; w niektórych, jak na Antokolu, Zwierzyńcu, Śródmieściu dolnym, rzecz już jest zorganizowana, w innych robią się początki. Wypłynęła kwestja nowego środka agitacyjnego. Stwierdzono, że dotychczasowa nasza agitacja jest za słaba, nie wystarczająca i że trzeba nowego jej użycia. Mańkowski zaproponował wydanie popularnej broszury programowej. Stwierdzono wszakże, że broszura taka będzie za ciężka i [illegible] a zresztą [illegible] mogą tu nas przeszkodzić trudności cenzuralne. Inni proponowali wydanie odezwy polemicznej, wykazującej ujemne strony kandydatury klerykalnej i ugodowej. I w tem wyłoniła się kwestja wydawania na czas wyborów pisemka codziennego, kopiowanego. Wszyscy zaś [illegible] uznali, że będzie to sposób najskuteczniejszy i że tylko tą drogą do mas trafić można i prowadzić robotę uświadamiającą, o którą nam w tej kampanji głównie chodzi. Koncesja na pisemko takie jest — jest to ta [illegible], którą w początku roku zeszłego zwrócił na swe imię dr. Sumorok, gdyśmy się przy tworzeniu „Przeglądu" wahali między dziennikiem a tygodnikiem. Ale środków na wydawnictwo żadnych i skąd je wziąć? Wtedy ja zadeklarowałem, że koszt wydania jednego numeru biorę na siebie (koło 50-60 rb.). [illegible] Krzyżanowski wziął na siebie koszt [illegible] drugiego, potym Zasztowt — trzeciego, wzięli [illegible], że [illegible] z pewnością przyjmie na siebie koszt [illegible] czwartego, wreszcie W. Abramowicz [illegible] piątego, [illegible] na siebie po połowie [illegible] piąty. Pierwsze [illegible] zostały [illegible] miast. Pismo zacznie wychodzić od poniedziałku i do soboty, tj. do dnia wyborów, wyjdzie Nr 5-6 [illegible] i dosyć.

Do komisji redakcyjnej tego pisemka wyborczego wybrano Ludwika Abramowicza, Studnickiego i mnie. Jutro trzeba się porozumieć z dr. Sumorokiem, aby się zgodził skorzystać nam z jego koncesji, to znaczy aby dał swój podpis za redaktora odpowiedzialnego. Jest to konieczność, bo innej koncesji nie mamy. [illegible] dr. Sumorok [illegible] będzie, [illegible] się zgodzi. Trzeba, że [illegible] dr. [illegible] podpisywania „Przeglądu" w zastępstwie W. Abramowicza, którego, jako poszukiwanego do [illegible] sądu, zawieszono w czynnościach redaktora.

400.

10 września.
2 października
rok 1912.
Środa.

Dr. Sumorok, zapytany dziś przez Witolda Abramowicza i mnie o zgodę na udzielenie nam swej koncesji na pismo codzienne na czas wyborów, to znaczy o podpisywanie pisma tego w charakterze redaktora odpowiedzialnego, wyraźnej i stanowczej odpowiedzi jeszcze nie dał; zarezerwował sobie czas do namysłu do jutra. Obawia się, aby przy zachowaniu nawet wszelkiej ostrożności przez nas władze pod jakimkolwiek najbłahszym pretekstem nie wytoczyły mu jakiegoś procesu za artykuł w piśmie w celu poprostu zamknięcia wydawnictwa, popierającego kandydaturę opozycyjną. Niepodobna bezwzględnie zaręczyć, że tak nie będzie. Upraszamy dr. Sumoroka, aby zgodę swą nam dał, bo to jedyna okazja, dająca nam możność zrealizowania wydawnictwa, ale w istocie rzeczy względy dr. Sumoroka nie są bagatelne. Wytoczenie mu procesu karnego o zbrodnię stanu pozbawiłoby go prawa ubiegania się o mandat do Rady miejskiej w zbliżających się wyborach wiosennych, a to byłoby skądinąd stratą dla miasta poważną, bo dr. Sumorok jest w Radzie miejskiej jednym z czynniejszych działaczy nielicznej grupy opozycyjnej, krytykującej działalność większości w interesie szerokich demokratycznych mas ludności miejskiej.
W mieszkaniu Zasztowtów, gdzie się mieści nieurzędowo nasze tymczasowe biuro wyborcze, robota już się na dobre prowadzi.
Rano dziś wyjechał z Wilna Papa. Wieczorem zaś przyjechała na dni kilka Elwira Mieczkowska.

20 września / 9 października rok 1912. czwartek.

Nie można było dziś złapać dr. Zunnorka(?) dla otrzymania od niego odpowiedzi ostatecznej co do zgody na podpisywanie pisma codziennego. Więc i tak sprawa ta pozostaje w zawieszeniu.

O południu w lokalu archiwum miejskiego w murach pofranciszkańskich zebrała się dla narady nasza komisja redakcyjna dziennika w osobach Ludwika Abramowicza, Wacława Studnickiego i mnie oraz dobranego przez nas do współnej roboty dziennikarskiej Benedykta Hertza. Omówiliśmy techniczną stronę wydawnictwa oraz kolportażu, stanowiącego, że tak powiem, główny problemat nasz, bo pisemko, jako wyraźnie(?) specjalnie do agitacji wyborczej, tylko o tyle wypełni swą misję, o ile będzie rozpowszechnione na szeroko po mieście i przedmieściach śród ludności pracującej. Do roboty przytym użyjemy nasze dzielnicowe komitety wyborcze, ochotników(?) i t. p. Co do artykułu wstępnego w numerze pierwszym, to napisanie takowego poleciliśmy Ludwikowi, i ja zastrzegłem, żeby w artykule tym wyrazić tę myśl zasadniczą, że hasłem naszym w sprawach narodowościowych: „Za Naszą i Waszą Wolność!“, to znaczy że pojęciu egoizmu narodowego endeków przeciwstawić musimy gorącą wiarę we wszechludzkie ideały swobody i równości, w których mieści się rozwiązanie tak naszych, jak i innych dążeń wolnościowych.

Ale tkwimy jeszcze między niebem a ziemią, bo nie wiemy, czy będziemy mieli koncesję i czy pismo wydamy.

W nieurzędowym naszym biurze wyborczym w mieszkaniu Zasztowta robota wre.

Wieczorem poszliśmy ze Studnickim na Monastyrską do Wrześniowskiego i rzemieślnika Żukowskiego, który kieruje robotą dzielnicową na Monastyrskiej, Rosie i Popławach. Znowu wypadło nam stwierdzić, jak niezbędnym jest pismo. Żukowski powiada, że w sferach rzemieślniczych kandydatura księdza jest niepopularna, ale przeciwnicy nasi mają olbrzymią siłę w postaci swego pisemka kopiejkowego, które dociera do mas i szerzy w nich swoją propagandę, zdobywając teren, podczas gdy my nic nie mamy. Klerykalna i redagowana osobiście przez ks. Maciejewicza brukowa „Gazeta Codzienna“ jest w ręku księży potężnym środkiem propagandy wyborczej. Na niedzielę zwołane ma być na ul. Monastyrskiej(?) zebranie(?) grona rzemieślników uświadomionych w sprawie wyborów.

[illegible] resztę [illegible] spędziłem z Anną(?). Stosunek(?) tego stosunku jest dla mnie uj- [illegible] życia mego.

21 września / 4 października
rok 1912.
piątek.

Po bardzo wczesnej, bo już od początku sierpnia trwającej, brzydkiej — mokrej i zimnej — jesieni, wypadł dziś pierwszy śnieg.

Dr. Sumorok odmówił stanowczo swej koncesji na projektowane przez nas kopiejkowe pismo codzienne: boi się narazić na ~~[illegible]~~ proces polityczny. Ale znaleźliśmy przypadkiem inną wolną koncesję, którą ma Zajewski. Jest to koncesja na pisemko codzienne małego formatu, którego numer w sprzedaży detalicznej kosztować ma 1 kopiejkę, a więc właśnie takie, jakie jest nam potrzebne. Tytuł pisemka — „Głos Wileński". Trzeba takiego pomyślnego zbiegu okoliczności, że zdobyliśmy tę koncesję w ostatnich dniach jej mocy prawnej: za tydzień bowiem koncesja ta już by ekspirowała z powodu niewyzyskania jej przez rok. Zajewski był metrampażem „Gazety Wileńskiej"; w r. 1907 odkupił on od niej czcionki b. „Gazety Wileńskiej" i założył własną drukarenkę pod nazwą „Drukarnia Wileńska", która ledwie wegetuje. Dla niego zdobycie pisemka codziennego — choćby na 1 tydzień — to gratka, która mu z kilkadziesiąt rubli czystego zysku przyniesie. Za to zgodził się Zajewski i na podpisywanie „Przeglądu Wileńskiego", który czasowo jest zawieszony do czasu znalezienia nowego redaktora odpowiedzialnego. Mnie to cieszy, że nasze ~~[illegible]~~ wyborcze pisemko codzienne — „Głos Wileński" będzie się drukowało starymi czcionkami kochanej „Gazety Wileńskiej".

Wieczorem byłem na zebraniu Zarządu T-stwa popierania kooperacji. Obecni byli tylko Szklennik, Witold Abramowicz i ja. Szklennik udzielił bardzo ciekawych informacji o rozwoju kooperacji w kraju naszym — zwłaszcza w części litewskiej.

[illegible]

22 września. 5 października. rok 1912. sobota.

Rano napisałem na próbę artykulik do № 1 „Słowa Wileńskiego" pod tyt. „Kogo wybierać?". Pisemko ma być popularne (jest to pierwszy warunek skuteczności jego), to też musi być pisane językiem dostępnym i używać argumentacji prostej. Ponieważ nigdy nie próbowałem naginać ~~[illegible]~~ mojej pracy publicystycznej do specjalnego wykładu popularnego, więc nie wiedziałem, czy mi się to teraz uda. W artykuliku tym wydobyłem kapitalne cechy kandydatury księdza Maciejewicza, to trzymanie się klamki pańskiej w postaci połączenia się z posłami szlacheckimi, nie zaś z opozycją, złożoną z reprezentacji od miast, włościan i robotników, oraz ugodowość wyrażoną w postaci udzielania rządowi budżetu i kredytów na flotę. Nie byłem pewny, czy artykulik mój się udał, ale komisja redakcyjna uznała go za dobry i jeno Hertz ma go w paru miejscach wyjaskrawić. O południu mieliśmy w redakcji „Przeglądu" zebranie komisji redakcyjnej w osobach d. Abramowicza, Hertza, Stefanickiego i mnie. Materjał do pisemka już się zbiera, robotę techniczną objęli Hertz z Abramowiczem. Zdaje się, że pisemko będzie urozmaicone i ciekawe. Zresztą w gorącym czasie wyborów i gotującej się wojny na Bałkanach o to nie trudno. Cieszę się z pisemka. „Gazeta Codzienna" nie będzie mogła bezkarnie szczuć na nas i operować kłamstwem i oszczerstwem, co robi codziennie.

W myśl polecenia komisji redakcyjnej Hertz napisał pod wieczór artykulik wstępny do № 1 pod tytułem „Nasze zasady", w którym wyraził tę kapitalną myśl i wiarę naszą, że realizację naszych swobód możemy pozyskać tylko w zsolidaryzowaniu jak najściślejszym naszych narodowych haseł i ideałów polskich ze sprawą wszystkich uciemiężonych ludów i upośledzonych klas społecznych. Jest to przepiękny ideał twórczy wszystkich ruchów polskich w wieku XIX i końca wieku XVIII, zapomniany i oplwany przez endeków. Tylko w ideałach ogólnoludzkich nasz [illegible] zdołamy! Inaczej z upadku się nie dźwigniemy. Tylko w związku z rewolucją społeczną i rewolucją odrodzonych narodów powstaniemy! Artykulik Hertza napisany gorąco i pięknie. Boimy się tylko, aby nie został przez cenzurę uznany za zbrodniczy i aby numer pisemka nie został skonfiskowany. Wygładziliśmy go, złagodziliśmy miejsca ostre i niebezpieczne, ale jeszcze pewności bezpieczeństwa nie mamy. Wieczorem poszedłem z Hertzem do Krzyżanowskiego dla dokonania wywiadu (interview) z nim, jako z kandydatem na posła. Wywiad ten, streszczający stanowisko programowe Krzyżanowskiego, wydrukujemy w № 2 „Słowa Wileńskiego". Myśl o dokonaniu wywiadu tego ja podałem. Uważam, że ponieważ Krzyżanowski dotąd w dziedzinie politycznej publicznie nigdy nie wystąpił i jest przeto pod tym względem szerszemu ogółowi nieznanym, a w odezwie naszej popełniliśmy błąd, ogłaszając jako jedyną kwalifikację jego wyłącznie to, że jest człowiekiem dobrych chęci i adwokatem, jak gdyby to miało być [illegible], co też skwapliwie wyzyskał „Kurjer Litewski" dla zbagatelizowania kandydatury Krzyżanowskiego, więc stosownym i niezbędnym jest, abyśmy teraz, korzystając z wydania pisemka, ogłosili w jakiejkolwiek postaci stanowisko programowe kandydata naszego. Robota nasza w akcji wyborczej rozwija się gorąco. Na zebranie rzemieślników, które ma się odbyć jutro przy ul. Monastyrskiej u Zdana Żukowskiego, nie pójdę. Pójdzie zaś [illegible]. Charakterystyczne jest to, że Żukowski uprzedził nas poufnie, aby na zebranie to nie przychodzić z miną elegantów, ale raczej w stroju zaniedbanym, bo inaczej sam wygląd zewnętrzny agitatorów-inteligentów może razić rzemieślników i obudzić w nich nieufność do akcji naszej. Stąd widać, jaka jest nieufność i niechęć do „panów" w warstwach pracujących [illegible] nad wiarę „uświadamiających" i przewodników. Zdobyliśmy dla agitacji wyborczej kilku ~~[illegible]~~ współpracowników z uczniów [illegible]. Jeden z nich, co jest bardzo charakterystyczne, [illegible] się, jak przy zapisywaniu wyborców na listy wyborcze, [illegible] z zeznania dr. [illegible] z ramienia endeckiego komitetu „centralnego", fabrykować [illegible]

[illegible]

404.

23 września
6 października
rok 1912.
Niedziela.

Rano poszedłem z Anną do kościoła św. Jakóba dla posłuchania kazania i przekonania się, co ksiądz z ambony w sprawie wyborów mówić będzie. Wiemy, że w kampanji wyborczej ze strony klerykałów ambona jest ulubionym i najskuteczniejszym potężnym narzędziem agitacji. Stamtąd ksiądz może gromić bez karności swoich wrogów politycznych, miotać oszczerstwa, słowem — wpajać do umysłów słuchaczy wszystko, co mu się żywnie podoba, nie napotykając krytyki i mając za sobą autorytet kapłana, ubranego w szaty kościelne i przemawiającego niejako w imieniu religji w charakterze namiestnika Bożego. Istotnie pozycja agitatora jest w tych warunkach nader dogodna; skorzystanie z tych nadzwyczajnych akcesorjów i prerogatyw, które przedstawia ambona, jest tak ponętne, że żaden bodaj z naszych księży wileńskich nie wstrzyma się od użycia tego środka agitacji dla przeforsowania do Dumy jednego ze swoich. Czy agitacja taka ma coś wspólnego ze sprawami wiary, sumienia i nauki Chrystusowej, którym służyć właściwie winna ambona, jest to oczywiście dla tych księżulków, naszych serdecznych faryzeuszów w sutannach, rzecz mniejszej wagi, bagatela, która nie może być brana w rachubę wobec wielkiej sprawy przeforsowania sutanny do Dumy. O, wy śmiertelni obłudnicy!

Kilku z nas postanowiło dziś pójść do rozmaitych kościołów, aby na własne uszy posłyszeć, jak się ta cnotliwa, święta agitacja odbywać będzie. Ja z bratem św. Jakóba z jego proboszczem ks. Jasieńskim. Jakoż istotnie usłyszałem. Zresztą ksiądz mówił względnie umiarkowanie, o wiele przyzwoiciej, niż to robi sam kandydat na posła, ks. Maciejowicz, w swojej „Gazecie Codziennej”. Nie wymieniał wcale kandydatów, ks. Maciejowicza i Krzyżanowskiego. Mówił nawet, że w kancelarji parafjalnej, która codziennie od jutra między godz. 6-8 wieczorem będzie otwarta dla udzielania wskazówek i rad przedwyborczych, każdy będzie mógł wpisać do swojej kartki nazwisko te, które mu się będzie podobało. Ale potem mówił zaraz, chociaż nie wymieniając osób, o ludziach złej woli, którzy chcą tylko burzyć, ażeby przeprowadzić do Dumy złych ludzi. Mówił, że ci ludzie złej woli, za jakich uważa oczywiście nas, popierających Krzyżanowskiego, będą agitować, będą się starać namawiać prawyborców, wyrywać im kartki wyborcze z rąk, wtykać własne kartki, przekupić, jątrzyć, aby wszcząć bójki i t.d.

Na tym się w kościele skończyło.

Zaszło małe nieporozumienie z koncesją Bajewskiego na pismo nasze. Okazuje się, że Bajewski poprzednio zgodził się udzielić tej koncesji esdekom warszawskim, ale ponieważ ci zwlekali z zużytkowaniem jej i koncesja już miała w końcu bieżącego miesiąca ekspirować, a tymczasem zwróciliśmy się my i od razu zawarliśmy z Bajewskim układ na wydawnictwo i daliśmy mu zadatek, Bajewski nam koncesji swej udzielił. Otóż tymczasem wczoraj Bachniewski z Warszawy przysłał Bajewskiemu rękopisy do składania z tym, aby pismo we czwartek wyszło z druku, dziś zaś przyjechał z Warszawy w tej samej pomienionej sprawie wydania pisma esdeckiego Wacław Wróblewski. Ledwie z wielkim trudem zdołaliśmy przekonać esdeków o nieodzownej potrzebie dla nas wydawania pisma na czas wyborów i uratowaliśmy koncesję.

Teraz muszę tu nadmienić o innej sprawie, natury honorowej. Ksiądz Cyraski, gorący agitator endecko-klerykalny, jest niemniej gorącym adoratorem płci pięknej, don-żuanem i kolekcjonerem do miłostek. Wojny on wiedzie z Litwinami, których chce pognębić w opinji nas wileńskich. To też ma w osobach Litwinów wrogów nieprzejednanych. Trzeba, że w „Gazecie Codziennej”, którą wtedy Cyraski redagował, ukazało się przed paru miesiącami parę artykułów pod tytułem „Szakale”, gromiących ostro rozpustę publiczną i uwodzicielstwo młodych dziewcząt przez paniczyków miejscowych oraz przez szanownych obywateli, zajmujących posady prezesów w rozmaitych poważnych instytucjach społecznych. Powszechnie wszakże było wiadomo, że ks. Cyraski sam pod tym względem nie był nieskalany. I otóż Donat Malinowski, jeden z mniej poważnych i taktownych, ale ruchliwych działaczy litewskich, wykorzystał tę sytuację. Otrzymał on od panny Stachy Jastrzębskiej, córki pastora kalwińskiego w Wilnie, młodziutkiej przystojnej dziewczyny, która się kochała w ks. Cyraskim i podobno miała z nim romansik (powiadają zresztą, że Stacha Jastrzębska przechowywała romansików miewała i miewa bez względu na swój wiek młodociany mnóstwo), liścik miłosny, pisany do niej rzekomo przez ks. Cyraskiego — a podobno też, jak dodają komentarze, ks. Cyraski zaraził Stachę trypperem. Malinowski sfotografował list ten i rozpowszechnił odbitki szeroko po mieście, uzupełniając je sensacyjnemi komentarzami. Skandal nabrał dużego rozgłosu. Wtedy ks. Cyraski, zaprzeczając autentyczności listu, postanowił oddać sprawę na sąd arbitrów, zarzucając Malinowskiemu

24 września.
7 października.
rok 1912.
poniedziałek.

„Gazeta Codzienna" poprostu traci przytomność; jest tak rozbestwiona walką wyborczą i nienawiścią do nas, że w celu zdyskredytowania nas przekracza wszelkie ramy elementarnej przyzwoitości i dyskredytuje sama siebie i swego kandydata. Codzienna gazeta ta, redagowana przez samego kandydata na posła, agitującego w niej za samym siebie, wylewa pomyje swej złości na nas, ale dziś doszła do przesady: oto wzięła asumpt z jakiegoś zajścia z ostatnich wyborów w Belgji, kiedy to socjaliści potańczyli gdzieś w jakimś kościele tańki i dokonali rzekomo jakichś ekscesów z hostją i t. p.; z tego „Gazeta Codzienna" ukuła zarzut jakiś do nas, że może i my do tego samego bylibyśmy zdolni. Poprostu łajdactwo i świństwo. Tymczasem ten artykulik i takie bezecne insynuacje, rzucane na nas, wywierają skutek wręcz przeciwny, przynajmniej śród inteligencji: niektórzy nawet zwolennicy „komitetu centralnego" i kandydatury Maciejewicza są tak oburzeni na sposoby polemiczne tego świstka klerykalnego, że zapowiadają, iż właśnie głos oddadzą na Krzyżanowskiego; wiedzą przecie bowiem wszyscy, kim jest Krzyżanowski i jaką wartość mają te wykrętne insynuacje.
Widok księdza, kapłana, kandydującego do Izby i ziejącego złością na przeciwników, rozwścieczonego walką, z pianą oszczerstw na ustach, — jest bardzo daleki od ideału kapłana miłości i pokory Chrystusowej. Tu sutanna zażarta, ksiądz rozbestwiony, gorejący śmiertelnie nienawiścią.
Wyszedł dziś № 1 naszego „Głosu Wileńskiego". Dopiero koło godz. 8½ pierwsze egzemplarze wyszły z pod prasy. Obecny byłem w drukarni przy narodzinach pisma tego. Zawsze ukazanie się pierwszego numeru pisma, w które się wciela swą myśl, swe pragnienia i ideały, jest momentem wzruszającym. ~~[illegible]~~ Gazetka wyszła udatnie, jest urozmaicona, żywa, ciekawa, choć oczywiście przepełniona agitacyjnym elementem aktualnej kampanji wyborczej. Rad z niej jestem, a w duchu mam nadzieję, że nie poprzestaniemy na okresie wyborów.
Wieczór do g. 9 spędziłem z Anną. Biedna Anna czuje się w mej duszy zdystansowana, przelicytowana gorączką wyborczą. Czuje, że coś innego bardziej mię w tej chwili nad nią pochłania. Gorąco sprzyja ona i podziela mój zapał do walki z endecją i reakcją klerykalną, ale w głębi duszy nie może się pozbyć pewnego żalu do tego, co mię od niej odrywa. Z serca mego go nic jej nie wyrwie. Jest ona klejnotem życia mego, droższym i głębszym dla mnie nad wszystko

25 września / 8 października rok 1912.

wtorek.

Rozpoczęły się dziś dyżury w naszym biurze wyborczym, które się mieści przy składzie narzędzi rolniczych Zygmunta Nagrodzkiego przy ul. Zawalnej. Ja dyżurowałem od godz. 1 do 3 ciej. W tym czasie miałem tam kilku interesantów z ludu; jedni przychodzili i zapytywali „za kogo Polakom trzeba głosować” lub prosili o wyjaśnienie „dlaczego ks. Maciejewicza wybierać nie warto”, inni informowali się tylko o technice wyborczej, będąc zdeklarowanymi przeciwnikami Maciejewicza.

Wczorajszy wieczorowy № 1 „Głosu Wileńskiego” rozeszedł się bardzo szeroko. Gazeciarzom ulicznym udzielaliśmy go bezpłatnie, aby go rozprzedawali na własną rękę i własny dochód. Prócz tego rozchodził się on prywatnie przez rozmaite instytucje, biura i jednostki. Prawie cały nakład jest wyczerpany. Co do opinii publicznej o piśmie, to zdaje się naogół wrażenie jest żywe, choć oczywiście wszystkim dogodzić niepodobna i malkontenci zawsze się znajdują. Tak np. Wlott z powodu wstępnego artykułu Hertza („Nasze zasady”) zarzuca, że jest w nim ta sama mglistość i niedomówienia, co w pierwszej odezwie, i twierdzi, że powinniśmy choć raz się zdobyć na wyraźne i kategoryczne radykalne stanowisko programowe. Turski zarzuca, że są zwroty nieparlamentarne i niegodne powagi walki zasadniczej, jak wyrażenia o cudakach, że się „ligaš biurokracji” lub „skarbula” o Łaski, lub taki zwrot, że ks. Maciejewicz siedział w Dumie, ale „nic nie wysiedział”. Natomiast Doboszyński zarzuca, że zamało w piśmie „bestamy” księży. Z kół nacjonalistycznych polskich z powodu № 2, w którym się ukazał wywiad z Krzyżanowskim, zarzucają, że jesteśmy krajowcami i przeciwstawiamy się Polakom. Litwini zaś, w osobie np. [illegible] Janulaitisa, powiadają, że właściwie technicznie nacjonalizmem i licytujemy się z endekami o to, kto z nas są lepszymi patriotami. Esdecy zarzucają mglistość w zakresie społecznym i powiadają, że zaniedbujemy dziedziny stosunków społeczno-ekonomicznych. I t. d.

№ 2 „Głosu Wil.” wyszedł dziś znowu z opóźnieniem, koło g. 9 wieczorem. Jest to bardzo źle ze względu na rozpowszechnienie pisma. Oświadczył mi dziś Ludwik Abramowicz, że ze względów osobistych jest zupełnie niezdolny do pracy i za parę dni opuszcza całkiem Wilno i że już od tej chwili przestaje pracować czy to w dzienniku czy w „Przeglądzie”. Z pewnością zobaczył gdzieś lub spotkał się z Helą Ostrowską, bawiącą czasowo w Wilnie, i zatarł się w nim wszystko poruszyło. Dla gazetki nie jest to wielka klęska, bo zastąpi go w zupeł-

-ności Hertz na te dni kilka, ale dla „Przeglądu” będzie to w tej chwili fatalne.

Wieczorem u Zasztowta odbyło się zebranie plenarne Demokratycznego Komitetu wyborczego pod przewodnictwem Jakubowskiego. Obecni byli członkowie komitetu Jakubowski, Zasztowt, Pitowski, Stupnicki, Żukowski, Uszinowicz, L. Abramowicz, Sokołowski, Sulbin, Bujnicki, Turski, Stadziewicz, Doboszyński, K. Ostrachiewicz, Downar i ja, następnie parę osób zaproszonych, jak Budny, ogrodnik Myszkiewicz i Malinski, oraz kandydat nasz Krzyżanowski. Przedmiotem obrad była głównie kwestia wyszczenia jak najliczniejszym rzeszom prawyborców kart, wypełnionych nazwiskiem Krzyżanowskiego. Wyznaczono do tego szereg ludzi na poszczególne dzielnice miasta.

26 września / 9 października rok 1912. Środa.

Rano mieliśmy zebranie sądu arbitrów w sprawie między ks. Cyraskim a Donatem Malinowskim. Na zebranie do sali zarządu miejskiego przybyli arbitrowie ks. Cyraskiego Andrzej Tupalski, ks. Kretowicz i Edward Jasiński i arbitrowie ~~[illegible]~~ Malinowskiego Jan Piłsudski, Janulaitis, Józef Mańkowski i ja. Nieobecni byli arbitrowie Cyraskiego Bronisław Umiastowski i Konrad Niedziałkowski, którzy zlecili swe głosy Tupalskiemu, i arbiter Malinowskiego Iłażewicz, który zlecił swój głos Janulaitisowi. Na wstępie odrazu powstała różnica zdań między nami a arbitrami ks. Cyraskiego co do zakresu kompetencji sądu, którą uważaliśmy za stosowne ustalić przed wyborem superarbitra. My oświadczyliśmy, że Donat Malinowski upoważnił nas do przyjęcia pod rozwagę sądu zarzutu oszczerstwa, i zaznaczyliśmy, że stąd wynika rozważenie całej treści zarzutów natury etycznej, które Malinowski publicznie do ks. Cyraskiego skierowywał. Natomiast arbitrowie ks. Cyraskiego oświadczyli, że mandat ich opiera się na ścisłym zarzucie, który sformułowany został w liście ks. Cyraskiego do nich i który określa konkretnie istotę sporu a przeto i zakres czynności sądu. Ks. Cyraski żąda tylko skonstatowania przez sąd, czy list miłosny do panny Stanisławy Jastrzębskiej, reprodukowany i rozpowszechniony przez Malinowskiego, jako rzekomo pochodzący od ks. Cyraskiego, ~~[illegible]~~ jest autentyczny czy nie i następnie po takim stwierdzeniu żąda rehabilitacji. W istocie rzeczy Malinowski zarzucał ks. Cyraskiemu w ogóle życie niemoralne i nieszczere, zarzucał to publicznie i za oczami księdza i jemu w oczy, a list ten miłosny był tylko jednym z epizodów ilustracyjnych do zarzutów. Ks. Cyraski zaś tak przebiegle się wyrwać z zarzutów chce tylko ten jeden epizod i poddać go pod rozwagę sądu honorowego, żądając rehabilitacji za oszczerstwo. Ale formułując spór określa kompetencję sądu, więc żądać rozszerzenia kompetencji poza ramy sporu my nie mogliśmy. Wobec tego postanowiliśmy odwołać się do Malinowskiego ~~[illegible]~~ z doręczeniem mu aktu sporu dla określenia tak mandatu naszego, jak w ogóle tego, czy w tych ramach Malinowski będzie życzył przyjść spór. Potym postanowiliśmy jednogłośnie przyjść za kandydata na superarbitra, o ile sąd do skutku dojdzie, — adwokata p. Restytuta Sumorka.

~~[illegible]~~ Popołudniu w zarządzie miejskim odbyło się zebranie osób, powołanych przez prezydenta miasta p. Michała Węsławskiego do przyjęcia udziału w komisji obywatelskiej, która ma być przy urnach do przyjmowania głosów w wyborach sobotnich i następnie ma dokonać obliczenia głosów. Jeszcze w zeszłym tygodniu prezydent Węsławski zwrócił się do przedstawicieli obu utworzonych w kurii chrześcijańskiej komitetów wyborczych — komitetu centralnego polskiego w osobie dr. Wikolicza, i polskiego demokratycznego komitetu centralnego w osobie Jana Piłsudskiego, z prośbą, aby mu wskazali po 25 mężów zaufania z każdej strony do komisji obywatelskiej. Komisja więc ma się składać z 50 osób. Na zebranie wszakże dzisiejsze nie wszyscy przybyli, ale naogół z naszej strony przybyło więcej, niż ze strony endeków i klerykałów. Ponieważ głosowanie odbywać się będzie w pięciu lokalach, między którymi podzielono wszystkich prawyborców podług liter początkowych ich nazwisk w porządku alfabetycznym, więc zgodnie z przepisami podzieliła się komisja obywatelska na 5 podkomisji z 10 osób każda. Ja się zapisałem do IV podkomisji, która będzie rezydowała w sali zarządu miejskiego i w której głosować będą prawyborcy, których litery początkowe nazwisk są od N do S. W IV podkomisji, do której ja należę, są z naszej strony osoby: ja, Jan i Adam Piłsudscy, Ussinowicz, Szymonowicz, Rymarewicz, Studnicki, Ostrejko, Umiastowski i Szpakowski. Poza 3 ostatnimi reszta — to nasi ludzie z obozu kandydatury Krzyżanowskiego. To też na prezesa podkomisji IV wybrano mnie, na zastępcę zaś powołaliśmy przez kurtuazję Ostrejkę z przeciwnego obozu. Tak samo w II i III podkomisji nasz obóz ma większość, to też w II wybrano na prezesa Zasztowta i w III-ciej Witolda Abramowicza, a na zastępców ludzi z obozu ks. Maciejewicza. Natomiast w V podkomisji, gdzie większość mają Maciejewiczowcy, wybrano prezesa (Franciszka Jurjewicza) i zastępcę (Jabłońskiego) z obozu endeckiego. W I podkomisji wyborów nie było, bo tam z urzędu prezesem jest prezydent miasta. Rozdzieliliśmy się [illegible] dyżurów przy urnach. Nasza podkomisja dyżurować będzie 8 godzin.

2 września.
16 października.
rok 1912.
czwartek.

„Głos Wileński" sprawia wrażenie. Wydawanie tego pisma było, jak się okazuje, znakomitym pomysłem. № 1 i № 3 „Głosu W." rozeszły się w całym nakładzie. Biliśmy dotąd po 3000 egzemplarzy każdego №. Dziś zaś wybiliśmy № 4 już w 5000 egzemplarzy. Efekt tego pisma jest dziwny. „Gazeta Codzienna" wścieka się i z pianą na ustach, bluzgając jadem nienawiści, wymyśla na nas [illegible] niepoczytalne rzeczy. „Głos Wileński", pismo przeciwdziałania kleru, rozchodzi się bajecznie i zaczyna pobijać „Gazetę Codzienną". Pismo jest redagowane dobrze, żywo, z wielkim temperamentem. Jako organ, przemawiający popularnie pod hasłem ludu pracującego, zdobywa sympatje ulicy, choć w sferach dewotek i sfanatyzowanej garści ludu ma opinję dzieła szatańskiego. Ale robi swoje i robi dużo. Przeciwnicy są zdumieni i stropieni siłą energji naszej. Nie sądzili, żebyśmy zdołali na taką energję się zdobyć. Podziwiają nas, że kładziemy tyle zapału w sprawę, która zwyciężyć nie zdoła. Tak, w tych wyborach zapewne nie zwyciężymy, ale praca nasza zmarnowana nie jest. Szerzy ona świadomość społeczną w masach, toruje drogę w przyszłości. A wiara nasza i zapał rozciąga się daleko za chwilę wyborów dzisiejszych. Myślimy o wydawaniu pisma stale i po wyborach. Efekt tej próby jest taki, że szkoda go przerwać. Tą drogą wpływy zdobyć możemy i stanowisko w ruchu społecznym — znakomite. Tymczasem wszystko w chaosie, gorączka wre, ale pismo w dobrym tempie działa. Istniejemy i rozwijamy się mocą wiary, zapału, najlepszych sił ducha naszego.

Napisałem dziś do „Głosu" artykulik pod tytułem „O programie społecznym": Rzecz krótka, dość ogólnikowa, z paru myślami rozsądnymi o istocie demokracji.
Endecy wystawili własną kandydaturę szewca Wierzbickiego. Wydali odezwę, programowo ładną, wyraźną. Polemizują w niej z naszą, zwalczają kandydaturę Krzyżanowskiego, jako „liberalną" burżuazyjną. Litwini z obozu „Viltis" wystawili [illegible] litewską kandydaturę ~~[illegible]~~. Demokraci litewscy od akcji wspólnej z „viltisowcami" się uchylili, ale usposobieni są do kandydatury Krzyżanowskiego sceptycznie.

[illegible]

28 września / 11 października / rok 1912. / piątek.

Dziś ostatni dzień agitacji przedwyborczej. Nasi ludzie kursują po wszystkich ulicach miasta i przedmieść, od domu do domu, przekonywając mających prawo głosu, aby głosowali na kandydaturę demokratyczną Kryżanowskiego, rozdając kartki wyborcze z nazwiskiem Kryżanowskiego, roznosząc pisma i odezwy. Nie we wszystkich jednak dzielnicach robota ta się prowadzi systematycznie. Naogół daje się stwierdzić, że agitacja z obozu ks. Maciejewicza jest lepiej od naszej zorganizowana. Zresztą oni są w pozycji dogodniejszej, bo operują się na tym, co jest w umysłach utrwalone, podczas gdy my musimy dopiero robić wyłom w psychice mas. Główną naszą siłą jest „Głos Wileński”, który szczepi nowych myśli, ale oczywiście, choć pismo to jest popularne i rozchodzi się szeroko, nie zmieni ono w kilku dniach przetasować konserwatyzmu masy, zwłaszcza, że i księża mają swoją „Gazetę Codzienną”, starszą i bardziej znaną, a operują pod hasłem świętej wojny religijnej z niedowiarstwem. Znakomitym agitatorem jest [illegible] Stupnicki. Jest to człowiek, niezdolny do systematyczności, niemający zdolności organizacyjnej, ale za to stworzony do agitacji bezpośredniej. Obchodzi wszystkie lokale na najgłębszych przedmieściach, w których dyskutuje. Czuje się w swoim żywiole, przejmuje się gorąco sprawą, zapamiętuje się cały w namiętności agitacyjnej.

Wczoraj grupa nasza poleciła mi napisać do dzisiejszego № „Głosu Wileńskiego” artykulik w sprawie litewskiej i białoruskiej. Napisałem go dziś rano pod tytułem „Podajmy sobie dłonie”. Artykulik udał mi się znakomicie. Wyraziłem w nim w najistotniejszej treści mojego stanowiska t.zw. krajowego w zakresie stosunków polsko-litewsko-białoruskich. Jest w nim moje credo zasadnicze. W wieczornym № „Głosu” artykulik ten się ukazał. Zamówiłem zaraz kilkadziesiąt egzemplarzy tego № do „Ruty” dla rozdania między Litwinami, którzy przybywali tłumnie dziś wieczorem na naradę w sprawie wyborów, zwołaną przez grupę demokratyczną litewską. Nie byłem obecny na tej naradzie, choć zaproszenie otrzymałem, i nie wiem o powziętej decyzji. Ale wątpię, aby mój artykuł w „Głosie W.” wystarczył do zjednania Litwinów-demokratów dla kandydatury Kryżanowskiego. Choć sądzę, że zasadniczo demokraci litewscy podzielają całkowicie moje stanowisko, jak je podzielają Białorusini, ale sam tylko mój głos pojedynczy im nie wystarczy. Wiedzą oni, że artykuł ten jest pisany przeze mnie, a co do moich przekonań wątpliwości wcale nie mają. Natomiast mają poważne i — dodam — prawdziwe wątpliwości co do stanowiska w kwestii litewskiej i w ogóle w kwestii pojmowania zadań obywatelskich w kraju — naszej grupy demokratycznej. Jak „Przegląd” był zawsze pod tym względem wyraźny, wykładając artykuły moje, — tak niewyraźna jest pod tym względem cała nasza grupa, w której niewątpliwie, wyłączając kilku zaledwie osób, — aspiracje nacjonalistyczne w mniej lub więcej utajonym stanie żyją. Wczorajszy artykuł Jamulaitisa (wstępny) w „Lietuvos Žinios”, stwierdzający utajony nacjonalizm w naszej grupie demokratycznej, choć był tendencyjny, bo skierowany do pozyskania demokratycznych głosów litewskich dla partyjnej kandydatury endeckiej Wierzbickiego, zawierał niestety niewątpliwie dużo prawdy. Toteż wśród demokratów litewskich w Wilnie jest prąd bądź do abstynencji w wyborach, bądź do głosowania na Wierzbickiego; za ks. Maciejewiczem, jako klerykałem i specyficznym endekiem, pójść nie mogą, za Kairiukštisem, jako kandydatem prawicy litewskiej, iść nie chcą, bo są ze swoją prawicą w walce na noże.

W związku z wyborami, gdy tylko się ujawniła partyjna kandydatura endecka, rozpoczęły się represje na endeków. Nocy ubiegłej aresztowano w Wilnie Edwarda Sokołowskiego i jeszcze paru niewybitnych endeków, dokonano rewizji u Trzcińskiego, Śliwińskiego?, Porietty?, aresztowano też Domańskiego. Gdybym miał głosować li tylko za wskazaniem mego przekonania wewnętrznego, głosowałbym osobiście raczej za kandydatem endeckim Wierzbickim, niż za Kryżanowskim, bo, powiadam, lękam się u naszych demokratów przewagi nacjonalizmu nad demokratyzmem. Ale w sytuacji obecnej uważam za złe i uważam, że przedewszystkiem najaktualniejszą jest na naszym gruncie walka z urzędową endecją i z zachłannością [illegible] klerykalizmu. To jest pierwsze zadanie, pierwszy etap w postępie społecznym w Wilnie. Dlatego głosuję za Kryżanowskim, zważywszy, że możliwe współpracownictwo z grupą demokratyczną i dla

410.

29 września / 12 października

rok 1912.

sobota.

Dzień wyborów od ludności chrześcijańskiej (właściwie nie-żydowskiej i nie-rosyjskiej) z II kurji miasta Wilna. Rano o g. 8½ poszedłem do sali Zarządu miejskiego, w której zasiadać miała IV podkomisja. W podkomisji tej, której jestem prezesem, głosować mieli prawyborcy, których nazwiska zaczynają się od liter N, O, P, R i S. Prócz mnie obecni byli członkowie podkomisji: Dymszewski, Szymonowicz i Jan Piłsudski. Wkrótce sala zaczęła się zapełniać pierwszymi prawyborcami. Na kilka minut przed g. 9-tą dokonaliśmy urzędowego aktu oględzin pustej urny, którą następnie zamknęliśmy, przewiązaliśmy i opieczętowaliśmy. Równo o godz. 9 rozpoczęliśmy wybory. Pierwszy ja i za mną członkowie podkomisji wrzucili swe głosy do urny. Następnie ruszyła masa prawyborców, uszykowana w parę rzędów. Ja odbierałem głos, sprawdzałem czy koperta jest zamknięta, cała i czy ma ~~[illegible]~~ stempel miejski, Dymszewski sprawdzał legitymację osobistą głosującego, dwaj inni członkowie podkomisji wykreślali w spisach nazwisko prawyborcy, oddającego głos, i po dokonaniu tej procedury ja rzucałem kopertę z głosem do urny, a prawyborca się z sali usuwał. Ilość prawyborców coraz rosła i wkrótce tłumnie zapełniła salę, tamując szereg porządkowy. Koło g. 11 zrobił się taki tłok, że musieliśmy zamknąć drzwi i dopiero, gdy się tłum zebrany po oddaniu głosów przerzedził, uregulowaliśmy resztę w rząd i otworzyliśmy drzwi. Rząd kolejkowy wyciągnął się przez całe schody aż sięgał do drzwi wejściowych. Publiczność głosująca składała się z mas niższych sfer ludowych. Inteligiencji prawie że nie było. Do godz. 2 tłum się nie zmniejszał. Z osób znajomych z inteligiencji przez ten czas przeszło zaledwie kilka osób: dr. Świeżyński, dr. Dymsza, Pieślakowie ojciec i syn, adwokat Narmszewicz. Publiczność wszakże była karna, kwestji nie powstawało żadnych. 10 minut po 2-iej tłum się wyczerpał. Wtedy zaczęły napływać gromadkami jakieś indywidua dziwne, wytarte, często trące alkoholem, zupełnie nieświadome techniki wyborczej. Widoczne było, że to idą gromadki, wyszukane z [illegible] łotrów przez agitatorów ks. Maciejewicza, w wielu wypadkach głosujące zaopatrzone za cudzemi legitymacjami. Kilku zauważyłem sam, głosujących dwukrotnie i dwukrotnie za cudzemi legitymacjami, ale nie mogłem nic na to poradzić, bo legitymacje formalnie były w porządku. Kilku jeszcze [illegible]

30 września.
13 października
rok 1912.
Niedziela.

Od godz. 9 rano rozpoczęło się w sali miejskiej obliczanie głosów, oddanych na wyborach wczorajszych. Po otwarciu zaraz pierwszych kopert ujawniło się kategorycznie, że olbrzymia większość głosów przejdzie ks. Maciejewicz. Dopiero wieczorem koło godz. 7-8 wszystkie podkomisje zakończyły czynności ~~podli~~ obliczania głosów. Rezultat taki: ks. Maciejewicz otrzymał olbrzymią większość 5397 głosów, Krzyżanowski 541 głosów (to znaczy ±10% ilości głosów Maciejewiczowskich), Kairiukštis (kandydat prawicy litewskiej) — 50 głosów, Wierbicki (kandydat esdecki) — 28 głosów, dalej 13 głosów rozstrzelonych (po jednym na rozmaitych kandydatów przygodnych i dwa na Wróblewskiego Tadeusza) i wreszcie 60 głosów unieważnionych, czyli ogółem głosów podanych było 6089. Wielu z naszego obozu oburza się na straszliwe gwałty i nadużywanie agitacji przez obóz księżowski podczas wyborów i przypisuje porażkę naszą w dużym stopniu tej okoliczności. Sądzę, że to przesada. Wszędzie i zawsze na całym świecie dzieją się nadużycia przy agitacji wyborczej; pod tym względem prawdopodobnie Wilno nasze ~~jest~~ ustępuje wielu, bardzo wielu miastom. Gdyby nawet liczyć, że nadużycia agitacyjne obozu Maciejewiczowskiego odebrały Krzyżanowskiemu 200, niech będzie nawet 500 głosów, to i tak przewaga Maciejewicza byłaby olbrzymia. Przy abstynencji kół inteligenckich szara Litwa wyborców z ludu, głosująca masowo na Maciejewicza, zawsze by zatopiła garstkę zwolenników kandydatury postępowej. Jestem pewny, że gdyby nie nasza agitacja ostatniego tygodnia, gdyby nie „Słowo Wileńskie”, gdybyśmy poprzestali tylko na pierwszej odezwie naszej, to byśmy nie zdobyli na Krzyżanowskiego i tych 500 głosów, a co najwyżej jakichś 100-150. Na porażkę naszą złożyło się wiele okoliczności: przedewszystkiem straszne odosobnienie inteligencji postępowej naszej od ludu (to, co właśnie tak ujemnie nas różni od demokratycznej inteligencji litewskiej ~~[illegible]~~ i białoruskiej), zaniedbanie z naszej strony roboty społecznej, wreszcie niefortunny wybór niepopularnej i nieufnej w ~~[illegible]~~ dziedzinie politycznej osoby Krzyżanowskiego na kandydata. Co w tych warunkach mogło zdziałać „Słowo Wileńskie”, wychodzące przez dni kilka? [illegible] przysporzył około 300 głosów — to wszystko. Wieczorem miałem być na zebraniu naszego grona na omówienie sprawy dalszego wydawnictwa „Przeglądu” i „Słowa”: jednak nie byłem, bo pojechałem do Anny i z nią [illegible] do hotelu.

1 (14) października rok 1912. poniedziałek.

Wczoraj poszedłem z Anną na noc do hotelu Wersalu, gdzie zabawiłem z nią aż do godz. 5 dziś popołudniu, korzystając ze święta rosyjskiego. Anna była w ostatnich czasach trochę zażalona na mnie, właściwie nietyle zażalona, ile zasmucona i stropiona pochłonięciem mnie przez sprawę wyborów. Czuła się osamotniona i opuszczona biedaczka, czuła, że musi się mną dzielić, że mnie zajmują przedewszystkiem wybory, a dopiero potym, na drugim planie, ona. Choć Anna gorąco sympatyzowała sprawie naszej, jednak w głębi serca ją to raniło. Istotnie biedaczka nikogo poza mną nie ma. To też lgnie do mnie z niepospolitą siłą przywiązania, cała się w ten nasz stosunek wciela, oddaje się jemu bez zastrzeżeń. Spędziliśmy z nią dziś noc i dzień prześlicznie. Zaiste tylko związek małżeński z kobietą kochającą dać może taką pełnię szczęścia i radości, taką intensywną moc życiową, do jakiej wciąż tęsknimy i wciąż spragnieni dążymy.

Wczoraj odbyło się wieczorem zebranie grona osób z byłego naszego komitetu wyborczego dla omówienia losu wydawnictw „Przeglądu Wileńskiego" i „Głosu Wileńskiego" (obecni byli, o ile wiem, bracia Abramowiczowie, Nagrodzki, Jan Piłsudski, Krzyżanowski, Budny, Zasztowt, Turski). Postanowili oni „Przegląd Wileński" zamknąć, i słusznie, bo wydawnictwo to jest zbyt kosztowne a korzyść w kierunku uświadomienia społecznego przynosi minimalną. Co do „Głosu Wileńskiego" natomiast, to uznano wydawnictwo jego za bardzo pożądane i skuteczne i postanowiono przystąpić do zorganizowania pisma tego, naturalnie po wyborach zawieszonego. Zdaje się wszakże, że Ludwik Abramowicz chce znów w Wilnie pozostać i wcisnąć się na stanowisko redaktora tego pisma, co uważam za fatalne. Ludwik Abramowicz uosabia zupełnie dziedzinę specyficznej treści antysemityzmu, litwinofobji, nacjonalizmu, jest płytki i cała postępowość jego streszcza się, zdaje się, li tylko w ujadaniu się na księży. Jest to umysł jałowy, publicysta frazesowy. Jego też przymioty osobiste są wcale niesympatyczne.

[illegible]

2 (15) października roku 1912. wtorek.

Rano do godz. 1 i popołudniu od g. 4½ do zajęty byłem układaniem wespół z plenipotentem kupca Morgensterna Aronsonem, — kontraktu leśnego. Rad jestem, że sprzedaż lasu już została dokonana, choć nie na tak świetnych warunkach, o jakich początkowo marzyłem. Biorę po rb. 8.75 za sztukę, według na 5000 sztuk 43750 rubli (oczywiście na ręce Mamy, dla mnie zaś z tego wypadnie ± 4000 rb.). O wzięciu 10 rb. za sztukę, jak tego żądałem, mowy być nie mogło. Las co do gatunku swego może i wart tej ceny, ale i kupiec chce zarobić i groźba wojny europejskiej podcina w chwili obecnej interesa. Ostatecznie żaden kupiec, choć ich się dużo przewinęło, nie dawał mi więcej ponad rb. 8.50. Jedyny tylko niejaki Zylbron w Radoszkowiczach, kupiec bardzo niepewny i młodziutki, obiecywał mi po rb. 9.25, ale gdym go wezwał do Wilna dla skończenia interesu, to zwlekał, zwlekał i wreszcie wcale się nie stawił. Wobec tego cena, oferowana przez Morgensterna (po rb. 8.75) była najwyższa. Czy Rodzice będą z tej sprzedaży zadowoleni, tego pewny nie jestem. Ale innego wyjścia, chcąc sprzedać, nie miałem. Papa będzie nierad, że pieniądze nie są płatne zgóry, jeno rozłożone ewentualnie na 2 lata, i że termin kontraktu 3-letni (ale z prawem sprzedawania lasu po 2 leciech).

Wieczór spędziłem u Anny. Dobrze mi u niej, ciepło, serdecznie. Mam u niej zawsze atmosferę ślicznych uczuć miłości i przyjaźni. Jesteśmy sobie tak bliscy i tak drodzy, jak nigdy i z nikim. Tu u niej mam całkowitą pełnię życia osobistego, przepiękny poemat ekspansji i emanacji ducha.

3 (16) październik rok 1912. Środa.

Wyszedł dziś przedostatni N „Przeglądu Wileńskiego", to „Słowie Wileńskim". „Przegląd" robi wrażenie dziwnie kojące, lecz zarazem wrażenie czegoś nierealnego, czegoś niezwiązanego z życiem. Co prawda ten N „Przeglądu" specjalnie jest nieaktualny: wypełniono w nim cały zapas materjału, który się nagromadził przez ostatnie tygodnie, gdy pismo nie wychodziło. Na czele mój artykuł pod tytułem „Dobre w złem"; rozważający akademicko nieco, aczkolwiek zdaniem moim bardzo treściwie i głęboko, sprawę ~~—~~ językowo-kościelnych zatargów polsko-litewskich w djecezji wileńskiej. Naogół sprawa ta jest niewątpliwie w kraju naczelna aktualna i paląca nawet, ~~[illegible]~~ ważniejsza z pewnością od wyborów do IV Dumy, ale w tej chwili uwaga publiczności ~~[illegible]~~ pochłonięta jest li tylko wyborami i wojną na Bałkanach, a publicystyka z natury rzeczy musi się uganiać za największą aktualnością chwili właśnie bieżącej. O ileż inny jest ton i forma wypowiadania się w „Przeglądzie" a w gorączkowym „Słowie". W „Słowie" się czuło, że się przemawia do mas, że się oddziaływa bezpośrednio na życie, to też się mówiło w tonach ciężkich, jaskrawych, wyrazistych. W „Przeglądzie" natomiast jest powaga i głębia analizy, jest akademickie traktowanie kwestji. Wieczór spędziłem u Anuty. Teraz po gorączce wyborczej osobisty element w stosunku naszym [illegible] się pogłębił, miłość się wyzwoliła z pod pewnej supremacji troski społecznej i w całym blasku zakwitła.

4/17 październik rok 1912 czwartek

Do obiadu spędziłem kilka godzin u rejenta Iljaszenki, gdzie podpisany został przezemnie i przez plenipotenta kupca Morgensterna kontrakt leśny. Tak więc sprzedaż lasu ostatecznie dokonana została. Choć w kontrakcie tym są pewne rzeczy, które mi się nie bardzo podobają, jak rozłożenie wypłat na zbyt długie ponieważ raty i zbyt długi, bo 3-letni, termin kontraktu, jednak rad jestem, że sprawa ta zakończona została. Bądźcobądź mam do czynienia z kupcem porządnym, pewnym.

Całe popołudnie zajęty byłem bez wytchnienia spisywaniem rachunków wystawowych Litewskiego T-stwa Artystycznego. Rachunki te były od dłuższego czasu w nieładzie zupełnym, to też teraz miałem szaloną robotę z uporządkowaniem ich. Dopiero koło godz. 10 wieczorem zakończyłem tę pracę i wnet poszedłem do Żmujdzinowiczów dla wyjaśnienia jeszcze niektórych poszczególnych pozycji rachunkowych i wogóle zlikwidowania całej tej roboty wystawowej.

Przyszła wiadomość o wyniku prawyborów w Warszawie, które były w tym roku nader interesujące ze względu na walkę „dyktatora" Warszawy Romana Dmowskiego z połączonym blokiem wszystkich innych stronnictw i kierunków polskich. Dmowski upadł. Nietylko że stronnicy jego zostali w mniejszości, ale nawet sam Dmowski nie został wybrany na wyborcę. Jako odruch przeciwko zachłanności N.D. i przeciwko ekscesom chuligaństwa antysemickiego tego „dyktatora" jest to fakt wielkiej doniosłości. Nakoniec Polska budzi się z hypnozy endeckiej i stolica kraju manifestacyjnie odwraca się od „dyktatora".

Ciekawa rzecz, kto przejdzie w Warszawie na posła. Większość w gremjum wyborców zdobyli żydzi-nacjonaliści. Od nich przeto zależeć będzie wybór posła. Jak wiadomo, żydzi postanowili nie narzucać Warszawie posła-żyda. Wybiorą polaka, ale kogo? Czy Kucharzewskiego, kandydującego z ramienia stronnictw połączonych, czy jakiegoś pedeka, czy jednego z kurji robotniczej, należącego do Lewicy socjalistycznej? Żydzi mieć zechcą [illegible] gwarancję, że wybrany poseł zaakceptuje zasadę równouprawnienia.

[illegible]

5 (18) października rok 1912. piątek.

Sytuacja wyborcza w Warszawie jest nader ciekawa. Upadek Dmowskiego – fakt pierwszorzędnej doniosłości dla całego kierunku myśli polskiej – nie wyczerpuje całej kwestii. Kogo wybiorą na posła z Warszawy wobec przewagi w gremium wyborczym nacjonalistów żydowskich. O ile wiadomo, żydzi własnego posła nie wybiorą. Wchodzą tu w grę ze strony żydowskiej względy polityki głębszej. Rozumieją oni, że wybór nacjonalisty-żyda z Warszawy byłby momentem tak drażniącym dla polaków, że fala wroga antysemityzmu spotęgowałaby się w społeczeństwie polskim straszliwie. Wykorzystanie przez żydów z ich zwycięstwa doraźnego zwróciłoby się w konsekwencji swoich przeciwko nim samym. Kogo przeto wybierać? Kandydat antyendeckiej koncentracji stronnictw polskich, Kucharzewski, nie wypowiada się w stosunku do równouprawnienia żydów kategorycznie. Ale wątpliwe jest, czy ktokolwiek inny z wyborców polskich zgodzi się przyjąć z rąk żydowsko-nacjonalistycznych mandat poselski contra Kucharzewskiego. Tu się oto wysuwa na porządek dzienny pewna kombinacja, o której przypuszczamy też u nas w Wilnie, że jest coraz głośniejsza. Oto że wyborcy żydzi w Warszawie, posiadający większość, za oddanie mandatu Kucharzewskiemu wyeksceptują w Wilnie jeden mandat dla Gronenberga. Kombinacja ta nie wydaje mi się niemożliwa. Kontrkandydatem Gronenberga ze strony chrześcijańskiej z I kurii miejskiej w Wilnie jest Bańkowski, najbardziej lewy i najmniej mile widziany z pośród kandydatów przez księży i ziemian. Ziemianie [illegible] chętnie poświęciliby dla układu tego Bańkowskiego, niż kogokolwiekbądź innego. Jeżeli układ taki dojdzie do skutku, to szkoda byłoby, jeżeli to się stanie właśnie kosztem Bańkowskiego. Z pośród bowiem przyszłych ewentualnych posłów Koła Polskiego Bańkowski należałby do najlepszych. Byłby w Kole w opozycji, jest człowiekiem względnie postępowym, rozumnym, niezależnym.

Okazuje się, że się nasi krzątają gorąco w sprawie zorganizowania wydawnictwa pisemka codziennego. Dziś Turski z Krzyżanowskim byli u Szetha (właściciela Kantoru ogłoszeń) w sprawie wydzierżawienia przezeń działu ogłoszeń w piśmie. Szeth zarezerwował odpowiedź do jutra. Przyjechał dziś do Wilna Konstanty Zawiatkowski na dni parę. Korzystając z jego obecności, zwołujemy na jutro zebranie naszego grona dla omówienia sprawy pisma i w ogóle dalszej akcji demokratycznej.

6 (19) października
rok 1912.
sobota.

W łonie redakcji „Kurjera Litewskiego", utworzonej, jak wiadomo, przed rokiem przeszło ze zlania się (czyli t. zw. „fuzji") endeków z realistami, zaszły niesnaski. Spółredaktorzy Baranowski (z ramienia realistów) i Hłasko (z ramienia endeków) posprzeczali się. Stosunki między nimi nie były nigdy zbyt czułe. Teraz zatarg powstał na gruncie oceny działalności byłego posła Święcickiego Henryka. Endecy i Hłasko oceniają tę działalność ujemnie, nie dostrzegając w niej żadnych pierwiastków społecznych, w czym mają rację kompletną, bo istotnie Święcicki traktował mandat poselski li tylko ze stanowiska obrabiania interesów osobistych. W dodatku Święcicki popełnił, mówiąc łagodnie, nietakt, proponując podobno Hłasce napisanie o działalności jego szeregu artykułów pochlebnych za osobnym honorarium od niego. Hłasko propozycję tę z oburzeniem odrzucił. Wtedy Święcicki, który chce znowu trafić do Dumy i któremu chodzi o poparcie „Kurjera", trafił do Baranowskiego. Baranowski, korzystając z nieobecności Hłaski, napisał artykuł przychylny o Święcickim. Hłasko, oburzony, ostro się starł z Baranowskim, na skutek czego Baranowski podał się do dymisji z redaktorstwa „Kurjera". Sprawa oparła się o grono udziałowców pisma, złożone w równej proporcji z endeków i realistów. Baranowski, który ma w rezerwie posadę redaktora „Słowa" warszawskiego i wie, że dla realistów jest on niezmiernie pożądany, jako przeciwwaga Hłasce, trzyma się ostro. Endecy z Hłaską mają w tym razie po swojej stronie słuszność, ale są osłabieni porażką kierunku endeckiego w opinii polskiej w ogóle i w naszym ziemiaństwie w szczególności (w wyborach ziemiańskich w gub. wileńskiej endecy ponieśli klęskę). Wczoraj w sprawie zatargu tego zwołany był komitet redakcyjny „Kurjera", który wszakże odwołał się do rady nadzorczej pisma. Krążą pogłoski, że spór ten jest tak ostry, iż może spowodować nawet rozłam i rozpadnięcie się zespołu na dwa pisma — realistyczne i endeckie. Sądzę wszakże, że ziemianie nasi znajdą wyjście z sytuacji i utrzymają swą jedność ugodowo-endecką. Wszak w istocie ugodowcy (realiści) i endecy to rodzeni bracia.

Wieczorem w biurze Zasztowta odbyło się zebranie nowej grupy w sprawie wydawnictwa pisma. Obecni byli: Krzyżanowski, Witold i Ludwik Abramowiczowie, Zasztowt, Turski, Jan Piłsudski, Uniechowski, Nagrodzki, Klott, Studnicki, ja, wreszcie Konstanty Gordziałkowski i p. Józef Bukowski ze Święciańskiego. Z udziałów, zadeklarowanych przez obecnych na pismo codzienne kopiejkowe, zebrało się tymczasem rb. 2600. Z pierwszych wykazuje się, że przy wydzierżawieniu drukarni przez Szatra (jeżeli drukarnia ta przyniesie po rb. 10 ..., trzeba posiadać gotówką (na ewentualne ... i sprzedaż uliczną) rb. 9000, a jeżeli drukarnia da po rb. 20, to potrzebne rb. 6000. Większość wypowiedziała się za pismem codziennym, do którego organizacji ma być przystąpione, ale uznano, że do czasu rozpoczęcia dziennika i przystąpienia do nowego kroku „Kraju" wychodzić będzie.

7 (20) października.
rok 1912.
niedziela.

Prawie cały dzień spędziłem z Anną. Zanieśliśmy z nią do pracowni niejakiego Korudomińskiego przy ul. Sierocej, gdzie Anna dała poprawić swoje 2 skórki lisie do zrobienia z jednej boa na szyję i naszycia drugiej na zarękawek. Są to te dwie skórki lisie, które kupiłem dla Anny w wiosce Truszewiczach. Jak boa tak zarękawek wyszły bardzo ładne. Skórki są naturalne, nie farbowane. Złotawo-czerwona barwa włosa lisiego ślicznie pasuje do twarzy Anny. Wygląda to trochę jaskrawo i rzuca się w oczy na ulicy, ale bardzo pięknie zdobi moją Anusię, z czego się bardzo cieszę. Byłem z nią na obiedzie w gabinecie w restauracji hotelu Bristol. Przy obiedzie wypiliśmy po 3 kieliszki starki, co trochę podurzyło Annę. Byliśmy z nią potem w ogrodzie Botanicznym, wieczór zaś spędziliśmy u niej, gawędząc i piekąc kartofle w dogasającym piecu.

O ścisłości związku naszego z Anną nie potrzebuję mówić. Im dalej, tym głębszy jest nasz stosunek. Tworzymy z nią bardzo dobraną parę i wzajemnie się uzupełniamy. Wielką rzeczą, która wpływa na trwałość naszego stosunku, jest pokrewieństwo naszych ideałów wolnościowych oraz ten kąt widzenia głęboko humanitarny, który tak dla Anny, jak dla mnie jest punktem wyjścia we wszelkich sprawach życiowych.

O godz. 5 byłem z Marynią w mieszkaniu Tadeusza Wróblewskiego, gdzie adwokat i działacz publiczny Patek z Warszawy dawał sprawozdanie z tegorocznego zjazdu w Rapperswylu. Przemówienie Patka było bardzo piękne tak pod względem formy, jak treści. Patek, gorący zwolennik idei Niepodległości Polski, łączy ideę tę z najpiękniejszymi hasłami humanizmu. Jedno tylko, co mię raziło w stanowisku Patka, to traktowanie Litwy jako dzielnicy Polski, jako składowej części narodowego organizmu polskiego. Koncepcję taką uważam nie tylko za błędną, ale za szkodliwą ze stanowiska własnego polskiego, albowiem na tym punkcie będziemy zawsze przez Litwinów i Białorusinów, to zwłaszcza przez szeroką ludność krajową, zwalczani, jako kolonizatorzy, zagarniający kraj ten dla siebie. Musimy się uznać za prawowitych obywateli tego właśnie kraju, co nie znaczy, żebyśmy musieli zerwać nasz związek kulturalny i ideowy z Polską. Na przemówienie Patka wiele było mów, tak z obozu postępowego i nawet lewicowego, jak z obozu realistów

„Dzień Pogotowia Ratunkowego" sprzedawane są po całym mieście specjalne (wyższe) „Pogotowia Ratunkowego" rozmaitych barw i cen, których tu wzory podaję.

8 (21) październik.
rok 1912.
poniedziałek.
w Wilnie.

Dzień zeszedł mi spokojnie bez żadnych szczególnych wrażeń. Pracowałem.
Wieczorem odwiedziłem staruszkę p. Budrewiczową, u której byłem na herbacie, potym byłem u Zmujdzinowiczów dla ~~[illegible]~~ spisania bieżących rachunków Litewskiego Towarzystwa Artystycznego. Wszystkie zaległości rachunków tych już odrobiłem.
Mam teraz czas i chciałbym pojechać do Wiorowca, dokąd po sprzedaży lasu muszę koniecznie jaknajprędzej pojechać dla wydania rozporządzeń. Niestety — rozmaite drobne sprawy sądowe oraz ta nieznośna, przykra i głupia sprawa honorowa między ks. Cyraskim a Donatem Malinowskim zatrzymały mię na ten tydzień w Wilnie.

9 (22) października. rok 1912. wtorek.

Rano miałem u sędziego pokoju z rewiru sprawę cywilną klienta mojego Cejtlina, potym załatwiałem interesa na mieście. Po obiedzie pracowałem w domu, jak zwykle, do godz. 8. Na herbacie byli u nas ciocia Masia Bohdanowiczowa, c. Józia Tukałłowa, Lula Tukałłówna i Lolo Wołodkowicz. Tej zimy będziemy mieli liczny napływ krewnych do Wilna. Zamieszkają tu tymczasowo: c. Józia z rodziną, c. Masia z Manią Ordyńską i starzy Wołodkowiczowie z córką. Wszyscy będą tu trzymali własne konie. Będzie nastrój familijny, a w okresie karnawałowym będzie mnóstwo zabaw i balów.

Wieczorem poszedłem do mojej kochanej wiernej Aninki, mojej towarzyszki najdroższej, perły i osłody życia mojego. Zaproponowałem jej pójście do kinematografu, ale nie chciała, bo musiałaby Marysia w domu zostawić. Wybraliśmy się więc do cukierni, ale ostatecznie trafiliśmy do restauracji przy hotelu Niszkowskiego, gdzieśmy spożyli kolację. Tak nam prędko czas upłynął, że już było za późno wstępować mi do Aninki. Żałowaliśmy oboje, żeśmy ten wieczór za domem rozproszyli. W pokoiku Aninki byśmy w piecu zapalili i spędzili ten czas we dwoje przy ogniska w najserdeczniejszym zespole, odosobnieni od całego świata, sobie zupełnie oddani.

10/23 października rok 1912. Środa.

Wieczorem odbyło się czwarte z ~~rzę~~ kolei zebranie arbitrów w sprawie honorowej między ks. Cyraskim a Donatem Malinowskim. Obecni byli na zebraniu arbitrowie ks. Cyraskiego: Andrzej Tupalski, ks. Kretowicz, Bronisław Umiastowski i Edward Jasiński (piąty arbiter, Konrad Niedziałkowski, był nieobecny z powodu nagłego wyjazdu do Petersburga) i arbitrowie Malinowskiego: Piłsudzki, Stażewicz, Janulaitis, Malinkowski i ja. Z jednego względu nasza pozycja była przykra. Mianowicie gdy na drugim zebraniu, przed 2 tygodniami, ujawniła się różnica między mandatem, który otrzymali od mocodawcy swego arbitrowie ks. Cyraskiego, a mandatem, który my otrzymaliśmy od Malinowskiego, oświadczyliśmy wówczas, że się odwołamy do Malinowskiego z zapytaniem, czy zgodzi się on na taką kompetencję sądu honorowego, jaką określa ks. Cyraski w akcie pozwu. Odpowiedź mieliśmy dać na następnym zebraniu, które się odbyło w przeszły poniedziałek, przed 10 dniami. Ponieważ wszakże do tego czasu nie mogliśmy się z Malinowskim porozumieć, bo go nie było w Wilnie, więc na zebraniu poniedziałkowym, na którym ja nie byłem obecny, odroczono znów sprawę na dzień 10 b. t. j. do dnia dzisiejszego. Już wtedy arbitrowie ks. Cyraskiego byli niezadowoleni ze zwłoki. Tymczasem i teraz nie zdołaliśmy się porozumieć z Malinowskim. Pisaliśmy do niego i telegrafowaliśmy, ale nie przyjechał i nie dał znaku życia; nie wiemy nawet, gdzie jest i czy listy i depesze nasze trafiły do niego. Jest to niewątpliwie wina Malinowskiego, bo wie przecie o sądzie honorowym tworzonym i pozbawia nas możności skomunikowania się z nim w razie potrzeby. Ale nie mieliśmy już możności odkładać dalej sprawy, bo wyglądałoby to na rozmyślne zwlekanie. Oparliśmy się więc na pierwotnym mandacie, który nam ustnie wyraził Malinowski. Stanowisko nasze zasadnicze jest zupełnie mocne i dobre. Złożyliśmy mianowicie oświadczenie tej treści: „P. Donat Malinowski zarzucił księdzu „Cyraskiemu niemoralność życia i obłudę w zestawieniu życia prywatnego z działalnością publiczną i jako na jeden z dowodów swego „twierdzenia wskazywał na list ks. Cyraskiego. Przeto rozważenie kwe„stji listu tego może być tylko w związku z rozważeniem głó„wnego zarzutu. Tak pojmując pozew ks. Cyraskiego, upoważnił nas „do wzięcia udziału w sądzie obywatelskim i wobec tego kompetencji „mandatu swego nie możemy zmienić." Nie może być więc mowy o uchylaniu się naszym od sądu honorowego. Owszem — pragniemy sądu tego, ale nie komedii wykrętnej. Kapitalnym jest właśnie zarzut obłudy, podwójnej miary, stosowanej do zachcianek własnych a do nałożenia i strofowania innych. Jeżeli ks. Cyraski jest pod tym względem czysty, to powinien on wyzwać Malinowskiego na sąd honorowy za oszczerstwo. Ale wytapać z całości zarzutu jeden moment ilustracyjny i do niego li tylko sąd ograniczyć, — to byłaby komedja. Wobec ujawnionej w ten sposób różnicy stanowiska i mandatów u arbitrów jednej a drugiej strony, stwierdziliśmy jednogłośnie wszyscy, że ~~sąd~~ sąd honorowy jest w tych warunkach niewykonalny, i że się rozchodzimy, co też spisane zostało w protokóle. Protokóły 4 odbytych posiedzeń arbitrów, spisane w 2 egzemplarzach, otrzymała każda strona. Jedyną słabą stroną naszą w całej tej sprawie było to, że my się nie zdołali porozumieć z Malinowskim po ujawnieniu różnicy mandatów, co też zostało zaprotokołowane na żądanie arbitrów Cyraskiego. O wiele byłoby mocniej i śmielej, gdybyśmy te same oświadczenie nasze złożyli po porozumieniu się z Malinowskim, ~~który~~ dodając, że on te stanowisko nadal potwierdza.

Słyszałem dziś od Białorusinów, że skład wyborców gubernialnych w Wilnie jest taki, iż dałoby się jeszcze coś zrobić w kierunku ~~lepszej~~ zdobycia bardziej postępowej reprezentacji.

Ciekawa też jest sytuacja wyborcza w gub. Kowieńskiej, gdzie głównym punktem ciężkości zaczyna się rywalizacja demokratów z klerykałami. Mandaty dla demokratów Petrulisa i dr. Bukonta zdają się być pewne; kandydatura [illegible] forsowanego przez klerykałów, zdaje się też utwierdzać. Jest tam wśród wyborców ksiądz (Józefowicz), który się okazał postęp…

11 (24) października, czwartek, rok 1912.

Zdaje się, że jedyna kombinacja w kierunku względnie postępowym, która mogłaby się jeszcze w Wilnie na wyborach urzeczywistnić, to ewentualne zyskanie jednego posła umiarkowanie postępowego z kurii ziemiańskiej i wybór posła włościańskiego podług woli nie ziemian, ale większości samych włościan. Utworzenie solidarnego zespołu z większości wyborców włościańskich oraz kilku postępowszych wyborców ziemiańskich przy poparciu 15 wyborców-Żydów oraz wyborcy robotniczego (jest nim robotnik Klimaszewski, esdek) dałoby możliwość urzeczywistnienia takiej kombinacji. Z pośród wyborców włościańskich jest dwóch, mianowicie Sołtowiecki z pow. lidzkiego (b. poseł do I Dumy) i Cijunelis ze święciańskiego (b. poseł do III Dumy), którzy się będą trzymali klamki pańskiej. Na tych rachować nie można, i to jest jeszcze złe, że mogą oni mieć wpływ na innych włościan. Prócz tych dwóch i jeszcze ewentualnie paru czy kilku reszta włościan dałaby się skłonić do współdziałania z postępowymi ziemianami. Z pośród ziemian do ewentualnych postępowców należą Gabryel Sokołowski, wybrany z pow. trockiego, malarz Ferdynand Ruszczyc z pow. oszmiańskiego, ziemianin Romanowicz i Bowkiet Wilczyński Dwochowski, wybrani z pow. dziśnieńskiego, i może jeszcze by się znalazło paru. Z wyjątkiem wszakże Sokołowskiego są to postępowcy bardzo a bardzo umiarkowani, którzy do jaskrawej i radykalnej kombinacji by nie stanęli. Oczywiście nie ma mowy o jakiejkolwiek kompensacie dla Żydów za poparcie przez nich tej kombinacji. Gdyby Żydzi zażądali kompensaty, to zapewne i większość wyborców włościańskich i ci „postępowi” wyborcy ziemiańscy nie poszliby na to, a niewiadomo też, czy Żydzi bez otrzymania kompensaty zechcieliby udzielić swego poparcia dla jakiejkolwiekbądź kombinacji. W tym kierunku możliwe byłoby coś osiągnąć tylko w takim razie, gdyby mandatów z obu kurii miejskich nie tylko, to znaczy tak ks. Maciejewicza z II kurii miejskiej, jak Bańkowskiego z I — wybrać. Nie należałoby też tykać pierwszego mandatu z kurii ziemiańskiej, jeno co do mandatu włościańskiego zostawić wybór jego samym włościanom, nie narzucając im nikogo, i piątego posła wybrać postępowca-ziemianina Romanowicza, człowieka rozumnego i spokojnego, o którego kandydaturze anegdotycznej, choć tak realiści jak dzieci się temu przeciwni. Wszakże wszystkie te kombinacje są mocno niepewne, bo nie mam się komu dobrze zaufać, a większość wyborców ziemiańskich jest dobrze zorganizowana... [illegible] ...cieki, ... przez endeków, który trzyma się w bardzo szczupłej garstce. Ziemianie wszyscy bez różnicy odcieni...

Żyd, który wybrany ... [illegible]

[illegible]

Dziś miało się odbyć wieczorem u Witolda Abramowicza poufne zebranie kilku osób z naszej grupy demokratycznej dla omówienia kwestji utworzenia organizacji politycznej. Myśl o skonsolidowaniu programowym naszej, luźnej i nieskoordynowanej dotychczas, grupy demokratycznej i utworzenia dla niej jądra partyjnego od jakiegoś czasu coraz bardziej jest śród nas omawiana. Głównym rzecznikiem pomysłu tego jest Witold Abramowicz. Uważa on, że teraz do akcji żywiołów demokratycznych jest już przygotowany, główne zasadnicze wytyczne kierunku naszego są już zarysowane przynajmniej w świadomości naszej a nawet w czynnie, i że odtąd, chcąc robotę naszą prowadzić planowo, musimy oprzeć ją na wyraźnych przesłankach programowych. Ja osobiście zupełnie się z tym założeniem zgadzam, rozumiejąc, że program taki byłby tymczasem prowizoryczny i że w dalszym ciągu musiałby być korygowany już przez samo życie, ale boję się tylko pewnych tendencji nacjonalistycznych i antysemickich, które niewątpliwie wyczuwam w tym środowisku, zwłaszcza zaś u Witolda Abramowicza i Nagrodzkiego. Z tych tylko względów boję się wiązać z tymi ludźmi. Z powodu wyjazdu Witolda Abramowicza zebranie dziś do skutku nie doszło: odbędzie się ono innym razem. W pierwszym przedwstępnym zebraniu ma wziąć udział tylko najściślejsze grono zaufanych w osobach Witolda Abramowicza, Bronisława Krzyżanowskiego, Zygmunta Nagrodzkiego, Jana Piłsudskiego, Aleksandra Zasztowta i mnie, t. j. przyszłych domniemanych leaderów nowego stronnictwa.

12 (25) października rok 1912. piątek.

Od tygodnia uplanowane było u nas z Anną, że jutro w sobotę oznajmię w domu, że wyjeżdżam do Wiązowca pociągiem nocnym; natomiast nie wyjechałbym tego dnia, lecz spędził noc całą i dzień następny z Anną w hotelu a dopiero wyjechał w niedzielę w nocy. Cieszyliśmy się, jak dzieci, z tego projektu, czekaliśmy z dnia na dzień z utęsknieniem tej soboty, kiedy pójdziemy na całą dobę do hotelu we dwójkę, oderwani od świata całego, wolni od wszelkiej troski i musu. Aż oto dziś po obiedzie otrzymuję depeszę z Bohdaniszek z zawiadomieniem, że Mama jutro wieczorem przyjedzie do Wilna, skąd ma podobno jechać we wtorek do Warszawy w sprawach spadkowych po ś. p. Cesi. Wobec tego muszę czekać na Mamę i nie mogę jutro mego wyjazdu urządzić. A przez to zginie nam śliczny projekt z Anną, o którym marzyliśmy, jak o uczcie przepysznej, jak o wielkim święcie miłości naszej. Że zaś w niedzielę takiego wyjazdu urządzić nie można, gdyż Anna musi naraz iść zrana do pracowni Łapkowskiej, i taka noc z perspektywą rozstania się rannego jest czymś gorszym [illegible] i nie może dać tej pełni radości i oddania się sobie, jaka się ma w sobotę, gdy nazajutrz cały

13(26) października rok 1912. sobota.

Widziałem się dziś z Anną dwukrotnie: raz w porze obiadowej u niej i drugi raz wieczorem. Nigdy mi nie jest zadużo obcowania z Anną. Jest ona tak głęboka, ma duszę tak subtelną i wrażliwą, tyle ma zarazem humanizmu w sobie i zmysłu sprawiedliwości i piękna, że stanowi niewyczerpane źródło przebogatych zasobów psychicznych, z których przez miłość naszę korzystać mogę wieczyście do zbytku. Posiadłem w niej nietylko towarzyszkę i małżonkę, ale też mistrzynię życia mego, istotę kierowniczkę natchnioną moich pragnień i ~~[illegible]~~ ideałów. Mówię to bez przesady, bez egzaltacji. Anna w swej niezrównanej prostocie i subtelnym a głębokim humanizmie jest o niebo całe wyższa od całego otoczenia mojego tak w rodzinie, jak śród moich kolegów i towarzyszy pracy społecznej. W sposób zaiste zdumiewający odróżnia ona obłudę od prawdy, wyczuwa najlżejsze odcienie krzywdy, fałszu, plugastwa.

Po godz. 11 w nocy poszedłem od Anny na dworzec kolejowy na spotkanie Mamy, którą odwiozłem do mieszkania naszego. Mama do Warszawy nie jedzie, jeno się chce z Marynią rozmówić co do spraw spadkowych po ś.p. Cioci Tukałłowej. Do Warszawy zaś pojechać i sprowadzić tylko Marynię. Podobno powinna [illegible] dość dużego [illegible] Madzie.

14 (27) października rok 1912.

Rano przyjechała do Wilna Elizka Komorowska i choć u nas zamieszkała, nie widziałem się z nią przez cały dzień wcale, bo gdy ja byłem w domu, to Elizka właśnie była na mieście, a gdy ona była, to mnie w domu nie było. Naturalnie, że, jak niedziela zwykle, spędziłem cały prawie dzień niedzielny z Anną (a z pewnością Anna ani na jedną chwilę by się z nią nie rozstała, gdyby to ode mnie tylko zależało.
Wieczorem wszakże musiałem iść do Krzyżanowskiego, gdzie się miało odbyć posiedzenie sądu honorowego w sprawie między dwoma dziennikarzami z „Сѣверо-Западнаго Голоса", Ginzburgiem i Markowym. W sprawie tej jestem proszony na superarbitra; arbitrami zaś są Bronisław Krzyżanowski i redaktor-wydawca „Нашей Копейки" Bodin. Sprawy tej zresztą nie znam dotychczas wcale. Sąd ten dziś do skutku nie doszedł, bo się pokazało, że Markow nie był o nim wcale zawiadomiony. Posiedzieliśmy więc tylko parę godzin u Krzyżanowskiego na gawędce. Rozmawialiśmy ~~[illegible]~~ na temat założenia w Wilnie związku dziennikarzy i literatów. Ginzburg jest gorącym zwolennikiem tego projektu, którego pierwsza inicjatywa wyszła ode mnie na łamach „Przeglądu Wileńskiego". Niestety — uznając pilną potrzebę takiej organizacji zawodowej, nie wierzę w możność jej urzeczywistnienia w dzisiejszych warunkach politycznych oraz naszych stosunkach narodowościowych. Prasa polska w większości prawicowa i nacjonalistyczna, niewątpliwie uchyli się od udziału w związku takim. Większość zaś stanowić będzie skrajnie prawicowa, rusyfikatorska prasa rosyjska, której udział jest po prostu niebezpieczny.
Ciekawe rzeczy opowiadał Bodin w związku z odbywającemi się dziś wyborami elektorów z kurii rosyjskiej w Wilnie. Rząd, widząc się zmuszonym do oparcia się w przyszłej Dumie na skrajnej prawicy, która będzie stanowiła najliczniejszą grupę, postanowił zużytkować posła Zamysłowskiego do roli leadera tej grupy. Skrajna prawica ~~[illegible]~~ jest bardzo uboga w talenty polityczne i w ludzi wykształconych. Składa się przeważnie z elementów wąskich, dzikich, krzykliwych, kierujących się instynktami nienawiści i fanatyzmu, patriotycznych [illegible] polityki i zmysłu równowagi. Wobec rządu obecnego, Kokowcewa, mniej [illegible] poważnego i mądrego, boi się chaotycznych i nieobliczalnych działań rozjuszonej prawicy, zwłaszcza w obecnej arcyzawikłanej sytuacji międzynarodowej i finansowej wobec widma grożących zatargów wojny bałkańskiej. Skądinąd zaś osobista wola cesarza nakazuje wyłącznie oparcie rządu o prawicę. Kokowcewowi przeto niezbędny jest mąż zaufany do kierowania prawicą, człowiek z taktem, giętki i wykształcony i rozważny. Na takiego męża zaufania rządu, leadera prawicy, wyznaczony został przez Kokowcewa Zamysłowski, który przeto ze względu na to musi być do Dumy wprowadzony. Tymczasem z ~~[illegible]~~ 37 wybranych dotychczas wyborców z kurii rosyjskiej gub. Wileńskiej, tylko 18 wyborców należy do zwolenników Zamy-
stowskiego. Jest to mniejszość. Decyzja więc będzie zależała od trzech tych 3 wyborców z miasta Wilna, którzy mają być dziś wybrani. Dopiero jeśli wszyscy trzej będą prawicowcami, Zamysłowski będzie miał niewątpliwą większość. Wszakże jednak taki [illegible] jest bardzo niepewny, bo [illegible] nawet z [illegible] mają [illegible] posła [illegible] zostanie zaś jeden z trzech Powołockij [illegible] sytuacja jest pewna, bo Zamysłowskiemu właśnie przyjął.

[illegible]

1 (28) października. Podobno w sprawie utworzenia programowej organizacji politycznej z szeregów naszej Litewskiej grupy demokratycznej Witold Abramowicz, główny inicjator projektu tego, ma przygotowany referat specjalny, który ma nam odczytać na zebraniu grona kandydatów założycieli stronnictwa. Zdaje mi się, że brata Witold Abramowicz uważa za niezupełnie pewnego adepta przyszłej partii, nie zupełnie prawowiernego hołdownika ideałów drobnomieszczańskich, na których on swe wskazania programowe budować pragnie. Wiedząc wszakże, że imię moje jest w opinii ogółu ściśle związane ze wszelką sprawą demokratyczną i postępową i że nieobecność moja raziłaby nawet najbliższych domniemanych współtowarzyszy Abramowicza (za wyjątkiem może Nagrodzkiego), nie decyduje się on na pominięcie mnie, choć pewny jestem, że w duchu nie uważa mnie za sprzymierzeńca i że może radby był się obejść beze mnie. Mam wrażenie, że za plecami innymi Witold Abramowicz porozumiał się już ściślej z Nagrodzkim i poczynił kroki do pozyskania góry Knyżianowskiego i Piłsudskiego, aby sparaliżować zawczasu i na zapas ewentualną opozycję moją. Jest on bowiem zręcznym macherem politycznym, posiadającym odpowiednią umiejętność jeszcze z czasów swego przywództwa w PPS z przed r. 1906. Zresztą nie robię mu z tego bynajmniej zarzutu, bo wiem, że kieruje się niewątpliwie względami przekonaniowemi; nic też dziwnego, że grunt dla powodzenia przedsięwziętej akcji zawczasu przygotowuje.

Skądinąd zaś ja uważałem za potrzebne porozumieć się w tej samej sprawie z Zasztowtem, ponieważ my dwaj tworzymy w naszej grupie demokratycznej i śród zaproszonych domniemanych współzałożycieli zaprojektowanego stronnictwa, lewicę. Chodziło mi o to, aby w porozumieniu z Zasztowtem ustalić nasze stanowisko wobec projektu W. Abramowicza i występować nadal solidarnie. Jakoż po rozmowie z Zasztowtem okazało się, że obaj jednako się zasadniczo do sprawy tej stosujemy. Obaj obawiamy się zwłaszcza nacjonalizmu i antysemityzmu, kapitalnych pierwiastków stanowiska drobnomieszczańskiego. Ustaliliśmy z Zasztowtem następującą pozycję naszą: pilnie obserwować kierunek zaprojektowanej akcji i w każdym razie na początku we wstępnych [illegible] wziąć udział, starając się przechylić kierunek i cel [illegible] założeń naszych; dalej wyjaśnić, czy zaprojektowana akcja polityczno-społeczna ma się [illegible] oprzeć

na ruchu ludowym włościańskim czy też będzie na podłożu drobnomieszczańskim. Jeżeli będzie chodziło o ruch włościański, do którego my obaj zasadniczo się skłaniamy, to będziemy dążyć do niedopuszczenia do [illegible] tego pierwiastków nacjonalistycznych; mianowicie punkt ciężkości oprzeć na [illegible] na pierwiastku społecznym i ustalić koordynację akcji tej z odpowiednimi ruchami litewskim i białoruskim i w każdym razie przestrzegać, aby ruch ten, w zetknięciu swym społecznym, nie stał się li tylko narzędziem rozdmuchiwania antagonizmów narodowościowych. Jeżeli zaś to ma być akcja drobnomieszczańska, to społeczne założenia akcji tej będą dla nas obce i będą [illegible] od nas zbyt wielkich zboczeń od wskazań naszych ideałów. W takim razie już się [illegible] nie [illegible], choć dorywczo możemy czasem z nią współdziałać, np. w zakresie walki z zachowawczym klerykalizmem.

16 (29) października rok 1912. wtorek.

O godz. 6 rano przyjechałem na stację Radoszkowicze (miejscowa nazwa stacji: Rostryszki). Tu nająłem furmanczykę wprost do Trusewicz i po wypiciu herbaty w miejscowym zajeździe ruszyłem w dalszą drogę. Po kilku dniach ostrego mrozu bez śniegu gruda jest na drodze straszliwa. Do miasteczka Radoszkowicz po szosie droga jest niezła, ale dalej a zwłaszcza już za wsią Bakszta Żydowna: zamarzłe skostniałe błoto, fantastycznie pobrużdżone śladami kopyt i kolein, tworzy jakiś nieskształtny grzebień skalisty, po którym się jedzie, jak po jakimś bruku piekielnym. Wreszcie dotarłem do Trusewicz, gdzie wciąż jeszcze mieszka Biesiekierski, ponieważ dom w Wiązowcu nie gotów. Niewstawione są jeszcze ramy okienne i drzwi, niema podłogi, piec w moim pokoju niewykończony, komin też nie doprowadzony do końca, dach już ~~osp~~ wprawdzie nakryty, ale niema jeszcze t. zw. „szczytów" bocznych. Drugi budynek, t.j. chlew i odrynka, ma już ściany gotowe, jeno brak podmurówki i dachu. Niewykończenie domu trochę mię ~~o~~ irytuje. Popierwsze milej by mi było zalokować się już we własnym domku, niż kątem w wiosce, a podrugie trzeba już zainstalować się na dobre Biesiekierskiemu, ~~bo~~ i skończyć tę ciąganinę z domem, bo już zaraz się rozpocznie praca w lesie: sądzę, że rychło już Morgensterna się do rąbania lasu zabierze. Chcę już kupić konia, kupić siana i słomy, sprowadzić ze strony Bohdanowskich leśnika do pomocy Biesiekierskiemu, dalej dokonać przed zimą szereg czynności gospodarskich ~~w~~ wewnątrz i zewnątrz domu, pomalować podłogi, obić ściany, wykopać ewentualnie jamy pod drzewa owocowe, które w roku przyszłym zasadzić zamierzam, ogrodzić podwórzec gospodarski; psa przysposobić.

17 (30) października rok 1912. Środa.

Wstałem rano, wypoczęty, wyspany, jak chyba nigdy w Wilnie. Po herbacie przeszedłem się po lesie, obejrzałem stan robót w budującym się domu. W lesie dużo jest starego i świeżego powału. Znać, że tu wielkiego porządku w lesie nie było jeszcze z dawnych czasów, zapewne od śmierci Dziadka Mieczysława Tukałły. Teraz chciałbym doprowadzić las do stanu porządnego, sprzątnąć cały pował, ale włościanie okoliczni nie bardzo się tu na ten towar kwapią.

Całe długie popołudnie przesiedziałem w domu. Na wsi w jesieni przy długich wieczorach życie płynie leniwie, czasu jest do zbytku. W wiosce wszakże jesień jest porą błogosławioną dla biednych ludzi pracy. Gospodarze są wtedy w dostatku, wszyscy — od ludzi do zwierząt — są syci, wypoczywają, ~~[illegible]~~ prostują członki po znojnej pracy letniej, młodzież się bawi, gra muzyka i dzieci się płodzą. Kupiłem dziś świeżą skórkę lisią dla Anny — będzie to już trzecia. Biesiekierskiemu przeczytałem głośno nowelkę „<u>Sebali</u>" Orzeszkowej w tłumaczeniu białoruskim. Przywiozłem tu ze sobą przeszło 30 popularnych książeczek białoruskich, z których się wytworzy „Biblioteczka Wiarowiecka", przeznaczona do wypożyczania dla włościan okolicznych.

18 (31) października rok 1912. czwartek.

Rano wstałem i pojechałem z Biesiekierskim do lasu. Przeszliśmy przez cały las, od Gaju przez serwitutowy do budującego się domu. Cały pował i suchostój w Gaju sprzedałem ogólnie Kułakowi (?) Hrynkiewiczowi z Łowcewicz (?) za rb. 45 z obowiązkiem oczyszczenia lasu ze wszelkiego śmiecia gałęzi, walających się sęków, gniłaków i t.d.. Na serwitutowym lesie jeszcze więcej walającego się i gnijącego powału, niż w Gaju, ale ponieważ mniej tam stojącego już prawie suchostoju, więc trudniej sprzedać pował z suchostojem. Poleciłem więc Biesiekierskiemu nająć robotników i cały nierozgnity jeszcze i zdatny do użytku pował porąbać na drwa i poustawiać w sążenki. Stamtąd przeszliśmy na t. zw. „rum", t.j. na miejsce budowy domu („rum" z litewskiego, znaczy to samo, co „rumas" t.j. budynek). Tam dziś pracuje jako mularz Hrynkiewicz z najętymi przezeń chłopcami: Hrynkiewicz muruje piec w moim pokoju, chłopcy zaś kopią glinę i nakładają ją na „czarną" podłogę w izbie leśnika. Stamtąd wyruszyliśmy z Biesiekierskim do folwarku Perekorki, stanowiącego obecnie własność Janusza Tukałły w spadku po c. Lesi. Pojechałem tam poniekąd dla spaceru, poniekąd zaś dla zaspokojenia ciekawości, ponieważ doszły tu nas pogłoski, że w lesie pod Perekorką zamieszkała obozowiskiem od dni kilku jakaś liczna rodzina czy też gromada wychodźców greckich, zbiegłych rzekomo przed obecną wojną bałkańską. Opowiadano, że są to jacyś ludzie czarni, Grecy, zbiegli w licznej gromadce, z dziewczętami, dziećmi i dobytkiem. Nie bardzo tym pogłoskom wierzyłem, ale przez ciekawość pojechałem. Spodziewałem się zastać obóz cygański. Zaszliśmy z Biesiekierskim na jakąś inną drogę w las i dużośmy nadłożyli drogi, nim krajem pod lasem wzdłuż granicy p. Orechowiczowej do Perekorki dotarliśmy. Jakoż w pobliżu Perekorki ujrzeliśmy w lesie ślady dużego obozowiska cygańskiego, od dzierżawcy zaś perekorskiego dowiedzieliśmy się, że była tu istotnie przed kilku dniu duża banda cyganów z 5 końmi, którą ledwo mu się udało stąd przepędzić. Cyganie ci rzeczywiście gadali coś o wojnie na ziemiach bałkańskich, chcąc tą drogą, udając zbiegów wojennych, zyskać współczucie i gościnę. Wróciliśmy z Biesiekierskim do Truszewicz (?) do domu dopiero na godz. 4, to też z apetytem zasiedliśmy do obiadu, zgotowanego przez Biesiekierską. Pogoda się do reszty zepsuła; dzień dżdżysty (?), półzmroczny, deszczyk jesienny mżył bez przerwy. Zamróz po kilku dniach odwilży puszcza, roztopy dokoła, na drogach błoto, łąki przesiąkłe wodą, pola rozmiękłe, pod lasami duże opary z gęstej mgły, przez cały dzień zmrok; dość ciepło, wilgoć w powietrzu przenikliwa. Resztę dnia [illegible] [illegible]

19 października.
1 listopada.
rok 1912.

piątek.

Ostatni dziś mój dzień, spędzony w mojej „posiadłości" leśnej". Wypoczywałem tu bajecznie, kiedy dnio, spię arcy-porządnie, załatwiłem interesa gospodarskie co do budowy domu, urządzenia mego „folwarku" czyli raczej „rezydencji" leśnika, sprzedaży łowatu i suchostoju włościanom, słowem — przetwarzam się na ziemianina-gospodarza. Obserwuję przytem ludzi, typy, charaktery i bieg powszedni życia włościańskiego, do którego mam tu możność zbliżenia się, bo śród włościan mieszkam i z niemi wyłącznie obcuję. Jednak obcowanie to nie jest oparte na zasadach równości, solidarności i współżycia, jeno właśnie przeciwstawieniu, bo jestem tu w charakterze potentata czy kapitalisty, raczej właściciela monopolu społecznego, jakim jest własność ziemska, w stosunku do ludzi, potrzebujących użytkowania z dóbr moich. W tym stosunku wzajemnym moja rola polega na wyzyskiwaniu monopolu na moją korzyść osobistą. Łagodzę moją rolę uprzywilejowaną, ale jednak zasadnicze stanowisko moje jest bądźcobądź oparte na monopolu, to znaczy ma cechy pasożytnicze. Mam świadomość dokładną tego faktu i nie mogę się łudzić, że rola moja tu jest inną. Wszakże rozumiem, że wyjście z tego polega nie na ofierze osobistej, jednostkowej, jeno na głębokiem przeistoczeniu stosunków całego ustroju społecznego, to znaczy na rewolucji społecznej w kierunku zniesienia wogóle samej zasady monopolu posiadania środków produkcji a zwłaszcza ziemi, na własność osobistą. To też w tym zasadniczym kierunku muszę moją działalność publiczną wysilać i ku temu zmierzam w realizacji moich ideałów humanitarnych swobody.

Włościanie białorusy, choć są o wiele ciemniejsi od współobywateli moich, włościan-litwinów, tworzą jednak, jak się coraz bardziej przekonywam, bogaty i barwny materjał psychiczny. Nie mówię już o takim cieśli Ciebotarze, typie nawskroś cygańskim, ruchliwym, przedsiębiorczym, giętkim, o nieokiełznanym temperamencie, miłośniku kobiet i orgji hulackich, łączącym energiczną przedsiębiorczość z niepospolitą wrażliwością tak zmysłową, jak intelektualną. Takie typy są we wszelkich sferach i środowiskach, tak śród włościan, jak śród szczytów inteligiencji. Są to bujne, wspaniałe okazy psychiczne, które umieją czasem wykwitać na wielkich ludzi, to upaść w głąb zepsucia, to znów się wyłonić na bezdrożach jakiegoś życia cygańskiego. Ale ogół przeciętny, masa włościańska — jest tu też barwna. Przedewszystkiem jest wyraźnie zarysowany podział klasowy na zamożnych gospodarzy a spauperyzowaną [illegible] gromadę małorolnych. Gospodarz stanowi typ bardziej zrównoważony od nędzarzy małorolnych, bliższych natury, prostszych w swych aspiracjach, a uczuciach i całej budowie psychicznej. Gospodarze są wszakże bardziej nieufni względem mnie, mają większą świadomość antagonizmu swych interesów klasowych z interesami mymi, jako dziedzica, czyli w danym wypadku właściciela lasu. Masa małorolna jest mniej jednolita typowo, barwniejsza, [illegible] też [illegible] w [illegible] społecznym, ale tymczasem kulturalnie słabsza.

20 października / 2 listopada. rok 1912. sobota.

Rano wyjechałem na kolej do Radoszkowicz. Było zimno, mrozik tęgi ścisnął ziemię. Ręce mi skostniały i kolana ozięble, zanim do stacji na godz. 1 przyjechałem. Wiózł mię brat starosty Antoniego Waszkiewicza z Trusewicz, u którego najmuję czasowo mieszkanie dla Biesiekierskiego i sam się lokuję, gdy tu przyjeżdżam. Ten Waszkiewicz, brat starosty, kaleka o jednej nodze drewnianej, człowiek wszakże nie głupi i przy tym trzymający w budzeniu wśród włościan opozycji w stosunku do mnie, jako „dziedzica" lasu, — pana. Szczuje on tam ciągle wśród włościan niechęć do dworu i do panów, wygrywając sprzeczności interesów chłopa a obszarnika, jest duchem buntu i klasowej waśni ekonomicznej. Stara się podkopać mój autorytet i moje interesa, odmawia włościan stale od kupowania ode mnie w lesie drzewa, jak od umawiania się do roboty u mnie. Wiem o tym z relacji Biesiekierskiego. ~~Ten~~ Wyraża się on o panach pogardliwie i wrogo, zawsze wady kaliia, mówi, że to darmozjady, który potrafią tylko wyzyskiwać ludzi i napychać własne kieszenie bez pracy. A gdy mu Biesiekierski mówi, że przecie mają oni odwrotnie zarobek i że u mnie dzięki sprzedaży lasu też się zarobkiem pożywią, to powiada on, — i ma rację, — że zarobek mają włościanie od kupca leśnego, ale nie od pana, który nawet swego lasu sam eksploatować nie potrafi, jeno za grosz gotowy sprzedaje go bez kłopotu, bez pracy, — kupcowi. Jest to w każdym razie chłop myślący i z gruntu rozumny. Za mną jest zawsze pozornie bardzo grzeczny i bez zarzutu. Umyślnie wszcząłem z nim wczoraj rozmowę na temat jego stosunku i niechęci do mnie, jako do posiadacza własności ziemskiej, czy też lasu. Wskazałem mu, że nie o to chodzi, kto mianowicie będzie właścicielem. Jeżeli nie ja będę, to będzie ktoś inny, może nawet osobiście gorszy ode mnie. Osoba właściciela społecznie gra mniejszą rolę. Oczywiście dla mnie jest lepiej, aby las był mój, jak dla Waszkiewicza byłoby lepiej, aby las należał do niego, ale dla włościan, dla ludu, dla społeczeństwa, to obojętne. Natomiast ze stanowiska społecznego ważne jest, czy las będzie własnością prywatną czyjąkolwiek, czy też też z ziemią będzie całkowicie ze wszelkiej własności wykluczony. Ziemia i lasy, wycofane z własności prywatnej, nie będą ulegały kaprysowi jednostek, przestaną być źródłem spekulacji i nabijania fortun, a dopiero zostałyby zagospodarowane podług potrzeb społeczeństwa, pod kontrolą bezpośrednią samego ludu, zorganizowanego demokratycznie. Oczywiście realizacja tego dodatniego jakiegoś wielkiego projektu reformy społecznej — zależy od wielu czynników i warunków skomplikowanych, o których myślą i nad którymi pracują najlepsze umysły i serca ludzkości. Waszkiewicz słuchał tego chciwie i zgodził się, że w ogólnych najmniej rysach myśl moją rozumie. Chłop nasz bowiem, choć do myślenia teoretycznego nie przywykł, bynajmniej głupi i tępy nie jest, a kwestie społeczno-ekonomiczne, gdy się o nich w rozumny sposób powiada, zajmują go żywo.

Po przyjeździe do Wilna zajechałem wprost do hotelu Wersalu, gdzie już zastałem czekającą na mnie Aneczkę, jak to było z góry między nami uplanowane. Mieliśmy już numer w hotelu zarezerwowany. Anna przyjechała z [illegible], który zawsze i stale jest z nami, bo go w domu samego zostawić nie można. Pobyliśmy z Anną na kolacji i wkrótce wróciliśmy na noc do hotelu, który na te parę dni jest naszym domem. U mnie w mieszkaniu o moim powrocie do Wilna nikt nie wie. Jestem tu incognito.

21 października / 9 listopada.
rok 1912.
niedziela.

Całutki dzień — od nocy do nocy — spędziliśmy we dwoje z Anną. Dnie takie należą do najpiękniejszych w życiu, kiedy cała istota rozkwita w najbujniejszej pełni i krasie wszystkich władz natury ludzkiej, tak fizycznych, jak psychicznych. Przez cały dzień nie wychodzimy z łóżka, prawie z hotelu. Miłość zaiste przeistacza człowieka; właściwie nie tyle przeistacza, ile wydobywa zeń takie krasy wzruszeń, uczuć, porywów i myśli, tyle w nim kojarzy związków i procesów twórczych, tak przenika człowieka do głębi najsubtelniejszych elementów jego duszy, że ten człowiek pospolity, który w stanie powszednim jest poniekąd manekinem pewnych szablonów i nosi zaledwie w sobie gdzieś głęboko utajoną treść osobniczą swoją, w miłości się zmienia do niepoznania. Całe piękno człowieka dopiero w miłości się wyjawia. Utajone w człowieku możliwości przeistacza ona w jawę. Nie potrafię wyrazić tej głębi i siły ekspresji, jaką nam z Anną daje miłość, zwłaszcza w tych dniach samotności naszej, kiedy jesteśmy ze sobą, oderwani od świata zjawisk zewnętrznych. Takie dni zbliżają nas do siebie tysiąckrotnie, robią z nas dwojga — jedno i wszechświat.

Takiej siły uczucia, takiego oddania się, takiej emanacji całego jestestwa, jakie się w Annie w miłości wyjawia, nie widziałem nigdy. Nędzne miłostki i uciechy rozpusty są pozorem autentycznego związku mężczyzny z kobietą w miłości. Teraz dopiero pojmuję głęboką i sakramentalną tajemnicę cudu małżeńskiego.

Dowiedziałem się dziś [illegible]

22 października / 4 listopada
rok 1912.
poniedziałek.

Dziś rano mieliśmy się z Anną wreszcie rozstać: ona miała ~~pójść~~ pójść na zajęcie do Łopkowskiej, ja – wrócić do mieszkania naszego, symulując powrót z Wiazowca. Ale tak nam ciężko się było rozstać, tyle tęsknoty budziła ta jedna chwila rozdzielenia, żeśmy się zdecydowali pozostać dłużej. Anna miała pójść do Łopkowskiej po obiedzie, ale się potem czuła zmęczona i bała się docinków i aluzji towarzyszek pracy na temat jej złego wyglądu i ostatecznie zdecydowała się nie iść tego dnia wcale do pracy. Rozstaliśmy się dopiero koło godz. 7 wieczorem. Im dłużej jesteśmy ze sobą, tym się czujemy bliżsi. Nie szukamy nawet żadnych wrażeń zewnętrznych, ~~[illegible]~~ wolimy nie wychodzić ani na chwilę z hotelu: wrażeń najgłębszych i najbarwniejszych dostarcza nam własna miłość nasza wzajemna. Żal mię ogarnia, że się tak moje stosunki i sytuacja życiowa ułożyły, iż muszę mieszkać osobno od Anny i widywać się z nią przeważnie tylko wieczorami, po kilka godzin dorywczo. O ileż głębsze i intensywniejsze byłoby nasze życie, gdybyśmy mogli zamieszkać z Anną, gdzieś dalej od tego środowiska rodzinnego, które z natury rzeczy musi być wrogie związkowi temu.

Zasięgnąłem tego wieczoru języka o sprawach publicznych z ostatniego tygodnia. Przed wyborami sobotniemi przyjechał do Wilna kadet Rodiczew oraz Szwarcenberg dla pertraktacji z obszarnikami co do wyboru Szwarcenberga na posła. Obszarnicy w głębi serca nic nie mieli przeciw temu, aby ~~[illegible]~~ poświęcić Bańkowskiego dla Szwarcenberga, ale chodziło o to, za jaką cenę zysku. Żydzi zapewniali, że za wybór Szwarcenberga mogą dać gwarancję wyboru Kucharzewskiego z Warszawy. Zatelegrafowano do Warszawy do Ignacego Baranowskiego, ~~[illegible]~~ skąd wkrótce przyszła odpowiedź, że kwestja poselska w Warszawie nic z wyborami z Wilna wspólnego nie ma. Wtedy obszarnicy zażądali od żydów, aby za wybór Szwarcenberga zapewnili poparcie w Kownie jednego polaka (tam bowiem nawet z kurji ziemiańskiej ma być obrany litwin — ks. Józefowicz); żydzi wszakże na to przystać nie mogli i nie chcieli, bo zerwanie bloku z litwinami w gub. Kowieńskiej wytrąciłoby im na przyszłość grunt z pod nóg, — litwini kowieńscy są jedynym z nielicznych społeczeństw, które wchodzą w sojusz z żydami i są w sojuszu tym wierni, zdobywając tą drogą mandaty dla siebie i udzielając jeden mandat żydom. Tak się rozbił układ co do wyboru Szwarcenberga. Na zebraniu przedwyborczym ziemian pierwotnie uchwalona została kandydatura poselska ziemianina-posła prawicy Domanowicza, ale potem, gdy ten przemówił i wykazał się zwolennikiem pewnych reform społecznych, zwłaszcza podatku przychodowego w szerokim zakresie, ziemianie się przestraszyli i w ostatniej chwili, na skutek energicznej interwencji Pawła Kończy i Hipolita Korwin-Milewskiego, ~~[illegible]~~ popchnęli do Dumy kandydata Puttkamera.

23 października.
5 listopada.
rok 1912.
wtorek.

Zebraliśmy się dziś wreszcie wieczorem u Witolda Abramowicza dla omówienia podniesionej przeze mnie sprawy ściślejszego zorganizowania naszej grupy demokratycznej, która w ostatnim roku przez sam bieg wypadków się skonsolidowała. Zwłaszcza „Przegląd Wileński” oraz kampania wyborcza do IV Dumy zespoliły ściślej pokrewne elementy postępowe [redacted] polskie, przeważnie z inteligencji z pewnym dodatkiem elementów rzemieślniczych. Jednocześnie w związku z tym faktem nastąpiło pewne głębsze odseparowanie się tej grupy postępowej (wolałbym używać terminu „demokratycznej”) od grupki esdeckiej Zasztowtowej. W naradzie dzisiejszej wzięli udział: Witold Abramowicz, Jan Piłsudski, Aleksander Zasztowt, Bronisław Krzyżanowski, Budny i ja, t. j. grono najściślejsze. Witold Abramowicz i Jan Piłsudski [redacted] poparli projekt utworzenia z grupy naszej samodzielnego stronnictwa programowego. Natomiast Krzyżanowski, Budny i ja wskazywaliśmy, że utworzenie stronnictwa jest przedwczesne, zwłaszcza że nawet w naszym gronie najściślejszym nie ma zupełnej zgodności poglądów i że na gruncie partyjno-programowym różnice te by się jeszcze ostrzej uwydatniły i bądź sprawiłyby ciągłe tarcia, bądź zmusiłyby niektóre elementa do usunięcia się od współpracownictwa. Natomiast na szeregu poszczególnych czynności współpracownictwo naszego grona jest zupełnie możliwe; tą drogą, prowadząc szereg zapoczątkowań społecznych, grupa nasza będzie wywierała faktycznie wpływ na stosunki i na opinię publiczną, wytwarzając pewien określony nastrój i kierunek ciągły. Gdy raz akcja taka się rozwinie szerzej i ogarnie [redacted] rozleglejszy zakres stosunków, ogarniając sferę wszelkich wpływów szersze koła ludzi, wtedy ewentualnie wypłynie potrzeba organizacji stronnictwa. Chodzi więc teraz tylko o utworzenie spośród nas bardziej skonsolidowanego jądra dla planowego prowadzenia poszczególnych robót publicznych. [redacted] Abramowicz i Piłsudski rychło się na takie postawienie kwestii zgodzili. Na tych zasadach uważam współpracownictwo moje z tą grupą za możliwe, choć wolałbym, aby to byli ludzie trochę bardziej demokratycznie usposobieni, mniej zabarwieni nacjonalizmem. Wybory oraz inne przejawy życia społecznego, z którymi się zetknęli, przekonały nas, że jesteśmy grupką zbyt osamotnioną, zamknięto mamy kontakty z masami, i że w tym przeważnie tkwi nasza słabość. To obudziło w nas głębszy samokrytycyzm. Rozumiemy, że powinniśmy teraz wejść do szeregu istniejących instytucji, oddziaływając w nich i przez nie, musimy się dać poznać masom, musimy wszędzie być obecni, słowem — musimy się stać potrzebnymi w życiu publicznym, musimy się na jakimkolwiek placówkach życia zbiorowego utrwalić. Przedewszystkiem postanowiliśmy utworzyć stałe jądro naszej grupy z 10 osób, do którego oprócz nas [redacted] obecnych dziś obecnych [redacted] weszli: Zygmunt Nagrodzki, Ludwik Abramowicz, Ignacy Turski i Wacław Studnicki. Będzie to właściwe jądro kierownicze. Następnie nakreśliliśmy szereg spraw i czynności, [redacted] na które przedewszystkiem zwrócić uwagę i wziąć się do nich. Pierwszą sprawą jest pismo, to znaczy zorganizowanie dziennika popularnego, ewentualnie wydawnictwo „Przeglądu Wileńskiego”. Tą sprawą ma się zająć Witold Abramowicz z udziałem redaktora Ludwika Abramowicza oraz z udziałem w zorganizowaniu administracyjnym wydawnictwa — Nagrodzkiego. Sprawa więc pisma trafiła do rąk prawicy naszej, najbardziej nacjonalistycznie usposobionej. Ale nie było co na to zaradzić, bo te właśnie elementa mają w naszym gronie największą popularność i rzeczywiście W. Abramowicz i Nagrodzki mają spośród nas może najwięcej zapobiegliwości i zmysłu administracyjnego. [illegible] z pewnością nie powierzonoby tej sprawy mnie i Zasztowtowi, którzy reprezentujemy lewe skrzydło. Dalej [illegible] sprawę ochronek, także jedną z ważniejszych. [redacted] Zajęcie się tą sprawą zlecono mnie. Chodzi o porozumienie się z klubem rzemieślniczym dla zorganizowania tam ochronek, dalej o wykłady w kółkach młodzieży szkolnej i w ogóle o stosunki z młodzieżą, wreszcie o urządzenie ewentualnie szeregu odczytów publicznych przez wybitnych [redacted] prelegentów przyjezdnych. Sprawa kooperacji jest także ważna, ale to pole bardzo trudne. Dalej zwróciliśmy uwagę na ruch kooperacyjny; w Litwie kooperacja ... kooperacji tam z nas: W. Abramowicz, Piłsudski i ja. Jesteśmy w zarządzie, ale grupa nasza ... do tej instytucji dostęp, a więc i do ruchu kooperacyjnego. Uznaliśmy, że wystarczy, aby jeden z grupy

naszej poprzestali na wpisaniu się na członków zasyłających t-stwa kop. kooperacji. Zwróciliśmy też za potrzebę, aby ktoś z naszej grupy wszedł do zarządu organizującego się w Wilnie stowarzyszenia spółdzielczego p. n. „Spółdzielczość”; stowarzyszenie to utworzy się jako osobne, z wyłącznym centralnym dla sklepów spółdzielczych w guberni. Dalej zwróciliśmy uwagę na sprawę kas nie[illegible]nych, dalej na uwłaszczenie postępowe, które się tu przesądza.

24 październik / 6 listopada. rok 1912.

Zabrakło mi miejsca do zanotowania pod datą dnia wczorajszego o pewnej kombinacji w sprawie organizującego się pisma codziennego naszego. Naogół sprawa ta stoi słabo: środki zadeklarowane bardzo są dotychczas szczupłe i ciężko idzie z ich urzeczywistnieniem, żadne układy z wydawnictwami ostatecznie się nie dają nawiązać. Przed kilku oto dniami zwrócili się do Krzyżanowskiego, Witolda Abramowicza i Piłsudskiego białorusini, wydający obecnie rosyjską postępową „Вечерняя Заря“, z zawiadomieniem, że zamierzają oni rozpocząć takie wydawnictwo taniego codziennego pisemka polskiego i że wobec tego, że i nasza grupa o tym samym myśli i zbiera na to pieniądze, proponują oni wejść nam w wspólne porozumienie i zorganizować wspólnie to pismo. Grupka tych białorusinów składa się z braci Łuckiewiczów i Mańkowskiego, który, acz jest osobiście polakiem, działa wspólnie z białorusinami. Antoni Łuckiewicz, który teraz całkowicie się oddał pracy w „Вечерней Зари“, wycofał się faktycznie z kierownictwa białoruskiej „Naszej Niwy“, którą złożył na barki przeważnie Łastowskiego. W grupce tej, która się do nas zwróciła, Antoni Łuckiewicz stanowi głowę, Iwan Łuckiewicz — nierównany pomysłowość i ruchliwość w układaniu kombinacji i nawiązywaniu możliwości wszelkich, wreszcie Mańkowski jest wykonawcą, ruchliwym i energicznym a szczerym, ale trochę co do głowy ciasnym. Mają oni podobno kilkaset rubli zapasu ofiarowanych dla wydawnictwa pisemka polskiego, poza tym daliby nam pewne udogodnienia co do zorganizowania administracji oraz techniki dziennikarskiej. Zgodzą się oni na redaktorstwo naczelne Ludwika Abramowicza i na zasadniczy kierunek przez naszą grupę nadawany, ale mają widocznie pewną nieufność do Ludwika i chcą zapewnić także sobie wpływ na kierunek, bo zastrzegają ograniczone współredaktorstwo Mańkowskiego w piśmie. Wprawdzie Ludwik stałby na czele, ale w zasadniczych i programowych kwestiach Mańkowski mógłby i powinien by mieć wobec Ludwika głos doradczy, względnie współdecydujący; organem kontroli kierunku byłyby bądź 2 rady równoległe, bądź jedna wspólna, złożona z ludzi z obu tych grupek. Taka organizacja redakcyjna byłaby co prawda niezbyt dogodna, ale to nie znaczy, że należy lekceważyć całą propozycję białorusinów. Co do mnie, to uważałbym współdziałanie nasze z grupką białoruską za bardzo pożądane, bo przedstawiają oni kierunek szczerze demokratyczny, który moim poglądom odpowiada o wiele więcej, niż w większej części [illegible] kierunek naszej grupy. Zwłaszcza w kierunku [illegible] z grupką białoruską [illegible] lewe, ale w naszej grupie propozycja białorusinów została przyjęta niechętnie i chociaż pertraktacje będą się toczyły, to jednak z naszej strony będą one prowadzone niewcześnie.

25 października / 7 listopada
rok 1912.
czwartek.

Była dziś u mnie po obiedzie jakaś starsza pani ze wsi gdzieś z pod Uciany, która się przedstawiła jako Stefanja Jabłońska. Przyszła dla pomówienia ze mną o potrzebie założenia pisma specjalnego w języku polskim dla ożywiania stosunków polsko-litewskich. Pełna dobrych chęci, gorąco sympatyzująca litwinom, entuzjastka zgody polsko-litewskiej na gruncie obywatelstwa krajowego. Takie typy na wsi w guberni kowieńskiej są bardzo liczne zwłaszcza z pośród średniej szlachty miejscowej o kulturze polskiej. Z litwinów do takich ludzi, szukających szczerze i gorąco zgody polsko-litewskiej na gruncie obywatelstwa krajowego, należą z pośród moich znajomych Jerzy Šaulys i Józef Petrulis. Co do naszych śród inteligientów polskich dążenia te są o wiele słabsze. Wprawdzie przez postępowców naszych idea krajowości jest w zasadzie uznawana, jednak jest ona u nich całkiem inna. Coraz bardziej z roku na rok tak polacy jak litwini, nawet w obozie postępowym, posuwają się w kierunku separatyzmu narodowościowego na gruncie nawet politycznym i społecznym. Typ pisma polskiego dla spraw litewskich oddawna, bo jeszcze od czasów „Gazety Wileńskiej", bywała wciąż podnoszona. W założeniu taką też miała być „Litwa" Mieczysława Dowojny-Sylwestrowicza, która wszakże w wykonaniu spaczona została. I dziś są ludzie, którzy o piśmie takim myślą, ale nie wszyscy je jednakowo pojmują. Zresztą wobec rozwoju prądów nacjonalistycznych nawet śród postępowców polskich, — sprawa ta, w zasadzie uznawana, entuzjazmu by nie obudziła. Poza tym największą trudnością byłaby kwestja środków materjalnych. Wskazałem wszakże tej pani szereg ludzi, polaków i litwinów, których możnaby zachęcić do pomówienia o tej sprawie, mianowicie: z litwinów Jana Vileišisa, Šaulysa, p. Gabryelę Petkiewiczównę i p. Mašiotasową, z polaków zaś mnie, Zasztowta, Jana Piłsudzkiego i p. Emmę Jeleńską-Dmochowską. Wątpię wszakże, aby z tego coś wyjść mogło.

Wieczorem poszedłem z Anną do teatru rosyjskiego. Anna teatr lubi bardzo. Do polskiego wszakże teatru z nią nie chodzimy, bo jest tam zawsze zbyt dużo krewnych moich oraz osób z kliki szlachecko-towarzyskiej, którzy by zaraz dostrzegli moje ukazanie się z Anną i rozpoczęli plotkować po mieście, czego my z Anną unikać, ażeby nie narazić stosunku naszego, który i tak na trudny zawsze może, ale — co gorsza jeszcze — na rozmaite przykre i ciężkie kolizje

[illegible]

26 października / 8 listopada rok 1912. piątek.

Z pism dowiedziałem się o wyniku wyborów wczorajszych w Warszawie i Kownie, które mię bardzo interesowały. W Warszawie tymczasem nikt jeszcze nie wybrany, bo żaden z kandydatów (Kucharzewski, Jagiełło i Lipszstat) większości absolutnej nie otrzymał. Względną większość otrzymał Jagiełło, który też zapewne dziś na wyborach ściślejszych wybrany zostanie. W Kownie na wyborach gubernialnych wybrani: z kurji włościańskiej Kejnis (były poseł do III Dumy, który należał w Dumie do frakcji trudowików, uległ kierownictwu Bułata, człowiek mało wykształcony i niewybitny, ale mający nieskalaną opinję), z kurji ziemiańskiej Feliks Łączkowski (człowiek młody jeszcze, ziemianin z powiatu szawelskiego, cudak partyjny, podobno zresztą zdolny, pracowity i ambitny a, jak twierdzi Brajewski [?], i usposobiony względnie demokratycznie), z kurji miejskiej adwokat Friedman (żyd, b. poseł do III Dumy), wreszcie na posła kurjalnych posłów Marcin Yčas (prawnik z zawodu, człowiek młody jeszcze, pochodzący z litewskich włościan kalwinów z pod Birż; Yčas był w toku kampanji wyborczej gorąco zwalczany przez radykalną lewicę demokratów litewskich z „Lietuvos Žinios" na czele, natomiast popierany mniej więcej gorąco przez nacjonalistów i, co dziwniejsza, przez katolicki kler litewski, pomimo że jest kalwinem; jest to karjerowicz polityczny bodaj że w kiepskim gatunku, człowiek nietylko dwu- ale nawet stolicowy [?], z klerykałami katolickimi udający przyjaciela kościoła i omal że nie klerykała, z kalwinami — gorliwego kalwina, z nacjonalistami — nacjonalistą, z postępowcami — liberała, z socjalistami — omal że nie przewodnika, w rozmowach z polakami gotów do wszelkiego porozumienia, jak z braćmi, choć do rany przyłóż, wreszcie mile widziany przez władze państwowe), i ostatni poseł Michał Januszkiewicz (włościanin Litwin, ukończył szkołę średnią i był na Uniwersytecie, skąd zresztą z III kursu wystąpił, z przekonań bardzo radykalny, bodaj czy nie socjalista, człowiek ideowy, wyraźny i pewny).

Szczegółowo od Janulaitisa a zwłaszcza od Srajewskiego [?], który jest jednym z wyborców z kurji ziemiańskiej z gub. kowieńskiej i który po wyborach przyjechał dziś do Wilna, dowiedziałem się szczegółów o wyborach kowieńskich. Wyborcy włościańscy na zebraniu przedwyborczym, odbytym w wigilję dnia wyborów, ustalili kandydatury poselskie ustępującego Kejnisa, Januszkiewicza i dra Bukonta, z kurji zaś ziemiańskiej litwina ks. Józefowicza, jako jedynego litwina z tej kurji; z kurji zaś miejskiej kandydatem był Friedman z wyboru samych żydów. Tę listę zobowiązał się popierać blok litewsko-żydowski. Z tego widać, że zwycięstwo zyskała lista demokratyczna, bo wszyscy trzej kandydaci włościańscy byli popierani przez postępowców, a nawet ks. Józefowicz z kurji ziemiańskiej, choć ksiądz i litwin, nie jest klerykałem i skłania się do postępu. Dla klerykałów była to porażka, bo ich kandydat Yčas nie został za kandydata uznany. Pierwotny zaś kandydat demokratów Petrulis został w ostatniej chwili zastąpiony przez Januszkiewicza, bo się ujawniło, że wybór Petrulisa, źle widzianego przez władze, może spowodować kasację wyborów, ponieważ Petrulis ongi się uchylił od wojskowości. Tak więc demokraci na naradzie przedwyborczej zwyciężyli. Klerykali musieli być z tego rezultatu niezadowoleni, a ponieważ partji każdej zależało na tem, aby utrzymać w karbach solidarności wszystkich wyborców włościańskich, bo uchylenie się od solidarności jednego lub dwóch mogłoby pozbawić blok litewsko-żydowski większości i dać przewagę ziemianom, więc księża, czując się pokrzywdzeni, postanowili jeszcze nacisnąć i wpakować Yčasa na kandydata. Śród zwycięskich kandydatów był dr. Bukont, choć demokrata postępowy, ale należący do prawicy demokratycznej, skłonnej do kompromisu z klerykałami i nacjonalistami, usposobiony przychylnie do kandydatury Yčasa, a sam zresztą zbytnio nie ubiegający się za zaszczytem mandatu poselskiego. Owóż udało się klerykałom nakłonić układ z Bukontem, mocą którego Bukont się zrzekł kandydatury na korzyść Yčasa, co też rano w dzień wyborów ogłoszono oznajmił [?] na ogólnym zebraniu wyborców bloku litewsko-żydowskiego. Nie protestowano przeciwko temu, bo rozumiano, że trzeba unikać wszelkiej ewentualności kłótni za sobą. Tak stało się rano w dzień wyborów. O samym procesie wyborów opiszę pod datą dnia jutrzejszego.

[illegible]

438.

2 ~~października~~ listopada. rok 1912. sobota.

Dalszy ciąg relacji wyborów kowieńskich. Tak więc w dniu wyborów rano kandydatami bloku litewsko-żydowskiego czyli włościańsko-żydowskiego byli Kairis, Januszkiewicz, Yčas, z kurii ziemiańskiej ksiądz Józefowicz i z kurii miejskiej żyd Friedman. Stały przeciwko sobie 2 zwarte grupy — 1 tradycyjny, od czasu wyborów do I Dumy tworzący blok „litewsko-żydowski", rozporządzający zawsze paru głosami większości, i grupa ziemiańsko-polska. Gdy przyszło do stawiania kandydatur i głosowania na pierwszego posła z kurii ~~[illegible]~~ włościańskiej, ziemianie, którzy upatrzyli sobie element warcholski śród grona wyborców włościańskich, wystawili przeciwko Kairisowi kandydaturę niejakiego włościanina Danowskiego, z fachu pokątnego doradcę. Taktyka ziemian polegała na rozbiciu solidarności włościan, wyszukaniu spośród nich osobnika ambitnego, pragnącego trafić do Dumy i oparciu się na nim przez danie mu swych głosów, odciągając go od bloku i zyskując stąd ten głos jego na swoją stronę. Takiego osobnika znaleźli oni w Danowskim. Czy Danowski był przez ziemian podkupiony, jak twierdzą litwini, czy też pragnął tylko trafić do Dumy, — niewiadomo. U ziemian była organizacja taka, że nawet przeciętni szeregowcy z wyborców ziemiańskich nie mogli wiedzieć, na jakich podstawach się opierały kontrakty zakulisowe. Kontraktami temi kierowała na własną rękę komisja wykonawcza z trzech osób, która jeno dawała ogółowi parol, za kogo głosować, co wszyscy(?) ślepo wykonywali. Gdy ziemianie postawili kandydaturę Danowskiego contra Kairisowi, ogół włościan zażądał od Danowskiego, ~~[illegible]~~ należącego wszak do bloku, aby kandydatury nie przyjął. Danowski wszakże przyjął ją, przez co wywołał oburzenie w bloku, jako łamiący solidarność. Zaczem głosowanie dało obu kandydatom równą ilość głosów, przez co się ujawniło, że na Danowskiego oprócz ziemian padł jeszcze jakiś głos z bloku i że natomiast Kairisowi ktoś z bloku dał gałkę czarną. Posypały się na samego Danowskiego i z obozu włościańskiego zaczęły się nań sypać wymówki i przezwiska „parsdavikas" (sprzedawczyk). W rozjątrzeniu doszło do pogróżek. Danowski twierdził, że dał osobiście gałkę białą Kairisowi, ale wreszcie się zaciął i, reagując na pogróżki i przezwiska, oświadczył się po stronie ziemian. Ponieważ nikt więcej z włościan kandydatury nie wystawił, wypadło losować między Kairisem a Danowskim. Los dał mandat Kairisowi. Z kolei przystąpiono do głosowania na posła z kurii ziemiańskiej. Kandydatem bloku był ks. Józefowicz, kandydatem ziemian ~~[illegible]~~ urzędnik był Edward Kurdiewicz(?) i oprócz niego paru zapasowych, co było rozerwaniem(?) przez ziemian zaaranżowane. I znowu rezultat ten sam: ani ks. Józefowicz ani Kurdiewicz większości nie otrzymali: każdy miał równą ilość głosów. Widoczne było, że zrównoważenie głosów obu grup staje się zjawiskiem stałym. Wobec równej ilości głosów za Józefowiczem i Kurdiewiczem poddano balotowaniu następnego zapasowego kandydata ziemian — Jaczkowskiego. Po obliczeniu gałek okazało się, że Jaczkowski zdobył większość i został wybrany. Fakt ten wykazał, że w obozie bloku zdrada się szerzy. Śród ziemian wybuchła radość, w bloku, zwłaszcza śród żydów konsternacja. Powstała obawa, że dalszy wybór pozostałych posłów będzie dyktowany wolą ziemian. Trzeba było zyskać na czasie, aby dać możność działaczom bloku zebrać i skupić swe szeregi, które się widocznie zaczęły rozluźniać i poddawać zdradzie. Żydzi zaproponowali przerwę na obiad. Ziemianie oczywiście oponowali przeciwko przerwie, wychodząc z założenia, że należy kuć żelazo, póki gorące. Ale większość w głosowaniu jawnym wypowiedziała się za przerwą. Wyborcy włościańscy, nie dając nikomu spośród siebie wyjść z sali luzem, aby nie dać ziemianom dostępu do żadnego włościanina, wyszli gremialnie z sali i z księżmi Dąbrowskim (Jakštasem) i Propolanisem, którzy do grona wyborczego nie należą, skierowali się do seminarium katolickiego, gdzie złożyli [illegible] i przysięgę ~~[illegible]~~ złożyli wszyscy przysięgę na wierność blokowi. Jakiego środka użyto na Danowskiego — niewiadomo, ale dość, że on po przerwie na sali więcej nie ukazał. W czasie przerwy wpadł on tylko do restauracji, gdzie obiadowali ziemianie, skonsternowany, i oświadczył im, że takich doznaje pogróżek i musi się obawiać takich ewentualności dla siebie, że się pokazać nie może. Po przerwie już bez żadnych wahań przeszli ~~[illegible]~~ jednolitą większością wszyscy pozostali kandydaci bloku — Friedman, Januszkiewicz i Yčas. Na tym się skończyło. W Kownie na czas wyborów zjechali się ~~[illegible]~~ agitatorowie wszystkich obozów litewskich dla oddziaływania na wyborców w kierunku popierania każdy swoich kandydatów. Był Kairys, Sleżewicz, Tumas(?), Krzywa(?) i wielu, wielu innych. Jak ocenić takie wybory oraz w szczególności stanowisko ziemian? Niewątpliwie, że takie wybory, kuglarne i [illegible], woli żadnej nie wyrażają [illegible]: są one wynikiem skomplikowanej gry intryg. Co zaś do ziemian, to wystawiają one świadectwo ich za[illegible] fatalne i nieszlachetne. Cechuje je przedewszystkiem brak godności i bezmyślna [illegible], [illegible] opierając się na brudnych [illegible] i na [illegible] warcholskich elementów śród włościan. Tą drogą nie zdobędą oni zaufania i [illegible] ludu, jeno własną niewiarę i wstręt pogardę. A czy to im zrównoważy problematyczne korzyści z zawartych osiągnięcia tą drogą mandatu?

Z depesz warszawskich wiadomo, że wybrany w Warszawie na posła Jagiełło, robotnik, kandydat Lewicy socjalistycznej. ~~[illegible]~~ O wyborze tym zadecydowali żydzi, którzy, jako tacy, uzyskali większość w gronie wyborców. [illegible] [illegible] [illegible], a nikt [illegible] mandatu przyjąć nie chciał.

28 października / 10 listopada. rok 1912. niedziela.

Dzień dzisiejszy, jak każdą niedzielę, spędziłem z Anną. Była ona czegoś smutna, a zwłaszcza pod wieczór czuła się przygnębiona i bez humoru. Żaliła się, że jestem dla niej dziś zimny, sztywny. Może istotnie brakło mi dziś swady i humoru, brakło tego prądu serdeczności gorącej, który czasami w większym to znów w mniejszym stopniu w mej naturze, zależnie od usposobienia i rozmaitych czynników psychologicznych, się ujawnia. A właśnie dla Anny trzeba dziś było serdeczności większej, głębszej, niż zazwyczaj. Przebolała ona bowiem naszą sprzeczkę czy też raczej nieporozumienie czwartkowe przez 2 dni ciężkich zwątpień i przygnębienia, a chociaśmy się wczoraj pogodzili, to jednak dla natury tak subtelnie wrażliwej, jak Anny, to nie wystarcza. Chwile a tymbardziej dnie całe zwątpień i smutku żłobią w niej ślad zbyt głęboki, aby się on potym sam przez się, w okolicznościach powszednich zgody, zatarł. Dla zatarcia takiego śladu trzeba wielkiego nakładu serdeczności, trzeba gorącej atmosfery uczuciowej, której dziś Annie dać nie zdołałem. To też czuła się ona osamotniona ze mną i wracała wciąż bezwiednie do swych smutnych nastrojów poprzednich. A jest jeszcze okoliczność jedna, która w takich razach oddziaływa fatalnie na świadomość Anny. Zmysłowość moja, która jest zawsze silna, zwykle po takich zatargach wybucha przy zgodzie z siłą zdwojoną; to samo jest zresztą u Anny; i ona też się w takich chwilach daje unosić zmysłowości znacznej. O ile zaś po takim zobopólnym wybuchu zmysłowości nie następuje bezpośrednio wzrost głębokiej serdeczności uczuciowej, to Annie się wydawać zaczyna, że zgoda, która nastąpiła między nami, była li tylko wyrazem żądzy mojej, nie zaś uczuć, przez co się potwierdzają w niej niemal wszystkie jej poprzednie zwątpienia i stosunek nasz zakrawa dla niej na pustą, na ohydną miłostkę moją, której ona staje się skazana.
Wieczorem pożegnałem Annę i wróciłem do domu, skąd o godz. 10 wyjechałem z Mamą na pociąg i pociągiem z Wilna na Kalkuny. Jedziemy dziś bowiem z Mamą do Bohdaniszek.

29 października
11 listopada.
rok 1912.

poniedziałek.

Około godz. 4 w nocy przyjechaliśmy z Mamą do Kalkun, gdzie wypadło nam czekać na pociąg libawski do g. 10 rano. Mama się ulokowała w pokoiku damskim, ja zaś usiadłem w bufecie i spać się już nie kładłem wcale; zresztą nie byłem, bo już się wyspałem w pociągu. Na czytaniu i napisaniu paru listów czas mi szybko upłynął. Pociągiem libawskim dojechaliśmy z Mamą do Rakiszek, ponieważ na stację rakiską obstalowaliśmy wczoraj telegraficznie konie bohdaniskie, nie wiedzieliśmy bowiem, czy jest już na wsi sanna, a w każdym razie gościńcem lepsza będzie dla Mamy droga. W Rakiszkach na stacji spotkali nas Zyś i Elizka Komorowscy, zawiadomieni o przyjeździe Mamy. Szosą samą, ale z przykrym ostrym wiatrem ze śniegiem w oczy, dojechaliśmy prędko do Bohdaniszek, odprowadzeni przez obydwoje Komorowskich. Komorowscy zabawili następnie w Bohdaniszkach do wieczora i wyjechali dopiero po kolacji. Byli bardzo serdeczni, gawędziliśmy dużo, w ogóle czas zeszedł bardzo mile. Poraz pierwszy dziś spostrzegłem, że Zyś mocno posiwiał. Starzeje się już i on, za lat kilka dobiega pięćdziesiątki.

Do Bohdaniszek przyjechałem właściwie nie tylko dla odprowadzenia Mamy, ale też dla interesów gospodarczych wiarsowieckich. Chodzi mi o to, że do Wiarsowca obecnie, po dokonanej zwłaszcza sprzedaży łąkowej, potrzebny mi jest leśnik do pomocy Piesiekierskiemu, potrzebny też koń, bryczka, sanki, uprząż i t. d., wreszcie nawet pies. Tego leśnika oraz wszystko inne, nie wyłączając psa, chcę sprowadzić z tych stron. Człowiek tutejszy, Litwin, daje mi większą gwarancję, że będzie tam pilnował mojej sprawy, niż tamtejszy chłop miejscowy, solidarny z ludnością miejscową. Litwin ze stron bohdaniskich będzie tam dla mnie „swoim" człowiekiem, będzie mi bliższy od tamtejszych. O konia też mi tu łatwiej, niż tam, bo tam są one strasznie drogie i mogą się przy kupowaniu łatwiej oszukać. A sprowadzając już człowieka i wioząc konia, łatwo mi sprowadzić stąd i wszystko inne. Mama poradziła mi, abym oprócz leśnika umówił jeszcze i sprowadził do Wiarsowca także Jaśka Podolskiego, chłopca 12-letniego, syna zmarłego starego sługi bohdaniskiego, Podolskiego, chłopaka bardzo uczciwego, pracowitego i rozgarniętego. Wezwałem Jaśka, umówiłem i odniosłem wrażenie, że on mi prawdopodobnie sam wystarczy do pomocy Piesiekierskiemu. Konia mi Mama wytargowała od Papy za [illegible], mianowicie młodego 4- czy 5-letniego Pryma, dworskiego, syna doskonałej bohdaniskiej klaczy roboczej Damki. Prym był w roku ubiegłym trzymany na stajni stajennej i dopiero w tym roku z powodu niedostatecznego wzrostu zdegradowany na konia roboczego. Konik to dobry, prędki, bez narowów, mocnego układu. Zgodził się też Papa ustąpić mi młodego 18-miesięcznego psa Brysia, syna Kuty. Jest to doskonały egzemplarz psa podwórzowego, silny, dzielny, niedelikatny, zajadły, a bardzo przywiązany i [illegible]. Jasiek z psem i koniem oraz rzeczami wyruszą w podróż pociągiem towarowym w przyszły czwartek za dni 10.

30 października / 12 listopada n. rok 1912. Wtorek.

Rozkosznie jest tak spędzić kilka dni na wsi, zdala od zgiełku miejskiego, od ciągłego nawału jakichś robót, od nerwowej atmosfery zbiorowiska ludzkiego, — w głuchej głębokiej jesieni z jej wieczorami bez końca, z szumem wiatru za oknami lub monotonnym cichym dźwiękiem kropli deszczu, uderzających o szyby. Marzy się jakaś pewność lat dziecinnych, nieprzerwana ciągłość a nawet tożsamość tego środowiska wiejskiego, gdzie czas pozmieniał aktorów-ludzi, ale nie tknął, zda się, akcji i typowego charakteru otoczenia. Postarzało wszystko jakoś w Bohdaniszkach, ale są one zasadniczo te same, niewzruszone. W Wiażowcu tych uczuć nie doświadczam. Pobyt w Wiażowcu jest mi jeszcze milszy obecnie, niż w Bohdaniszkach, bo tam głęboki spokój samotności wiejskiej łączy się dla mnie z możnością twórczego kształtowania dziejów tej jednostki gospodarczej, ale tam nie odczuwam tych specjalnych pewnych nastrojów ciągłości życiowej, jakie odczuwam tu w Bohdaniszkach, gdzie się rodziłem i rosłem z dziecka małego.

Obejrzeliśmy dziś z Mamą uprząż na konia, którą mam do Wiażowca sprowadzić, sanie oraz niektóre inne rzeczy. Po obiedzie kazałem zaprząc Pryma do saneczek, aby się nimi przejechać i wypróbować, jak chodzi. Nakarmiłem też Pryma, aby go oswoić do mnie. Jest to już moja szkapka wiażowiecka. Zaszedłem do Kligysów w wiosce Bohdaniszkach dla kupienia linijki jednokonnej, którą też kupiłem; nie będę wszakże mógł sprowadzić jej teraz jednocześnie z koniem, bo trzeba ją też jeszcze okuć. Biedni Kligysowie. Mają dostatek, mieliby względną pomyślność, gdyby nie ciągła troska o dzieci. Jak wiadomo, [illegible] przed kilku laty [illegible] kilkunastoletnia jedyna córeczka. Jak teraz widzimy na [illegible] syn Jasiek, 20-letni w kościele [illegible]

31 październik.
13 listopad.
rok 1912.
Środa.

Do obiadu bawiłem w Bohdaniszkach. Po obiedzie przed zmrokiem pożegnałem się z Rodzicami i pojechałem do Kowaliszek, skąd jutro już wprost do Wilna wyjadę. W Kowaliszkach oprócz Zysia, Elizki, Jula i Misiusi, zastałem też pannę Zolę Komorowską, która tam już od paru miesięcy bawi. Rozmawialiśmy z Zysiem dużo o wojnie bałkańskiej, o stosunkach miejscowych, o społecznej i kulturalnej pracy ziemian w kraju. W szczególności ciekawych rzeczy się dowiedziałem o działalności funkcjonującej w powiecie jeziorowskim sekcji popierania drobnego przemysłu, która założyła szkołę koszykarstwa, organizuje tkactwo, wyplatanie drutów i t. p.. Pozatym dowiedziałem się bardzo ciekawych i pouczających rzeczy o działalności proboszcza Rakiskiego, księdza Jankowskiego, jednego z najdzielniejszych i najlepszych kapłanów miejscowych. Wśród licznych czynności jego najwybitniejszą pono była czynność, skierowana do walki z profesjonalnym żebractwem, które [illegible] mu się zwyczajnie(?). Założył on [illegible] stowarzyszenie dobroczynności, które utrzymuje stały przytułek dla starców i nędzarzy z parafji Rakiskiej. To też obecnie(?) żebraków w parafji niema. Dla

zbierania datków na utrzymanie ubogich ~~[illegible]~~ kursuje po całej parafji worek specjalny. Datki te do tego stopnia wystarczają, że worek o wiele rzadziej zagląda do wiosek i chat [illegible], niż zaglądali pojedynczy żebracy. Wszystkie parafjanie na utrzymanie ubogich i przy tej organizacji o wiele mniej kosztuje niż utrzymywanie całej armji [illegible] żebraków przez datki doraźne i jałmużnę. Parafja więc zyskała na tem i zyskali ubodzy, którzy mają byt zapewniony.

1 (14) listopada rok 1912. czwartek.

Raniutko o godz. 4 wstałem i wyjechałem z Kowaliszek na kolej do Rakiszek. Ciemno było straszliwie, nie widać ani krztyny dokoła. Bezksiężycowa listopadowa noc dżdżysta roztaczała jednolitą ciemność na ziemi. Dżdżysty deszcz sprzyjał samej; brak śniegu jeszcze bardziej potęgował ciemność. Strasznie było jechać w wysokiej i względnie wąskiej bryczce na bardzo miękkich resorach parą gorących koni – Zuchem i Sportem – po rozmokłej ziemi, po drodze ~~[illegible]~~ najszkaradniejszej, w ciemności takiej, że niepodobna było ~~[illegible]~~ rozpoznać, gdzie się kończy droga a zaczyna rów lub grząskie pole zorane. Strachu więc się nałykałem dziś, ale jakoś szczęśliwie bez przygody dojechałem. O godz. 8 z minutami byłem w Kalkunach, skąd pociągiem pośpiesznym na południe dojechałem do Wilna. W domu zabawiłem krótko, większą część dnia do wieczora spędziłem z Anną. Wieczorem miałem u Anny dość zabawną przygodę. O zmroku przyszliśmy z Anną do jej pokoju, skąd już do wieczora nie chcieliśmy wcale wychodzić. Zamknęliśmy się w jej pokoiku, gawędziliśmy, piliśmy herbatę, przekąszaliśmy ~~[illegible]~~, oddawaliśmy się pieszczotom wzajemnym. Nagle słyszymy dzwonek. Byliśmy w negliżu obojga, więc postanowiliśmy drzwi nie otwierać, pana zaś Tuna nie było w mieszkaniu. Sądziliśmy, że to przyszła Lola Zahorska, która często wieczorami do Anny wpada. Dzwonek wkrótce ustał. Zgasiliśmy światło, aby osoba dzwoniąca wychodząc nie spostrzegła światła w oknach Anny. Po jakimś czasie zapaliliśmy znów światło i zapomnieliśmy o ~~[illegible]~~ tej niedoszłej wizycie czyjejś, gdy nagle znów dzwonek i już natarczywy, raz po razie. Spiesznie ubraliś-

[illegible]

2 (15) listopada rok 1912. piątek.

Nie wierzę dziś w wojnę europejską z powodu spraw bałkańskich. Świetne zwycięstwa państw bałkańskich nad Turcją, ich pochód wspaniały zdobywczy, jak epos żywy na tle zdeprawowanych intryg gnuśnej, tajdackiej i tchórzliwej dyplomacji starego świata, tchnie taką siłą prostoty i woli, tak wytrwane, taką prostą mają faktu dokonanego, że obłuda intryg, choćby w najprzemyślniejszych kombinacjach poczętych, jeżeli nie ustąpi, to przynajmniej ograniczyć się ostać musi. Niewątpliwie że wciągną tu w grę olbrzymiej wagi zagadnienia międzynarodowe, niezmiernie skomplikowane a żywotne, które obciążają sytuację brzemieniem ostrych konfliktów, grożąc zderzeniem wielkich mocarstw, ale tu dyplomacja intrygami pokryje intrygi i obłudnym targiem wykoncypuje jakiś nowy kształt wielce kunsztownego kompromisu, a przecież brutalnie wykreślić epopei państw bałkańskich nie potrafi się. W naszym interesie ze stanowiska wrogów tej naszej ohydnej obecnej państwowości rosyjskiej — byłaby oczywiście wielka wojna mocarstwowa z pogromem Rosji, ale sądzę, że do tego nie przyjdzie. W Wilnie zresztą w kołach inteligenckich nadzieja wielkiej wojny żyje — krzepiąc wersja stanowcze.

Wieczorem u Szklennika odbyło się zwykłe posiedzenie Towarzystwa Popierania Kooperacji. Obecni byli: Szklennik, Witold Abramowicz, Piłsudski, Dowiakowski, Jurgenson, jakiś młody nowy członek, którego nazwiska nie znam, i ja. W Towarzystwie tym dostrzega się ciekawa i charakterystyczna ewolucja: skąd weszły doń elementy postępowe i radykalne, które stopniowo skierowały się do ruchu kooperacyjnego, jako głęboko twórczego i zdrowo demokratycznego, stąd elementy endeckie, wsteczne, z Józefem Hłaską na czele, zaczęły stronić od Towarzystwa i patrzeć nań z ukosa, podejrzliwie. Zresztą niektórzy nam zarzucają o jakieś fałszowanie ruchu spółdzielczego dla celów radykalizmu politycznego czy innych aspiracji ubocznych, jak gotowi są nas o to posądzać czasem przeciwnicy polityczni. A przecież nie chcemy niczego kooperacji narzucać, nie chcemy z niej robić narzędzia celów ubocznych, nie chcemy jej nadawać cech partyjnych. Nie

[illegible]

3 (16) listopada rok 1912. sobota.

Mam dziś do zanotowania 2 rzeczy — o piśmie i o młodzieży. Jak tu już wspominałem poprzednio, grupa, wydająca „Naszą Niwę"; to znaczy grupa białorusinów (bracia Łuckiewiczowie z Pańkowskim), projektująca założenie polskiego kopiejkowego pisma codziennego, zwróciła się do nas z propozycją, abyśmy się z nimi zespolili dla wspólnego wydawnictwa, ponieważ i nasza grupa projektuje takież pismo i wspólnie na takowe trochę zebrała środków (mamy zaś pewnych półtrzecia tysiąca rubli). Na skutek tej propozycji rozpoczęły się pertraktacje, w których z naszej strony brali udział Witold Abramowicz, Piłsudski i Ludwik Abramowicz. Pertraktacje te wszakże z naszej strony były prowadzone niewiernie, bez wiary do grupy białoruskiej i do możliwości współdziałania, prawdziwie li tylko w celu wybadania, jakiemi środkami wydawniczemi rozporządzają białorusini. W naszej grupie tylko Zasztowt i ja popieraliśmy ideę wspólnego związku z działaczami białoruskimi, większość zaś wszakże naszych traktuje białorusinów nieufnie i podejrzliwie. Białorusini też zresztą stawiali pewne zastrzeżenia w stosunku do naszej grupy, mianowicie chociaż się godzili na redaktorstwo Ludwika i stwierdzili, że różnic zasadniczych między nami nie ma, jednak żądali dwóch osobnych równorzędnych komitetów redakcyjnych, — ich i naszego. Chodziło im oczywiście głównie o przestrzeganie odrębności stanowiska krajowego w piśmie. W tych warunkach układy szły ociężale, bez widoków porozumienia. Dziś, widząc się z Iwanem Łuckiewiczem i rozmawiając o piśmie, poradziłem mu, żeby zaczęli oni po prostu wydawać pismo sami, a wtedy, jak sądzę, z pewnością my do nich przyjdziemy i przyłączymy się z pieniędzmi, ludźmi i organizacją. Wprawdzie rozporządzają oni skromnymi środkami (do 1000 rubli), ale mają sprężystość i ruchliwość niepospolitą, a cechy te, łącznie z siłą faktu dokonanego, stanowią zawsze atut olbrzymi. Jak ich pismo wychodzić już będzie, wtedy nasza grupa, nie chcąc tracić takiej placówki, jaką jest dziennik, a widząc, że różnic programowych i zasadniczych między nami nie ma, zespoli się z nimi, byle tylko oni byli mądrzy, nie akcentowali ostro jakichś ewentualnych drobnych różnic i byli chętni do porozumienia z nami. W taki sam prawie sposób powstał w roku zeszłym „Przegląd Wileński"; gdy po rozdwojeniu, które nastąpiło między z jednej strony Abramowiczami a z drugiej — resztą naszej grupki, bracia Abramowiczowie bez żadnych niemal środków ogłosili wydawnictwo i wydali № próbny; otóż my, widząc, że Abramowiczowie mają organizację gotową, której my nie mamy, przyszliśmy do nich z ludźmi i pieniędzmi, aby nie stracić zupełnie pola działania. Iwanowi Łuckiewiczowi to się bardzo podobało. Z właściwą im ruchliwością zakrzątnęli się oni nad natychmiastową realizacją tej myśli, mają już wydać zaraz plakat z ogłoszeniem o piśmie i już dziś skomunikowali się z dr. Julianem Sumorokiem o skorzystanie dla pisma z posiadanej przez niego koncesji na dziennik pod tytułem „Kurjer Krajowy". Dr. Sumorok, który jest dobrze z białorusinami i sprzyja ich ruchowi, a który skądinąd liczy się też z naszą grupą i w szczególności ze mną, spotkawszy mnie dziś na ulicy wieczorem, zapytał mnie o zdanie w tej sprawie, wyrażając szczerą chęć udzielenia białorusinom koncesji. Odpowiedziałem, że stanowczo koncesji udzielić warto, co zdaje się ostatecznie ustaliło decyzję dr. Sumoroka. Zobaczymy, co z tego będzie dalej.

W ostatnich paru tygodniach postarałem się o nawiązanie bliższych stosunków z młodzieżą szkolną, mianowicie z kółkiem postępowym, z którym w roku ubiegłym szkolnym nasze stosunki się rozluźniły. Zwiastowałem na młodzież przyszłych obywateli naszych, kształcenie jej społeczne w drodze organizacji związków, walczę do pierwszorzędnych zadań inteligencji demokratycznej w obecnych warunkach. W tym celu skomunikowałem się z uczniem Szwojkiewiczem, który już szkołę średnią skończył, ale bawi jeszcze w Wilnie, a przez niego z kółkiem postępowym. Dziś, przypadkiem zresztą, uczestniczyłem na ich zebraniu na odczycie Łuckiewicza o refleksji ukraińskim. W sprawie organizacji odczytów porozumiałem się z młodzieżą w ten sposób. Urządzają oni właśnie w swym łonie ankietę co do tematów odczytowych. Tymczasowe wyniki tej ankiety nie zakończone, ale już się kilka poważnych tematów ujawniło, mianowicie następujące takie, jak „Postęp a klerykalizm", „Sytuacja mniejszości narodowych w związku ze sprawą bałkańską", „Przedstawicielstwo w Królestwie Polskiem", „Rezultaty wyborów i Duma". Obiecałem im, że się zajmę znalezieniem dla nich prelegentów dla tematów i to już na czas najbliższy.

4/(17) listopada.
rok 1912.
niedziela.

Porozumiałem się dziś z Ludwikiem Abramowiczem co do pierwszego odczytu z cyklu zaprojektowanych dla młodzieży postępowej. Będzie to odczyt na temat sytuacji międzynarodowej w związku ze sprawą bałkańską i z uwzględnieniem spraw polskich. Ludwik Abramowicz bada pilnie bieg obecnych spraw bałkańskich i wyjaśniających się w związku z niemi konfliktów międzynarodowych i oddawna już projektuje urządzić tu w Wilnie na ten temat zebranie odczytowo-dyskusyjne grona inteligencji dla omówienia sytuacji i ewentualnego zorjentowania się zbiorowego opinji publicznej w tych zawiłych stosunkach, które mogą nam wyłonić najrozmaitsze niespodzianki. Oczywiście, że odczyt w młodzieży będzie miał inne znaczenie, niż w inteligencji: będzie to nie zebranie porozumiewawcze, lecz jeno odczyt informacyjny. Ma się on odbyć w sobotę za 2 tygodnie.

Widziałem się dziś z Krzyżanowskim, z którym rozmawiałem o sprawach pisma. Mówiłem mu o tym, że białorusini gotują się na razie do rozpoczęcia wydawnictwa dziennika popularnego. W naszej grupie Krzyżanowski ma spośród nas najpoważniejszy głos w sprawach pisma, nie dlatego żeby brał jakiś czynniejszy udział w robocie organizacyjnej, ale poprostu dlatego, że z pośród nas wszystkich najbliżej stoi pieniędzy na wydawnictwo. Otóż Krzyżanowski jest osobiście usposobiony w tej chwili bardzo sceptycznie i nieufnie tak do samych białorusinów, jak do ich wydawnictwa, i jest stanowczo przeciwny wszelkiemu porozumieniu i spółdziałaniu z nimi. Krzyżanowski jest niewątpliwie w tej kwestji, jak w wielu innych, inspirowany przez braci Abramowiczów, którzy oczywiście chcą za wszelką cenę niedopuścić do zespołu naszego z białorusinami a tymbardziej do pójścia naszej grupy za ~~białorusinami~~ niemi, bo się obawiają, że tą drogą Ludwik Abramowicz zostałby wcześniej czy później zepchnięty ze swego stanowiska naczelnego w redakcji, o co tak jemu, jak bratu bardzo chodzi. Abramowiczowie starają się przeto zrazić naszą grupę, a zwłaszcza naszego „potentata" pieniężnego Krzyżanowskiego, do akcji białorusinów. Mają oni po swojej stronie Szwedego, szwagra Witolda Abramowicza, zresztą też Nagórskiego, który sympatyzuje kierunkowi Abramowiczów, i usidlali Krzyżanowskiego. Abramowiczowie posiadają wielką zachłanność i umieją utrzymać własną klikę. Krzyżanowski, człowiek bardzo wrażliwy, nerwowy i wątpliwy, jest teraz w fazie wielkiej admiracji Ludwika, który go bardzo troskliwie potrafił [illegible]

Wogóle Krzyżanowski w ostatnich czasach mocno się na prawo posunął. Mówił mi dziś Krzyżanowski ze słów Abramowiczów, że co do białorusinów, a zwłaszcza braci Łuckiewiczów, zachodzą domysły, iż operują oni subsydjami rządu austrjackiego dla szerzenia akcji destrukcyjnej na zachodnich kresach państwa Rosyjskiego. Domysł ten opiera się na tym, że Łuckiewiczowie w sposób istotnie niepojęty umieją znaleźć na wszystko pieniądze, nie mając nic swojego ani żadnych [illegible] robót swoich, że dalej wszystko jest u nich zawsze osnute jakąś tajemnicą, [illegible] i t.p.; że [illegible] względy [illegible], [illegible] w związku ze stosunkami i wyjazdami Iwana Łuckiewicza [illegible] i t.p. dają pole do powziętych domysłów. Ja osobiście [illegible] Iwana Łuckiewicza jest [illegible] niepospolita, [illegible] pai on może od ludzi bogatych, zamiast [illegible] wrzeszczy może od [illegible] galicyjskich i od [illegible] [illegible]

5 (18) listopada.
rok 1912.

Do godz. 3 byłem jednym ciągiem zajęty najżmudniejszą w świecie procedurą otrzymywania z Banku Państwa na mocy plenipotencji — ~~depozytów~~ walorów i pieniędzy spadkowych klientów moich ze Smoleńska. Sam klient, raczej mąż klientki, przyjechał ze Smoleńska specjalnie w tym celu, ażeby interes ten prędzej załatwić. Formalistyka w tym Banku Państwa straszliwa, robiąca z rzeczy prostej proceder nader skomplikowany.

Wieczorem, pomimo okropnego nawału pracy zawodowej w interesach, musiałem wszystko na bok odłożyć i zająć się pisaniem artykułu do „Przeglądu Wileńskiego", streszczającego krytycznie wyniki wyborów litewskich do Dumy (z gub. kowieńskiej i suwalskiej). Pracę tę przed kilku dniami obiecał mi wykonać Šaulys na dziś, ~~ale~~ atoli dziś rano otrzymałem od niego list z zawiadomieniem, że jej nie wykonał. Naraz byłem wściekły, bo czasu nie miałem, a artykuł jest nieodzowny. Praca ta wszakże dała mi zadowolenie o wiele większe, niż praca nad interesami klientów. Pisałem intensywnie, myśl funkcjonowała znakomicie, dając mi rozkosz aktu twórczego. Lubię taką pracę. Artykułu nie skończyłem, bo koło godz. 10 wieczorem poszedłem do Anny.

6 (19) listopada rok 1912. wtorek.

Przychodził dziś do mnie młody chłopiec z jednego z kółek uczniowskich dla porozumienia się w sprawie organizacji odczytów. Wogóle na tym polu można dużo zdziałać, byle chcieć i umieć środki po temu. Młodzież jest spragniona odczytów, szuka dróg do pogłębiania swej świadomości życiowej, żyje intensywnie. W takim środowisku pole dla działania jest wdzięczne. Oczywiście rządowa szkoła rosyjska, obca społeczeństwu naszemu, wroga ideałom naszym, przepojona w dodatku duchem formalizmu i policyjności, nie zaspakaja pragnień umysłowych i duchowych młodzieży. Zwłaszcza dziedzina zjawisk społecznych oraz kultury narodowej [struck] nie może być przez szkołę zaspokojona, albowiem w tej dziedzinie wrogie tendencje szkoły są najwydatniejsze. Ten młody człowiek, który [struck] się dziś zgłosił do mnie, nie należy do kółka postępowców. [struck] Jest to jeden z członków najświeższej grupy młodzieży, istniejącej pod nazwą kółka realistów. Od r. 1909 młodzież szkolna wileńska była zorganizowana w trzech [struck] kołach, mianowicie koło narodowców, endeckie, złożone z najmniej społecznie wrażliwego elementu, następnie koło tak zwanych wyzwoleńców, usposobionych katolicko z odcieniem [struck] mistycyzmu w duchu Lutosławskiego, oraz koło postępowców, złożone z elementów narodowo-socjalistycznych. Wyzwoleńcy w ostatnim (1911-1912) roku szkolnym, pod wpływem sympatji ludowych i wobec nieobecności [struck] w Wilnie ich głównego kierownika studenta Zmitrowicza (który wrócił już teraz do Wilna i zapisał się na pomocnika adwokata), [struck] zaczęli się wyzbywać aspiracji klerykalnych i przekształcać na kółko ludowców z pewnym jeno odcieniem, powiedziałbym, — mistycyzmu chrześcijańskiego. Był nawet moment w roku zeszłym, kiedy miało się zdawać, że [struck] między wyzwoleńcami a postępowcami dojdzie do pewnej stałej łączności organizacyjnej. To atoli nie nastąpiło, natomiast w roku bieżącym doszło do rozłamu wyzwoleńców, od których wydzieliła się grupa postępowa i utworzyła osobne kółko pod nazwą kółka realistów. Wyzwoleńcy po rozłamie [struck] wrócili do klerykalizmu, kółko zaś realistów [struck] akcentuje sympatje postępowe, acz umiarkowane; od wyzwoleńców oddziela ściśle stanowisko pozaklerykalne, od właściwych zaś postępowców różni się tym, że

[illegible]

(20) listopada, rok 1912, środa.

Białorusini zakrzątnęli się energicznie i prędko i już jutro wydają okazowy dziennika polskiego pod firmą koncesji dr. Szumorska pod tytułem „Kurjer Krajowy". Ten wychodzi jutro tylko dlatego, że pojutrze się kończy koncesja dr. Szumorska, więc chodzi o to, aby przez wydanie numeru koncesję tę utrzymać w mocy prawnej. Regularnie zaś pismo ma zacząć wychodzić od 11 grudnia. Najbliższy zapewne okazale się przedstawiać nie będzie, bo musiał być sklecony naprędce, pracą jednego tylko człowieka Maćkowskiego. W naszej grupie, o ile się rozmawiałem z Krzyżanowskim i Ludwikiem Abramowiczem, nastrój co do ewentualnego połączenia się z białorusinami dla wspólnego wydawania pisma jest chłodniejszy. Przeważać zaczyna u nas tendencja do utrzymania nadal wydawnictwa „Przeglądu" jako dwutygodnika, co wpływa hamująco na projekty wydawania popularnego dziennika. Że nasza grupa nie zdobędzie się na dziennik osobny od białorusinów, — to chyba jest poza wątpliwością. Jeżeli chce wydawania dziennika się utrzymać, to może być mowa tylko o wspólnym wydawnictwie z białorusinami. Białorusini zaś zrzekną [?] się gotowi do wszelkich ustępstw dla nas; godzą się na redaktorstwo Ludwika Abramowicza, godzą się na reprezentowany przez nas kierunek; chcą jeno wprowadzić do pisma na współpracownika Maćkowskiego. Ten sprzeciw [?], że chcą oni wytworzyć 2 równoległe komitety redakcyjne, zresztą i ich, zapewne upadnie i przyczyni się [?], że się oni zadowolą przedstawicielstwem w naszym komitecie redakcyjnym — Antoniego Łuckiewicza i zapewne Maćkowskiego). A jak nasz komitet nie był uciążliwy dla „Przeglądu", tak też komitet z udziałem Antoniego Łuckiewicza nie będzie uciążliwy dla dziennika.

Dowiedziałem się dziś o ciekawych zjawiskach, które zachodzą śród polskiej szkolnej młodzieży wileńskiej. Zachodził do mnie młodzieniec z kółka postępowego dla porozumienia się co do odczytów. Pierwszy odczyt, L. Abramowicza, ma się odbyć w tę niedzielę, potem 1 grudnia mój odczyt na temat „Postęp a klerykalizm", dalej 15 grudnia ewentualny odczyt Paulusa na temat stosunków litewskich. Przytem opowiadał mi on ciekawe rzeczy o ruchu pewnym śród młodzieży. Jest to ruch tak zwanych „skautów" (nazwa ta wzięta z angielskiego). Ruch ten został w roku zeszłym czy zaprzeszłym zainicjowany w Galicji, gdzie się bardzo szybko rozpowszechnił i sięgnął do młodzieży warszawskiej, a teraz dotarł do Wilna. Zainicjowany ten ruch został zdaje się przez „fraków" (z frakcji rewolucyjnej PPS) i przez radykalnych narodowców. Jest to rodzaj wewnętrznej organizacji młodzieży, jakiegoś pogotowia wojennego dla celów powstańczych. Śród naczelnych organizatorów tego ruchu wymieniają Piłsudskiego (który był szefem bojówki PPS, emigrant polityczny, zamieszkały w Zakopanem, rodem z Litwy, brat sławnego Józefa Piłsudskiego, człowiek nieposzlakowanie charakterny [?], sprężysty i zdolny). Do organizacji skautów w Wilnie wpływa liczne jest dostatki [?] tak z obozu narodowców, jak wyzwoleńców i realistów, oraz postępowców. Organizacja ta jest tajna, ściśle zakonspirowana nawet względem kolegów, nienależących do niej. Młodzież, która jest poza tą organizacją, dowiaduje się o niej tylko przypadkowo. Skaut działa na młodzież podniecająco, pociąga ją i entuzjazmuje. Młodzieniec, który był dziś u mnie, radził się, jak mają się postępowcy wobec ruchu tego zachować. Stare organizacje młodzieży, kółka — narodowe, wyzwoleńcze i postępowe, funkcjonują, ale już zapału nie budzą. Spośród postępowców do „skautu" należą niektórzy i choć nie wystąpili oni z kółka postępowego, jednak są tak skautem pochłonięci, że na zebrania odczytowe postępowców nie przychodzą wcale. Zebrania skautów są bardzo liczne, bywa na nich po 50 osób z młodzieży. Skautowie mają zorganizowane systematyczne kursa nauk wojskowych; studiują strategię, topografię, historię wojskowości i t.d. Wykłady prowadzi niejaki p. Żywiecki [?], człowiek, który tu przyjechał zapewne z tą misją specjalną, a nauczyciel języka polskiego w gimnazjum Wileńskiego [?]. O ile sądzę ze słyszenia o ruchu skautowskim w Galicji i Królestwie, jest on bardzo jaskrawie radykalny narodowo i bodaj że także dość radykalny społecznie i ma wybitne aspiracje powstańcze. Śród młodzieży skautowskiej jest olbrzymie rozegzaltowanie. Zwróciłem temu młodzieńcowi z kółka postępowców, aby w każdym razie względem ruchu, który budzi taki zapał śród młodzieży, wrogo nie występować, jeno starać się go poznać, bo może być w nim dużo pięknych ideałów, [illegible] rozwoju. Są to rzeczy ciekawe bardzo. Jestem pewny z wielu oznak, że ten młodzieniec z kółka realistów, który był u mnie wczoraj, należy do skautów, i że sekcja społeczna, dla której pragnie zorganizować odczyt, to właśnie jest komitet skautów, bo nie

8 (21) listopada rok 1912. czwartek.

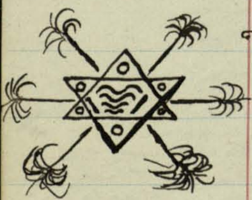

Dziś rano pierwszy przestąpił próg naszego pokoju adwokackiego w Sądzie nowy nasz kolega, były poseł do Dumy, głośny leader „trudowików", Andrzej Bułat (po litewsku: Bulota), zabalotowany na obecnych wyborach z gub. suwalskiej na rzecz kandydata klerykałów litewskich, ks. Laukaitisa. Bułat osiada w Wilnie i zapisuje się do adwokatury. Litwini wileńscy, właściwie demokraci litewscy, zyskują w nim wybitną siłę. Bułat przedstawił się w pokoju adwokackim wszystkim kolegom. Wejście jego wywołało pewną sensację. Od razu na wstępie Bułat ~~[illegible]~~ miał okazję do zaznaczenia w sposób bardzo sympatyczny i taktowny swego stanowiska w sprawie stosunków narodowościowych. Adwokat-Litwin, stary Kimont, witając Bułata, wspomniał żartobliwie, że Litwinów więcej adwokaturze przybywa i że wkrótce wezmą oni górę nad Polakami. Na to Bułat oświadczył, iż się spodziewa, że walki między kolegami Polakami i Litwinami nie ma i nie będzie i że walka taka jest zasadniczo zbyteczna. „Walczyć musimy z kim innym" – dodał.

Popołudniu wyszedł dziś z druku № 1 (okazowy) „Kurjera Krajowego", który już zacznie stale wychodzić od 1 grudnia. № ten został ułożony prawie że od A do Z przez jednego człowieka, Mańkowskiego, który jest faktycznym redaktorem i wykonawcą pisma. Tak więc Białorusini dokonali swego zamiaru, a dalsza przyszłość pokaże, czy i jak wytrwać zdołają i czy się im uda z naszą grupą polską na gruncie wydawnictwa tego. Należy wyznać, że № okazowy jest udatny tak co do układu, jak stanowiska zasadniczego. Zaznacza dobitnie solidarność całej demokracji krajowej, daje miejsce naczelne sprawom krajowym; dział informacyjny jest również udatnie ułożony. Artykuł wstępny, programowy, jest napisany przez leadera grupy — Antoniego Łuckiewicza. Co do mnie, to obiecałem temu pismu moje współpracownictwo, o które grupie białoruskiej bardzo chodzi. Postaram się jak najściślej zsolidaryzować z tym pisemkiem. W ogóle pismo sprawiło w najpoważniejszych sferach wrażenie dodatnie. Późno wieczorem poszedłem z Antonim i Iwanem Łuckiewiczami, Mańkowskim, recenzentem teatralnym Kleczyńskim i młodym Poniatowskim na kolację do Zoria dla uczczenia urodzin „Kurjera Krajowego". Właściwie pismo to jest nie tylko pojedynczym przedsięwzięciem, ale przede wszystkim jest ogniwem obszernego planu Łuckiewiczów — scentralizowania demokratycznej prasy krajowej. Ostateczny syndykat prasy demokratycznej, ogarnia jego dziś już 2 pisma białoruskie — „Naszą Niwę" i „Sachę", rosyjską „[illegible] Gazetę" i obecnie polski „Kurjer Krajowy". Późno w nocy gawędziłem z Iwanem Łuckiewiczem, spacerując po ulicach miasta, a potem w redakcji „Naszej Niwy" w piwnicy. Opowiadałem Łuckiewiczowi o „skautach" u młodzieży wileńskiej. Dużo mi też ciekawego opowiadał Łuckiewicz o stosunkach międzynarodowych i roli w nich sprawy ukraińskiej, polskiej i naszych spraw krajowych. Stosunki Łuckiewicza z metropolitą unickim lwowskim Szeptyckim mają charakter wybitnie międzynarodowy

Na skutek bardzo późnego położenia się spać 9 (22) listopada
nocy wczorajszej — coś koło godz. 4 nad rok 1912.
ranem, — przez cały dzień dzisiejszy czu- piątek.
łem się bardzo zmęczony. Nie bardzo by-
łem w stanie pracować a nawet w ogóle
czymkolwiek systematycznie i porządnie
się zająć.
~~Po wieczór~~ Wieczorem otrzymałem depeszę od Kazi-
mierza (lokaja Bohdaniskiego), że Jasiek
Podolski z koniem, psem Borysiem i
rzeczami wyjechał już z Kołtynian w
kierunku Nowej Wilejki. Tak było już
umówione. Jasiek Podolski miał wy-
jechać z Dakiszek wczoraj lub dziś; Ka-
zimierz miał go odprowadzić do Kołtynian, aby
dopilnować tam, ~~by~~ wagonu Jaśka wyekspedjowano dalej
bez wielkiej zwłoki; o wyekspedjowaniu Jaśka Ka-
zimierz powinien mi był depeszować (co też i zro-
bił), abym Jaśka spotkał w Nowej Wilejce i do-
pilnował wyekspedjowania go dalej na Rado-
szkowicze. Z depeszy Kazimierza dowiedziałem się,
że Jasiek wyjechał z Kołtynian o godz. 8 wieczór, to też
obliczyłem, że dopiero nad ranem zastanę go w N. Wi-
lejce. Wobec tego postanowiłem wyjechać tam jutro o godz.
~~o~~ 6 rano. W domu ~~[illegible]~~ oznajmiłem Marynce, że jutro wy-
jeżdżam; pożegnałem się z nią, ułożyłem i zabrałem rzeczy,
które zlokowałem na przechowanie na dworcu, sam zaś po-
szedłem do Anny. Zabraliśmy Ugrysia i poszliśmy na noc do
hotelu Wersalu. Kazaliśmy się obudzić o godz. 5 rano, aby jechać
do Wilejki do Jaśka.

10 (23) listopad.
rok 1912.
sobota.

Wstaliśmy z Anną raniutko o g. 5 i pojechaliśmy koleją do Nowej Wilejki. Zastaliśmy już tam Jaśka Podolskiego. Wagon jego był już przyczepiony do pociągu towarowego kolei libawskiej i miał o g. 8 z minutami odejść. Weszliśmy do wagonu Jaśka: w kącie stoi koń, przywiązany do sań, które mu służą za żłób; z drugiej strony do tychże sań przywiązany leży Boyś; poza tym cała podłoga wagonu zawalona rzeczami — ogromny wór koniczyny, wór z owsem, słoma i [illegible], który będzie służyć za łóżko dla Jaśka, stolik, fotel, koła, kuferki i t. d. Jasiek ~~przy~~ przyjął nas z Anną obojętnie; z właściwym sobie niewzruszonym milczeniem, nie wykazując ani radości, ani zainteresowania wizytą naszą, stał i przyglądał się. Widząc tak Jaśka, zacząłem wątpić, czy będzie z niego jakiś pożytek w Wiarowcu; jest on rzeczywiście uczciwy i rozważny, ale zawielki flegmatyk; zbyt długo i ciężko myśli, za mało ma energii i prędkości. Wątpię, aby mógł zdobyć jakąś powagę śród robotników w lesie i aby się z nim ktokolwiek liczył. Boyś natomiast powitał nas bez flegmy, ale zato niegościnnie; chleb, podawany mu, jadł łapczywie, ale patrzał wrogo i burczał na Annę; nie rozczuliła go tymczasowa obecność z nami wyjątkiem Anny, Uzysia; nie dał się Uzysiowi przywitać, miał nawet ochotę rzucić się na niego, jeno że był przywiązany. Nakarmiliśmy trochę konia i Boysia chlebem i odeszliśmy, bo już pociąg Jaśka miał ruszać. Wróciliśmy z Anną do Wilna, gdzie dzień cały we dwoje spędziliśmy — na robieniu sprawunków, obiedzie w Bristolu i wreszcie wypoczynku w hotelu Wersalu. Przed północą odprowadziłem Annę do domu, sam zaś wyjechałem koleją na Bazarkowszczyznę.

11 (24) listopada rok 1912. niedziela.

Koło godz. 6 rano byłem już w Radoszkowiczach. Zaraz otworzyliśmy ze stróżem kolejowym wagon Jaśka, który tu nocował. Najęłem 2 furmanki na kołach, bo sanna już znikła, wyładowaliśmy wagon, złożyliśmy rzeczy na furmanki, konia zaś mojego, Bryma, zaprzęgliśmy do sani przywiezionych. Zdawało się, że resztki sanny wystarczą do przesunięcia się jakoś sankami do domu. My więc z Jaśkiem usiedliśmy do sani i pojechaliśmy, wyprzedzając furmanki z rzeczami. Bryś towarzyszył nam, biegnąc raźnie z boku, ucieszony ze swobody po przeszło dwóch dobach, spędzonych w wagonie na uwięzi. Do miasteczka Radoszkowicz po szosie mieliśmy sannę znakomitą: droga pokryta cienką wprawdzie, ale mocno zbitą i wyślizganą powłoką lodu. Dopiero o wiorstę przed ~~Rados~~ miasteczkiem przy wyjeździe z lasu bruk na szosie się obnażył. Musieliśmy iść z Jaśkiem pieszo. Wstąpiliśmy do miasteczka i zatrzymaliśmy się tam trochę. Tymczasem już furmanki z rzeczami nas wyprzedziły. Sądziliśmy z Jaśkiem, że za miasteczkiem w polu śniegów będzie sanna. Okazało się atoli, że śniegu nigdzie ani krzty — goły piasek. Szliśmy więc pieszo do Udranki, mając nadzieję na sannę w lesie; ale i w lesie jej nie było. Wówczas zrzuciłem futro i kalosze, które mi ciążyły, i korzystając z łagodnego powietrza ruszyłem żwawym krokiem piechotą naprzód w towarzystwie Brysia, zostawiając furmanki i sanie za sobą. Spacer był dobry i miły, jeno z dołu mokro pod nogami. To też zamoczyłem nogi całkowicie, a bufiki moje stare zdarłem tak, że noski się zupełnie poodrywały. Z pewnością będę miał jutro katar. Tak dotarłem do wioski Trusewicz. Zastałem tam jeszcze Bieniekierskiego: nie przeniósł się jeszcze do Wiażowca, bo dom nie gotów. Oświadczyłem wszakże, że ~~prze~~ zalokuję się natychmiast w Wiażowcu bez względu na stan domu. Zaraz też tam posłałem i kazałem Bieniekierskiemu skierować tam furmanki i Jaśka. Okna już są w domu wstawione, drzwi w izbie Bieniekierskiego też wstawione. W tejże izbie jest już gotowa podłoga. Zalokowaliśmy się więc tam jakoś, zapaliliśmy piec, który ogrzewaliśmy do późnego wieczora, i uczadziło się porządnie, wygody nie było, ale za to nie trzeba się będzie poraz drugi przenosić, a robota ~~pójdzie~~ nad ~~budową domu~~ wykończeniem domu pójdzie prędzej w mojej obecności. Bieniekierski, Jasiek i ja nocowaliśmy tu w domu, ja na łóżku, Jasiek w [illegible], Bieniekierski na worze z sianem. Konie postawiliśmy w Zosieńkach u Todora Nowika.

12 (25) listopada rok 1912. poniedziałek.

Przez dzień dzisiejszy Czebotar dokończył wstawiania podłogi w izbie Łiesiekierskiego i przedzielił ją przepierzeniem na 2 części. We dnie Łiesiekierski z szafarzem kupca Morgensterna cechował sosny, przeznaczone do rąbania. Wycechowano już dotychczas ogółem 2000 sztuk, w Gaju, w lesie serwitutowym aż do domu i teraz cechuje się w lesie № XVIII w kierunku Kaszyna. Będzie to pierwsza partja drzew wyborowych; szafarz wybiera do cechowania sztuki najgrubsze, mające pełnych 8½–9 werszków i wyżej; w całym lesie zbierze się takich ± 2600 sztuk, t.j. mniej więcej połowa ogólnej ilości sprzedanych pni. Potym będzie już po raz drugi przechodził przez las i wybierał sztuki cieńsze. Zaczęto już rąbać pierwsze pnie w Gaju.

We dnie obszedłem las z Jaśkiem i pokazałem mu częściowo granice. Jasiek jest tak milczący, że nie wiem, co czuje i co myśli w sobie. Biedak, z natury niekspansywny, teraz całkowicie się zamknął w sobie, ~~[illegible]~~ nie mogąc się prawie wcale rozmówić ani po rosyjsku, ani po polsku. Poza językiem litewskim zna tylko jakiś specjalny, przez niego samego utworzony, gwarę mieszaną rosyjsko-polską, zupełnie pokaleczoną.

Dzień spędziłem, jak codzień w Wiązowcu. 13 (26) listopada
rok 1912.
wtorek.

Do obiadu przyglądałem się robotom przy wykończeniu domu, dawałem rozporządzenia, ~~[illegible]~~ obszedłem las cały. Tracze rozpiłowywali belkę na deski, młody Czebotar-syn (Czebotaronok — jak tu mówią) z najętym cieślą układali podłogę w ciemnym składziku, dwaj młodsi Czebotaronkowie kończyli kryć dach na stajence. Biesiekierski pół dnia zajęty był cechowaniem sosen do wyrębu z [illegible] kupcem. Jaśka wysłałem do miasteczka Radoszkowicz po bufet, który tam leży już od paru miesięcy przysłany z [illegible]. Jasiek, pomimo że raz tylko jeden przejechał po tej drodze z Radoszkowicz, potrafił ~~na~~ dziś dojechać tam i z powrotem, nie błądząc, przywiózł jeden pakunek i kupił wszystko, co mu kazano (ćwieki, zawiasy, kruki, podkładki pod chomąt). Wogóle potrochę nabieram znów zaufania do Jaśka, bo na razie, gdy przyjechał, sądziłem, że do niczego się nie przyda ze względu na zbyt cichy charakter. Widzę wszakże, że Jasiek wcale głupi nie jest, robi wszystko z rozwagą, bardzo akuratnie i starannie. Choć więc do kontroli leśnej nad robotnikami kupca się nie zda, bo go się lękać i z nim liczyć nie będą, jednak nietylko że dopatrzy dobrze konia i całej gospodarki domowej i wszystko ~~[illegible]~~ starannie wykona, ale potrafi też być pomocnym Biesiekierskiemu w pilnowaniu lasu, dostrzeganiu szkód wszelkich, porządku i t. d.. A jest bardzo uczciwy, stateczny, obowiązkowy. Wieczorem dziś już Biesiekierska z synem przeniosła się z Trusewicz do Wiązowca na stałe. Jest to kobieta bardzo dobra, trochę tępa, ale łagodna, dobrego serca, cicha, skrzętna. Mąż ~~[illegible]~~ na nią się często ofuka dość szorstko, ale ma w niej staranną gospodynię i wierną towarzyszkę. Słowem — rad jestem z mojej czeladki włącznie z Pryncem i Brzytem, który jest stróżem znakomitym.

Byłem też w lesie przy robotnikach, rąbiących ~~[illegible]~~ sztuki zacechowane dla kupca. Są to chłopi z pod Zabłocia. Coraz więcej się przekonywam, jak radykalnie są usposobieni włościanie tutejsi. Dotychczas wszakże jest to tylko pewien nastrój, nie skrystalizowany w ~~[illegible]~~ odpowiednich [illegible] planowych i czynnych. Niechęć ich do panów jest głęboka, świadoma, zapamiętała. Niema u nich żadnej [illegible] skłonności do pojednania. Wyraża się to w każdym ich kroku, w każdym wyrazie. Naturalnie [illegible] nieufność [illegible] niechęci do żydów. Ogółem — chłopi, którzy dziś poprosta nienawiścią i pogardą do „pana", t.j. do obszarnika ze dworu, żywią szczery niesmak i [illegible] dla żyda-kupca leśnego i zaś pana, który im daje zarobek i sam swą pracą nad wyeksploatowaniem lasu i ~~[illegible]~~ rozwinięciem handlu tego. ~~[illegible]~~ Ogromna różnica zachodzi między chłopami-[illegible] robotnikami a chłopami — [illegible] [illegible] piersi tchną nietajoną niechęcią, zresztą w pełni kultury.

14 (27) listopada rok 1912. Środa.

Czas mi w Wiarowem płynie wciąż tak samo. Z Jaśka jestem coraz więcej zadowolony. Nie jest on dla tej posady doskonały, ale w każdym razie się przekonywam, że ma dużo zalety i że się przyda. Bieniakierski zaprowadził dziś Jaśka do lasu, aby mu wszystko pokazać i wdrożyć do porządków leśnych. Wieczór cały długi spędziłem, jak zwykle, trochę na czytaniu, trochę na pisaniu, trochę na spisywaniu rachunków i wydawaniu rozporządzeń, wreszcie trochę na gawędce z Bieniakierskimi i Jaśkiem. Wszyscy się gnieździmy w jednej izbie, przepierzonej deskami na 2 połowy. Tworzymy rodzaj rodziny w tej chatce śród lasu. Gdy przyjadę następnym razem, to już będę miał mój własny pokój i lepszy porządek.

Z psa Borysia rad jestem szczególnie. Jest wierny, przywiązany, a bardzo czujny i dla obcych złośliwy. Znakomity stróż dla takiego ustronia leśnego. Byle go jeno wilki nie rozszarpały, których tu jest sporo i które teraz na jesieni są szczególnie złośliwe i śmiałe. W zeszłym tygodniu, jak to Bieniakierski ze śladów poznał, wilki podchodziły do samego domu, który był jeszcze wtedy niezamieszkany.

1 (28) listopada, rok 1912, czwartek.

Szafar Morgensterna energicznie się zabrał do rąbania lasu. We wszystkich częściach lasu rąbią; najwięcej sztuk padło w Gaju, najmniej tymczasem w № XVIII. Sosny, prześliczne, równe, jędrne, niezwykle długie, leżą pokotem, skoszone ręką ludzką. Proces rąbania zajmuje mię niezwykle, budząc jednocześnie jakąś niewysłowioną tęsknotę i żal. Niebosiężna sztaba drzew zaczyna pod toporem i piłą, po niejakim czasie przesiłą się, chwianie i pada, wpierw jakoś ospale, leniwie, a potem coraz to gwałtowniej, jak wicher, uderzając o ziemię z głuchym jękiem i łoskotem. Czy się po drodze upadku czepia za sąsiednie ~~[illegible]~~ korony i pnie drzew, łamie je i zrywa z trzaskiem, a niekiedy zawisa i zostaje w tym pół-upadku nieruchoma. Jest potęga tragiczna w tym upadku żywego drzewa, w tym brutalnym procesie śmierci, dotykającym znienacka silnego olbrzyma, zwłaszcza że te sosny moje są jak z brązu ulane.

Roją mi się przeróżne projekty i wizje o przyszłości Wiarowca mego. To że go wykupię z dziedzictwa Mamy na własność moją wyłączną i las ten pieścić a hodować będę, to że tu stopniowo folwark założę, domek mieszkalny wybuduję, zasadzę drzewa, sad owocowy, wszelkie drzew ozdoby i pomysły kultur szczególniejszych roślinnych i t.d.. Tak mi się widzi, że tu sobie siedzibę z Anną w ustroniu prostym założę, zdala od zdawkowych obłudy „opinji" fałszywców.

W mojej zagrodzie wiarowieckiej układam zaiste mikrokosmos naszej krajowej litewsko-białoruskiej mieszaniny ludnościowej: litwin Kazimierz Józiek Podolski, białorusinka Bieniekiewska, polak-litwin czyli „tutejszy" Bieniekiewski. Język tu króluje polski „krajowy" lub „tutejszy". Oto wzorki: Bieniekiewska mówi do Józka: „Czy ty dziecko popilnujesz, czy wody pójdziesz?" to znaczy „czy popilnujesz dziecko". Czy też przyjdzie po wodę [illegible] lub „Łopatków przynieś!" (z łopatkami) [illegible] na ostatniej [illegible]; Bieniekiewski powiada „[illegible] tu [illegible] a potem pójdzie tam", to znaczy, że on wpierw [illegible] przez las [illegible], a potem [illegible] ~~[illegible]~~ chcąc powiedzieć, że pies szczeka, mówi „sucika tej." [illegible]

16 (29) listopada rok 1912. piątek.

Wstałem rano, pożegnałem się z Wiażosowcem i wyruszyłem z Jaśkiem na kolej. Żal mi trochę tego zacisza wiejskiego, tego głębokiego spokoju, który mię tu otacza. Od czasu do czasu lubię się tak oderwać od wszelkich trosk życiowych, od tego ciągłego fermentu życia miejskiego, i pogrążyć w samotną ciszę wsi odludnej. Po ohydnej drodze, po grudzie okropnej, z wielkim mozołem, w ohydnie wyboistym wózku dotarłem koło godz. 3 na kolej do Podoszkowicz. Zmarzłem i zmęczyłem się ja, zmarzł też mój biedny woźnica Jasiek. Nie wracam jeszcze do Wilna, jeno zajeżdżam wpierw na parę dni do Mińska dla interesów Marylki Römerówny i Henrysia Wołłowicza. Przed wyjazdem z Wilna umówiłem się z Anną, że pojedziemy do Mińska razem. Wskazałem Annie, którym pociągiem ma dziś z Wilna wyjechać, tak aby się spotkać w Podoszkowiczach ze mną. Pociąg wszakże stał w Podoszkowiczach tak krótko, że jeno zdążyłem wskoczyć do wagonu, nie ~~mogąc się zająć~~ mając czasu na wyszukanie Anny. Dopiero potem w biegu pociągu przeszedłem wzdłuż przez wszystkie wagony i w jednym z nich spostrzegłem Annę z jej towarzyszem pieskiem Ugrysiem. Niestety – Ugryś znów chory. Jest to prawdopodobnie ta sama choroba, którą przebył w styczniu po powrocie Anny z Dubrowy — nosacizna. Choroba to tak ciężka, że zwierzę zarażone nią, nie bardzo już wraca do zdrowia. Widocznie w lecznicy, w której zalokowali w styczniu Ugrysia, jeno zaś leczono, ale nie wyleczono go. Ugryś wyszedł stamtąd z lecznicy z pewnymi jeszcze śladami choroby: mianowicie miał powieki i nos zaropione i pokryte strupami, katar i łzawienie nosił tylko, włosy nie kość placowo dotknięte lekkim parchem; nie bardzo stracił tylko. Oprócz tego żołądek miał niezupełnie dobry. Narazie, to w pierwszym miesiącu po wyjściu z lecznicy, rekonwalescencja szybko postępowała.

17 (30) listopada rok 1912. Sobota.

Smutny dziś dzień, smutny, bo wypadła nam rola katów biednego Ugrysia. Stało się. Musieliśmy, z sercem bolącym, wydać wyrok śmierci na nieszczęśliwego psa. Mińsk stał się grobem Ugrysia. Nie było co liczyć na polepszenie stanu jego zdrowia. Przeciwnie — z dnia na dzień było gorzej. Apetyt już stracił zupełnie i widocznie ciężko mu było jeść. Żołądek zepsuty, czerwone plamy wrzodów na nogach, swędzenie po całym ciele, władza w tylnych kończynach osłabiona, oczy jak u suchotnika w gorączce, smutny, cichy, jakby zawstydzony, a poważny bez krzty wesołości. Cuchnął coraz bardziej a chudł z godziny na godzinę. Wyglądał już w tylnej części, jak szkielet [illegible]. Włos natomiast jakby się stał dłuższy. A pomimo to piękny był w swych klasycznych szlachetnych kształtach wyżła. Śliczny duży ogon, pokryty długim włosem do dołu w kształcie gałązki jodłowej, [illegible] kończyny łap, linja doskonałej ~~budowy~~ rasowej [illegible] wyżła, śliczny [illegible] kasztanowy kolor ~~[illegible]~~ sierści w dwie plamach, mieszanych z tłem białym, uszy duże, głowa i pyszczek znakomite, oczy głębokie, pełne tragicznego smutku. Piękny nieszczęśliwy pies. Nie było wszakże dlań wyjścia — choroba postępowała. Czy go znów wieźć do Wilna i lokować w lecznicy? Próba [illegible] nie dała dobrego skutku. A dla Anny był on ciężarem ogromnym. W pokoju jej cuchnął, brudził, niechęć sąsiadów, a kapryśny, delikatny, wątły, wymagał ciągłej troskliwości, dogadzania, obmyślania pokarmów dla niego. Kosztował też Annę dużo pieniędzy i nigdy nie mógł być odrestaurowany całkowicie. Gdy tak było przy dorodnym zdrowiu Ugrysia, to tym bardziej teraz w chorobie, prawdopodobnie przeszłej nieuleczalnej. Nie był też Ugryś nigdy z wyjątkiem [illegible], zaradny, swobodny w ruchach. Wczoraj już Anna wspomniała, że będzie musiała się go pozbyć, a porzucić go na łaskę losu nie chce, więc trzeba zabić. Poparłem ten projekt Anny, choć mi się serce krajało. Nieszczęśliwy pies. Pomimo że miał dobre warunki bytu, nie zaznał szczęścia. Kochaliśmy go jednak z Anną serdecznie, był on naszą wspólną własnością, był ogniwem żywym w naszym związku, był towarzyszem tylu wycieczek, [illegible] [illegible]. Postanowiliśmy go stracić. Dowiedziałem się, gdzie mieszka miejski oprawca psów (hycel), i tam go po obiedzie z Anną zaprowadziłem. Ta podróż na ~~[illegible]~~ kresy [illegible] dla oddania Ugrysia nędznego w ręce hyclów na śmierć — była okropna. Ugrysia [illegible] do [illegible]. Nie chciał iść — Anna go musiała wprowadzić. Jutro go otrują. Biedna Anna. Musiałem [illegible] [illegible], pocieszać Annę i [illegible] powstrzymać jej [illegible] [illegible] wieczorem, słowem — [illegible] [illegible], aby ją rozerwać, które mię też mocno [illegible] po sercu. Stało się. [illegible] zostawiłem [illegible] [illegible] [illegible] na mieście, wieczorem dla rozerwania Anny zaprowadziłem ją do najlepszego kinematografu w Mińsku.

460.

18 listopada.
1 grudnia.
rok 1912.

niedziela.

Cały dzień dzisiejszy spędziłem jeszcze z Anną w Mińsku. Właściwie wszystkie interesa zakończyłem już w Mińsku wczoraj, ale nie mogłem wyjechać, bo umówiłem się z Bieniakierskim, żeby mię czekał w Radoszkowiczach dziś na pociąg nocny, gdy będę przejeżdżał z Mińska do Wilna, i że mu wtedy wręczę numerator (przyrząd do numerowania lasu). Nie żałowałem zresztą, żem został. Było nam dobrze z Anną. Mińsk sam przez się jest nudny. Dziura, mała mieścina prowincjonalna, w której oprócz kinematografów, paru kawiarenek i restauracyjek, — nic nie ma. Dwie tylko właściwie ulice, Gubernatorska i Zacharzewska, mają wygląd miejski, reszta — należy do typu miasteczkowego. Ale też obie te ulice, zwłaszcza przy ich zbiegu, są trybem małomiasteczkowym poprostu zalane ciżbą spacerujących tłumów, jak na deptaku wystawowym. Chodniki zatłoczone, tłum wysypuje się na środek ulicy, na bruk. Nam z Anną było dobrze ze sobą; uzupełnialiśmy się wzajemnie, wystarczaliśmy sobie sami najzupełniej. Bawiliśmy w hotelu, byliśmy parę razy w cukierni „Ogudnie", obiad jedliśmy w bardzo porządnej restauracyjce niemieckiej, o zmroku byliśmy w kinematografie. Chociaż wogóle nie jestem miłośnikiem widowisk kinematograficznych, jednak bawią mię one, gdy jestem na nich z Anną. Właściwie bawią mię nietyle one same, ile bawi obserwowanie Anny. Jak wszystkie dzieci ludu, ma Anna naturę prostą, bezpośrednią. Przejmuje się widowiskiem, bierze gorąco do serca akcję dramatyczną, ~~...~~ przejmuje się i współżyje ze sceną. Nie tyle jest widzem, ile współaktorką. Lubię szczególnie obserwować ten bieg rozwoju wrażeń Anny, ten tok życia, namiętności, radości, smutku i t.p., jaki budzi w Annie gra na scenie. W bujnej naturze Anny wszystkie wrażenia mają barwną wyrazistość i głębię. O Ugrysiu postanowiliśmy się z Anną nie wspominać wcale w rozmowie. Chowaliśmy w sobie ten żal za synem nieszczęśliwym, rozumiejąc przecie, że innego wyjścia dlań nie było.

Koło godz. 11 wyjechaliśmy z Mińska. W Radoszkowiczach spotkanie z Bieniakierskim omal że nie miało tragicznego skutku. Bieniakierski wszedł do wagonu mego, gdzie mu wręczyłem numerator. Wagon nasz był jednym z ostatnich, a pociąg długi, tak że wagon nasz stał daleko od budynku stacyjnego. Zagadaliśmy się z Bieniakierskim i nie słyszeliśmy dzwonków i świstu lokomotywy przed odejściem. Poczuliśmy tylko, że już pociąg idzie. Bieniakierski skoczył do wyjścia. Trzeba było przejść przez wagon cały, potym na platformie wyjściowej drzwi się tak pokręciły, że zaraz zajęło [illegible]. Ja pobiegłem za Bieniakierskim, za nami Anna w najwyższym stopniu zaniepokojona o życie Bieniakierskiego, lamentująca ostrym głosem, przestraszona, — strapiona. Bieniakierski zaczął zstępować na stopnie; pociąg szedł już w dość prędkim tempie; wychyliłem się za nim, aby zobaczyć, jak zejdzie, a za mną szlochająca, przerażona Anna. Bieniakierski usiadł na ostatnim stopniu, bardzo wysoko odległym jeszcze od ziemi, i zmusił się na zeskok. Wszystko to się stało tak prędko, że nie zdążyłem myśli połapać, a tu strapiły mię lamenty nerwowe Anny. Chciałem zawołać Bieniakierskiemu, aby skakał dalej od wagonu, przemknęła mi przez myśl, aby go zatrzymać od skoku. Ocknąłem się, gdy już [illegible], już Bieniakierski się zsunął. Noc była ciemna. Zobaczyłem tylko, że Bieniakierski po zeskoczeniu się stracił równowagę i upadł. Pociąg umknął dalej. Z [illegible] i przerażenia [illegible] Anna pod wrażeniem tego [illegible] [illegible] rozżalona, rozjątrzona strachem i niepokojem, przypisująca mnie winę

za to, żem nie zatrzymał Bieniakierskiego, oburzona na mnie do łez, usposobiona sentymentalnie. Z następnej stacji poprosiłem naczelnika, by zatelefonował do Radoszkowicz dla upewnienia, czy nie stało się jakieś nieszczęście. Odpowiedziano, że nie. Skończyło się więc na strachu, ale to nie było zabawne. Anna po długim dopiero czasie, siedząc nieruchomie, jak posąg skamieniały, uspokoiła się i przyszła do siebie.

19 listopada. / 2 grudnia. rok 1912. poniedziałek.

Nazajutrz przed świtem byliśmy już z Anną w Wilnie. Po przyjeździe do domu zaraz się spać położyłem, bo czułem się zmęczony [illegible]. Przez cały zresztą dzień i potym zmęczenie nie ustało.

Kotunia Pruszanowska wczoraj już do Wilna zjechała z najmłodszemi córeczkami swojemi i zainstalowała się już w swoim mieszkaniu przy Nadbrzeżnej. Ezechjel Pruszanowski z najstarszą córką, Eliką, właściwą sprawczynią zamieszkania Pruszanowskich w Wilnie, bo o jej bywanie w karnawale tu chodzi, — ~~[illegible]~~ został jeszcze w Bielczu i dopiero w końcu bieżącego miesiąca przyjedzie.

Przejrzałem ostatni № „Przeglądu Wileńskiego", który wyszedł przed tygodniem w czasie mojej nieobecności w Wilnie. Znalazłem tam kwiatki antysemickie z okazji wyborów warszawskich. Ludwik Abramowicz zagospodarował się już całkowicie w „Przeglądzie", coraz mniej się liczy z pierwotnemi założeniami demokratycznemi pisma i daje upust swobodny swoim aspiracjom osobistym w kierunku antysemityzmu. Zresztą ma oparcie niewątpliwe w szeregach naszej grupy „przeglądowej"; której filary — Witold Abramowicz i Krzyżanowski — coraz konsekwentniej na prawo ciążą. Obecna heca antysemicka w Królestwie Polskiem, która połączyła we wspólnej orgji żydożerczej postępowców z najskrajniejszą reakcją endecką, — zyskuje niewątpliwie sympatyków i w naszych szeregach „postępowców"! Trzeba się było zresztą tego spodziewać. W każdym niemal z naszych „postępowców" siedzi ten sam utajony typowy szlachcic-wstecznik, zamaskowany jeno frazesem postępowym: prędzej czy później się zdziera i naturalna wrodzona istota uczuć i tendencyj osobistych — swobodnie na jaw wypełza. Ciekawa rzecz i godna uwagi, że najprzyzwoitsze stanowisko wobec rozjuszonej orgji antysemickiej w Polsce zajmują ze stronnictw burżuazyjnych realiści ze Straszewiczem na czele, t.j. ci właśnie, którzy są społecznie pozornie najkonserwatywniejsi. Zachowali oni bądź co bądź pewne humanitarne tradycje polskie z połowy wieku XIX.

[illegible]

20 listopada / 3 grudnia. rok 1912. wtorek.

Wieczorem odbyło się w lokalu szkoły rysunkowej Rybakowa zebranie grona organizatorów świeżo zalegalizowanego „Towarzystwa popierania drobnego przemysłu i sztuki ludowej w gub. Wileńskiej". Się zaro towarzystwa tego datuje się z roku zeszłego; wytworzyło się ono z projektu „Wystawy Wsi", który był omawiany na wiosnę r. 1911 i nie doszedł wówczas z wielu przyczyn do skutku. Był to pierwotnie skromny w założeniu projekt białorusinów urządzenia w Wilnie doraźnej wystawy krajowego przemysłu domowego i zdobnictwa ludowego. Żeby nadać projektowi temu charakter krajowy, ponadnarodowościowy, białorusini zwołali wtedy w redakcji „Naszej Niwy" zebranie, złożone z litwinów, białorusinów i polaków. Zebranie to wyłoniło „komitet inicjatywy", który następnie pod wpływem Ruszczyca rozszerzył znacznie projekt pierwotny i zaprojektował „wystawę wsi" na szerszą skalę. „Wystawa wsi" miała być właściwie wystawą kultury ludowej wiejskiej w całkowitym jej zakresie, włącznie z etnografią, przemysłem, zdobnictwem i t. d.. Zaprojektowana przez Ruszczyca „wystawa wsi" nie miała być tylko przedsięwzięciem doraźnym, znikomym, jako zaczątkiem stałego parku etnograficznego czyli „parku wsi" w Wilnie, utworzonego na wzór analogicznych parków w Szwecji. Dla zrealizowania tego projektu Ruszczyca ówczesny komitet inicjatywy („do którego należeliśmy ja, Ruszczyc, dr. Boguszewski, Łuckiewicz, Turski, Żmujdzinowicz) postanowił skorzystać z firmy Wileńskiego Towarzystwa Rolniczego i w tym celu postanowił wstąpić en bloc do istniejącej przy niem Towarzystwie sekcji drobnego przemysłu. Były opracowane referaciki (mój i Boguszewskiego) o zadaniach wystawy wsi, był gotowy ułożony plan akcji. Tu zaszła „kolizja" nieprzewidziana, która sprawę tę ubiła. Oto przy balotowaniu nas na członków sekcji w T-stwie Rolniczym w lutym r. 1911, większość sekcji, za działaniem kilku starszych pań oraz Hipolita Milewskiego, odrzuciła moją kandydaturę na członka, powodując się względami zasadniczemi (wysuwano przeciwko mnie zarzuty z zakresu moich stosunków osobistych i rodzinnych oraz ciche zarzuty w poglądach na mój szkodliwy, względem tych osób, radykalizm społeczny). Nieusprawiedliwione zarzuty, które się tą drogą wytoczyły w stosunku dla mnie odrzuceniem mojej kandydatury, zabiły sprawę i przerwały początek roboty realnej, która się zrazu tak dobrze zapowiadała. Koledzy moi z „komitetu inicjatywy wystawy wsi", solidaryzując się ze mną i uznając odrzucenie mojej kandydatury w tych okolicznościach w zestawieniu mianowicie z faktem [illegible] dla siebie, nie zmienili wyboru swego na członków sekcji. Ta więc droga akcji została dla nas przecięta. Że zaś byliśmy za słabi, aby zrealizować projekt nasz samodzielnie, więc kwestja „wystawy wsi" po kilku jeszcze zebraniach naszych upadła i „komitet inicjatywy" faktycznie przestał istnieć. Natomiast wyłoniony za tą sprawą rozszedł się utworzeniem samodzielnego Towarzystwa popierania drobnego przemysłu i sztuki ludowej, [illegible] organizacji i [illegible]. [illegible] sprawą redaktor „Naszej Niwy" Własow. Projekt wystawy

[illegible]

[illegible]

21 listopada.
4 grudnia.
rok 1912.
środa.

Na prośbę Żmujdzinowicza napisałem dziś do „Przeglądu Wileńskiego" artykulik z powodu wydanego przez nasze Litewskie T-stwo Sztuk Pięknych („Dailės Draugija") pięknego albumu krzyżów litewskich. Choć w dziedzinie sztuki i zdobnictwa ludowego jestem dyletantem, jednak artykulik udał mi się nieźle. Aby podołać zadaniu, potraktowałem kwestję szerzej i ogólniej, dając właściwie nie tyle syntezę sztuki, wyrażonej w tych krzyżach, ile ogólne wnioski o krajowej kulturze artystycznej i o roli w niej sztuki ludowej, z uwzględnieniem w szczególności ludowej sztuki litewskiej i zdobnictwa krzyżów.

Wieczorem w biurze Zasztowta odbyło się decydujące zebranie naszej ściślejszej grupy demokratycznej w sprawie naszego stosunku do wydawnictwa dziennika „Kurjera Krajowego". Nasza ściślejsza grupa demokratyczna składa się, jak wiadomo, z członków t. zw. komitetu redakcyjno-wydawniczego „Przeglądu Wileńskiego" w osobach Witolda Abramowicza, Piłsudskiego, Nagrodzkiego, Krzyżanowskiego i mnie włącznie z redaktorem „Przeglądu" Ludwikiem Abramowiczem, stanowiących właściwe pierwotne jądro tej grupy, uzupełnionej następnie w toku kampanji wyborczej przez [illegible] pokrewne osoby, mianowicie Turskiego, Zasztowta, Budnego i Wacława Studnickiego. Grupa ta nasza, wbrew dążeniu Witolda Abramowicza do nadania jej cechy organizacji polityczno-programowej, zachowała charakter grupy porozumiewawczej elementów pokrewnych, lecz nie identycznych. Lewicę w niej stanowiliśmy my z Zasztowtem, prawicę Witold Abramowicz, Ludwik i w ostatnich czasach Krzyżanowski, który ulegać zaczął wpływom Abramowiczowskim. Nagrodzki w ostatnich czasach trzymał się trochę na uboczu, Studnicki zachowuje się z rezerwą, właściwym dworem, jako element zupełnie odrębny, skoncentrowany jeno z nami w pewnych li tylko poszczególnych robotach, Turski, Piłsudski i Budny stanowią właściwy środek, nie zaakcentowany ani na prawo ani na lewo, ale ciążący niewątpliwie raczej do prawicy naszej i ją popierający. W każdym razie na nich raczej liczyć mogą Abramowiczowie z Krzyżanowskim, niż my z Zasztowtem. Na zebraniu dzisiejszym byli wszyscy z wyjątkiem tylko Nagrodzkiego. Dzieje sprawy, która była przedmiotem dzisiejszego zebrania i stosunku do niej tej naszej grupy, są w streszczeniu następujące. Gdyśmy po okresie wyborów zdecydowali wydawnictwo naszego dziennika agitacyjnego „Słowa Wileńskiego", w grupie naszej oraz sympatyków i kontrahentów naszych była gorąca chęć zorganizowania stałego wydawnictwa taniego popularnego dziennika. Pod wpływem akcji wyborczej i zetknięcia się z masami poczuliśmy, jak potrzebny był [illegible] tej pracy, i zrozumieliśmy, że akcja demokratyczna winna się zaostrzać na terenie ludowym, nie zaś na gruncie inteligienckim. To też woleliśmy stanowczo dziennik popularny od tygodnika inteligienckiego, jakim jest „Przegląd". Postanowienie odpowiednie zapadło. Zadeklarowane zostały przez grono osób udziały na pismo, których suma wszakże nie była jeszcze wystarczająca. Ale w dalszym ciągu grupa nasza, niezupełnie jednolita i złożona z ludzi zajętych przeważnie pracą zawodową, zwłaszcza [illegible], faktycznie żadnej akcji w tym kierunku nie wytężała. Lewe skrzydło nasze, to znaczy przedewszystkiem Zasztowt i ja, nie umieliśmy coś robić, bo byliśmy sami odosobnieni w grupie i nie mieliśmy ich poparcia. W tym samym czasie w gronie osób, z których [illegible] z ich sympatykami i kontrahentami, to jest w małym kółku z braćmi Łuckiewiczami na czele, który w czasie wyborów (w porozumieniu z wydawnictwem taniej postępowej [illegible] „[illegible]"), zaczęto kiełkować myśl analogiczna o [illegible] piśmie demokratycznym. U Łuckiewiczów projekt [illegible] i realizacja [illegible] się o czym ze [illegible] niepospolity. Z jednej więc strony zaczęli oni czynić [illegible], z drugiej zaś spróbowali zwrócić się do naszej grupy dla skombinowania się we wspólnej pracy, czując w naszej grupie możność zdobycia środków wydawniczych. Ale zwróciwszy się do nas, nie znaleźli roboty na [illegible] rękę, rozumiejąc,

[illegible]

[illegible]

[illegible]

22 listopada. 5 grudnia. rok 1912. czwartek.

[illegible]

Przedewszystkiem więc muszę opisać przebieg wczorajszego zebrania naszej grupy, na którym obecni byli Witold i Ludwik Abramowiczowie, Piłsudzki, Budny, Krzyżanowski, Turski, Studnicki, Zasztowt i ja. Najgoręcej i najostrzej wypowiadali się przeciwko porozumieniu się z grupą Łuckiewiczów i Mańkowskiego Krzyżanowski i Ludwik Abramowicz. My natomiast z Zasztowtem zajęliśmy stanowisko przeciwne, uważając, że skoro różnica zasadnicza między nami i nimi znikła i skoro oni przystępują do pracy wydawniczej, którą i my sobie zakreśliliśmy, to powinniśmy się połączyć i zlać w jedno. Piłsudzki, Budny, Turski i Studnicki zachowywali się z pewną rezerwą, zajmując stanowisko pośrednie, uznając możność porozumienia się i współdziałania z pewnymi zastrzeżeniami. Na drogę pojednania ~~[illegible]~~ sojuszniczych prądów wpłynął Witold Abramowicz. Przedewszystkiem sformułował on zastrzeżenie zasadnicze, że pismo demokratyczne polskie powinno i może być wydawane tylko przez grupę demokratyczną polską. Na takie założenie zasadnicze zgodziliśmy się wszyscy bez wyjątku, nie wyłączając najbardziej przychylnego dla białorusinów z pośród nas Zasztowta. Przyjęcie tej zasady wyklucza z góry możność rozpadu zespołu naszego z tamtym gronem na wypadek, gdyby się ujawniło, że grono tamte stanowi grupę białoruską. Przypuszczam zaś, że tak nie jest i że choć inicjatywa wydawnictwa wyszła tam od Łuckiewiczów, którzy są białorusinami, i od ich przyjaciela Mańkowskiego, polaka, ale związanego ściśle z białorusinami, jednak oni też podzielają tę samą zasadę naszą i albo zechcą się zespolić i zlać ewentualnie z nami jako grupa polska, albo, o ile porozumienie z nami do skutku nie dojdzie, będą dążyli, jak już dążą obecnie, do utworzenia nowej demokratycznej grupy tylko polskiej, do której weszłyby tak osoby spoza naszej grupy, jak też niektórzy z pośród nas, względnie Zasztowt i ja. Wreszcie Witold Abramowicz sformułował wniosek takiej treści: Ponieważ my tworzymy już zawiązek demokratycznej grupy polskiej, skupiający dokoła podstawowych czynników, więc najlepiej byłoby, aby tamta grupa ludzi po prostu przyłączyła się do nas i żeby właśnie rozszerzona grupa nasza, nie zaś 2 formalnie i związane kompromisem grupy, wzięła na siebie wydawnictwo „Kurjera Krajowego”. Ostatecznie, po pewnych tarciach dyskusyjnych, zgodziliśmy się wszyscy na taki wniosek, który też poleciliśmy Turskiemu zakomunikować Łuckiewiczom i Mańkowskiemu, proponując, aby na dziś wieczór ludzie z ich grona przyszli na zebranie wspólne z nami dla omówienia spraw wydawniczych i redakcyjnych pisma. Jakoż dziś wieczorem w biurze Zasztowta zebranie to się odbyło. Z członków naszej grupy ściślejszej przybyli na nie Ludwik Abramowicz, Krzyżanowski, Nagórski, Turski, Studnicki, Zasztowt i ja, dalej kilka osób spoza ściślejszej grupy naszej, ale sympatyków naszych, jak Władysław Malinowski, Józef Łukowski, Klott, wreszcie z grupy inicjatorów „Kurjera Krajowego” stawili się Antoni i Iwan Łuckiewiczowie, Mańkowski i Dr. [illegible], który wszakże przyszedł w charakterze delegacji od ich grupy. Ujawniło się, że zaproponowanego przez nas wczoraj wcielenia się ich do naszej grupy oni nie przyjęli i stanęli nadal na stanowisku układów dwóch grup [illegible]. To samo stanowisko zajęła nasza prawica w osobach zwłaszcza Krzyżanowskiego i Nagórskiego. Natomiast my, t.j. ja, Zasztowt, Józef Łukowski i Klott wypowiedzieliśmy się do zaniechania stanowiska grup odrębnych i do utworzenia tak z pośród członków naszej, jak ich grupy grona wspólnego dla wspólnej sprawy wydawnictwa polskiego demokratycznego dziennika. Wszakże stanowisko 2 różnych grup zostało ostatecznie utrzymane. Zwalczając stanowisko odrębnych grup, my z Zasztowtem usiłowaliśmy zaprotestować przeciwko twierdzeniu Ludwika Abramowicza i Krzyżanowskiego, jakoby nasza grupa była [illegible] w zakresie organizacji programowej. Jesteśmy [illegible] tylko gronem [illegible] zaufanych elementów ~~[illegible]~~ polskich, wyznających zasady demokratyczne i krajowe, ale nawet kierunek „Przeglądu Wileńskiego” i redakcji Ludwika Abramowicza nie może być uważany za nasz program zbiorowy, bo na pewne [illegible] odchylenia „Przeglądu” ~~[illegible]~~ od kierunku krajowego i wolnego

23 listopada / 6 grudnia. rok 1912. piątek.

Rozmawiałem dziś dużo z Łuckiewiczami, z Maćkowskim, z Zasztowtem, — o sprawie naszych układów co do wydawnictwa „Kurjera Krajowego". Sytuacja bynajmniej wyklarowana nie jest. Przez wszystkich Dualizm redaktorów w piśmie codziennym dualizm taki jest w najwyższym stopniu niepożądany, albowiem hamuje sprężystość i wyrazistość pracy publicystycznej. Zwłaszcza zaś będzie to ciężko z Ludwikiem Abramowiczem, który jest z natury twardy, ambitny, uparty i który już się czuje dotknięty układem i staje do tego tylko w drodze ustępstwa wbrew woli. Ale tamta grupa żąda dualizmu właściwie li tylko ze względu na osobę Ludwika, którego wprawę dziennikarską, technikę i talent publicystyczny ceni, ale którego aspiracjom nie ufa i twardości się boi. Ludwik w ogóle w szerszych kołach popularny nie jest: [redacted] nie zostały zapomniane i wybaczone mu takie fakty, jak wycofanie się onegdaj z „Gazety Wileńskiej" i przejście do „Kurjera Litewskiego"; dalej w kołach radykalnych i esdeckich kierunek Ludwika jest uważany stanowczo za wsteczny, uniemożliwiający dla kół tych współpracownictwo (a Łuckiewiczowie i Maćkowski nie chcą z kołami temi zrywać i pragną zachować dla pisma sympatję i poparcie na lewicy); w ogóle kierunek Ludwika demokratyczny ani krajowy właściwie nie jest — jest on li tylko antyklerykalny i na warszawską modłę „postępowy"; wreszcie antyklerykalizm Ludwika tchnie zacietrzewieniem „księżożerstwa" i jest przejaskrawiony i zaogniony, gdy w piśmie popularnym antyklerykalizm ten musi być li tylko rzeczowy i umiarkowany nietykaniem właściwej sfery uczuciowo-religijnej. Dla tych wszystkich względów, a zwłaszcza dla względów na brak demokratyzmu i krajowości w kierunku Ludwika, grono tamte traktuje jego redaktorstwo z wielkiemi zastrzeżeniami; to właściwie jest główną przyczyną ich zastrzeżeń w układach z naszą grupą oraz tego ciężkiego żądania dualizmu. Podnosili to już oni wczoraj na zebraniu, że gdyby nasza grupa wydelegowała na redaktora mnie lub kogoś w rodzaju Zasztowta czy Bukowskiego, toby wszelkie zastrzeżenia i kwestje upadły. Teraz sytuacja jest ciężka i niejasna. O ile im chodzi tylko o zastrzeżenia i wątpliwości co do Ludwika, o tyle ja osobiście całkowicie je podzielam i akceptuję ich względy. Gdyby wszakże im chodziło, jak to niektórzy z naszej grupy podejrzewają, o tendencję forsowania w piśmie jakichś specjalnych tendencji białoruskich, o tyle jabym uważał to za szkodliwe i za niedopuszczalne w piśmie polskiem. Kultura polska powinna mieć w kraju równe prawo obywatelstwa z innemi i pismo polskie nie powinno służyć za narzędzie do przemycania specjalnych tendencji białoruskich. Uważam, że sprawa białoruska jest zasadniczo odrębna od sprawy polskiej, to też wszelkie przemytnictwo wyrażałoby jakieś względy obce.

Demokracja polska i białoruska w kraju mają wspólne zadania społeczne i kulturalne. Coś więc musi być obcego, co należałoby ubocznie, cichaczem wszczepić do sprawy demokratyzmu polskiego.

466.

24 listopada
7 grudnia.
rok 1912.

sobota.

wet takie rozbicie było połączone ze skonsolidowaniem prawicy, która ma atrakcje sprzyja. Dla niego ważna jest przedewszystkiem organizacja, jako narzędzie polityki.

Po zebraniu pozawczorajszym mogło się nam zdawać, że lewica nasza, to znaczy my z Zasztowtem, poparta przez Kłotta i Bukowskiego, osiągnęła bądźcobądź sukces. Wprawdzie do złamania naszej grupy z inicjatorami „Kurjera Krajowego" nie doszło i to nietylko z winy naszej prawicy, ale też z winy strony przeciwnej, to znaczy Łuckiewiczów, Mańkowskiego i Kotłaszczuka Dr. [illegible], jednak bądźcobądź obecni członkowie naszej grupy, nie wyłączając Kryżanowskiego a nawet Ludwika Abramowicza (z wyjątkiem li tylko Nagrodzkiego), uznali w zasadzie, że „Kurjer Krajowy" ma być wspólnie wydawany i zgodzili się nawet na tak ciężkie warunki, jak dualizm redaktorów (Ludwika Abramowicza i Mańkowskiego). Cały wszakże szereg kwestji organizacji i wykonania, jak kwestja dostarczenia środków wydawnictwa, stosunku wzajemnego grup, organizacji dualizmu redaktorskiego, komitetu redakcyjnego, wreszcie losu „Przeglądu Wileńskiego" oraz stosunku jednego wydawnictwa i redakcji do drugiego, — pozostał otwarty. I oto teraz trudności się piętrzą i sytuacja bynajmniej się jeszcze nie wyklarowuje. Jak słychać, grono inicjatorów „Kurjera Krajowego" projektuje wydelegować do komitetu redakcyjnego ze swej strony Antoniego Łuckiewicza i Dr. [illegible], licząc, że nasza grupa wydeleguje do komitetu tegoż Witolda Abramowicza, mnie i, jeżeli z naszej strony w komitecie ma być trzech, — Piłsudzkiego lub kogoś innego. Otóż podług wszelkich danych wejście do komitetu redakcyjnego Łuckiewicza byłoby przez naszą grupę uznane za niedopuszczalne ze względu na jego ugodowość białoruską. Co do mnie, to zastrzeżeń tych nie podzielam, do Ant. Łuckiewicza mam zaufanie zupełne, a współdziałanie czy to białoruskie czy litewskie w redakcji pisma demokratycznego uważam za rzecz całkowicie dobrą, o ile jego zachowane jest przez niego i przez całą redakcję stanowisko demokratyczne. Ciężkie też chmury nieporozumienia co do ewentualnego układu ostatecznego gotuje nam, jak się zdaje, Witold Abramowicz, który

[illegible]

25 listopada.
8 grudnia.
roku 1912.

Zaszły dziś zajścia, które oczywiście rozwiązują wszelkie dalsze układy między naszą grupą demokratyczną „Przeglądu Wileńskiego" a gronem inicjatorów „Kurjera Krajowego". Nasza grupa została przez to grono wezwana na dziś na godz. 14 dla ewentualnego ustalenia lub rozwiązania układu. Ja się spóźniłem na zebranie i trafiłem na gorący moment zażartych sprzeczek i nieporozumień. Nagrodzkiego zastałem już w drzwiach, opuszczającego zebranie, oburzonego na kurjerowców. Dowiedziałem się od niego, że dr. Sumorok z grupy „Kurjera Krajowego" oświadczył, że nie chcą oni mieć nic wspólnego z „Przeglądem", co naszych oburzyło ostatecznie. Na zebraniu zastałem z naszej grupy Krzyżanowskiego, Witolda i Ludwika Abramowiczów, Turskiego, Zasztowta, Studnickiego, z „Kur. Kr." dr. Sumoroka, Iwana i Antoniego Łuckiewiczów, Raukowskiego, wreszcie z osób poza grupami będących Leonarda Rymkiewicza i Poniatowskiego. Nastrój był podniecony, burzliwy, kipiący nienawiścią wzajemną i złością. Krzyżanowski rzucał się w ostrych wyrazach na Antoniego Łuckiewicza, ten mu replikował niemniej ostro. Widoczne było, że o układzie nie ma co marzyć. Zarzucano Łuckiewiczowi z naszej strony intrygę, [illegible], fałsz, wytykano im cechy i tendencje państwowo-rosyjskie w kierunku [illegible] przez nich „Bezpartyjnej Rzeszy". Ci zaś zarzucali naszej grupie nacjonalizm, antysemityzm, brak demokratyzmu i [illegible]. Naprzód Rymkiewicz, ja, skądinąd zaś i w innym [illegible] Studnicki, Zasztowt, — usiłowali [illegible] rozjuszone namiętności. Z nastroju tego spostrzegłem, że w naszej grupie dokonał się jakiś zwrot wyraźny, stanowczy przeciw [illegible] porozumieniu. Sądziłem, że to tylko zwrot nastrojowy, niemniej stanowczy wprawdzie, ale bez poprzedniej zmowy, bowiem o żadnym odbytym posiedzeniu naszej grupy nic nie wiedziałem. Wreszcie Witold Abramowicz od [illegible] naszej grupy sformułował wniosek, że grupa nasza gotowa jest objąć wydawnictwo i redakcję „Kurjera Krajowego" i dopuścić do swego łona poszczególne osoby z grona inicjatorów „Kur. Kr.", o ile tak piszą, jak osoby te zaakceptują w całku i bez zastrzeżeń kierunek obecny „Przeglądu Wileńskiego". Oczywiście to się równało zerwaniu układów. Byłem zdziwiony, bo o takiej rezolucji naszej grupy nie wiedziałem, a zresztą byłoby to także zacieśnieniem charakteru programowego grupy naszej, na które i ja sam nie zgodzić się mogę. Dowiedziałem się też od Zasztowta, że grupa nasza odbyła w tej sprawie wczoraj zebranie, że świadomie pominięto mnie, Zasztowta i innych, i na zebraniu tym tę rezolucję wyniesiono. Ubodło mnie to. Takie wyłączenie nas z Zasztowtem jest niedorzecznym, co też zaraz publicznie oświadczyłem. Krzyżanowski i inni potwierdzili, że odbyło się wczoraj zebranie ściślejszej [illegible] naszej grupy. Wkrótce się wszyscy rozeszli. Ja zaś wieczorem, [illegible] Anny, zredagowałem taką mniej więcej formalną deklarację do grupy naszej:

„Do Polskiej Grupy Demokratycznej - Komitetu Redakcyjnego „Przeglądu Wileńskiego". Towarzysze! Do wiadomości mojej doszło, że wczoraj w sobotę 24 b. m. została zwołana i odbyła się niekompletne zebranie grupy naszej [illegible] kwestję 1) zaufania do kierunku „Przeglądu Wil." czy też do dyr. W. Abramowicza, jako kierownika pisma, i 2) stanowiska grupy naszej wobec toczących się układów z gronem inicjatorów dziennika „Kurjer Krajowy". Obie te sprawy, [illegible] przedsiębiorstwa [illegible], należą wyłącznie do kompetencji grupy naszej. Skoro „Prz. Wil." jest organem grupy naszej, przeto kwestja zaufania do kierunku pisma [illegible] być rozwiązana [illegible]

[illegible]

26 listopada / 9 grudnia. rok 1912. poniedziałek.

Wieczorem w mieszkaniu Witolda Abramowicza odbyło się zebranie naszej grupy demokratycznej, zwołane na skutek mojej deklaracji wczorajszej oraz podobnej deklaracji Zasztowta. Oprócz nas z Zasztowtem obecni byli Witold i Ludwik Abramowiczowie, Krzyżanowski, Piłsudski, wreszcie Kłott i Turski, który przyszedł nieco później (Kłott wciągnięty został do grupy naszej wyjątkowo, zamiast Stanisława Studnickiego, który nie bywa należeć ściśle do nas, jeno okazyjnie, doraźnie z nami współdziałać). Zaczęto od omawiania incydentu sobotniego, mianowicie tego zebrania, które się odbyło ze świadomym wyłączeniem mnie i Zasztowta. Witold Abramowicz, jako polityk, starał się sytuację łagodzić, aby nas z Zasztowtem w grupie zachować. Krzyżanowski natomiast kategorycznie i dość ostro w stosunku do nas usprawiedliwiał to doraźne wyłączenie nas względami racji stanu, uzasadniając to tym, że grupa nasza musiała się skonsolidować i miała poważne zasadnicze powody do zajęcia stanowiska wrogiego względem układów z grupą inicjatorów „Kurjera Krajowego"; ponieważ zaś my z Zasztowtem [struck] na zebraniu czwartkowym oświadczyliśmy się wyraźnie z ciążeniem do tamtej grupy, więc chodziło o to, aby nas, jako w tej sprawie elementu rozkładowego, do obrad w tej materji zasadniczych w naszej grupie nie dopuścić. Ludwik Abramowicz nie wypowiadał się kategorycznie, ale czułem, co zresztą wiem dobrze, bo tego on wobec mnie nie taił, że nie byłby bynajmniej zmartwiony, gdybym z grupy wystąpił, ponieważ istotnie reprezentuję kierunek, niezupełnie zgodny z [struck] coraz bardziej się konsolidującym „przejściowym" kierunkiem większości grupy. Najbardziej wrogie wobec mnie stanowisko względem nas zajął, co było dla mnie niespodzianką, Piłsudski, który uważał, że zjawisko takie, jak niezaproszenie nas, jest normalne, bo wolno frakcjom wewnątrz grupy porozumiewać się osobno, a niewątpliwie w grupie naszej są takie 2 frakcje, jedna większości, druga nas z Zasztowtem. Ale co innego zebranie frakcyjne, a co innego wynoszenie przez frakcję, chociażby większości, rezolucji w imieniu grupy bez wiedzy naszej. W dyskusji, która się wywiązała, czuć było pewne podrażnienie, brak szczerości, brak zaufania wzajemnego. Dopiero Turski i Kłott, który przyszedł później, zajęli stanowisko szczere, solidarne, koleżeńskie, poparli nas i potępili takie zebrania, wyłączające — z obecności pozostałych członków grupy. Dalej było mówione o właściwym charakterze naszej grupy. Wniosek W. Abramowicza, że członkowie grupy mogą coś robić poza grupą tylko za wiedzą i po porozumieniu się

[illegible]

[illegible — several lines written upside down in the top margin]

27 listopada / 10 grudnia. rok 1912. wtorek.

W dzisiejszych numerach „Kurjera Litewskiego” i „Gazety Codziennej” ukazały się dokumenty w głośnej sprawie ks. Cyraskiego z Doktorem Malinowskim. Mianowicie protokóły zebrań arbitrów obu stron w sprawie niedoszłego sądu honorowego między tymi dwoma panami, dalej list 4-ch arbitrów ks. Cyraskiego, zawierający relację z posiedzeń arbitrów, wreszcie orzeczenie „komisji obywatelskiej”, złożonej z 12 osób, do której się zwrócił ks. Cyraski po niedoszłym sądzie dla orzeczenia tak o stanowisku arbitrów, jak merytorycznie o sławetnym (mitycznym) liście w kwestji, czy był on pisany przez ks. Cyraskiego czy nie. Jak wiadomo arbitrami ze strony pozwanego pod zarzutem oszczerstwa D. Malinowskiego byliśmy ja, Jan Piłsudski, Mańkowski, Stasiewicz i Janulaitis, arbitrami zaś strony pozywającej, t.j. ks. Cyraskiego, byli Tupalski, Konrad Niedziałkowski, ks. Kretowicz, Cz. Jasiński i Bronisław Umiastowski. Zaś ta późniejsza „komisja obywatelska” składała się z samych (niemal) filarów naszej wileńskiej obłudy obywatelskiej w osobach Zamoyskiego, Malińskiego, Stromiłły, Restytuta Sumorka, Pawła Końcy, Dembowskiego, ks. Czaplinowskiego, ks. Songina, Zabłockiego, Michała i Dr. Witolda Węsławskich i redaktora Józefa Hłaski. Szkoda tylko, że do tej kompanji trafił szanowny Restytut Sumorok. Jak wiadomo — sąd obywatelski arbitrów do skutku nie doszedł, okazało się bowiem, że inny był akt pozwu ze strony ks. Cyraskiego, dotyczący tylko stwierdzenia, czy ów powszechnie znany przez Malinowskiego list był rzeczywiście pisany przez Cyraskiego, i orzeczenia na tej podstawie, czy oszczerstwo przez Malinowskiego popełnione zostało, inny zaś było zlecenie, które myśmy od Malinowskiego otrzymali. Wobec tej różnicy mandatów my, nie przesądzając, czy pozew był Malinowskiemu należycie zakomunikowany i czy został dokładnie czy też niedokładnie przez Malinowskiego zrozumiany, po stwierdzeniu różnicy mandatów, odwołaliśmy się do Malinowskiego dla poinformowania się, czy on sąd taki w ramach pozwu przyjmuje, albowiem rzeczywiście tylko on mógł o tym decydować, my zaś samowolnie oczywiście nie mogliśmy sami [illegible] zakresu pozwu rozszerzać. Niestety — porozumieć się z Malinowskim nie zdołaliśmy, pomimo że pisaliśmy i telegrafowaliśmy do niego: znikł z horyzontu — i w tym niepoważnie jego winna. My zaś, nie mogąc sprawy dłużej przewlekać, po kilku niedoszłych z tego powodu posiedzeniach ostatecznie zostaliśmy wpisać do protokółu formułę pierwotnego danego nam przez Malinowskiego zlecenia i następnie oznajmiliśmy jednogłośnie wespół z arbitrami Cyraskiego, że w tych warunkach sąd się ukonstytuować nie daje i że do czynności sędziowskich przystąpić nie możemy. Merytorycznie zaś my ani całe gremjum sprawy nie przesądzało. Tymczasem arbitrowie ks. Cyraskiego w opublikowanej dziś relacji rzucają cień insynuacji na nas, jakobyśmy chcieli się kierować jakimiś względami partyjnemi czy w ogóle uprzedzeniami, wychodząc poza ramy protokółów w dziedzinę insynuacyj i obłudnych dopełnień. „Komisja” zaś „obywatelska” zajmuje się nie tylko kwestją owego listu, który rozstrzyga na zasadzie ekspertyzy na korzyść Cyraskiego, do czego oczywiście jest ona uprawniona na podstawie rzuconego przez Malinowskiego pozwu honorowego w tej sprawie, ale też przesądza nasze stanowisko i twierdzi, że my, arbitrowie Malinowskiego „odwracaliśmy sprawę”, to znaczy sabotowaliśmy wyjście z sytuacji w dziedzinie czynności honorowych. Jest to potwarz ohydna, która rzuca się do nas a oparta na jednostronnym twierdzeniu 4 arbitrów ks. Cyraskiego, bez przesłuchania nas, bez próby wyjaśnienia rzeczy, co było konieczne, skoro się zarówno jawnych z urzędowych protokółów wyłoniło. Orzeczenie to rzuca na nas cień kalumnji, bardzo ciężkiej, bardzo bolesnej w opinji publicznej. Jestem pod wrażeniem tego faktu, czuję się pognębiony i oplwany niemal, że tu się takie siły obłudy i zakłamania [illegible] [illegible] w naszych osobach całego kierunku postępowego, a tam, gdzie chodzi o tendencje polityczne, także o rehabilitację [illegible] średniego. Tylko my, bo oni tam robią ze sprawy tej [illegible] pozycję, my bowiem byliśmy nie tylko w charakterze arbitrów.

470.

28 listopada.
11 grudnia.
rok 1912.
Środa.

Oczywiście że dziś oba nasze pisma z obozu prawicy endeckiej i klerykalnej, to znaczy tak „Kurjer Litewski", jak dwugroszowa księżowska „Gazeta Codzienna"; wystąpiły z artykułami, napadającymi na nas a specjalnie na ~~[...]~~ opublikowanym wczoraj „orzeczeniu" „komisji Obywatelskiej". W „Kurjerze L." artykuł ten nosi tytuł „Intryga polityczna", w „Gazecie" zaś — „Niecna robota". Obadwa tytuły są aż nadto wyraziste i charakterystyczne. Pisma gadzinowe reakcji chcą nadać naszemu udziałowi w sprawie niedoszłego sądu, udziałowi, który polegał li tylko na biernej i pozbawionej jakiegokolwiek zabarwienia naszego partyjnego roli arbitrów, — cechę nikczemnej akcji politycznej rzekomego bloku antykatolicko-antyendeckiego. Obłuda takiej tendencji jest oburzająca. Doprawdy serce mi zamiera z bólu, gdy widzę i, [illegible], czuję na sobie samym całą ohydę tej zbiorowej akcji wstecznych sił ~~[...]~~ prawicy, operującej takiemi sposobami do skompromitowania, spaskudzenia, zgnębienia w oczach naszych sprawy postępu i demokracji. O to im bowiem w istocie chodzi. ~~[...]~~ Zanika tu już osoba ks. Cyrańskiego a występuje natomiast na widownię ksiądz zbiorowy, sutanna, jako symbol reakcji, którą z tej szpetnikowej sprawy trzeba podźwignąć kosztem ofiar, kosztem skalania przeciwników politycznych w osobach przygodnych arbitrów, jakiśmy byli. Nie my, jak twierdzi w swym orzeczeniu „komisja", ale oni, t.j. machery reakcji i prasa prawicowa z pp. arbitrami Cyrańskiego i samą prześwietną „komisją obywatelską" na czele „odwracają sprawę" i robią nas, arbitrów niedoszłego sądu honorowego, uczestnikami domniemanej intrygi. To im jest potrzebne dla mas, dla poczucia ich, dla kogoś, dla odwrócenia, istotnie, sprawy. Ohyda. Zaiste — jakiż wspólny cel polityczny, czy społeczny, czy kulturalny mógł mnie łączyć z Bonifacem Malinowskim!

Dałem dziś skopjować na maszynie napisane wczoraj przeze mnie oświadczenie zbiorowe pp. arbitrów Malinowskiego i wieczorem osobiście zaniosłem 2 egzemplarze takowego do redakcji „Kurjera L." i „Gazety Codziennej"; gdzie ~~[...]~~ chcemy je opublikować. Czy wydrukują — nie wiem, ale od tego postanowiliśmy zacząć. Redaktor „Kurjera L." [illegible], któremu osobiście ~~[...]~~ rękopis oświadczenia wręczyłem, dawał się wciągać w zasadnicze ~~[...]~~ [illegible] naszego [illegible]

[illegible]

29 listopada. / 12 grudnia. rok 1912.
czwartek.

Czas mi upływa teraz pod znakiem tego nieszczęsnego incydentu z orzeczeniem owej „komisji obywatelskiej" w sprawie między ks. Cyraskim a Donatem Malinowskim. Epizod ten ma wagę niewątpliwie kapitalną. Dostrzegam w nim wszystkie cechy zorganizowanej planowej roboty, skierowanej do skompromitowania już nietylko Malinowskiego, ale całego naszego obozu demokratycznego. Choć niewątpliwie i Malinowski, będący pierwszym sprawcą całej tej sprawy, kierował się względami politycznymi, ale strona przeciwna, katolicko-endecka, rozwinęła jeszcze bardziej polityczne tło tej afery i ze sprawy obrony honoru ks. Cyraskiego ukuła obłudną napaść polityczną na „wrogów Kościoła i Ludzkości"; szargając z błotem i nas, przygodnych arbitrów Malinowskiego w niedoszłym sądzie. Doprawdy — jak źli są ludzie w swych namiętnościach politycznych, jak są obłudni, złośliwi, ziejący nienawiścią, niesprawiedliwi! Ile znieść trzeba, ile walczyć, ile błota na sobie uczuć, chcąc z otwartą przyłbicą kroczyć u nas pod hasłem swych przekonań i ideałów szczerych, czystych, uczciwych — i to wszystko tylko dlatego, że się wyznaje ideały postępu, swobody i nie idzie na usługi reakcji i zaskorupiałego „ładu społecznego". Jedni, jak Malinowski czy inni, chcą Cię ~~[illegible]~~ użyć dla swoich celów, chcą cię do swego brudu wciągnąć, aby swą sprawę nieco bielszą zrobić, inni z większą jeszcze obłudą Twoją uczciwą bezstronną rolę pośrednika, arbitra, wydelegowanego do sądu honorowego, zmieszają rozmyślnie z istotą ~~[illegible]~~ politycznej akcji nieczystej, aby tą drogą zbrukać jednocześnie te idee, które reprezentujemy. To jest ~~[illegible]~~ robota wielka. Wyczuwam i wiem atoli dobrze, że na mieście orzeczenie owej „komisji" oraz artykuły „Kurjera L." i „Gazety Codziennej" nie minęły niepostrzeżenie i że oburzenie na nas jest silne. A choć będziemy z tym walczyć, jednak wrażenie musi coś zostać na melodię „calomniez, calomniez toujours, il en restera quelque chose": Jestem niezmiernie przygnębiony tym wszystkiem, pełny niesmaku, wyczerpany. Z [illegible] szarpanie sławy i dobrego imienia — to rzecz ciężka. [illegible] już Szczęsny [illegible] Prof. [illegible] u nas z wizytą po przyjeździe na [illegible] do Wilna [illegible] ze mną w duszy [illegible] po przeczytaniu artykułów w tych pismach.

30 listopada / 13 grudnia. rok 1912. piątek.

Wciąż jeszcze nie ukazało się w „Kurjerze Litewskim" i „Gazecie Codziennej" ~~[illegible]~~ oświadczenie zbiorowe nasze, byłych arbitrów w sprawie Malinowskiego. Musimy więc czekać tymczasem. Jest to przykro, ale innej rady niema. A tymczasem w opinji publicznej utrwala się wrażenie, wywołane orzeczeniem „komisji obywatelskiej" i artykułami obu tych pism. Jesteśmy oszkalowani i musimy czekać. Dla niektórych z nas, jak zwłaszcza dla Janulaitisa i Stašewicza, to ma względnie mniejszą wagę, nie natomiast dla mnie; oni bowiem należą nie tylko ideałami swymi, ale pochodzeniem, obcowaniem i t. d. całkowicie do innej sfery, mianowicie do tej, której sympatje i opinje dalekie są od „Kurjera Litewskiego" i „Gazety Codziennej". Dla mnie to jest dotkliwsze. Choć bowiem osobiście działam i obcuję z obozem demokratycznym, dla którego te pisma miarodajne nie są, jednak skądinąd mam bliską styczność z temi właśnie sferami, które urabiają swą opinję na tych 2 pismach. Cała moja rodzina, moje szersze stosunki towarzyskie, nawet poniekąd najbliższe otoczenie domowe moje w osobie Maryni (która, nawiasem mówiąc, jest chwiejna i w dużym stopniu do sfer katolicko-szlacheckich ciąży) — to wszystko należy do sfery prawomyślnej, tej właśnie, która reprezentuje przeważnie „Kurjer Litewski". Choć się z tą opinją nie liczę, gdy chodzi o niezgodność z nią moich ideałów i przekonań, jednak tu chodzi o coś więcej, bo o plamę honorową na imieniu moim. Ciężko i smutno.

Jedyna szczera i głęboka radość moja, jedyna pociecha w smutku i przygnębieniu, jedyna ostoja w wyczerpaniu, odpoczynek i ~~[illegible]~~ ukojenie w strapieniu — to złota Anna moja. Jej miłość, jej prosta dusza, jej wreszcie szczery zespół z ideałami moimi — to dla mnie port spokoju i szczęścia. Wszyscy opuszczą, ale ona kochająca — nigdy. Z ekscelsjum, zdaje się, uciec z nią na krańce ziemi, gdzieś het poza namiętności i walki ludzkie.

Napisałem dziś gorący artykulik wstępny dla „Kurjera Krajowego", który od jutra codziennie zaczyna. Trochę mi go Malinowski, redaktor „Kur. Kr.", wykastrował, usuwając ustępy ostrzejsze i gorętsze. Tytuł artykułu — „Polskie ideały demokratyczne".

1 (14) grudnia, rok 1912. sobota.

Dziś jeszcze nie ma naszego oświadczenia na łamach „Kurjera Litewskiego” i „Gazety Codziennej”. Byłem tym rano zmartwiony, [redacted] i zaniepokojony, obawiałem się bowiem, że pisma te zechcą się może wykręcić od drukowania oświadczenia naszego, a chcielibyśmy w każdym razie sprawy tej nie zaniechać, to jednak to pierwsze oświadczenie na łamach tych właśnie 2 pism uważam za konieczne. Ale w redakcji „Gazety Codziennej”, do której się po wyjaśnienie zwróciłem, powiedziano mi, że nasze oświadczenie zostanie wydrukowane w No jutrzejszym tak w „Gazecie”, jak w „Kurjerze Lit.”. Ten fakt, że będzie ono drukowane w No niedzielnym, który jest zawsze szerzej czytany, daje mi dużo do myślenia. Nie wątpię bowiem ani na chwilę, że sferom tym, które tę napaść na nas sfabrykowały, nie chodzi o spopularyzowanie naszej rehabilitacji. Ponieważ zaś prawdopodobnie jednocześnie ogłoszona będzie replika czy przypisek do naszego oświadczenia, więc można wnioskować, że [redacted] przypisek ten będzie dość dla nas nieprzychylny, co zresztą też skądinąd ubocznie słyszałem. Nie wiem zresztą, czy to będzie przypisek redakcji, czy replika „komisji obywatelskiej”. Zaczekajmy więc a zobaczymy. Co to jednak za marna i nikczemna rzecz — ta cała sprawa! Ma ona zasadniczą cechę wszystkich rzeczy nikczemnych, że podcina skrzydła, toczy śliną swej nienawiści i potwarzy najczystsze serca. Nie bije tak, jak wielki los, lecz brudzi i osłabia. To jest robota naszych [redacted] stańczyków „Ładu społecznego” i śpiączki duchowej. Potrzebne to im jest nie tylko dla skompromitowania [redacted] w naszych osobach sprawy demokratycznej, ale i dla odwrócenia uwagi opinji od spraw i prądów aktualnych, głębokich a potężnych, które w tej chwili w społeczeństwie kiełkować zaczynają a mogą wyłonić rzeczy przełomowe w życiu narodu i kraju. Mam tu na myśli rosnące sympatje niepodległościowe i prądy powstańcze, które w dobie niewygasłej możliwości wojny posiadają siłę i znaczenie niepospolite. Ci bowiem właśnie panowie, którzy obecną aferę przeciwko nam zainscenizowali, którzy nią kierowali właściwie, ci sami, podszywając się pod frazes patrjotyzmu i tradycji narodowej, utworzyli organizację wydziału do tłumienia prądów powstańczo-wolnościowych, proklamowanych przez nich za dzieło prowokacji. Trupy, usypiacze.

Wyszedł dziś No wstępny drugi, lecz właściwie pierwszy regularny „Kurjera Krajowego”. Wygląda nieźle, choć w tonie [redacted] trochę brak temperamentu. Widać, że pismo nie czuje się mocne i nie może sobie pozwolić na wyrazistość. Biedne pismo, — szczerze mi go żal, bo jest sympatyczne w założeniu i w tendencjach, a zrodzone w okolicznościach nader ciężkich. Musi się ono nietylko oglądać na wrogów z prawicy, którzy jeno czyhają na to, aby je zdyskredytować i podkopać w opinji, ale i na współtowarzyszy demokratycznych z „Gazety Porannej”, „Przeglądu Wileńskiego”, którzy też z zazdrością i pewną przejściową niechęcią na powstające pismo patrzą. Stworzenie i utrzymanie mu życia powszechnego i utrzymanie. Popularny dziennik demokratyczny — to placówka wagi niepospolitej.

[illegible]

2 (15) grudnia rok 1912. niedziela.

W dzisiejszych rannych NN „Kurjera Litewskiego" i „Gazety Codziennej" ukazało się istotnie oświadczenie nasze. Oświadczenie to u dołu zaopatrzone zostało małym dopiskiem redakcji. Dopisek redakcyjny jest w obu pismach jednobrzmiący. Jeżeli to ma być właściwie tym ~~[illegible]~~ drażniącym dopiskiem, o którym już wczoraj szeptano a który miał zniweczyć całą wagę oświadczenia naszego, to zaiste rzecz nie jest straszna. ~~[illegible]~~ Chodzi mianowicie o następujące. W stawianym oneczacznie „komisji obywatelskiej" oprócz zarzutu o „odwracaniu sprawy" skierowany był jeszcze do nas inny zarzut, — choć mniejszej wagi: żeśmy chcieli mianowicie wypaczyć funkcje sądu honorowego, przekształcić go w jakąś komisję śledczo-inkwizycyjną, która ma się zajmować badaniem całego życia prywatnego ks. Cyraskiego, notabene powszechnego, zamiast się ograniczyć rozważeniem zarzutu oszczerstwa, skierowanego do Malinowskiego w zakresie konkretnego faktu — kwestji autentyczności listu miłosnego, przypisywanego ks. Cyraskiemu. Taki zarzut o rzekomym wypaczeniu przez nas funkcji sądu honorowego jest z gruntu fałszywy. Podług mandatu, któryśmy otrzymali od Malinowskiego upoważnieni byliśmy do przyjęcia pod rozwagę sądu zarzutu oszczerstwa w tym zakresie, w jakim Malinowski publicznie, jawnie o ks. Cyraskim się wyrażał. Ponieważ ~~[illegible]~~ Malinowski zarzucał ks. Cyraskiemu niemoralność życia i obłudę w zestawieniu życia prywatnego z działalnością publiczną, więc podług naszego mandatu w tym zakresie musiała być rozważona treść jego zarzutów dla stwierdzenia, czy zostało popełnione oszczerstwo. To nie znaczy oczywiście, że sąd musiałby się sam przekształcać w komisję śledczą, badającą życie ks. Cyraskiego, jeno że Malinowski obowiązany byłby udowodnić wobec sądu swoje twierdzenia faktami, a gdyby zaś tego nie zrobił, to uznany by został za winnego oszczerstwa. Nie życie więc ks. Cyraskiego, jeno treść zarzutów Malinowskiego, pozwanego o oszczerstwo, podlegałaby kompetencji sądu. Ponieważ wszakże się okazało, że ks. Cyraski o to się nie obraził i sformułował pozew wyraźny, li tylko co do listu, więc, wobec tego że Malinowski nas do przy-

[illegible]

3(16) grudnia
rok 1912.

Zmuszony jestem bądź zaniechać, bądź uszczuplić w dzienniku opis innych faktów i zjawisk tak z życia osobistego, jak ze spraw publicznych — dla tej jednej sprawy sądu ks. Cyrańskiego. Ale też zaiste sprawa ta jest niepospolita i ma, powiedziałbym zdaniem moim, wagę pierwszorzędną tak dla nas osobiście, jak też dla naszych stosunków społeczno-towarzyskich i dla obyczajowości publicznej w Wilnie. Sprawa ta — to cała „affaire Dreyfus" na gruncie wileńskim. To też właśnie nie powinna być ona zaniechana. Powinna być ona przez nas rozwinięta i wyczerpana, aby posłużyła do sanacji naszej obłudnej atmosfery obyczajowej. Chociaż więc przyczyniła mi ona dużo strapienia, jednak uważam, że dobre pono się stało, iż rzeczy do tego doszły. Obłuda musi być rozwikłana, ujawniona, a plwociny jej na nią samą niech spadną.

Namyśl uwag powyższych a także ze względu na osobisty charakter tej sprawy doszedłem do wniosku, że poprzestać na opublikowanym wczoraj w pismach jednostronnym oświadczeniu naszym — nie możemy. Takie sprawy, jeżeli nie są załatwione radykalnie aż do sedna rzeczy, zostawiają cień na honorze i potem, nieraz po wielu latach, wypływają niespodzianie na jaw. Wygodne ukrycie się za jakiś wybieg jest może chwilowo przyjemniejsze i wygodniejsze nawet na chwilę bieżącą wystarcza, ale potem się mści. Zwłaszcza musi być czysty od wszelkiej skazy, od wszelkiego niedomówienia działacz społeczny, człowiek, który występuje na szerszej arenie czynu publicznego. Wiele takich skaz na honorze lub kompromisowe niedomówienia w sprawach natury honorowej — ścigają nieraz po wielu latach. Tacy bowiem ludzie mają zawsze wrogów, często zaciekłych, którzy dla pognębienia przeciwnika nie zawahają się wyciągnąć na jaw stare z przed wielu lat historie, mogące zachwiać cześć danego człowieka. Otóż twierdzenia, zawarte w oświadczeniu 12 najbardziej znanych w Wilnie w dobie obecnej panów, tęgich opinii publicznej, dotyczące naszego stanowiska i roli arbitrów w sprawie honorowej, a zarzucające nam nakoniec chęć „odwrócenia sprawy" i wypaczania funkcji

[illegible]

4/(17) grudnia rok 1912. Wtorek.

Wieczorem w mieszkaniu Jamulaitisa zebraliśmy się dla ustalenia decyzji co do ewentualnego żądania przez nas satysfakcji od tych 12 panów, którzy podpisali się pod skandalicznym orzeczeniem „komisji obywatelskiej" w sprawie ks. Cyrańskiego. Ściśle mówiąc byliśmy wszyscy pięciu pokrzywdzonych, t. j. byli arbitrowie Donata Malinowskiego, — ja, Jan Piłsudski, Jamulaitis, Skarżewicz i Małyszewski, — oraz dwaj nasi koledzy z adwokatury i przyjaciele w charakterze bezstronnych doradców czy też jurysconsultów naszych, — Bronisław Krzyżanowski i Jan Kłott. Przeanalizowaliśmy dokładnie sprawę, t. j. tak protokoły naszych posiedzeń arbitrów w sprawie niedoszłego sądu między Cyrańskim a Malinowskim, jak tekst orzeczenia „komisji obywatelskiej." Ostatecznie doszliśmy do przekonania, że stanowisko nasze jest dość mocne i że powinniśmy zareagować w postaci żądania satysfakcji. Niewątpliwie sprawa, która się z tego wywiązuje, jest dość ciężka zwłaszcza ze względu na osoby tych 12 panów, ale moim zdaniem wyjście to jest dla nas niezbędne. Ci 12 panów, od których żądać mamy satysfakcji, — to same powagi wileńskie, nietykalne, władające opinją. Jest tam prezydent miasta Wilna (Michał Węsławski), dwóch dyrektorów Banku Ziemskiego (Kończa i Sumorok), gwiazdy adwokatury (Zmaczyński, Strumiłło, Sumorok, Maliński), redaktor najpoczytniejszego pisma sfer ziemiańskich (Józef Hłasko), wodzowie Endecji (tenże Hłasko i dr. Węsławski), dziekan wileński Czerniawski. Takich tknąć — to nie bagatela. Całe niemal Wilno jest od nich zależne, cała opinja się z nimi liczy, a kto ich nie lubi, ten się ich lęka. Odwołać swe twierdzenia po takiej solennej areopagowej formie, w jakiej je wyrazili, lub być wyrokiem sądu honorowego uznanymi za winnych i do satysfakcji skłonionymi, — to dla nich kompromitacja i wstyd nielada. To też się z pewnością zechcą wykręcać a może i kompanji używać. Może nawet wprost zechcą satysfakcji i sądu uniknąć, bojąc się zbłaźnienia. Ale wtedy zmuszeni będziemy ich piętnować publicznie, skandal — skandal wybuchnie w mieście. Ale obawa ich przekroczy wszelkie granice. Nam wypadła rola wyprania tych brudów naszych powag wileńskich. [illegible] robić — będziemy. [illegible] ukonsty=

5 (18) grudnia, rok 1912. Środa.

Dziś rano zredagowałem podług wskazówek na-szego zebrania wczorajszego list od imienia nasze-go do ~~ot~~ naszych sekundantów Bagińskiego i Klotta. List ten jest właściwym aktem pozwu w sto-sunku do 12 panów z „komisji obywatelskiej". Brzmi on tak: „Do W.W. P.P. Stan. Bagińskiego i Jana Klotta w Wilnie. Szan. P.P.!
„W № 272 „Kur. Lit." z d. 27/XI r. b. oraz w № 313 „Gaz. Codz." z tegoż dnia „został zamieszczony szereg komunikatów pod tytułem zbiorowym „Spra-„wa ks. Cyraskiego". W jednym z tych komunikatów, pod tytułem „Uchwa-„ła grona obywateli", podpisani pod takowym p.p. Michał Węsławski, Paweł „Kończa, Tadeusz Dembowski, ks. Antoni Czerniewski, Witold Węsławski, „Maksymiljan Maliński, ks. Józef Songin, Józef Hłasko, Marjan Stru-„miłło, Ludwik Zabłocki, Restytut Sumorok i Adolf Łaszczyński, „omawiając sprawę niedoszłego sądu honorowego między p.p. ks. Ign. „Cyraskim i D. Malinowskim, orzekli co następuje: (tu przytoczony cały „długi ustęp z orzeczenia owych panów). W słowach powyższych mie-„szczą się następujące twierdzenia, dotyczące naszego stanowiska i „roli, jako arbitrów w sprawie honorowej: 1) żeśmy chcieli sprawę „odwlekać i chcieli ks. Cyr. z powodującego zrobić oskarżonym i „2) żeśmy chcieli spaczyć funkcje sądu honorowego, mianowicie „żeśmy chcieli zajmować się badaniem całego życia prywatnego ks. „Cyr.. Twierdzenia te są zgoła bezpodstawne i z prawdą niezgodne: 1) Spra-„wy nie odwlekaliśmy. Otrzymaliśmy określone zlecenie od mocodawcy „naszego, i gdy zaś zakomunikowany nam został pozew pierwszy akt „pozwu, który się okazał niezgodnym ze zleceniem naszym, odesłaliśmy „się do mocodawcy naszego i próbowali porozumieć się z nim; nie zdoławszy-„śmy, przeto, nie mogąc samodzielnie zlecenia zmienić, rozwiązaliśmy sąd „wspólnie z arbitrami strony przeciwnej. 2) Funkcji sądu honorowego spaczać „nie próbowaliśmy i nie zamierzaliśmy nim badania ~~całego~~ życia prywatne-„go ks. Cyr.. W myśl mandatu naszego przedmiotem czynności sądu miało „być nie badanie życia strony powodowej, ks. Cyr., lecz zbadanie treści zarzu-„tów strony pozwanej, p. Malinowskiego, oraz rozstrzygnięcie, czy oszczerstwo przezeń popeł-„nione zostało, czy też nie. Bezpodstawne i, jak wyżej powiedzieliśmy, nie-„zgodne z prawdą twierdzenia tych panów o naszym zachowaniu się w roli ar-„bitrów w sprawie honorowej — ubliżające honorowi naszemu. Wobec powyższe-„go upraszamy Szan. Panów o zwrócenie się w naszym imieniu do p.p. (tu wy-„mienione są znowu imiona i nazwiska 12 panów) z żądaniem zadośćuczy-„nienia wyrządzonej nam krzywdy przez odwołanie czynionych nam zarzu-„tów, w tychże pismach, w których komunikat „Uchwała gro-„na obywateli" zamieszczony został. O ile wyżej wymienieni p.p. nie ze-„chcą spełnić tego żądania naszego, upraszamy Sz. P.P. o powołanie ich „przed sąd honorowy." Pod listem tym oprócz mego podpisu zebrałem pod-pisy Pilsudzkiego, Jamontaitisa, Mikołajewskiego i Szakiewicza, i list wręczyłem Klottowi i Bagińskiemu, którzy mają jutro do wykonania swej misji przy-stąpić.

Koło godz. 6 wieczorem poszedłem ~~z~~ na obiad koleżeński prawników do lokalu klubu szlacheckiego. Dziś bowiem wypada rocznica założenia Szkoły Prawa, któ-ra jest ~~czcz~~ tradycyjnie czczona corocznie przez byłych wychowańców tej szkoły. Zebrała się nas garstka kilkunastu osób rozmaitego wieku. Z polaków byli: Kłokocki, Szymon Meysztowicz, Dowiatt, Eustachy i Stanisław Brzozowscy, Kieniewicz i ja. Z rosjan starszy członek Izby Sądowej Truszewicz, adwokat Szczepański, Ofrosimow, Wengar, prokurator Sądu Okręgowego Akkerman, podprokuratorzy Kudrewicz i Bellegarde i adjutant głównodowodzącego Wileńskiego Okręgu Wojskowego Wilamowski, Dembowiecki [illegible] warszawskich [illegible]. Nastrój nie był serdeczny, tem bardziej mi nieprzyjemnie czułem się w tym towarzystwie obcym. Panowały niepodzielnie uczucia ~~kor~~ carofilskie i ściśle-rosyjskie, charakteryzujące prawników. Odśpiewano nawet w czasie obiadu przy szampanie hymn „Boże Carja chrani", co mię wstrętem przejęło. Po obiedzie byłem jeszcze [illegible] do Anny i nawiedziłem ją [illegible]. Czas mi upłynął jakoś głupio, chaotycznie, bez wielkiego zadowolenia. Zanocowaliśmy w Hotelu Warszawskim.

6 (19) grudnia. rok 1912. czwartek.

Przez cały dzień czułem się strasznie zmęczony i niezdolny do żadnej pracy. Po wieczorze i nocy wczorajszej, to znaczy po obiedzie prawowiczowskim i po trunkach, pozostały w spadku tylko ból głowy, niesmak, wyczerpanie fizyczne i umysłowe, oraz pustka w kieszeni. Z Anną rozstałem się wcześnie, bo poszła ona rano do pracy u Łapkowskiej; wyszedłem z hotelu, byłem w domu, potem znowu się koło obiadu z Anną spotkałem, wreszcie po obiedzie położyłem się spać.

O stanie sprawy naszej z 12 panami z „komisji obywatelskiej" nic nie wiem. Koło godz. 2 telefonowałem do Klotta, zapytując, czy nic nowego nie zaszło. Odpowiedział mi, że się właśnie naradza z Boginskim co do szczegółów zwrócenia się do tych panów. ~~Potem~~ Więcej już potem nie dowiadywałem się.

Przy sposobności ~~powiem~~ parę słów o „~~Kurjerze Krajowym~~". Pierwsze №№ tego pisma były blade. Pismu teoretycznie co do stanowiska demokratycznego i krajowego nie można było nic zarzucić, ale brakło mu na wyrazistości i na wyznaczeniu. Teraz wszakże stopniowo pismo się zaczyna ożywiać. Maćkowski wytęża wysiłki i z dnia na dzień ulepsza pismo. Kierunek ~~[illegible]~~ ideowy pisma jest z mego stanowiska bez zarzutu; nie ma cienia nacjonalizmu, pomimo szczerego poparcia spraw narodowych wogóle i gorącej kultury uczuciowej polskiej; stanowisko demokratyczne jest utrzymywane bardzo konsekwentnie bez żadnych zboczeń w rodzaju modnego dziś antysemityzmu, który już ~~[illegible]~~ wkroczył na łamy naszego „Przeglądu"; wreszcie w zakresie t. zw. stanowiska krajowego jest wyraźnie stosowana zasada

nie tylko biernego współżycia kulturalnego narodowości w kraju, lecz też czynnego współpracownictwa demokracji krajowej wszystkich narodowości, co także różni „Kurjer Krajowy" od stanowiska Abramowiczowskiego w „Przeglądzie". Z całego serca sprzyjam kierunkowi „Kurjera Kr." i życzę gorąco, aby się on zdołał utrzymać i skupić grupę ludzi na tej podstawie placówce czynu. Wolałbym nawet, aby kierownictwo pisma nie przeszło z czasem do rąk naszej grupy, to znaczy faktycznie do rąk Ludwika Abramowicza. Ale co stać się będzie, gdy „Kurjer Kr." finansowo wytrwać nie zdoła.

Przez większą część dnia zajęty byłem pisa-
niem referatu na temat „Postęp a klerykali-
lizm", który mam wygłosić jutro na zebra-
niu kółka młodzieży postępowej. Jest to je-
den z tematów, który uzyskał najwięcej gło-
sów w ankiecie, którą młodzież postępowa
zarządziła w swoich szeregach dla ujawnienia,
jakie kwestje najwięcej ją zajmują. Podjąłem
się odczytu na ten temat, rozumiejąc, jaką
on ma wagę dla ukształcenia stanowiska
demokratycznego w umysłach młodzieży. Za-
późno się trochę zabrałem do pracy, bo mi
tylko 2 dni zostały, a temat jest poważny.
Ale zabrałem się do pracy z wielką rozwagą,
po głębokiem obmyśleniu zagadnienia, zda-
jąc sobie sprawę, jak wielkiej ostrożności
i jakiej powagi i skupienia myśli wymaga
taki temat, zwłaszcza dla młodzieży. Właściwie
też w wykonaniu zmieniłem temat pierwotny,
traktując kwestję szerzej, mianowicie jako „Reli-
gja, Kościół i klerykalizm." Uwydatniłem nie-
śmiertelność i moc twórczą pierwiastka religij-
nego, wagę dziejową kościołów w kształceniu kultury
oraz wyzwalanie takowych w miarę indywidualiza-
cji ~~[illegible]~~ psychiki ludzkiej na wyższych poziomach
rozwoju, uwzględniając też dodatnią rolę kościoła kato-
lickiego u nas wobec zaborczych zakusów rusyfikacji i by-
zantynizmu, wreszcie usiłuję wykazać istotę klerykali-
zmu, jako zjawiska społecznego, zestawić ją z istotą
demokracji i wykazać sprzeczność zasadniczą między
niemi, ~~[illegible]~~ pchającą je fatalnie do walki wzajemnej.
Dowiedziałem się od Klotta i Bagińskiego, że już wczoraj
byli oni w charakterze sekundantów u p. Restytuta Lemorskiego, jako przedstawiciela 12 panów z „komisji oby-
watelskiej": Lemorski zaprzeczył, jakoby grał w tej sprawie rolę
kierowniczą, organizacyjną i [illegible] do owej „komisji", oświadczył
dalej, że on chętnie gotów nam dostarczyć satysfakcji, wreszcie odwo-
łał się do całego grona tych panów, [illegible] [illegible] pod-
stawie. Wieczorem [illegible] telefonował do Klotta i zawiadomił go, że ci panowie
zbiorą się [illegible] i wtedy [illegible] sekundantom naszym.

7 (20) grudnia.
rok 1912.
piątek.

8 (21) grudnia.
rok 1912.
sobota.

Znowu dziś większą część dnia zajęty byłem wykończeniem mego odczytu dla młodzieży na dziś wieczór.

Zebranie młodzieży było wyznaczone na godz. 8 w moim mieszkaniu. Od godz. 7 1/2 młodzież zaczęła się zbierać a przychodziła tak akuratnie, że zaiste służyć by mogła przykładem dla wszelkich zebrań starszej inteligencji dorosłej. O godz. 8 zebranie już było w komplecie, wobec czego mogłem punktualnie rozpocząć odczyt. Ogółem zebrało się koło 30 osób z młodzieży, to znaczy zebranie było liczne. Przeważnie byli chłopcy, z dziewczyn było tylko 4-5 z Ireną Stecklewiczówną na czele. Przeważali technicy, t.j. uczniowie szkoły technicznej. Z koleżanek nie przyszły wcale „maciejówki", jak tu nazywają uczennice szkoły handlowej żeńskiej p. Maciejewiczowej. Okazuje się, że temat, który pociągał młodzież męską, odstraszał dziewczyny, nawet postępowe. Utożsamiają one widocznie klerykalizm z religją i boją się zrywać z kościołem. Z inteligencji dorosłej obecny był tylko Iwan Łuckiewicz.

Odczyt mój nie mógł chyba zadrasnąć żadnych uczuć religijnych. Byłem zresztą uważny, aby sobie nie pozwolić na brutalizowanie tego, co osobiście bardzo cenię i szanuję. Po odczycie wywiązała się ciekawa i żywa dyskusja. Panienki, mianowicie Stecklewiczówna i Bronedówna, wszczęły lekką opozycję, która dała możność przytknąć i wyjaśnić zagadnienie przykładami i [redacted] żywą analizą zjawisk kultury religijnej, istoty katolicyzmu i klerykalizmu. Z zebrania dzisiejszego wyniosłem wrażenie bardzo dodatnie i miłe.

Stamtąd poszedłem do „Rūty". Dziś nie odbywało się przedstawienie amatorskie litewskie; w „Rūcie" zastałem Anusię. Wyszedłszy [illegible] się trochę, lecz gdy się przedstawienie skończyło, wyszedłem z Anusią. Zjedliśmy kolację u Mazurkowskiego, poczem odprowadziłem Anusię do domu.

9 (22) grudnia rok 1912. Niedziela.

Cały dzień, oprócz obiadu tylko, spędziłem z Anną. Przed obiadem była chwilka małego nieporozumienia, Anna była już naładowana, cała się gotowała wewnątrz. Już w drodze, gdyśmy szli na spacer, coś się Annie w jakimś moim powiedzeniu nie podobało. Potem poszliśmy z nią na wystawę prac fotograficznych Jana Bułhaka, artysty-fotografa z Mińska, który tu od jesieni osiadł w Wilnie i otwiera od dnia jutrzejszego pracownię stałą. Będzie to zapewne najlepsza pracownia fotograficzna w naszym mieście. W osobie Bułhaka Jana Wilno zdobywa nową, bądź co bądź wybitną siłę artystyczną, tym bardziej moim zdaniem cenną, że nie jest to tylko artysta dzieł oderwanych, kapłan czystej sztuki, którą Wilno mało ceni i która przeto wpływu większego na kulturę artystyczną wywrzeć nie zdoła, ale artysta, który zastosowuje sztukę do potrzeb bieżących, w danym razie do fotografii, i przeto kształci konkretnie kulturę artystyczną w życiu bieżącym. Przed otwarciem pracowni stałej Jan Bułhak, aby dać Wilnu możność poznać swe prace, urządził wystawę takowych, na którą rozesłał jakimś [illegible] zaproszenia. Takie zaproszenie ja też otrzymałem i wybrałem się z Anną dla zwiedzenia wystawy. Gdyśmy przyszli, zastaliśmy całe mieszkanie pełne wytwornej publiczności. Obecne było całe „towarzystwo" wileńskie, wszystko, co jest w Wilnie znane i co się uważa za wyborową publiczność. Taka publiczność jest wyrazem „opinii" wileńskiej, urabia ją i propaguje. Ukazanie się moje publiczne z Anną wobec takiego „towarzystwa" mogło się stać powodem do komentarzy, plotek, obmowy i [illegible] przykrych konsekwencji w przyszłości. „Towarzystwo" zaraz pozna, że Anna jest z innego świata, że jest i nieznana mu z widzenia i w ogóle inna, bo nie ma tej pewności siebie, tej jakiejś specjalnej manierki koteryjnej, jaka jest właściwa „towarzystwu" wileńskiemu. Wobec tego starałem się tak zachować, aby nic nie akcentować naszej specjalnej bliskości z Anną. Obchodziłem z nią wystawę, ale z rezerwą, a zostawiłem wyjść(?) [illegible] i stosunkowo krótko, aby nie rozpytywano, że możemy po niej [illegible]. Przypomniało to mnie z Anną(?), że [illegible] wyszliśmy. Nie bardzośmy nawet wystawy obejrzeli. Anna wymiarkowała, że jej się wstydziłem i była zażalona, nadąsana. Nie wstydzę się jej bynajmniej, ale nie życzę wywoływać przeczuć stosunku naszego i wystawiać takowy na obmowy, które może wywołać dla nas w obecnych moich warunkach osobistych bardzo przykre skutki. Po obiedzie wieczorem stosunek nasz się wygładził, wrażenie Anny minęło.

482.

10 (23) grudnia.
rok 1912.
poniedziałek.

Jestem strasznie przeziębiony. Katar, który mam od dni paru, ~~do~~ uzupełnił się ostrym kaszlem i w ogóle stanem gorączkowym. Mam łamanie w kościach, szum w głowie, czuję się niezdatny do pracy i niedołężny. Najlepiej by było, gdybym się zaraz po obiedzie położył do łóżka, wziął na poty i już nie wstawał. Niestety — nie mogłem sobie na to pozwolić, bom musiał po obiedzie ~~[illegible]~~ opracowywać kasację do Senatu w pewnej sprawie, a wieczorem pójść do Anny, która by się gniewała, gdybym jej zawód zrobił. Zresztą nie ~~[illegible]~~ zaszkodziło mi, żem do niej poszedł. Było u niej ciepło w jej pokoiku na Salce, było zacisznie, serdecznie, kojąco. By[illegible] chory, gdy mam głowę ciężką, nie mogę rozmawiać z ludźmi, nie umiem myśli powiązać; z Anną wszakże mogę zawsze rozmawiać, zawsze ~~[illegible]~~ mieć przytomność umysłu i czucia.

11 (24) grudnia, rok 1912, wtorek

Wczoraj, jak o tym byli uprzedzeni nasi sekundanci Kłott i Rogiński, odbyło się wieczorem zebranie owych 12 pozywanych przez nas panów z t. zw. „komisji obywatelskiej" czy też „grona obywateli". Wynikiem tej narady miała być odpowiedź na nasz pozew, którą ci panowie obiecali dziś naszym sekundantom udzielić. Jakoż istotnie zakomunikowali im dziś, że z ich strony ~~[illegible]~~ sekundantami są pp. Dr. Bernard Kłaśko [?] i Stanisław Boguszewski, jeden z dyrektorów Banku Handlowego, i że przeto nasi sekundanci mają się skomunikować bezpośrednio z tymi panami. Pierwsze spotkanie ~~[illegible]~~ sekundantów ma się odbyć jutro.

Sprawa więc ta weszła na ~~[illegible]~~ regularne tory konfliktu honorowego. Obawy Piłsudskiego, że ci 12 panów odrzucą po prostu nasz pozew, nie chcąc schodzić ze swego piedestału ~~[illegible]~~ patentowanych powag i narażać na ryzyko sądu honorowego z garstką ~~[illegible]~~ „nieznanych śmiertelników" takich, jak my, okazały się płonne. Gdyby to nas wtedy ~~[illegible]~~ postawiono w pozycji przykrej i zmuszono do bezpośredniego gwałtownego reagowania na wyzwanie, na podwójnie obelgę, co byłoby dla nas ciężkie, zważywszy, że z tamtej strony są największe nietykalne autorytety wileńskie, jednak niewątpliwie i dla tamtych panów konsekwencje odmowy zadośćuczynienia byłyby ciężkie i mogłyby nawet zachwiać znacznie ich powagę, bo ostatecznie nie wiadomo, jakbyśmy zareagowali i za kim w ostatecznym rezultacie by się opowiedziała opinia. Choć wyznaczenie sekundantów nie przesądza jeszcze samej treści odpowiedzi tych panów na nasz pozew, ale jest to już krok, który obowiązuje do pewnej akcji honorowej; — jest to już uznanie zasadnicze faktu istnienia konfliktu honorowego. Jeżeli pójdzie do sądu honorowego, to nasi sekundanci mają z naszej strony zaproponować na arbitrów sądu Rogińskiego [?] — adwokata Bronisława Krzyżanowskiego

12 (25) grudnia rok 1912. Środa.

Żadnych nowin nie mam ze spotkania sekundantów, które się dziś odbyć miało i zapewne odbyło. W sądzie nie widziałem ani Klotta ani Bogińskiego. Po obiedzie też nie udało mi się skomunikować z nimi telefonicznie, a Bogińskiego, do którego zachodziłem pod wieczór, nie zastałem w domu. Zaczekajmy więc do jutra.

Od kilku dni bawi w Wilnie mąż Maryni Witold Römer. Przyjechał z Moskwy poniekąd dla odwiedzenia swej matki i swoich dzieci, poniekąd dla ponowienia prób znalezienia jakiejkolwiek posady. Nieszczęśliwy człowiek. Bez wykształcenia wyższego, sterany ciężką chorobą i klęskami życia, ledwie włóczący nogami, napoły niedołężniały a już z natury nie bystry i nie zdolny, nie może znikąd znaleźć posady. Zmuszony zaś jest sam się utrzymywać, sam sobie radzić, nie mając żadnej niemal pomocy od rodziny i zresztą nie chcąc takowej żebrać, bo jest z natury dumny. Charakter Witolda, ~~jest~~ choć dużo i ciężko w życiu zawinił, jest z gruntu szlachetny. Wyrósł kiedyś w warunkach przeciętnej rodziny ziemiańskiej. Przywykł do przeciętnego dostatku, w każdym razie do bytu znośnego. Katastrofa ikaźniańska w r. 1901 ~~[illegible]~~ wtrąciła go w całkowitą ruinę materjalną i jednocześnie pozbawiła środowiska rodzinnego, do którego jest w głębi serca gorąco przywiązany. Wykolejony, wyrzucony na bruk, wyzuty ze środków do bytu i z rodziny ~~[illegible]~~ w takiej chwili życia, gdy miał siły już całkowicie sterane po dwukrotnym paraliżu. Od paru lat jest bez posady. Utrzymuje się w Moskwie to dorywczemi pożyczkami i zapomogami, to nie mniej dorywczemi zarobkami, jak np. sprzedaż detaliczna jakichś lampek, zakupowanych hurtem i roznoszonych po domach.

[illegible]

13 (26) grudnia
rok 1912.
czwartek.

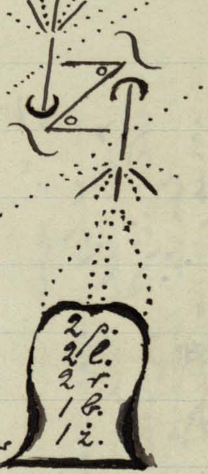

Klott i Bagiński opowiedzieli nam dziś o swym wczorajszym spotkaniu z dr. Bernardem Hłasko i Stanisławem Rogowickim, sekundantami porwanych przez nas 12 panów. Spotkanie to odbyło się wczoraj w gabinecie dyrektora Banku Handlowego i trwało od godz. 2 1/2 do 5 popołudniu. Naprzód sekundanci strony przeciwnej wystąpili z wielką pewnością siebie i choć bardzo grzecznie, ale dość butnie. Oświadczyli, że ich mocodawcy nie odmawiają nam satysfakcji honorowej, ale nie dostrzegają właściwie powodu, bo nie widzą, czym nas mogli obrazić; jeżeli ich orzeczenie o samej sprawie, w której my udział braliśmy, i o naszym mocodawcy Malinowskim rzuca pośrednio jakiś cień na nas, to tylko na skutek tego objektywnego faktu, żeśmy właśnie w tym udział brali, ale bezpośrednio o naszej działalności w roli arbitrów panowie ci zgoła nie wypowiadali. W odpowiedzi na to Klott i Bagiński w dłuższych przemówieniach wykazali tym panom, że bynajmniej tak nie jest i że nasze zachowanie się, jako arbitrów, zostało w orzeczeniu owych 12 panów przedstawione w sposób dla nas ubliżający i ~~[illegible]~~ taki, jaki się z protokołów posiedzeń arbitrów wywnioskować nie daje, my zaś twierdzimy z naszym prawem na tym nastawać, że zachowanie się nasze było właśnie takie, jakim się ono w protokołach wyraża. Dr. Hłasko i Rogowicki wznawiali, że zachowanie się nasze mogło być tylko z protokołów wywnioskowywane, i starali się obstawać, że też w orzeczeniu 12 panów nie ma nic takiego, coby było z protokołami posiedzeń arbitrów sprzeczne. Klott i Bagiński jęli więc wobec tych panów analizować protokoły i zestawiać je z twierdzeniami 12 panów i istotnie przekonali, że orzeczenie 12 panów ~~[illegible]~~ jest sprzeczne z treścią protokołów. Dr. Hłasko i Rogowicki byli skonfundowani, a jeszcze bardziej stropiło ich wykazanie przez Bagińskiego, że jeden z tych 12 panów, redaktor Hłasko, natychmiast po ukazaniu się tego orzeczenia w artykule swoim (podpisanym inicjałami jego nazwiska M. S.) w „Kurjerze Litewskim" wysnuwa dalej daleko idące konsekwencje w stosunku do nas z twierdzeń, które się w orzeczeniu 12 panów nie mieszczą.

14 (27) grudnia rok 1912. piątek.

Mówił mi Bagiński, że się spotkał dziś w Banku z sekundantem przeciwników naszych Boguswickim, który mu oświadczył, że zebranie jego mocodawców odbędzie się dziś i że przeto jutro udzieli on Bagińskiemu odpowiedzi co do dalszych rokowań.

Chciałem dziś napisać jakiś artykulik dla „Kurjera Krajowego", ale nie mogłem obmyślić tematu aktualnego narazie, więc dałem temu tymczasem pokój. Wstąpiłem do redakcji pod wieczór i widziałem się z Jankowskim. Wspominał mi on, że mój artykulik z „Kurjera Kr." p. tyt. „Braterstwo słowiańskie", w którym wykazałem niedorzeczność t. zw. „idei słowiańskiej" dla nas wobec braku szczególniejszych więzów czy to krwi czy kultury czy wspólnych dziejów z ludami, używającemi języków słowiańskich, był ostro skrytykowany w „Wilenskim Wiestniku", natomiast przedrukowany (z uznaniem naturalnie) w „Słońcu" warszawskim. Nic dziwnego, że panowie rosjanie, zwłaszcza z zachłannej prawicy, tak ukochali tę „ideę słowiańską", która służy im za wędkę obłudną do rozszerzenia swej dominacji i za kropidło do uświęcania zaborów i gwałtu, my zaś, polacy, a zwłaszcza tu w Litwie, nie możemy na przesłankach słowiańskich budować braterstwa ludów i naszego bytu własnego. Jedyną dźwignią musi być dla nas sprawa demokratyczna i pokrewieństwo kultury. Swoją drogą na tle obecnej sytuacji międzynarodowej i rozwijających się w związku z nią prądach, my tu, demokraci polscy w Litwie, jesteśmy w położeniu trudnym i odpowiedzialnym. Austrofilstwo samo przez się jakoś nie wystarczy, bo dla Litwy nie przyjęło ono żadnego rozwiązania realnego. Natomiast prasa demokratyczna litewska, której głos jest bardzo [illegible], wypowiada się zacięcie [illegible] przeciwko tendencjom prusofilskim [illegible] a u nas [illegible] wynikiem austrofilstwa, rozkrawającego [illegible] Polski.

To też powinniśmy każdy [illegible] krok [illegible]

15 (28) grudnia rok 1912. sobota.

O pertraktacjach naszych sekundantów z sekundantami 12 panów pozwanych — nic nie wiem.

Napisałem dziś do „Kurjera Krajowego" artykuł z powodu wszczętej przez ministerjum oświaty kampanji prześladowczej względem młodzieży szkół średnich. Artykuł ten po napisaniu zaniosłem do redakcji Mańkowskiemu, który go da do jutrzejszego nr. wstępny. Mańkowski wszakże pokiereszował mi znacznie artykuł, usuwając zeń dużo dla względów cenzuralnych.

„Kurjer Krajowy" bardzo mi się podoba. Co do kierunku [redacted] ideowego pisma, jest on bez zarzutów demokratycznych. Różni się on pod tym względem bardzo dodatnio od „Przeglądu Wileńskiego", który balansuje zawsze pośrodku między lewicą a prawicą, demokracją a nacjonalizmem. Natomiast „Kurjer Krajowy" jest konsekwentnie demokratyczny i godzi szczery patrjotyzm polski ze ścisłym stanowiskiem krajowym. „Kurjer Krajowy" jest istotnie wysokopiennym ideowym synem „Gazety Wileńskiej", podczas gdy kierunek „Przeglądu" pod redakcją Ludwika Abramowicza odbiegł daleko od tego pierwowzoru naszej krajowej polskiej prasy demokratycznej, pomimo że przy powstaniu swym ogłaszał się wyraźnie za kontynuatora kierunku „Gazety". Od pierwszej chwili, gdy powstał projekt powołania Ludwika Abramowicza na redaktora „Przeglądu" i wykonawcę demokratycznego kierunku, przekazanego przez „Gazetę", nie żywiłem zaufania do takiego kierownictwa i istotnie się nie myliłem. Zresztą Ludwik Abramowicz jest w moich oczach poprostu kondotjerem publicystycznym. Jestem pewny, że gdyby mu zaświtała nadzieja dobrej posady w [redacted] obozie ugodowo-liberalnym, porzuciłby sztandar demokratyczny, jak go porzucił kiedyś przed 6 laty. Ale nasze sfery „demokratyczne" polskie nietylko że nie widzą swoistości Ludwika, ale zdążyły przez ten rok wychodzenia „Przeglądu" pozbyć się wszelkich wątpliwości co do niego, pozbywając się zarazem demokratyzmu, i uznać Ludwika za swego przywódcę, za głowę demokracji polskiej. Przypominają mi one zastęp baranów. W środku Ludwik jest kompletnie płytki w sprawach społecznych, jest mało, z demokracją ściśle nic wspólnego i jej poprostu nie rozumie. W stosunku to

488.

16 (29) grudnia rok 1912. niedziela.

Dzień spędziłem z Anną. Zawędziliśmy, trochę spacerowaliśmy po mieście, przeważnie wszakże siedzieliśmy w jej pokoju. Marzymy z Anną o dokonaniu latem, w czerwcu, pięknej podróży ~~[illegible]~~ do Laponji. Kraje dalekiej Północy nęcą mię niemniej od krajów egzotycznych. Anna, która ~~[illegible]~~ też jest ciekawa wrażeń podróży, woli zawsze zwiedzić coś nieznanego, niezwykłego, a zwłaszcza woli poznawać świeże kraje i ludy, niż jakiekolwiek miasta, których szablonu jest mniej więcej wszędzie podobny. Podróż zaś do Laponji wypadnie nam taniej i mniej męcząco, niż do jakiegokolwiekbądź innego kraju północy. Nie trzeba brać paszportu zagranicznego, a koleją dojedziemy daleko aż do kresów zatoki Botnickiej. Przejechalibyśmy przez Finlandję i z pogranicznego ze Szwecją miasta Torneo dojechalibyśmy do najdalej wysuniętego punktu kolejowego na północy — do stacji Rovaniemi, położonej już w strefie podbiegunowej. Jak byśmy ruszyli stamtąd dalej, czy końmi, czy reniferami, czy konno, czy inaczej — to nie wiemy. W każdym razie byłaby to wycieczka niepospolita, pełna niespodzianek i wrażeń. Wyjechalibyśmy tak, aby tam utrafić na ciągły dzień letni, w niezachodzącym słońcu podbiegunowem. Fauna, flora, klimat, ludzie — to są to dla nas wszystko tam niespodzianki. Czy urzeczywistnimy tę podróż — niewiadomo, ale postanowienie mamy wspólne i składamy na ten cel oszczędności i — marzymy.

489.

17 (30) grudnia, rok 1912. Poniedziałek.

Sekundanci 12 panów, przezwanych popularnie „obersędziami", pp. Bernard Hłasko i Stanisław Kognowicki, zakomunikowali naszym sekundantom, Bagińskiemu i Klottowi, że ich mocodawcy zgadzają się na sąd honorowy. Wobec tego nasi sekundanci wskazali ich jako arbitrów z naszej strony – Bronisława Krzyżanowskiego i Władysława Malinowskiego, tamci zaś wskazali swoich arbitrów w osobach: dyrektora Banku Ziemskiego i b. członka Rady Państwa z wyboru z gub. Kowieńskiej, Aleksandra Meysztowicza, i słynnego adwokata z Moskwy, b. posła do I Dumy, – Aleksandra Lednickiego. Wobec tego sekundanci spisali protokuł swych czynności i uznali się za skończonych. Teraz więc sprawa przeszła w ręce arbitrów, którzy już odtąd poprowadzą ją sami.

Wieczorem zwołane zostało i odbyło się u Witolda Abramowicza zebranie naszej polskiej grupy demokratycznej. Geneza tego zebrania jest taka. W związku z obecną skomplikowaną sytuacją międzynarodową oraz ogromnym wzmożeniem się idei niepodległościowej w narodzie polskim, nastroje powstańcze w Polsce stają się coraz twardszym zjawiskiem realnym. Dziś już akcja powstańcza jest sprawą konkretną i się organizuje. Ruch ten najjaskrawiej się wyraża w Galicji w najściślejszym zespole z Austrją i jej polityką wojenną. Tam są już konkretne zawiązki organizacji powstańczej, ćwiczą się i formują siły, opracowują plan i wykonanie akcji. W Królestwie ruch ten się także rozwija i zyskuje na popularności, aczkolwiek [illegible] miejskie i robotnicze są w Królestwie, zdaje się, porwane tym ruchem. W Litwie dotychczas ruch ten budził oddźwięk żywy tylko w kołach polskiej młodzieży szkolnej, ale stopniowo echa nastrojów powstańczych dotarły do starszych kół inteligencji, która wszakże dotąd żadnej wyraźniejszej postawy wobec nich nie zajęła. Otóż wreszcie w ostatnich dniach ukazali się na bruku wileńskim tajni emisarjusze powstańczy z Królestwa z misją specjalną organizowania sił pomocniczych na Litwie. Tymczasem koła endeckie i konserwatywne, które w ogóle są przeciwne ruchowi powstańczemu i które całą mądrość polityczną wobec sytuacji obecnej zasadzają li tylko na siedzeniu cicho i ślepej bierności, zaniepokoiły się już czynniej w sprawie przeciwdziałania ruchowi. W tym celu przed kilku tygodniami przyjeżdżał do Wilna z misją specjalną jeden z wodzów Endecji warszawskiej, Zygmunt Balicki, ażeby wpłynąć na uspokojenie umysłów i przygotować tymczasem organizację, któraby miała przeciwdziałać ruchowi, a gdyby takowy powstał, lub gdyby zaszły jakieś wypadki zewnętrzne, to miałaby stanąć u steru spraw publicznych, aby pokierować niemi w myśl zapatrywań endecko-konserwatywnych. W czasie pobytu Balickiego odbyły się tu narady działaczy polskich z sfery zjednoczonej prawicy, to znaczy Endecji i Ugody, i zawiązana została odpowiednia organizacja pod nazwą, zdaje się, Rady Narodowej, z Tadeuszem Dembowskim (jako [illegible]) na czele. Prawica więc polska jest u nas zorganizowana wobec ewentualnych wypadków i ma określoną wyraźną linję orientacji. Natomiast lewica polska, to znaczy elementy postępowe, są w rozproszeniu. Z Warszawy i Galicji dochodzą echa gorących nastrojów, przybywają emisarjusze, wciągający do czynu i przynaglający do postawy. Jak słychać — tworzą się już tam zawiązki powstańczego rządu narodowego. Nastaje moment, kiedy musimy zająć określone stanowisko i jakiś kierunek działania, który musi być zgodny tak z naszym stanowiskiem wolnościowym, jak w szczególności ze stanowiskiem krajowym. Przyjęcie żywcem nastrojów powstańczych polskich i przeszczepienie ich na grunt Litwy jest niemożliwe chociażby z tego względu, że kierunek akcji powstańczej w Polsce jest zbudowany na austrofilstwie, które realnie dla kraju naszego nie może być kluczem do rozwiązania kwestji. Niezależnie są też dla nas głosy i opinje Litwinów, którzy przedstawiają najwybitniejszą świadomszą i czynną warstwę demokracji krajowej. Otóż opinja ta wypowiada się przeciwko akcji powstańczej, wskazując na to, że Litwa z racji położenia swego jest w sytuacji obecnej między młotem a kowadłem, między Prusami a Rosją, i że bądź co bądź Prusy stanowią dla Litwy niebezpieczeństwo większe, niż Rosja. Sytuacja więc nasza, elementów demokratycznych polskich na Litwie, jest bardzo skomplikowana i przeto decyzja trudniejsza, niż dla demokratów w Polsce ościennej. Czynniki narodowe budzą w nas sympatje austrofilskie i powstańcze. Względy zaś polityczne i krajowe wykazują nam nierealność tendencji austrofilskich i ukazują [illegible] sytuacji między [illegible] Rosją a ewentualnym zaborem pruskim. Położenie nasze jest po prostu tragiczne. Witold Abramowicz, wychodząc z założenia słusznego, że powinniśmy uprzytomnić sobie czynniki wypadków i oprzeć na nich określone stanowisko nasze, zwołał na dziś naszą grupę. O przebiegu tego zebrania opowiem pod datą jutrzejszą, bo mi tu miejsca zabrakło.

[illegible]

18 (31) grudnia rok 1912. Wtorek.

Wracam do wczorajszego zebrania naszej grupy. Z dziesiątka naszej stawiło się na zebraniu tylko sześciu: Witold i Ludwik Abramowiczowie, Kryżanowski, Turski, Zaortowt i ja. Witold Abramowicz oddawna już wysuwa projekt utworzenia z grupy naszej zawiązku stronnictwa. Obecnie zaś, powodowany gorącą [redacted] tendencją powstańczą, uważa, że koniecznym jest utworzenie stronnictwa, bo tylko wtedy głos nasz zaważy i akcja nasza powiększy swoją wagę, gdy będziemy ściśle zorganizowani. Ale w Witoldzie Abramowiczu zawsze żyje społecznik, rozumiejący, że hasła powstańcze tylko w takim razie znajdą poparcie w ludzie i staną się hasłami ruchu masowego, gdy się łączyć będą z hasłami głębokiej reformy społecznej w myśl potrzeb ludowych. Dlatego też Witold Abramowicz nietylko że się wyrzeka radykalizmu społecznego, ale stawia zasadę na równi z radykalizmem niepodległościowym. Inni z obozu prawicy naszej, jak L. Abramowicz, Kryżanowski, Turski, pragnęliby też stronnictwa, ale z innych względów. Dla Ludwika jest ono potrzebne, jako ściślejszy teren jego działania osobistego, jego wpływów i kariery, a zresztą środek do mobilizacji się [redacted] odmiennie, bo rozumie on, że w stronnictwie, któreby jego programu przyjęło, jakbym [redacted] nie wiem połowa. My zaś z Zaortowtem obawiamy się stronnictwa i to właśnie dlatego, że toby nas odseparowało od grupy i pozbawiło swobody działania w jej ramach. Od początku byliśmy obrady. Powiedziałem, stwierdzone zostało, że większość chce stronnictwa i że tę kwestję dyskutować nie zamierza, jeno chce wprost przystąpić do kwestji charakteru stronnictwa, więc Witold zaczął nam szkicować ewentualny program takowego. Dopóki chodziło o postulaty polityczne, stanowiące ogólniki, — sporu nie było. Uznaliśmy zgodnie, że należy [redacted] przyjąć kapitalną zasadę usamodzielnienia kraju (Litwy i Białej Rusi) na podstawie prawa powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania z zabezpieczeniem praw mniejszości narodowych. Tu Witold przeszedł następnie do programu społecznego. Ludwik Abramowicz, Kryżanowski uznawali wogóle program społeczny za zbyteczny, pragnąc jeno tylko politycznego stronnictwa. Jest to wogóle objaw bardzo charakterystyczny dla tzw. „postępowców" w przeciwstawieniu do demokratów, że [redacted] starają się unikać stanowiska społecznego i poprostu się boją zaakceptowania postulatów ludowych. Witold zaczął wytłumaczać program agrarny. My z Zaortowtem słuchaliśmy go z zainteresowaniem i dopuszczam sympatją. A więc: naturalne bogactwa, jak lasy, wody (prócz zagospodarowanych), podlegają ukrajowieniu; ukrajowieniu również podlegają z wielkiej własności nieużytki oraz ziemia, na którą właściciel [redacted] nie gospodaruje bezpośrednio, lecz je eksploatuje w drodze dzierżawy (rozmiary władztwa włościańskiej); ukrajowienie dokonywa się w drodze wykupu; stworzy się specjalna instytucja krajowa, która lustruje wielką własność i decyduje o ukrajowieniu; na ziemiach ukrajowionych tworzą się parcele, które się oddaje do użytku drobnych rolników na zasadach dzierżawnych. Nie chodzi tu o szczegóły tego programu, które mogą być błędne i wymagają gruntownego obmyślenia, ale o kapitalną zasadę, podług której własność prywatna ziemska jest uzależniona od pierwiastku użyteczności społecznej; [redacted] zasada własności się nie znosi; w [redacted] stosunkach włościańskich, tam, gdzie własność się zespala z warsztatem pracy, jest ona całkowicie nietykalna, natomiast usuwa się ona tam (z charakterem wykupu wszakże), gdzie [redacted] ma ona charakter li tylko przywileju wbrew użyteczności publicznej. My z Zaortowtem przyklasnęliśmy rozwojowi takiego programu społecznego, natomiast Ludwik Abramowicz, Kryżanowski i Turski przelękli się przestraszeniem. Ludwik był wściekły: zarzucał, że tu idzie li tylko o podniecanie instynktów chciwości ludu, że za takim programem nikt nie pójdzie, bo ci z pośród postępowych ziemian i inteligencji, którzy ulegają naszym wpływom, wnet rezygnują, ludu zaś nie porywamy, bo lud jest ciemny i potrzebuje nie chleba, ale umiejętności wyższe nie potrzebuje. Kryżanowski dodał dobrodzie, że kultury tworzy nie chłop, lecz ten zamożny i inteligentny pan, który wiernie siedzi w [illegible], żyjąc z pracy cudzej w postaci czynszów z dóbr swoich, i jest w stanie łożyć ten trochę grosza, potrzebny do kupowania arcydzieł muzyki, poezji, wspierać sztukę, fundować w kraju Uniwersytety i t.d. Słowem — naszkicowaliśmy się typowej ideologji liberalno-burżuazyjnej. Oczywiście, że o tworzeniu demokratycznego stronnictwa z takich żywiołów — mowy być nie może. I tu się role zmieniły: ci, którzy wpierw pchali do tworzenia stronnictwa, teraz zwalczali samą myśl o stronnictwie, natomiast Zaortowt, który wpierw był przeciwny stronnictwu, teraz gorąco popierał Witolda i stawał się — o, naciskając, — zatrzymać z postulatów. Ja nie wypowiadałem. Rozumiem, że jeśli stronnictwo demokratyczne ma powstać, to musi ono mieć wyraźny program społeczny i w naszych stosunkach agrarny — demokratyczny. Ale widzę chodzi, że z naszej grupy stronnictwo demokratyczne utworzyć się nie może, bo elementy, które [redacted] do tego należą, takie są niedemokratyczne, wiary w sprawę demokratyczną nie mają. Przeto lepiej się nie kusić o to, co się urzeczywistnić nie może. Niechaj nasza grupa pozostanie tylko, czym jest — to naszej grupie

[illegible — several lines written upside down at the top of the page]

19 grudnia / 1 stycznia. rok 1912/1913. środa.

Ponieważ 2 dni poprzednie wypełniłem sprawą naszej grupy i przedostatnich projektów Witolda Abramowicza, więc dziś poruszę resztę bieżących rzeczy, które w tych porach zaszły i mają znaczenie.

Przedewszystkiem kwestja superarbitra sądu honorowego między mną a 12 panami. Nasi arbitrowie Kryjanowski i Władysław Malinowski spotkali się z arbitrem strony przeciwnej Aleksandrem Meysztowiczem, który posiadał upoważnienie od nieobecnego drugiego arbitra Łokuciewskiego. Nasi arbitrowie wysunęli na superarbitra kandydaturę w pierwszym rzędzie Tadeusza Wróblewskiego; ja osobiście byłem przeciwny tej kandydaturze, bo choć wiem, że Wróblewski w tej sprawie wypowiadał się stanowczo przeciwko oświadczeniu tych 12 panów, jednak wobec Wróblewskiego nie ufam, nie wierzę w jego szczerość i w to, aby się kierował li tylko przekonaniem i sumieniem. Ale skoro arbitrowie nasi tak postanowili, nie mogłem oponować. Wszakże Meysztowicz odrzucił Wróblewskiego, popierane dlatego, że jest, jak się okazuje, strona przeciwna prosiła go na arbitra, na co on się nie zgodził, a po drugie dlatego, że stosunki między Wróblewskim a Łokuciewskim są osobiście złe: nienawidzą się oni, jako dwaj rywale zazdrośni o stanowisko wzajemnie, toteż byłoby niedogodne, aby ci dwaj się spotkali w sądzie honorowym w charakterze jeden arbitra, drugi — superarbitra. Wtedy nasi arbitrowie zaproponowali Stanisława Patka z Warszawy. Meysztowicz znowu odrzucił, motywując, że nie warto wciągać do tego ludzi z Warszawy, że wystarczy zaczerpnąć spośród ludzi z Litwy. Dziwne to zastosowanie „stanowiska krajowego", kiedy jedna ze stron, większość nasza, składa się przeważnie właśnie z ludzi najbardziej zaciekłych zwolenników krajowości, jak ja, [illegible], Litwini Janulaitis i Stankiewicz, [illegible] nie boi się sprowadzić honorowego osobnika z Warszawy, podczas gdy druga strona, w której są najzaciętsi [illegible], wyrzucający hasła wszechpolskie, raptem wyskoczyła taką [illegible] o przestrzeganie „krajowości" przy wyborze superarbitra. Wreszcie arbitrowie nasi zaproponowali adwokata [illegible] z Mińska, ale i ten został przez Meysztowicza nieprzyjęty, jako „zarażony". Meysztowicz natomiast zaproponował na superarbitra adwokata Witkiewicza z Mińska, którego znowu nasi arbitrowie odrzucili, ponieważ to jeden z tej samej akcji [illegible], co porwani przez nas [illegible]; taki superarbiter nie dawałby nam gwarancji bezstronności. Dla tych samych względów odrzucili też adwokata Jańczewskiego z Mińska i p. Michała Wołłowicza, który prócz tego jest człowiekiem wątpliwej uczciwości. Wreszcie Meysztowicz zaproponował p. Stanisława Łopacińskiego z [illegible] w guberni witebskiej. Jest to bogaty ziemianin, człowiek powszechnie szanowany, b. poseł do Rady Państwa, człowiek rozumny, z przekonań konserwatysta z [illegible] liberalizmem. Jest to człowiek czysty, uczciwy, człowiek [illegible], niezależny. Po deliberacji arbitrowie nasi zgodzili się na niego. My chcieliśmy jeszcze, aby losowano pomiędzy Łopacińskim i jednym z kandydatów naszych, ale arbitrowie nasi uważali losowanie za niebezpieczne.

Papa jest w Wilnie. Poruszony jest Papa i zirytowany na mnie z powodu tych informacji, zawartych w ostatnim oświadczeniu 12 panów i w prasie endecko-klerykalnej. Ani nasza odpowiedź na oświadczenie tych panów, ani skierowanie przez nas tej sprawy przed sąd honorowy nie uspokoiły Papy. Papa należy całkowicie do obozu polsko-katolickiego a że jest z natury prosty, więc przyjmuje na wiarę wszystko, co wychodzi z obozu tego [illegible]. Nie [illegible] Papa dostrzec intrygi, jest jak dziecko naiwny. Boli Papę to, że moje nazwisko zmieszano z jakąś akcją antykatolicko-antypolską, a nie pojmuje całej przewrotności, złej wiary i [illegible], jakie zostały z [illegible] strony użyte do zainscenizowania tej sprawy. Biedny Papa. Najsmutniejszy jest [illegible] wiek, z [illegible] prawość. ~~[illegible]~~ Ponieważ [illegible] w [illegible] nie [illegible] przekonań i [illegible] dopuszcza żadnego [illegible], więc nie może zrozumieć mojego innego stanowiska i innych przekonań. Bierze je za objaw czy to jakiejś głupoty mojej, czy złych wpływów, czy też wypaczenia. A ja [illegible] też Papy [illegible], że nie będę obcym przekonaniom moim [illegible] postępować, nie umiem [illegible] inaczej. To też zawsze Papa [illegible] spostrzega w [illegible] obozie, [illegible] i wiary, [illegible] Papy ideały. Papa się tym trapi ciągle. W tym wypadku chodzi właściwie o co innego, ale Papa spostrzega tylko ten fakt, że obóz prawomyślny, złożony z najpopularniejszych w Wilnie osób, [illegible] opinji, [illegible] we mnie [illegible] i [illegible] z grona tych, których Papa [illegible] [illegible]. Dziś [illegible] a wczoraj w nieobecności mojej [illegible] [illegible] mnie, [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible] teatru [illegible] [illegible]

20 grudnia. 2 stycznia. rok 1912. 1913. czwartek.

Wieczorem w lokalu szkoły rysunkowej Dybakowa odbyło się zebranie organizacyjne nowego „Wileńskiego Towarzystwa popierania przemysłu domowego i sztuki ludowej". O genezie tego towarzystwa pisałem już pod datą 20 listopada, więc powtarzać nie będę. Pierwsze zebranie organizacyjne było wyznaczone na 6 grudnia i odbyło się częściowo, to znaczy że wygłoszone tam zostały referaty: referat Własowa o [redacted] przemyśle domowym i referat Szklennika o [redacted] roli i znaczeniu kooperacji w przemyśle domowym. Na zebraniu tym nie byłem. Zarządu wtedy nie wybierano wcale, odkładając to do następnego zebrania, które wyznaczone zostało na dziś i miało być liczniejsze. Ogólna ilość [redacted] osób, które się zapisały potychczas na członków towarzystwa, wynosi 40 (rzeczywistych członków) i 12 (wspierających), w tej liczbie 3 litwinów, [redacted] polaków, 4 żydów, 4 białorusinów i 13 rosjan. Dzisiejsze pisma polskie zamieściły wzmianki o zadaniach towarzystwa, budząc niejakie zainteresowanie. Na zebranie przyszło 19 członków rzeczywistych, 3 wspierających i kilka osób postronnych. Towarzystwo to powstaje pod dobrą gwiazdą; we wszystkich grupach będzie zainteresowanie i chęć współpracy, aby w czynie odpowiedziało nadziejom i zadaniom. [redacted] Przewodniczył zebraniu członek zarządu ziemskiego, p. Ksawery Lubowicki, który zaprosił na asystentów Kulczyckiego, Dybakowa i Własowa, jako głównych inicjatorów towarzystwa, mnie zaś na sekretarza. Lista zaprojektowanego przez inicjatorów [redacted] przyszłego zarządu zawierała czwórkę 2 polaków, 2 rosjan, 2 litwinów, 2 białorusinów i 1 żyda, ponieważ chodziło o to, aby towarzystwo było istotnie krajowe, to znaczy by objęło wszystkie narodowości. Ja nie miałem wejść do zarządu, ponieważ miejsca polskie były już w zaprojektowanej liście obsadzone przez Zafarczyca i przez prezydenta miasta Michała Węsławskiego, których obecność w zarządzie jest konieczna. Atoli choć na kandydata postawiony nie byłem, to jednak w głosowaniu kartkami ~~obaj~~ zebrani mnie wybrali. Wybór ten przyjąłem i cieszę się z niego zasadniczo, bo w ten sposób otrzymałem z rąk członków towarzystwa tego satysfakcję za afront, który mi przed 1½ rokiem wyrządziła sekcja drobnego przemysłu przy Towarzystwie Rolniczym Wileńskim, nie przyjmując mię na członka. Ponieważ zaś właśnie incydent ten dał powód do założenia obecnego towarzystwa, oderwanego od sekcji, o czym członkowie towarzystwa oczywiście wiedzą, więc przez wybór mię do zarządu podkreślili oni wyraźnie, że cenią szczerze mój udział w tej pracy. Jak to krążą w życiu [redacted] jakieś drobne rzeczy, jakieś incydenty, jakieś nieopatrzne kroki, — mają skutki dalekosiężne i wikłające przestrzeń wypadków i działań ludzkich. Dziś sekcja Towarzystwa Rolniczego [illegible] osobna istnienia obecnego towarzystwa, ponieważ obydwie mają te same zadania i mniej więcej zakres pracy. Ale afront, wyrządzony mi przez sekcję jeszcze i w mojej osobie [illegible], choć go dziś sekcja żałuje i chciałaby wymazać z [redacted] księgi faktów, wywołał skutki poważne, [illegible] czym sekcja sama traci. [illegible] [redacted] incydent [illegible] [illegible], bo tak by było [illegible] dla dobra [illegible] towarzystwa [illegible] i sekcji, co też zebrani dziś [illegible]

[illegible]

[illegible]

21 grudnia.
3 stycznia.
rok 1912/1913.
piątek.

Rozmawiałem z Krzyżanowskim o naszej „grupie demokratycznej”, o projektach przekształcenia jej w stronnictwo i zaktywowania jej do akcji kierowniczej na wypadek czy to powstania, czy jakichkolwiek wogóle zmian i ruchów, związanych z tym lub innym zwrotem w europejskiej sytuacji międzynarodowej. Krzyżanowski, który jest od kilku miesięcy ulega wpływom Ludwiska Abramowicza i patrzy na świat i wypadki przez pryzmat Ludwikowych koncepcji, jest zwolennikiem stronnictwa, któreby wyrażało wyłącznie jakieś postulaty polityczne i nie miało żadnej barwy społecznej. Starałem się wykazać Krzyżanowskiemu, że się grubo myli, że poprostu niesłusznie płytko traktuje zjawiska bądźcobądź społeczne, jakimi są zawsze wszelkie ruchy polityczne. Abstrahuję się narazie od tego, czy wogóle żywotną jest dziś w kraju naszym akcja powstańcza. Czy powstanie jest dla kraju naszego wskazane czy nie, czy stanie się ono [redacted] u nas przedmiotem niebezpiecznego awanturnictwa — to co innego. Bądźcobądź w związku z ewentualną wojną, gdyby takowa wybuchła, i z rozwojem wypadków w Polsce i wszędzie dokoła, mogą zajść takie okoliczności, kiedy potrzeba będzie kształtować w nas ruch społeczno-polityczny, nadawać mu taki lub inny kierunek. Czy w takich razach stery kierownictwa może sporząć w ręku grupy, która żadnego zabarwienia społecznego nie posiada, która wogóle ignoruje najżywotniejsze zagadnienia poszczególnych klas społecznych. We wszystkich poprzednich ruchach narodowych i powstaniach polskich wszystkie walczące o władzę kierunki występowały z określonemi barwami społecznemi. Byli „biali”, byli „czerwoni”. I jedni i drudzy reprezentowali pewne warstwy narodu, pewne określone wyraźne tendencje społeczne. Tylko w takim razie mogli liczyć na jakieś oparcie, na wpływy. Gdyby byli bezbarwni, gdyby żadnej społecznej treści nie wyrażali, to wogóle nie byliby w stanie żadnej roli odegrać, — byliby quantité négligeable. Tylko taka organizacja może zaważyć na ruchu wypadków, która wpływy i oparcie ma w stanach, która w imię jakichś potrzeb, interesów, [redacted] logiki rozwojowej — działa. Nasi „biali” dysydenci, tworzący w Wilnie grupę narodową z Dąbrowskim na czele dla przeciwdziałania ruchowi powstańczemu, niewątpliwie mają określone oblicze społeczne i zupełnie realne stanowisko zajmują w narodzie. Trudno jest, abyśmy mogli zdobyć jakiś wpływ i trwały w chwili [illegible] – czy [illegible] społecznych. Jeżeli ma nam chodzić o [redacted] przygotowanie się do wyjścia w ster wypadków, to tylko w związku z wyraźniejszym naszego społecznego oblicza i społecznego programu. Rozumiem wszakże, że nasza grupa do tego nie jest zdatna, bo jest zbyt różnorodna przekonaniami, to też ona, jako taka, żadnej roli kierowniczej odegrać nie będzie w stanie. Ale marzyć o wpływie i kształtowaniu wypadków bez posiadania jakiegokolwiek oblicza społecznego — to albo utopja, jak o tym marzy Krzyżanowski i Turski, albo chęć [redacted] zostawienia sobie wolnej ręki do oparcia się w chwili decydującej na ideologji szlachecko-mieszczańskiej, jak zdaje się piastuje tę myśl w sercu Ludwik, który się starannie broni, aby się przedwcześnie na stanowisku demokracji ludowej nie zaangażować.

Chcę tu jeszcze wpisać kilka słów o „Lietuvių Dailės Draugiji”, w której zarządzie jestem. Pracę w tym towarzystwie bardzo cenię, bo działalność kulturalna towarzystwa tego, bardzo intensywna w stosunku do środków, [redacted] ma dla kraju doniosłe znaczenie. Towarzystwo to rozwija bardzo zamiłowanie w nas kultury artystycznej i wprowadza ~~[illegible]~~ element litewski z torów ruchu li tylko politycznego na szerokie tory ruchu kulturalnego w dziejach cywilizacji. Litwini stają się w nas coraz bardziej czynnikiem postępu kulturalnego. Piękne artystyczne wydania albumu krajów litewskich, dokonane przez „Dailės Draugija”; na zasadzie [illegible] w naszym ubogim dorobku artystycznym w kraju. Coroczne wystawy z ciekawym działem sztuki ludowej — to też niepospolite dzieła kultury. Obecnie towarzystwo przystąpiło do wydania książki o Čiurlionisie z reprodukcjami dzieł jego. W ostatnich czasach zawiązała się przy towarzystwie specjalna sekcja dla uporządkowania i publicznego świętowania [redacted] bogatszy i celniejszy.

22 grudnia. / 4 stycznia.
rok 1912. / 1913.
sobota.

Na dziś wieczór wyznaczyłem mój wyjazd do Bohdaniszek na święta Bożego Narodzenia. Anna także wyjeżdża na święta do swojej matki i siostry do Libawy, bo nie chce zostawać sama w Wilnie. Już w roku zeszłym Anna spędziła święta w Wilnie, podczas gdy ja byłem w Bohdaniszkach, i tak się wytęskniła w samotności, że ponowienia eksperymentu tego nie życzy. Niepokoi mnie trochę stan zdrowia Anny. W ostatnich czasach doświadcza ona ciągle jakichś bólów wewnętrznych, które są połączone zazwyczaj z wielkim osłabieniem i depresją tak fizyczną, jak moralną. Bóle te następują zwłaszcza po jedzeniu. Obawiam się, aby to nie było zapalenie ślepej kiszki. Wszakże bóle te nie są, jak się zdaje (zresztą sama Anna nie umie określić dokładnie ich miejsca), ściśle umiejscowione i ujawniają się to w okolicy żołądka, to jakby w piersiach. Anna mi powiada czasem, że to może suchoty, bo z suchot umarł jej ojciec i w ogóle cała jej rodzina ma płuca słabe; nie sądzę, bo nie kaszle i w ogóle nie ma skłonności do przeziębiania się. Chciałbym, aby się poradziła u doktora, ale Anna się wzbrania i chce zaczekać jeszcze do powrotu z Libawy, ufając nadzieją, że to przejdzie. I ja się też spodziewam, że to [redacted] nic poważnego. W ciągu tego półtora roku naszego stosunku Anna się tak zespoliła ze mną, tak wrosła głęboko w życie moje, że dziś już bez niej odczuwałbym pustkę niepowetowaną. Łączy nas miłość trwała, oparta na szacunku, przyjaźni i już po prostu potrzebie wzajemnej. Pół dnia spędziłem dziś z Anną. Poszliśmy z nią do wanny, przechodziliśmy razem po mieście, po obiedzie zaś odprowadziłem ją na kolej i pożegnałem. Wyjechała pociągiem o g. 7 wieczór. Ja zaś wróciłem jeszcze do domu i wyjechałem pociągiem petersburskim o godz. 10 1/2 wieczorem.

Entre parenthèses — zanotuję tu fakt dodatni, który mię ucieszył. W ostatnim n. „Przeglądu Wileńskiego", który otrzymałem wczoraj, Ludwik Abramowicz wita z uznaniem serdecznym wydawnictwo „Kurjera Krajowego". Ludwik tu postąpił rozumnie i po obywatelsku: nieznaski, które są między grupą „Przeglądu Wileńskiego" a „Kurjerem Krajowym", winny pozostać w kółku stosunków poufnych i nie powinny być wynoszone nazewnątrz. Nazewnątrz wobec szerszej opinii i zwłaszcza wobec wspólnych wrogów postępu demokracji, — musimy być solidarni i spoiści, szanując wzajemnie urazy i spostrzeżenia wzajemne.

23 grudnia
5 stycznia.
rok 1912.
1913.
niedziela.

Pociągi, którymi jechałem, były strasznie przepełnione. Z Wilna do Kalkun przejechałem, siedząc na małej ławeczce ściennej (co się nazywa po francusku „strapontin") w korytarzyku. Ławeczki takie stały w korytarzyku, w przedziałach bowiem nie było ani jednego wolnego miejsca. Nie spałem wcale. Przez cały czas czytałem. W Kalkunach przesiedzieć musiałem od g. 5 rano do 10 tj. 5 godzin. Zdrzemnąłem trochę do godz. 8, siedząc na krześle w bufecie. Rano pociągiem z Petersburga nadjechało liczne grono znajomych, jadących w nasze strony na święta, a więc rodzina pp. Witoldostwa Moszyńskich, jadących do Kalkun do p. Antoniowej Komorowskiej, Witold Komorowski, brat Zysia, i Zitka z pensji z Finlandji, jadący do Kowaliszek, wreszcie p. Tur z Topola. Z Kalkun jechaliśmy już razem. W Abelach czekały nas już konie bohdaniskie. Śniegu ani źdźbełka. Jesień tegoroczna, bardzo długa i mokra, ani myśli ustępować zimie. Dobrze, że trochę przymarzło w nocy, wobec czego okropne błoto stężało po wierzchu. Jazda po grudzie nie wyśmienita; w dodatku w kilku miejscach gruda się załamała i koła tak głęboko ugrzęzły w błocie, że konie długo nie mogły wyciągnąć powozu i narowiły się. Jechałem drogą na Antonowo i Pokrewnie. W domu zastałem Rodziców i Helcię, która wczoraj z Wilna na święta przyjechała. Marynia i Stefuś zostali na święta w Wilnie. Obszernie opowiedziałem Mamie ze wszystkiemi szczegółami nieszczęsną aferę [illegible] tej sprawy Czyrskiego i Malinowskiem, która tyle konsternacji w Bohdaniszkach sprawiła. Mama doskonale się orjentuje w zakamarkach tej intrygi, jaką na tle tej sprawy spróbowano zawiązać, i podziwia zręczność szachowania 12 posłów, a skutkiem podziela [illegible] nasze stanowisko.

24 grudnia / 6 stycznia rok 1912/1913. poniedziałek.

Dzień kucji. Tradycyjną wieczerzę spożyliśmy w Bohdaniszkach w najściślejszym kółku rodziny, szczuplejszym, bo tylko z 4 osób złożonym: Papa, Mania, Maryni córeczka Helcia i ja. Stół był nakryty na sianie, jak się do tradycji należy. W myśl tejże tradycji łamaliśmy się wszyscy na wstępie opłatkiem, łącząc sobie życzenia na rok następny i na życie dalsze. Ciągnęliśmy też ~~[illegible]~~ siano z pod obrusa, wróżąc z źdźbeł wyciągniętych, ich długości, kształtu i rozgałęzienia, — o długości życia, jego ewentualnej burzliwości i płodności w potomstwie. Kucja składała się z dań następujących: konserwy z ryb, śledzie siekane, bulion z ryby, sandacz smażony, jarzyna (kalafiory i zielone fasolki marynowane oraz [illegible]), ryż słodki na zimno, kisielek i śliżyki z makiem. Do tego, jako ~~przyprawy~~ napoje, i „entremêts", które się zawsze do kucji ~~[illegible]~~ podaje, — pieczony groch i ugotowana pszenica, oranżada, [illegible] po- [illegible] litewskie ~~piwo~~ domowe, nie mówiąc o pospolitej kapuście kwaszonej i ogórkach solonych.

Przed południem był u mnie Józef Sukys, mój poczciwy pupil i przyjaciel serdecznie przywiązany do mnie. Szykuje się on teraz do seminarjum kowieńskiego na księdza. Zaprosił mię na wieczorek litewski pod Rogielami na niedzielę. Opowiadał mi o nowym kolędze z parafii, Józefie Petrulisie, który zamieszkał obecnie w swej rodzinnej wiosce [illegible] pod Rogielami. Petrulis miał z wyborach tegorocznych ~~[illegible]~~ kandydaturę do Dumy, ale później kandydatura jego została cofnięta, bo się okazało, że ~~[illegible]~~ wybór jego zostałby unieważniony z powodu jego nieuregulowanych się [illegible] powinności wojskowej. Petrulis to typ ciekawy, ideowiec nieskazitelny i przystępny w swych przekonaniach. Inteligient-ludowiec, trochę [illegible], idealista.

[illegible marginal note]

25 grudnia. / 7 stycznia. rok 1912/1913. wtorek.

I dzień świąt Bożego Narodzenia. Dzień się nie zaznaczył niczym osobliwym. Wieczorem próbowałem zacząć pisać artykuł do „Przeglądu Wileńskiego" na temat sytuacji międzynarodowej, ewentualnych ruchów powstańczych oraz w związku z tym naszych względów krajowych. Artykułu tego wszakże nie napisałem. Może napiszę go innego dnia.

Większą część dnia spędzam przy Mamie w t. zw. wielkim pokoju. Przytym czytam dużo, piszę listy. Czas, spędzany w Bohdaniszkach, wyzyskuję zawsze znakomicie na lekturę. Tej tu mam do syta.

Papa w tym roku więcej się garnie do towarzystwa Mamy, niż to pamiętam za lat dawnych. Postarzał już widocznie, ociężał w pracy, przykra mu samotność. Zeszłej zimy, gdy Mama była w Wilnie, musiał się Papa porządnie wynudzić, to też ceni dziś więcej towarzystwo Mamy. Zresztą to, że Rodzice są teraz przez czas długiej zimy zupełnie sami, czego nigdy dawniej nie było, bo dom był zawsze ludny, – zbliża staruszków do siebie i łączy. Wracają im dawne, bardzo dawne czasy, gdy jeszcze dzieci nie było wcale lub były malutkie. Ostatki pożycia stają się podobne do początków.

Papa jest w dobrym usposobieniu, mówny, serdeczny, spokojny. Zdenerwowania nie dostrzegam. Na razie pojawiły się jakieś wrzody, niewiadomo jakie i skąd. W roku zeszłym ukazały się one pod prawą pachą: wyrastały jeden po drugim, wreszcie na wiosnę znikły. I oto teraz w jesieni się odnowiły. Ukazały się znowu pod prawą pachą, ale już wkrótce rozeszły się na cały bok prawy aż do pasa i trochę na rękę. Było już ich dotąd kilkanaście. Zaniepokoiły mnie mocno zrazu, ale doktór, którego się Papa w Wilnie radził, upewniał, że to bagatela i że wrzody te pochodzą poprostu od anemji (niedokrwistości).

498.

26 grudnia. / 8 stycznia. rok 1912./1913. środa.

Dzień znowu upłynął na czytaniu, pisaniu listów, rozmowie z Rodzicami. Zresztą nie zaszło nic takiego, coby było godne zanotowania w dzienniku. Taki dzień, jakie jest przeciętnie życie w Bohdaniszkach: złote umiarkowanie, dzień bez historji. Jesteśmy we czworo, Mama, Papa, Helcia i ja. Z Helcią mieszkamy w Wilnie razem, a w dzienniku moim nic prawie o niej nie ma. Tak mię zazwyczaj pochłaniają sprawy czy to publiczne, czy ściśle osobiste moje, że o tym środowisku domowym w Wilnie, śród którego mieszkam, nic prawie nie mam do powiedzenia. A przecie i te dziatki Maryni, Helcia i Stefuś, rosną i mają swoje własne życie, własne uczucia, myśli, uciechy i smutki. Helcia (imię jej właściwe podług metryki jest: Ewa) ma już lat 14; jest dziewczynką bardzo rozwiniętą, pracowitą, stateczną. Charakter ma wyrobiony i dość mocno zaakcentowany indywidualnie. Choć mało o tych dziatkach piszę, ale kocham je serdecznie. Zasługują też one na to istotnie, a droższe są dla mnie od wszystkich innych siostrzeńców moich, a nawet ponoś i od rodzonej córki mojej, której nie znam

27 grudnia / 9 stycznia 1912/1913. Czwartek.

Jeździłem dziś z Papą do lasu Montowskiego. Papa wybrał się ~~[illegible]~~ umyślnie i wziął mię ze sobą, aby mi pokazać las i pokazać sosny, które tam ma i szczędzi. W gruncie rzeczy kocha mię Papa i chciałby mię jakoś zbliżyć do siebie, wtajemniczyć w dzieło i jądro swego życia, za jakie uważa Sołtaniszki i zwłaszcza swój ukochany las. Ale ~~[illegible]~~ jest jakiś fatalizm, który nas dzieli, który sprawia, że się nie możemy z Papą stopić we wspólnym czuciu. Przyczyną tego może są nasze odrębne przekonania i ideały, które są w nas obu równie silne i wykluczające wszelki kompromis, może zaś to, że obaj mamy charaktery wyraźnie zaakcentowane, samotnicze, niegiętkie. Miłość nasza wzajemna ma w sobie jakieś cechy wstydliwości, sprawiające, że gdy się spotkamy, nie umiemy się wypowiedzieć, stajemy się sztucznie sztywni i trzymamy się względem siebie nawzajem na baczności. Pokazał mi Papa las, pokazał sosny wcale piękne, które się w pewnym zakątku Montowszczyzny bujnie plenią. Spostrzegłem, że chód Papy w lesie jest o wiele cięższy, niż to dawniej ~~[illegible]~~ widziałem; wiek robi ~~[illegible]~~ swoje. Biedny Papa widocznie słabnie, nie ma swej dawnej mocy i sprężystości. Kochany mój Ojciec. Gdyby wiedział, jakim ciepłym uczuciem bije dla Niego serce moje! ~~[illegible]~~ Zdałbym dał zato, żeby raz na zawsze przestały między nami gody niedomówień i nieporozumień, żebyśmy się mogli zrozumieć i puścić wodze serdeczności prostej, gorącej. Tak, Papa niewątpliwie też tęskni do takiego zespołu ze mną i chciałby mię zbliżyć do siebie, ale wyrobiła się u Papy przez wiek i przez stanowisko w rodzinie taka arbitralność, że zbliżenie to mogłoby nastąpić tylko na gruncie zupełnego zatarcia się mojej indywidualności [illegible] [illegible], co jest niemożliwe. Papa [illegible] wolny a na starość [illegible] się arbitralnym — bez granic.

500.

28 grudnia / 10 stycznia roku 1912/1913. piątek.

Był dziś u mnie Justyn Malec (właściwe nazwisko jego w brzmieniu litewskim = Malčius) z Rakiel, który przychodzi do mnie regularnie co roku w czasie świąt Bożego Narodzenia z prośbą zaprenumerowania dla niego tygodnika ludowego „Lietuvos Ukininkas", co też zawsze spełniam. Przyniósł mi w prezencie kilka jaj, które przyjąć musiałem, jako gościniec, sowicie okupiony zresztą przeze mnie prenumeratą za pismo. Jest to chłop sprytny bardzo, trochę chytry i lubiący przesadzać i ubarwiać wszelkie opowieści, niebiedny też, bo ma coś włókę własnej gospodarki. Lubi bardzo czytać, przepada za gazetą, ale żałuje pieniędzy na prenumeratę. Zdziwiony byłem biegłością jego cytat z [illegible] gazety, pamięcią i [illegible] zainteresowaniem oraz zrozumieniem tego, co czytał. Wie o Dumie, o stronnictwach, o polityce wewnętrznej w Rosji, o postaciach litewskich, o sytuacji międzynarodowej, orientuje się doskonale w sprawach rozmaitych prądów społecznych i narodowych, słowem — jest niepospolicie uświadomiony i umiejętnie [illegible] myśleć i dużo istotnie myśli. Czy istotnie [illegible] wyznaje te ideały, o których mówi, tego nie wiem — [illegible] rzecz, ale w każdym razie czyta uważnie i świadomie przetrawia, o czym [illegible] treść przeczytanego. Dla takich ludzi pismo jest bardzo ważne, a przez niego świadomość spraw społecznych szerzy się dalej wśród włościan, to należy bo [illegible]

ludzi, który lubi gawędzić, opowiadać, dzielić się myślami. Tu [illegible] dobry posiew rozsyłanego „Lietuvos Ukininkas" pada na grunt żyzny i pracuje się, nie marnuje. Zaiste więcej wart jeden taki czytelnik włościanin od dziesięciu czytelników inteligenckich, który ani w dziesiątej części nie ulegają takiemu wpływowi intelektualnemu pisma, jak ten człowiek.

Michał Römer.

29 grudnia roku 1912.
11 stycznia roku 1913.

P. Bohdaniszki.